

Miazga



JERZY ANDRZEJEWSKI

Miazga

SOBOTA, 7 MARCA 1970

Po dniu słonecznym i prawie przedwiosennym wieczorem znów gwałtowna śnieżna zaważa. Wszyscy już bardzo zmęczeni tegoroczną zimą, jej uporczywym trwaniem wśród kapryśnych zmian, których tak wiele było w ostatnich miesiącach, gdy ciągu jednego dnia temperatura z kilkunastu stopni mrozu podnosiła się nagle w okolice zera, a potem równie gwałtownie odwilż z ciepłymi podmuchami wiatru przemieniała się w ostry mróz. Jeszcze chyba nigdy nie byłem tak bardzo, jak teraz, spragniony ciepła, słońca i zielonej drzew. Wiem aż nadto dobrze, że to może być tylko złudzeniem, lecz wydaję mi się, że wraz z wiosną i w mojej półmartwej vegetacji coś się odmieni.

W ostatnim (10) numerze „Polityki”, w redakcyjnym artykule *Po wyroku*, obszernie cytaty z orzeczenia sądu w niedawno zakończonym procesie pięciu młodych intelektualistów, zwanym potocznie „procesem taterników”. Czworu z nich (Maciej Kozłowski, Jakub Karpiński, Maria Tworkowska oraz Krzysztof Szymborski) akt oskarżenia zarzucał „wejście w porozumienie z występującym w imieniu obcej organizacji Jerzym Giedroyciem w celu działania na szkodę Państwa Polskiego, a następnie w ramach tego porozumienia uczestniczenie w inspirowanej przez imperialistyczne ośrodki ideologiczno-dywersyjnej działalności kierowanego przez tegoż Giedroycia Instytutu Literackiego w Paryżu zmierzającej przez szkalowanie ustroju i naczelnych organów PRL do podważenia socjalistycznych zasad ustrojowych”, natomiast piątej oskarżonej, Małgorzacie Szpakowskiej, iż „w celu rozpowszechniania opracowała, sporządzała, a następnie kolportowała teksty i ulotki zawierające fałszywe wiadomości, nawołujące do przeciwstawienia się władzom państwowym i administracyjnym, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego”. Jak stwierdza „Polityka” — określenie roli paryskiej „Kultury” oraz Instytutu Literackiego zajęło znaczną część uzasadnienia wyroku Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Sąd po przeprowadzeniu przewodu sądowego i wysłuchaniu głosów stron uznał winę wszystkich oskarżonych, wymierzając im wyroki od czterech i pół lat do trzech lat¹, działalność bowiem na rzecz Instytutu Literackiego w Paryżu uznał sąd za wysoce szkodliwą dla interesów naszego państwa, przeprowadzając zarazem następującą jej analizę. „W ostatnich latach »Kultura« paryska i jej naczelny redaktor Jerzy Giedroyc rozwinęli szczególnie ożywioną działalność. Zdając sobie sprawę, iż próby obalenia ustroju socjalistycznego siłą nie mają żadnych szans powodzenia, starają się rozkładać obóz socjalistyczny od środka, lansując slogany o ulepszaniu socjalizmu i socjalizmie demokratycznym. Aktywność »Kultury« na tym polu wzrosła szczególnie po wypadkach marcowych i wydarzeniach w Czechosłowacji. »Kultura« ma ambicje, aby stać się czołowym ośrodkiem antysocjalistycznym, a biblioteka »Kultury« jest głównym zapleczem wydawniczym antysocjalistycznej i antyradzieckiej literatury paszkwilanckiej... W »Kulturze« nie ukazał się ani jeden artykuł życzliwy socjalizmowi. Pismo to udostępniło swoje łamy kolaboran-

Wiosna, Nadzieja,
Przemiana, Natura

¹wyroki od czterech i pół lat do trzech lat — wyrok w tzw. procesie taterników wydano 24 lutego 1970; Maciej Kozłowski został skazany na 4,5 roku więzienia (po rewizji 3 lata), Jakub Karpiński na 4 lata (po rewizji 2 lata i 8 mies.), Krzysztof Szymborski i Maria Tworkowska na 3,5 roku (po rewizji odpowiednio 2 lata i 4 mies. oraz 1 rok i 9 mies.), Małgorzata Szpakowska na 3 lata więzienia (po rewizji 1 rok i 6 mies.); rewizja wyroków przez Sąd Najwyższy przyniosła ich obniżenie, a następnie część skazanych objęto amnestią uchwaloną jeszcze w lipcu 1969 z okazji 25-lecia PRL; jednakże Maciej Kozłowski przebywał w więzieniu do września, a Jakub Karpiński do czerwca 1971 r. Ponadto przesłuchiwani jako świadkowie Jan Krzysztof Kelus, Maciej Włodek i Urszula Sikorska byli przetrzymywani w areszcie bez procesu aż do marca 1970. [przypis edytorski]

tom i renegeatom. Warunkiem działalności »Kultury«, jak każdego ośrodka dywersyjnego, było powiązanie z krajem. Oto tło kontaktów Jerzego Giedroycia z oskarżonymi... Prawo do krytyki w Polsce ma każdy obywatel. Oskarżeni nie chcieli jednak skorzystać z tego prawa. Wybrali sianie fermentu, a na krytykę taką nie ma miejsca w naszym kraju. Krytyka musi bowiem budować, a nie burzyć. Oskarżeni mieli możliwość wypowiadania się w prasie krajowej, której łamy są zawsze otwarte dla ludzi pragnących zaprezentować swoje poglądy. Zamiast legalnej dozwolonej krytyki wybrali jednak współpracę z paryską »Kulturą«. Dziś ponoszą konsekwencje takiego postępowania”.

W ciągu dnia próby, zresztą mało skuteczne, umknienia od rzeczywistości, przy lekturze *Podboju Peru* Williama Prescottta oraz nowego wydania *Nie tylko piramidy* Kazimierza Michałowskiego. Interesujące uwagi prof. Michałowskiego o przełomie, jaki się dokonał w sztuce egipskiej za panowania XVIII dynastii, gdy młody Amenhotep IV nie tylko zerwał z religią Amona tebańskiego i związanym z nim wielobóstwem świątyń egipskich, ale nawet przeniósł swoją stolicę na północ, gdzie na pustyni wybudował nowe miasto, nazwane przez niego „Horyzontem Atona”. Aton, czyli tarcza słoneczna, był odtąd jedynym bogiem, któremu należało oddawać cześć, a sam król zmienił swoje imię z Amenhotepa, co tłumaczy się jako „Amon spoczywa” na Ach-en-Aton, co znaczy „wspaniały jest Aton”. Echnaton, jakbyśmy dzisiaj imię jego wymawiali, kazał zacierać ślady innych bóstw i niszczyć kult Amona. Zerwał również z obowiązującym dotychczas hieratycznym rytuałem dworu królewskiego i uwolnił sztukę z odwiecznych więzów reguł i przepisów, którymi była spętana, każąc artystom portretować się wiernie: z jajowatą głową, opadającymi ramionami i wydatnym brzuchem. „Możemy sobie łatwo wyobrazić — pisał Michałowski — że pomimo przyzwolenia i inspiracji królewskiej, artystom przywykłym do pewnych schematów kompozycyjnych, do utrwalonego w kanonie kształtu postaci ludzkiej, nie mogło przyjść łatwo podporządkowanie się życzeniom króla. Całkowita swoboda w stosowaniu dowolnej formy przedstawiania nie była ułatwieniem, lecz znacznym utrudnieniem ich pracy. Taki eksperyment mógł się udać tylko dzięki biegłości i umiejętności, jaką osiągnęły wówczas stołeczne warsztaty rzeźbiarzy i malarzy. Na pewno najzdolniejszych zabrał z Teb Echnaton do swej nowej stolicy... W krótkim czasie artyści amarneńscy stworzyli całą serię pomników zgodnie z nowym duchem czasu. Powstały wielkie rzeźby faraona z całym niedostatkiem jego powłoki cielesnej. Jajowata czaszka, nieomal końska szczeka, chuda szyja, wąskie, opadające ramiona, wydatny brzuch — oto obraz tego niewątpliwie genialnego człowieka, który potrafił skruszyć tysiącletnią skorupę narosłych zwyczajów, przyzwyczajzeń i konwenansów swego społeczeństwa, odważnie przeciwstawiając się potędze kleru i innych dostojników. Do największych arcydzieł zaliczyć jednak należy płaskorzeźby i kompozycje malarskie przedstawiające bardziej intymne sceny z życia dworu, np. król z królową Nefertiti na tronie w otoczeniu małych księżniczek, córeczka przy spożywaniu pieczonej kaczkę lub malowidło przedstawiające dwie nagie księżniczki siedzące na poduszkach w swojej pałacowej komnacie”. Z dalszych jednak wywodów znakomitego egiptologa wynika, że rewolucja dokonująca się w sztuce usztywnionej nie jest sprawą prostą i wolność nie załatwia wszystkiego: oto motyw jajowatych głów, wydłużonych szczęk i obwisłych brzuchów poczyna się pojawiać w sztuce tego okresu we wszystkich nieomal rzeźbach i malowidłach. Anatomicznymi defektami faraona-reformatora zostają obdarzeni nie tylko najbliżsi członkowie jego rodziny, lecz również słudzy niosący dary czy ofiary. „Tak silne było u artystów przywiązanie do istoty kanonu — komentuje to zjawisko prof. Michałowski — że stworzywszy raz *naturalistyczny* obraz władcy, cechy jego ułomnej budowy ciała poczęli nadawać wszystkim postaciom. Tworzyli więc nowy kanon, będący wyrazem nowej manieri, w jaką sztuka amarneńska popadła... kształtowanie w sztuce postaci ludzkich na wzór anatomii ciała ludzkiego da się pojąć wyłącznie na tle odwiecznych przyzwyczajzeń przedstawiania obrazu człowieka w ramach kanonu”.

Myśli, jakie mnie obległy w związku z tą lekturą, nie chce mi się relacjonować. Przeglądając dopiero co u nas wydaną książkę publicysty zachodniemieckiego, Joachima Festa *Oblicze Trzeciej Rzeszy*, natrafiłem we wstępie do rozdziału końcowego na zdanie z Tacyty: „nigdy nie było lepszych niewolników, nigdy gorszych panów”. Wydaje mi się, że w odniesieniu do rzeczywistości współczesnej cytat ten powinien brzmieć: „Nigdy nie było gorszych niewolników, nigdy gorszych panów”.

Dowiaduję się z radia zachodniego, iż prezydent Nixon złożył oświadczenie, w którym stwierdził, że amerykański plan lotów kosmicznych na najbliższe dziesięciolecie przewidyje pod koniec tego okresu wysłanie pojazdów bezosobowych do wszystkich planet układu słonecznego.

NIEDZIELA, 8 MARCA

Jeden glimid i jeden phanodorm już od bardzo dawna zapewniają mi nie więcej niż trzy do czterech godzin twardego snu, reszta nocy upływa na wielokrotnym budzeniu się, owszem, zasypiam przeważnie ponownie, lecz w coś, co jest snem jakby rozrzedzonym, co jest płytkie i kruche, i nie daje pełnego odpoczynku. Jak zwykle na przedwiośniu, nawet tak złudnym jak obecne, rozbudzam się ostatecznie wcześniej niż porą zimową, dzisiaj wstałem zaraz po szóstej, lubię zresztą tę ranną godzinę, kiedy wszyscy domownicy jeszcze śpią i sam robię śniadanie, parząc w filiżance mocną herbatę i przygotowując kilka grzanek. Na dworze krajobraz zimowy, ale słońce.

M., który zawsze przynosi kupę krążących po Warszawie kawałów, opowiedział wczoraj, kiedy przyszedł na obiad, jeden wart utrwalenia. Do wiejskiego proboszcza przychodzi sekretarz gromadzkiego komitetu Partii z prośbą o wypożyczenie kościelnych ławek na partyjne zebranie. „Nie dam wam ławek — odpowiada ksiądz — ostatnim razem, jak wam pożyczyłem, wszystkie były zarzygane”. Na to sekretarz: „Nie da ksiądz ławek? To my w niedzielę na mszy żadnych datków nie będziemy dawać”, „A ja wam przemówień nie będę pisać” — krzyczy ksiądz, „Ach tak? — odpowiada sekretarz — w takim razie gównem się ksiądz od nas dowie na spowiedziach, co się w Partii dzieje”.

Ksiądz, Władza, Obyczaj

Całe popołudnie i wieczór przy lekturze *Dziennika* André Gide'a², pobieżnie przerzucając fragmenty z różnych okresów, a zatrzymując się tym razem dłużej na latach 1928–39. Okazało się, że nie pamiętałem dość dokładnie wielu stron pisanych przez Gide'a bezpośrednio po powrocie z Konga i w okresie pracy nad *Edypem*. Jak zawsze, gdy sięgam po ten *Dziennik* — przejrzałem również *Ainsi soit-il*³, niezmiennie poruszony kilkoma zdaniem końcowymi, ostatnimi (na sześć dni przed śmiercią), jakie Gide napisał:

„Nie! Nie mogę obiecać, że wraz z ukończeniem tego zeszytu wszystko będzie zamknięte: będzie po wszystkim. Może zechcę jeszcze coś dorzucić. Dorzucić nie wiem co. Dorzucić. Może. W ostatniej chwili jeszcze coś dorzucić... Tylko, że kleją mi się powieki. Ale spać mi się nie chce. Wydaje mi się, że mógłbym być jeszcze bardziej zmęczony. Późno już, nie wiadomo która godzina nocy czy rana... Czy mam jeszcze coś do powiedzenia? Do powiedzenia jeszcze nie wiem co.

Moje własne położenie na niebie wobec słońca nie powinno sprawiać, bym mniej się zachwycał świtanem”.

Wydaje mi się, że mój typ charakteru w większej mierze aniżeli odmiennie ukształtowane rodzaje ludzkich osobowości potrzebuje mocnych doznań, owych znaków życia manifestujących się nagłą i w różnorodny sposób, niekoniecznie przyjazny, bowiem gwałtowne ciosy oraz stan zagrożenia mogą mną poruszyć równie skutecznie, jak dobrodziejskie dary losu. Jestem ulepiony z samych nieomal sprzeczności, wszystkim moim skazom i cnotom towarzyszą ich przeciwieństwa, pozostawiony samemu sobie nie potra-

Konflikt wewnętrzny,
Twórczość

²Gide, André (1869–1951) — pisarz fr., uznawany za jedną z najważniejszych postaci kultury eur. i. poł. XX w.; autor powieści (*Immoralista*, *Lochy Watykańu*, *Falszerze*, *Corydon*), a także sztuk teatralnych (*Saul*, *Edyp*), *Dziennika* (1939–50) i autobiografii *Jeżeli nie umiera ziarno* (1926); tłumacz (m.in. Shakespeare'a, Whitmana i Conrada), współzałożyciel czasopisma „La Nouvelle Revue Française”; zaangażowany w walkę z kolonializmem (por. *Voyage au Congo*, tj. „Podróż do Konga”; 1927) oraz stalinizmem (por. *Powrót z ZSRR*; 1936). Laureat literackiej Nagrody Nobla (1947). [przypis edytorski]

³*ainsi soit-il* (fr.) — niech się stanie; amen. [przypis edytorski]

fię korzystać z bodźców jednolitych, zdany jestem na nieustannie ścieranie się elementów sprzecznych i zawsze tak się ze mną działo i dzieje nadal, że skoro żywioł istnienia stygnie wokół mnie — samotna gra przeciwieństw mojej natury pogrąża mnie w obezwładniającą inercję, w stan martwej roślinności. Kto wie, czy całe moje piarstwo nie wynika z tej właśnie kondycji mego charakteru, ono bowiem było i jest jedyną wewnętrzną rzeczywistością, która moim sprzecznościom potrafi nadać twórczy sens, uniezależniając mnie od trucizn zewnętrznych. Gdybym nie pisał, mógłbym przy sprzyjających, burzliwych okolicznościach zostać awanturnikiem albo hochsztaplerem, bez nich tylko szmatą.

PONIEDZIAŁEK, 9 MARCA

Pogarda dla szmiry treściowej i artystycznej wydaje mi się równie niedorzeczna, jak niedorzeczna byłaby np. pogarda dla nawozu, który — być może — nie jest przyjemny w wyglądzie i w zapachu, jednak sprawia, że dzięki niemu świat roślinny uzyskuje bujną płodność. Zaryzykowałbym twierdzenie, iż większość dzieł wybitnych i uznanych za arcydzieła, zawdzięcza w pewnej mierze swoją znakomitość właśnie elementom szmiry, szmiry wczorajszej i współczesnej, bowiem to ona — łatwa, niecierpliwa i przypodchlebna nawet w buntach — w sposób najbardziej bezpośredni reaguje na rozległe manifestacje życia. Spłyca je, trywializuje i upraszcza! Oczywiście! Lecz w ostatecznym rozrachunku bywa dobroczynnym nawozem, bowiem tak zawsze było i tak dzieje się nadal, iż sztuka, ta z wysokich rejonów, żywi się nie tylko życiem, i nie tylko osobą samego artysty, żywi się także sztuką i to w jej najróżniejszych przejawach, także tych płaskich, jarmarcznych i durnych, chociaż do tych powinowactw wielcy twórcy nie lubią się zazwyczaj przyznawać. Powiedziałbym nawet więcej, powiedziałbym, iż nie domierzam arcydziełom, które nie pozwalają mi, dzięki ich skamieniałej doskonałości, odnaleźć zanikających ech oraz cieni natrętej i wulgarnej szmiry. Wielki talent robi wszystko, co chce; geniusz tyle tylko, co może. Obawiam się, że to ostatnie zdanie komuś ukradłem, pojęcia jednak nie mam komu. Żeby jednak otrzymać rozgrzeszenie z tego przewinienia sięgnąłem do dzieł najlepszego mego spowiednika, ponieważ uwielbiam go z ironiczną czułością, sięgnąłem zatem do książki Tomasza Manna *Jak powstał „Doktor Faustus”*, i w niej bez trudu odnalazłem fragment, w którym Mann, relacjonując udział Schönberga oraz Adorna w kształtowaniu się jego koncepcji muzycznej twórczości Adriana Leverkühna, pisze (polskie wyd. s. 40): „Przedstawienie muzyki seryjnej i jej w dialogu zawarta krytyka, tak jak występuje w XXII rozdziale *Faustusa*, oparte są całkowicie na analizach Adorna, jak również i niektóre uwagi na temat późnych utworów Beethovena, występujące już wcześniej w powieści, w wynurzeniach Kretzschmara, mianowicie o duchowej zależności, jaką śmierć ustanawia pomiędzy geniuszem a konwencją. Te również myśli wydały mi się w rękopisie Adorna jakoś »osobliwie« znajome, a na temat — jakby to rzec? — czystego sumienia, z jakim włożyłem je, trochę zaledwie zmieniając, w usta memu jąkała, mogę powiedzieć tyle tylko: z chwilą, gdy już przez długi czas uprawia się działalność intelektualną, zdarza się bardzo często, że myśli, które się niegdyś rozsiała na wiatr, powracają do autora, ukształtowane inną, młodszą już ręką, i przyniesione w inne okoliczności, przypominają artyście jego samego i własne jego sprawy. Sama myśl jako taka nigdy nie będzie mieć w oczach artysty wielkiej wartości jako własność! Zależy mu bowiem przede wszystkim na jej funkcjonalnej przydatności w duchowym mechanizmie jego dzieła”.

WTOREK, 10 MARCA

Po cóż się oszukiwać? Te zapiski z ostatnich trzech dni były robione na siłę, są czymś w rodzaju uniku. Krążą wokół sprawy najważniejszej, lecz jej nie dotyczą. Strach? Zapewne. Ten sam paraliżujący strach, który od wielu tygodni wstrzymuje mnie przed zajrzeniem do teczek z maszynopisami *Miazgi*.

Od końca grudnia, gdy po trzech miesiącach pracy szczególnie intensywnej wątpliwości i rosnące z dnia na dzień zniechęcenie poczęły niszczyć wszystko, co napisałem i wówczas, i przed tym — moje życie jest nędzną roślinnością, jest nią pod każdym względem intelektualnym, moralnym, także i fizycznym. Tylokrotnie w życiu doświadczając podobnych załamań i upadków, znając dość dokładnie mechanizm zniszczenia, który z pełni

Literat, Sztuka, Błoto,
Kwiaty

Twórczość, Literat,
Zwątpienie, Praca

zapalu i przekonania, że to, co robię jest dobre, spycha mnie w ciągu kilku krótkich dni w dręczące zwątpienie, tak wiele, jak nieraz sędzę, o sobie wiedząc — nie umiem przecież tym klęskom zapobiec, ani do rozsądnej pauzy skrócić ich trwania. Gdybym chociaż potrafił wypełniać ów pusty czas zatrudnieniami sensownymi! Niestety, rozkład i zanik moich pisarskich kwalifikacji paraliżuje mnie całkowicie. Staję się dokładnie wysterylizowany i całkowicie bezbronny wobec rzeczywistości, w której egzystuję, zarówno mojej prywatnej, jak i tej drugiej: publicznej, nieporównanie od pierwszej rozleglejszej i zjadliwiej atakującej. W tych złych okresach są to jedyne sfery, na które jestem otwarty, a ponieważ obydwóm nie mam w sobie nic do przeciwstawienia — obie są koszarne, ranią i trują. Nie mając ludziom nic dobrego do dania, unikam ludzi, przecież nieraz nieomal się modłę, aby ktoś z tych, których lubię i cenię, zadzwonił i wyrwał mnie z udręczonej samotności, lecz gdy się to staje, rzadko, lecz się staje — szukam natychmiast kłamliwych pretekstów, aby się od spotkania uchylić albo je odłożyć. Każdy na ziemi ma takie niebo, czyściec i piekło, na jakie zasługuje. Moje martwe tygodnie i miesiące są moimi martwymi tygodniami i miesiącami. Jedyne blask urodzajnego życia, który mnie wśród nich nie opuszcza, to nawet w chwilach najgorszych z najgorszych przytomna świadomość, iż nigdy, w żadnych okolicznościach i pod żadnym względem nie jestem ofiarą. Trzeba mieć tyle skaz, ile mam ich ja, i tak wiele słabości, ile ich we mnie jest, aby nie chcąc utonąć i nie pójść na dno — zachować tę szczyptę dumy. Zresztą nie kosztuje mnie ona wiele, nie muszę o nią walczyć. Ta duma zawsze we mnie w sposób naturalny była i nadal jest. Być może jest również w tej świadomości coś z pokory? Być może. W moim jednak przypadku wolę mówić o dumie. Z dumy? Być może.

ŚRODA, II MARCA

Od paru dni drobna odwilż, szaro, brudno, przyzmy śniegu ciągnące się wzdłuż krawężników trotuarów skurczyły się i pociemniały, niektóre, jak np. ta przed naszymi oknami, po drugiej stronie ulicy, zwały torfu lub koksu raczej przypominają aniżeli śnieg.

Wczoraj wieczorem przyobiecowałem sobie, że zacznę dzień od lektury maszynopisu *Miazgi*. Od początku. Zdaję sobie aż nadto dobrze sprawę, że jeśli mam ruszyć dalej, muszę wpierw niejako na nowo przyswoić sobie to wszystko, co zrobiłem do tej pory. Przyswoić sobie? Ależ tak! Dosłownie. Wiele szczegółów, a również i całych scen, napisanych przed trzema czy czterema miesiącami zupełnie już w tej chwili nie pamiętam, inne zarysowują mi się w pamięci w takich kształtach, jakby były odbitkami prześwietlonymi lub niedoświetlonymi, lepiej widzę to, co miało być, albo określając w oparciu o pewną nadzieję: co ma być. Mogę w tej chwili powtórzyć za Adamem Nagórskim, gdy rozmyśla, słuchając na piątkowym koncercie symfonicznym *Pieśni wędrowca* w wykonaniu Haliny Ferens-Czaplickiej: chory już nie jestem, lecz zdrowy też nie jestem.

Choroba, Zdrowie

Pod wieczór sympatyczna Natalia B., która w czasie swego ostatniego pobytu w Helsinkach podpisała z wydawnictwem Kirjahtyma umowę na przekład *Miazgi*. Będzie to jej pierwsze tłumaczenie z polskiego, mam jednak zaufanie do jej inteligencji i językowej intuicji. Ta młoda dziewczyna, urodzona i wychowana w Finlandii, nie ma w sobie ani kropli krwi fińskiej, oboje jej rodzice są Rosjanami, zresztą urodzonymi z małżeństw mieszanych: rosyjsko-angielskiego i rosyjsko-francuskiego. Ona sama, przy całym naturalnym przywiązaniu do Finlandii, czuje się raczej Rosjanką, reprezentując sobą, o ile mogę sądzić przy znajomości tak krótkiej — zespół cech szczególnie interesujących i sympatycznych, a tak charakterystycznych dla Rosjan, których rosyjskość bez tradycyjnych oporów i zahamowań otwarta została na wpływy zachodnie. Udzielając wszakże tym cechom pełnej sympatii, na jaką z punktu widzenia ludzkiego zasługują, niepodobna nie pamiętać, że wszystko, co w kulturze rosyjskiej było naprawdę ważne i twórcze, stworzone zostało z elementów wyłącznie rosyjskich. Gogol i Szchedrin, Dostojewski i Tolstoj. A Iwan Groźny, Piotr Wielki, Katarzyna i Stalin.

Rosjanin, Rosja

W czasie dłuższej rozmowy o rosyjskim modelu komunistycznym, tak bardzo całą dialektyką polityczno-społeczną przypominającym reakcyjny i zaborczy model caratu,

sięgnąłem do dawnych notatek, aby zapoznać Natalię B. z fragmentami kilku starych tekstów.

Hr. Aleksander Benkendorf, który brał udział w stłumieniu powstania dekabrystów i był szefem żandarmerii Mikołaja I, z końcem roku 1829 (a może z początkiem roku następnego), po konferencji z carem, wystosował do generał-gubernatora moskiewskiego, ks. Golicyna następującą odezwę, której tekst w aktach został opatrzony własnoręczną oceną carską „bardzo dobrze”.

„W ostatnim numerze wydawnictwa »Teleskop« umieszczony został artykuł pod nazwą *Listy filozoficzne*, którego autorem jest zamieszkujący Moskwę pan Czaadajew. Artykuł ten, naturalnie już znany księciu, wzbudził w mieszkańcach Moskwy powszechne zdumienie. Mowa tu jest o Rosji, o narodzie rosyjskim, jego pojęciach, wierze, historii z taką pogardą, iż niepojętym jest, jak mógł Rosjanin poniżyć się do tego stopnia, czy coś podobnego napisać. Lecz mieszkańcy naszej starożytnej stolicy, zawsze odznaczający się czystym, zdrowym rozsądkiem, a przepelnieni uczuciem godności narodu rosyjskiego, od razu pojęli, że podobny artykuł nie mógł być pisany przez ich rodaka, który zachował w pełni zdrowe zmysły i dlatego — jak doszły nas wieści — nie tylko nie skierowali swego oburzenia przeciwko panu Czaadajewowi, lecz przeciwnie, wyrażają swe szczerze ubolewanie z powodu rozstroju nerwowego, jaki go dotknął, a który jedynie mógł być przyczyną napisania podobnych niedorzeczności. Otrzymano tu wiadomości, że współczucie z powodu nieszczęśliwego stanu pana Czaadajewa jednomyślnie podzielane jest przez ogół moskiewski. Jego Cesarskiej Mości podobało się, aby Książę przedsięwziął należyte środki ku dostarczeniu panu Czaadajewowi wszelkiej pomocy i opieki lekarskiej. J. C. Mość rozkazuje, aby Książę polecił jego leczenie umiejętnemu medykowi, zobowiązując tego ostatniego do odwiedzania pana Czaadajewa koniecznie co rano, i aby wydane zostało rozporządzenie, iżby pan Czaadajew nie naraził się na szkodliwy wpływ obecnego, wilgotnego i chłodnego powietrza; jednym słowem, aby były zastosowane wszystkie środki ku poprawie jego zdrowia. J. C. Mość życzy sobie, aby Książę co miesiąc donosił Mu o stanie Czaadajewa⁴”.

⁴Czaadajew, Piotr Jakowlewicz (1794–1856) — ros. filozof okresu romantyzmu, przyjaciel Aleksandra Puszkina; uznawany za prekursora nurtu *okcydentalizmu* w ros. myśli społeczno-politycznej (okcydentaliści, stając opozycji do ros. *slowianofilów* głosili potrzebę otwarcia Rosji na ozdrowieńczy wpływ kultury zachodniej). Myśl Czaadajewa ukształtowała się w duchu romantycznego antyrewolucyjnego konserwatyizmu (Friedricha Schellinga, którego poznał w 1825 r., księdza de Lamennais, Louisa de Bonnalda i in. myślicieli katolickich); koncentrowała się wokół próby stworzenia scalającej wizji historii umieszczającej powtórnie (po oświeceniowych przewrotach) Boga w dziejach świata. Postęp ludzkości widział nie w indywidualnych porywach, ale w postępowaniu zgodnym z oddziaływaniem Opatrzności (*providencjalizm*); występowanie przeciw tej boskiej sile uważał za prowadzące do chaosu. Wołę Opatrzności dostrzegał w rozwoju chrześcijaństwa, uznając katolicyzm za jego najdoskonalszą formę. Krytykując wybory dziejowe i stan współczesnej mu Rosji, twierdził, że u podstaw jej zastoju cywilizacyjnego i pewnego rodzaju niedookreślenia leży pozostanie przy prawosławiu, czego owocem jest izolacjonizm i wtórność kultury ros. w stosunku do Europy Zachodniej. Podobnie jak np. Joseph de Maistre postrzegał instytucję papieża jako symbol dawnej jedności chrześcijańskiej Europy oraz drogowskaz prowadzący ludzkość do przyszłego zespolenia, gdy zgodnie z wołą i działaniem Opatrzności u kresu historii powstanie Królestwo Boże na Ziemi. Również analogicznie do sabaudzkiego myśliciela politycznego za podmioty uwzględnione w Boskim planie dziejów świata uważał poszczególne narody, które powinny pracować wspólnie na rzecz realizacji planu Opatrzności; krytykując izolacjonizm i partykularyzm Rosji, wyrażał obawę, że może ona zostać wykreślona z szeregu narodów historycznych i pozostać na uboczu tego planu (konceptje i inspiracje filozoficzne Czaadajewa są niezwykle zbliżone do stanowiska Zygmunta Krasińskiego, z tym że polski romantyk łączy je z absolutną apologią Polski). Czaadajew wyraził swoje poglądy historiozoficzne w pisanym po fr. w napisanym w l. 1828–1831 traktacie zatytułowanym *Listy filozoficzne* (właśc. „Listów o filozofii historii”: *Lettres sur la philosophie de l'histoire*), mającym formę ośmiu listów pisanych z prowincji do znajomej damy, Katarzyny Dmitriewny Panowej. Pierwszy z tych listów (datowany: 1 grudnia 1829) został opublikowany anonimowo w 1836 r. niewielkim w piśmie „Teleskop” (miało zaledwie 80 prenumeratorów). List zawierał gorzką i ostrą krytykę Rosji, m.in. stwierdzenia, że pozostaje ona poza historią kierowaną przez Opatrzność, niby Boski eksperyment i przestroga dla innych: nie należy ani do Zachodu ani do Wschodu, nie reprezentuje sobą żadnej tradycji, niczego świata nie dała i nic się od niego nie nauczyła, jedynie jej materialna, mianowicie terytorialna wielkość każe ją dostrzegać na mapie świata. W efekcie publikacji i powszechnego oburzenia, które wywołała, na rozkaz cara Mikołaja I zdymisjonowano cenzora, który do niej dopuścił, czasopismo zamknięto, jej naczelnego redaktora, Nikołaja Nadieżdina zesłano do Ust'-Systsolska na Uralu (dziś: Syktywkar, stolica rep. Komi w Federacji Rosyjskiej), a autora osadzono w areszcie domowym, uznano za obłąkanego (podobnie jak adresatkę listów) i poddano przymusowemu leczeniu oraz objęto całkowitym zakazem publikacji. W 1837 r. Czaadajew został zwolniony z aresztu i „terapii” psychiatrycznej, ogłosiwszy *Apologię wariata*, łagodzącą jego stanowisko wobec roli Rosji w dziejach i zawierającą myśl, że cywilizacyjne zapóźnienie Rosji i model wła-

Nikołaj Karamzin⁵, na którego *Historii państwa rosyjskiego* uczyło się wiele pokoleń, występując przeciwko reformatorskim poczynaniom Aleksandra I, w memoriale *O starej i nowej Rosji* z roku 1811, złożonym siostrze cara, Katarzynie, skonstruował tezę, iż car nie ma prawa ograniczać swego samowładztwa.

„Gdyby Aleksander natchniony wielkoduszną nienawiścią do nadużyć samowładztwa jął pióro do przepisania sobie innych praw oprócz praw boskich i własnego sumienia, to istotnie cnotliwy obywatel rosyjski ośmieliłby się zatrzymać jego rękę i rzec: Cesarzu! Przekraczasz granicę twej władzy. Rosja nauczona długotrwałymi klęskami wręczyła przed świętym ołtarzem samowładztwo twemu przodkowi i zażądała, byś rządził nią w sposób suwerenny i niepodzielny. Testament ten jest podstawą twej władzy, innej nie masz, możesz wszystko, lecz nie możesz prawnie jej ograniczyć”.

Z przyczyn dialektycznie podobnych nie może obecnie ulec jakimkolwiek ograniczeniom wszechwładza partyjna, bowiem Partia otrzymała władzę z rąk przodującej klasy robotniczej, reprezentującej interesy całego narodu i w imię tych interesów najbardziej postępowych jest przez cały naród popierana. Ciasny krąg łańcucha się zamyka. Każde ogniwo tego łańcucha szczelnie przylega do sąsiednich, żadnej szczeliny.

I wreszcie notatka na marginesie zjazdu Słowianofilów w Moskwie, w roku 1867. Jeszcze na pierwszym zjeździe wszechsłowiańskim w Pradze w 1848 roku Rosjan prawie nie było. Na 341 uczestników było 237 Czechów i Słowaków, 42 Jugosłowian, 60 Polaków i 2 zaledwie Rosjan, jeden z nich, Bakunin, przyłączył się do sekcji polskiej. Natomiast zjazd moskiewski odbywał się pod protektoratem rządu rosyjskiego, a Polacy nieobecni na zjeździe (od upadku powstania styczniowego trzy lata zaledwie ubiegły), wykliniani byli przez delegatów rosyjskich jako odstępcy sprawy słowiańskiej. Na bankiecie wydanym w Petersburgu wielki poeta rosyjski, Fiodor Tiutczew⁶, powiedział w swoim przemówieniu:

„Zachód zdjęty jest trwogą, drży na widok zebranej całej rodziny słowiańskiej... A międy nami, o bracia, co za hańba! Spośród naszej słowiańskiej rodziny ten tylko uszedł nienawiści tylu sprzysiężonych przeciw nam nieprzyjaciół, kto względem swoich wszędzie i zawsze był zdrajcą i ohydny zbrodniarzem. Tylko jego, tego naszego Judasza, zaszczycają oni swymi pocałunkami”. (Julian Klaczko⁷ w „Revue de Deux Mondes” z 1 września 1867).

dzy w niej panujący paradoksalnie otwierają jej drogę do przyspieszonego rozwoju i zdystansowania innych narodów Europy Zachodniej, która pogrąża się tymczasem w rewolucyjnym chaosie. [przypis edytorski]

⁵Karamzin, *Nikołaj Michajłowicz* (1766–1826) — ros. pisarz i historyk; przedstawiciel sentymentalizmu w literaturze ros., twórca powieści historycznych (np. *Marta Borecka, albo Podbicie Nowogrodu*, 1802), autor krajoznawczo-refleksyjnych *Listów podróżnika rosyjskiego* (1791–1792) oraz apologetycznej *Historii państwa rosyjskiego* (12 tomów wyd. 1816–1829). [przypis edytorski]

⁶Tiutczew, *Fiodor Iwanowicz* (1803–1873) — ros. dyplomata, publicysta i poeta; autor wierszy filozoficznych, politycznych i miłosnych, pozostających pod wpływem romantyzmu niem., ale też prekursorsko symbolicznych, a także artykułów politycznych; przedstawiciel konserwatywności ros. o zabarwieniu nacjonalistycznym, zwolennik panslawizmu, idei zjednoczenia wszystkich narodów słowiańskich pod przewodnictwem Rosji i utworzenia w ten sposób siły przeciwstawiającej się rewolucyjnemu fermentowi Europy Zachodniej; wychodząc z tego stanowiska, był zagorzałym przeciwnikiem emancypacyjnych dążeń Polaków. [przypis edytorski]

⁷Klaczko, *Julian* (1825–1906) — polski krytyk literacki, historyk sztuki i publicysta; ur. w Wilnie jako Jehuda Lejb, pochodził z zamożnej kupieckiej rodziny żydowskiej; uzyskał doktorat z filozofii na uniwersytecie w Królewcu w 1847 r.; brał czynny udział w wydarzeniach Wiosny Ludów na terenie Wielkopolski, a po upadku zrywu udał się do Paryża; w wyniku rozczarowań przemianami sytuacji politycznej w Europie, a także dzięki osobistemu wpływowi Zygmunta Krasińskiego (został nauczycielem synów poety oraz uzyskał jego poparcie przy wejściu w środowisko emigracyjne) stopniowo porzucił dotychczasowe stanowisko ideowe; zmienił również wyznanie na katolickie oraz nazwisko (1856); współpracował z polskim emigracyjnym monarchistycznym środowiskiem konserwatywno-liberalnym, tzw. Hotelem Lambert, został członkiem Komitetu Wydawniczego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, był współwydawcą „Wiadomości Polskich” w Paryżu, współpracował także z „Revue de Paris”, „Revue Contemporaine” oraz „Revue des Deux Mondes”. W hołdzie swemu protektorowi opublikował po polsku i po francusku monografię na temat twórczości Krasińskiego zatytułowaną *Poeta bezimienny* (1862; wersja fr. obejmuje również tło literackiej epoki i nosi tytuł *La poesie polonaise au dix-neuvieme siecle et le poete anonyme*). Podczas powstania styczniowego działał w dyplomacji, a po jego upadku osiadł w Galicji i stał się rzecznikiem współdziałania z rządem austriackim i działaczem krakowskiego środowiska konserwatywnego. W 1870 został austriackim radcą dworu przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w latach 1870–1871 był posłem na Sejm Krajowy z obszaru Galicji, następnie został członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie (1872); otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego. [przypis edytorski]

Tiutczew nie był w swych poglądach odosobniony. Tacy wyznawcy i propagatorzy ruchu słowianofilskiego, jak Michał Pogodin⁸ albo Jurij Samarin⁹, tworząc koncepcję o przeciwieństwach dzielących świat słowiański i łaciński, upadek Polski tłumaczyli jej wielowiekowym związaniem z „duchem latynizmu” („Jak dwie dusze, zawarte w jednym ciele, słowiańskość i latynizm wiodły i wiodą ze sobą dotychczas zaciętą walkę na śmierć i życie” — pisał Jurij Samarin w studium *Współczesne ujęcie polskiego zagadnienia*), natomiast w inspirującym udziale Rosji w rozbiorach Polski dopatrywali się cech wielkoduszności, Rosja bowiem — według nich — nie mogąc patrzeć obojętnie na zabląkanie narodu słowiańskiego musiała mu podać pomocną dłoń.

Na podstawie moich osobistych kontaktów z lat ostatnich, a również i relacji o poglądach ludzi zajmujących nieraz dosyć eksponowane stanowiska, wydaje mi się, że rozumienie ciągłości w dziejach Rosji carskiej i porewolucyjnej staje się w Polsce coraz powszechniejsze. Ta właśnie ciągłość, stworzona i umocniona geniuszem Stalina, zrodziła fenomen bez precedensu w dziejach ludzkości. Historia zna wiele tyranii, despotyzmów i tryumfów reakcji. Ani jednak one same nie występowały wobec świata z hasłami demokracji i postępu, ani nikt się w nich nie dopatrywał symbolu wolności. Na przestrzeni minionego półwiecza Związek Radziecki może się poszczycić obu osiągnięciami. Nigdy w dziejach powszechnych nie udało się oszustwo na miarę tak ogromną i trwałą, nigdy też najbrutalniejsza przemoc, egoizm i cyniczne kłamstwo nie przybrały tak pięknych i wzniosłych masek, nigdy wreszcie tak ogromna ilość ludzi na całym świecie, w tym również i wielkich umysłów, nie uległa tak ślepym złudzeniom i nadziejom.

CZWARTEK, 12 MARCA

Wspomniałem wczoraj o geniuszu Stalina. Przez dłuższy czas jedną z najbardziej niewytłumaczalnych cech tej osobowości równie niezwyklej, jak przerażającej, wydawała mi się precyzyjna nieomyślność, z jaką ten Gruzin (ale urodzony w prawosławiu i wychowanek prawosławnego seminarium) zrozumiał i zrealizował rosyjską rację stanu. Nie istnieją wskazania dość wiarygodne i rozsądne, aby wątpić w szczerą oraz autentyczną komunistycznych poglądów Stalina. Więcej, gdyby Stalin nie był komunistą z najgłębszego przekonania — niepodobna byłoby go zrozumieć jako twórcy nowoczesnego imperium rosyjskiego, tworzył je bowiem w zgodzie z dialektyką marksistowską, prawidłowo przyjmując za punkt wyjścia dla swoich poczynań ściśle rozpoznanie wszystkich okoliczności, w jakich się znalazła Rosja porewolucyjna. To komunizm uczynił ze Stalina rosyjskiego męża stanu miary z pewnością nie mniejszej niż był nim niegdyś Iwan Groźny, a potem Piotr Wielki. Nie łudząc się, jak Trocki — i słusznie — iluzorycznymi perspektywami światowej rewolucji, Stalin po śmierci Lenina był jedynym bodaj spośród ówczesnego kierownictwa, który doskonale rozumiał, że zdobycze Rewolucji Październikowej dadzą się utrzymać wtedy tylko, gdy Związek Radziecki stanie się mocarstwem. Myślę, że wielu z wybitnych skądinąd przywódców partyjnych z owych lat dwudziestych i trzydziestych rozpieprzyłoby ten cały interes, gdyby doszli do władzy. Stalin stworzył (a może raczej odrodził) rosyjskie imperium. Cena, jaką trzeba było za to zapłacić, okazała się oszałamiająco wielka, lecz na dobro Stalina, jako męża stanu, trzeba zapisać, iż nigdy się nie wahał, aby owe wysokie koszty płaciły najwartościowsze jednostki, całe warstwy społeczne, bratnie partie, całe narody, rosyjskiego nie wyłączając. Lecz chyba nie brutalne i nieludzkie koszty przerażają przede wszystkim w tym gigantycznym przedsięwzięciu. Cała historia ludzkości splota się w krwawą i napiętowaną jest bezmiarem zniszczeń i cierpień. W dziele Stalina przeraża złowrogi stwór, który z tych ponad wszelką miarę kosztownych poczynań powstał. Nie zawsze mi się to udaje, lecz staram się na całokształt tych spraw

⁸Pogodin, *Michał Pietrowicz* (1800–1875) — ros. historyk, pisarz, dziennikarz; profesor Uniwersytetu Moskiewskiego (od 1826 r.); w l. 1835, 1839–1840 mieszkał w Lwowie, gdzie stał się animatorem ruchu moskalofilskiego (tzw. zwane kolonia pogodinowska); członek Petersburskiej Akademii Nauk (od 1841 r.); wydawca czasopisma „Moskowskij Wiestnik” (1827–1830) oraz „Moskwitianin” (1841–1856). W 1848 brał udział w Zjeździe Słowiańskim w Pradze, rozpedzonym podczas tłumienia Wiosny Ludów. W l. 60. XIX w. stał się jednym z głównych twórców ideologii wielkoruskiej i panslawizmu. [przypis edytorski]

⁹Samarin, *Jurij Fiodorowicz* (1819–1876) — ros. historyk, działacz społeczny, publicysta; jeden z ideologów ruchu słowianofilskiego; zajmował się rozwojem stosunków społ.-ekonomicznych i narodowych w krajach bałtyckich oraz dziejami ros. cerkwi prawosławnej; w 1861 r. uczestniczył w przygotowaniu reformy uwłaszczeniowej na terenie Imperium Rosyjskiego. [przypis edytorski]

Rosja, Polak, Historia

Rosja, Władza, Przywódca,
Państwo, Rosjanin, Polak

patrzeć możliwie chłodno, nie rzucając na szalę wagi losu mojej własnej ojczyzny. Szala z podbitymi i uciemienionymi jest dostatecznie obciążona. Naród rosyjski również na tej szali wegetuje. Siedzimy w jednej klatce.

PIĄTEK, 13 MARCA

Mimo monotonnej szarości i braku słońca, poprzez tę szarość i bezsłoneczność wciskać się jednak poczynają poddmuchy wiosny.

SOBOTA, 14 MARCA

Notatki do *Miazgi*. W jednym z brulionów, najstarszym, prawie w całości zapisanym, pod datą 12 stycznia 1963, więc w okresie, kiedy pisałem jeszcze w Oborach *Idzie skacząc po górach*, znajduję dość niejasny w tej chwili dla mnie tytuł: *Delegacja służbowa*. Lakoniczne zapiski poniżej: wesele w Jabłonie, zgubienie delegacji służbowej, wszystkie zjawy w noc w Jabłonie pokazują się Iksowi, w bocznym saloniku przypadkowo w towarzystwie dygnitarzy.

Nie umiem już w tej chwili zrekonstruować wydarzeń, które chciałem wówczas zgotować owemu Iksowi, gubiącemu delegację służbową i trafiającemu na jakieś przyjęcie weselne w Jabłonie.

Lecz na stronie sąsiedniej, pod datą 28 marca tego samego roku (również w Oborach) widzę notatkę: porzucenie pomysłu *Delegacji służbowej* na rzecz *Wesela* — 1) Zapowiedzi 2) Ślub cywilny 3) Ślub kościelny 4) Wesele w Jabłonie. Wyraźnie cieplej, jak w zabawie: ciepło, ciepło... zimno, zimno... Ale tylko cieplej, bo dokładnie nie potrafię wszystkich szczegółów złożyć. Andrzej Wajda dopiero pod koniec roku 1963 wystawił w Krakowie *Wesele* (byłem na tym przedstawieniu ze Stefanami Otwinowskimi przed samym Sylwestrem), lecz możliwościami teatralnymi, a także i filmowymi *Wesela* interesował się o wiele wcześniej, rozmawialiśmy na ten temat w staromiejskiej kawiarni „Gwiazdeczka”¹⁰, nie mógł to być jednak marzec, bo już było dostatecznie ciepło, żebyśmy mogli siedzieć na świeżym powietrzu, na dziedzińcu, pamiętam dobrze, że w trakcie jednej z rozmów właśnie na dziedzińcu „Gwiazdeczki”, powiedziałem Wajdzie, że po co zastawiać się nad ekranizacją *Wesela*, kiedy motyw wesela można umieścić we współczesności. Chyba dokładnie pamiętam, że w tym moim ówczesnym pomysle Panną Młodą miała być dziewczyna z „Mazowsza”¹¹, a Panem Młodym — najpierw młody człowiek z rodziny arystokratycznej, później syn wysoko postawionego dygnitarza rządowego. Tytuł *Miazga* pojawia się po raz pierwszy przy dacie 28 sierpnia 1963, nie był jednak jedynym, ponieważ już później pojawiają się inne tytuły, zaczerpnięte z ludowych porzekadeł: *Gorzki płas* i *Ta wierzba jest moja*¹². Ostateczny powrót do *Miazgi* oznaczony jest datą 30 listopada 1964, więc gdy po wyjątkowo intensywnej pracy w lipcu i w sierpniu roku poprzedniego miałem obraz powieści opracowany w ogólnym zarysie, a i większość postaci już z biografiami. Pierwotnie akcja miała się rozgrywać w sobotę 16 maja 1964, skoro jednak niecierpliwy czas począł pomykać szybciej niż moja od początku oporna książka wśród różnych utrudnień i kłopotów — przenieśliśmy czas trwania akcji na sobotę 15 maja roku 1965. Jak się później okazało, nie było to ostatecznie ściganie się z czasem. Niestety, nie potrafię już teraz odtworzyć pierwszych etapów *Miazgi*, jak powstawała, w jakim tem-

¹⁰staromiejska kawiarnia „Gwiazdeczka” — istniejąca do dziś kawiarnia (bistro) przy ul. Piwnej 40/42 w Warszawie. [przypis edytorski]

¹¹*Mazowsze* — Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze”, powołany dekretem Ministerstwa Kultury i Sztuki 8 listopada 1948 r.; prowadzony przez kompozytora i miłośnika folkloru Tadeusza Sygietyńskiego oraz przedwojenną aktorkę filmową i kabaretową Mirę Zimińską-Sygietyńską zespół początkowo miał siedzibę w podwarszawskich Otrębusach w dworze Karolin, a do jego repertuaru należały piosenki i tańce w opracowaniu muzycznym Sygietyńskiego; 6 listopada 1950 r. odbył się premierowy występ „Mazowsza” w Teatrze Polskim w Warszawie; wkrótce „Mazowsze”, popularyzując polski folklor, zaczęło występować również poza granicami Polski: w ZSRR (1951), we Francji (Paryż 1954), w Stanach Zjednoczonych (1960). Zespół stał się ulubieńcem Polonii w wielu krajach, a także wizytówką Polski Ludowej; w 1953 r. solistką zespołu „Mazowsze”, Lidia Korsakówna zagrała w filmie Leonarda Buczkowskiego *Przygoda na Mariensztacie* dziewczynę, która zakochuje się w przodowniku pracy pracującym przy odbudowie stolicy; w 1999 r. zespół „Mazowsze” wystąpił w filmie Andrzeja Wajdy *Pan Tadeusz* w scenie finałowego poloneza. [przypis edytorski]

¹²„Gorzki płas” i „Ta wierzba jest moja” — oba teksty: wyliczanki oraz absurdałnej piosenki czy wierszyka, pojawiają się dalej w tekście. [przypis edytorski]

pie i dokładnie kiedy. W moim posiadaniu jest tylko rękopis kontynuowany od schyłku roku 1965, kiedy ostatecznie zniechęciłem się do pisania na oddzielnych kartkach, przekładając nad ich zbyt obszerny format skromne i jakby intymniejsze stroniczki zwykłego brulionu.

Wyjeżdżając z początkiem listopada 1966 do NRF i przewidując, że spędzę później kilka tygodni w Paryżu (te tygodnie przeciągnęły się do czterech miesięcy) — zabrałem ze sobą wszystkie materiały do *Miazgi*. Już pod koniec parotygodniowego pobytu w Niemczech Zachodnich, gdy w drodze z Kolonii do Monachium zatrzymaliśmy się na obiad w Stuttgarcie, wydarzyła się przygoda, oględnie mówiąc: nieprzyjemna. Podczas kiedy jedliśmy obiad w rozległej restauracji mieszczącej się na wysokim piętrze nowoczesnego gmachu, z naszego auta zaparkowanego w pobliskim garażu podziemnym wykradziono część bagaży, m.in. moją maszynę do pisania oraz torbę, w której obok przyborów toaletowych i podręcznych drobiazgów znajdowała się teczka z rękopisem i maszynopisem *Miazgi*. Mimo licznych anonsów w prasie i przez radio nigdy już tej teczki nie odzyskałem. Pewnie skończyła swój żywot w jakimś śmietniku. Brulion z nowym rękopisem oraz dwa bruliony z notatkami znajdowały się na szczęście w walizce w bagażniku. Lecz los w tej nieoczekiwanej przygodzie i tak wykazał dla mojej książki wiele życzliwości: gdybym przed kilkoma miesiącami przed tym, ulegając wreszcie namowom Strykowskiemu, nie dał dla „Twórczości” kilkudziesięciu stron maszynopisu — strata poniesiona w Stuttgarcie nie ograniczyłaby się do trzydziestu czy czterdziestu stron, więc tych tylko, których nie było w maszynopisie złożonym bezpiecznie w „Twórczości”. Byłaby to katastrofa całkowita. Nie potrafiłbym zagubionego tekstu zrekonstruować, a wątpię, czy starczyłoby mi sił i umiejętności, aby jeszcze raz zaczynać wszystko od nowa.

Ponieważ Maryli W., która w charakterze tłumaczki (ale jak nieporównanie znakomitej!) towarzyszyła mi w podróży, również ukradziono torbę z podręcznymi rzeczami, pierwszy dzień w Monachium musieliśmy zacząć od najniezbędniejszych zakupów, byliśmy dosłownie bez niczego, bez szczotek do zębów, grzebieni, nocnych koszul, proszków nasennych. Maryla bez swoich kosmetyków, a ja bez maszynki do golenia. Nigdy jeszcze w ciągu równie krótkiego czasu nie zakupiłem tak wielu przedmiotów. Wróciliśmy do hotelu bardzo rozbawieni, lecz i leciutko zażenowani, bo obładowani rozlicznymi paczkami wyglądaliśmy na typowych obywateli kraju socjalistycznego, łapczywie zaspokajających swoje tęsknoty za luksusem zachodnim.

Jeszcze w czasie pobytu w Monachium dotarł do mnie październikowy numer „Twórczości” z fragmentami *Miazgi*.

Oto kilka słów wyjaśnienia, którym poprzedziłem tekst:

„Gdy przed wieloma miesiącami, jeszcze w połowie roku ubiegłego, zgłosiłem naczelnemu redaktorowi »Twórczości« chęć wydrukowania fragmentów powieści, nad którą pracowałem parę lat — nie przypuszczałem, że z tej dobrowolnie podjętej obietnicy nie będę się mógł wywiązać, i to w sposób, oględnie się wyrażając, cokolwiek żenujący. Jeśli powiem, że autor książki bardzo zaawansowanej i rozbudowanej, z solidnym zapleczem materiałów i notatek, znalazł się w pewnym momencie w ślepych zaułku i przebywał w nim dość długo, aby zwątpić w podjętą pracę, a wybrnął z tej nieprzyjemnej sytuacji wówczas dopiero, gdy znalazł dla powieści nową zasadę kompozycyjną (w konsekwencji chyba i myślową również) — powiem, prawdopodobnie, akurat tyle, aby został wyjaśniony ów przykry fakt, iż zapowiedź *Miazgi* utrzymywała się na okładkach »Twórczości« przez kilkanaście miesięcy. Doprawdy, trudno mi nie wyrazić moim przyjaciółom z »Twórczości« wyrazów podziwu i wdzięczności, iż w tej sytuacji, wywołującej sporo nie najprzyjemniejszych komentarzy, wykazali w stosunku do mnie i moich pisarskich kłopotów tyle wielkodusznej cierpliwości.

Miazga składa się z trzech części: *Przygotowanie*, *Prolog* oraz *Consumatum non est*. Część I pisana jest w czasie przyszłym, przeważnie w trybie warunkowym, odwołuje się zatem do sytuacji o tyle ryzykownych, iż tylko prawdopodobnych, bowiem niesprawdzonych, niestety, w rzeczywistości, która w częściach następnych, przede wszystkim w III, ułoży się całkiem odmiennie od wszelkich zamierzeń i projektów. Krótko mówiąc: do ślubu Konrada Hellera z Moniką Panek nie dojdzie, przyjęcie weselne w Jabłonnie się nie odbędzie. Ten krótki komentarz wydaje się w tym wypadku szczególnie potrzebny,

ponieważ sprezentowane¹³ fragmenty (z konieczności ograniczona ilość powieściowych wątków jest w nich ukazana) nie zapowiadają jeszcze owej cokolwiek niedorzecznej i zawstydzającej katastrofy. Myślę, że przyzwoicie będzie, jeśli już teraz oszczędzę czytelnikom zbędnych złudzeń. Trudno, wesela nie będzie!”

Wieczorem z dużym zainteresowaniem lektura *Wyznań usprawiedliwionego grzesznika* Jamesa Hogga. Nie umiem ograniczyć palenia, choć kaszel dokucza mi coraz bardziej. O innej zmurze, o wiele dotkliwszej, wołę nie myśleć, przynajmniej dzisiaj, teraz. Dziewiąta zaledwie dochodzi, a czuję się tak znużony i rozbity, jakbym cały dzień ciężko pracował fizycznie.

Sołżenicyn podobno w jednej z ostatnich swoich wypowiedzi: „Przeczyście swoje zegary, bo nawet nie wiecie, jak świt jest blisko”.

NIEDZIELA, 15 MARCA

Życiorysy, i to dość dokładne, niektórych postaci występujących w *Miazdze*, sięgają jeszcze końca lat 50., kiedy robiłem notatki do powieści, która miała być rodzajem biografii wybitnego i niedawno zmarłego pisarza, obecny Adam Nagórski występował wówczas jako Adam Ossowski, lecz zarówno jego pochodzenie, jak powiązania rodzinne, młodzięcza miłość do zmarłej młodo na gruźlicę Elżbiety Kubiak, również i ogólna charakterystyka poszczególnych jego dzieł (np. książka o śmierci Leonarda da Vinci) już w tamtych odległych latach były ustalone. Rodziny Wanertów i Heryngów mają żywot jeszcze dłuższy, pochodzą z pierwszych lat po wojnie. Pamiętam dobrze, że pewnej nocy lipcowej w 1963, gdy miałem bardzo silną gorączkę, w ciągu kilku godzin niezwykle jasności umysłu wszystkie te dawniej wymyślone postacie poczęły mi się łączyć z nowo zarysowanymi, była to bardzo niezwykła noc, może tylko kilka razy w życiu danym mi było przeżyć podobnie gwałtowne rozbudzenie i sprawne działanie kreującej wyobraźni.

PONIEDZIAŁEK, 16 MARCA

Dokuczliwy kaszel, spowodowany podrażnieniem krtani (chyba nie tylko na skutek papierosów), budził mnie w nocy kilkakrotnie, a gdy nad ranem rozbolał mnie ząb, nadający się już tylko do wyrwania, wstałem przed szóstą i po śniadaniu dokończyłem ostatnich kilkunastu stron *Wyznań usprawiedliwionego grzesznika*, całkowicie podbity tym fascynująco groźnym i okrutnym arcydziełem. Cóż to za niezwykła książka! I jej autor: w młodości szkocki pasterz, samouk, współczesny Byrona, Waltera Scotta i Wodswortha, autor romantycznych wierszy wywodzących się z folkloru szkockiego, a również i wielu szmirowatych, podobno, powieści historycznych opartych na ludowych przekazach, przez przeszło sto lat zbywany w historiach literatury i biograficznych słownikach, jako kontynuator i naśladowca Roberta Burnsa, bez jednej wzmianki o *Wyznaniach usprawiedliwionego grzesznika*. Według informacji Anny Trzeciakowskiej, do której zadzwoniłem, żeby jej podziękować i za wybór tej zdumiewającej książki i za znakomity przekład, *Wyznania usprawiedliwionego grzesznika* uzyskały pewien rozgłos dopiero po II wojnie, gdy ukazały się w Anglii z przedmową André Gide’a.

U nas przekład Hogga ukazał się pod koniec ubiegłego roku, bodaj w październiku, i jak dotąd, nikt w prasie literackiej nie zasygnalizował tego wydarzenia, a niesprzedanych egzemplarzy *Wyznań* pełno, jak mi mówiono, w księgarniach.

WTOREK, 17 MARCA

Wczoraj cały dzień uporczywy i męczący kaszel, uniemożliwiający pracę, a również i lekturę wymagającą skupienia, sięgnąłem więc po *Królewską Wysokość* Tomasza Manna, książkę, którą zawsze odczytuję z łatwą satysfakcją, jakbym popijał młody i osobliwie rozkoszny (jedno z ulubionych określeń Manna) riesling. Natomiast nasilający się niebezpiecznie ból zęba udało mi się samemu zlikwidować, przeczyszczając igłą odsłonięty kanalik. W kwadrans po tym zabiegu, dokonanym przy pomocy środków cokolwiek prymitywnych, ból całkowicie przycichł, a niebawem i lekka opuchlizna dziąsła poczęła ustępować.

¹³sprezentowane — właśc. zaprezentowane, przedstawione. [przypis edytorski]

Dokumentalna warstwa dzieła literackiego nie ma zazwyczaj większego wpływu na jego wartość i trwałość. Jeśli nie posiada charakteru historycznego od początku, nabiera go szybko i jakkolwiek czytelnik obdarzony inteligentną wyobraźnią zawsze potrafi przyswoić sobie w sposób naturalny realia (a również i problemy) obce jego egzystencji osobistej — „bajkowy” w najlepszym wypadku charakter owej obcości nigdy w dziele sztuki nie bywa na tyle atrakcyjny, by, poza zaciekawieniem, nawet bardzo żywym, mógł rozbudzić w czytelniku głębsze oraz trwalsze wzruszenia i refleksje. Może się natomiast zdarzyć, iż wspomniana warstwa dokumentarna (np. tragedii greckich, *Don Kichotta*, szekspirowskich tragedii, czy *Anny Kareniny*) stałaby się w odczuciu odbiorcy prawie całkowicie martwa, gdyby piękno arcyzmu oraz siła przeżyć ukazanych postaci, wpłatających w konflikty również dalekie od naszych doświadczeń współczesnych, nie była tak pasjonująca, iż sfery same w sobie obojętne odsłaniać poczynają wstrząsający obraz ludzkiej kondycji, zawsze — mimo ograniczeń historycznego kontekstu — odwołując się do naszych doświadczeń własnych, rozgrywanych w kontekście nawet skrajnie odmiennym.

Nic, zdawałoby się, bardziej obcego dla czytelnika drugiej połowy XX stulecia od materii dokumentarnej *Wyznań usprawiedliwionego grzesznika*. Wyłącznie w charakterze historycznego fenomenu możemy przyjmować surową, a przede wszystkim skrajnie pyszną i okrutną w swej fanatycznej bezwzględności koncepcję prezbiteriańskiej predestynacji, która w tajemniczej głębi jeszcze przed dziełem Stworzenia umieszcza nieodwołalne wyroki Stwórcy wyznaczające wszystkim ludziom z góry, na zawsze i bez względu na ich wolę oraz uczynki los potępienia lub zbawienia. A jednak niebywała artystyczna siła oraz psychologiczna wymowa, dzięki którym tak dramatycznie narasta i zagęszcza się ponura historia „wybrańca”, Roberta Colvana, sprawiają, że obca nam i niejako zastygła materia purytanizmu poczyna się na naszych oczach ożywiać i tak kształtować w trakcie lektury, a nade wszystko, gdy po przeczytaniu, pełni ciężkiego zamyślenia, książkę zamykamy, iż wymowa owej materii przekształca ją sama, odradza i zadziwiająco modeluje, odsłaniając te sfery fanatyzmu, nietolerancji, pychy, nienawiści i pogardy, które pod różnymi maskami istnieją i działają *hic et nunc*¹⁴.

Sztuka, Kondycja ludzka,
Prawda

Religia, Sztuka

W jednej z teczek z materiałami do *Miazgi* znalazłem następującą notatkę, spisaną przed kilkoma laty na marginesie lektury *Kronik* Stanisława Orzechowskiego:

„W roku 1551 Katedralna Kapituła krakowska, wbrew zwyczajowi ostatnich dziesięcioleci, a nawiązując do obowiązującego w średniowieczu prawa ścigania heretyków przez Kościół, wytoczyła proces niejakiemu Konradowi Krupce-Przeclawskiemu, szlachcicowi, który szlachectwo niedawno otrzymał był od Zygmunta Starego, oskarżając owego Krupkę o trwanie w błędach religijnych, co zresztą było prawdą, wieś oskarżonego Przeclawice w ziemi proszowickiej była jednym z ośrodków polskiego protestantyzmu. Wokół tego niebywałego, jak na owe czasy, procesu, rozpetała się gwałtowna burza, i gdy wreszcie dzięki uporowi biskupa krakowskiego, Andrzeja Zebrzydowskiego, zapadł wyrok skazujący Krupkę na wyłączenie ze społeczności chrześcijańskiej oraz utratę majątku, sprawa oparła się o króla, Zygmunta Augusta, a gdy ten pod wpływem stronnictwa szlacheckiego wykonanie wyroku wstrzymał, cała afera stanęła na sejmie w roku 1552. Na tym to sejmie hetman Jan Tarnowski, żarliwy katolik, potępił sądowe ingerencje kościelne i wymierzanie szlachcie kar przez sądy biskupie.

Między hetmanem i biskupem Zebrzydowskim doszło w senacie do ostrej wymiany zdań. Stanisław Orzechowski w swych *Kronikach* dokładnie tę scenę opisał. W pewnym momencie Zebrzydowski zawołał:

— Czemuż więc, Tarnowski, w Polsce będę, jeśli około kacerstwa, biskupem będąc, zarządzać nie będę? Woźnym li, czy biskupem?

Na to odpowiedział Tarnowski:

— Przywoiciej by zapewne było, Jędrzeju Zebrzydowski, tobie w Polsce być woźnym niż mnie niewolnikiem”.

W związku z tą notatką: pani P., z pierwszego małżeństwa pani H., przed wieloma laty sekretarka Stanisława Mikołajczyka, podówczas premiera emigracyjnego Rządu

Religia, Wolność, Kara, Sąd

Polska, Historia, Rewolucja,
Obyczaje, Polityka

¹⁴*hic et nunc* (łac.) — tu i teraz. [przypis edytorski]

w Londynie, opowiadała mi w swoim czasie, że gdy w październiku roku 1944 toczyły się na Kremlu rozmowy pomiędzy przedstawicielami Rządu Londyńskiego i Komitetu Lubelskiego, Stalin, zapytany przez biorącego udział w pertraktacjach Churchilla, czy zamierza narzucić Polsce ustrój komunistyczny, kategorycznie zaprzeczył, a po chwili dodał: „Komunizm Polsce akurat pasuje, jak krowie siodło” (*idiot jej kak karowie siedło*).

Relacja pani P. wydaje się wiarygodna. Zresztą niedawno potwierdził mi ją Iks, który jest dość dobrze zorientowany w politycznych kulisach; Iks, stary przedwojenny komunist, zanim w Polsce Ludowej robił karierę, a potem anty-karierę, przebywał był przed wojną w Związku Radzieckim i osiem lat przesiedział w jednym z najcięższych łagrów syberyjskich. Pomijając w sformułowaniu Stalina ironiczny akcent w stosunku do Polski, jest ono pod jednym względem niezwykle charakterystyczne: Stalin, co mu się zresztą często przytrafiało, w jednym lapidarnym zdaniu powiedział prawdę i skłamał.

Stalin miał rację mówiąc, że ukształtowany przez niego model komunizmu Polakom nie odpowiada. To prawda. Ten rosyjski model był i jest sprzeczny z najlepszymi tradycjami Polaków. Stalin pogardzał zapewne tymi tradycjami, lecz je rozumiał. Natomiast wielkomocarstwowe interesy rosyjskiego imperium wymagały, aby jego wpływy przesunęły się jak najdalej na Zachód i w osiągniętych granicach poczęły się utrwalać i umacniać. W warunkach politycznych, jakie się wytworzyły w Europie po II wojnie brutalny proces politycznej rusyfikacji zwasalizowanych narodów (wśród nich również, a nawet przede wszystkim polskiego) musiał nastąpić nieuchronnie.

Wydaje mi się, że ludzi, którzy z mandatu rosyjskiego objęli Polsce władzę w 1945, nie można osądzać z perspektywy roku 1970. Myślę, że w przeważającej większości (i mimo braku kwalifikacji) byli to ludzie uczciwi, rzetelnie przejęci dobrem Polski, skoro jednak sfera polityki wymaga m.in. umiejętności trafnego przewidywania, stwierdzić by należało, że nie co innego, jak komunistyczna ideowość uniemożliwiła tym ludziom podjęcie trzeźwej oceny politycznej. Nie przewidywali przede wszystkim, jak mogę sądzić z wielu dawniej przeprowadzanych rozmów, że zarówno w Polsce, jak i w innych krajach tzw. demokracji ludowych, będzie się musiał powtórzyć stalinowski model. Nie przewidywali roku 1948, rozumując — zdawałoby się poprawnie z punktu widzenia marksizmu — że w nowym układzie historycznym będzie można uniknąć bezwzględności działania mechanizmów, związanych z układem historycznym minionym. Istotnie, obóz socjalistyczny po II wojnie światowej reprezentował pod każdym względem układ odmienny od sytuacji Związku Radzieckiego w dwudziestolecie międzywojennym. Lecz jądro rzeczy było to samo. Tego wszakże ponurego i groźnego jądra ludzie, kierujący ówczesnie Polską, przyjąć do wiadomości nie mogli, byłoby to bowiem równoznaczne ze zdradą podwójną: obiektywną i subiektywną. Cóż zresztą mówić o tamtych latach odległych? Jeszcze dzisiaj, gdy tyle tabu zostało obnażonych i tak wiele najlepszych wiar startych na miazgę, jeszcze dzisiaj i jakże wielu ludzi oczadzająca magia Rosji poraża ślepotą, deformując ich mózgi w sposób bezwzględny i często nieodwracalny.

Władza, Polska, Historia,
Rewolucja, Idealista,
Polityka, Rosja

Wieczorem Dickensa *Nasz wspólny przyjaciel*.

ŚRODA, 18 MARCA

Z *Naszego wspólnego przyjaciela*:

— Czyż moje opierzenie wygląda aż tak nieszczególnie? — zapytał Eugeniusz spokojnie, podchodząc do lustra. — Rzeczywiście, *jest* trochę nie tego... Ale pomyśl tylko: czy to noc dla pióropuszy?

PIĄTEK, 20 MARCA

Wedle ludowego przysłowia ryba psuje się od głowy. Mimo akcesoriów, towarzyszących kultom jednostek, proces odczłowieczenia dwudziestowiecznych totalizmów też się koncentruje u samej góry. Trudny wybór, lecz gdybym wybierać musiał — wolałbym Kserksesa i Kaligulę od Hitlera i Stalina. Nieograniczony despotyzm pierwszych wsparty był władzą sakralną, dyktatura drugich — ideologią. Z dwojga złego wolę sakralność od to-

Władza, Religia, Polityka,
Przywódcą, Upadek, Zło,
Państwo

talnej ideologii. Wiele elementów złożyło się na ubóstwienie jednostki, lecz wśród tych złożonych przyczyn można również dostrzec pierwiastki ludzkiej tęsknoty i dumy, podobne egzystencjalnie rygorom, które skłoniły Prometeusza do uczłowieczenia się. Maksym Gorki ludził się w odniesieniu do swoich czasów, wołając, że „człowiek, to rzecz dumna”. Myślę, że pod koniec życia zrozumiał tę szlachetną pomyłkę. Przywódcy nowoczesnych totalizmów pozbawieni są sakralności, tego kreującego niegdyś elementu ludzkiego. Swoją zmitologizowaną nadrzędność zawdzięczają ideologii, ściślej: antyludzkim elementom ideologii. Siedem grzechów głównych totalizmu: nietolerancja, łamanie ludzkich praw, egoizm, pycha, zaborczość, kłamstwo, cynizm. Wbrew swoim transparentom totalizm brutalnie człowieka poniża, a gdy czyni z niego zdobywcę — czyni go również gwałcicielem i zbrodniarzem. Głęboka niewiara w człowieka spoczywa u podłoża tzw. kultu jednostki.

Kondycja ludzka, Polityka,
Religia, Władza, Upadek

Na marginesie książki publicysty zachodnioniemieckiego Joachima Festa *Oblicze Trzeciej Rzeszy*.

Terror jest jedną ze szczególnie drastycznych sprzeczności totalizmu. Najsprawniej działa totalizm przy pomocy terroru. Terror paraliżuje społeczeństwo. Równa ludzi w dół, paraliżuje bowiem wszystkich (choć na inną modłę), zarówno katów, jak ofiary, potencjalnie każdy obywatel w reżimie totalnym może się stać ofiarą lub oprawcą, nieraz jeden krok wystarcza, aby znaleźć się wśród oprawców, a żaden oprawca nie może być pewien, iż nie zostanie pewnej nocy rozbudzony w charakterze ofiary. Lecz terror nie może działać *ad infinitum*¹⁵. Miecz, który ścina, wyszczerbia się i tępieje. W pewnym momencie przychodzi katastrofa od zewnątrz lub pod naciskiem okoliczności wewnętrznych terror musi zelżeć i przekształcić się w ucisk. Lecz z chwilą, gdy groza terroru przestaje społeczeństwo paraliżować, gdy rozluźnia się sztuczne napięcie, a rzeczywistość w porównaniu z poprzednią staje się mdła, nijaka i rozrzedzona — ludzie, wyzwoleni od strachu, wyprostowują się i choć płytko oddychają, ich oprzytomniałe oczy jaśniej poczynają dostrzegać zwyrodniałą konstrukcję ustroju oraz jego potężne wiązania przeżarte rozkładem. Wtedy zaczyna się początek nieuniknionego końca, choć błędem byłoby przypuszczać w podobnej sytuacji, iż koniec musi nastąpić w najbliższej przyszłości. Nie musi. Proces obumierania może być długi. Lecz u niewiadomego kresu agonii zawsze stoi i czeka śmierć.

Strach, Przemoc, Władza,
Państwo, Przemiana,
Upadek, Historia, Ofiara,
Kat

SOBOTA, 21 MARCA

Kalendarzowa wiosna i rano, po kilku dniach szarej, bezsłonecznej odwilży, jeszcze raz w tym roku zimowy krajobraz, drobny, spokojnie padający śnieg, drzewa gęsto oszronione.

Wiosna, Polska

Nie piszę, aby życie uporządkować i gładko wyjaśnić, przeciwnie! Piszę, żeby życie skomplikować i pokazać je trudniejszym i cięższym aniżeli się to wielu ludziom wydaje. Tylko trudny świat zmusza do oporu. Lecz cokolwiek złego mówię o istocie zwanej człowiekiem lub w jakiegokolwiek ciemne obszary pograżam ludzką dolę, a losom na tej ziemi odejmuję kuszące wartości, sam sens istnienia poddając nieraz w wątpliwość — fakt, iż zadaję sobie trud, aby podobne myśli utrwalić, dowodzi, iż wbrew temu, co o życiu mniemam, jestem po jego stronie, ponieważ wolność wyboru, bez której nie istnieje inspiracja twórcza i w ogóle twórczość, więc wolność wyboru, owa trudna i szkodra niepodległość duchowa jednostki, w samej swojej esencji wyraża akceptację życia.

Sztuka, Słowo, Artysta

Kondycja ludzka,
Twórczość, Wolność

Jałowa, lecz lepka nuda kłamstw, fałszerstw i przemilczeń, które dzień po dniu, z natrętnym uporem leją się ze wszystkich środków masowego przekazu. Przed wieloma laty

Niewola, Więzienie,
Kłamstwo

¹⁵*ad infinitum* (łac.) — w nieskończoność. [przypis edytorski]

mówił mi ktoś, nie pamiętam już kto, iż obóz koncentracyjny, więzienie oraz szpital zrozumieć mogą tylko ci, którzy w nich przebywali. Prawdopodobnie tak, a mówię: prawdopodobnie, ponieważ moje doświadczenia osobiste w tej mierze są żadne, nigdy nie byłem ani w obozie, ani w więzieniu, nigdy też nie przebywałem w szpitalu z powodu ciężkiej, unieruchamiającej choroby. Domyślam się jednak, iż mój współ rozmówca chciał zaakcentować przede wszystkim *zamknięty* charakter rzeczywistości obozowej, więziennej i szpitalnej oraz szczególne reguły, które tymi sferami rządzą. Niewola również należy do rzeczywistości zamkniętych i nikt, kto jej osobiście nie zaznał, nie jest w stanie pojąć mechanizmu zakazów i ograniczeń oraz rozlicznych deformacji, którym ludzie żyjący w niewoli nieuchronnie podlegają. Wprawdzie charakter tych skrzywień i zniekształceń w różny sposób się manifestuje, zależnie od osobowości jednostki, przecież żalosnej degradacji uniknąć nie może nikt. W warunkach niewoli nawet najlepsi coś tracą, nie mogąc siebie realizować wszechstronnie i na miarę swoich możliwości. I myślę, że właśnie ci najlepsi powinni nie zatracać świadomości tego stanu rzeczy.

PONIEDZIAŁEK, 23 MARCA

Pierwszy naprawdę przedwiosenny dzień, sporo słońca, lecz podmuchy wiatru wciąż jeszcze chłodne. Andrzej M., z którym widziałem się po południu, opowiedział mi historijkę wymyśloną podobno przed trzema laty przez Leszka Kołakowskiego. Wiele zabawek dziecięcych, składających się z drewnianych lub metalowych elementów konstrukcji, posiada na pudełku napis: „Zrób to sam”. Otóż w takim właśnie pudełku „Zrób to sam” — opowiadał Kołakowski — znajdowały się: dwie deseczki, młotek, gwoździe oraz 33-letni Żyd.

Żyd, Żart

PONIEDZIAŁEK, 23 MARCA

Wieczorem w radio pierwsze wykonanie III Symfonii Zygmunta Mycielskiego¹⁶. Słuchaliśmy razem z Marysią¹⁷, przejęci i wzruszeni pięknem tej muzyki. Żalowaliśmy, że Zygmunt nie ma u siebie w domu telefonu, abyśmy mogli natychmiast przekazać mu nasze wrażenia. Musieliśmy poprzestać na kilku słowach, które wysłemy jutro.

WTOREK, 24 MARCA

Ostatni rozdział monografii Askenazego o Walerianie Łukasińskim z dokładnym opisem 46 lat spędzonych przez niego w najcięższych więzieniach. Ten major 4 pułku piechoty liniowej Księstwa Warszawskiego od roku 1811, gdy miał lat zaledwie dwadzieścia pięć, należał do masonerii, w roku 1819 był współzałożycielem Wolnomularstwa Narodowego, a po rozwiązaniu tej organizacji stał się w roku 1821 współorganizatorem Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, którego celem miało być przyłączenie do Królestwa Polskiego dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej oraz obrona nadanej w 1815 roku przez Aleksandra I konstytucji. Aresztowany w 1822 skazany został przez sąd wojenny na 9 lat ciężkiego więzienia w Zamościu. Po zorganizowaniu buntu w więzieniu zamojskim podwojono Łukasińskiemu karę, a po wybuchu powstania listopadowego został wywieziony do twierdzy Szlisselburskiej, gdzie w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach, w całkowitym odosobnieniu pozostał do końca życia w roku 1868.

Dwa fragmenty z Askenazego:

„Nadeszła noc 29 listopada 1830 roku, wybuchła rewolucja w Warszawie. Zbudzić musiały Łukasińskiego płynące z miasta coraz bliżej, coraz potężniej, huki, strzały, dzwony na trwogę; zerwać się on musiał w ciemności i uciszając brzęk kajdan i bicie własnego serca, z zapartym oddechem chwycić te głuche odgłosy rozpętanej dokoła burzy; a jakież tej długiej nocy miotać się musiały uczucia, strach narodowej klęski, nadzieja zwycięstwa,

¹⁶*Mycielski, Zygmunt* (1907–1987) — kompozytor, publicysta, pisarz i krytyk muzyczny związany z czasopiśmem „Ruch Muzyczny”; twórca dzieł symfonicznych, kameralnych oraz pieśni do słów autorów romantycznych (Norwida, Słowackiego) oraz współczesnych (m.in. prozy Iwaszkiewicza, wierszy Miłosza, Herberta, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Gałczyńskiego). [przypis edytorski]

¹⁷*Abgarowicz, Maria* (1906–1971) — muzykolog; prywatnie żona Jerzego Andrzejewskiego. [przypis edytorski]

przedsmak swobody, rozpacz bezsilności. Rozpacz tępa, śmiertelna, dopiero przytłoczyć go musiała, kiedy nazajutrz 30 listopada Wołyńscy w szyku bojowym, w widocznym już odwróceniu przed rewolucją, wystąpili z koszar, i wzięwszy go przemocą w środek szeregów, uprowadzili z sobą za miasto. Stąd, przy wyjściu wojsk rosyjskich z W. Księciem Konstantym z Królestwa, zabrano go, cofając się drogą okólną na Puławy i Włodawę. Po raz ostatni widziano Łukaszińskiego we Włodawie, w nędznej siermiędze, z brodą po pas, ciągnionego pieszo na postronku, pod strażą konną z dobytymi pałazami, jak go prowadzono precz z kraju, za Bug”.

I potem:

„Twierdza Szlisselburg, wznosząca masywne swe baszty tuż opodal rwi-stej Newy na nieprzystępnej skalistej wyspie burzliwej Ładogi, miała już wtedy sławę ponurą jako historyczne miejsce niewoli. Tutaj więzioną była pierwsza małżonka Piotra Wielkiego, carowa Eudoksja Fiodorowna, tutaj jego siostra, carewna Maria Aleksiejowna w mękach zakończyła życie, tutaj car Iwan Antonowicz zgładzony został. Tutaj inne jeszcze głośnie w dziejach rosyjskich XVIII wieku przesunęły się postacie, Golicyn za Anny Iwanówny, Biron za Elżbiety Piotrowny, a obok nich mnogość niezliczona ofiar ostatnich szlacheckiego, mieszczańskiego, chłopskiego stanu, zawsze jednak w uznawanych za doniosłe, niebezpieczne i tajne w materiałach czysto politycznych. To było schowane cmentarzysko polityczne *par excellence*¹⁸, gdzie grzebano winowajców o winy stanu w najobszerniejszym znaczeniu słowa, i takim pozostało aż do końca, do swego zwinięcia w czasach najnowszych. Podówczas, za Mikołaja I, przed paru dopiero laty, przeszło tędy wielu najwybitniejszych dekabrystów, bracia Bestużewowie, Pogodin, Juszniewski i inni. Nierównie jednak cięższy los od nich wszystkich czekał tutaj Łukaszińskiego.

Na tydzień jeszcze przed dostawieniem Łukaszińskiego do Szlisselburga, komendant tej twierdzy, generał-major Kołotyński, odebrał rozkaz sekretny naczelnika Sztabu Głównego J.C.M., hr. Czernyszewa, o tym najpierwszym, tak niezwykłym jeńcu polskim. Komunikował tu Czernyszew do ścisłego wykonania następującą wolę Najwyższą: mającego nadejść z Bobrujska »przestępcę z Królestwa Polskiego, Łukaszińskiego, przyjąć i trzymać w twierdzy szlisselburskiej jako przestępcę stanu, jak najtajniejszym sposobem i tak, iżby oprócz komendanta twierdzy nikt nie wiedział nawet o jego nazwisku ani też skąd do więzienia przysłany został«. Skutkiem tego, po przybyciu Łukaszińskiego do Szlisselburga w styczniu 1831 roku, przedsięwzięto nadzwyczajne środki ostrożności i zastosowano do niego najsurowszą, nawet tutaj względem nikogo niepraktykowaną już wtedy formułę zamknięcia. Umieszczono go mianowicie w podziemiu tzw. »Sekretarza Zamku«. Tak nazywała się starożytna masywna wieża, datująca się jeszcze z czasów szwedzkich, położona w pośrodku twierdzy szlisselburskiej, dziś zwana basztą Świetliczną i po części zamurowana, a już podówczas nigdy prawie nieużywana, opustoszała zwykle i szczelnie zamknięta. »Sekretny Zamek«, otwierany niechętnie, gdyż zbyt ponuro po nim tułały się widma, obejmował trzy kondygnacje kazamatowe. W kamiennej kazamacie górnej trzymana była ongi carowa Eudoksja, w dolnej męczył się i zginął car Iwan, a jeszcze niżej mieściła się kazamata podziemna, dość obszerna, a bardzo niska, przytłoczona granitowym sklepieniem, na ubitej gołej ziemi, chłodna, cmentarnie zaciszna: tutaj zamknięty, pogrzebany został Łukasziński. Trzymając się najściślej carskiego nakazu odciągo go zupełnie od światła i ludzi. Pilnującym go żołnierzom wzbroniono najsurowiej wszelkiej z nim rozmowy, w milczeniu podawano mu strawę, a w wypadkach koniecznej potrzeby wejścia do jego lochu nie inaczej jak w kilku razem wpuszczano tam strażników”.

¹⁸*par excellence* (fr) — w najwyższym stopniu, w pełnym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

Czternastoletni wyrok, jaki ciążył na Łukasimskim kończył się w październiku 1838 roku. Żadna jednak zmiana w jego losie nie nastąpiła. Pod koniec lat pięćdziesiątych rozpatrywano możliwość zesłania wieloletniego aresztanta na Syberię, wkrótce jednak ten projekt został zaniechany. Stan, w jakim znajdował się ten straszliwie wynędzniały i zgrzybiały starzec nie nadawał się nawet na zesłanie. Dopiero w ostatnich latach życia nastąpiła w losie Łukasimskiego pewna poprawa. Przeniesiono go do jednej z izb dolnej kazamaty, otrzymał stół, przybory piśmienne, książki, czasem gazety, dowiadywał się powoli, co się stało na świecie i w Polsce w ciągu długiego czterdziestolecia, kiedy nie należał do żywych. Z trudem wysławiając się po polsku, już prawie półobłąkany, lecz z przebłyskami olśniewającej jasności, wciąż przepelniony żarliwym patriotyzmem przystąpił Łukasimski we wrześniu 1863 roku do spisywania rodzaju pamiętnika, będącego po części zbiorem luźnych wspomnień, po części wywodem rozmyślań politycznych, po części testamentem”.

„27 lutego 1867 roku — pisze Szymon Askenazy — nowy komendant twierdzy szlisselburskiej, generał-major von Grunbladt, złożył Aleksandrowi II raport następujący: „W.C.M. najpoddaniej donoszę, iż trzymany w powierzonej mi twierdzy sekretny aresztant Łukasimski dnia dzisiejszego z woli Bożej pomarł”.

Bliskość Świąt wydaje się wobec samego siebie dość wiarygodnym pretekstem, aby jeszcze trochę odłożyć rewizję tekstu *Miazgi*. Rewizję? Coś w tym rodzaju. Przede wszystkim sprawdzić posiadany maszynopis i na podstawie notatek ustalić porządek oraz ogólny zarys scen brakujących lub niedokończonych.

Na kolacji (doskonała zapiekanka z surowych kartofli i tartego sera, mocno przesycona czosnkiem, do tego bułgarskie czerwone wino) Markowie, Andrzej M. i Antek L. Uwzględniając, że my oboje z Marysią przekroczyliśmy sześćdziesiątkę, a Janusz (już oficjalnie od paru tygodni usynowiony) dopiero za pół roku kończy lat piętnaście, natomiast Markowie i M. coraz odleglej mają poza sobą trzydziestkę, Agnieszka i Andrzej znajdują się z różnych stron połowy lat dwudziestych, a Antek w przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia jeden — stół, przy którym siedzieliśmy, miał charakter nieomal patriarchalny. Trochę Marysi i moich dawnych wspomnień, więc o zmarłych i jeszcze żywych (sporo o Leopoldzie Staffie), zawsze znakomite i równie znakomicie opowiadane historyjki Marka, Andrzej, którego nie tylko bardzo osobiście lubię, lecz i wysoko, dla jego niepokojów, ambicji, wiedzy i pokręconej po polsku inteligencji, cenię, w dobrej chyba formie, wewnątrznie rozluźniony i otwarty, w ciągu kilku godzin ożywiona, choć naturalnie chaotyczna rozmowa, ani razu nie zeszła na manowce polityczne. Na ostatek puściliśmy przedostatni long-play Beatlesów *The Abbey Road* i Antek, który potem wziął ze sobą tę płytę, żeby ją w domu przegrać na magnetofon, tak się rozochocił, iż przez całą prawie godzinę zabawiał nas, przegrywając na fortepianie i śpiewając stare piosenki z lat pięćdziesiątych. Miły Boże, jak bardzo ten niezwykle chłopiec przypomina mi Krzysztofa Baczyńskiego! To samo połączenie spontanicznego dziecięctwa z przedwczesną dojrzałością, ta sama skłonność do radosnej groteski, ludzkość zbliżona nawet w przesadnych i nieskoordynowanych ruchach drobnej postaci, te same momenty nagłego zamyślenia i wejścia w siebie, chęć podobania się, szukanie towarzystwa starszych, obaj ukochani jedynacy, w pełni świadomi, że wysoko ponad miarę zwykłości różnią się od swoich rówieśników, Krzysztof miał olśniewający talent, Antek — szokującą w jego wieku wiedzę, ostrą i czujną inteligencję, lecz również niepokojącą potrzebę kształtowania siebie wedle wzorów swoich adoracji. Powiedział mi przed paroma dniami, że przed rokiem, gdyśmy się spotkali po raz pierwszy, napisał kilkadziesiąt stron *mojego* dziennika osobistego. Tak chciałbym go utrwalić w *Miazdze* jako młodziutkiego Antka Raszewskiego, boję się jednak, że mi się to nie uda, ponieważ pod każdym względem przeznaczony, aby stać się ośrodkiem zainteresowania — spełnić ma w *Miazdze* tylko rolę epizodu. Domaga się rozbudowania, lecz ze względu na całość nie mam prawa tego uczynić. Chyba

musi w tym tekście pozostać ograniczony i niespełniony. Więc w rezultacie nijaki? Wołę odpowiedź odłożyć na potem.

CZWARTEK, 26 MARCA

Do wczesnego popołudnia, przy ostrym wietrze, częste nawroty śniegu i deszczu ze śniegiem. Potem prawie pogodnie.

Na umówione przed paroma dniami spotkanie Irenka Sz. (bardzo dawno niewidziana) przyniosła egzemplarz *Przygód człowieka myślącego*. Ta ostatnia powieść Marii Dąbrowskiej, ukazująca się w pięć lat po jej śmierci, pisana przez wiele lat i ostatecznie nieskończona (ponad 800 stron dużego formatu), rozeszła się w kilka dni. Ma razie odkładam lekturę na potem, ale wieczorem przeglądałem przypisy wydawcy, Ewy Korzeniewskiej, szczególnie z dużym zainteresowaniem i wzruszeniem fragmenty z *Dziennika* Dąbrowskiej, związane z powolnym, a także i mozolnym powstawaniem powieści. Dobra odtrutka po uprzedniej lekturze propagandowej broszury Witolda Fillera o naszej literaturze emigracyjnej. Ten małoduszny paszkwil, zatytułowany *Literatura Małej Emigracji* pomijając wiele błędów rzeczonych, nieświadomych lub tendencyjnych, skrojony jest dokładnie według modelu, obowiązującego w krajach bloku rosyjskiego, gdy na użytek propagandy wewnętrznej podejmuje się tzw. polemikę ideologiczną. Polemikę? To chyba zbyt wiele powiedziane, słowo (choć pochodzi od greckiego: *polemikos* — wojowniczy) nie wydaje się użyte właściwie. Jakże o polemice mówić, gdy wszelkie fakty niewygodne ocenia się jako kłamliwe i oszczercze, krytykę reżimu komunistycznego oraz ludzi reżim ten reprezentujących uznaje się za jednoznacznie z postawą antypatriotyczną i za zdradę narodową, a intencje ludzi, którzy nie chcą się pogodzić ze zwyrodnieniami systemu, sprowadza się do karierowiczostwa lub do wysługiwania się za pieniądze obcym, imperialistycznym agentom? Broszurę Fillera można opatrzyć wieloma przymiotnikami, świadomie przecież określiłem ją jako małoduszną, ponieważ mimo krzykliwej napastliwości, tak charakterystycznej dla komunistycznej walki ideologicznej, właśnie tchórzliwa małoduszność rodzi owo żenujące słowolejstwo, kształtujące formułki, które automatycznie, jak przy odruchach warunkowych wylatują spod piór lub z maszyn do pisania. Małoduszność, ta mieszanina bojaźliwości, lizusostwa i nienawiści, wprawia w ruch mechanizm kłamstwa, fałszów, przemilczeń, a przede wszystkim, żelazną regułę rosyjskiego imperializmu, iż wróg nigdy nie ma racji i przeciwnik musi być przewrotnym nikczemnikiem, w najlepszym razie powolną kukłą. Nie miałbym żadnych trudności, aby uruchomić w sobie ożywione działanie owego nieskomplikowanego mechanizmu, łatwym piórem mógłbym nieomal na poczekaniu sporządzić „demaskującą” i „druzgoczącą” krytykę moich własnych wypowiedzi.

Być może ludzie pokroju Fillera (a jest takich aż nazbyt wielu) przeżywają w związku ze swoją publiczną działalnością wiele trudnych i ciężkich konfliktów. Być może. Jeśli ich jednak gnębią takie czy inne zmary i nie zawsze im bywa słodko i łatwo — prace, które wykonują, nie wymagają od nich większego wysiłku umysłowego. Tania cena, jaką posiada w totalizmie wiele ludzkich wartości, stanowi — być może — dla wielu jednostek siłę szczególnie atrakcyjną, choć do charakteru tej atrakcyjności nawet przed samymi sobą nie śmieliby się przyznać. Soldy¹⁹ handlowe odbywają się na świecie, jak wiadomo, dwa razy do roku. Wypzedaż wartości humanistycznych po niżonych cenach trwa w totalizmie okrągły rok.

PIĄTEK, 27 MARCA

Mimo zaostrzającego się od paru dni podrażnienia nerwu kulszowego i związanych z tym kłopotów z poruszaniem się, musiałem wyjść rano z domu, żeby zobaczyć się z panią G. Bardzo piękna pogoda, słońce, ciepło, a pod staromiejskimi murami, gdy szedłem na rynek Starego Miasta, prawie gorąco. Okazało się, czego się zresztą domyślałem, iż pani G. chodzi o pewne, tutaj wynikłe komplikacje w związku z jej prawami autorskimi po Marku H. Doradziłem, jak potrafiłem, nie przeceniając zresztą wagi owych komplikacji, łatwych, jak mi się wydaje, do załatwienia. Oczywiście, zarówno całość osobowości Marka,

Kłamstwo, Władza, Wróg,
Słowo, Upadek

¹⁹solda — wypzedaż. [przypis edytorski]

jak i jego książkom, wydanym poza krajem, daleko jeszcze do ulaskawienia, którego rozliczne oznaki mnożą się u nas ostatnio w prasie w stosunku do twórczości Gombrowicza, coraz częściej określanego jawnie jako wielki pisarz. Jeśli jednak surowa ocena Marka nadal publicznie obowiązuje, przybierając niekiedy formy drastycznie brutalne i kłamliwe (Filler w swojej broszurze pisze o nim na s. 32: „zbiegły w roku 1958 z kraju”, podczas gdy wiadomo dobrze, że Marek wyjechał z Polski legalnie, otrzymawszy stypendium zagraniczne), nie wydaje mi się, aby mogło to mieć wpływ negatywny na realizowanie w kraju praw spadkowych jego matki.

Zawsze, gdy widywałem panią G., uderzało mnie fizyczne podobieństwo Marka do niej. Dzisiaj tak samo, choć to podobieństwo nie budzi we mnie różnych, dość sprzecznych uczuć, jak niegdyś, przed wieloma laty, gdy Marek miał dwadzieścia lat i jeszcze nie był sławny, był na razie mało komu znanym autorem paru opowiadań, porywająco utalentowanym i mimo wszystkich swoich okropnych wad urzekającym urodą, sposobem bycia, fantazją, nadmiarem oszalałymi w zetknięciu osobistym bujnościami. Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka równie jak on w swojej młodości fascynującego (a tylko bardzo młodym go znałem), chociaż, zapewne dzięki tym swoim zadziwiającym czarom i kuglarstwom potrafił ludzi sobie bliskich przyprowadzić o najczarniejszą rozpacz.

Nawet bez chłodnego zdziwienia obserwowałem samego siebie w czasie dość długiej rozmowy z panią G. Nic z dawnych uniesień, niepokojów i udręków, choć wtedy, dawno, prawie całkowicie wypełniły mi trzy lata życia, wszystko się gdzieś zapadło, rozsypało i obumarło, czasem tylko wspomnienia, lecz jeśli wspomnienia, to ścięte wrażeniem, że ja wspominający nic prawie nie mam wspólnego z tamtym wspomnianym. Miłość, miłosna choroba bywa zazwyczaj namiętym miotaniem się pomiędzy przeciwnościami szczęścia i klęsk, lecz ze wszystkich klęsk miłosnych klęską najdotkliwszą jest ta, którą przynosi zagłada miłości. Tylko ta klęska ostateczna już nie rani.

Wracając do domu wstąpiłem do księgarni i kupiłem kilka wydanych ostatnio książek; Margarete Riemschneider *Od Olimpii do Niniwy w epoce Homera*, dwa tomy szkiców Konstantego Grzybowskiego, Mariana Serejskiego *Europa a rozbiory Polski* oraz nowe powieści Romana Bratnego i młodego Piotra Wojciechowskiego, którego wydane przed paroma laty *Kamiennie pszczoły* zrobiły na mnie dobre wrażenie.

SOBOTA, 28 MARCA

Wczoraj, po całym pięknym dniu, wieczorem zaczął padać deszcz, a wkrótce, gdy temperatura z 10°C spadła nagle aż do 0°C — zaczęła się zawieja i dzisiaj rano znów krajobraz zimowy. Krzyżowa „rwa” czyni mnie cokolwiek zniedołężniałym przy poruszaniu się, a siedzenie też po pewnym czasie staje się niewygodne i męczące.

Lektura książki Margarete Riemschneider *Od Olimpii do Niniwy w epoce Homera* ukazującej w sposób bardzo interesujący i inteligentny, jak różnorakie elementy kultury hetyckiej przenikały z Azji Mniejszej do Grecji, znajdując odbicie w wielu realiach *Iliady* i *Odysei*, chociaż bowiem akcja obu poematów rozgrywa się gdzieś w głębokościach XII wieku p.n.e., w istocie odzwierciedlają one, właśnie w rozlicznych realiach, świat drugiej połowy VIII wieku, współczesny Homerowi.

Naturalną cechą ludzkiej działalności jest dążność, aby przy minimum wysiłku osiągnąć maksimum korzyści. Jedynie działalność twórczą, zarówno naukową jak artystyczną, ożywia i kształtuje inspiracja odmienna. Twórca, zdążając do celu nie zawsze jasnego, nie tylko siebie nie oszczędza, lecz przeciwnie: dobrowolnie stwarza swoim poszukiwaniom trudności, w przekonaniu, iż oddalając osiągnięcie efektu końcowego oraz wikłając drogi dojścia i mnożąc przeszkody — uzyska ostatecznie więcej, aniżeli mógłby to dać wynik zdobyty w oszczędnie wykalkulowanym pośpiechu. Bez względu na odmienną ludzkich zatrudnień, wszystkie je charakteryzuje interesowność, jedynie interesowność twórcza nie liczy się z kosztami, znajdując niekiedy zadośćuczynienie wówczas nawet, gdy w wyniku maksymalnych wysiłków osiągnięte zostaje minimum korzyści.

Przemiana, Wspomnienia

Miłość, Klęska

Twórczość, Korzyść

NIEDZIELA, 29 (WIELKANOC)

Przy wczesnym śniadaniu (zawieją, a śniegu napadało więcej aniżeli nocy wczorajszej), nie umiem już powiedzieć: drogą jakich skojarzeń zacząłem myśleć o Joasi O. i w związku z tym przyszedł mi do głowy pomysł opowiadania o dziewczynie (później już dojrzałej kobiecie), której całą młodość kształtował nieustanny bunt przeciw opiekuńczemu despotyzmowi dwóch bardzo silnych osobowości: babki i matki. Pamiętam jeszcze sprzed wojny jedną z glinianych rzeźb słynnego w tamtych latach świątkarza w Ilży: przedstawiała ona Trójcę Świętą i zapewne echo dawnych wyobrażeń ariańskich sprawiało, iż postacie Trójcy Świętej zostały skomponowane hieratycznie, na samym dole Chrystus, nad nim przygniatający go Bóg Ojciec, i na szczycie tej piramidy Duch Święty. W podobnym układzie: córka, matka, babka wyobrażam sobie te trzy kobiety. Bezustannie zagrożona w swoim „ja”, lecz równocześnie kształtująca się w tych codziennych zmaganiach — młoda dziewczyna całkowicie się odpręża, gdy, wyszedłszy za męża, w nowym swoim domu, przede wszystkim dzięki łagodnemu charakterowi zakochanego w niej męża znajduje zupełnie nową atmosferę. Wkrótce jednak poczyną sobie uświadamiać, że w tym bezkonfliktowym klimacie bez zgrzytów, spięć, a więc również i bez potrzeby zachowywania czujności — natura jej stopniowo przygasa i wysycha. Wreszcie Iks opuszcza męża, którego na swój sposób kocha, lecz który nie daje jej okazji do buntu. A może jeszcze później owa Iks spotka mężczyznę, który we wszystkim narzuci jej swoją wolę? I ona, niegdyś istniejąca tylko przez bunt, w uległości odnajdzie zaspokojenie? Przeciętność i nijakość, które właśnie poddania się potrzebują?

Przeoglądając wczorajszą notatkę o działalności twórczej, wyróżniającej ją spośród innych sfer ludzkiego działania, odniosłem wrażenie, że bardzo tę diagnozę uprościłem. Czyż w działaniu miłosnym strona zakochana nie jest również gotowa do maksymalnych wysiłków, aby osiągnąć bodaj minimum korzyści? I jak często kochający, dążąc do zrealizowania swych pragnień, dobrowolnie utrudnia sobie osiągnięcie tego celu! A doświadczenia i poszukiwania świętych? Wydaje się zatem, że ową szczególną specyfikę rodzaju twórczego należy odnieść do każdej ludzkiej działalności, jeśli kształtuje ją żywioł kreacyjny.

Twórczość, Miłość, Wiara

PONIEDZIAŁEK, 30 MARCA

W VII pieśni *Odysei*, we fragmencie z opisem wspaniałego pałacu króla Feaków, Alkinoosa, Homer podaje m.in. wygląd świeczników, znajdujących się we wnętrzu, gdzie wzdłuż ścian są siedzenia przykryte pięknymi narzutami: „A na dobrze ociosanych cokołach stali młodzieńcy trzymający w rękach pochodnie i przyświecali biesiadnikom przy nocnych ucztach” (przekład prozą Jana Parandowskiego).

W związku z tym szczegółem Margarete Riemschneider pisze w swojej książce: „Młodzieńcy, trzymający w rękach pochodnie, przypominają piękne urartyjskie świeczniki, których trzon uformowany był niekiedy w kształt dziewczęcych figur, niosących na głowie kapitel zdobny w liście... Wprawdzie przedmioty z brązu płynęły podówczas masowo ze wschodniej Anatolii do Grecji i Etrurii, wydaje się jednak, że Homer zna te świeczniki jedynie z opowiadań, których autorzy mają przesadnie bujną fantazję. Zgodnie z naszą wiedzą jest bowiem zupełnie wykluczone, by młodzieńcy trzymali pochodnie w rękach. Dźwigały na głowie czarę lub postument z kolcem, na który zakładało się świecę lub pochodnię”.

Zafascynowany tym obrazem świeczników chciałem zadzwonić do Andrzeja Wajdy, przyszło mi jednak do głowy, że podobny pomysł mógłby wykorzystać odpowiednik Andrzeja w *Miazdze*, więc Eryk Wanert, przygotowując dla telewizji spektakl *Prometeusza* Ajschylosa z Konradem Kellerem w roli tytułowej i młodym Łukaszem Halickim jako Hermesem. W kształtach homerowskich świeczników mógłby występować wieloosobowy Chór: młodzi mężczyźni z ciałami spatynowanymi na brąz lub złoto i może nie ze świecami albo pochodniami wbitymi na kolce, lecz z czarami wypełnionymi płonąca oliwą, ten ostatni pomysł podsunął mi Andrzej S., kiedy o tym wszystkim mu opowiadałem. Ponieważ z wielu względów ważna scena (nienapinana) rozmowy telefonicznej Konrada Kellera z Moniką Panek, zakończona (na parę godzin przed ślubem) zerwaniem ma się

rozgrywać w studio telewizyjnym, podczas próby generalnej *Prometeusza* — podobny Chór w dalszym tle mógłby nieźle, jak mi się wydaje, współgrać z płaskim dialogiem telefonicznym, Keller-Prometeusz powinien go prowadzić jeszcze nierozcharakteryzowany, więc prawie całkiem nagi i z ciężkimi łańcuchami u rąk i stóp. Halicki-Hermes ze swoim kaduceuszem (nie zgubić wątku tego złotego kaduceusza!) też się powinien w tym momencie znajdować w dekoracji, ponieważ po skończonej rozmowie Keller ma mu powierzyć dość ważne zadanie.

W związku z tym pomysłem Chóru ogarnęły mnie wątpliwości, jaki tekst *Prometeusza* ma być ostatecznie wystawiony! Oryginalny czy w przeróbce Adama Nagórskiego? Do dzisiaj trzymałem się wersji pierwszej. Tylko raz jeden miał być w *Miazdze* wyeksponowany *Prometeusz Ajschylosa* Nagórskiego, napisany prozą i znacznie odbiegający od tekstu oryginału, mianowicie w części II (scena nienapisana), kiedy po powrocie z Filharmonii, z koncertu Haliny Ferens-Czaplickiej, Eryk Wanert u siebie w domu czyta z maszynopisu pierwszą scenę (Prometeusz, Hefajstos, Przemoc i Siła od dawna mam tekst tej sceny) dramatu Nagórskiego, żałując, że ze względów cenzuralnych nie mógł wystawić *Prometeusza* w tej właśnie wersji.

Chór młodzieńców, ucharakteryzowanych na starożytne świeczniki, z płomieniami rozświetlającymi półmrok górskiego pustkowia oraz skałę, do której przykuty jest nagi Prometeusz, taki Chór lepiej, jak mi się wydaje, pasowałby do unowocześnionej wersji Nagórskiego. Przewidywałem, że oryginalny (okropne tłumaczenie!) tekst Ajschylosa dwukrotnie, nie! trzykrotnie byłby w *Miazdze* cytowany: w scenie, w której Łukasz Halicki po pewnym nieporozumieniu z Beatą Konarską wyskakuje nagle z łóżka i własnym kaduceuszem przepowiada przed lustrem jedną kwestię Hermesa; drugi raz, gdy Konrad Keller, rozbudzony w noc przedślubną bólem zęba, rozmyśla o swojej roli; wreszcie po raz trzeci w części III (w ogóle jeszcze nienapisanej, a zarysowanej tylko w notatkach i w pamięci), z okazji próby generalnej w telewizyjnym studio, cytat miałby się w tym wypadku ograniczyć do fragmentu dialogu Prometeusza z Hermesem. Gdybym się zdecydował na wersję Nagórskiego, musiałbym dopisać brakujący tekst. Ale to drobiazg, ostatecznie. Z realistycznego punktu widzenia ważne są wspomniane już obiekcje Wanerta, ze względów cenzuralnych *Prometeusz Ajschylosa* Adama Nagórskiego absolutnie nie mógłby się znaleźć na scenie lub w telewizji w kwietniu roku 1969. Pojęcia nie mam, jak z tych sprzeczności wybrnąć. Muszę jeszcze o tym pomyśleć. A przede wszystkim sprawdzić, czy jest coś wart tekst owej pierwszej sceny *Prometeusza* Nagórskiego, pisany latem ubiegłego roku, nie zaglądałem do niego od tamtej pory, więc słabo go pamiętam, właściwie prawie wcale.

CZĘŚĆ I. PRZYGOTOWANIE

Rzecz ma się dziać w Warszawie Jabłonie, w sobotę 19 kwietnia 1969 roku oraz w nocy z 19 na 20.

Sceny najważniejsze:

godz. 12:00 — ślub cywilny Konrada Kellera z Moniką Panek w Urzędzie Stanu Cywilnego na Nowym Świecie. Świadkiem pana młodego jest Adam Nagórski, panny młodej — Eryk Wanert

godz. 13:30 — Adam Nagórski podejmuje nowożeńców obiadem u siebie w domu. Oprócz państwa młodych oraz Eryka Wanerta tylko Halina Ferens-Czaplicka i jej młody akompaniator, Aimo Immonen

godz. 17:00 — ślub kościelny u św. Marcina na Piwnej

godz. 18:00 — coctail u rodziców panny młodej

godz. 20:30 — przyjęcie w Jabłonie

WTOREK, 31 MARCA

Na obiad u Nagórskiego zaproszona jest jeszcze jego matka, Maria Nagórska-Sołtanova. Zastanowić się natomiast, czy w tym rodzinnym obiedzie może uczestniczyć Aimo Immonen. Raczej nie. Wprawdzie Nagórski, doskonale orientując się w intymnym charakterze związku, jaki łączy jego siostrzenicę z młodym Finem, mógł, żeby jej zrobić przyjemność, zaproponować zaproszenie Immonena, wydaje się wszakże, że w tym wypadku znakomita śpiewaczka sprzeciwiłaby się podobnej propozycji. A może nie? Może względy rodzinno-towarzyskie uległyby w niej pragnieniu, aby przez te parę godzin mieć Aimo blisko, oszczędzając sobie w ten sposób dręczących domysłów, co — korzystając z wolnego czasu młody kochanek — może robić?

Ze szkicu Stanisława Lorenza *Jabłonna* (1961) oraz z przewodnika Kołodziejczyka i Werdy *Okolice Warszawy*:

„*Jabłonna*, wieś w odległości niespełna 20 km od Warszawy, na prawym brzegu Wisły, 5000 mieszkańców.

W XVIII wieku Jabłonna, w poprzednich stuleciach letnia rezydencja biskupów polskich, przeszła w ręce rodziny Poniatowskich. Miejscowość ta związana jest z osobą księcia Józefa Poniatowskiego. Z drugiej połowy XVIII wieku pochodzi pałacyk, wybudowany według planów Dominika Merliniego, twórcy Łazienek. Budowlę, spaloną w sierpniu 1944 roku przez cofające się wojska niemieckie, odbudowano według planów inż. arch. Mieczysława Kuźmy, przywracając jej dawny wygląd. Od 1953 reprezentacyjny Ośrodek Polskiej Akademii Nauk. (Od 1964 w lewym pawilonie, który nosił nazwę Królewskiego, bo tu miał się zatrzymywać Stanisław August w czasie pobytu u swego brata, Prymasa — ekskluzywny Klub Dyplomatów Ministerstwa Spraw Zagranicznych).

Pałacyk położony jest w pięknym i rozległym parku, gdzie w alei głównej wznosi się brama tryumfalna w formie wysmukłego łuku, ozdobiony figurami i z napisem Poniatowskiemu, wystawiona po jego śmierci przez jego siostrę, Marię Teresę Tyszkiewiczową. Po śmierci hr. Tyszkiewiczowej właścicielami Jabłony aż do ostatnich czasów byli Potoccy. Park sosnowy o powierzchni 30 hektarów, z domieszką jaworu, dębu, świerku, klonu, wiązu, modrzewia, grabu (rezerwat przyrody), a na łąkach pojedynczo rosnącej topoli nadwiślańskiej zawiera 200-letnie okazy drzew. Poza pałacykiem godna obejrzenia oranżeria oraz budynki dawnych stajen.

Główne wejście do parku zdobią dwie granitowe kolumny, pochodzące z zamku w Malborku. Na terenie samego osiedla zasługują na uwagę stara karczma klasycystyczna z końca XVIII wieku oraz budynek poczty z początku wieku XIX”.

Natomiast drugi świat obok: wieś, rozciągniętą na przestrzeni paru kilometrów, przecina dość ruchliwa szosa na Gdańsk, na północnym skraju wsi rynek z przystankiem autobusowym, kioskiem Ruchu, restauracją, cukiernią i paroma sklepami spółdzielczymi,

Szlachcic, Lud

pejzaż ukształtowany z ubóstwa i z brzydoty, charakterystycznych dla większości miasteczek i osiedli Mazowsza.

Według projektów pierwszych, zgodnych zresztą z sugestiami matki narzeczonej, prezosowej Zofii Panek, ślub Konrada i Moniki zaplanowany był na 15 maja. Skoro jednak z trzech filmowych scenariuszy, składanych w ostatnich miesiącach przez Eryka Wanerta, żaden nie został skierowany do produkcji i Wanert, nie mając na razie w filmie nic do roboty zaproponował Teatrowi Stołecznemu *Makbeta* we własnej scenografii i reżyserii, z Kellerem w roli tytułowej — Monika najoczywiściej pewna, że otrzyma rolę Lady Makbet, doszła do przekonania, że z wielu racji dowcipniej będzie i zgrabniej, jeżeli już na pierwszej próbie, a nawet przed nią objawi się światu w charakterze ślubnej małżonki Makbeta. Tak więc, zanim projekt Eryka Wanerta został ostatecznie zaakceptowany, zrezygnowano z miesiąca zakochanych, a także z dnia św. Zofii i w przewidywaniu, że próby z *Makbeta* rozpoczną się z końcem kwietnia, wyznaczono ślub na sobotę 19. Uwzględniając charakter oraz położenie pałacyku w Jabłonnie, gdzie wieczorem miało się odbyć wielkie przyjęcie ślubne na paręset osób, natura maja z pewnością lepiej aniżeli kwietnia sprostałaby wszystkim propozycjom oraz układom towarzysko-dekoracyjnym, zwłaszcza tym w nocnym plenerze. Jakże to na przykład byłoby zgrabnie i dowcipnie — jeszcze raz posłużmy się ulubionymi określeniami Panny Młodej — gdyby taki oto zeszlóroczny komunikat meteorologiczny z 15 maja powtórzył się i w roku obecnym:

„Nad Polską utworzyła się bruzda niskiego ciśnienia. Spowodowała ona dużą skłonność do burz, z których trzy przeszły wczoraj nad Warszawą. W rejonie Starego Miasta, Mariensztatu i na Powiślu obserwowano przy tym grad wielkości dużej fasoli. Wiele burz przeszło nad centralną i południową częścią kraju.

W Warszawie w godzinach rannych i południowych będzie dziś zachmurzenie umiarkowane, a po południu skłonność do burz i opadów pochodzenia burzowego. Temperatura około 22°C. Wiatry słabe o kierunkach zmieniających.

Słońce weszło dziś o godz. 3:42, zajdzie o 19:24. Imieniny obchodzą Zofia i Izidor”.

Wówczas:

krótka, lecz gwałtowna burza, która przeszłaby nad Warszawą i Jabłonną dopiero późnym wieczorem, a więc podczas weselnego przyjęcia, okazałaby się z wielu względów pożyteczna, odświeżyłaby przede wszystkim powietrze, po południu, a zwłaszcza pod wieczór bardzo parne, zatem towarzyskie wesołości, gry, gesty i miny, także pryncypialne dialogi, zwierzenia, plotki, aluzje, wspomnienia, wieloznaczne nastroje, wszystko rozegrałoby się w odświeżonym powietrzu znowu pięknej nocy majowej, w historycznych salonach pałacyku, ponieważ dzięki pootwieranym oknom mogłoby swobodnie napływać powietrze pachnące młodą zielenią i ziemią, również z parku, zrazu wilgotnym, szeleszczącym rosą oraz kroplami spływającymi ze starych dębów, grabów, wiązów i nadwiślańskich topoli, słowiki, które by przed burzą przycichły, znów podjęłyby swoje kłaskania, mocniej zapachniałyby bzy, księżyc w kiczowatej pełni powróciłby na wypogodzone i gwiazdami przyozdobione niebo, wtedy to właśnie, akurat przed północą, gdy prawie wszyscy goście wylegliby na dwór, zaczęłyby się rozgrywać owe szczególnie dekoracyjne a nieodzowne na wielkim polskim weselu korowody z duchami, oczywiście, gdyby nie lunął przed tym gwałtowny deszcz — rozległy trawnik rozpościerający się w dole, na tyłach pałacyku, niegdyś w ubiegłym stuleciu po prostu sadzawka, nie nasiąkłby jak gąbka wilgotnością, a znów bez połączenia księżycowej poświaty z trawiastą wilgocią, więc bez wzajemnego przeniknięcia się dwóch realnych elementów natury nie powstałyby warunki przyjazne dla elementu cokolwiek fantastycznego, nie wyłoniłby się więc najpewniej z owej topieli kształt nieruchomo i na wznak spoczywającego młodziutkiego żołnierzyka w hełmie, żołnierzyka z twarzą Krzysia Czaplińskiego, głęboka dziupla wielowiekowego dębu nie przemówiłaby nagle głosem Jana Nagórskiego, zmarłego w dramatycznych okoliczno-

ściach w Moskwie w roku 1937, wówczas, gdy po zaklęciu wypowiedzianym na tarasie przez samego Adama Nagórskiego:

ancki, ewancki gorzki pląs,
ede lipki, ele mąs,
yki, byki gramatyki,
klekaty nos.

ciele mele myć
gdzie się mamy skryć?
czy pod słomę, czy pod dach?
wszędzie jednakowy strach.

więc, gdy na to dziecięce porzekadelko część szczególnie żwawo usposobionych gości rozbiegłaby się po parku, przenikniętym tajemniczymi cieniami i poblaskami, wszyscy bowiem chcieliby gonić wszystkich i wszyscy musieliby uciekać przed wszystkimi, wówczas —

Któż jednak mógł w marcu przewidzieć, jaką będzie druga połowa kwietnia? Kwitnienia bzów nikt się oczywiście, nie spodziewał, lecz młodej wiosny ze wszystkimi jej uroczymi a towarzysko dogodnymi akcesoriami — tego na pewno (albo prawie na pewno) można było oczekiwać. Zatem wydawało się, że ze strony natury nie zagrażają nowej ślubnej dacie szczególniejsze niebezpieczeństwa. I rzeczywiście wraz ze świętami Wielkanocy, więc w pierwszej dekadzie kwietnia, przyszło nagle ocieplenie, Konrad i Monika z tygodniowego pobytu w Zakopanem, czy, jeśli kto woli, z ostatniej swojej podróży przedślubnej wrócili opaleni i promienni, jak bogowie, w Warszawie też było w miarę ciepło, ludzie szybko i z ulgą rozstawali się z ciężką zimową odzieżą, jeszcze parę dni takiego słońca, wspartego łagodnymi deszczami, a z krzepkiej witalności ziemi, niecierpliwie wezbranej płodnymi sokami, trysnęłaby obfita zieleń. Lecz oto nagle, akurat w połowie miesiąca, na skutek skomplikowanych i nie całkiem jasno przez meteorologów przewidzianych ruchów powietrznych prądów, ufnie się budzącą wiosnę ścięły chłody, gwałtowne zimne wiatry, potem śnieżne zawieje. W ten sposób przyroda złośliwie zakwestionowała obie starannie przemyślane toalety Moniki, zarówno tę, w której miała wystąpić w Urzędzie Stanu Cywilnego, jak i drugą przewidzianą na kościelny ślub u św. Marcina. Ostatecznie wątpliwości Panny Młodej w tej delikatnej materii rozwił po męsku Pan Młody, zgrabnie się powołując na zasadę kontrastu w sztuce, głoszoną przy wielu okazjach przez Eryka Wanerta. Nikt natomiast wolał nie kwestionować racji, które w swoim czasie skłoniły były prezesową Panek do opowiedzenia się za majową datą ślubu. Zresztą ona sama w przededniu uroczystości, spoglądając na śnieżną kurniawę na dworze, powiedziała wspaniałomyślnie: trudno, stało się!, po czym dodała: zresztą teraz i w maju można się spodziewać wszystkiego najgorszego.

W „Życiu Warszawy” z 19 kwietnia komunikat meteorologiczny zatytułowany *Nowy niż atakuje doniósł*:

„Nadzieje na ocieplenie, które wiązaliśmy z ciepłym frontem nasuwającym się od wschodu — upadły. Front ten zamiast na zachód powędrował na północ i dotarł wczoraj w rejon Finlandii. Nad Polską przeważnie nadal chłodna cyrkulacja północna. Efektem tego była m.in. burza śnieżna nad Krakowem i obfite śniegi w Karkonoszach, gdzie spadło w ciągu dwóch dni prawie pół metra śnieżnego puchu.

Nowe nadzieje na ocieplenie budzi następny niż wędrujący od południa na północ przez Ukrainę. Ma on przynieść ocieplenie już dziś na krańcach południowo-wschodnich, ale z opadami deszczu. Na pozostałym obszarze będzie chmurno, chwilami przejaśnienia i roz pogodzenia oraz przelotne opady śniegu lub deszczu ze śniegiem.

Wiosna, Przemiana

W Warszawie pogoda ma być dziś lepsza od wczorajszej — więcej słońca, ale chwilami zachmurzenie wzrastające. Temperatura do plus 6°C. Wiatry słabe, północno-zachodnie.

Słońce weszło o godz. 4:51, zajdzie o godz. 18:41. Imieniny obchodzą Apoloniusz i Bogumiła”.

Lecz złudność nadziei na lepszą pogodę wyjaśniło nazajutrz to samo „Życie Warszawy”, donosząc o kwietniowym nawrocie zimy w sposób zwięzły, lecz jednoznaczny:

„Obfite opady śniegu, a miejscami śnieżycy i zawieje śnieżne wystąpiły w sobotę na wschodzie kraju i w centrum. W Warszawie, Lublinie, Włodawie oraz wielu innych miejscowościach prawie 10 cm warstwa śniegu i błota poważnie utrudniała ruch kołowy i pieszy. Temperatura spadła w wielu rejonach do około 0°C. Olbrzymie opady śniegu wystąpiły w górach. Na Kasprowym Wierchu notowano 11°C mrozu oraz pokrywą śnieżną grubości 155 cm”.

Tak więc, ze względu na powyższe okoliczności, wątki pewnych sytuacji towarzysko-dekoracyjnych będą się musiały najprawdopodobniej ukształtować nie całkiem po myśli niektórych weselników, już zjazdowi gości, więc owej tak ważnej na wszystkich dużych przyjęciach uwerturze wprowadzającej nieomal równocześnie misternie zinstrumentowaną mnogość tematów-postaci, na razie tylko na moment wyeksponowanych, aby później mogły rozwijać swoje wątki w duetach, triach, kwartetach, a również w partiach chóralnych, więc już owemu momentowi, gdy pomiędzy godziną 20:30 a 21:00 zajeżdżać będą w smugach reflektorów przed pałac w Jabłonnie rozliczne auta i limuzyny i z ich wnętrz, na gęstą zawieję, wirującą przy podmuchach wichury w nieco nierzeczywistym poblasku latarni wyodrębniających z ciemności fronton pałacyku oraz podjazd na podobieństwo trochę niedbale ustawionej dekoracji, wychodzić będą zaproszeni, aby natychmiast w nieskoordynowanym popłochu dopaść wnętrza, jednak też natychmiast ze wszystkich stron oblepieni mokrym śniegiem, a od skrawka ziemi, który będą musieli pieszo przebyć i od kamiennych stopni zagrożeni zdradziecką gołoledzią, więc w ostatecznym efekcie cokolwiek zadyszani i przepłoszeni, niezupełnie pewni swych koafiur i obuwia, o tak! niewątpliwie tym chwilom wieloinstrumentalnej uwertury, w warunkach, jakie zgotowała przewrotna natura, odjęta zostanie twa radosna lekkość, której wszystkim przybyłym aż w nadmiarze użyczyłby ciepły i wschodzącym księżycem rozjaśniony wieczór majowy; nieco później, gdy rozświetlone kryształowymi żyrandolami sale wchłaniać będą weselników i ogarniać ich przyjaznym ciepłem, jasnością i gwarem, a długie stoły, pełne zimnych mięs, ryb, sałatek, sosów, wiosennych nowalijek i przemyślnych zakąsek, sporządzonych w podziemnym królestwie mistrza Kubickiego, użyczą tłumnie się gromadzącym wokół jadła i napojów wspomagających kalorii — skażony w swym kształcie moment towarzyskiej uwertury szybko zostanie zapomniany, więc zanim się w te pożywne sfery czasu przyszłego niedokonanego ufnie zanurzymy, wypada choćby z kronikarskiego obowiązku wspomnieć, że ze względu na wiadome warunki atmosferyczne nie najlepiej chyba wypadnie również i scena od dawna, choć w tajemnicy opracowana przez prezesową Panek, mianowicie powitanie nowożeńców przez rodziców Panny Młodej, powitanie w pałacowym hallu chlebem i solą, złożonymi na srebrnej tacy, specjalnie w tym celu zakupionej w Desie, a sprzedanej przez pewnego arystokratę skoligaconego dość blisko z ostatnimi właścicielami Jabłonny, skomplikowane procesy myślowe doprowadziły eks-ambasadorową w Holandii do decyzji, aby dla wyeksponowania owej starej, ludowej tradycji wybrać nie dom własny, gdy państwo młodzi przybyli zaraz po ślubie w kościele u św. Marcina, lecz pałac w Jabłonnie, należy przypuszczać, że Monika, która nie lubi sytuacji nieprzewidzianych, bowiem w teatrze podobne sceny nie istnieją, a poza tym płatki śniegu będą jej topnieć na czole, rzęsach i policzkach, więc nie będzie szczególnie wzruszona ani zachwycona tą formą powitania, również faktem, że w pustym na razie hallu i ona z mężem, a zwłaszcza jej rodzice, znajdą się pod obstrzałem spojrzeń bezczynnych na razie szatniarzy, lecz z drugiej strony Pan Młody z pewnością umiejtnie —

— Moje dzieci... — powie prezesowa, a jeśli nie dosłownie tak, to coś w tym rodzaju.
Na to Monika:
— Och, mam! naprawdę jesteś wspaniała i wzruszająca, ale pozwól, że zanim się
pożywimy, pójdziemy jednak do szatni.
Wówczas Pan Młody do obojga teściów:

Udziałem Waszej Miłości przyjmować
Naszą powinność. A nasza powinność
Jest wobec tronu i państwa jak dziecko,
Jak sługa, który, czyniąc to, co obroni
Waszą Cześć, Waszą Miłość — czyni tylko
To, co mu każe obowiązek.²⁰

Po czym najpewniej sięgnie po kromkę spoczywającą skromnie w cie-
niu rumianego bochenka, poda ją oblubienicy do przełamania i nie jest wy-
kluczone, że, chcąc się utrzymać w podjętej konwencji, powie na swoim
słynnym szepcie:

Pozostań niewinna
Poprzez niewiedzę — najdroższe pisklątko,
Póki czynowi temu nie przykłaśniesz²¹.

Jednak wszystkie te wstępne cienie muszą się drobiazgami wydać wobec
nieuniknionego zachwiania i zamącenia treści sięgających w wyższe sfery,
wydaje się bowiem mało prawdopodobnym, aby śnieg i temperatura poni-
żej zera sprzyjały igraszkom i celebracjom w plenerze, stąd i słaba nadzieja
na intymniejszą współpracę żywych z umarłymi, jakkolwiek pewne subiek-
tywne dyspozycje takiej choćby osobowości, jak Adam Nagórski, pozwala-
ją przypuszczać, że gdyby porą nieco późniejszą, więc dostatecznie fizycznie
i duchowo rozgrzany, znakomity pisarz zdecydował się opuścić salony i wejść
na pusty i kruchą warstwą śniegu pokryty taras, wówczas, wobec zimowe-
go pejzażu niewydarzonej wiosny, cokolwiek dygocąc i wsunawszy wrażliwe
dłonie do kieszeni spodni, mógłby, lekko — być może — się chwiejąc, zło-
żyć w swojej nie najlepszej niemczyźnie następującą deklarację:

*Ja wunderschönen Monat Mai,
Als alle Knospen sprangen*²².

a skoro by zaryzykował zejście z tarasu i znalazł się na skraju płaskiego i omszałego
basenu martwej fontanny, wtedy jej zardzewiały kikut, ulegając natarczywej sferze su-
biektywnej autora *Natchnienia świata* mógłby przemówić, bo dlaczego nie? I wówczas:

FONTANNA

Na niektórych frontach walki z siłami wrogimi socjalizmowi...

NAGÓRSKI

To pan? Cóż za niespodziewane spotkanie! Przyszedł pan podyskutować?

FONTANNA

...przeciwnik jest łatwy do rozpoznania, jest oczywisty — np. w polityce między-
narodowej. O wiele bardziej skomplikowany jest układ frontów ideologicznych, gdzie

²⁰Udziałem Waszej Miłości (...) co mu każe obowiązek. — fragm. tekstu dramatu *Makbet* Shakespeare'a w tłum. Krystyny Berwińskiej (wyd. Warszawa 1959). [przypis edytorski]

²¹Pozostań niewinna (...) przykłaśniesz — fragm. tekstu dramatu *Makbet* Shakespeare'a w tłum. Krystyny Berwińskiej (wyd. Warszawa 1959). [przypis edytorski]

²²*Ja wunderschönen Monat Mai, Als alle Knospen sprangen* (niem.) — jakże piękny jest miesiąc maj, gdy strzelają wszystkie pączki. [przypis edytorski]

przeciwnik żeruje na trudnościach, jakie napotyka budowa socjalizmu i występuje pod postacią reformatora.

Wówczas Nagórski, z tęsknoty ku zwięzłej jasności, odwołałby się, być może, do łaciny. I stwierdziłby:

NAGÓRSKI

*Novare cupio, ergo non sum*²³.

FONTANNA

Jeśli mówimy o zaangażowaniu, to mamy na myśli między innymi również zaangażowanie na tym froncie walki ideologicznej, na którym jedyną busolą może być więź z partią, poczucie solidarności z jej polityką.

NAGÓRSKI

*Nego, ergo sum*²⁴.

Po czym, jeśli by wciąż odczuwał twórczy nadmiar subiektywnych dyspozycji, a ziąb wiosennej nocy nie nazbyt zdąży mu dokuczyć, mógłby zgodnie zresztą z dobrowolnie podjętą grą — zakończyć i niejako podsumować cykl prelekcji o swoich miłościach, zapoczątkowany ubiegłej nocy, gdy w oczekiwaniu na sztuczny sen cofnął się był w odległe wspomnienia. Zatem z tarasu pałacyku księcia Pepi²⁵, a wobec nagiego pejzażu w drętwej poświacie księżycowej, mgliście przenikającej spoza niskiego pułapu chmur, przemówić może mniej więcej tak:

— Proszę państwa! Jeśli raz jeszcze pozwalam sobie zabrać państwu kilka chwil cennego czasu, to jedynie dlatego, iż w mojej opowieści, być może przydługiej i nie zawsze dość przejrzystej, zbliżam się, a nawet — można to powiedzieć — osiągam koniec. Czy ostateczny, nie wydaje mi się to szczególnie ważne. A może? Kto wie? Przyszuję, że chciałbym żyć długo, a nawet jeszcze dłużej. Więc może właśnie, że żywy i jeszcze, jak się zdaje, na fizyczny kres życia nieskazany w trybie doraźnym, może właśnie, jeśli żywy, sięgnąłem po słowo „koniec”, może ono jest najważniejsze? Ale koniec czego? Koniec miłości ku dziewczynie o dwuznacznym imieniu Nike? Czy koniec kochania w ogóle? Proszę wybaczyć takie nagromadzenie znaków zapytania, myślę, że nie powiem nic nowego, jeśli powiem, że gdyby ludzie szczerze wyrażali swoje myśli, większość ich musiałaby się kończyć znakiem zapytania. Jednak gdybym chciał powtórzyć za szekspirowskim Antoniuszem: „Tylko w uścisku znajdziesz godność życia” — nie musiałbym tego ciężkiego słowa przywoływać. Nie musiałbym? To też nie całkiem odpowiada prawdzie, proszę państwa. I w ogóle w moich prelekcjach oszukiwałam państwa, tak wiele opowiadając o miłościach, iż można by mniemać, że istotnie one stanowią dla mnie „godność życia”. Może się wydam państwu cokolwiek trywialny, muszę jednak stwierdzić, że niestety, a może na szczęście, miłość jest jak mydło, ubywa jej przy używaniu. Chcąc zatem z należnym dla państwa respektem, znaczy — chcąc sprezentować państwu prawdę rzeczywistością, naga, jak cię to potocznie mówi, powinienem był potraktować niektóre szczególnie sekwencje, zwłaszcza te ostatnie związane z osobą o dwuznacznym imieniu Nike, *hic et nunc*²⁶, powinienem był te miłosne parawany odsunąć, żeby nie przysłaniały, raczej nie tyle parawany, proszę państwa, nie najszcześliwiej się wyraziłem, powinienem był tak to państwu sprezentować²⁷, jak w pewnym kawałku prozy, który popełniłem, kiedy Nike po raz pierwszy, lecz nie ostatni ode mnie odeszła, tam w tym kawałku prozy mówi Orfeusz: „Więc stojąc przed murem, który nie istnieje dla świata, ponieważ mnie przydzielony, we mnie tylko i bez trzech sprawdzalnych wymiarów istnieje...”, zatem, w dążeniu do nagiej prawdy, powinienem był usunąć ten mur, przekroczyć ścianę mego życia, ponieważ dopiero poza nią, dookoła i ponad nią wznoszą się ściany prawdziwe, a ja schroniłem się w cień własnej, aby nie widzieć tamtych, oczywiście! mogłem szukać innej ucieczki, mogłem znaleźć inną ścianę mego życia, urojoną wolność, mogłem, ile mogłem, lecz

²³*novare cupio, ergo non sum* (łac.) — pragnę odnowienia, więc nie jestem. [przypis edytorski]

²⁴*nego, ergo sum* (łac.) — Przeczę, więc jestem. [przypis edytorski]

²⁵*książę Pepi* — książę Józef Poniatowski (1763–1813), generał, minister wojny i naczelny wódz Wojsk Polskich Księstwa Warszawskiego, marszałek Francji; zginął w czasie kampanii napoleońskiej w bitwie pod Lipskiem. [przypis edytorski]

²⁶*hic et nunc* (łac.) — tu i teraz. [przypis edytorski]

²⁷*sprezentować* — zaprezentować, przedstawić. [przypis edytorski]

to, co mogłem, mogłem dobrowolnie, więc dobrowolnie zachorowałem na miłość, żeby nieuleczalnie chorować na wszystkie rzeczywiste i urojone przejawy miłosnej choroby, przywiązany klęczącymi kolanami do podnóża ściany mego życia, aby tamtych ścian nie widzieć, bo tamtymi otoczeni, wszyscy się gdzieś, proszę państwa, skrywamy, czy pod słomę, czy pod dach, a tamte ściany, proszę państwa, rzeczywiste, chociaż wzniesione z elementów irracjonalnych, tabu i demony, sakralne kłamstwa i oszustwa —

Wydaje się, że skomplikowane wątki, eksponowane przez Nagórskiego z niewątpliwym zaangażowaniem, lecz i z widocznym wysiłkiem, powinny się w tym momencie tak zagmatwać, iż mówca, nie znajdując dla nadmiaru treści odpowiedniej formy, a może i wśród nerwowych falowań treści cokolwiek bezradny, poczuje się po prostu zmuszony do zamilknięcia, a wówczas cisza cennego rezerwatu przyrody, jaką usłyszy, powinna go wyrwać litościwie z dręczącego kręgu subiektywnych dyspozycji, skłonić do kilku głębszych wdechów i wydechów oraz do przetarcia chustką lekko spoconego czoła. Byłby zatem, przynajmniej na razie, koniec weselnego intermezza w plenerze, autor *Karolinki* oraz *Ostatniej godziny* najrozsądniej chyba by postąpił, gdyby, nie narażając się dłużej na możliwość ciężkiego przeziębienia, wrócił na salony do społeczności. Tak też najpewniej i uczyni, być może nawet nie pamiętając, lub pamiętając mgliście, że przed kilkoma zaledwie minutami rozmawiał z zardzewiałym kikutem martwej fontanny.

A na salonach, szczególnie w tym największym, spiętym u szczytu kopułą niebiańską z gwiazdami, skąd z okrągłej galeryjki na niebiańskich wysokościach widać za dnia Wisłę luźno i leniwie płynącą u niskiego horyzontu wśród płaskich piasków i wiklin, więc na salonach historycznego pałacyku, w uśmierconą wiosnę-niewiosnę, skoro się ma dalej odbywać ryzykowna penetracja wieloznacznych możliwości czasu przyszłego, Adam Nagórski, na podobieństwo szklanego spodka, służącego niegdyś jego starzejącemu się ojcu do przywoływania duchów, nagle i mediumicznie w podobną grę wprowadzony, przywoła prawdopodobnie cień zapomnianego poety baroku i z myślą o tytule przyszłej powieści, bo zafascynowany magią słów, nie odmówi sobie satysfakcji:

I my, co ziemię małą, małe morze mamy,
A myślą górnołotną nieba się tykamy,
Cień niestetyż i marę zostawim po sobie.
Cień z nami w grób, cień wiecznie stróżem w naszym grobie.

Ale próżno wspominać cień naszego wieku
I igrzysko niestałej fortuny człowieka:
Ten, który z cienia powstał, świat nieogarniony,
Będzie z nami w cień drugi znowu obrócony —²⁸

więc z należnym respektem oczekując, iż z doświadczeń znakomitego pisarza, z doświadczeń koniecznych związanych z młodziutką osobą o dwuznacznym imieniu Nike, wyniknie kiedyś, być może, romans zatytułowany *Cień drugi*, skoro zatem chwiejne wkraczanie w sfery cienia drugiego ma się z pleneru przenieść na salony — może się na salonach zdarzyć, że wśród ponad rzeczywistą miarę rozlicznych scen oraz sytuacji odbędą się i następujące:

prezes Polskiego Instytutu Prasowego (PIP), Leopold Panek, już po kilku kieliszkach i głodny, bo mimo paru lat ambasadorowania i uczestniczenia w minionym dwudziestopięcioleciu w wielu przyjęciach oficjalnych nigdy nie zdołał przywyknąć do jedzenia na stojąco, a poza tym trochę zagubiony w tłumie ludzi, spośród których mało kogo zna osobiście bliżej, więc głodny i z podgęszczonym szmerkiem w skroniach przystąpi do Nagórskiego powracającego akurat z tarasu, wydaje się bowiem rzeczą mało prawdopodobną, aby u siebie w domu, na coctailu urządzonym zgodnie z ustaloną chronologią uroczystości zaraz po ślubie u św. Marcina, podjął, jako gospodarz, podobną rozmowę, mógł ją sobie co najwyżej wyobrazić. A teraz powie:

²⁸ I my, co ziemię małą, małe morze mamy (...) z nami w cień drugi znowu obrócony — fragm. wiersza Daniela Naborowskiego *Cień przypisany ks. JM Januszowi Radziwiłłowi, podczaszemu naonczas W[ielkiego] Ks[ięstwa] L[itewskiego]. A[nn]o 1607*. [przypis edytorski]

— Wie pan, panie Nagórski, że my się znamy bardzo dawno, szmat czasu.
 Nagórski, ponieważ zostanie tą kwestią zaskoczony, strzepnie z rękawa marynarki resztki skroplonego śniegu i odpowie raczej z dystansem:
 — Czy tak?
 — Pan, oczywiście, nie pamięta. To był rok trzydziesty, może trzydziesty pierwszy.
 — Rzeczywiście dawno. Bardzo mi przykro, panie prezesie, moja pamięć nie jest najlepsza.
 — Pan mi wtedy położył rękę na ramieniu.
 — Ja?
 — Obaj mieliśmy po dwadzieścia lat i bujne włosy, ale pan był ten lepszy i jak mi pan położył rękę na ramieniu, to właśnie dlatego, że się pan uważał za lepszego, chciał mi pan dać do zrozumienia, że dziewczyna, z którą tańczyłem, nie jest dla mnie odpowiednią partnerką.
 — Czy pan się przypadkiem nie myli, panie prezesie?
 — Ja się na pewno nie mylę, położył mi pan rękę na ramieniu, podszedł pan do nas, kiedy tańczyliśmy, i położył mi pan rękę na ramieniu.
 — Gdzie to było?
 — Nie pamięta pan, panie Nagórski?
 — Niestety.
 — Pan miał rację, bo to faktycznie była partnerka nie dla mnie. Pan miał rację, że pan mi położył rękę na ramieniu.
 — Jeśli istotnie tak było, jak pan mówi, panie prezesie, chyba racji nie miałem. To nie było zbyt uprzejme.
 — Panie Nagórski, co się będziemy po tylu latach bawić w uprzejmości? Starczy, że panu mówię, że pan miał rację. A wie pan, czemu pan miał rację?
 — Słucham.
 — Dziewczyna, z którą tańczyłem, nazywała się panna Wanert.
 — Alicja.
 — A ja byłem w czarnym pożyczonym garniturze i rękawy miałem za krótkie i koszulę przynajmniej o dwa numery na dużą.
 — To było w towarzystwie?
 — Pan był we fraku, wszyscy panowie studenci byli we frakach albo smokingach. Bal Politechniki.
 — Rzeczywiście czasy prehistoryczne.
 — Dla mnie tylko historyczne, a ja historię dobrze pamiętam.
 — Cóż, jeśli po tylu latach znaczy cokolwiek przeproszenie...
 — Teraz pan sobie przypomniał, że mi pan położył rękę na ramieniu?
 — Niestety, bardzo mi przykro, ale nie.
 — Widzi pan, a ja pamiętam! Bo to pan położył mi rękę na ramieniu, a nie ja panu.
 — Słusznie. Ale, jeśli jak pan mówi rzeczywiście popełniłem ten gest niezbyt uprzejmy i położyłem pana rękę na ramieniu, może usprawiedliwi mnie trochę fakt, że Alicja Wanert była wówczas moją narzeczoną.
 — A, i pan był zazdrosny o mnie, panie Nagórski!
 — Wkrótce potem Alicja została moją żoną. Naprawdę, bardzo dawne czasy.
 — No, widzi pan, panie Nagórski, jak się to wszystko jedno z drugim albo łączy albo nie łączy. Pan mi położył rękę na ramieniu, pan był we fraku, pan się ożenił z panną Wanert...
 — Dość szybko się rozeszliśmy.
 — A ja u jej ojca, wielkiego przemysłowca, pana Karola Wanerta...
 — Karol Wanert był stryjem Alicji.
 — Wszystko jedno. A ja u jej stryja, wielkiego przemysłowca, pana Karola Wanerta, głupiej posady za trzysta z czymś złotych nie mogłem dostać, choć miałem dyplom magistra chemii w kieszeni i dziury w butach. Pan miał rację, panie Nagórski, że mi pan położył rękę na ramieniu.
 — Jeśli pan tak uważa.
 — To nie ja uważam, to jest obiektywna prawda historyczna.

Polska, Pozycja społeczna,
 Historia, Przemiana,
 Mężczyzna, Kobieta,
 Zazdrość

— Jeśli tak, to muszę stwierdzić, panie prezesie, że ma pan teraz tę wyższość nademną sprzed trzydziestu kilku lat, że gdy pan kładzie obecnie ludziom rękę na ramieniu, są to gesty w duchu jak najbardziej demokratycznym.

I chyba po tej kwestii znajdzie sposobność, aby rozejrzawszy się po sali powiedzieć:

— Przepraszam, panie prezesie, ale właśnie widzę, że pani Frens-Czaplicka przywołuje mnie niecierpliwie.

— Ta słynna śpiewaczka?

— Właśnie. Zresztą dość bliska moja kuzynka.

— Ba! My teraz z panem też jesteśmy poniekąd rodziną. Nie wiedział pan, panie Nagórski, kogo pan poklepywał.

— Niestety, z klepaniem zwykle tak bywa, panie prezesie.

Halina Ferens-Czaplicka i Adam Nagórski.

— Jestem.

— Nie gniewaj się...

— Ależ skąd! przeciwnie, jestem ci wdzięczny, marzyłem, żeby zakończyć tamtą rozmowę.

— Polityka, jak zawsze u was?

— Gorzej, wspomnienia.

— Przykre?

— Głupie.

— Więc przykre.

— Prawdziwe. Jak się bawisz?

— Wiesz, przed przyjazdem tutaj byłam u mamy pożegnać się.

— Dawno nie byłem u twojej mamy, nie jestem dobrym bratem. Jak się czuje?

— Fizycznie chyba nieźle. Ale odniosłam wrażenie, że ona w ogóle nie pragnie ludzi widywać, nawet najbliższych.

— Myślisz?

— Nie wiem, może się mylę, tyle lat się nie widziałyśmy. Przywiozłam jej adapter i kilka moich najlepszych nagrań, leżały tam, gdzie je położyłam, adapter też nienaruszony. A kiedyś, pamiętam, bardzo lubiła muzykę. I mój śpiew też lubiła. Jedyny człowiek, o którym mówi z ożywieniem, to profesor Wnuk.

— To rozumiałe, Halinko. Ostatecznie Wnuk, żeby zebrać i wydać twórczość Krzysztofa poświęcił wszystkie swoje najlepsze umiejętności, nawet coś więcej, bo serce, a serce uczonego, wiesz, co to jest serce profesora?

— Ja to rozumiem, kochany, ale trochę było mi przykro. Dla mamy czas się zatrzymał ze śmiercią Krzysia. Dla niej Krzys jest wciąż młodziutkim chłopcem.

— Dziwisz się? Pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się w Rzymie w czterdziestym ósmym roku, opowiadałem ci dużo o Krzysztofie i jak bardzo go w czasie okupacji pokochałem.

— Pamiętam.

— Myślę, że on dla mnie też miał wiele najlepszych uczuć. Chyba też mnie po swojemu kochał. I popatrz, nigdy nie byłem na Powązkach na jego grobie. I żadnego wspomnienia nie napisałem i nie napiszę.

— Czemu to mówisz?

— Powiedziałaś, że dla twojej mamy pozostał chłopcem.

— Ja też nie mogę sobie wyobrazić, że gdyby Krzys żył, miałby teraz prawie pięćdziesiąt lat.

— A widzisz! O której nasz samolot?

— Wcześniej. Ósma z minutami.

— Szkoda, że cię tu mieliśmy tak mało.

— Muszę, we wtorek śpiewam w Hamburgu.

— A potem?

— Oslo i Helsinki.

— I dalej?

— Na razie nie ma dalej. Nie wiem, może się zabiorę do pisania pamiętników.

— Już ci to mówiłem parę razy, Halinko, ale wczoraj wieczorem naprawdę śpiewałaś cudownie. Chyba jeszcze lepiej, a może po prostu bardziej wzruszająco, niż kiedy cię

słyszałem w Rzymie. Nigdy nie zapomnę twoich *Pieśni wędrowca*, zwłaszcza tej czwartej o niebieskich oczach.

— — — — — po wtorkowym recitalu 15 kwietnia, w piątek drugi występ Haliny Ferens-Czaplickiej. W pierwszej części koncertu symfonia g-moll, 183 Mozarta, Halina śpiewa *Lament Ariadny* Monteverdiego oraz arię z drugiego aktu *Orfeusza* Glucka²⁹, w drugiej części: *Pieśni wędrowca* Mahlera oraz druga suita z *Daphnis i Chloe* Ravela. Tłumy, owacje, kamery telewizyjne, błyski fleszów, kwiaty i ów szczególny nastrój (na tym koncercie należy być: jak wygląda słynna na całym świecie rodaczka, tu znana tylko z nagrań?; jaką będzie miała toaletę?; bardzo już stara?; pewnie się kończy i dlatego zdecydowała się zaśpiewać w kraju; och, znałem ją jeszcze, kiedy zaczynała śpiewać, Didur wrażał ją za najlepszą ze swoich uczennic, widziałem ją w '39. roku w *Carmen*, już wtedy była fantastyczna; doskonale znałem jej ojca, Olgierda, to był wielki internista, ale nigdy nie przypuszczałem, że z tej małej, chuderlawej Halinki wyrośnie taka duża Ferens; widziałś tego jej akompaniatora, śliczny chłopak, mógłby być jej synem, nie?), jaki zazwyczaj panuje w Filharmonii na gościnnych występach największych sław światowych. Na bis Halina Ferens śpiewa Bacha *Komm süßer Tod* i Händla *Begrüssung*.

Artysta, Kobieta

Nagórski siedział z matką w dziewiątym rzędzie. W odpowiednim momencie usiłował wytłumaczyć jej, że podobny wieczór może się okazać nazbyt męczący, zwłaszcza wobec jutrzejszych obowiązków towarzyskich, ale starsza pani (rocznik 1884) postawiła jak zwykle na swoim i sprawiła, że sławny syn przyjechał po nią na Krakowskie Przedmieście, wsparł męskim ramieniem, gdy trzeba się było wspiąć przy wejściu po marmurowych schodach, troskliwie w szatni wyłuskał z futra i nawet z pewnym rozrzewnieniem się uśmiechnął, gdy wyprostowana, z dostojnie siwą głową, drobna i wzruszająco krucha w wieczorowej sukni z czarnego aksamitu i z zalotnie staroświecką aksamitką na szyi kroczyła przez rozległy hall prawie dziewczęcymi kroczkami u jego boku, krokami chyba nie nazbyt odmiennymi od tych, którymi niegdyś, bardzo, bardzo niegdyś obdarowywała była Ofelię, Rozalindę i Norę, i w pewnym momencie w jej oczach, już na co dzień wyblakłych i zmatowiałych, zapalił się naraz ów ciepły, wibrujący blask, który w pradawnych czasach przysparzał jej, słynnej Kellerce, ulubienicy Warszawy, tyle hołdów i uwielbień. I ten sam blask rozjaśnił jej pomarszczoną, drobną jak piąstka twarz, gdy Konrad Keller, oczywiście w towarzystwie Moniki, prezentując podobny, tyle że autentyczny gatunek oczu, pochylił się, aby wbrew swym zwykłym obyczajom ucałować rękę ciotki, jeszcze mimo pewnych zniekształceń artretycznych przechowującą kształt dawnej urody.

Artysta, Kobieta, Starość,
Uroda

Nagórskiemu źle się słuchało, w ostatnich czasach odwykł od koncertów publicznych. Za to ze względu na wyjątkowość wielu elementów, które złożyły się na ten wieczór, nie mógł się nie poddać wspomnieniom, luźno i leniwie kojarzonym. Lecz tylko raz, kiedy w drugiej części koncertu Halina zaczęła śpiewać czwartą z *Pieśni wędrowca*, ową skargę miłosną: „Błękitne oczy mojej najdroższej, które wysłały mnie w daleki świat” (*Die zwei blauen Augen von meinem Schatz, Die haben mich in die weite Welt geschickt*), więc tylko raz jeden podczas tego śpiewu, gdy głos Haliny w sposób szczególnie przejmujący wzniósł się w szepcie ponad przyciszony akompaniament orkiestry, wyniknęło w nim wspomnienie Nike, prawie bezosobowe, bo bezkształtne i bezgłośnie, niezwiązane z jakąkolwiek sytuacją, musiał się przez moment skupić, aby spośród minionych nocy i dni, głosem Haliny jak smugą światła w ciemnościach prowadzony, wyszukać cielesną formę dla zjawy; szukał jej po omacku, wciąż przy miłosnej skardze Haliny-wędrowca, potykając się o niewykończone, zbyt słabo lub tylko fragmentarycznie wywołane strzępy, cień uśmiechu, ramion, cień przymkniętych powiek, cień szepotu, cień oddechu, echo zanikające, aż wreszcie, gdy skuszony ciekawością sprawdzenia mechanizmów własnej pamięci-niepamięci zdołał uśmierzyć ów chaos, Nike ukazała mu się taką, jaką zapamiętał, kiedy się przed paroma zaledwie tygodniami, w drugi dzień Wielkanocy, rozstali w Kazimierzu, w gniewie, który w obojgu wybuchnął gwałtownie i brutalnie, lecz narastał był powoli, żywiąc się nimi jak ukryty pasożyt, więc ujrzał naraz maskę zniekształconą złością i nienawiścią (kiedy z końcem roku ubiegłego Nike zniknęła nagle na kilka tygodni, napisał fragment pracy, który później głęboko ukrył na spodzie biurka:

Wspomnienia

²⁹ Gluck, Christoph Willibald Ritter von (1714–1787) — niem. kompozytor okresu klasycyzmu; opera *Orfeusz i Eurydyka* (*Orfeo ed Euridice*) powstała w 1762 r. [przypis edytorski]

„Mówi Orfeusz: więc stojąc przed murem, który nie istnieje dla świata, ponieważ mnie przydzielony, we mnie tylko i bez trzech sprawdzalnych wymiarów istnieje, stojąc zatem przed murem nierzeczywistym, lecz dla mnie jak najbardziej prawdziwym, stojąc, a raczej klęcząc, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze trenu dla Eurydyki, klęcząc zatem liturgicznie u podnóża mego muru, ściany mego życia, wiem, że kiedy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza spełzną z niej, z tej ściany mego życia, ostatnie poblaski zachodzącego słońca — przyjdą Furie, zwane za czasów mego dzieciństwa Bachantkami lub Menadami, przyjdą i rozszarpią mnie. Nie wiem dokładnie, kiedy się to stanie, za sekundę, godzinę, miesiąc czy rok. Czas, jaki mi pozostał, nie należy do mnie. Korzystam z niego, lecz nad nim nie panuję. Wiem tylko tyle, że w pewnym, niewiadomym momencie, gdy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza ostatnie poblaski zachodzącego słońca spełzną z muru, u którego niewidzialnego podnóża klęczę, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze mego trenu dla Eurydyki, przyjdą Furie i rozszarpią mnie. To się stanie gdziekolwiek, może wśród głuchych drzew nadwiślańskiego parku, może w zaułku ciemnej staromiejskiej uliczki, może dla odmiany w oślepiających reflektorach obcego krajobrazu, a najpewniej w scenerii bardzo zwykłej, więc po prostu w moim pokoju teraz pustym, niegdyś pełnym Eurydyki. Również obojętne, w jakich kształtach Furie się wyłonią, gdy chłód i mrok nastaną, mogą, na przykład, spaść bezszelestnie z nieba w kombinezonach komandosów albo otoczyć mnie nagle półnagimi ciałami chłopów trackich, pijanych winem i dmących w podwójne piszczałki, może to być również specjalny pluton mimów w cielistych trykotach, z twarzami białymi, jak gipsowe maski, obojętne czas i miejsce egzekucji, obojętny kształt Furii, wiem bowiem, że jakikolwiek czas mi pozostał, nigdy nie zdołam wypowiedzieć rzeczy najważniejszej, mojej miłości do ciebie, Eurydyko!” — pomyślał: te gusta, te czasy już się skończyły i nigdy nie powrócą, już mnie nie ranią i nie niepokoją, już nie jestem chory, lecz chyba i zdrowy nie jestem — — —

Czas

Nagórski po chwili:

— A swoją drogą o pamiętnikach powinnaś rzeczywiście pomyśleć serio.

— Też tak sądzisz?

— To egoizm przemawia przeze mnie, Halinko. Im się staje starszy, tym mniej mnie książek pociąga, ale pamiętniki zawsze. Chciałbym przeczytać twoje.

— Ja nie o tym myślałam. Och nie, nic nie mów, to niepotrzebne. Nie jestem szczególnie mądra, ale zawsze miałam i nadal mam bardzo dobry słuch. Siebie też słyszę. Słyszę przede wszystkim wysiłek...

— Twój słuchacz go nie słyszą.

— Ale ja go słyszę, Adam. To wystarczy. Nie widziałeś Aima?

— Poszukać go?

— Chciałabym już wrócić.

— Zawołam go zaraz.

— Nie, po co? Niech się bawi.

— O ile się nie myślę, młodzież okupowała bar w piwnicy.

I nie jest wykluczone, że przyjdzie mu w tym momencie myśl całkiem prawie niedorzeczna, że któryś z młodych przywiózł ze sobą Nike. Więc poplednie, lekkie pulsowanie serca poczuje w krtani i chociaż będzie wiedział, że niezupełnie może być pewien swego głosu, powie:

— Jeżeli byś miała ochotę, możemy zejść razem. To może być zabawne.

Na to Halina Ferens, jakby się znalazła na estradzie wobec szczerze wypełnionej widowni, lekkim i trochę niecierpliwym gestem odrzuci głowę do tyłu i w tej postawie zastygnie, ponieważ głęboki ukłon, jaki dopełniał zazwyczaj ten inicjujący gest, tu, w rozmowie intymnej, nie znajdzie zastosowania, pozostanie zatem w tej pozycji trochę

nienaturalnej dzięki niedokończeniu i powie o wiele za głośno, jakby w osobie znakomitego pisarza miała przed sobą nie kuzyna, lecz rozległą salę koncertową:

— Zabawne? Myślisz? Obawiam się, że tylko dla nich.

A po chwili już zwyczajnie, chyba nawet z akcentem serdeczności:

— Nie kochany, co cesarskie, zostawmy cesarzowi, a co boskie Bogu.

Natomiast Nagórski, wciąż niedorzeczną nadzieją usztywniony, więc trochę bez sensu:

— Cóż my wiemy o bogach?

— Twój Leonardo z *Ostatniej godziny*...

— On też nie wiedział, może nawet mniej w tej materii wiedział niż inni. Tak już zdaje się jest, Halinko, że im więcej wie człowiek o życiu, tym mniej w nim rozeznania w miłości, czy, jak ładnie powiedziałaś, w sprawach boskich. Natura jest przewrotna i lubi się manifestować poprzez gwałtowne skrajności, lecz w istocie natura zawsze dąży do równowagi i gdy bywa dla człowieka szczodra aż w nadmiarze, bogacąc jego umysł i świadomość, bierze równocześnie zawistny, a może po prostu roztropny odwet, mącąc intymną kondycję wybrańca służebnym rozkładem, ba! nawet zawstydzającym niewolnictwem.

— Nie wiem, Adam...

— Ja też wielu rzeczy nie wiem.

— Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć.

— Że mówię jak zakochany?

Spadkobierczyni międzynarodowej glorii, uświęconej nazwiskami Patti, Melby, Sembrich-Kochańskiej i Callas, z pewnością roześmieje się w tym momencie bardzo głośno i bardzo szczerze, jakby to była dziesiąta rano i w jej paryskim mieszkaniu na *avenue Marceau*, Aimo Immonen, w zgnilozielonym golfie i w dżinsach z czarnego sztruksu, ale bosy siedział przy fortepianie, a ona lekkomyślną i przewiewną, poranną tkaniną owinięta od ramion aż po stopy, z głową lekko do tyłu przechyloną, lecz spod czujnie wółprzymkniętych powiek (trochę obrzmiałych) dostrzegając nagość tych młodzieńczych stóp, których kształt oraz gatunek skóry poznały na pamięć jej wargi, wyrzuciła z nie dość jeszcze po nocy rozluźnionego gardła pierwszą partię przedwiczebnych tonów — — —

W głębi sali z niebiańską kopułą z gniazdami u szczytu, przy stole z trunkami, Stefan Otocky, Beata Konarska oraz Łukasz Halicki.

Stefan Otocky (ogromny, zwalisty, z twarzą tapira):

— Dzieci, ona ma siły kosmonauty, ta Ferens!

Beata Konarska (drobna, z bardzo jasnymi włosami opadającymi na ramiona, podługne, zielonkawe oczy):

— Myśli pan, dyrektorze, że polecą na Księżyc?

Stefan Otocky:

— Daj wam, boże, takie siły na stare lata, moje dziatki.

Łukasz Halicki (wysoki, wysportowany brunet):

— Nie damy rady, panie dyrektorze, my jesteśmy sfrustrowani, szybko wysiądziemy, sumienia mamy wilgotne.

Beata:

— Buty mnie bołą.

Łukasz:

— Pan rozumie, panie dyrektorze, nic się nie dzieje spontanicznie i przyszłość nie rodzi się automatycznie.

Beata:

— A mnie życie obrzydło, słońce mi obrzydło, czuję się, jak w beczcze nabitej gwoździami.

Otocky:

— To wszystko głupstwa, moje dziatki! Nie martwcie się, ja z was zrobię wielkich aktorów.

Łukasz:

— A co by pan zrobił, panie dyrektorze, gdyby pan miał milion dolarów?

— Milion?

— Też nie wiem, może bym muchy głodził między oknami? — — — —

Natura, Kondycja ludzka

Leopold Panek:

skoro prezes Panek, opuszczony przez Adama Nagórskiego, zostanie sam i w bliskim sąsiedztwie tróki: Otocki, Beata Konarska oraz Łukasz Halicki, jeszcze się wzmocni paroma koniakami (a chyba to uczyni), wówczas w blasku kryształowych żyrandoli, w tłumie i w gwarze, naraz się znajdzie — być może — w małej i już pustej o tej późnej wieczornej godzinie salce taniej mleczarni przy placu Teatralnym (teraz tym miejscu stoi nowoczesny blok, w którym mieszka Konrad Keller), za oknem śnieg i mróz, siedzą przy stoliku na wprost siebie, on w cienkim paletku z Kercelaka, duże i zsiniałe z zimna dłonie chowając pod marmurowym blatem stolika, ona w brajtszwancach z szerokim kołnierzem skunksowym, obca i daleka, prawie nieosiągalna w pochmurnej, gniewnej urodzie, milczą oboje nad szklankami stygnącej herbaty, a w obrotowe drzwi wejściowe wplątuje się akurat człowieczek w podniszczonej bekieszy, o twarzy smutnego gryzonia wylaniającej się mizernie spod wymiętego kapelusika, jest tak pijany, iż ledwie się na nogach trzyma i skoro raz wprawił w ruch owe zdradzieckie drzwi wejściowe, już się nie może z ich coraz szybszego obrotu wyslizgnąć, nie może ani do środka wejść, ani na ulicę wyjść, i tak dobrych kilka minut kołuje tym zamknięciu oglupiały, z przerażeniem w szklistych oczach, drobnymi rączkami wykonując niedokończone gesty, aż wreszcie, prawdopodobnie przypadkiem, silniejsze zachwianie się wyrzuca go na ulicę, za zaśnieżony i pusty trotuar, i tam, jakby się ostatecznie poddał niewidzialnej sile, jeszcze chwilę obraca się wokół własnej osi drobnymi kroczkami, mówi półgłosem: panno Zosiu, chce pani zostać moją żoną? i po chwili milczenia Zofia mówi z odległej przeszłości, przy stoliku mleczarni „Nadświdrzańskiej” z obrotowymi drzwiami, odgradzającymi to miejsce, tutaj, od śnieżycy wirującej na dworze, na placu Teatralnym, mówi: pan, panie Leopoldzie, chce mnie poślubić? i mówi: będę szczęśliwy, panno Zofio, a ona: dobrze, ja się zgadzam, ale jeżeli kiedykolwiek wypomni mi pan, nigdy — przerywa żarliwie — przysięgam, że nigdy, lecz ona, jakby go nie słyszała i tylko w swoje wnętrzości, wypełnione hrabiowskim pomiotem była wsłuchana: ja panu chcę zaufać, ale gdyby mi pan to powiedział za rok, czy za trzydzieści lat, odejdę, to będzie nasze dziecko, panno Zosiu — mówi i może się zdarzyć, że gdy to mówi zacierając pod stolikiem zmarznięte dłonie, przechodzący obok Stefan Raszewski, kto wie, czy nie w mundurze generalskim, aby w okolicznościach weselnej zabawy raczej przeszłość bojową i patriotyczną ofiarność przypomnieć zebrany, na drugi niejako plan usuwając swe obecne funkcje sekretarza KC, więc w mundurze generalskim (choć nie jest to całkiem pewne), korzystnie podkreślającym jego mocną, męską sylwetkę, zatrzyma się i przyjacielsko klepnie go po plecach.

— I co, stary! — powie — kiedyśmy siedzieli w lipskich bagnach, nie wyobrażałaś sobie, że twoja córka będzie miała takie wesele? szkoda tylko, że ci takiego zięcia wyszukała.

WTOREK, 31 MARCA

Ponieważ już po ukończeniu *Przygotowania*, w trakcie pracy nad częścią II wyłoniła się potrzeba stworzenia kilku postaci związanych zarówno ze Stefanem Raszewskim, jak i z Leopoldem Pankiem — nie zapomnieć, żeby te osoby wystąpiły w części I, trudno przypuścić, aby Panek nie zaprosił na przyjęcie weselne najbliższych przyjaciół, nawet uwzględniając, że pani Zofia nie obdarza tych ludzi żywszą sympatią.

Więc: Antoni Formiński — prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, Józef Halicki — sekretarz KC, ojciec Łukasza, Kazimierz Jaśko — redaktor „Panoramy Tygodnia”, Wojciech Konopka — pisarz, Marian Krystek — sekretarz KW w Warszawie oraz pułkownik Władysław Pasięka z MSW.

Niestety, nie widząc tych ludzi dość wyraźnie, znając jedynie wykonywane przez nich funkcje, a mało co o nich wiedząc od strony ludzkiej — pojęcia na razie nie mam, w którym miejscu i w jaki sposób wprowadzić ich na weselne przyjęcie. Mgła na mózgu, żadnego pomysłu. Wydaje mi się, że poza Formińskim, który z racji swego stanowiska zna większość zaproszonych gości, pozostali (a Wojciech Konopka?) powinni się trzymać raczej razem. Stefan Raszewski z wielu względów, zarówno osobistych (bo zajęty Panną Młodą), jak politycznych z pewnością nie będzie swym wiernym przyjaciołom poświęcać nazbyt wiele czasu. Co najwyżej jedną wódkę z nimi wypije. Formiński i Krystek,

a szczególnie Jaśko znani są ze swoich brutalnych wystąpień zeszłorocznych w czasie wypadków marcowych i po nich. Zdają sobie sprawę, że większość zebranych odnosi się do nich w najlepszym razie z rezerwą. Podejrzewam, że Wojciech Konopka, zdając sobie z tego stanu rzeczy sprawę, w ogóle w Jabłonie się nie zjawi. Możliwość spotkania obu Halickich: ojca i syna? A dyrektor Otocki? W zasadzie Otocki lubi podobne kontakty, nawet ich szuka, lecz w obecnym układzie towarzyskim raczej wolałby się nie afiszować z ludźmi tak jednoznacznie politycznie. Stefan Raszewski to co innego, Raszewski jest sekretarzem KC. Trudno, nic w tej chwili nie wymyślę.

Kłopoty, jakie sprawiają postaci epizodyczne pozostające w tle, bywają nieraz większe od trudności związanych z osobami pierwszoplanowymi, te drugie bowiem działając — określają się i kształtują w działaniu. Przypomina mi się znakomite powiedzenie naszego dawnego znajomego właściciela mydlarni na Bielanych, Bienka, który, gdy w czasie Powstania trudno było nieraz powziąć jakąś decyzję, mawiał: „Trzeba wyjść i zobaczyć, czy jest sytuacja, czy nie ma, a kiedy nie ma sytuacji, trzeba wyjść sytuacji naprzeciw”. Zauważyłem niejednokrotnie, że nawet najlepszy dialog, jeżeli nie jest związany z określoną sytuacją i z sytuacji nie wynika staje się sztuczny, zaprogramowany.

Więc zapamiętać, aby dla całej szóstki przyjaciół Raszewskiego i Panka (dla niektórych może z osobna) wymyślić konkretne sytuacje. Choćby uboczne, peryferyjne, lecz sytuacje. Wykorzystać postaci już ukształtowane, gdy wiadomo, kto jest kto. W zetknięciu z taką postacią, z jej wypowiedziami i odruchami postać słabo jeszcze zarysowana musi z konieczności ujawnić własne cechy charakteru. Tylko ludzie o dużej samoświadomości potrafią rozszyfrowywać i rozumieć innych. Stąd pozorny paradoks: introwertycy w sposób bardziej czujny i chłonny aniżeli typy ekstrawertyków otwarci są na ludzi i świat.

Wiedza

Mimo nie najlepszego samopoczucia (dla odmiany znów, po paru dniach śniegów i zimna, wspaniała pogoda słoneczna, a temperatura podniosła się do 12°C) cały rano, od dziesiątej do drugiej, nad maszynopisem *Miazgi*, z wyobraźnią raczej leniwą i ospałą, zresztą na razie działając przy samym brzegu, więc dość powierzchownie wciągnięty w nurt fikcji, co sprawia, że bez żywszego zadowolenia natomiast solidnie, jak mi się wydaje, wykonuję strona po stronie to, co jest od paru tygodni zaplanowane, świadomie sprowadzając pracę do drobnych poprawek stylistycznych oraz wynotowywania w *Dzienniku* stron i sytuacji brakujących, a także momentów notorycznie wątpliwych. Skoro gnuśna wyobraźnia drzemie, trudno przewidzieć, co by działała w stanie ożywionej pobudliwości. Nastroje skrajne nie towarzyszą zazwyczaj sprawności rzemieślniczej. Do tekstu, który na nowo odczytuję po kilku miesiącach, kiedy do niego nie zaglądałem, nie mam właściwie żadnego stosunku: ani mi się podoba ani nie podoba.

pod wieczór

Jednak zbyt zaabsorbowany myśleniem o *Miazdze*, żebym się mógł zdecydować na którąś z współczesnych, czekających na przeczytanie książek. Ostatecznie sięgnąłem po *Iliadę*, którą chyba po raz pierwszy od czasów uniwersyteckich przeglądałem przed paroma dniami w związku z lekturą książki Margarete Riemschneider.

W pieśni XXI wspaniała opis rzezi, gdy Achilles, mszcząc śmierć Patroklesa, pustoszy szereg Trojan. I przejmująca śmierć syna Priama, młodego Likaona. Nie dość rozwścieczonemu Achillesowi, że w okrutny sposób morduje bezbronnego i błagającego o litość młodzieńca, miecz topiąc w jego brzuchu, jeszcze do trupa wrzuconego w rzekę woła:

Leż pomiędzy rybami w wilgotnej krainie!
Niech piją krew bezpiecznie, która z rany płynie.
Nie złoży cię na marach matka rozkwilona
Skamander do morskiego zanieś cię łona,
Gdzie z czarnych wyskoczywszy wałów potwór wodny,
Twym ciałem, Likaonie, nasyci brzuch głodny.

Wszystko, co w oparciu o greckie mity stworzyła sztuka późniejszych wieków, wydaje się mdłe i pozorne w porównaniu z gwałtownymi namiętnościami, krwawością i okrucieństwem starożytności. Może jeden Pasolini osiągnął tę surową prawdziwość w *Edypie*. Jak szkoda, że nie mogę zobaczyć jego *Medei*!

ŚRODA, I KWIETNIA

Jeszcze w związku z zanotowanymi wczoraj kłopotami: pokusa, zresztą nie nowa, aby się nie krępować (nie jest to w tym kontekście czasownik najwłaściwszy) i wykorzystać do własnych potrzeb postacie autentyczne. Nie miesza mi na ogół żadnych złudzeń wobec „złodziejskiego” charakteru pisarstwa, mało też skrupułów, gdy w sposób mniej lub bardziej jawny korzystam z realiów, związanych z ludźmi żyjącymi. Właściwie w ciągu wielu lat, gdy piszę i publikuję, dwie tylko osoby poczuły się przeze mnie dotknięte: nieżyjący już dyplomata, który w swoim czasie, obrażony za żonę, wystosował do mnie dość ostry list, sądził bowiem, że świadomie i w złośliwej intencji obdarzyłem jego nazwiskiem mało sympatyczną postać kobiecą w *Popiele i diamentach* i drugim był Witold Gombrowicz, sądząc po listach, które otrzymałem od niego z początkiem roku 1967 (byłem wtedy we Francji), głęboko dotknięty pewnym fragmentem *Idzie skacząc po górach*, fragmentem — przyznaję to — świadomie z mojej strony prowokującym go, a poza tym naprawdę zrozumiałym tylko dla niego samego i bardzo małego grona szczególnie bystrych czytelników. Sprawdziłem i przed nieporozumieniem z Gombrowiczem, i również po nim, że nawet ludzie bardzo dobrze znający *Dziennik* tego wielkiego pisarza nie zorientowali się, że pewna kwestia wypowiedziana przez jedną z postaci mojej powieści jest dosłownym cytatem z *Dziennika*. Sprawa wydaje się ostatecznie dość błaha, wciąż jednak tkwi we mnie przykra zadra, że Gombrowicz tak bardzo poczuł się dotknięty moim sztubackim figlem i że nigdy w cztery oczy nie będę już mógł wyjaśnić mu zarówno moich intencji w tym wypadku, jak i mojego stosunku do jego osoby i jego twórczości. Nic już nie odmieni faktu, że moje stosunki z pisarzem, którego z żyjących polskich pisarzy najbardziej podziwiałem (ale równocześnie jak często mnie drażnił i irytował!), zawsze, jeszcze przed wojną, układały się niedobrze.

Literat, Sztuka

Wracając do skrupułów: ogarniają mnie one wówczas, gdy wchodzę w sferę polityki. Cóż prostszego — dać się beztrząsowo ponieść zabawowemu żywiołowi sztuki i np. Formińskiego ukształtować na „obraz i podobieństwo” Iksa, o którym jeden z jego przyjaciół mawiał przed kilkoma laty, iż tak się przyzwyczaił do pływania, że nawet pierdoli pływając. Lecz Formiński, ulepiony z zawilej i dramatycznej (jak nieomal wszystkie życiorysy polskich komunistów) biografii Iksa, także z jego towarzyskich uroków, i z jego rozbrajającego cynizmu, i z jego wielokrotnych małżeńskich związków z dziewczynami, które mogłyby być jego córkami (ostatnia jest nawet młodsza), zawsze nie na samych szczytach, lecz niezmiennie od dwudziestu pięciu lat na wysokim, kierowniczym stanowisku — taki Formiński jako postać epizodyczna, sprezentowany³⁰ tylko w swych życiowych realiach, więc od zewnątrz, musi być odczytany jako wyraz łatwej satyry, ponieważ w takim powierzchownym skrócie odjęte mu zostaną te wszystkie elementy, które równoległe do działania, a nieraz przeciw niemu kształtują najbardziej intymne życie jednostki. Czy Iks posiada niekiedy świadomość, że mimo zewnętrznych pozorów przegrał w istocie życie? A jeśli tak, co wtedy odczuwa i myśli? Ugniata go zbliżająca się starość? Czuje wstręt do frazesów, które tak często wygłasza i publikuje? Nie obmierza mu konieczność owego bezustannego „pływania”, aby się nie potknąć, nie poślizgnąć, nie popaść w niełaszkę, nie zlecieć z wysokiej drabiny?

W ubiegłym tygodniu, na pewnym dosyć licznym, choć prawie w ostatniej chwili zaimprovizowanym przez gospodarza zebraniu towarzyskim spotkałem Igreka, którego widuję rzadko, lecz znam od wielu lat, lubiąc go i ceniąc. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że jego poglądy osobiste nie zawsze się pokrywają z wypowiedzianymi publicznie, nie przypuszczałam jednak, że aż tak radykalnie. Nawet dla mnie, tak świadomego

Władza, Szulczalność, Fałsz

³⁰sprezentowany — zaprezentowany; przedstawiony. [przypis edytorski]

rozdwojenia rozczepiającego miliony Polaków, prawie półgodzinna rozmowa z Igrekiem była rewelacją. Nie chciałbym tego zjawiska, powszechnego w ustroju totalnym, nazywać dwulicowością lub oportunizmem. Korzystając z maksymalnej niezależności, jaką w obowiązujących tutaj warunkach może jednostka osiągnąć, niezależny przede wszystkim finansowo, więc niezmuszony do zarabiania na życie wbrew przekonaniom, niezmuszony do brania udziału w życiu publicznym wbrew sobie — nie czuję się uprawniony do bezkompromisowego osądzania tych wszystkich, którzy z takich czy innych względów muszą (nieraz chcą) żyć i działać w ściślejszym przymierzu z przymusem, aniżeli ja. Nie byłbym zresztą pisarzem, lecz kamiennym tłukiem, gdybym — dostrzegając ogrom zniszczeń trawiących naszą egzystencję narodową w jej społecznych i moralnych przede wszystkim wartościach — nie potrafił jednocześnie i nie umiał dostrzec, jakie konflikty wewnętrzne prowokuje owo godne pożałowania rozszczepienie świadomości, ile goryczy osiada na kłamiących wargach, i jak trudne i ciężkie mogą być (choć nie zawsze muszą) samotne godziny nawet tych, których opatrzone do znudzenia twarze znamy z pierwszych stron dzienników, z kronik filmowych i z transparentów.

Naprawdę, wielką bym miał ochotę ubrać Formińskiego w kostium Iksa, a dla redaktora *Panoramy Tygodnia*. Kazimierza Jaśko, wypożyczyć odzież u dr K.K. Może tak i zrobię, lecz nie wcześniej niż znajdę dla nich *szansę*.

I gdy odejdzie blaskiem orderów rozświetlając blask sali z niebiańską i rozgwieżdżoną kopułą u szczytu, prezes Panek powtórzy zapewne, lekko mamrocząc: to będzie *nasze* dziecko, nie — ona na to blisko przy chłodnym stoliku z marmurowym blatem, w brajtszwancach, nad szklanką wystygłej herbaty, pochmurna i obca, a trochę dalej: w głębi salonu, wielka i tęga, w nazbyt wydekoltowanej sukni, otoczona kilkoma młodymi aktorami (wśród nich Łukasz Halicki?, a może raczej nie młodzi aktorzy, lecz red. Jaśko i sekretarz KW, Krystek?), mówi przy zimnej herbacie: Leopold, to nie jest i nigdy nie będzie *nasze* dziecko, więc on zacierając pod stołem zmarznięte dłonie: kochasz go?, i gdy ona, ciemna i pochmurna, milczy, on mówi z żalem: mnie nigdy nie pokochasz, jak jego, wówczas ona: bo pana, panie Leopoldzie, nie umiałabym znienawidzić, i po chwili: panem mogłabym gardzić, ale nie nienawidzić, teraz — będzie mógł w tym momencie pomyśleć Panek — teraz to zrobię, tak, zrobię to, muszę to zrobić, i skoro wypije jeszcze parę koniaków (młodzi: Beata oraz Łukasz z bliskiego sąsiedztwa już najpewniej znikną), wówczas cokolwiek niespodziewanie dla samego siebie brnąc po kolana w grząskim błocie, z ciężko dyszącym Stefanem (pseudonim w Gwardii Ludowej „Feliks”, po Dzierżyńskim) na plecach, brnąc przez ciężkie błoto w ciemności skamieniałej puszczy, chrząszczącej chrapliwymi oddechami, pójdzie poszukać Ksawerego, brnąc po kolana w ciężkim trzęsawisku, i ostrożnie stąpając po gładkiej i śliskiej tafli pałacowej posadzki, nie wydaje się wszakże, żeby go odnalazł, Ksawery w tym stadium weselnego przyjęcia, znudzony salonami i podążając kapryśnymi śladami Marka Kurana, poszuka zapewne towarzystwa młodych, a ci już od dość dawna — jak to zdążył zauważyć Adam Nagórski — ściągają do piwnicy, przyozdobionej freskami z czasów księcia Poniatowskiego, gdzie normalnie funkcjonuje jadalnia dla gości pensjonatowych, a dzisiaj bar obsługiwany przez pana Edka z nocnego „Bristolu”, niegdyś w prehistorycznych czasach zaufanego lokaja Karola Wanerta, więc gdy prezes Panek, nigdzie na salonach syna nie znajdując, zdoła się wydobyć z ciemnych bagien i trzęsawisk, aby zejść krętymi schodkami na dół (a uwzględniając stan ducha, w jakim się znajdzie, wchodziłby równocześnie po szerokich, marmurowych schodach, pałacu królewskiego w Hadze, usztywniony tużurkiem, z gardłem wyschniętym i z dłońmi spotniałymi, aby złożyć za chwilę listy uwierzytelniające królowej Julianie) i tam, w piwnicy, od razu ogarnięty rozwydrzonym zgiełkiem big-beatu (zespół „La Da Co” w komplecie: Leszek Bogucki — kierownik zespołu, śpiew, Krzysztof Lazarowicz — śpiew, Michał Otockki — gitara i śpiew, Jacek Lasota — gitara, Marek Soja — gitara basowa, Ryszard Pająk — perkusja; poza tym wokół baru m.in. Ksawery, Marek Kuran, dziewczyny Michała Otockiego: Jola, Magda, Zula i Mirka, o których mówi zwykle „moje zwierzęta”, także Aimo Immonen, Beata Konarska, Łukasz Halicki i Maciek Zaremba, ulubiony aktor Wanerta, chociaż ostatnio znakomity reżyser część swych sympatii i nadziei przeniósł na Halickiego) —

PIĄTEK, 3 KWIEŃNIA

Wczoraj mimo dwóch kaw i pierwszego z serii zastrzyków (wit. B plus tenofosphan), zbyt cały dzień ospały, żeby pracować. Wcześniej się położywszy, spałem prawie dziesięć godzin, co mi się już od dawna nie zdarzyło. Całą noc musiał padać śnieg, bo rano, wciąż przy gęstej śnieżycy, świat dosłownie zasypany, drzewa uginają się pod szadzią, Boże wielki, kiedy się ta zima wreszcie skończy?

Zastanowić się, czy wśród młodych nie powinien się również znaleźć Antek Raszewski. Ale chyba nie. W skorzystaniu z zaproszenia przeszkadzałyby mu przede wszystkim świadomość, że byłby na tym przyjęciu gościem głównie w charakterze syna swego ojca, poza tym nazbyt jeszcze świeże są w nim przeżycia związane z Magdą Jackowską po wczorajszym koncercie w Filharmonii; na tej scenie z części II potknąłem się jeszcze w styczniu, mdło mi się robi na myśl, że za ileś tam dni będę musiał do niej dotrzeć i coś z nią zrobić. Nie mogłem się również do tej pory zdecydować, w którym momencie umieścić tekst eseju Antka o *Ostatniej godzinie* Nagórskiego (*Nie cofa się ten, kto związał się z gwiazdą*):

w części II, kiedy Celina Raszewska po powrocie z koncertu czyta ten tekst? czy raczej dopiero w części III, gdy otrzymuje go Adam Nagórski? Ale to sprawa do rozstrzygnięcia na potem.

Natomiast nie zapomnieć, że jako *postać* zupełnie się zagubił najmłodszy syn Panków, Gustaw. W *Życiorysach* mam tylko krótką informację: ur. 12 IX 1949 w Białymstoku, syn Leopolda Panka i Zofii z Motylów. W notatkach także żadnych bliższych informacji. O ile mnie pamięć nie zawodzi, w maszynopisie straconym w Stuttgarcie, była scena, w której Gustaw późną nocą z piątku na sobotę wraca pijany do domu i rozmawia z Moniką, która akurat odebrała telefon od Konrada Kellera, rozbudzonego dotkliwym bólem zęba, zupełnie jednak wyleciały mi z głowy szczegóły tej sceny. Ponieważ tamta wersja rozgrywała się w roku 1965, Gustaw miałby zaledwie lat szesnaście, wydaje mi się jednak, że był urodzony wcześniej i akurat zdawał maturę. Teraz ma lat prawie dwadzieścia, brakuje mu do dwudziestki pięciu miesięcy. Co z nim zrobić? Udany, wykolejony? A jakies dzieci powinni też mieć Furmiński, Jaśko i pozostali prócz Halickiego, który ma Łukasza. Nie jestem w nastroju do „rodzenia”.

— chyba się cofnie, spłoszony widokiem rozochoczonej młodzieży, a jeśli nie zdąży uczynić tego w porę i zostanie zauważony, z pewnością Marek Kuran dostrzeże go pierwszy i w takim razie, choćby dla zrobienia na przekór Ksaweremu, nie odmówi sobie wygrania tak nieczęstej sytuacji i zawoła dość głośno, aby przekrzyczeć wrzawę big-beatu:

— Prosimy, panie prezesie, do nas!

Wówczas Panek wobec tych młodych, rozognionych twarzy i ciszy, jaka naraz w piwnicy zalegnie, nie będzie się już mógł wycofać, będzie zatem musiał ociążałemu ciału, z trudem się wydobywającemu z gęstych lipskich bagien, nadać niejaka godność, a twarzy ojcowsko-koleżeńską swobodę i powiedzieć głosem, którego brzmienie jemu samemu będzie się musiało wydać nieco fałszywe:

— Cześć! jak się panowie bawicie?

— *Who's it, Luke*³¹? — spyta Aimo Immonen, obejmując Łukasza Halickiego za szyję.

— Jeden z bohaterkich twórców naszej ludowej ojczyzny — odpowie Halicki.

— *Go with me to Paris, Luke. Madame Ferens will make a great artist of you*³² —

— Prometeusz, *panimajesz*³³? A *Hermes eto ja*³⁴.

³¹*Who's it, Luke* (ang.) — kto to jest, Łukaszu. [przypis edytorski]

³²*Go with me to Paris, Luke. Madame Ferens will make a great artist of you* — Jedź ze mną do Paryża. Pani Ferens zrobi z Ciebie wielkiego artystę. [przypis edytorski]

³³*panimajesz* (z ros.) — rozumiesz. [przypis edytorski]

³⁴*eto ja* (z ros.) — to ja. [przypis edytorski]

— Słuchaj, stary — wepchnie się pomiędzy nich Maciek Zaremba — moja żona od trzydziestu godzin rodzi i nie może urodzić. Co ja mam robić?

Natomiast Marek Kuran, lekko swymi ładnymi, choć trochę niespokojnymi, oczami zezując w stronę wyraźnie zażenowanego eks-asystenta przy katedrze historii filozofii współczesnej, a i z uśmiechem chłopięco przymilnym powie coś w tym rodzaju:

— Wie pan, panie prezesie, co się stało?

— Gdzie? — spyta niechybnie Panek.

Na to młody poeta:

— W autobusie pospiesznym D, dzisiaj o dziesiątej rano.

— Niestety — wówczas prezes PIP-u — komunikacja to nie mój resort.

Marek Kuran:

— Wiem, panie prezesie, ale w potężnym królestwie socjalistycznej prasy, która też jest swego rodzaju zaplanowaną komunikacją, a nawet komunią, dobrze jest wiedzieć, co się dzieje u sąsiada, nie? Otóż to było tak: pewien czteroletni chłopczyk, bawiąc się dziś rano w żołnierza, wsadził sobie na głowę nocnik, ale manewrował nim tak nieostrożnie, iż niebawem cała jego głowa w helmie uwięzła, wtedy przerażona matka, gdy jej wysiłki uwolnienia syna okazały się daremne, owinęła nocnik ręcznikiem i pośpiesznym autobusem D pojechała z dzieckiem do Ubezpieczalni. W autobusie, panie prezesie, chłopczyk, wyglądający na ofiarę ciężkiego wypadku, przez całą drogę, choć w odstępach przerywanych ciszą, skarżył się głosem głucho, lecz i donośnie się wydobywającym spod zamaskowanego naczynia: dusno mi, ciemno mi, pić mi się chce!

Nie wydaje się, aby Panek, gdy po momencie ciszy, rozlegną się wokół śmiechy i chichoty, przyłączył się do ogólnej wesołości, raczej z kamienną twarzą, jakby siedział za swym biurkiem w Polskim Instytucie Prasowym lub na akademii, za stołem prezydialnym, powie:

— Mam nadzieję, że w Ubezpieczalni poradzono sobie z tym przykrym wypadkiem, nasze szpitalnictwo stoi na wysokim poziomie, mamy wielu dobrych i ofiarnych lekarzy.

Wtedy młodziawy autor *Leukocytów* (rocznik 1946) czując wokół atmosferę wzrastającego napięcia, spyta:

— Ile forsy, panie prezesie, wyciąga teraz miesięcznie facet w randze ministra, ale tak ze wszystkim, z dodatkiem?

I nim Panek zdąży odpowiedzieć, tamten:

— Chyba jednak mniej niż pewien czteroletni ogier francuski imieniem Match, kupiony niedawno w Anglii przez British Bloostock Agency za 250 000 funtów, już nie mówię o tu obecnych, my jesteśmy młodzi, dwulatki, ale kogo z tych na górze i w ogóle w Polsce kupiono by za taką cenę? A wie pan, panie prezesie, ile ten ogier wygrał forsy w czasie swojej kariery na torach? Prawie dwa miliony nowych franków, znaczy czterysta tysięcy dolarów!

— Ten gówniarz, Kuran, ma podobno talent — powie później Panek, gdy ponownie zetknie się ze Stefanem Raszewskim.

Na to Raszewski:

— Talent to nie wszystko, zresztą i z oceną talentu lepiej poczekać.

— Właśnie, gówniarz za dużo sobie pozwala.

— Wiem, nie on jeden, ale całe zagadnienie na tym stoi, że oni nie są tacy mądrzy, jak o sobie myślą, a my nie tacy głupi, jak oni sobie wyobrażają. Gdzie są te młode geniusze, w piwnicy?

Panek:

— Mówię ci, Stefan, gówniarz za dużo sobie pozwala.

— Nie szkodzi — odpowie Raszewski — im więcej narozrabia, tym prędzej podpadnie. Nie bądź naiwny, Poldek. Wróg, jak już nic nie może, mobilizuje gówniarzy, znamy to.

A ponieważ Panek wciąż nie będzie pewien partyjnej oceny przyjęcia w Jabłonnie, z pewnością zapragnie, aby ktoś bardziej od niego w tej drastycznej i skomplikowanej sprawie autorytatywny całą rzecz przyjaźnie naświetlił, zatem zgodne byłoby z jego stanem ducha, gdyby właśnie teraz, w owej żmudnie, a i cokolwiek niefrasobliwie kształtującej się przyszłości, Stefan Raszewski zechciał się okazać dobrym starym kumplem i szczerze, jak w partyzantce, z własnej inicjatywy w sedno sprawy wszedł i męsko stwierdził:

— Powiem ci, Poldek, w zaufaniu, że z twoim weselem były kłopoty.

— Nie? — z nieszczerym zdziwieniem zaniepokoił się Panek.

Raszewski:

— Dobrze wiesz, stary, że towarzysze z kierownictwa nie lubią takich historii. Jak mnie pierwszy raz powiedziałaś o Jabłonie, ja na to nic, ale pomyślałem sobie, że to może nie przejść.

— Jak to nie przejść?

— Tobie! O ciebie, Poldek, chodzi. Rany boskie, jesteś jak ślepa kura, naiwniak, nawet nie wiesz, ile ryje dokoła ciebie i świnie chcieliby ci podrzucić. Takie jest życie, Poldek, naprostuj się!

— To moja żona wymyśliła, wiesz, jaka ona jest. Mnie te szopki nie bawią.

— Wiem.

— No więc?

— Mówię ci, ślepa kura jesteś. Gównu widzisz. Towarzysze z kierownictwa dobrze wiedzą, jaki jesteś. Ale co z tego? Co im miałem powiedzieć, kiedy spytali, ile wesele twojej córki będzie kosztować! No!

— Keller wszystko płaci, ja grosza nie dałem.

— Nie dałeś, powiadasz?

— Przysięgam, Stefan!

— Ty mi nie przysięgaj, bo ja lepiej od ciebie wiem, co dałeś, a czego nie dałeś. Po to jestem, żeby wiedzieć. Ty istotę zagadnienia zrozum!

— Niby co?

— Ech, ty! zemdlałeś, stary, co ci w tej starej głowie chlupie? Gdybym nie był twoim starym kumplem, to bym ci dał w dupę takiego kopa, że byś się, stary, do końca życia nie pozbiarał. Co ty mi bajasz, kto za to wszystko zapłacił? Z takimi, jak ty, ja mam robić politykę? Pierdole was wszystkich. Wiem, kto zapłacił. I co z tego?

— Rany boskie, Stefan, czego się gniewasz?

— Nie płacz, ja jestem spokojny, jak drut. A ty sobie załaduj w tę zrogowaciałą łepetynę: dla towarzyszy z kierownictwa sprawa tak stoi, że na wesele córki starego i zasłużonego towarzysza urządza się przyjęcie w Jabłonie, czort z tobą, kto płacił, kto nie płacił! Jest przyjęcie? Jest. Duże przyjęcie. I kto ma być na tym zasranym kiblu? Gówno, artystyczno-intelektualne gówno. Ale nie tylko. Jeszcze towarzysz Panek z małżonką i kilkunastu przyjaciół z aparatu i z rządu. Przede wszystkim ja! Stefan Raszewski! Nie wyglupiaj się, stary! Znasz mój telefon! No! Kto cię dzień po dniu ustawia? Jeżeli jesteś durniem, nie rób z siebie większego i nie preparuj takich historii jak ta, za moimi plecami.

— Stefan! — jęknę najpewniej w tym momencie Panek — ja już czasem wysiadam, już nie mogę, sił nie starcza.

— Siedź na dupie, póki siedzisz, i mądrzejszych od siebie słuchaj.

— Siedzę, Stefan, ale co ja takiego zrobiłem? To nie moja wina.

— Przestań pierdolić!

— Zmęczony jestem, Stefan.

— Chcesz w mordę?

Więc się najpewniej w tym momencie Panek, jeszcze przed chwilą osłabły i w sobie sflakowaciały, wyprostuje.

— Bij, Stefek — powie z determinacją — bij!

Wówczas Raszewski całkiem spokojnie:

— Słuchaj, stary, ile miesięcy musiałyby pracować robotnik, nauczyciel albo urzędnik z twojego resortu, żeby takie wesele córce zafundować?

— Czy ja wiem? Rok, może więcej?

— No więc! Elita się bawi, taka gadka pójdzie na Polskę, a jak elita się bawi, znaczy szasta forszą, a jak szasta forszą, znaczy łatwo jej forsa przychodzi i łatwo leci, a to nie może zrobić dobrego wrażenia i słusznie nie zrobi dobrego wrażenia, zwłaszcza teraz, zastanów się, stary, dwudziestopięciolecie, wybory do sejmu, trudności ekonomiczne i w ogóle cała złożona sytuacja międzynarodowa, w naszym obozie też, co ci zresztą będę mówić, sam chyba wiesz.

— Jasne.

Władza, Robotnik,
Pieniądz, Polityka

— Więc ci krótko powiem, owszem, były w kierownictwie opory, nawet duże, słuszne opory, ale ja, zanim miałem referować całą sprawę, gruntownie wszystko sobie przedyskutowałem, i tak, i tak, no więc obiektywnie: ocena strat, szum dokoła tego, gadanina, przesadna gadanina, jak zawsze, dobra! szum jest, pokisi się, poskwierczy i wygaśnie, sprawa znów nie taka pryncypialna, żeby sąd i smród długo pozostał, ale oczywiście samego faktu szkodnictwa negować ani nie doceniać nie należy. A drugie pytanie: czy tylko szkodnictwo może z tego wynikać, może i jakieś pozytywne elementy dadzą się znaleźć? I przy wnikliwszej analizie okazało się, że owszem, takie pozytywne elementy są, trzeba je tylko umieć rozpoznać. Wiesz, stary, jaka jest sytuacja w tej całej zaszrannej kulturze? Niedobra, wciąż niedobra. Daliśmy im w marcu w dupę, ale poniektórzy z nich mają twarde tyłki, dużo za twarde, jak na budowę socjalizmu. Otóż obiektywnie oceniając sytuację, trzeba sobie jasno powiedzieć, że w pewnych okolicznościach korzystniejszy bywa koniak niż wielogodzinna dyskusja. Teraz, stary, już nie te czasy, żebyśmy potrzebowali kogokolwiek przekonywać, w obecnej sytuacji interesuje nas przede wszystkim dokładne rozpoznanie, informacja, pogłębienie naszej wiedzy o środowisku, o tych czy innych osobnikach ze środowiska, a ratować, zbawiać, na siłę wyciągać z błędnych albo wręcz wrogich poglądów, to już nie ten etap, dwadzieścia pięć lat ciężkiej orki mamy za sobą, to coś znaczy, teraz samym talentem nikt nam nie zaimponuje, to już nie jest dla nas legitymacja, stać nas na to, żeby zrezygnować z różnych panów Nagórskich i kilkusetu innych, którzy sobie wciąż wyobrażają, że w tym kraju można swobodnie uprawiać ideowe sobiepaństwo, rzecz więc w tym, żeby wiedzieć, jak głęboko i gruntownie kto jest chory, owszem, wiemy dużo, ale nie zaszkodzi, jak będziemy wiedzieć jeszcze więcej. Kiedy wróg pije i się bawi, władza się umacnia. Kapujesz teraz, stary, dlaczego wesele twojej córki przeszło?

— Ty masz głowę, Stefan!

— Każdy ma głowę, trzeba tylko głową myśleć w sposób prawidłowy, co poniektóre tutaj znakomitości mają w głębokiej pogardzie. No, stary, można powiedzieć, że nagadaliśmy się za wszystkie czasy, ale teraz koniec, kropka! jesteśmy na weselu, a nie na konferencji, trzymaj się! aha, jeszcze jedno przy okazji. Jak się układają twoje stosunki ze starszym synem?

— Prawie go nie widuję.

— Wiesz, mnie on osobiście ani grzeje, ani ziębi, ale ty jesteś moim starym kumplem, zajmujesz odpowiedzialne stanowisko, powiedz mu więc kiedy przy okazji, żeby on na siebie uważał, po marcu tylko ze względu na ciebie nie wyciągnęliśmy wobec niego wszystkich konsekwencji i tylko zdjęliśmy go z asystentury.

Panek (z pewnością cokolwiek błędnie lub czerwieniejąc):

— Znów robi coś nie tak?

— Co on robi nie tak, jak robią normalni mężczyźni, to ty, jeżeli nie jesteś ślepy, powinieneś wiedzieć najlepiej. Ale to mnie nie obchodzi, to nie mój resort. Powiem ci nawet więcej: jak on już taki jest i lubi się otaczać chłopczkami, to zamiast prowadzić z nimi tak zwane dyskusje ideowe, niech lepiej gada z nimi o dupie. Przekaż mu to.

— On mnie ma za nic, Stefan.

— To sprawa jego i twoja. Ale niech uważa, żebyśmy go nie musieli ciachnąć po jajach. Byłoby mi przykro, stary, ze względu na ciebie. Cześć stary! poszukam panny młodej.

W związku z tym, co o działalności Ksawerego Panka mówi Raszewski, zwrócić uwagę, że ten wątek ważny w obecnej egzystencji Ksawerego całkiem został zagubiony, dzięki czemu obraz Ksawerego, usuniętego po marcu na margines życia publicznego, zawęził się jednostronnie do utrapień erotycznych, co zresztą Raszewski chętnie by widział. Nie zapomnieć zatem, że jeśli nie w części I; to koniecznie w części II trzeba będzie wyeksponować bliskie powiązania Ksawerego (również jego rolę inspirującą) z młodzieżową grupą poetycką „Atentat”, która gromadzi młodych zamieszanych w wypadki marcowe, usuniętych przeważnie z wyższych uczelni, a również i mających poza sobą w kilku przy-

padkach wielomiesięczne śledztwo w więzieniach. Koniecznie wrócić do tej sprawy przy scenach w części II, w których występuje Ksawery Panek.

Więc Panek, z samym sobą w tym momencie pozostawiony, już prawie trzeźwy, choć daleki od wewnętrznego opanowania, raczej żony niż pierwotnego poszuka i dzięki podobnemu układowi sytuacji w sposób niejako ostateczny nie odbędzie się owa zamierzona pierwotnie w podjudzających oparach alkoholu intymna rozmowa ojca z synem, ów trochę szokujący dialog, który zgodnie z ryzykownymi i desperackimi intencjami ojca przebiegłby, gdyby mógł przebiec, zapewne tak:

Ojciec:

— I cóż, mój *synu*, bawisz się, jak widzę.

Syn:

— Przy pewnym nadużyciu fantazji można to nazwać zabawą.

— *Tutaj* powinienś się świetnie bawić, jesteś przecież u siebie.

— O ile się nie mylę, to w świetle światopoglądu naukowego każdy obywatel Polski Ludowej w każdym miejscu jest u siebie w charakterze gospodarza.

— Zostaw te niewybredne kpinki dla swoich studentów.

— Zapomniałeś, że już od roku nie zatravam studenckich umysłów.

— Moje informacje, niestety, tego nie potwierdzają.

— Towarzysz Raszewski?

— O tym później, nie tutaj i nie teraz, na razie przyjmij do wiadomości, że ja mówię poważnie, ponieważ tu, w Jabłonie, jesteś u siebie w sensie dosłownym, chociaż jeśli chodzi o prawną stronę, to dosłowność jest trochę nadpsuta. Jeszcze nie rozumiesz? Niesłychane! A podobno mówią o tobie, że jesteś taki inteligentny.

I chcąc bezbłędnie osiągnąć zamierzony cel, powiedziałby krótko, lecz za to dobitnie:

— Hrabia!

Syn:

— Upiłeś się!

Ojciec:

— Jasne: dlatego powierzam ci rodzinną tajemnicę. Trzydzieści parę lat temu twoja matka powiedziała, że gdybym kiedykolwiek tę tajemnicę zdradził, to mnie porzuci, a ja wówczas przysiągłem, że nigdy tego nie uczynię. Jak widzisz, nie dotrzymałem przysięgi, przekonamy się teraz, co twoja matka uczyni.

A cóż Syn? Najprawdopodobniej, tak nieoczekiwanie w trzydziestym trzecim roku życia podłączony do arystokratycznego rodowodu, nagle w skomplikowanych elementach dziedziczości odmieniony i mglistą magią historycznego podmuchu objęty, z zastępem hetmanów, biskupów, kanclerzy, wojewodów i kasztelanów u ramion, więc z zastępem wygłuszającym swym szumem i blaskiem pogłos baniek z mlekiem przetaczanych każdego ranka do sklepiku ulicy Zielnej prostackimi rękoma ojca matki, dziadka Motyla, a równocześnie i ku obiektowi swojej miłości biegnący pospieszłą myślą, świadomy wrażenia, jakie ta uszlachetniająca odmiana uczyni na Marku Kuranie, powiedziałby zapewne tak:

— Szkoda, że nie zламаłeś przysięgi wcześniej, oszczędziłbyś mi w ten sposób wielu lat wstydu i odrazy.

Że jednak ze wspomnianych już przyczyn trudno przypuszczać, aby ta melodramatyczna scena mogła dojść do skutku, prezes Panek, skoro go opuści Stefan Raszewski, odszuka, jak to zamierzył, żonę, a chyba nie przyjdzie mu to trudno, bowiem jej monumentalną sylwetkę w wieczorowej sukni o cokolwiek nazbyt ryzykownym dekolcie łatwo będzie mógł dostrzec nawet wśród gęstego tłumu, więc, gdy się to stanie i po takich czy innych poczynaniach natury towarzyskiej znajdą się w naturalnie dyskretnej małżeńskiej intymności, ona, objąwszy go uważnym spojrzeniem swych ciemnych i pochmurnych oczu, spyta:

— Co się stało?

— To był twój pomysł z tą hecą tutaj — powie. — Nigdy się nie liczyłaś z moim zdaniem.

— Raszewski ci zmył głowę? Nie bój się, nic ci się nie stanie, jemu na tobie zależy, potrzebuje takich oddanych przyjaciół, jak ty.

— Ciszej! — syknie.

— A cóż w tym złego, że Raszewski potrzebuje przyjaciół? Wszyscy o tym wiedzą.

— Dzieci też pięknie wychowałeś, trójka reakcjonistów.

— Ach tak? A ja zawsze myślałam, że na ich światopogląd, jak wy to nazywacie, wpłynęło przede wszystkim to, że od dziecka patrzyły na ciebie i na różnych twoich towarzyszy i kolegów.

— Jeżeli tak sprawę stawiasz, to muszę ci przypomnieć, że i one, a przede wszystkim ty, tak, przede wszystkim ty raczysz zapominać, że właśnie moim towarzyszom i mnie zawdzięczasz wszystko! Od tej kiecki poczawszy, a na tytule prezesowej kończąc, żadne zwierzę nie pluje do miski, z której żre.

— Jednak zawsze musi wyleźć z ciebie cham!

— Jasne! a największy cham, wiesz, kiedy ze mnie wyszedł? Kiedy ci zaproponowałem małżeństwo i temu jasnie bękartowi dałem swoje chamskie, robotnicze nazwisko.

Gdy zapadnie pomiędzy nimi milczenie, on rzuci po chwili krótkie i wyzywające:

— No!

— Wydaje ci się, Leopoldzie...

— Teraz możesz dotrzymać swojej przysięgi. Nie pamiętasz? W „Nadświdrzańskiej”, na placu Teatralnym, miałaś na sobie brajtszwance, pożegnalny prezent jasnie pana hrabiego.

A ona rzeczywiście niczego nie pamiętając:

— Wydaje mi się, Leopoldzie, że w nastroju, w jakim się znajdujesz, najlepiej zrobisz, wracając do domu. Nie powinieneś w tym stanie pokazywać się ludziom.

— Naprawdę nie pamiętasz? Kłamiesz!

— I nie zapomnij wozu odesłać z powrotem.

Czegoś mi w tym miejscu brakuje. Ale czego? Może Leopold Panek, rzeczywiście mając tego całego wesela dość i czując się źle, powinien, zanim odjedzie, natknąć się na swoich przyjaciół, sam, w towarzystwie żony? A może sytuacja tak się powinna ułożyć, iż gdy go jeden z kelnerów zawiadomi, że auto już zajęte — zrezygnuje z wyjazdu i zostanie? Ale co z nim potem zrobić? Gdyby został, nie mógłby całkiem zniknąć, nawet uwzględniając, iż wszystko to nie *dzieje się*, lecz tylko *mogłoby się* dziać w kapryśnych płochych sferach czasu przyszłego niedokonanego. Kłopot.

A w innych rejonach salonów dojdzie najpewniej do spotkania Celiny Raszewskiej z Adamem Nagórskim i chyba zbędny byłby wysiłek, zmierzający do sprecyzowania okoliczności, w jakich się to stanie, wystarczy wyrazić przypuszczenie, że spotkania poszuka Celina i również ona, skoro się znajdą sami, odniesie wrażenie, że Nagórski albo zupełnie nie będzie sobie zdawać sprawy, z kim rozmawia, albo — jeśli nawet dotrze do niego jej nazwisko — nie zdąży w związku z tym dokonać paru istotnych skojarzeń, wciąż jeszcze pod wrażeniem rozmowy z Haliną Ferens-Czaplicką. Więc gdy po wymianie kilku obojętnych zdań Raszewska utwierdzi się w tym przeświadczeniu, powie wprost:

— Pan się jednak nie domyśla, kim jestem. Nazywam się Raszewska, Celina Raszewska.

Po czym, wciąż w jego spojrzeniu nie dostrzegając rozeznania, dorzuci nieco ciszej:

— Siostra Elżuni.

I w tym momencie tak się chyba z Nagórskim stanie, iż na ułamek sekundy wpadnie jakby w ogromny lej, w obszar wirujących ciemności, i nawet trudno przewidzieć, jakie w trakcie owego zanurzenia, względnie spadania, jakie obrazy zarysują się w jego świadomości tak nagle i niespodziewanie zmaconej i czy, na przykład, w miejsce odpornej wskrzeszeniu twarzy Elżbiety nie wyłoni się nim twarz Nike, w każdym razie to gwałtowne poruszenie obszarów ciemności, to zanurzenie, względnie spadanie poruszy go dostatecznie mocno, aby przybladł lekko i szepnął:

Wspomnienia, Czas

— O Boże! więc to pani?

Lecz gdy wreszcie z owego zamęcenia, zanurzenia, względnie spadania, z głębokości bezkształtnych mroków wyłonią się w czystej jasności wiosennego przedpołudnia krzyżki zakopiańskiego cmentarza i bezosobowe cienie kilkunastu ludzi, i jeszcze może gwizd wilgi, lecz bezgłośny, wówczas nową falą bezkształtnych mroków ogarnięty i słysząc w dalszym planie muzykę oraz pogłos tanecznego szumu — w szczupłych rysach siwiejącej kobiety, która, nie zdając sobie zapewne sprawy, iż dokonała tak chaotycznego poruszenia zastygłych obszarów czasu, więc wpatrując się w tę twarz, nie odnajdzie w niej śladów intymnego powinowactwa z twarzą młodej dziewczyny, która — — —

— Cóż za spotkanie! — powie — tyle lat, prawie całe życie. Więc to pani jest tą młodą dziewczyną, która przyjechała z bratem na pogrzeb Elżbiety?

— Trzydzieści cztery lata.

— Trzydzieści cztery — powtórzy.

— Dzisiaj akurat przypada rocznica śmierci Elżuni.

— Tak — powie — pani brata, pana Edka, widuję od czasu do czasu, ale myśmy się rzeczywiście trzydzieści cztery lata nie widzieli.

— Raz się spotkaliśmy podczas okupacji, pamięta pan?

— Tak, oczywiście — odpowie szybko, lecz zbyt gorliwie, aby Raszewska nie zdała sobie sprawy, że mówi nieprawdę.

Mimo to ponowi próbę, jakby chcąc zatrzeć przykre uczucie, że Nagórski, wbrew wspomnieniom, jakie o nim przechowała, sprawia wrażenie człowieka oschłego i nieszczerego:

— Umówiliśmy się na spotkanie, obiecałam panu przynieść fotografię Elżuni.

— Oczywiście! — teraz akcent ulgi zabrzmiał w głosie Nagórskiego — umówiliśmy się w „Znachorze” na Boduena, ale pani nie przyszła.

— Więc jednak pan sobie przypomniał! rzeczywiście nie przyszłam, ale to nie z mojej winy, mieliśmy właśnie z mężem duże kłopoty, Stefan musiał się ukrywać, musieliśmy zmienić mieszkanie.

Prawdopodobnie dopiero teraz Nagórski uświadomił sobie, kim jest mąż Celiny, i aby zatrzeć cień, który mu przemknął po twarzy, albo może się odbije w wyrazie oczu, powie pośpiesznie:

— To był czterdziesty pierwszy?

— Drugi, jesień.

— Pamiętam, padał deszcz, ale miałem parasol i pod parasolem szliśmy placem Wareckim w stronę Świętokrzyskiej. A wie pani, że po Elżbiecie nie mam żadnej pamiątki, ani jednej fotografii, listu, niczego.

— Ja też.

— Wydaje mi się, że moja pamięć byłaby sprawniejsza, gdyby mogła do czegoś z przeszłości zachowanego przyłgnąć, doszedłem już do wieku, kiedy się ma poza sobą więcej czasu przeszłego aniżeli przyszłego przed sobą. I czasem ogarnia mnie przerażenie, że tak niewiele z tej przeszłości pozostaje żywego, rany się zasklepiają, potem nawet świadomość blizn zanika, zacierają się twarze, głuchną głosy, czy wie pani, że już nie potrafiłbym wywołać w sobie głosu Elżbiety, nigdy już go nie usłyszę, i wielu innych głosów, a powstają poza tym przestrzenie tak doszczętnie puste i martwe, jakby ich w ogóle nigdy nie było.

— Może to znaczy, że nie zdarzyło się wówczas nic naprawdę ważnego?

— Myśli pani? Czy ja wiem? Pamiętam, kiedy odwiozłem Elżbietę do Zakopanego i potem po kilku dniach wróciłem do Warszawy, żyłem prawie wyłącznie czekaniem na jej listy, raz, chyba tydzień, a może i dłużej nie miałem żadnej wiadomości, byłem unieruchomiony w domu, chory, grypa, angina, nie pamiętam dokładnie co, z pewnością nic ważnego się w tym tygodniu nie stało, ale to był tydzień męczarni, najokropniejszych myśli, przypuszczeń, domysłów, leków, nieskończenie długie godziny prócz tych rannych, kiedy zbliżała się pora, kiedy przychodził listonosz, więc parę godzin nadziei, wtedy to było na pewno ważne, jedynie ważne, a po trzydziestu kilku latach, co się z tych dni da wycisnąć? mglistą świadomość, że się coś takiego przeżyło, nic więcej.

I być może tym momencie zblednie i serce w nim zamrze, a z pewnością tak się stanie, jeśli wyobrazi sobie (a tak o to nietrudno), że Nike leży w tej chwili w ramionach

nieznanego mężczyzny, i nie będzie musiał przymknąć oczu, aby tuż obok, w dręczącym zbliżeniu ujrzeć jej twarz bezwstydnie nagą, a też i boleśnie napiętą pod wpływem rozkoszy wnikażącej w jej ciało otwarte uległe i pożądliwie, otwarte dla męskości, otwarte dla każdej męskości obiecującej brutalną i długą rozkosz, więc może podejmie wysilek, aby tak podstępnie zaatakowanej wyobraźni nadać inny bieg, rozpustną uległość Nike przeobrażając w miłosne oddanie, a męskości przypadkowej ofiarowując kształt własnej?

— To smutne, co pan mówi — powie Celina Raszevska, przypuszczając, że zmętnienie oczu Nagórskiego wynika z zamyślenia się nad przeszłością — ale chyba nie zawsze i nie ze wszystkim tak bywa. Jednak wiele z przeszłości zostaje, dobrego i złego. Po tylu latach można się już zdobyć na szczerłość, wie pan, że był okres, kiedy ja pana bardzo nie lubiłam?

Więc Nagórski, jeszcze w intymnym zbliżeniu z Nike, spyta z akcentem roztargnienia:

— Mnie?

— Wydawało mi się, że to przez pana Elżunia oddaliła się od nas, od domu, to znaczy od rodziców i ode mnie, bo Edward właściwie się nie liczył, odkąd pamiętam, zawsze miał osobne życie. A Elżunia, zanim pana poznała, była czuła, serdeczna, bardzo często przychodziła. Potem wszystko się zmieniło, pan tylko dla niej istniał, nikogo poza panem nie widziała.

— Ja też — powie Nagórski kruchym cieniem przeszłości.

— Wiem, ale wtedy, kiedy pana jeszcze nie znałam, myślałam o panu tylko jak o człowieku, który mi zabrał najbliższą istotę. Pan jest pisarzem, pan na pewno potrafi zrozumieć, co mogła wówczas przeżywać taka naiwna i głupiutka dziewczyna.

— Rozumiem, ale naprawdę myśli pani, że pisarz musi rozumieć więcej niż inni?

— Ależ tak! Gdyby nie rozumiał więcej, po cóż by pisał?

— Czasem może dlatego, żeby powiedzieć, że nie rozumie. Ale w tym wypadku, oczywiście, doskonale rozumiem, że mogła pani czuć do mnie niechęć, nawet nienawiść.

— Tylko do momentu, kiedy pana poznałam. Pan wtedy, przez te trzy dni po pogrzebie Elżuni, był dla mnie bardzo dobry, bardzo wiele się przez te trzy dni nauczyłam i rozumiałam, takich rzeczy się nie zapomina. I właściwie to chciałam panu powiedzieć.

Niestety, Nagórski, wartościową i z odległej przeszłości nadaną przesyłką obdarowany, z pewnością nie będzie mógł odgadnąć, na czym rzeczywista cennaść owego daru polega. Trzy dni? Chyba sobie przypomni, że istotnie, mała Celinka została w Zakopanem po pogrzebie Elżbiety, lecz czy był to dzień, trzy lub więcej i czym ten nieokreślony czas był wypełniony — tego chyba nie skleci. Natomiast w Celinie ten odległy czas zachował swoje kształty nieomal pierwotne, a nawet wraz z pośpiesznym nawarstwianiem się niełatwych lat późniejszych, pamięć, podobnie jak mrok gęstniejący wyodrębnia i zaostrza blask migocącego w głębi światła, przyda owym trzem dniom kwietniowym szczególnej przejrzystości, owym trzem dniom najpiękniejszej tatrzańskiej wiosny (w istocie tylko jeden dzień był słoneczny, ten ostatni, dwóm pierwszym, przy chwilowych tylko rozjaśnieniach, towarzyszyło niebo pochmurne, drobne deszcze i mżawki, zacierające zarysy gór), kiedy we dwoje, każde na swój sposób osierocone, odbywali długie spacery pod regle i w głąb pustych o tej porze dolinek, i ten obcy, prawie zniechęcony człowiek stawał się jej coraz bliższy, gdy szedł obok i mimo swych dwudziestu pięciu lat sprawiał wrażenie prawie jej rówieśnika, tak młodzieńczo wyglądał, szybkie i trochę nerwowe kroki uważnie dostosowując do jej drobnych i niepewnych, bo wychowanych w mieście i tylko z miejską ulicą oswojonych, i jak brat siostrze albo przyjaciel przyjacielowi zwierzał się z najbardziej osobistych przeżyć, i to, co mówił, sprawiało, że sąd, jaki sobie o nim wyrobiła, powoli się zacierał i rozpadał i na jego miejsce zarysowywał się obraz człowieka zupełnie nowego i nieprzeczuwanego, zwłaszcza, gdy w długich monologach, jakby myślał głośno, opowiadał dzieje miłości z Elżunią, wcale nie tak egoistycznie szczęśliwej, jak sądziła, miłości burzliwej i ciemnej, wciąż rozdieranej gwałtownymi rozstaniem, lecz związanej wzajemną niemożnością rozstania, obustronnie zaborczej i zatrutej zazdrością, i nawet w chwilach pełnego pojednania, gdy wszystkie podejrzenia i oskarżenia ustępowały, zacienionej śmiercią, która powoli, lecz nieustępliwie dojrzewiała w płucach Elżuni, więc mówił na tych długich spacerach do Kuźnic, do Doliny Białego i Strążyskiej, mówił o wszystkich cierpieniach rzeczywistych i urojonych, a przede wszystkim mówił, bo wciąż do tego powracał, mówił o pewnej swojej winie, może niechcianej i nieświadomej,

lecz jednak winie niezaprzeczalnej, bowiem u samych początków ich miłości jedno jego kłamstwo sprawiło, iż rozrosło się ono później w Elżbiecie jak złośliwa pleśń, rozwinęło się w nieustanną podejrzliwość, podsycaną jego zdrowiem i jej chorobą, w podejrzliwość maniakalną i uporczywą, w momentach nasilenia przeobrażającą się w stany halucynacyjnych urojeń, których gorączkowe czary, wspomagane rzeczywistą gorączką ciała, odmieniały rzeczywistość, stwarzając nową podstępna i zdradliwa, przeczącą wszelkiej wierności

— — —

Ten motyw kłamstwa, trującego i rozkładającego miłość, był przed wojną moją obsesją i wielokrotnie powracał w utworach, których nie dokończyłem i po których ślad nie pozostał, przypadły bowiem po Powstaniu, kiedy przed opuszczeniem Warszawy w połowie września zakopałem je wraz ze wszystkimi moimi papierami i pamiątkami w ogródku przy domu na Bielanach. Myślę, że i teraz ten motyw jeszcze we mnie żyje. Gdyby wygasł i nic już dla mnie nie znaczył, nie napisałbym tego epitafium dla G. B., nieżyjącego od trzydziestu prawie lat. I niemal wszyscy bliscy świadkowie tej pradawnej historii nie żyją, wszyscy prócz Ewy O. i Marysi B., które znają ją zresztą z lat późniejszych, kiedy choroba umysłowa poczęła zaciemniać i zniekształcać udręczony umysł G., doprowadzając go wreszcie do koszmarnego śmierci w okolicach Powsina, pod kołami wąskotorowej kolejki dojazdowej, w miejscu, koło którego później wielokrotnie przejeżdżałem, znajduje się ono bowiem tuż przy szosie wilanowskiej, prowadzącej do Obór. Wtedy, jesienią roku 1941 (a może na przedwiośniu roku następnego?), gdy w przeddzień śmierci G. zjawiał się u mnie niespodziewanie przed samą godziną policyjną, nie chce mi się o tym pisać. Może kiedyś później?

Być może, chcąc przerwać przedłużające się milczenie, Celina Raszevska powie:

— Byłam wtedy bardzo młoda, zupełnie niedoświadczona i naiwnie sobie wyobrażałam, że miłość musi być jednym, wielkim i niekończącym się szczęściem.

Na to Nagórski:

— Gdyby tak miało być, w takim razie nigdy naprawdę młody nie byłam.

I kto wie, czy nie pomyśli: może młodość dlatego tak mnie urzeka i dlatego młodości szukam, iż ludzę się, że w niej znajdę...

Celina Raszevska:

— Pan przecież wciąż jest młody.

— Trochę zmęczony.

— Młodość chyba wcale nie znaczy to samo, co wiara. Wiara może być naiwna, jak moja kiedyś w wyidealizowaną miłość, albo...

— Albo?

— Młodość to jest przede wszystkim potrzeba poszukiwania, nie sądzi pan?

— Nadzieja?

— Chyba tak.

— Mało jej dokoła.

— Nie, nie, niech pan tak nie mówi, właśnie pan tak mówić i myśleć nie powinien. Ludziom potrzebna jest nadzieja.

— Ba! wiele rzeczy ludziom jest potrzebne.

— Panie Adamie, czy jedno rozczarowanie, nawet najboleśniejsze, może przekreślić wszystko?

— Czytam właśnie od kilku dni, pani Celino, pasjonującą monografię Richarda Friedenthala o Goethem. Na niedługo przed wybuchem Rewolucji Francuskiej, w liście do

Młodość, Nadzieja

mistycyzującego pisarza i pastora, Lavatera, napisał Goethe: „pod naszym moralnym i politycznym światem ciągną się podziemne korytarze, piwnice i kloaki”.

Wtedy Celina Raszewska powie po chwili nieco ciszej:

— Wielu ludzi, panie Adamie, zdaje sobie z tego sprawę.

I może się zdarzyć, że w tym ściszeniu głosu albo w towarzyszącym mu wyrazie oczu czy poruszeniu warg Adam Nagórski odnajdzie nagle twarz młodziutkiej Celinki, nawet jej drobną sylwetkę, tak wzruszająco podobną wówczas do sylwetki Elżbiety, i może jeszcze strzęp ciężkich drewnianych kłoców, przerzuconych ponad białym i bucującym w dole potokiem, także zarys twarzy Elżbiety zamajaczy, być może, w ciasnej przestrzeni, aby szybko jak oddech, jak lot światła zniknąć, wówczas Celinę Raszewską z pewnością poruszy, również jakby z tamtego czasu tu nagle przeniesiony, ciepły i serdeczny akcent, jaki zabrzmiał w jego głosie, gdy powie:

— Droga pani Celinko, moje życie całkiem inaczej się układało niż życie pani i wielu pani bliskich i znajomych, moje zaangażowanie, jak się to określa, także w pewnym okresie miało charakter nieco inny, to była tylko jedna z moich życiowych racji albo po prostu ról podejmowanych i porzucanych, może więc i nie mam prawa mierzyć cudzych doświadczeń miarą własnych, wydaje mi się jednak, że od najcięższych rozczarowań stokrót trudniejsze i wyniszczające człowieka jest poczucie bezsilności.

I to byłoby chyba wszystko, co z okazji tak niespodziewanego spotkania po trzydziestu kilku latach i w sytuacji tak pod każdym względem odmiennej będą sobie mieli wzajemnie do powiedzenia, bowiem oboje zdadzą sobie z pewnością w tym momencie sprawę, na jak zawile i śliskie tory zaprowadzić by ich musiał dalej w tym duchu prowadzony dialog, może ona jeszcze powie:

— Takim ludziom, jak pan, nie wolno mówić o bezsilności. Pan może nawet nie zdaje sobie sprawy, panie Adamie, jak wielu ma pan przyjaciół.

On natomiast, cokolwiek ona powie, bo to już będzie bez znaczenia, może zechce bezsilności obywatelskiej przeciwstawić żywotność towarzyską, mówiąc coś w tym rodzaju:

— No, i widzi pani, droga pani Celino, w jak bardzo inne aniżeli przez trzydziestu laty zabrnieśmy tematy! Ciekawe, o czym będziemy rozmawiać przy spotkaniu następnym, o miłości czy o Polsce?

Wówczas ona, wiedząc, że nawet przy najłagodniejszym rozwoju choroby pracowicie wyniszczającej jej wewnętrzną pozostał jej nie więcej niż rok życia i uświadomiwszy sobie naraz, że najpewniej nigdy tego jedynego człowieka, którego raz pokochawszy, pokochała na całe życie, nigdy nie zobaczy, powie z uśmiechem:

— Pewnie o jednym i drugim. Jak dzisiaj!

Nie wydaje się bowiem, aby nawet w sytuacji tak wyjątkowej udzieliła sobie zuchwałego przyzwolenia i mogła powiedzieć, co następuje:

— Powiedziałam, panie Adamie, że wtedy, w Zakopanem, dużo się dzięki panu nauczyłam i wiele panu zawdzięczam. Nauczył mnie pan trudnego rozumienia miłości i całe życie, choć tylko na własny wyłącznie użytek, pozostałam temu rozumieniu wierna. Nie raz, w różnych okolicznościach myślałam, w jaki sposób i czym mogłabym się panu za ten wielki dar odwdziaczyć. Może to zabrzmiało banalnie, a nawet nieco śmiesznie w ustach starszej się kobiety, lecz kiedy słuchałam teraz pana mówiącego z takim smutkiem i goryczą, pomyślałam sobie, jak bardzo byłabym szczęśliwa, gdyby było w mojej mocy tyle panu ofiarować rozumienia nadziei, ile pan mi dał rozumienia miłości. Niestety, nie mam panu nic do dania, czuję się równie bezsilna, jak pan, a może jeszcze słabsza, bo mniej pragnęłam i mniej umiałam wziąć z życia niż pan i dlatego straciłam więcej.

Ze jednak to wyznanie nigdy nie zostanie wypowiedziane, pozostając na zawsze niespełnionym urojeniem wśród gier również spełnienia lub niespełnienia oczekujących, należy ze względu na okoliczności — — — —

W tym mało prawdopodobnym wyznaniu Celiny Raszewskiej (zresztą w tym, co mówi poprzednio) nie został uwzględniony fakt, iż Celina już zna od wczorajszego wieczoru esej swego syna o *Ostatniej godzinie* Nagórskiego, posiada więc świadomość, że

Wspomnienia

Siła, Klęska

uczucie jej, choć ukształtowane w Antku w sferze literackiego urzeczenia, doczekało się niejako kontynuacji, pamiętać, żeby ten moment uwypuklić w części II. Wydaje się, że Celina Raszewska, już zorientowana w tak bardzo osobistym stosunku Antka do twórczości Nagórskiego, wspomniałaby w rozmowie o synu, raczej nie dlatego, żeby się nim chwalić, lecz żeby Nagórskiemu zrobić przyjemność. Natomiast Nagórski może nawet nie wiedzieć, że teczka, którą pod jego nieobecność (w południe, kiedy ma się odbyć ślub cywilny Konrada i Moniki) doręczył Urszuli Jaskólskiej nieznajomy chłopiec, zawiera esej młodego Raszewskiego, nie miałby bowiem, najprawdopodobniej, czasu, aby do pakietu zajrzeć.

Chyba nie wprowadzać tego wątku do dialogu Raszewska-Nagórski. Niepotrzebne komplikacje.

— — — więc tak się też najpewniej stanie, iż jeden z kelnerów, przywołany przez prezesową Panek, zbiegnie na dół w kuchenne rejony, podległe władzy oraz kunsztom mistrza Wiktora Kubickiego, i z korytarza otwierającego się na pomieszczenie, gdzie przy dużym stole posilac się będą szoferzy, zawoła:

— Kierowca pana prezesa Panka proszony jest do samochodu!

Wówczas Wacek Gawlik niechętnie odburknie:

— Dobra, dobra, zaraz idę.

I do kolegów:

— Człowiek nawet zjeść spokojnie nie noże przez takiego zasrańca.

— Wszedł na orbitę twój stary.

Na to Gawlik z akcentem pogardy:

— Stara mu pewnie kazała zjeżdżać do chałupy, żeby się nie kompromitował w do-
brym towarzystwie, to ćwok, gdzie jemu na takie salony?

Natomiast Pan Młody do Panny Młodej, ponieważ znajdują się obok, w rozległej kuchni, zesli przed chwilą oboje, aby osobiście podziękować mistrzowi Kubickiemu za najwyższą doskonałość jego sztuki kulinarnej:

— Słyszałaś?

Monika do mistrza Kubickiego, który zakończy wprawdzie na dzisiaj pracę, lecz że po dokonanych trudach nie lubi zbyt szybko opuszczać terenu swych suwerennych poczynań, będzie właśnie odpoczywać, spokojnie paląc papierosa, jeszcze w obrzędowym kitlu i czepku:

— Nie wiem doprawdy, jak panu dziękować, wszystko było tak oszłamiające, więcej niż wspaniałe! Zgrabne i dowcipne!

Konrad Keller:

— Zdaje się, twoi rodzice wyjeżdżają.

Monika:

— To co?

— Wypadaloby ich pożegnać.

— Czy tak? Zawsze mi się wydawało, że skoro ktoś z gości chce przyjęcie opuścić, to albo czyni to dyskretnie, albo sam szuka gospodarzy, żeby się pożegnać, nie odwrotnie. Nie mam racji, panie Kubicki?

Na to mistrz:

— To zależy, proszę łaskawej pani. Księżna Róża Sulemirska z Białego Potoku, u której pracowałem w Rzymie po pierwszej wojnie, kiedy gościła u siebie osobistości spokrewnione z domami panującymi, znaczy książąt krwi, to chociaż sama bardzo wysoko urodzona i z Burbonami spokrewniona, zawsze osobiście takie osoby odprowadzała aż do drzwi wejściowych.

Keller:

— Widzisz, mistrz Kubicki lepiej od ciebie zna wielkoświatowy *savoir vivre*.

— Wielkoświatowy!

— Ostatecznie twój papa jest prezesem w randze ministra i był ambasadorem.

— Ale nie księciem krwi, a to chyba jest pewna różnica, czy nie tak, panie Kubicki?

Mistrz Kubicki:

— A owszem, owszem, różnica jest.

Pogarda, Pozycja społeczna

Gospodarz, Gospodyni,
Gość, Obyczaje, Pozycja
społeczna, Szlachcic,
Urzędnik

— Przepraszam — na to Keller — w naszym ustroju tytuł ambasadora albo ministra odpowiada mniej więcej randze księcia krwi, a w każdym razie księcia. Nie sądzi pan, mistrzu?

— I tak, i nie, proszę łaskawego pana. Minister, owszem, wysokie stanowisko, ambasador też, nie powiem, ale ministrem, łaskawy panie, można być i potem przestać, a jak się kto księciem urodził, to trudno, księciem umiera.

— Rozumiem! — wykrzyknie Keller, ujawniając swoją słynną, bo jemu tylko właściwą akcentację — przekonał mnie pan, mistrzu. Moniko, nie pójdziemy żegnać i odprowadzać do drzwi twoich rodziców. A panu, mistrzu, składając wszystkie należne dzięki, chcielibyśmy się chociaż skromnym drobiazgiem odwdziżyć za chwile niezapomnianych doznań sztuki kulinarnej, jakie stały się udziałem i naszym, i naszych gości dzięki pańskiemu nieporównywalnemu artyzmowi. Słyszeliśmy, że ceni pan sobie szlachetny trunek zwany koniakiem, będziemy więc szczęśliwi, moja żona i ja, jeżeli przyjmie pan od nas na pamiątkę tę skromną butelczynę.

— A dziękuję, bardzo dziękuję łaskawym państwu. Napoleon, owszem, znam, wysoka marka, a koniak w ogóle trunek bogaty. Książę Białozierski-Bielosielski z rodziny Rurykowiczów, pracowałem u niego w Petersburgu jeszcze przed pierwszą wojną, zawsze kiedy się obudził rano, kazał podawać filiżankę mocnej kawy i kieliszek koniaku, mawiał przy tym: jak zaczniesz dzień od czarnej kawy i kieliszka koniaku, to go skończysz, nie obawiając się następnych. Dziękuję łaskawym państwu, owszem, zawsze sobie cenilem i cenię dobry koniak, kilka lat temu świętej pamięci pan Cocteau, tak mu do smaku przypadł mój sposób przyrządzania sandacza, że i tutaj nie mógł się dość nachwalić, i potem z Francji przysłał mi trzy butelki Martela, kulturalny pan, znał się na wykwińskiej kuchni.

— Słyszeliśmy coś o tym słynnym sandaczu — powie niechybnie Monika, której w swoim czasie opowiadał był o przyjęciu dla Cocteau w Jabłonnie Stefan Raszewski.

— O, to bogate danie — uśmiechnie się mistrz Kubicki — pełne finezji!

— Niech pan nam opowie, mistrzu, jak się to robi? — Monika dziewczęco złoży obie dłonie, jak do modlitwy — umieramy z ciekawości, to musi być szalenie dowcipne!

— Z pewnością — dołączy się i Pan Młody, choć bez szczególniejszych gestów, świadomy autonomicznych zalet swego głosu — będziemy szczęśliwi, jeśli zechce pan nas, profanów, wprowadzić bodaj na moment w tajemnice swojej sztuki. Wiemy, że przepis, to jeszcze nie wszystko, że i w sferach służących radościom oczu, a przede wszystkim subtelnym uciechom smaku i powonienia, o efekcie końcowym decyduje sprawność duchowa, element inwencji, nowości, natchnienia...

— Konrad! — zniecierpliwi się prawdopodobnie Panna Młoda.

— Przepraszam, już się zamieniam w słuch.

Mistrz Kubicki:

— To jest danie, jak państwu wspominałem, bogate i pełne finezji. Bierze się sandacza i wycina z niego długie wąskie paski mięsa. Następnie paski zwija się w ruloniki i układa na masło, po czym wkłada się je pod parę i polewa białym winem. Resztę ryby, po usunięciu ości, przeciera się w maszynce, a następnie przez jedwabne sito. Tak otrzymaną masę rozciera się ze śmietanką, aż powstanie puch. Do puchu dodaje się masła rakowego. Bierze się włoski makaron, i tnie na mniejsze kawałki. Tymi kawałkami wyklada się garnek po bokach i na spodzie, przyklejając makaron, aby się trzymał ścianek. Do środka wkłada się przygotowaną masę i ugniata po bokach, w środku zostawiając otwór. Do środka wysypuje się szyki radowe i pieczarki, po czym zakleja się otwór, wszystko razem znów idzie pod parę. Następnie wyjmuje się tę konstrukcję, która znajduje się jakby w koszyku z makaronem — i kładzie na półmisku. Naokoło okłada się rulonikami z sandacza i szijkami rakowymi, smaruje ją masłem rakowym i polewa rakowym sosem. To wszystko!

— Fantastyczne! — zwołała Monika, dla podkreślenia stopnia podziwu kładąc mocny i przeciągle śpiewny akcent na pierwszą sylabę — tego się słucha, jak najpiękniejszej poezji.

Natomiast Konrad Keller tak najprawdopodobniej sformułuje swoje wrażenie:

— Ja też jestem wstrząśnięty. Dziękujemy, mistrzu. Szkoda tylko, że moja żona, nawet gdyby się jej przydarzyła podobna okazja, nie mogłaby nawiązać intymniejszego kontaktu z tym arcydziełem.

Alkohol, Obyczaje, Pan,
Sługa, Jedzenie

Jedzenie

— Ja? A to dlaczego?
— Nie znosisz raków.
— Kto ci to powiedział?
— Jesteś uczulona na raki. Moja żona, mistrzu, ma dyspozycje alergiczne.
— A owszem, owszem, to się zdarza. Siostrzeniec księżnej Róży Sulemirskiej, Gucio, nie mógł dotknąć śledzia, a ambasador włoski w Paryżu, Toracci, po ananasie dostawał pokrzywki.

— Właśnie! — na to Keller — moją żonę po rakach wysypuje.
— No wiesz! — odpowie Monika, chyba z trudem hamując wściekłość — raz mi się zdarzyło, to niczego nie dowodzi.

— Jednak wstręt ci pozostał, przynajmniej tak kiedyś twierdziłaś.
— Och, zaraz wstręt! Ty zawsze niemożliwie przesadzasz! Poza tym wcale nie jestem pewna, czy te raki były wtedy całkiem świeże.

Mistrz Kubicki:

— O, raki nieświeże, to bardzo niebezpieczne danie.

Monika:

— W każdym razie jestem przekonana, że raki i to pod każdą postacią przez pana, mistrzu, przyrządzone, nie tylko nie mogłyby mi zaszkodzić, ale i na pewno musiałyby mi smakować. Pan jest prawdziwym czarodziejem, drogi mistrzu.

I skoro po ceremonii pożegnania, dzięki wspaniałości ruchu, z jakim poda staremu kucharzowi (rocznik 1885) dłoń do pocałowania, coś w rodzaju wykrzyknika kończącego długie i misternie zbudowane zdanie, opuści kuchenne pomieszczenie, jednak zostanie zmuszona do przedefilowania pod uważnymi spojrzzeniami kilkunastu szoferów, więc przejdzie pod tymi ciężkimi spojrzzeniami młodych przeważnie mężczyzn, doskonale piękna i równie doskonale nieosiągalna, z głową może nie dumnie, lecz w każdym razie śmiało wzniesioną, co i do wyeksponowania smukłej szyi się przyczyni i olśniewające kształty wydekoltowanych ramion uwypukli, skoro się już zatem dokona owa defilada, wprawdzie krótka, lecz w treści i w formie mocna.

— Ale dupa! — tak chyba powie półgłosem i z akcentem szczerego podziwu młody kierowca prezesa Formińskiego.

— Nie dla ciebie — odpowie drugi z Komitetu Centralnego.

— Założmy się?

— Przymknij się, Rysiek — powie trzeci i nie jest wykluczone, że tym trzecim będzie kierowca Stefana Raszewskiego. — Ty myślisz, że każda jest kurwa.

— A może nie? Jak babka to lubi, to musi być kurwa, a że ona lubi, starczy spojrzeć.

Wtedy kierowca Raszewskiego rozważnie:

— Widzisz, Rysiek, ty jesteś młody i sprawa wcale nie tak stoi, jak ty sobie wyobrażasz.

— Do mnie nie masz po co trzymać chińskiej mowy — na to Rysiek — u mnie ta sprawa stoi, jak rakietka, tylko twój, stary, stoi chudo i babskiej dupy ideologicznie nie czuje.

Więc, gdy Monika, oczywiście nieświadoma kontrowersji spowodowanych swoją kobiecością, znajdzie się na przyciasnych schodach wiodących na salony, skąd dobiegać będzie muzyka oraz pogłos tanecznego falowania — zatrzyma się prawdopodobnie w połowie schodów, dzięki czemu Pan Młody, zachowując w tej powrotnej drodze z kuchennych rejonów skromny, choć nie nadmierny dystans, znajdzie się w stosunku do Panny Młodej o dwa, lub trzy stopnie niżej, zatem w sytuacji, w której ona, już ku niemu całą swoją pięknoscią zwrócona, spokojna, prawie anielska, choć i cokolwiek wyniosła — w oczywisty sposób będzie nad nim górować, kto wie, czy tak całkiem nieświadomie stwarzając sytuację często w ostatnich czasach eksponowaną w zachodnich filmach, cóż bowiem prostszego, a zarazem i wizualnie przekonywającego nad wykorzystanie konstrukcji schodów dla wywyższenia elementu kobiecego kosztem upokorzenia męskiego?, więc powie:

— Byłeś niebywale zgrabny i oszalamiająco dowcipny.

A on z pewnością jak najbardziej świadomy wszystkich rozlicznych kombinacji wynikających na schodach:

— A ty piękna i czarująco inteligentna. Jak zawsze.

Kobieta, Mężczyzna,
Mizoginia, Seks

Ślub, Małżeństwo, Panna
młoda, Mężczyzna, Kobieta,
Gra

— Jeżeli myślisz, że mało wybrednymi złośliwościami uda ci się zepsuć mi ten wieczór, to muszę cię zapewnić, że jesteś w błędzie.

— Ale chyba nie popełnię błędu, jeżeli powiem, że czujesz się szczęśliwa?

— Raczej popełnisz.

— Niemożliwe, Moniko, nie czujesz się szczęśliwa? Dzisiaj?

— Usatysfakcjonowana.

— Ach tak? To by oznaczało, że nasze intymne doznania nieco się rozmiękają.

— Nieco?

— Ja osobiście czuję się szczęśliwy, ale bynajmniej nieusatysfakcjonowany.

— Szczęśliwy z powodu?

— Że jesteś moją żoną, kochanie.

— A nieusatysfakcjonowany?

— Przyczyna ta sama.

I chociaż Monika sama ten dialog sprowokuje, chyba w tym momencie, jakkolwiek konstrukcyjną specyfikę schodów będzie mogła zaliczyć na swoją korzyść, zbraknie jej riposty dość zgrabnej i dowcipnej, lecz że to będzie moment, to nie ulega wątpliwości, moment nie dłuższy od oddechu, wie bowiem, a raczej intuicyjnie posiada rozeznanie, że skoro się zabrnę w sytuację sztuczną, a też i niebezpiecznie podszytą ryzykownymi podtekstami, należy szybko taktykę zmienić i sztuczności przeciwstawić atakującą naturalność. Tak zatem, zarówno swoją sylwetkę (ekspozycja schodów okaże się w tym wypadku raczej utrudniona), jak i brzmienie głosu nasilając pożywną szczerością powie:

— Konrad, możesz mi szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie, ale naprawdę szczerze i uczciwie?

Pan Młody oczywiście wyrazi pełną w tym względzie gotowość, choć nie jest wykluczone, że z wielu racji wygodniej mu to będzie uczynić w konwencji dotychczasowej:

— Szczerze na pewno, ale uczciwie? To konieczne?

Jednak Monika mężnie sprosta ciemnym wirom, jakie nią niewątpliwie szarpną, uciszy owe dumne żywioły, domagając się pod nieobecność morderczego sztyletu co najmniej spoliczkowania wybrańca, i powie:

— Dlaczego ty się właściwie ze mną ożeniłeś?

I oto zgodnie z intuicyjnym rozpoznanem Moniki naturalność rzeczywiście zatriumfuje nad sztucznością, lojalna pryncypialność pokona pozę, lecz również na moment nie dłuższy od oddechu, a w najgorszym dla Konrada rozstrzygnięciu — z dołączeniem wydechu. Pan Młody, jakkolwiek czujnością jak rycerską zbroją osłonięty, albo współcześnie: jak bokser na ringu czujnie wewnętrznie skupiony wobec poczyną przeciwnika, tego ciosu nie przewidzi, o ścierwo! — pomyśli niechybnie i chociaż ani drgnie, ani błaskiem swych ciemnych i wilgotnych oczu nie umknie na stronę, przecież w koniuszkach uszu poczuje wzbierające ciepło, o ścierwo! — chyba jeszcze raz pomyśli i aby zyskać na czasie, spyta:

— Mam powiedzieć szczerze i uczciwie?

— Tak — na to ona i tylko tyle, bowiem w sekundzie ciszy, jaka po tym stwierdzeniu zapadnie, zrezygnuje z dodania: żądam tego.

Zatem Panu Młodemu chyba tylko naturalność pozostanie i rzeknie:

— Nie wiem.

I na miłość boską, ktoś się w tym momencie powinien pojawić na tych nieszczęsnych schodach, kładąc kres żenująco bezwstydnemu dialogowi nowożeńców, nie może to być, niestety, jak w teatrze chór komentujący wydarzenie przy pomocy harmonijnie uporządkowanych strof, ani Gонец przybywający z pola bitwy z ważnymi wiadomościami, i także nie żadna z głównych person rozgrywanego na salonach przedstawienia, trudno bowiem nawet wśród tak rozlicznych możliwości, jakie przechernie w swych rozluźnionych przestrzeniach przechowuje czas przyszły niedokonany, wyobrazić sobie, że tu i teraz objawi się w swym kształcie cielesnym Stefan Raszewski, Nagórski, mama Pankowa, czy choćby Eryk Wanert albo dyrektor Otockiego, nie! to prawie wykluczone, po cóż by mieli zlaźnić po tych schodach prowadzących w kuchenne rejony?, jakkolwiek trzeba stwierdzić, że wśród tych chwiejnych projekcji w przyszłość, wprawdzie nie nazbyt odległą, jednak w przyszłość, więc wśród tych tych projekcji chwiejnych i wieloznacznych zataił się właśnie tu i teraz obiektywny układ pałacowych pomieszczeń, a przede wszystkim

fakt, że schody, na których w drodze powrotnej z pielgrzymki hołdowniczej do mistrza Kubickiego znajdują się Pan Młody oraz Panam Młoda, owszem, rzeczywiście wiodą do kuchennych rejonów, lecz również tylko nimi się posługując można się z salonów przedostać do baru w owej zabytkowej piwnicy ze starymi freskami Antonia Tarelli, gdzie — jak to już zostało zaprojektowane — bawić się będzie młoda generacja przy fachowej obsłudze pana Edka Kubiaka (rodzonego brata Celiny Raszewskiej, tego, co to „zawsze miał osobne życie” i lokajował — choć nie tylko — Karolowi Wanertowi) zatem nie tylko któryś z kelnerów mógłby się na tych niefortunnych schodach zjawić, może to być i ktoś z weselników śpieszących ku świeżym źródłom życia, lub odwrotnie: ktoś z podziemi baru nagle spenetrowania salonów, czyli świata dojrzałości spragniony, wybór zatem bogaty, jakby powiedział sędziwy kuchmistrz, lecz i wybór konieczny, jeśli ów słowny pojedynek nowożeńców ma się nie przeciągać, wiodąc zbyt daleko w gąszcze, w chaszczę ryzykownych podtekstów, a zatem? niech by się może Ariel na schodach zjawił, oczywiście Marek Kuran, wydaje się bowiem, że jeśli ktokolwiek z tych w barze zechciałby przekornie nawiedzić salony, to właśnie ruchliwy i przedsiębiorczy autor *Leukocytów*, *Korytarzy* i *Akromegalii*, z pewnością Ksawery Panek będzie go usiłował zatrzymać, lecz jego próby osiągną najpewniej efekt odwrotny, może nawet z owych sprzeczności pomiędzy zakochanym i pozwalającym się adorować wyniknąc w półmorczyzny korytarzyku krótka szarpanina, może również okazja do ponowienia wyznań oraz próba pocałunku, a może, jeśli się sytuacja dramatycznie zagęści, zakłęćcia i błagania w pozycji klęczącej wraz z całowaniem nieco wulgarnie ukształtowanych rąk adorowanego, lecz jakkolwiek owa scena przebiegnie — Ksawery Panek sromotnie, jak zwykle, przegra, natomiast Ariel z błyszczącymi oczami i krawatem z lekka przekrzywionym wkroczy na schody akurat w tym momencie, gdy z ust Konrada padnie krótkie i akcentem szczerości oraz uczciwości podbudowane: „nie wiem!”.

— A ja wiem! — wykrzyknie młody poeta.

Nietrudno przewidzieć, że uczyni to w samą porę, rozładowując napiętą do ostateczności sytuację, a równocześnie w sposób niezamierzony stwarzając całkiem nowy układ inscenizacyjny z Panną Młodą, jak posąg piękności u szczytu, z Panem Młodym we fraku, nad którego czernią tym wyraziściej zaznaczy się nasilająca czerwień uszu i z samym sobą, duszkiem, którego krawat będzie co prawda nieco przekrzywiony, ładne oczy trochę nazbyt bezczelne, choć i umykające na bok, lecz cała aparycja schludna i miła, ujmująca chłopięcą młodością. I być może nie tyle właściwa mu skłonność do póz i zgryw, ile raczej instynkt kompozycji podszeptnie pomysł, aby majestatycznej dumie reprezentującej szczytowy niejako element tej konfiguracji przeciwstawić tu, w dole, pierwiastek pokory, zatem pierwiastek, którego sens istotny najplastyczniej wyraziłaby postawa klęcząca, a może i świeże reminiscencje ze sceny, która mogła się dopiero co rozegrać w korytarzu, wpłyną na decyzję warszawskiego Ariela z roku 1969, dość, że Marek Kuran istotnie klęknie na schodach i gdy kształtną głowę, znajdującą się mniej więcej na poziomie dolnych partii frakowych spodni Pana Młodego, podniesie ku wyższym rejonom znakomitego aktora, wówczas — trudno! — sympatie ku harmonijnej kompozycji będzie musiał wzbogacić, rozbudować i przyozdobić, I powie żarliwie:

— Konrad, ty jesteś największy aktor, a ja jestem największy poeta!

Po czym rzeczowo stwierdzi:

— Ale uszy trzeba ci obciąć.

— Koniecznie? — spyta łagodnie Keller.

— Mówię ci, Konrad, ty jesteś największy aktor, a ja największy poeta. Tylko uszy trzeba ci obciąć.

Wówczas, cóż się wówczas może stać? Chyba jednak posągowe piękno u szczytu tej konfiguracji zmanifestuje swą żywą obecność i na krótkich falach wysokiego śmiechu nada następujący komunikat:

— Och, Marek, jesteś cudowny, zrób to, błagam cię, to będzie szalenie dowcipne!

Po czym, mimo długiej i obcisłej sukni, wykona na stromych wysokościach zadziwiająco zręczny piruet i kiedy za moment ta sama nieporównywalna zwinność stóp uniesie ją ku sferom, skąd wciąż dobiegać będzie muzyka oraz pogłos tanecznego falowania, pozostawi po sobie tu w dole wrażenie, jakby nagle wniebowstąpiła, chociaż sama z pewnością

by wołała, aby to odejście i zniknięcie skojarzyło się raczej z dramatycznym majestatem Lady Makbet, wchodzącej po schodach zamkowej baszty.

A osamotnieni: mężczyzna i chłopiec?

— Zepsuła zabawę — zmartwi się Keller.

Marek Kuran podniesie się z klęczek i starannie strzepnie ze spodni kurz.

— Solistka! — powie z akcentem litościwej pogardy — twoja żona, Konrad, interesuje się tylko sobą, a mnie to nie interesuje.

— Ja też się tylko sobą interesuję.

— Tobie wolno, bo ty jesteś wielki skurwysyn. Pochwal się, że jesteś.

— Przeważnie.

— Zawsze!

— Jeśli ci na tym zależy.

— Nie mendź, mnie na niczym nie zależy, ja bym się najchętniej położył jak dolina i spał.

— A góry?

— Mogą mnie pierdolić. Albo ja góry, mnie wszystko jedno. Bo ja, Konrad, skurwysynie, jestem krótkowidz, rozumiesz?

— Ty?

— Podwójny, również na umyśle, tylko na ten drugi defekt nie mogę sobie, kurwa, dobrać szkieł, rozumiesz!

— Domyślam się.

— Łżesz, Konrad, gówno się domyślisz. Skurwysyn jesteś, ale mnie nie przyłapiesz, bo ja jestem skurwysyn większy. Cześć!

I pewnie się moment zawaha, czy na tym wyprawy w świat dojrzałości nie zakończyć i nie wrócić do baru, jednak ciekawość rozlicznych możliwości oczekujących go na salonach chyba mu każe ku tamtym sferom podążyć, co też i uczyni, z pewną wszakże ociężałością wchodząc po schodach, nawet nieco przygarbiony, więc też jego kolejne zniknięcie nie będzie miało nic z wniebowstąpienia, co Keller ze swego punktu obserwacyjnego z pewnością odnotuje, lecz bez komentarzy, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa prawie natychmiast powinien się zjawić Ksawery Panek i wówczas pomiędzy szwagrami taki się wywiąże dialog:

— Widziałeś Marka?

— Jak najbardziej.

— Dawno?

— Właśnie odfrunął.

— Na górę?

— Dokładnie.

— Bardzo pijany?

— Niee, nie robił wrażenia. Może leciutko.

— A co mówił?

— Był bardzo miły.

— Oczywiście! jak chce, potrafi być miły i dobrze wychowany.

— Ba! któż z nas zawsze chce być miły i dobrze wychowany?

— Boję się, że narozrabia.

A ponieważ szwagier nie znajdzie dość szybko kojącego pocieszenia, Ksawery Panek wyjmie z kieszonki smokinga białą chusteczkę i przetrze zwilgotniałe czoło.

— O Boże! żeby się to już wszystko skończyło.

Wszystko co? Weselne przyjęcie, niewolnicza miłość, rzeczywistość polska? Lecz Konrad Keller nie należy do tych, którzy lubią dotykać ran. Zamilczy więc dyskretnie.

A Ksawery:

— Idziesz na górę?

— Byliśmy z Moniką podziękować mistrzowi Kubickiemu, dużego formatu kucharz, prawda? I pomyśl, on ma osiemdziesiąt sześć lat!

— Najchętniej bym się zalał.

— I spał jak dolina?

Z pewnością Ksawery się ocknie ze swojej dręczącej, jak senna zmora turbacji.

— Kto ci to powiedział?

Sen, Ucieczka

Wzrok

— To wszystko przez pogodę, Ksawery. Gdyby była normalna wiosna...
— Kto ci powiedział: spał jak dolina?
— Ksawery, Ksawery! — powie Konrad Keller, wchodząc na wyższy stopień ciasnych i krętych schodów — wszystko byłoby inaczej, gdyby była wiosna, ciepło, bzy...
— Bzdura!
— Oczywiście — roześmieje się Pan Młody.

I gdy obaj znajdą się w blasku sali, gdzie pod ogromną kopułą, ucharakteryzowaną na niebo usiane gwiazdami, tańczyć będzie kilka par, trochę samotnych i zagubionych wśród niewspółmiernie rozległej przestrzeni, a w dalszej perspektywie rzęsiście oświetlonych salonów zarysują się grupki poszczególnych gości, Ksawery Panek, mrużąc oczy oślepione jasnością, poszuka sylwetki Marka Kurana, skoro zaś jej nie odnajdzie, jeszcze mocniej oczy przymruży i powie z akcentem pogardy:

— Małpi cyrk!

Chyba Pan Młody nie podejmie wątku, dla samego siebie zachowując ocenę sytuacji.

Natomiast usunięty karnie z Warszawskiego Uniwersytetu eks-asystent katedry historii filozofii współczesnej, uczuje wzmożoną potrzebę humanistycznego porozumienia:

— Tylko moi starzy mogli wpaść na pomysł, żeby urządzić coś takiego, oni plus moja siostrzyczka. Wybacz, Konrad, intencje mojej milej rodziny doceniam, ale nie mogę pojąć, dlaczego ty się zgodziłeś na podobną szopkę.

Prawdopodobnie Pan Młody, wyzywając się humanistycznie w innej konwencji, ucieknie się do uniku:

— Czy nie przesadzasz? Ostatecznie to są wszystko przyjaciele, koledzy, znajomi, stale się widzimy, tyle, że dzisiaj wszyscy są akurat razem.

— Właśnie!

— A poza tym, gdzie znajdziesz w Warszawie mieszkanie z metrażem, który by mógł pomieścić tylu ludzi?

— Słusznie, kliniki psychiatryczne i więzienia też są przepełnione. Spójrz tylko! gdyby ciała tych ludzi były ukształtowane na podobieństwo ich życia, myśli i pragnień, to byśmy ujrzeli potwory, strzygi i maskary stokroć bardziej przerażające i ohydne od tych z Boscha i Goyi. Nas nie wyłączając.

— To uprzejmie z twojej strony.

— Przepraszam cię, tu wszyscy są chorzy, jedni na cynizm, tępą głupotę albo po prostu na nikczemność, a inni dali się wrobić, pozwolili, żeby im spreparowano pokraczne garby, żalosne grymasy, wykrzywione ryje, tu się w cztery oczy bełkocze albo skomli, drwi, szydzi, plotkuje i obmawia, zgnojone uciechy lokai i niewolników, śmichy-chichy kastratów, to jest nasza polska szczerłość, odwaga, fantazja i ukochanie swobody, ale za to sprawnie i bezwstydnie zaczyna się kłamać, gdy liczba oczu i uszu wzrasta, tu już nie ma żadnych konfliktów, żadnej zadry w brzuchu, kiedy się kłamie i co innego myśli na użytek własny, i co innego publicznie deklaruje. Konrad, to jest najokropniejsze, że tutaj prawie wszyscy stają się coraz gorsi, wzrasta oświata, podnosi się poziom cywilizacyjny i upowszechnienie tzw. wartości — kulturalnych, budujemy się, ludzie są chłonni, żywi, inteligentni i uwrażliwieni, otwarci na tysiąc zagadnień i z tym wszystkim stajemy się coraz gorsi. Adam powtarza przy każdej okazji, że w Polsce ludzie się kończą przedwcześnie i nie ma u nas znakomitych starców, naprawdę wciąż żywych i twórczych, że polską starość można tylko na piedestale ustawić i czcić w charakterze narodowego bóstwa, gdy już jest skamieniałe, wystygłe i nie ma obawy, aby się pewnego dnia nagle ocknęło, tak chyba rzeczywiście jest, ale sam nie wiem, czy to i w ogóle wszystko inne wynika z naszej pokręconej historii, czy też po prostu już tacy jesteśmy, urodzeni i ukształtowani na krótki oddech, efektywne, lecz szybko wygasające eksplozje, rozumiesz? nie to, że historia, ta przez duże H, gniece nas, wysysa i wypacza, a my jesteśmy ofiarami i osiągnęlibyśmy niebotyczne szczyty, gdyby nie to albo tamto, sam nie wiem, ale wydaje mi się coraz częściej, że to wcale nie historyczne fatum wpędza nas w głupie sytuacje, w jałowość, nudę, beznadziejność, w owe mętne pustkowia, gdzie diabeł mówi dobranoc i gdzie tyle wysiłków, zamierzeń, planów i nadziei przypomina górę, która urodziła mysz, lecz my sami nie potrafimy historii stworzyć i społeczeństwa rozumnie kształtować, bo wszystko — inteligencja, wrażliwość, fantazja, uzdolnienia — wszystko wydaje się w nas wspaniałe, żywe i ponad przeciętną miarę bujne — tylko że tego jest mało, rozpaczliwie,

Wiosna

Wesele, Zabawa, Potwór,
Ciało, Dusza, Obraz świata,
Obraz świata, Fałsz, Upadek

Starość

Polska, Polak, Historia,
Kondycja ludzka,
Przemijanie, Błądzenie

zawstydzająco mało, starcza tego na błysk, na zryw, stumetrówkę, olśniewający wyczyn, błyskotliwą improwizację, a potem klops, braknie paliwa, wulkany wygasają, źródła się kurczą, ziemia jałowuje, najpiękniejsze drzewa próchnieją albo się je bezmyślnie ścina, i tak pokolenie po pokoleniu zaczyna się w tym kraju brawurowo, bohatercko, fajerkwerki, pioruny i błyskawice, wielkie zapowiedzi i nadzieje, a potem „wiek męski, wiek kłęski”, bezcenne energie już się wyczerpały, były diamenty, został popiół, „ostał ci się ino sznur”, tyle że potem trzeba żyć, natura nie udziela ludziom owej wspaniałomyślnej i litościwej łaskawości, dzięki której efemerydy pustynne, spełniwszy swój przyśpieszony byt roślinny, umierają i giną, ludzie muszą żyć, zresztą chcą żyć bez względu na to, czy mają ku temu dostateczne racje i zasoby, wydaje mi się nawet, że tylko wewnętrzne bogactwo pozwala ludziom godzić się na śmierć albo śmiercią płacić, nędzarze kurczowo życia się trzymają, chcą się urządzać, stabilizować, podnosić stopę życiową — bawić się, ubierać, kochać, rozmnażać, kupować auta, lodówki, telewizory, adaptery, magnetofony i motocykle, wspinać się po śliskich szczeblach kariery, rozkazywać, reprezentować, choć już w głowach pusto i ciemno, i dwa razy dwa jest pięć...

I chyba zmęczony tym trochę nazbyt gwałtownym potokiem słów (jeśli takie lub w podobnym duchu utrzymane kwestie rozpowszechnia Ksawery Panek w swojej kawalerce na Mokotowskiej wobec młodzieżowego audytorium — Stefan Raszewski, odpowiedzialny przed Biurem Politycznym za odcinek kultury i ideologii, czyż nie musiał, powodowany starym koleżeństwem, ostrzec ojca?), niepokojąco chaotycznych, jak na utalentowanego adepta filozofii, chyba poczuje się zmuszony do ponownego sięgnięcia po białą chusteczkę i przetarcia wilgotnego czoła, a nie jest też i wykluczone, że w tym właśnie momencie, gdy delikatną, o długich, kobiecych palcach dłoń podniesie do czoła, łagodząc tym ruchem nazbyt dla swych wrażliwych oczu ostry blask kryształowych żyrandoli — dostrzeże gdzieś w głębi wdzięczną sylwetkę Ariela, i wówczas zblednie, dłoń mu zadrzy, serce mocniej zabije, a Polska, jak stary, wyleniały orzeł, ciężko znad skalnego urwiska podrywający się do lotu, wyfrunie mu z głowy. Będąc jednak pewny, że i szwagier dostrzeże Marka Kurana, bowiem oczadzeni miłością nie tylko sami widzą świat w zarysach zniekształconych, lecz i bliźnich w magiczny krąg tego szaleństwa muszą wciągać, więc tak przejęty nagłym odnalezieniem Ariela, będzie przekonany, że musiało się ono stać udziałem również Konrada, zatem opanuje pierwszy odruch, aby pobic ku wybranemu natychmiast, realizując w ten sposób starożytną potrzebę połączenia się z drugą swą połową stanowiącą niegdyś współ z nim, przed okrutnym odcięciem, jednolity żywiół, stłumi zatem to metafizyczne wzruszenie i wciąż z białą chusteczką przy czole i uwrażliwionymi oczyma związany z wiadomym dalszym planem powie:

— Wiesz, co powiedział Jan Kazimierz, kiedy po abdykacji dowiedział się o elekcji Michała Wiśniowieckiego? „Dlaczego wybrali tę beczkę piwa?” I rzeczywiście, wybrali najgorszego. Churchill miał rację, kiedy napisał, że Polacy są „najdzielniejsi spośród dzielnych, ale zbyt często prowadzeni przez najnikczemniejszych z nikczemnych”.

Być może Keller, akurat dostrzegłszy Monikę rozmawiającą ze Stefanem Raszewskim na progu tzw. pokoju ze schodami (garnitur czeczotowy z kanapą, stołem, fotelami i krzesłami, intarsjowany ciemnym drzewem, Polska około 1820; świecznik empirowy, drewniany, złożony, Polska około 1810; kopia obrazu Januarego Suchodolskiego — *ks. Józef Poniatowski, skaczący na koniu w nurty Elstery*), zaryzykuje i z zachowaniem wszelkich ostrożności wkroczy na tę śliską ścieżkę:

— Bywają rządy narzucone.

— Owszem — na to Ksawery — tylko najpierw trzeba doprowadzić do sytuacji, w której rządy mogą być narzucone. Kto winien? Zawsze wolę powiedzieć: ja! Konrad, my jako społeczeństwo jesteśmy czymś w rodzaju skały, której zbrakło nagle lepszycza, wiesz, to jest rodzaj skalnego spoiwa, dlatego stajemy się coraz gorsi. A zresztą po co to wszystko? To tylko gadanie, słowa, słowa, i tak nic nie zmienimy. Ty masz sytuację trochę inną.

— W sensie?

— Konrad, Konrad, taki inteligentny i chyba nic nie rozumiesz albo zrozumieć nie chcesz. Nawet nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że gdy wchodzisz na scenę albo się pojawiaasz na ekranie czy w telewizji, od razu zaczynasz wytwarzać pomiędzy zbiorowością

Starość, Kłęska

Polska, Miłość

Polska, Historia, Władza

Polska, Władza, Państwo,
Naród, Sztuka

widzów owo zanikające lepszycze. Władza nieudolna i dyktatury mają absolutną rację, że w stosunku do sztuki są podejrzliwi.

I gdy wraz z tym mało odkrywczym stwierdzeniem odejmie dłoń od czoła (i tak zbyt długo wykonywać będzie te manipulacje, świadczące o zmęczeniu i nerwowym wyczerpaniu) i białą chusteczkę z powrotem umieści w kieszonce smokinga, a potem, już pod drażniącym blaskiem świateł, niespokojnie wzrokiem podaży w wiadomym kierunku — chyba tak się stanie, że ruchliwy Ariel znikanie z pola jego widzenia i wówczas Ksawery poczuje się tak śmiertelnie znudzony, iż zaproponuje szwagrowi:

— Napijemy się?

— Chętnie, ale może za chwilę — odpowie Keller — nie zapominaj, że gram rolę gospodarza, tekst mam wprowadzić nie najlepszy, mimo to nie chciałbym, aby to była moja rola najgorsza, całkiem uniemożliwiająca wytwarzanie się społecznego lepszycza.

Na progu pokoju ze schodami Stefan Raszewski:

— Nie miałem jaszczce okazji złożyć pani moich najlepszych życzeń. Cieszę się, że mogę to uczynić teraz.

Trudno wobec dwuznacznej sytuacji apodyktycznie zdecydować, co Panna Młoda odpowie i jaki kierunek zechce rozmowie nadać, czy zachowa się konwencjonalnie, pamiętając wszakże, że życzenia składa nie tylko przyjaciel ojca, lecz również osobistość w pewnym sensie oficjalna, zajmująca w hierarchii partyjnej wysokie stanowisko, czy zatem swoją kwestię utrzyma na płaszczyźnie czysto towarzyskiej z uwzględnieniem okoliczności oraz personaliów, a z pominięciem wszelkich akcentów natury osobistej, zamykając w ten sposób nieodległą przeszłość niejako ostatecznie, a i z drugiej strony dając do zrozumienia, że co było — nie powróci, czy też odwoła się do aluzyjnej gry, aby dać temu bezwzględnie męskiemu żywiołowi szansę nawiązania intymniejszego dialogu, bowiem, najprawdopodobniej, po świeżych emocjach figuralnej sceny na schodach, skoro pewnie natychmiast podejrze do niej Stefan Raszewski, nie zdąży sobie uświadomić, że w jakiegokolwiek manierze skwitowałaby uprzejme życzenia eks-kochanka, on i tak pokieruje rozmowę, jak zechce. Przecież biorąc pod uwagę charakter Panny Młodej, a również przebieg rozmowy z Panem Młodym uwzględniając, wreszcie i inne, może jeszcze mgliste, a może i nie tak bardzo mgliste plany życiowe oblubienicy włączając do ogólnego podsumowania elementów istniejących, nie popełni się chyba wobec tajemnic czasu przyszłego szczególniejszego nadużycia, jeśli się podejmie pewne ryzyko i na życzeniową deklarację Raszewskiego zostanie Monice podzruczone pytanie:

— Zna pan pewne przysłowie?

— Zależy jakie?

— Kto przychodzi ostatni...

— Ten zjada ostatki?

— Ten jest piękny i gładki!

Po tak błyskotliwej intradzie Monika z pewnością zwycięsko wytrzyma uważne, choć bynajmniej nie natarczywe spojrzenie Raszewskiego. On zaś po chwili napiętego milczenia:

— Nie znam się na przysłowiacz, ale pani się pomyliła.

— Doprawdy?

— Kto zjada ostatni, ten jest piękny i gładki.

— Rzeczywiście, ma pan rację! Ale to właściwie na to samo wychodzi, sens podobny.

— Niezupełnie. Zjadać ostatki potrafi byle dureń. A przyjść ostatnim...

— Znaczą zwyciężyć?

— Zależy kto przychodzi ostatni. I kiedy.

— Mówi pan jak polityk.

— Na razie jak mężczyzna.

Znów chyba nastanie moment ciszy. Lecz gdyby się zdarzyło (a dlaczego miałyby się nie zdarzyć?), że dyrektor Teatru Stołecznego i Eryk Wanert znaleźliby się gdzieś nieopodal, Monika z pewnością by to zauważyła i zawołała w ich stronę:

— Halloo, chłopcy! Jak się bawicie?

A skoro chłopcy podejǳą, na progu pokoju ze schodami utworzy się grupa — natychmiast przez wiele osób dostrzeżona, szybkimi komentarzami podstemplowana i podana dalej.

Monika:

— Jak wam leci?

— Świetnie — odpowie dyrektor Otockı — pracowaliśmy.

Po czym wewnętrznym i chyba automatycznie działającym magnetyzmem poruszony zwróci się ku Raszewskiemu:

— Kolega Wanert przedstawił mi właśnie, towarzyszu Raszewski, swoją koncepcję *Makbeta*. Wydaje mi się bardzo interesująca i odkrywczą.

Raszewski, który w ubiegłym roku ostro skrytykował ostatni film Wanerta *Zagubieni* i sprawił, że to wybitne dzieło znakomitego reżysera nie weszło na ekrany, teraz, jak się zdaje, słowem ani spojrzeniem nie zachęci dyrektora Teatru Stołecznego do dalszych wyjaśnień. Natomiast niewątpliwie uczyni to Monika:

— Szalenie dowcipni jesteście! Dlaczego mnie nie było przy tej rozmowie, zdaje się, że i ja jestem w tej historii zainteresowana?

— Wybacz, Moniczko — na to Otockı — ale rozmowa po prostu się zaimprovizowała. Wiecie oczywiście, towarzyszu Raszewski, że kolega Wanert ma u mnie robić *Makbeta*?

— Słyszałem — odpowie krótko Raszewski.

Otockı:

— To bardzo obecnie typowe zjawisko, że wybitnych filmowców pociąga i interesuje teatr. Kazan i Bergman zaczęli co prawda od teatru, ale Visconti, Peter Brook...

Wanert:

— Peter Brook...

— Oczywiście! — Otockı wyminie łatwo i tę mieliznę — ale zjawisko jest typowe. Jestem jak najdalszy od niedoceniań filmu, ale mimo wszystko teatr pozostanie teatrem, teatr daje artyście inne możliwości, przede wszystkim bezpośredni kontakt z widzem, a to z punktu widzenia psychologii twórczej...

Wanert:

— Nie wiem, czy w moim wypadku można mówić o psychologii twórczej, poprzez moje filmy też mam kontakt z widzem. A jeżeli teraz chcę coś robić dla teatru, to po prostu dlatego, że w filmie nie mam na razie nic do roboty.

Po tym mało samokrytycznym i nieprzemyślanym do końca stwierdzeniu Wanerta sytuacja mogłaby się stać cokolwiek drastyczna, gdyby dyrektor Otockı dzięki swemu wewnętrznemu magnetyzmowi nie zareagował bezbłędnie. Całym ogromnym i ciężkim ciałem zwrócony ku swemu biegunowi, przecież Monice przekaże niniejsze oznajmienie:

— Wiesz, Monika, Eryk uważa, że pani Makbet powinna być blondynką.

— Nie! — wykrzyknie Monika — chcecie mi zmienić upierzenie? To straszne! Jak ja będę wyglądać w jasnej peruce?

— Cudownie! — uspokoi ją Otockı, wciąż jak igła busoli, owej przewodniczki zbłąkanych, ustawiony właściwie. — Nic się nie martw, nowe perspektywy otworzą się przed tobą, jak się zmienisz w blondynkę.

Lecz Monika nazbyt jest sobą, aby tak łatwo zaakceptować zmianę kolorytu.

— Nie, to koszmarnie! Eryk, nie możesz mi tego zrobić, naprawdę uważasz, że to konieczne?

— Bardzo wskazane — odpowie grzecznie Wanert. — To wynika po prostu z tego, jak ja widzę postać Lady Makbet.

Chyba jednak Stefan Raszewski uzna za wskazane zaznaczyć, że jest.

— Mam nadzieję, panie Wanert, że na tekście szekspirowskim nie zamierza pan dokonać równie ryzykownych zabiegów, jak na włosach naszej utalentowanej artystki?

Otockı:

— Mogę was zapewnić, towarzyszu Raszewski...

Lecz Wanert mu przerwie:

— Reżyserowanie zawsze jest pewnego rodzaju zabiegiem.

Raszewski:

— Słusznie, zależy tylko, czemu, względnie komu, podobny zabieg służy. W ostatnich latach dokonywano u nas na tekstach Szekspira i nie tylko Szekspira różnych zabiegów, niektóre były nawet bardzo efektowne, a ich wymowa ideowa i polityczna budziła poważne zastrzeżenia. Wszelkie próby tak zwanej aktualizacji Szekspira, próby odczytywania problemów historycznie odległych, jakby dotyczyły naszej współczesności i naszych konfliktów są obiektywnie błędne, niezgodne z właściwym, naukowym rozpoznaniem rzeczywistości, a wykorzystywane bywają przede wszystkim przez naszych wrogów.

— Niestety, tak jest — westchnie Otocki.

— Oczywiście, rozwoju twórczości nie można pobudzać przy pomocy rozkazu, twórczość nie toleruje podejścia formalno-biurokratycznego, drobiazgowej kurateli i reglamentacji. Owocny rozwój nauki, literatury i sztuki wymaga występowania różnych szkół i kierunków, różnych stylów i rodzajów współzawodniczących między sobą, ale jednocześnie związanych jednością ideową i światopoglądową.

— No, dobrze! — powie Monika, nagle w naiwne dziewczątko przeobrażona. — Ja jestem tylko aktorką i nie znam się na polityce, ale, powiedzcie, tylko, błagam, poważnie, czy dla jedności ideowej i światopoglądowej konieczne jest, żebym grała Lady Makbet z utlenionymi włosami? Dlaczego się śmiejecie? Okropni jesteście! Gdyby o coś podobnego spytał Konrad, to byście cmokali z zachwytu, jaki on jest intelektualista, natychmiast chwytający istotę każdego problemu, nowoczesny, już sama nie wiem co. A jak pytam ja, to myślicie, że jestem idiotka i śmiejecie się.

Chyba jednak w tym momencie Owocki, korzystając ze swoich ojcowskich niejako uprawnień, jako starszy pan oraz dyrektor, obejmie Monikę i ojcowski pocałunek złoży na jej czole.

— Cudowna jesteś, Moniczko!

Monika nadąsana, jak mała dziewczynka:

— Czy ten pocałunek ma oznaczać przyznanie się do winy?

Otocki:

— Więcej, podziw i zachwyt.

I do Raszewskiego:

— Mogę was, towarzyszu Raszewski, zapewnić całym moim doświadczeniem teatralnym, że pani Monika Panek w roli jasnowłosej Lady Makbet będzie jedną z największych rewelacji artystycznych dwudziestopięcioletnia.

Potem, gdy znów będą sami i jeden krok Raszewskiego do tyłu sprawi, że znajdą się oboje wewnątrz pokoju — Monika:

— Myśli pan, że on to serio powiedział?

Zamiast odpowiedzi Panna Młoda poczuje na szyi gorący oddech, a gdy spojrzy, na swego partnera — dostrzeże w jego pociemniałych oczach aż nadto dobrze znany poblask. Więc chyba się jednak złęknie i szepnie:

— Uważaj, widać nas.

— Nie wymkniesz mi się — powie.

— Patrz na nas.

— Nie wymkniesz mi się — powtórzy głosem nieco schrypniętym.

I nie jest wykluczone, że plecami do sali, zasłaniając w ten sposób Monikę, chwyci jej rękę i mocno w przegubie ściśnie.

Wówczas ona:

— Puść, będę miała siniak.

— Jutro o szóstej, tam, gdzie zawsze, tak?

— Nie wiem.

— Kłamiesz, dobrze wiesz, że przyjdiesz, bo też tego chcesz. Chcesz?

— Może.

— Nie może, na pewno. Tak?

Wiedząc, że to *tak* powie — zmusi się jednak, aby ten moment jeszcze odwlec, lecz to, czego będzie pragnąć, okaże się w niej silniejsze. I dopiero, gdy powie: *tak* — usłyszy je.

Wówczas Raszewski puści jej rękę i cokolwiek się cofnie.

— No, widzisz! Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. Po co to wszystko zrobiłaś, idiotko!

Bardzo prawdopodobne, że odpowie słowami męża:

— Nie wiem.

Lecz w przeciwieństwie do niej samej z figuralnej sceny, on uzna tę wypowiedź za wysoce zadowalającą, przywoła bowiem przechodzącego kelnera i do gabinetu, który dawniej był sypialnią brata królewskiego, Księcia Prymasa, każe podać butelkę szampana.

Ponieważ dyrektor Otocki opuści wraz z Wanerem pokój ze schodkami w krzepiącym przeświadczeniu, że Raszewski, akceptując Monikę w roli dziewczęcej i jasnowłosej Lady Makbet, udziela tym samym swego *placet* również i sztuce, a przede wszystkim kontrowersyjnej osobowości Wanerta, a jemu samemu ze względów prestiżowych szczególnie będzie zależać, aby sławny reżyser filmowy sprezentował³⁵ swój debiut teatralny właśnie w Teatrze Stołecznym za jego dyrektury, nieobdarzanej, jak dotąd, w środowiskach artystycznych sympatią i poparciem — pochyli swoje ogromne ciało ku drobnemu Erykowi i kładąc ciężką dłoń na jego ramieniu, spyta konfidencko:

— Napijesz się?

Co zabrzmi, jakby chciał powiedzieć: musisz przyznać, że jestem porządny chłop.

— Chyba nie — odpowie najpewniej Wanert — mam dość.

Na to Otocki:

— To ja się napiję.

I pociągnie go ku najbliższemu bufetowi.

— Może jednak? Jedną whisky?

Jeśli Wanert dojrzy w tym momencie w głębi sali wysmukłą, wciąż jeszcze, mimo siwiejących włosów młodzieńczą sylwetkę Adama Nagórskiego, z pewnością przygryzie nerwowo dolną wargę, ponieważ widok pisarza odświeży w nim jeszcze niezasklepioną ranę: ostateczne przed paroma miesiącami odrzucenie scenariusza według ostatniej powieści Nagórskiego *Ostatnia godzina* — już od kilku lat marzył, aby ten film nakręcić i choć ów długi i wielopłaszczyznowy monolog umierającego Leonarda stawiał przed nim, jako reżyserem, trudności, przekraczające niemal wszystkie możliwości ekranizacyjne, wiedział, posiadał pewność, choć niepozabawioną dreszczy niepokoju, że nakręciłby film naprawdę wielki.

— No? — skusi jeszcze raz Otocki. — Może jednak?

Wanert przestanie na moment przygryzać wargę i odpowie:

— Niech będzie.

— No widzisz! — ucieszy się Otocki. — Z wodą?

— Wszystko jedno.

Potem Otocki:

— Zdrowie twego *Makbeta*, Eryk!

Wanert bez entuzjazmu podniesie szklanekę, natomiast Otocki wypróżni zawartość swojej łapczywie, jakby to był orzeźwiający tonik.

— To prawda, że Raszewski zatrzymał twoich *Zagubionych*?

— Prawda.

— Rozmawiałeś z nim?

— Rozmawiałem.

— Kiedy?

— Dawno, jeszcze w październiku.

— No, moment nie był najlepszy. Czechosłowacja, Zjazd Partii...

— A znasz taki moment, który byłby dla nich dobry?

Otocki raczej uchylił się od odpowiedzi i aby zastąpić niewypowiedzianą kwestię pożyteczną treścią, zażąda od kelnera czuwającego przy bufecie jeszcze jednej whisky.

Szybko i sprawnie obsłużony, wróci do przerwanej rozmowy:

— I co ci powiedział?

— Mniej więcej to samo, co oni zwykle mówią, kiedy ma być na nie. Peryferyjne problemy, nietypowe, pesymizm, jednostronny, subiektywny obraz rzeczywistości, niedostrzeżenie głównego nurtu historii, potem krótki wykład o podziale świata, o toczącej

³⁵sprezentować — tu: zaprezentować. [przypis edytorski]

się walce i potrzebie zaangażowania po stronie postępu i wolności, no, co jeszcze? Przecież ty to dobrze znasz.

— Nie martw się, stary, Raszewski nie jest najgorszy.

— Możliwe. Byłaby to nawet pewna pociecha, gdyby ci najgorsi byli odrobinę lepsi.

— Raszewski nie jest przede wszystkim głupi facet, tylko musi dbać o linię Partii.

A ciebie w gruncie rzeczy bardzo ceni, wiem to na pewno.

Wanert wstrząśnie kostkami lodu.

— Wolałbym, żeby i mnie mniej cenił, i o linię Partii mniej dbał.

— Myślisz, że to od niego zależy?

— Wiem, że nie od niego, ale, wybaczone, mnie już od tego wszystkiego mdli. U nas są winni tylko ci, którzy robią rzeczy naprawdę wartościowe i usiłują coś zmienić na lepsze.

A reszta? Sami niewinni!

— Nie irytuj się, szkoda nerwów, i tak nic nie zmienisz.

— Wiem — odpowie Wanert i chyba tym razem wypije swoją whisky do dna.

Może pomyśli: nic nie zmienię i dlatego, że tak myślę, nigdy nie zrobię nic wielkiego.

A Otocki naraz:

— Poczekaj, Eryk, coś ty przed chwilą powiedział?

— Że wiem, że nic nie zmienię. Niestety!

— Nie, nie to, przed tym! Że wolałbyś, żeby Raszewski mniej cię cenił i mniej dbał o linię Partii. Powiedziałeś tak?

— Możliwe.

— Człowieku! Przecież gdyby on rzeczywiście mniej dbał o linię Partii, ciebie musiałby cenić jeszcze wyżej. Napij się?

Wanert, przygryzając dolną wargę, potrząśnie głową. I gdy dostrzeże nieopodal znajomą twarz, powie szybko:

— Przepraszam cię, muszę się z kimś przywitać.

Porzucony tak nagle Otocki podąży wzrokiem za odchodzącym i z pewnością od razu się zorientuje, że Wanert zmierza ku Romanowi Gorbatemu, który samotnie będzie stać pod ścianą, tuż obok popiersia z białego marmuru przedstawiającego ks. Józefa Poniatowskiego. Stwierdziwszy to, Otocki szybko odwróci głowę i zajmie się swoją whisky, po czym bardziej niż zazwyczaj ociążyły, z obwisłą twarzą i nazbyt długimi rękoma kołysząc jak wiosłami, odejdzie w przeciwną stronę, a ponieważ poczuje się cokolwiek pijany, więc z przesadną starannością będzie nawiązywać swymi ogromnymi stopami kontakt z posadzką.

Zatem Eryk Wanert przywita się z Gorbatem.

— Jak się masz, Roman? Dawno się nie widzieliśmy.

Być może pierwszym odruchem Gorbatego byłyby odpowiedź: nie szukałeś mnie, lecz z pewnością nie powie tego, może tylko jego niebieskie, bardzo słowiańskie oczy lekko pociemnieją i nerwowym ruchem lewej dłoni odgarnie z czoła niesforną grzywę ciemnych, prawie granatowych włosów, pewnie powie:

— Nigdzie nie bywam.

Chwilę będą prawdopodobnie milczeć, obaj trochę zakłopotani, bo rany, jakie zadaje ludzicom zdeprawowana władza, czynią niekiedy jednostkę równie osamotnioną i cokolwiek wstydliwą, jak osamotnionym i wstydliwym staje się człowiek, gdy jego organizm zatrąwa i rozkłada śmiertelna choroba.

Wreszcie Gorbaty, znów odgarniając włosy z czoła, spyta:

— Kręcisz co?

— Mam robić *Makbeta* w Stołecznym.

Gorbaty ożywi się:

— Z Konradem?

— Oczywiście.

— A Lady Makbet?

— Pewnie Monika.

Gorbaty skrzywi się.

— To gorzej.

— Wiem.

I znów zamilkną. Wreszcie Wanert:

Wina, Praca, Przemiana,
Władza, Idealista

Władza, Choroba, Piętno,
Wygnanie

- A ty, Roman?
— Ja? Jem, trawię, chodzę na długie spacerunki, czytam kryminały.
— To prawda, że chcesz wyjechać?
— Moja żona i syn chcą.
— A ty?
— Nie wiem. To znaczy wiem, ja wyjechać nie chcę, ale chyba będę musiał.

I po chwili:

— Zrozum, człowieku, bez teatru nie potrafię żyć, muszę mieć scenę, aktorów, dekoracje, światła, tylko to jedno umiem robić, bez tego staję się suchy i drętwy, jak patyk. Przecież mam czterdzieści pięć lat, najlepszy wiek, mam siebie dobrowolnie skazać na wegetację? Jeszcze rok, dwa takiego życia, jak ten rok ostatni, i będę trupem.

— Może się coś zmieni — powie Wanert bez przekonania.

— Wierzysz w to?

— Nie — odpowie Wanert.

Gorbaty:

— Miałem ostatnio kilka propozycji, z Oslo, z Kolonii.

— I co?

— Nic, dano mi wyraźnie do zrozumienia, że owszem, mogę wyjechać, ale tylko na papierach emigracyjnych.

Chyba tylko moment alkoholowego zamroczenia sprawi, że Ksawery Panek, poszukujący na salonach swego Ariela, nie wycofa się roztropnie, gdy w nadziei odnalezienia drogocennej zguby przekroczy próg dawnej sypialni brata królewskiego, Księcia Prymasa. Poza tym, gdyby wiedział, że z pociemniałego obrazu na ścianie spoglądają na niego oczy książęcego protoplasty, nie powiedziałby prawdopodobnie: przepraszam, czy nie przeszkadzam?, jakkolwiek — nie należy tego drobiazgu zbagatelizować — w głosie jego zabrmi akcent ironiczny, nawet impertynencki, jak gdyby duchy dawnych panów tego domostwa, nie mogąc jawnie zalegalizować potomka z nieprawego łoża, zrodzonego z manikiurzystki od „Ewarysta”, córki drobnego sklepikarza z ulicy Zielnej, chociaż w ten sposób, zasilając pańską intonację głosu, pragnęły go wspomóc. Oczywiście, bez odwoływania się do źródeł tak mglistych, można wytłumaczyć arogancki ton Ksawerego chwilowym, jak już wspomniano, zamroczeniem, ową zaczepnością tak często ujawnianą pod wpływem alkoholu przez ludzi delikatnych i wrażliwych, tak też niewątpliwie odczuwają to Monika i Stefan Raszewski, właśnie dla spełnienia wiadomego toastu podnoszący do ust kieliszki z pieniącym się trunkiem. Wielki Boże! Gdzież tu miejsce na fluidy arystokratycznych przodków?

Monika spod portretu księcia Poniatowskiego:

— Czemu miałbyś przeszkadzać?

— Pytasz? Tu wszyscy przeszkadzają wszystkim.

Stosunki pomiędzy rodzeństwem nigdy nie były dobre, wzajemnie i szczerze sobą pogardzali, nawet z domieszką obopólnego obrzydzenia, więc może właśnie dlatego, uwzględniając szczególny charakter sytuacji, Monika zdecyduje się odegrać rolę kochającej siostry:

— Napijesz się z nami? — spyta z miłym uśmiechem.

A Stefan Raszewski, jakkolwiek z nieco innych powodów, z pewnością ją poprze i jak uprzejmy gospodarz należe szampana do wolnego kieliszka, po czym — z własnym w ręce prawej, ten drugi poda dłonią lewą i z gościnnym gestem Ksaweremu.

— Prosimy — powie.

Na tak sielski, zgoła familiarny nastrój Ksawery Panek nie będzie, jak się zdaje, przygotowany. Stojącemu na progu, z wrogiem i nienawistnym tłumem poza plecami, przestrzeń paru metrów lśniącego parkietu, jaka go będzie oddzielać od siostry i Raszewskiego (też szwagra?), wyda się naraz zbyt trudna, prawie niemożliwa do przebycia, poślizgnę się — pomyśli, i sięgnie do kieszonki smokinga, aby chustką przetrzeć zwilgotniałe czoło, lecz i ten zabieg — dla osób postronnych naturalnie niedbały — nie przyniesie mu ulgi. Boże — pomyśli — niechby zginął, na zawsze przepadł ten przeklęty chłopak, Boże,

jakbym go chciał zobaczyć w trumnie, rozgrzanymi od potu oczyma patrzeć będzie na parę stojącą w niebezpiecznym oddaleniu przy czeczotowym stole, na te znane sylwetki, teraz groteskowo zniekształcone, z twarzami wydłużonymi jak pyski zwierząt i z rękoma ciężko zwisającymi wzdłuż nieforemnych ciał, i nagle, jakby ów obraz wydzieliał ostrą woń amoniaku, otrzeźwieje, a przynajmniej wyda mu się, że wytrzeźwia.

— Wasze zdrowie! — powie, podnosząc kieliszek podany gospodarską dłonią Raszewskiego.

— Strasznie to zgrabnie z twojej strony, Ksawery — na to Monika. — Szkoda, że nie ma Konrada.

Ksawery:

— On wytwarza teraz społeczne lepszczce. Wasze zdrowie!

Raszewski trochę nieopatrznie, a może i świadomie, żeby wilka wywołać z lasu:

— Co wytwarza?

— Społeczne lepszczce.

Monika:

— Co to jest? Coś do jedzenia?

— Wyłącznie — na to Ksawery. — Niestety, dzięki trudnościom obiektywnym jest to produkt bardzo rzadki i trudny do nabycia. A wie pan, co to jest kamptokormia?

Tym razem Stefan Raszewski zachowa chyba postawę wyczekującą, może co najwyżej ostrzegawczy chłód pojawi się w jego oczach i uprzejmy rodzinny uśmiech zniknie z twarzy, co sprawi, że mimo fizycznej bliskości spojrzenie jego ogarniać będzie Ksawerego uważnie i czujnie, lecz z dystansu bardzo odległego. Wówczas Ksawery, może znów za wstawiennictwem opiekuńczych przodków, poczuje w sobie dreszcz siły, jaki musi odczuwać pogromca w obliczu niebezpiecznego drapieżnika. Jednym haustem, po polsku, wypróżni kieliszek i trzymając go w dłoni, jak buławę, powie:

— *Kamptes* znaczy po grecku krzywy, zgięty, a *kormos*: kadłub, tułów.

Raszewski:

— Domyślałem się, że chodzi o terminologię naukową związaną ze schorzeniem kręgosłupa.

Ponieważ słowo kręgosłup skojarzy się w umyśle Moniki z kręgosłupem ideowym, szybko zareaguje:

— Mam nadzieję, że nie będziecie mówić o polityce. Ostatecznie, to jest *moje* wesele.

Ksawery:

— Wszystko jest polityczne, moja droga, twoje wesele też.

— Brawo! — zawoła Raszewski. — Widzę, że młodszy adepci filozofii zaczynają rozumować prawidłowo. Więc co z tą, jak powiedziałeś? Kampto...

— Kamptokormia. Czytałem niedawno w jednym ze specjalistycznych pism angielskich, że wśród młodych rekrutów amerykańskich, powołanych do wojska i przed wysłaniem do Wietnamu szkolonych w bazie lotniczej w Lackland, w Teksasie, zanotowano w ostatnich miesiącach kilkanaście wypadków szczególnego schorzenia. Dotknięci nim skarżą się na potworne bóle kręgosłupa, nie mogą się wyprostować i poruszają się jak małpy, o tak!

Wciąż z kieliszkiem zegnę się i z wrokiem wbitym w lustrzaną posadzkę, kołysząc opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma, a również trochę podekscytowany wizją młodych, półnagich żołnierzy, zademonstruje, jak chodzą owi amerykańscy rekruci. Niewykluczono, że i rysy twarzy się mu wykrzywią, jakby naprawdę straszliwie cierpiał.

— Przestań! — wykrzyknie Monika. — To okropne. Biedni chłopcy.

Raszewski:

— Nie dziwiłbym się, gdyby symulowali.

— Ba! — na to Ksawery, już w pozycji normalnej. — To byłoby proste. Ale oni wcale nie symulują. Wszystkie możliwe testy i zastrzyki na prawdomówność wykluczają symulację.

— Więc są chorzy?

— Zależy, co się przez chorobę rozumie. Kręgosłupy mają zupełnie normalne, tyle tylko, że się nie mogą wyprostować i naprawdę cierpią.

Choroba, Polityka,
Żołnierz, Państwo

Chyba w eks-sypialni Księcia Prymasa zalegnie cisza, więc bardzo wyraźnie dotrze „Sto lat”, zaintonowane chóralnie fałszywymi głosami kilku mężczyzn w którejś z odległych sal.

Ksawery z błyszczącymi oczami:

— Jedyne pozycja leżąca, czy horyzontalna, jak by powiedział pan Settembrini, przynosi im pewną ulgę, natomiast, gdy któryś z tych młodych rekrutów zostaje z wojaka zwolniony, jego cierpienia i w ogóle wszelkie objawy chorobowe znikają. Ciekawe, prawda? Pan by, oczywiście, wołał, żeby to była symulacja?

Raszewski:

— Jeśli cię interesuje, co ja bym w tym wypadku wołał, to ci odpowiem: wołałbym, żeby żaden żołnierz na świecie nie musiał ani choroby symulować, ani w chorobę urojoną uciekać. Jasne?

Monika:

— Przestańcie! Już nie mogę tego słuchać, chcecie mnie, zdaje się, zmusić, żebym zaczęła chodzić jak mała?

Ksawery:

— Nie krępuj się, ostatecznie jesteś na *swoim* weselu. A pana nigdy nie boli kręgosłup?

Raszewski:

— Raczej plecy, zwłaszcza przy zmianach pogody.

Ksawery:

— Reumatyzm?

Raszewski:

— Właśnie.

Być może Monice się przypomni: skąd to masz? — pyta, gdy pod palcami, muskającymi barczystą nagość męskich pleców, wyczuje chropawe zgrubienie skóry, on: co?, ona: strasznie tego dużo, on: hitlerowcy nie oszczędzali amunicji, ona: byłeś ranny?, on: gdyby nie twój ojciec nie leżałbym przy tobie, tylko zupełnie gdzie indziej i od dawna, ona po chwili: żartujesz, on: dźwigał mnie na plecach nieprzytomnego kilka kilometrów, ona: nie? nie mogę sobie wyobrazić, żeby mego papę stać było na coś podobnego, on: byłem wtedy szczupły, tego też pewnie nie możesz sobie wyobrazić, ona: nie muszę, jesteś cudowny!

Natomiast Ksawery, czując, że sytuacja rozplywa się w nijakiej (oportunistycznej?) ugodowości, jeszcze raz pozwoli się zagarnąć natarczywej, nieomal zmysłowej potrzebie wychylenia się. Należy zatem szampana do kieliszka i powie:

— Przy tego rodzaju dolegliwościach reumatycznych wiatry wschodnie bywają szczególnie dokuczliwe, prawda?

Lecz tu, nim Raszewski zdąży odpowiedzieć, wyręczy go Panna Młoda:

— Wstydz się — powie, odwołując się do najniższych, prawie kontraltowych rejestrów swego głosu, a delikatnie perlowa karnacja jej twarzy lekko pociemnieje. — On jest prawdziwym mężczyzną.

— Nigdy w to nie wątpiłem.

— Wołał cię zbyć reumatyzmem niż się chwalić, że całe plecy ma w bliznach po wojennych ranach. Oceń to, jak uważasz za właściwe.

— Ach tak? — Ksawery na to. — Jesteś doskonale zorientowana w topografii pleców pana Raszewskiego.

— Owszem, jestem! — Monika lekko odeprze atak. — Papa nie raz opowiadał, jak kilka kilometrów niósł pana Raszewskiego na plecach nieprzytomnego.

— To naprawdę niepotrzebne, Moniko — odezwie się Raszewski.

Monika gwałtownie:

— Owszem, bardzo potrzebne, nie pozwolę, aby byle...

Lecz dalsze jej słowa przytnie głośny, trochę histeryczny śmiech Ksawerego. Będzie to tego rodzaju śmiech, którego nie sposób pohamować, chwytą bowiem człowieka nagle i wbrew jego woli, wylewa się z piersi i z brzucha, jak gęsty krwotok, ciśnie się lepkiem strumieniem do krtani i podobny nawiedzeniu, opętaniu lub atakowi epilepsji musi swoją ofiarą potrząsnąć i targać, od samego początku obcy wesołości, natarczywy, bełkotliwy, dręczący. Tak więc Ksawery podobnym śmiechem przyłapany, odruchowo uwolni się od zawadzającego w tej sytuacji kieliszka, odstawi go na stolik, a sam zachłystując się

Śmiech

spionionym chichotem przejdzie chwiejnie kilka kroków po niepewnej linii przypominającej pętlę, niezdarnie przy tym, jakby się opędzał przed rojem złośliwych szerszeni, wymachując rękoma... okropność, i jaki wstyd!

Na szczęście zarówno Monika, jak Raszewski będą milczeć, trochę zaskoczeni, a pewnie i stropieni tą nieprzyzwoitą manifestacją byłego starszego asystenta przy katedrze historii filozofii współczesnej. Więc z braku nowych bodźców zewnętrznych zgaśnie najpewniej śmiech Ksawerego równie nagle, jak się był nagle objawił. Spostrzeże wówczas Ksawery, iż zgotował sobie sytuację nieomal tak drastyczną, jakby się naraz, w tym oto historycznym gabinecie, pokazał na golasa. Coś podobnego zachrobocze prawdopodobnie w jego umęczonej głowie. Przybierze zatem — tak można przypuścić — wiadomą pozycję i kołysząc rękoma opuszczonymi wzdłuż zgiętego ciała, spojrzy spode łba na stojącą nieruchomo w głębi parę i wystęka belkotliwie:

— Przepraszam.

Po czym, ciężko poruszając stopami wykona zniekształconym ciałem pełny obrót i zgięty, kołysząc się prawidłowo wedle objawów kamptokormii, z twarzą wykrzywioną cierpieniem opuści miejsce swoich ryzykownych przedsięwzięć.

wieczorem

Po całym dniu pracy, bez zmęczenia i znudzenia, dobrnąłem do 77 strony maszynopisu. Wciąż pada śnieg, lecz temperatura cały dzień utrzymuje się w okolicach zera, więc skrzyżowanie ulic, które widzę z okna mego pokoju, tonie w kałużach i w błocie, leje się z dachów, z okiennych parapetów i z balkonów.

Pod wieczór przyszedł Zygmunt, który, jak mi się wydaje, z zainteresowaniem słuchał, kiedy po kolacji czytałem mu duże fragmenty *Dziennika*. Potem trochę notatek w związku z pewnym projektem na przyszłość oraz lektura opowiadań Jerzego Gieraltowskiego *Wakacje kata*, debiut, jak na prozę, dość późny (autor ur. w 1931), lecz dojrzały i interesujący.

Wiosna

Matka i syn. Chwila niezupełnie zrozumiałej szczerości Adama Nagórskiego.

Na piątkowym koncercie Haliny Ferens-Czaplickiej:

...kiedy wyprostowana, z dostojnie siwą głową, drobna i wzruszająco krucha w wieczorowej sukni z czarnego aksamitu i z zalotnie staroświecką aksamitką na szyi kroczyła przez rozległy hall Filharmonii prawie dziewczęcymi krokami u boku swego znakomitego syna, krokami chyba nie nazbyt odmiennymi od tych, którymi niegdyś, bardzo, bardzo niegdyś obdarowywała Ofelię, Rozalindę i Norę, i w pewnym momencie w oczach jej, na co dzień już starczo wyblakłych, zapalił się naraz prawie ten sam gorący, wibrujący blask, który w pradawnych czasach, bo jeszcze w pierwszych latach stulecia, przysparzał jej, słynnej Kellercie, ulubienicy Warszawy, tyle hołd ów i uwielbień — — — —

Oko, Wzrok, Światło

Ów gorący i wibrujący blask oczu z pewnością będzie odmładzać starszą panią również i na weselnym przyjęciu siostrzeńca, który na skutek zawiłych procesów dziedziczenia nie od rodziców, lecz od ciotki otrzymał urodę oczu oraz bogactwo talentu, więc że ten blask spojrzenia ogarnie Adama, gdy ten wśród poruszeń i zamąceń czasu przyszłego podejdzie do matki, prezentującej tę samą wdzięcznie staroświecką toaletę, co wczoraj na koncercie — to prawie pewne. I, być może, Adam Nagórski podobnie jak wczoraj także się uśmiechnie.

— Przepraszam cię, mamo — powie — chciałem ci zadać jedno pytanie.

— Nawet dwa! — ona odpowie i w jej głosie zadrga zadziwiająco czysta, prawie dziewczęca nuta, jakby ona sama, jednak mimo blasku wilgotnych oczu — staruszka, przeistoczywszy się nagle w młodziutką Mirandę, miała zawołać: „O cudzie! Jak wiele wspaniałych istot! Jak piękna jest ludzkość! Nowy, wspaniały świat z takimi ludźmi!”.

Kto wie, czy ta perlista nutka w głosie matki nie podrażni syna.

— Nigdy cię o to nie pytałem, sam doprawdy ale wiem, skąd mi to przyszło do głowy właśnie teraz, musisz jednak przyznać, że ani ja tobie, ani, co ważniejsze, również i ty mnie, nigdyśmy sobie nie utrudniali życia nadmierną ilością pytań.

— Gniewasz się?

— Chyba już za późno na gniew.
 — Wiem, o co ci chodzi. Gniewasz się, że wypilaś dwa kieliszki koniaku. Jeden młody aktor mi dotrzymywał towarzystwa, nie pamiętam już, jak się nazywa, ale bardzo sympatyczny.
 — Łukasz Halicki?
 — Możliwe. Zapewniam cię, że te dwa koniaki nic a nic mi nie zaszkodzą, świetnie się czuję.
 — Więc aż dwa wypilaś?
 — Dwa! — odpowie z akcentem dziewczęcego tryumfu. — A gdybym cię teraz poprosiła o trochę szampana?
 — Oczywiście, już ci służę.
 I skoro niebawem wróci z dwoma kieliszkami:
 — Twoje zdrowie, mammo, bardzo ładnie wyglądasz.
 — Naprawdę?
 — Z pewnością zbierasz same komplementy?
 — Przesadzasz, jak zawsze.
 — Trudno, mammo, to mój zawód. Ale wracam do mego pytania. Dlaczego ty właściwie porzuciłaś scenę?
 — Nie rozumiem — odpowie — jaką scenę?
 — Teatr. Dlaczego przestałaś grać?
 — Ach, to! No, wiesz, zabawne pytanie.
 — Po raz pierwszy ci je zadaję, nigdy nie pytałem.
 — Chciałbyś, żeby matka znakomitego pisarza była starą, emerytowaną aktorką?
 — Mam nadzieję, że kiedy rzuciłaś teatr, tej ewentualności nie brałaś pod uwagę?
 Nie było mnie jeszcze na świecie.
 — To co z tego?
 — Ojciec żądał, żebyś rzuciła scenę?
 — Grzegorz? Ależ, Adam...
 — Mammo, ja mówię o ojcu, a nie o panu Sołtanie.
 — Przepraszam, oczywiście, ale tak dziwnie pytasz, nie rozumiem, o co ci chodzi?
 — Spytałem, czy ojciec żądał, żebyś rzuciła scenę, co w tym dziwnego?
 — Bo tak pytasz, jakbyś miał do mnie pretensję, tylko o co?
 — Ależ o nic, mammo, po prostu pytam, po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach, dlaczego przestałaś grać, byłaś młoda, piękna, sławna.
 — Ale gdybym nie wyszła za twojego ojca za męża, ciebie by nie było.
 — Rozumiem — powie wówczas, ostatecznie tracąc panowanie nad hamulcami wewnętrznymi, ponieważ zacznie tę rozmowę tylko w tym celu (choć niekoniecznie w pełni tego świadomy), aby w pewnym momencie uległa ją poddać karkołomnemu skrętowi — rzuciłaś teatr i zostałaś panią rejentową, żebyś ja się mógł zjawić na świecie, przewidziałaś prawdopodobnie nawet moją przyszłość, a może duch któregoś z wieszczów wystukał ojcu spodeczkiem moją przyszłość? W każdym razie potem, oczywiście, wyszłaś drugi raz za męża, żebyś nie był sierotą bez tatusia, potem oddałaś mnie na wiele lat do internatu, żebyś otrzymał odpowiednie kształcenie i wyrobił sobie charakter, wszystko teraz rozumiem... że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy! Rozumiem teraz, dlaczego porzuciłaś teatr.
 I gdy wreszcie zamilknie (wszelkie komentowanie jego odczuć w tym momencie byłoby chyba zbędne) — chwila upłynie, zanim starsza pani udzieli swemu dziwacznemu synowi repliki następującej:
 — Dobrze, mogę wrócić do domu, i to zaraz, jeśli sobie tego życzysz, wiesz dobrze, że nikomu, zwłaszcza tobie, nie lubię przeszkadzać.
 — Ależ mammo, wcale mi nie przeszkadzasz, przyznaję, niepotrzebnie się uniosłem...
 — Nie zauważyłam, żebyś się unioś. Może nie zawsze rozumiem, co mówisz, trudno, nie dorosłam do twego poziomu, ale intencję czuję doskonale. Odprowadź mnie do szatni, dalej sobie sama poradzę, mogę wrócić autobusem.
 — Mammo, przecież to nie ma sensu!
 — Ja chcę być w domu.
 — Posłuchaj, pozwól sobie wytłumaczyć.

Kobieta, Matka, Syn,
 Artysta, Dziecko, Obyczaj

— Nie ma nic do tłumaczenia, dzieci i stare kobiety powinny o tej porze spać. Nie fatyguj się, Konrad mi pomoże — dojrzy bowiem siostrzeńca, akurat nieopodal przechodzącego, i przywoła go lekkim ruchem ręki jeszcze smukłej, choć zniekształconej daleko posuniętym artretyzmem.

A skoro Konrad Keller natychmiast podejdzie do matki i syna, starsza pani powie:

— Cieszę się, że cię widzę, Konradku, pożegnaj ode mnie swoją śliczną żonę...

— Cioteczka chce już nas opuścić? Dlaczego, dziecinna pora.

— Właśnie powiedziałam Adamowi, że dzieci i stare kobiety powinny już iść spać. Było pięknie, uroczo, strasznie ci za wszystko dziękuję, ale wszystko ma swój koniec. Bądź tylko tak dobry i odprowadź mnie do szatni, bo Adam jest bardzo zajęty.

— Mamo! — powie znakomity syn.

Ona wciąż tylko do Konrada:

— I jeszcze ten kieliszek wąż, kochanie, dobrze? Zachciało się starej szampana, ale straciłam ochotę. Nie tylko starość bywa egoistyczna.

— Źle się cioteczka czuje?

— Ależ nie, dlaczego? Powiedz mi, Konradku, tylko szczerze, tobie i twojej żonie moja obecność chyba nie przeszkadzała?

— Cioteczko!

Prawdopodobnie Adam Nagórski pośpieszy w tym momencie z wyjaśnieniem:

— Mama sobie wyobraziła, że mnie przeszkadza, rozumiesz?

— Nie do końca.

Adam:

— Ja też!

Wówczas Konrad Keller blaskiem swych ciemnych i wilgotnych oczu obdarzy kuzyna, potem ciotkę i powie z akcentem ulgi:

— Już zrozumiałem. Nareszcie czuję, że jestem w rodzinie.

Tymczasem Marek Kuran, wbrew obawom Ksawerego, krążyć będzie po salonach w charakterze skromnego i dobrze wychowanego młodego człowieka. Nawet przekrzywiony krawat doprowadzi do porządku, gdy mijając weneckie lustro w sali pod niebiańską kopułą dostrzeże ten nonszalancki drobiazg, malowniczy na tle dwuznacznych półmroków zadymionej piwnicy, lecz całkiem, jak uzna, nie na miejscu tutaj, w świecie dojrzałości i w pełnym blasku ośmiu ogromnych, kryształowych świeczników, będących, niestety, tylko współczesnymi kopiami polskich świeczników z XVIII wieku. Chyba też i włosy nadto potargane przyglądzi swymi cokolwiek wulgarnymi dłońmi, dbając przecież, by pozostawić im młodzieńczą niedbałość. Wkrótce jednak, gdy dokona pobieżnego przeglądu sal, uświadomi sobie, iż większość obecnych jest mu nieznaną, wszędzie, poza nielicznymi nazwiskami, napotykać będzie obce twarze, nie wiadomo do kogo należące, poczuje się więc zagubiony, wyobcowany i niedoceniony, i ten posmak gorzkości, zrazu łagodnie smętny, prawie liryczny, wnet w nim stężeje i sprawi, że chłopięca twarz Ariela zblednie i grymas złości ją zeszepeci.

Z głębi sali, przy stole z mizernymi i nieporządnie rozbabranymi resztkami arcydzieł mistrza Kubickiego — Halina Ferens-Czaplicka, Adam Nagórski i Eryk Wanert. Skoro oczy Ariela bardziej niż zazwyczaj umykające na boki dostrzegą tę trójkę... och, tak! z pewnością Ariel dozna olśnienia: podejść do nich teraz, zaraz, zręcznie wciągnąć w rozmowę, a potem, potem? — rozpracować, rozbabrać, ośmieszyć ich wszystkich i zgnoić całą trójkę, a przede wszystkim tę podstarzałą babkę, to kurwiszcze zadbane i wypielegnowane jak kurwa dolarowa (nie będzie zorientowany, kim jest towarzysząca mężczyznom kobieta, grunt, że z nimi jest na ty). Nie będzie oczywiście wiedział, co ma uczynić, aby cel osiągnąć, zawsze jednak wie w podobnych okolicznościach, że to musi wyniknąć w odpowiednim momencie samo, równie spontanicznie, jak nieuchronnie. I *to* musi być takie, jakim być powinno. Więc głębiej odetchnie i o wydech dłuższą chwilę się oprze, aby wzorem bokserów zaczynających rundę rozluźnić napięcie mięśni, koniuszkiem języka zwilży wyschnięte wargi, ku weneckiemu lustru (bo w tych jałowych wędrowskich po salonach wróci do miejsca startu) spojrzy, sprawdzi siebie uważnie i niejako ostatecznie,

chłopięcy uśmiech wywoła i już gotowy, już tylko poszukujący wzrokiem najdogodniejszej drogi, którą powinien przebyć, aby kosztem najmniejszego wysiłku dotrzeć do znakomitych przyjaciół — nie wykona tej przedwstępnej, jakże łatwej akcji, strach go naraz obleci, lęk, że może nie sprostać tercetowi z jedyną kurewską niewiadomą, zaplątać się i samemu zblaznić, nim tamtych zdąży na błaznów przerobić. Przez moment, znów zwilżając koniuszkiem języka wargi, pewnie pożałuje, że tercet nie jest kwartetem, a tym czwartym Ksawery, przy nim i w atakowaniu czułby się mocniej i w razie potknięcia bezpieczniej. Gdzież się ten złamany chuj podziewa? — pomyśli, całkiem nieświadomy ostatnich przedsięwzięć Ksawerego w gabinecie ze schodami. I nową falą lirycznej samotności ogarnięty cofnie się pod ścianę, na chłodny skraj wysokiego okna, odsłaniającego w ośnieżonej głębi półksiężycowej poświaty widmowy pejzaż nagiej i martwej wiosny-niewiosny, obcy straszny świat, obcy straszni ludzie, przed którymi, aby całkiem nie stracić twarzy, trzeba twarz skrywać poza maski i grymasy, parszywe knajpy, wódka, wódka, kac, belkoty i kwiki, głupie, wredne dziwki, zdebilali przyjaciele, świńskie ryła redaktorów srających ze strachu w kolorowe portki kupione na ciuchach albo przywiezione ze służbowej delegacji na Zachód, i ci wyżej, ważniejsi, którym w nosach musi ciągle gównem śmierdzieć, pływacy, zawsze pływacy, nawet przy żarciu i pierdoleniu pływacy w mętnej wodzie, tłuste tyłki wycierające wnętrza mercedesów i wołg, zawistni grafomani z kontami wzdętymi jak brzuchy topielców, wapniaki, sprzedajne, wyorderowane i utytułowane kurwy zawsze gotowe usłużyć dupę podstawić, gnój, gnój, kupa gnoju... i gdy prawie do łez wzruszony tym ogromnym, metafizycznym żalem spojrzy wedle swego obyczaju na boki — z odległości nie większej aniżeli cztery, pięć kroków dostrzeże starszą, dość obfitych kształtów kobietę, siedzącą tuż pod ścianą, w fotelu ze złoceniami, Ludwik XVI (produkt francuski z końca XIX wieku). W jedwabnej sukni koloru bordo, cokolwiek ryzykownie wydekoltowanej, wyprostowana obyczajnie, lecz również jakby oklapła w sobie i sflaczała, z nogami wylewającymi się spod przykusego skraju toalety nadmiarem mięsa bladego i zdradzającego skłonności do opuchliny, patrzeć będzie przed siebie ciemnymi oczami, kiedyś prawdopodobnie ognistymi i uwodzicielskimi, teraz przesadnie natarczywą wypukłością wyzierającymi z twarzy, której bujny ciężar bezpiecznie, choć z pewnym wysiłkiem wtopiony w przykrótką szyję skojarzy się Arielowi trochę z królową Wiktorią, a trochę z wymagowanym biustem podstarzałej i zmęczonej Hery, gdy opuściwszy grono bogów, wesoło się zabawiających przy biesiadnym stole, usiadła samotnie na stronie, uznojona, och! jak bardzo uznojona wystawnym życiem, niewiernością męża, kłótniami w rodzinie, a nade wszystko młodością zwycięskich rywalów, więc oczywiście także młodością Ganimesesa, a tutaj, w tej zasranej Jabłonnie, któż by miał prawo uznać siebie za chłopca porwanego przez boskiego orła? Leonardo też coś pieprzył o orle — przypomni mu się w związku z ostatnią książką Nagórskiego. Tak więc, dopiero wypłatawszy się z tych bujnych skojarzeń, Ariel-Ganimeses uświadomi sobie, że ma przed sobą prezesową Zofię Panek. Teściowa — pomyśli prawie czule.

I gdy do samotnie na uboczu siedzącej podejdzie, ukloni się jak licealista profesorce.

— Przepraszam, nie przeszkadzam pani?

W jakich rejonach Zofia Panek będzie w tym momencie przebywać? Chyba w odległych, lecz na pewno własnych, bo choć ludziom postronnym będzie się mogło zdawać, iż z dobrowolnego oddalenia nieprzerwanie bierze udział w życiu towarzyskim, jednocząc się z gośćmi wyprostowaną czujnie kibicią oraz cokolwiek nazbyt wypukłymi oczami — sympatyczny i wyraźnie nieśmiały głos, który tuż obok niej zabrzmiał, zaskoczy ją i zamąci owe niewiadome, własne afery.

— Ależ nie, oczywiście — odpowie z akcentem całkiem innym aniżeli ten, do którego przywykła w odległych czasach, gdy była ambasadorką w Hadze, w każdym razie nieco dziwnie brzmiący w jej przywidyłych i uszminkowanych wargach tak przecież oddalonych od czasów, gdy popijały były mleko z rodzicielskiego sklepiku przy ulicy Zielnej; tam gdzie teraz stoi Pałac Kultury.

A Ariel przypomniawszy sobie, że tytuł ambasadora jest dożywnym:

— Pozwoli pani ambasadorowa, że się przedstawię. Jestem Marek Kuran.

W jakiej mierze prezesowa Panek powinna poczuć wdzięczność dla nieznajomego młodzieńca, bowiem zwrot „pani ambasadorowo”, na podobieństwo nadawczego systemu radiowo-radarowego, sprowadzi ją natychmiast z mętnych przestrzeni, przywracając

miejsce na ziemi, w tym momencie posadzkę pałacową pod nieco obrzmiałymi nogami i kopułę niebiańską wysoko ponad głową.

— Bardzo mi miło — powie, podając młodemu człowiekowi rękę.

Oczywiście Kuran z szacunkiem należnym osobom najwyższej postawionym pochyli się i na tłustej, obficie w pierścionki przystrojonej dłoni złoży nieśmiały pocałunek. Jednocześnie jego ładne oczy umkną niespokojnie na bok, natychmiast jednak przywróci im wyraz szczerzej młodzieńczości, a lekkie opuszczenie powiek, uwydatniając długość jego dziewczęcych rzęs, uczyni go tak wzruszająco niewinnym, iż Zofia Panek z pewnością życzliwie się uśmiechnie.

Wówczas Kuran:

— Już od dawna marzyłem, żeby być pani przedstawionym, pani ambasadorowo. Wiele razy prosiłem o ten zaszczyt Ksawerego.

— To pan zna Ksawerego?

— O tak! To jest mój w pewnym sensie mistrz, bardzo wiele mu zawdzięczam. Bo muszę pani wyznać, pani ambasadorowo, że miałem strasznie trudne dzieciństwo, mój ojciec zginął w Powstaniu, kiedy ja się jeszcze nie urodziłem, a moja matka umarła przy porodzie i wychowałem się w sierocińcu. Zawsze mi bardzo brakowało i nadal brakuje matki.

— Biedne dziecko — szepnie wzruszona kobieta — pan jest jeszcze strasznie młody.

— W stosunku do matki zawsze się jest dzieckiem, pani ambasadorowo. I gdyby pani raczyła, gdyby pani zechciała, nie, naprawdę nie mam odwagi, ale trudno, powiem, bo mi to już od dawna leży na sercu, a pani jest na pewno dobra i mądra, więc pani może mnie zrozumie. Chciałem panią prosić, bardzo, bardzo panią prosić, żeby pani i teraz, i na przyszłość pozwoliła mi mówić do siebie: mamu, mamusiu...

Chyba Zofia Panek lekko się zmiesza.

— Ależ moje dziecko... — powie niezdarnie.

Wówczas Marek Kuran podniesie rzęsy, jego oczy błysną niebezpiecznie.

— Dlaczego ależ? Mam prawo mówić do pani: mamusiu, bo w pewnym sensie mam prawo do tytułu pani synowej, przepraszam, źle się wyraziłem ja jestem pani zięciem, pani ambasadorowo, bo to ja, trzeba pani wiedzieć, Ksawerego pierdołę, on jest w łóżku za kobietę, a ja go, proszę mamusi, pierdołę, on w łóżku wyłącznie lubi, żeby go chędożył chłopak z dużym kutasem, Ksawery mówi, że ja wam bardzo dobrego, pojęcia mamusia nie ma, jaka to jest kurwa ten Ksawery, ciekawy jestem, czy w młodości mamusia też tak lubiła...

Lecz mimo wzrastającego podniecenia, chyba zdania nie dokończy, ekscytujący dreszcz, który w miarę przyspieszenia słów będzie go wypełniać coraz bardziej się zagęszczającym mrokiem, nagle w nim zastygnie, i wówczas Marek Kuran, rzuciwszy na boki spod opuszczonych rzęs szybkie, spłoszone spojrzenie, cofnie się krok do tyłu, coś może jeszcze wymamrocze, lecz w każdym razie coś bardzo niewyraźnego, i w tym samym momencie, najzupełniej pewien, że za chwilę, za sekundę stanie się jakaś rzecz nieprzewidziana i okropna, choć nie zdąży zdać sobie sprawy, na czym ta nieprzewidziana okropność będzie polegać, wiedząc jednak, że w tym, co się stanie, nie wolno mu wziąć udziału — więc zniknie, po prostu zniknie, nieomal dosłownie roztopi się w powietrzu, jakby naprawdę był Arielem-Ganimedesem i posiadał boską umiejętność dematerializowania się.

A ledwie się to nadprzyrodzone zniknięcie, a raczej ulotnienie młodego poety dokona — Zofia Panek, całkiem nieświadoma, co się wokół niej dzieje, jedynie pod wrażeniem zalewającej ją ciemności, jakby się ogromna kopuła, ucharakteryzowana na niebo z gwiazdami rozpękała i poprzez otwartą wysoko w górze przepaść łać począł ciężki pomrok, gasząc światła kryształowych żyrandoli i w miarę obsuwania się zmętniałych ciemności wypełniając przestrzeń złowrogim szumem, któremu natychmiast zawtóruje szum wzrastający w jej skroniach, wtedy zdjęta przerażeniem, unieruchomiona w wielkim fotelu imitującym styl Ludwika XVI, wypełniając cały jego obfity obszar swoim ciałem opiętym jedwabną i nazbyt wydekoltowaną suknią koloru bordo, z nogami wyprężonymi, więc jeszcze natarczywiej wylewającymi się spod przykusego skraju toalety, a z twarzą posiniałą i z zamkniętymi powiekami, głowę sztywno oparłszy o sztywną i złoczoną poręcz fotela, wtedy Zofia Panek zacznie krzyczeć, jej obnażona szyja nabrzmieje, uszminkowane wargi zaokrągłą się i z jej porażonych wnętrzości wydobywać się będzie

Matka, Syn, Seks, Obyczaje

Seks, Matka, Syn,
Obyczaje, Kochanek

przez ten obramowany krwawą czerwienią otwór, niby z jamy prowadzącej z głębi piekieł, wrzask przenikliwy i jednostajny, przerażający krzyk *ex profundis* — — — — — cisza się nagle stanie na sali, zespół „La Da Co” urwie w połowie taktu, potem ci, którzy znajdują się najbliżej, podbiegną do krzyczącej, także zaraz potem i inni z przyległych salonów — więc już zbiegowisko, tłum wylękniony i bezradny, zanim Pan Młody — — — — —

I chyba niech ten krzyk Zofii Panek, ten krzyk w pełnym świetle kryształowych żyrandoli i pod kopułą z gwiazdami, niech to wycie, ten wrzask szalony przerażenia i wołania o pomoc — — — — — niech ten krzyk wyzwolonego nieszczęścia zakończy chwiejną wędrówkę wśród zawiłych labiryntów czasu przyszłego niedokonanego, chyba już nic tu po nas, moglibyśmy tak błądzić w nieskończoność, naprawdę, chyba nic tu po nas, zaplątanych w czasie przyszłym, penetrującej ciekawości stało się zadość i to tak dalece, że zazdrosne życie poczyna już nas wzywać — — — — — oto poprzez krzyk prezowej Panek przebija się (więc z czasu teraźniejszego) dźwięk strojonych instrumentów, także pogwar publiczności wypełniającej szczelnie salę Filharmonii, za moment ucichnie strojenie instrumentów, cisza stanie się na sali, a ogromna wrzawa oklasków wypełni ją wówczas dopiero, gdy w głębi ukaże się Halina Ferens-Czaplicka — — — — —

SOBOTA, 4 KWIETNIA

Czy istotnie „penetrującej ciekawości stało się zadość”? Nie jestem tego pewien. Raczej odnoszę wrażenie, że wyczerpała się moja wyobraźnia penetrująca czas przyszły. Lecz równocześnie muszę się zgodzić, że jeśli w samej zasadzie zamysłu istnieje nieograniczona prawie mnogość sytuacji, takie bowiem możliwości posiada czas przyszły — nie sposób podobnego zamysłu pokazać w kształcie skończonym. Skoro zatem sam zamysł zakłada niemożność skończenia — po co, stwarzając coraz to nowe i nowe sytuacje udawać, że się w ten sposób osiąga niedokończenie mniejsze albo się przybliża ku skończeniu?

PONIEDZIAŁEK, 6 KWIETNIA

Wczoraj, zbyt niechętny wszystkiemu, co napisałem, nie miałem odwagi zabrać się do lektury części II, dzień zupełnie jałowy i jak zawsze przy takim nastroju o wiele za długi.

Dzisiaj w nastroju nie lepszym, na siłę zabieram się do pracy. Na dworze wiosennie, widać jeszcze gdzieś plachetki śniegu pozostałe po ostatnich śnieżycach, szybko jednak na słońcu zanikają. W wyjątkowo wczesnej rannej poczcie egzemplarz węgierskiego wydania *Idzie skacząc po górach* oraz list z Agencji Autorskiej z zawiadomieniem, iż Radio Japońskie chce w swoim programie słuchowisko oparte na *Wielkim Tygodniu*.

Trochę mnie ta nieoczekiwana propozycja rozbawiła, bo i groteskowe, i nieco żalodne jest zestawienie faktów: utwór tak bardzo związany z okupacyjną Warszawą i z walkami w getcie w 1943 roku rozpowszechniany będzie w egzotycznej Japonii (z jakimi aktorami? japońskimi? w roli Ireny Lilien aktora japońska?), podczas gdy tu, na miejscu, nie zgodzono się pod koniec lata 1967, aby na podstawie gotowego już scenariusza (napisaliśmy scenariusz razem z Andrzejem Żuławskim) i w kooperacji z producentem zachodnio-niemieckim Andrzej Wajda nakręcił *Wielki Tydzień* dla telewizji w związku z przypadającą na rok następny dwudziestą piątą rocznicą powstania w warszawskim getcie. O ile wiem, żadne konkretne argumenty nie zostały wówczas Wajdzie zakomunikowane. Dość częsty mechanizm cenzury: anonimowość instancji decydującej o zakazie oraz staranne unikanie podania motywacji. Do tej pory pojęcia np. nie mam, kto i dlaczego sprzeciwił się wydaniu mojej *Apelacji*, jedyny argument negatywny, jaki do mnie dotarł, zawarty był w liście z wydawnictwa „Czytelnik” (z dn. 28 XII 1967) informujący mnie, iż „uprzejmie zawiadamiany, że złożonej nam powieści pt. *Apelacja*. (ca 5 ark. aut), nie możemy uznać za wykonanie umowy nr 625/59 ustalonej na 15 ark. aut.”. To wszystko. W wypadkach ingerencji z zewnątrz A. M., który przed kilkoma laty był przez dłuższy czas sekretarzem jednego z tygodników kulturalno-literackich, zwykł był przy podobnych okazjach mówić w redakcji: zadzwoniło i powiedziało. W miaradze, jaką jest publiczne życie w Polsce, pełno duchów i zjaw, strzyg równie bezkształtnych i anonimowych, jak *oni*, którymi za-

Słowo, Sztuka, Państwo,
Władza

Polska, Czary, Duch

słaniają się nieraz w niezręcznych dla siebie sytuacjach nawet ministrowie. Wszechobecne działanie magii, zaczarowani ludzie, zaczarowany świat.

CZEŚĆ 2. PROLOG

Na piątkowy koncert symfoniczny w Filharmonii, 18 kwietnia 1969 roku, wszystkie bilety zostały wyprzedane, a wejściówek, o które przede wszystkim się dobijała młodzież szkół muzycznych, wydał sekretariat Filharmonii nie mniej niż z okazji gościnnych występów Rubinsteina, Richtera albo Kleckiego. Program nie zapowiadał sensacji muzycznych. Orkiestra Filharmonii pod dyrekcją Andrzeja Markowskiego miała wykonać symfonię g-mol, K.V. 183 Mozarta oraz drugą suitę z *Daphnis i Chloe* Ravela. Ale po wtorkowym recitalu był to drugi i zarazem ostatni występ Haliny Ferens-Czaplickiej. Wielka śpiewaczka, występująca w kraju po raz pierwszy od swego debiutu w *Carmen* w roku 1939, miała śpiewać *Lament Ariadny* Monteverdiego, arię z drugiego aktu *Orfeusza* Glucka oraz *Pieśni wędrowca* Mahlera.

Na poranną próbę, zgodnie z życzeniem śpiewaczki, nikogo na salę nie wpuszczono. Halina Ferens nie była w dobrej formie głosowej. Wyglądała poza tym na zmęczoną i jakby trochę zagubioną na tle orkiestry i wobec pustej widowni, Markowski, chociaż udawał dobry humor, z niepokojem myślał o koncercie wieczornym.

Zaraz po próbie Halina Ferens powróciła w towarzystwie Aimo Immonena do „Europejskiego” i zamknęła się w swoim apartamencie, zlecając młodemu akompaniatorowi zawiadomić recepcję, iż żadnych telefonów nie będzie przyjmować. Immonen, w czarnych dżinsach welwetowych i w zgniłozielonym golfie, nie zdążył jeszcze zrzucić kożucha. Dość przestronny salon, przylegający do sypialni, przypominał wnętrze kwaciarni, tak gęsto go wypełniały wielkie kosze oraz liczne wazon-y z kwiatami ciętymi. Halina Ferens przeszła do sypialni, lecz po chwili, już bez futra, stanęła we drzwiach.

— Zdaje się, że cię prosiłam, żebyś zszedł do recepcji? Nie chcę żadnych telefonów, żadnych!

— Po co mam schodzić? — powiedział, uważnie się jej przyglądając — mogę stąd zadzwonić.

— Nie! — zawoła z akcentem zaciętej stanowczości, jakby nie prośbą Orfeusza, którą przed godziną śpiewała, była przepelniona, lecz nagle wcieliła się w kształt Furii, owych cieni budzących grozę, które wrogim i wielokrotnym „nie” zagradzają Orfeuszowi drogę do piekieł. — Chcę być sama.

Aimo rzucił kożuch na najbliższy fotel i podszedłszy do telefonicznego aparatu podniósł słuchawkę.

— *Reception? Here's Aimo Immonen. Yes... Mrs. Ferens wishes her apartament to be not connected with any telephones... Yes... Without exceptions... no incoming calls... Thank you*³⁶.

I do Haliny:

— Załatwione, będziesz miała spokój.

— Powiedziałam, że chcę być sama.

Podszedł do niej i obiema dłońmi ujął delikatnie jej łokcie.

— Połóż się, *darling*³⁷ — powiedział miękko — ja się tylko ogolę i wezmę prysznic.

Chwilę milczała, nie usiłując jednak uwolnić ramion. Jasny, gęsty zarost pokrywał jego policzki i brodę, pod oczami miał sińce.

— Musisz wieczorem pięknie wyglądać i pięknie śpiewać.

Potrząsnęła głową.

— Tak — powiedział, lekko ją do siebie przyciągając.

— Nie ma cudów!

— Ja zrobię ten cud — powiedział tuż przy jej twarzy — po to mnie masz.

Słynna śpiewaczka, jakby się znalazła na estradzie wobec szczelnie wypełnionej widowni, nagle, trochę niecierpliwym gestem cofnęła głowę do tyłu.

— Co robiłeś w nocy?

³⁶*Reception? Here's Aimo Immonen. Yes... Mrs. Ferens wishes her apartament to be not connected with any telephones... Yes... Without exceptions... no incoming calls... Thank you* (ang.) — Recepcja? Tu Aimo Immonen. Tak. Pani Ferens życzy sobie, aby nie łączyć żadnych telefonów do jej apartamentu. Tak. Bez wyjątku. Żadnych połączeń przychodzących. Dziękuję. [przypis edytorski]

³⁷*darling* (ang.) — kochanie. [przypis edytorski]

Uśmiechnął się.
 — Gniewasz się?
 — Piłeś?
 — Na dole, w barze. Do czwartej, może nawet dłużej.
 — A potem?
 — Nie chciałem cię budzić, zresztą byłem pijany.
 — Masz sińce pod oczami.
 — Z niewyspania.
 — Kłamiesz.
 — Z nikim, *darling*, nie spałem. Ale przyznaję, dużo kobiet, a także mężczyzn miało na mnie ochotę. Twój Aimo cieszył się wielkim powodzeniem.
 — Nie lubię, jak mówisz o sobie w ten sposób.
 — Wolalabyś, żeby nikt na mnie nie spojrział?
 — Czasem sama nie wiem, co bym wolala. Na próbie byłam okropna.
 — Wieczorem będziesz wspaniała.
 — Jestem zmęczona, Aimo.
 — Połóż się, a ja tylko skoczę do siebie po maszynkę do golenia. Przy mnie zapomnisz o zmęczeniu. Potem każemy podać lunch tu, na górę.
 — Nie mam apetytu.
 — Będziesz miała, zobaczysz! Potem będziemy odpoczywać, ściemni się, na dworze będzie śnieg, wiatr i zimno, a nam będzie ciepło i zacisznie, i będziemy się kochać, kochać i jeszcze raz kochać, a potem wypoczęta i piękna zabierzesz się do swojej *grande toilette*³⁸... jaką suknię włożysz?
 — Pojęcia nie mam. Może tę wielką, czarną?
 — Cudownie w niej wyglądasz! Więc zrobisz swoją *grande toilette*, ja się przez ten czas też przebiorę, ale szybko, żeby ci towarzyszyć przy ostatnich pociągnięciach pędzla, i potem zjedziemy na dół, podjazd jest tutaj tak dobrze urządzony, że gdy będziesz wsiadała do auta, nie muśnie cię ani jedno skrzydełko wiatru, ani kropelka śniegu na ciebie nie spadnie, po drodze dasz mi monetę, a ja, jak zawsze, wyskoczę z auta, żeby w twoim imieniu i na intencję twego powodzenia wrzucić pieniądze do puszeki kościelnej... w Warszawie jest dużo kościołów.
 — Możemy przejechać koło św. Krzyża, tam jest serce Chopina.
 — Wspaniale! Więc zrobię, co do mnie należy, podrzucę monetę św. Antoniemu, wrócę do ciebie, a potem? Potem będzie twój wielki wieczór, będziesz śpiewała najpiękniej w świecie, prześcigniesz samą siebie, będziesz dla mnie śpiewała, tak?
 Gdy to mówił, kołysząc ją w ramionach, przyglądała się z wzrastającym wzruszeniem jego jasnej i młodej, choć trochę zmęczonej twarzy, a ponieważ pod sam koniec poczuła się przez moment małą i bezbronną dziewczynką, znów odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała cokolwiek ironicznie:
 — Opowiedziałeś ładną bajkę, Aimo.
 Potem, gdy już była w łóżku i jej ciało jeszcze nie zdążyło rozgrzać chłodnej i nieco sztywnej pościeli, a w sypialni, po zsunięciu zasłon panował półmrok i leżała na wznak, z jaśniejszym w głębi od półcienia dokoła prostokątem drzwi otwartych do salonu, skąd wraz z matową poświatą pochmurnego dnia napływał aromat kwiatów, róż przede wszystkim i goździków, wówczas, poprzez odgłosy dobiegające z niezamkniętej łazienki, więc najpierw poprzez jednostajne brzęczenie elektrycznej maszynki do golenia, a potem poprzez szum silnego natrysku błędziła niespokojnie dokoła samej siebie, stojącej przed godziną na estradzie Filharmonii i aż nadto dobrze słyszającej własny głos, z trudem wydobywający się z krtani i bez blasku, płasko się przebijający przez nazbyt dla niego gęsty akompaniament orkiestry, dreszcz nią wstrząsnął, więc podciągnęła koldrę, aby okryć nagie ramiona i wtedy nagle, jakby tym ruchem udzieliła hotelowej koldrze lotności czarodziejskiego dywanu, znalazła się w małej i zadymionej salce pewnego nocnego lokalu w Paryżu, przy obskurnej uliczce des Canettes, sinawy od dymu półmrok rozświetlały nieliczne lampy, okryte ciężkimi, ciemnoczerwonymi abażurami, w tej tandetnej kolorystycznie scenerii jasne włosy młodego pianisty, który przygrywał na fortepianie, nie

Wspomnienia

³⁸*grande toilette* (fr.) — wspaniała toaleta (tj. strój na wyjątkowe okazje). [przypis edytorski]

patrząc na klawiaturę, sprawiały wrażenie pokrytych patyną starego złota, a młodzieńcza twarz pod tym ciężkim hełmem, oglądana z daleka i prawie *en face*³⁹, twarz męczyzny z północy, blada, o rysach dość grubo ciosanych, z rozchylonymi wargami i oczyma półprzymkniętymi zdawała się swoją egzotyczną obecnością wywoływać z zamierzchłych czasów twarz barbarzyńskiego gladiatora, oczekującego śmierci lub ulaskawiającego gestu cezara, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to, co pianista gra, to są swobodnie i kapryśnie, jakby do atmosfery lokalu przystosowane, wariacje wysnute z jej ulubionej *Pieśni wędrowca*, tej czwartej: „Błękitne oczy mojej najdroższej, które wysłały mnie w daleki świat”, pomyślała, że ten chłopak o przyciężkiej twarzy barbarzyńcy musi mieć silne, piękne i zdrowe ciało, i że chciałaby się znaleźć w jego ramionach i poczuć w sobie jego ciężką męskość, akurat szum prysznicza przycichł, słyszała, wciąż marząc w nazbyt nakrochmalonej pościeli, chciała jeszcze raz wywołać pod powiekami twarz Aima taką, jaką ją była ujrziała przed półtora rokiem w nocnym lokaliku przy ulicy des Canettes, lecz ten obraz, tak przed sekundą wyraźny i bliski, nagle się w niej rozpadł, słyszała, że Aimo wyszedł z wanny i wyciera się grubym, włochatym ręcznikiem i nagle ogarnął ją strach równie przerażający, jak ten, który przytłaczał ją nieraz, gdy w różnych, lecz zawsze najmniej oczekiwanych momentach dopadała ją zniecka myśl o śmierci, obraz własnego ciała nieruchomo, jak kukła, spoczywającego w trumnie, fala chłodu podpłynęła jej pod piersi i wyżej aż ku krtani, chciała usiąść, żeby rozpedzić ten dławiący koszmar, lecz uczynić tego nie zdążyła, nagi Aimo, w jednej ręce trzymając szklanę, a w drugiej butelkę whisky, stanął właśnie we drzwiach, w owym prostokącie światła, który zdawał się należeć do świata całkiem innego aniżeli ten, który w półcieniu trwał tutaj, skóra Aima, jeszcze nie utraciwszy zimowej opalenizny uzyskanej pod promieniami alpejskiego słońca, była wilgotna, włosy opadały mu ciężkim złotem na nieco zbyt niskie czoło.

— Jestem — powiedział.

Ksawery Panek kupił na koncert dwa bilety, jeden dla siebie, drugi w intencjach pedagogicznych dla Marka Kurana. Lecz Marek przepadł gdzieś od trzech dni i Ksawery daremnie go poszukiwał po różnych lokalach, pojechał nawet wczoraj po południu do Pruszkowa, gdzie mieszkała matka Marka, urzędniczka miejscowej poczty, okazało się jednak, że pani Kuran, niska i otyła kobieta, której przedwcześnie podstarzałe rysy przekazywały dość bezwzględnie i okrutnie, szczególnie w odczuciu Ksawerego, jakie się w przyszłości mogą stać chłopięce rysy Marka, otóż okazało się, że pani Kuran od wielu tygodni nie widziała syna. Ksawery musiał wysłuchać rozlicznych żalów tej samotnej i zgorzkniałej kobiety i sam był zbyt udręczony i niespokojny, aby swoje wywody o niezwykłym talencie pisarskim Marka i wspaniałej przyszłości, jaka czeka młodego poe-
te, aby zatem te zapewnienia i prognozyki podać w formie przekonywującej, skończyło się na tym, że on się z kolei począł na charakter Marka uskarżać i zabrął w te ciemne i śliskie sfery tak daleko, że pani Kuran, pełna respektu dla jego naukowych kwalifikacji oraz pozycji ojca i siostry, poczuła się niejako zobowiązana, aby wystąpić ze słowami pocieszenia, błagając równocześnie, by się nie zniechęcał i nie rezygnował z pedagogicznego opiekuństwa nad jej zabłąkanym synem.

Ksawery Panek słuchał nieuważnie i wreszcie powiedział:

— Ja już jestem bezsilny, proszę pani, zupełnie bezsilny.

Na to pani Kuran:

— Marek ma złote serce, panie doktorze, czasem udaje, że jest niedobry, ale to tylko poza, młodzieńcza poza, ja wiem, że wbrew pozorom on ma złote serce.

Ksawery Panek, spoglądając na dużą fotografię przedstawiającą Marka jako kilkuletnie dziecko: pucolowatego aniolka z aureolą jasných, wesoło się kręcących włosów:

— To prawda.

— On się jeszcze kiedyś odwdzięczy za wszystko, co pan dla niego zrobił i robi, panie doktorze. Zobacz pan! Żeby on tylko tak nie pił.

— Właśnie!

³⁹*en face* (fr.) — twarzą na wprost. [przypis edytorski]

— Myślę sobie nieraz, dlaczego on pije? Ani mój mąż, ani ja nie mieliśmy żadnych nałogów. I nikt w rodzinie. Jak Marek pierwszy raz przyszedł do domu pijany, miał wtedy czternaście lat, myślałam, że zwariuję, takie to było straszne, mąż był wtedy na delegacji, więc nie widział, potem, jak Marek coraz częściej przychodził nietrzeźwy, ukrywałam przed ojcem, może i dobrze, że biedak nie żyje, umarł w samą porę, żaby nie patrzeć, jaki z jego synem dramata.

W tym momencie w Ksawerym skryzlowała się pewność, która w kształtach nie całkiem klarownych udręczała go jak niewidzialna strzyga od pierwszej nocy z wtorku na środę (po recitalu Haliny Ferens-Czaplickiej), kiedy Marek nie wrócił do domu, pewność, że spotkawszy w którymś z lokali przypadkowych znajomych, odprawia z nimi wielodniowy balet. A ponieważ posiadał pobudliwą wyobraźnię, natychmiast wyroiły się przed nim nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, a nawet bliżej przeróżne konfiguracje erotyczne, w których wśród rozpasanego splątania obojnackich członków, piersi, brzuchów, wilgotnych i otwartych warg, i ud rozpustnie rozchylnych lub wzniesionych na kształt skrzydeł w górę, i genitalii nabrzmiętych, spotniałych i oślinionych, wszystkie uroki szczególnie ruchliwe i przedsiębiorcze stawały się udziałem Marka, jego zezujących niespokojnie a i bezczelnie oczu, ocienionych dziewczęcymi rzęsami i jego chłopięcego ciała, ofiarowującego się gorliwie wszelakim gwałtom i natychmiast chętnego do gwałtu. Zaatakowany tą natarczywą wizją wyciągnął z kieszeni welwetowych spodni chustkę, przetarł nią czoło oraz dłonie i powiedział:

— Ja wiem, że Marek ma dobre serce.

— Pan go przecież równie dobrze zna, jak ja, panie doktorze, może nawet lepiej. Dla młodego chłopca matka nie jest najważniejsza.

— On ma fantastyczny talent, proszę pani, za to ręczę. Ale nie wolno mu rozmięniać się na drobne.

— Ja panu bezgranicznie ufam, panie doktorze, ufam panu, bo pan kocha Marka. Wszystko, co pan dla niego robi, będzie dla jego dobra.

Ksawery Panek (polityka, to nie jest praca, to są zajęcia, polityka stwarza sytuacje, a nie wartości, lecz co jest dobre? „Lepiej zatem we dwóch być razem, mają bowiem pożytek ze swego towarzystwa. Jeśli jeden upadnie, drugi go podeprze. Biada samemu, bo jeśli upadnie, nie ma nikogo, kto by go podniósł. Jeśli dwaj spać będą, zagrzeje się jeden od drugiego, A jeden, jak się zagrzeje?”), więc Ksawery, poruszony tak niespodziewanie wywołanym w pamięci tekstem Eklezjasty, powie podnosząc się z krzesła:

— Myślę, że Marek pod moją nieobecność wrócił do domu. Jak go tylko zobaczę, każę, żeby się do pani zgłosił — — — —

Teraz, więc nazajutrz do rozmowie z panią Kuran, jest trochę po piątej po południu. Ksawery przy biurku. Z szerokiego okna jego dewizowej, dwupokojowej kawalerki na dziesiątym piętrze nowej kamienicy na ulicy Mokotowskiej rozległy widok na dachy Śródmieścia aż po bizantyńsko-nadwiślański Pałac Kultury, w tej chwili zatarty w zmierzchu, lecz istniejący w odległej głębi mroku dzięki czerwonym światłom wyznaczającym kontury jego ogromnych, choć niewidzialnych kształtów. Na biurku pedantyczny porządek: po lewej stronie, w wąskiej czarnej ramce siedemnastowieczny sztych z podobizną Jakuba Boehme (kupiony przed kilkoma laty w Kolonii, więc w okresie, kiedy Ksawery Panek pisał swoją pracę doktorską *Kategorie czasu w teozofii Jakuba Boehme*), obok srebrny kubek z kilkoma długopisami i kolorowymi flamastrami (te ostatnie Marek szczególnie sobie upodobał), pod starą wenecką mozaiką ostatnie listy, a po prawej stronie mały lew z kopenhaskiej porcelany (podarunek Andrzeja Wajsa) i cynowa miska, w niej: dwie paczki Carmenów, zapalki, kostki do gry oraz morska muszla pełna bilonu; po środku parę arkuszy papieru z notatkami. Ksawery usiłuje pracować. Mniej więcej od roku, to znaczy od kiedy został usunięty z asystentury i nie może poza tym liczyć na prasę i radio, a również na prelekcje popularno-naukowe, głównym źródłem jego zarobków stało się opracowywanie lub po prostu pisanie prac magisterskich dla ludzi na kierowniczych stanowiskach, którzy z uwagi na sprawowane funkcje, a również i z myślą o awansach chcieliby się wylegitymować naukowym tytułem, samodzielnie zaś, ze względu na brak

Rozkosz, Zazdrość, Ciało,
Kochanek, Wizja

Polityka, Nauka, Pozycja
społeczna

czasu lub niedostatek kwalifikacji naukowych, podobnej pracy nie byli w stanie podjąć, Ksawery za tego rodzaju usługi, korzystając z ojcowskich koneksji, w zależności od własnego wkładu, otrzymuje od sześciu do dziesięciu tysięcy złotych, poświęca zaś zwykle jednej pracy magisterskiej cztery, pięć tygodni, zarabiając w ten sposób o wiele więcej niż na Uniwersytecie i wybitnie poza tym, w charakterze „murzyna”, poszerzając zakres swojej wiedzy, przy wielu bowiem okazjach, szczególnie w zakresie ekonomii oraz nauk społecznych, musiał uzupełniać i pogłębiać wykształcenie dotychczasowe.

Spogląda bezmyślnie w okno. Zawieja, szyba oblepiona wilgotnymi płatkami śniegu. Aby nie przeoczyć telefonu Marka, siedział od rana w domu, tylko około drugiej wyskoczył na obiad do pobliskiego SPATiF-u⁴⁰, zresztą również w nadziei, że spotka tam kogoś, kto w ostatnich dniach Marka widział lub coś o nim słyszał. Lecz nikogo takiego nie spotkał. Gości nie było dużo, trochę podstarzałych aktorów i aktorek, spożywających swoje skromne posiłki z powolnym skupieniem, lecz również z oczami nieobecny, jakby zniszczonymi ciałami uwiązani do stolików, talerzy, noży i widelców, duchami, wolnymi od fizycznych zniekształceń, odwiedzali inne, doskonalsze sfery egzystencji. W pierwszej sali pod oknem, za bufetem z zakąskami, w towarzystwie sportowych działaczy, bardzo czerwonych i głośno rozprawiających, siedział popularny satyryk, Józef Sanecki, ale był tak pijany, iż Panek wołał się do niego nie zbliżać. W pewnym momencie wpadł Antek Raszewski, długowłosej, w obszernej, prawie kostek sięgającej pelerynie, zajął do sal sąsiednich, a potem zaraz wrócił do pierwszej i z ostentacyjną serdecznością przywitał się z ofiarą politycznych przedsięwzięć własnego ojca, odsłaniając dzięki niedbalemu rozsunięciu mokrej peleryny pomarańczowy szalik oraz obcisłe, jak trykot, spodnie koloru bordo wpuszczone w wysokie, czarne kalosze, niestety i on, choć z Markiem się przyjaźnił, nic o nim nie wiedział, młody i barczysty Rysio z szatni, bardzo niedawno wprowadzony na zastępstwo przez swego starszego brata, wszytkowiedzącego pana Bronka, zbyt słabo się jeszcze orientował w zawilich personaliach gości, aby móc udzielić sensownych informacji, kelnerki, które obsługiwały dzisiaj, wczoraj miały dzień wolny, więc ostatecznie Ksawery, bez smaku zjadłszy żurek oraz zrazy wołowe z kaszą gryczaną, wypiwszy jedną dużą wódkę i butelkę piwa, wracał do domu nie wiedząc, czy ubiegłej nocy (poprzednie sprawdził) Marek nie zawadził o SPATiF. Potem, kupując w sklepie monopolowym na Mokotowskiej butelkę jarzębiaku, ponieważ ostatni alkohol, jaki był w domu, wykończył był samotnie wczoraj późnym wieczorem, więc zakupując to państwowe lekarstwo na wszelkie udreki natury psychicznej, pomyślał, że gdyby Marek był w SPATiF-ie, byłby niechybnie pijany i dostatecznie by rozrabiał, aby o jego najnowszych wyczynach poinformował go telefonicznie jeszcze przed południem ktoś z przyjaciół lub znajomych. Lecz w tym przeświadczeniu nie znalazł pocieszenia, przeciwnie: fakt, że z publicznych lokali nie docierało nic, co by sygnalizowało obecność Marka — sprawił, że pokrętna, bo całkiem anonimowa sfera prywatna natychmiast powróciła i Ksawery Panek z butelką jarzębiaku w kieszeni płaszcz wjechał na swoje dziesiąte piętro windą wypełnioną sabatem nagich, obojnackich ciał, więc przez moment, ciężko się wśród tej zbiorowej i prócz nagości Marka anonimowej kopulacji wznosząc ku swemu pustemu niebu, pomyślał, aby zawrócić i z pisuaru lub z najbliższych okolic pisuaru na Placu Trzech Krzyży sprowadzić do siebie pierwszego lepszego chłopaka, lecz ledwie to pomyślał, wiedział już, że tego nie uczyni, mimo to jednak począł sobie wyobrażać, jak by się ten sprowadzony z ulicy chłopak szybko i sprawnie rozbierał, jak by zrzucił gruby sweter, z przemokniętych pantofli wysuwał stopy i z zawodową rutyną ściągał z siebie tanie, zniszczone dżinsy, wówczas wyłoniłoby się mocne, prostaczo ukształtowane ciało, z tym obrazem nagiego chłopaka wszedł do mieszkania, lecz gdy zapalił światło i zdejmował płaszcz, chłopak z placu Trzech Krzyży, nie całkiem prócz dużego członka we wszystkich szczegółach sprecyzowany, zmienił się w Marka, wziął więc jarzębiak i w kuchni wypił duszkiem pół szklanki, przez moment wydało mu się, że zwymiotuje, ale nie zwymiotował, wstawił jarzębiak do lodówki, a potem w pokoju tak jak stał, w ubraniu i w obłoconych butach zwał się na tapczan i prawie natychmiast zasnął, ściemniało się już, gdy zbudził go telefon, poderwał się całkiem trzeźwy, jest Marek? — spytał męski głos, nie ma go — powiedział — a kto

Erotyzm, Tęsknota,
Zazdrość, Marzenie,
Alkohol

⁴⁰SPATiF — tu: jeden z klubów utworzonego w 1950 r. Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu (w miejsce rozwiązanego przedwojennego ZASP: Związku Artystów Scen Polskich; od 1952 funkcjonowała nazwa związku SPATiF-ZASP). [przypis edytorski]

mówi?, lecz zamiast odpowiedzi usłyszał odgłos odłożonej słuchawki, położył więc i swoją, nie odchodził jednak od aparatu, wydało mu się bowiem, że zaraz znów się rozlegnie sygnał, stał parę minut wyczekując, potem przeszedł do łazienki, aby umyć ręce i odświeżyć twarz, wykonywał te czynności, machinalnie unikając lustra, aby nie ujrzeć własnej twarzy, a gdy się odwrócił z mokrą twarzą, chcąc wilgotnymi dłońmi sięgnąć po ręcznik, trafił nie na własny, lecz Marka, niedbale wciśnięty pod samą prawie ścianę, ściągnął go i wtedy spadły spod ręcznika na bidet czerwone slipki, schylił się, żeby je podnieść, były brudne, z wyraźnymi śladami zaschniętej spermy, przyłożył je do wilgotnej twarzy, chcąc w nich odnaleźć zapach Marka — — — —

Telefon milczał, więc kilkakrotnie podnosił słuchawkę, aby się upewnić, czy aparat nie jest zepsuty. Sygnał był. Pomyślał zatem, że — być może — awaria jest jednostronna, wielokrotnie zdarzało się w ostatnich miesiącach, że z jego aparatu można było dzwonić, natomiast z miasta nie sposób było uzyskać połączenia. Postanowił sprawdzić. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, do kogo zadzwonić, wreszcie wykręcił numer Andrzeja Wajsa, z którym był blisko kilka lat temu, lecz którego lubił nadal. Ale w mieszkaniu Wajsa nikt telefonu nie odbierał. Zadzwonił do Adama Nagórskiego.

Nagórski prawie natychmiast słuchawkę podniósł.

— Tak, słucham.

Ksawery wyjaśnił swoje wątpliwości. Na to Nagórski:

— Już do ciebie dzwonię.

Sygnał odezwał się niebawem.

— Adam? Dziękuję i przepraszam, jeżeli przeszkodziłem.

— Co u ciebie?

— Nic ciekawego.

— Wybierasz się na koncert?

— Mam bilety.

— To się zobaczymy. Okropna pogoda. Słuchaj, Ksawery, może się po koncercie spotkamy na St. Germain i pójdziemy na ostrygi?

— Chętnie.

— To świetnie! Pochwalimy się jutro na weselu twojej siostry.

Dochodziło pół do szóstej. Wiedział, że jeśli do siódmej Marek się nie zjawi lub nie zadzwoni — zrezygnuje z koncertu, aż wreszcie, gdzieś pomiędzy dziewiątą i dziesiątą — już nie mając sił dłużej beczynnie czekać, wyruszy na miasto, na obchód lokali i to niedalekie, lecz chyba nieuchronne wędrowanie tylekroć wydeptaną trasą Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia aż po rynek Starego Miasta skojarzy mu się z procesją, tyle że samotną, Drogi Krzyżowej, której poszczególne stacje na podobieństwo bogato przyozdobionych ołtarzy prezentować będą mimo odmiennych dekoracji ten sam zagęszczony motyw tłoku, pijaństwa, zgiełku i dymu. Lecz równocześnie przerazi go i perspektywa godzin najbliższych, więc, żeby się przeciw ich ciemnym czarom i gusłom uodpornić, wstanie od biurka, na którym we wzorowym porządku spoczywają notatki do pracy magisterskiej dyrektora pewnego Zjednoczenia, całkiem jak dotąd niewyklarowany zarys naukowej dysertacji za dziesięć tysięcy złotych, przejdzie, zapalając po drodze wszystkie światła, do kuchni i wydobywszy z lodówki jarzębiak — — — —

Adam Nagórski cały dzień spędził w domu. Z płytkiego i przerywanego snu nad ranem, gdy nasenny prosek przestał działać, więc ze snu, który był mało pożywny, rozbudził się ostatecznie przed siódmą, w mieszkaniu podobnie jak wczoraj było chłodno, kaloryfery na skutek lokalnej awarii zaledwie grzały, został więc w łóżku, zapalił światło i sięgnąwszy po pasjonującą monografię Richarda Friedenthala o Goethem, którą czytał był od kilku dni, ulokował gruby tom na piersiach, przytrzymując go obiema dłońmi — — — —

Z wyjątkiem niedziel oraz świąt gospodyni Nagórskiego, pani Jaskólska przychodziła za kwadrans ósma. Jest punktualna (ma własne klucze od mieszkania) i o ósmej śniadanie dla Nagórskiego (woda mineralna, mocna herbata oraz dwa kawałki bułki z miodem, z których zazwyczaj rezygnuje, jeśli poprzedniego wieczora pił) jest gotowe. Na

śniadanie Nagórski przechodzi prawie zawsze do kuchni. Część okien dwupokojowego mieszkania Nagórskiego w najbliższym sąsiedztwie Rynku Nowomiejskiego wychodzi na zaciszny dziedziniec (okna sypialni oraz kuchni), natomiast z dużego pokoju (od strony ulicy Starej), w którym Nagórski pracuje, roztacza się rozległy widok na Wisłę i praski brzeg. Kiedy nocowała Nike, Nagórski, który zawsze się budził pierwszy, śniadanie jadał w kuchni, a później sam zanosił do sypialni śniadanie dla Nike, nieporównanie obfitsze od własnego, czuła się bowiem po przebudzeniu wygłodniała — — — — —

Po śniadaniu, gdy Nagórski szedł do łazienki, pani Jaskólska sprzątała gabinet, potem resztę mieszkania, następnie wychodziła na zakupy (ze względu na wciąż występujące trudności aprowizacyjne zakupy te zabierają zwykle czasu do dwóch godzin), a po powrocie przygotowywała obiad na drugą i za kwadrans trzecia kończyła swoje zajęcia, pozostawiając zazwyczaj zimną kolację w lodówce (rzadko się zresztą zdarza, aby Nagórski jadał wieczorny posiłek w domu) — — — — —

Pani Jaskólska lubiła Nike, która, jeśli chciała, umiała zjednywać sobie ludzi, poza tym kłopoty, jakie Jaskólska ma z wnukiem, usposabiają ją życzliwie i wyrozumiale do wszelkich komplikacji młodzieńczych — — — — —

Przy śniadaniu Nagórski omawia ostatnie szczegóły jutrzejszego obiadu, na którym po ślubie cywilnym mają być: oboje państwo młodzi, Halina Ferens-Czaplicka, Eryk Wartner oraz matka Adama; matka Haliny, Emilia Czaplicka, wymówiła się od tej rodzinnej uroczystości. Podstawowy kłopot z daniem mięsnym został już przed paroma dniami pomyślnie rozwiązany, pani Jaskólskiej udało się kupić w Jeziornej ogromnego, sześciokilowego indyka, któremu teraz za oknem doskonale służy gwałtowny nawrót zimy.

Nagórski:

— A co było na pani weselu, pani Urszulo?

— Na moim? A czy ja pamiętam? Tyle lat! Ale wszystkiego było w bród, trzy dni, proszę pana, trwała zabawa, cała Jeziorna się bawiła, nawet pani hrabina Potulicka z Obór była z synami parę godzin, mój mąż, pan wie, jak był młodym chłopakiem, praktykował u ogrodnika w Oborach, to były czasy!

— Myśmy byli młodzi, pani Urszulo.

— Pewnie, że młodzi. Ale mój Wiesiek, proszę pana, też jest młody i co ma z tej młodości?

— Wciąż chuligani?

— To jego wina, proszę pana, że taki jest, jak jest? Chłopak bez ojca, to jak dziczka przy rowie, mój mąż zawsze mówił, że o dziecko, jak o drzewo, trzeba dbać, żeby nie zdziczało i dobrze rosło i obradzało.

— Ja też, pani Urszulo, ojca prawie jakbym nie miał, był bardzo stary, miałem dziesięć lat, kiedy umarł.

— O, pan to co innego!

— Myśli pani?

— Pewnie, pan pisze książki, to panu wszystko uchodzi — — — — —

Poza ogólnikową wzmianką o chuligaństwie siedemnastoletniego wnuka Urszuli Jaskólskiej żadnych na razie o nim informacji, sprawdziłem w *Życiorysach*, życiorys Jaskólskiej jest, ale Wiesława Dominika nie ma, tyle tylko z informacji o Jaskólskiej, że urodził się w 1952, oboje jego rodzice zginęli w katastrofie motocyklowej w 1961, wychowuje się więc przy babce, która jeszcze po swoim mężu, poległym w kampanii wrześniowej, posiada domek w Jeziornej i lokatorami jej są Kubiakowie: Edward z żoną Jolą i osiemnastoletnim synem, Robertem. Pamiętam, już kiedyś dość dawno planowałem w związku z Wieśkiem, iż ukradnie babce klucze od mieszkania Nagórskiego, aby później (w sobotę wieczorem, kiedy miało być przyjęcie w Jabłonie) ograbić wraz z paroma kolegami puste mieszkanie, ponieważ jednak na skutek odwołania *Wesela* — Nagórski byłby u siebie, to rabunkowe przedsięwzięcie trzech wyrostków miało się kończyć zamordowaniem Nagórskiego. Nie umiem już powiedzieć, czy ten pomysł (chyba bez sensu!) łączył mi się czy nie z fragmentem prozy Nagórskiego o Orfeuszu, z wizjami różnych jego śmierci. Chyba jednak musiało mi chodzić o akcent młodości, zawarty w takiej przypadkowej

i bezsensownej (?) śmierci. Odnotowuję zresztą ten stary i porzucony pomysł (trochę przecież kuszący), aby samemu sobie uświadomić różne błędzenia po omacku. Nie wydaje mi się, żeby postać Wieśka Dominika domagała się jakichś uzupełnień i aby on (podobnie jak młody Kubiak) musiał czynnie wejść w krąg *Miazgi*. Wbrew pewnym moim ciągotom do ładu kompozycji zamkniętych, muszę wciąż siedzieć i pamiętać, że rzeczywistość *Miazgi* jest ze wszystkich stron otwarta, a od wewnątrz miazgowata, więc w pewnym sensie niewydolna i niewykończona. Wydaje mi się, że większość rozlicznych trudności oraz zahamowań, tak mi dokuczających w ciągu ostatnich lat, właśnie z tych sprzeczności mojej natury wyrasta, bowiem tylko miłośników ładu i konstrukcji nieudanych (nieudanych, niezawiedzionych) rzeczywiście kuszą gąszcze chaosu i niespełnienia. Kłamałbym przecież przed samym sobą, gdybym tym obu sprzecznym tendencjom chciał udzielić jednakowej siły. Może kiedyś dawno i jeszcze dawniej? Możliwe. Może nawet było i tak, że prawie wyłącznie potrzeba ładu mnie wypełniała i ona była siłą inspiracyjną. Nawet na pewno tak. Lecz powtarzam, to było dawno i jeszcze dawniej. Od lat dość wielu nawet nie tęsknię za ładem. Coś z dążeń dawnych z pewnością nadal we mnie żyje, mogę im niekiedy ulegać, mogą mnie niekiedy zwodzić, lecz nie więcej, ponieważ ani w samym sobie, ani w świecie nie mogę (nie umiem?) dojrzeć nawet słabych śladów konstrukcji pozwalającej mniemać, iż dostępny mojemu zrozumieniu ład ją przenika i kształtuje. Im staję się starszy — tym mniej wiem i rozumiem, natomiast coraz trudniej otaczają mnie znaki zapytań, na które nie znajduję odpowiedzi. Przestrzenie pełne cieni i ech, obumarłe plamy i gęstniejące zacieki, wszystko w bezkształtnej, bo wciąż się zmieniającej kipieli. Nie! to wyznanie nie jest wyznaniem kapitulacji i klęski.

Obraz świata, Sztuka

Skuszony piękną pogodą, wcześniej niż zamierzałem skończyłem pracę, lecz gdy się znalazłem na Krakowskim Przedmieściu — szybko się poczułem zmęczony i rozleniwiony wiosennym powietrzem, więc żeby jakoś „konstruktywnie” to przedwczesne, lecz nieudane wymknięcie się z domu zakończyć, wstąpiłem do fryzjera w Bristolu, okazało się jednak, że pan Sylwester pracował dzisiaj rano, wobec tego, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, poszedłem do baru, było pusto, żadnych znajomych — już przed tym, gdy szedłem Krakowskim Przedmieściem, pewnie w związku z umówionym na jutro spotkaniem z przedstawicielem wiedeńskiej telewizji, przyszło mi na myśl, co bym powiedział, gdyby mnie zapytano o antysemityzm w Polsce, potrzeba skonkretyzowania takiej odpowiedzi natychmiast mi się powiązała ze sceną z I części *Miazgi*: Eryk Wanert — Roman Gorbaty, a również z wątkiem Magdy Jachowskiej i Antka Raszewskiego.

Wspomniałem na którejś z poprzednich stronik tego *Dziennika* o stratach, jakie w ustroju totalnym ponoszą wszyscy. Wydaje mi się, że jednym z niebezpieczeństw, deprawującym w sensie intelektualnym ludzi opozycji, jest naturalna niejako skłonność tych jednostek zepchniętych na margines życia publicznego, aby swoje poglądy upodobniać do „obowiązujących” w kołach opozycji, opozycja — odwołując się do określenia Ksawerego Panka — także poszukuje swego lepszcza. Ponieważ w systemie totalnym opozycja oficjalna nie istnieje i istnieć nie może, ludzie opozycji dobierają się przede wszystkim na zasadzie środowiskowej, a w określonym środowisku zawsze na ogół działa prawo mimikry, nawet w tak zindywidualizowanych, jak środowiska intelektualno-artystyczne.

Władza, Buntownik

Wracając do sprawy antysemityzmu w Polsce. Jest już bardzo późno, więc na razie przepisuję tylko z podręcznej kartki notatkę bardzo ogólnikową, wrócę do niej przy innej okazji.

Wydaje się, że antysemityzm, pojawiający się w ustrojach socjalistycznych w różnych sytuacjach i w różnym napięciu, jest w dziejach antysemityzmu zjawiskiem zupełnie nowym i z wielu względów w ogóle bym się wahał, czy można go określić jako antysemityzm. Ta dyskryminacja obywateli pochodzenia żydowskiego (nie tylko ich!) nie ma ani charakteru religijnego, ani nie jest dyskryminacją rasistowską, nie kształtują jej również uprzedzenia natury obyczajowo-fizycznej, tak silnie się manifestujące w problemie murzyńskim w USA, a i w Polsce dziewiętnastowiecznej i później, charakterystyczne dla szlachecko-chłopskiego modelu antysemityzmu (niechęć i pogarda do Żyda karczmarza,

Antysemityzm, Polska, Historia

pośrednika, handlarza, lichwiarza, kupca, bankiera, przekonanie, że Żyd nie może być dobrym rolnikiem i dobrym żołnierzem).

Antysemityzm w krajach socjalistycznych ma charakter ideologiczny, jednak z chwilą, gdy ta dyskryminacja na skutek określonej sytuacji (np. w Polsce po sześciomiesięcznej wojnie w 1967) poczyną natężyć się i przybierać charakter masowy — na niższych szczeblach aparatu partyjno-rządowego ujawniają się i to w sposób szczególnie brutalny i podły tradycyjne elementy antysemityzmu.

Żydzi-komuniści. Dlaczego w ostatnich latach (trzech) dyskryminacja ideowa dotknęła tak znaczną ilość ludzi pochodzenia żydowskiego? Wielu, nie znajdując dla siebie możliwości pracy, rzeczywiście musiało Polskę opuścić, lecz wielu emigrowało przede wszystkim dlatego, że okoliczności stwarzały im dogodną okazję. Nie wydaje mi się, aby dobrymi przyjaciółmi Żydów byli ci, którzy ich zawsze i ryczałtem usprawiedliwiają.

WTOREK, 7 KWIETNIA

Zbyt pięknie na dworze, żeby pracować, poza tym i rano, i po południu różne sprawy do załatwienia.

Przyjaciele i znajomi, którzy pytają mnie od dawna: „Kiedy skończysz *Miazgę*?”, powinni raczej pytać: „Kiedy nie skończysz *Miazgi*?”.

CZWARTEK, 9 KWIETNIA

W ostatniej, marcowej „Twórczości”, w artykule Tomasza Burka o *Korzeniach* Jerzego Zawieyskiego fragment, jakby dosłownie (lecz niedosłownie stylistycznie) wyjęty mi spod pióra:

„To, czego szukaliśmy dotąd w literaturze i co w niej podziwialiśmy, to były »kwiaty« i »korony«: dzieła, które osiągały własną idealną granicę, spełniały się w bujności i w szumie nieprzeliczonego listowia, znajdowały końcowy wyraz we wspaniałej równowadze trwania i ruchu, w tak zwanej skończonej formie. Model wrażliwości zmienił się jednak. Formą, która dzisiaj najczęściej przyciąga uwagę i zahacza o nasze fermenty zagadnieniowe, jest to, co z punktu widzenia »korony« zdawać się musi niedokonaniem, zaledwie jej stadium wstępnym, w którym się nawet nie rozpoznaje, jakby złośliwą parodią pojęcia całości i skończoności: czy nie tym są »korzenie«? »Forma: korzenie« zamiast »forma: korona« to nowa perspektywa, w jakiej załamuje się nam świat i w jakiej go przeżywamy najbardziej naturalnie, autentycznie, bez wzmówień i sentymentalnej akrobatyki i bez dopingu, który daje sfalszowane zwycięstwa. Zagadnieniem bowiem prawdziwym współczesnego świata i nas, którzy mamy w nim swe miejsca, jest klęska. Nieustająca klęska świadomości, która musi godzić się z rzeczami, z jakimi nie powinna się pogodzić ze stanowiska swych fundamentów moralnych, rozwierająca się przepaść między realnymi możliwościami człowieka a jego powinnościami, którym nie jest w stanie sprostać, cień, który kładzie się w poprzek drogi od »korzeni« do »kwiatu«, rozrywa związki pomiędzy ludźmi i ludźmi, ludźmi i rzeczami, przecina niewidzialne kanały, którymi płynie niewymienialna na nic innego krew miłości i sympatii, to one spychają sztukę ku »korzeniom« i znajdują swój wykładnik w formach »niedociągniętych«, otamowanych, zatrzymanych w stadium wstępnym, »brulionowym«”.

PIĄTEK, 10 KWIETNIA

Wczoraj prawie upał, dzisiaj pada deszcz i temperatura spadła do 4°C.

Z minionego tygodnia: Karl von Spreti, ambasador NRF w Gwatemali został porwany przez członków Rewolucyjnych Sił Zbrojnych i po kilku dniach zamordowany. Porywacze w zamian za życie ambasadora żądali wypuszczenia 25 więźniów politycznych oraz 700 tysięcy dolarów okupu. Rząd gwatemalski, mimo energicznych nacisków rządu bońskiego odrzucił warunki terrorystów. — W Brazylii usiłowano porwać konsula USA. Został on ranny w czasie ucieczki samochodem. — Pasażerski samolot japońskich linii

lotniczych z ponad 100 ludźmi na pokładzie uprowadzony został do Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej przez grupę 15 studentów należących do skrajnie lewicowej Czerwonej Gwardii. Przez trzy dni samolot wraz z pasażerami przebywał na lotnisku w Seulu, gdzie trwały pertraktacje pomiędzy władzami południowo-koreańskimi i porywaczami. Ostatecznie porywacze zwolnili pasażerów w zamian za japońskiego wiceministra transportu Yaramurę z którym odlecieli do Phenianu. Władze KRL-D zwróciły samolot, załogę i wiceministra. — Na Bliskim Wschodzie toczyły się walki powietrzne nad deltą Nilu oraz lądowo-powietrzne na froncie izraelsko-syryjskim. — Przebywający w Pekinie b. szef Kambodży, książę Sihanouk wezwał ponownie swoich rodaków do walki zbrojnej przeciw rządowi kambodżańskiemu. Moskiewska „Krasnaja Zwiezda” obszernie informuje o chińskich przygotowaniach wojennych na terenach graniczących ze Związkiem Radzieckim. — Ponowny wzrost napięcia pomiędzy ekstremistami protestanckimi i katolickimi w Północnej Irlandii. — Na zjeździe w Budapeszcie z okazji 25-lecia Węgierskiej Republiki Ludowej Leonid Breżniew oświadczył w swoim przemówieniu, że „kraje socjalistyczne nie powinny realizować swych interesów narodowych kosztem interesów międzynarodowego socjalizmu”. Agencja TASS o publicznych, pokazowych procesach w Chinach: „Skazanych na śmierć nazywa się »klasowymi wrogami«, co jest przyklejaną obecnie etykietą wszystkim przeciwnikom maoistów; skazanym przypisuje się często przestępstwa kryminalne. Ten chwyt maoiści wykorzystują już od kilku lat, likwidując fizycznie swych przeciwników politycznych, starają się oni wielu z nich oszkalować w oczach narodu”. — Jeszcze nie wiadomo, czy zapowiedziany na jutro start statku kosmicznego Apollo-13 na Księżyc dojdzie do skutku, ponieważ nie zdecydowano dotychczas, czy zagrożonego różyczką jednego z członków załogi będzie mógł zastąpić kosmonauta z ekipy zapasowej.

Drobny argument na korzyść przeświadczenia, iż zdarzenia X nie określa i nie wyznacza element konieczności, przeciwnie: nieskończenie mnoga ilość przyczyn doprowadzających do zdarzenia X może się w czasie swego działania układać w różny, nieomal dowolny sposób i efekt końcowy (zdarzenie X) wcale nie musi być jeden.

W „Życiu Warszawy” dłuższa notatka na pierwszej stronie o eksplozji granatu, która wczoraj w godzinach przedpołudniowych nastąpiła na ulicy Klonowej tuż przy placu Unii Lubelskiej. Kiedy pracownicy Zarządu Dróg i Mostów układali płyty chodnikowe nad przepokopem do podświetlonego znaku drogowego, jeden z robotników uderzył kilofem w coś, co wyglądało, jak mały kamień. Jak się okazało, był to niewypał granatu ręcznego, pozostawiony w ziemi od czasów wojny. Gdy granat zaczął syczeć, jeden z robotników zdążył odskoczyć. Dwóch zostało rannych, jeden ciężko w brzuch i w pierś. Eksplozja nastąpiła w momencie, gdy przejeżdżał pośpieszny autobus B. Wybuch był tak silny, że odłamki strzaskały tylną szybę autobusu i poraniły kobietę siedzącą na końcu wozu. Jeden z odłamków przebił podwójną szybę w mieszkaniu na piątym piętrze pobliskiej kamienicy, uderzył rykoszetem w ścianę i upadł na podłogę, tylko dlatego nie raniąc przebywającej w pokoju kobiety, iż ta akurat się schyliła, żeby podnieść spod biurka jakiś przedmiot, który jej wypadł z rąk.

W całym tym wydarzeniu jedno tylko wydaje się pewne: niewypał granatu musiał *kiedyś* albo wybuchnąć, albo zostać zabezpieczony. Wszystko inne wydaje się dziełem przypadku, wynikiem ruchu nieskończenie mnogich elementów, ruchu, który mógł doprowadzić do sytuacji całkiem odmiennych, parę sekund różnicy w czasie (normalnej w ruchu wielkomięskim) i autobus B znajdowałby się w innej w stosunku do eksplozji pozycji, żaden z pasażerów mógłby nie zostać ranny albo ofiar mogłoby być więcej. Element improwizacji w kształtowaniu się rzeczywistości.

Przeciwnie sztuka. Jej uporczywa dążność do tworzenia konstrukcji *jedynie* możliwych.

PONIEDZIAŁEK, 13 KWIETNIA

Ostatnie dwa dni, a również i dzisiejszy — zerowe. Nagły, mimo serii zastrzyków, nawrót dolegliwości ischiasowych stał się tak dokuczliwy, że wczoraj cały dzień przeleżałem

Obraz świata, Sztuka

w łóżku, dzisiaj także pozycja siedząca sprawia mi nazbyt wiele kłopotu, żebym mógł pracować.

Lektury dla wypełnienia dłużącego się czasu: trochę Tomasa Manna, kilka fragmentów z *Choroby na śmierć* Kierkegaarda, przeglądanie pierwszego tomu *Nowej księgi przysłów polskich*, środkowe rozdziały *Dziejów Bizancjum* Ostrogorskiego.

Lot Apolla-13, który wystartował w sobotę wieczorem, odbywa się normalnie. Chłodno, koło zera. Przygnębienie, a jeszcze większy niepokój z powodu tej przedłużającej się przerwy w pracy. Obawa, żeby się znowu w tym wszystkim nie zgubić. I ten wciąż oddalający się ode mnie koniec, perspektywa, że w najpiękniejszy czas wiosny (kiedyś wreszcie chyba będzie?) i lata będę przywiązany do biurka.

WTOREK, 14 KWIETNIA

Rano wiadomość przez radio, że lądowanie Apolla-13 na Księżycu zostało odwołane z powodu poważnej awarii, jaka nastąpiła w nocy z poniedziałku na wtorek, z nieustalonych jeszcze przyczyn przestały działać baterie zasilające urządzenia elektryczne kabiny matczynej pojazdu. W chwili, gdy nastąpiła awaria, Apollo-13 znajdował się w odległości 324 000 km od Ziemi. Gdyby statek pozostał na torze, na którym się znajdował, po przelecie nad Księżycem na wysokości około 250 km, rozminąłby się z Ziemią o przeszło 30 000 km i nigdy by na nią nie powrócił. W tej sytuacji najważniejszym zadaniem było dokonanie takiej korektory lotu, aby po okrążeniu Księżyca statek ponownie wszedł na orbitę wokółziemską. Ponieważ ze względu na defekt źródeł energii elektrycznej w pojeździe matczystym nie można było uruchomić głównego silnika statku, Lobell i Haise przeszli do pojazdu księżycowego i przeprowadzili ten manewr za pomocą silnika tego pojazdu, manewr udał się i Apollo-13 wszedł na tor zapewniający powrót na Ziemię. Wodowanie ma nastąpić na Pacyfiku, w piątek o 18:47 czasu warszawskiego między wyspami Samoa i Nową Zelandią.

Koło południa niespodziewany telefon Alicji Singer (Alicja Singer, ur. w 1934 w Moskwie, córka Jana Nagórskiego i Julii Singer. Gdy w roku 1936 Jan Nagórski, pracujący w Kominternie, został aresztowany i w rok później rozstrzelany, a Julię Singer zesłano na osiem lat do łagru — małą Alicją zaopiekowała się rosyjska rodzina zaprzyjaźniona z Janem Nagórskim. W roku 1945 Julia Singer, zwolniona z obozu, wróciła z córką do Polski. Urodzona w roku 1900, w środowisku zamożnej żydowskiej plutokracji, studiowała na Uniwersytecie Warszawskim romanistykę oraz filozofię, należała do Komunistycznej Partii Polski i na tym terenie zetknęła się z Janem Nagórskim, zresztą o wiele od siebie starszym. W roku 1930 wyjechali oboje do Związku Radzieckiego. Po powrocie do Polski Julia Singer zajmowała się przede wszystkim krytyką literacką, pozostając przez wiele lat autorytetem w zakresie estetyki marksistowskiej. latach 1949–1954 była naczelnym redaktorem jednego z dużych wydawnictw. Nieomylna w tropieniu oraz demaskowaniu wszelkich błędów i odchyłeń ideologicznych. 1954–1956 w Rzymie w charakterze *attaché* kulturalnego. Powrót do kraju i powolny i bolesny proces rozpadania się i kruszenia ideologii. W roku 1967, po wojnie izraelskiej i później w roku 1968, po wypadkach marcowych i agresji na Czechosłowację, wielokrotnie wzywana przez Komisję Kontroli Partii, wreszcie dobrowolnie, mając poza sobą czterdzieści lat przynależności partyjnej, oddaje swoją legitymację. Natomiast życie Alicji Singer potoczyło się całkiem inaczej. Kiedy w roku 1955 Jan Nagórski wraz z innymi straconymi w Rosji czołowymi komunistami polskimi, jak Leński, Warski i Kostrzewa został pośmiertnie rehabilitowany — Alicja, studiująca handel zagraniczny w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, poza sobą już miała okres młodzieńczego fideizmu. W roku 1959 wychodzi za mąż za korespondenta zachodniemieckiego, Klause Sommeringa. Gdy ten w rok później ginie w katastrofie lotniczej, Alicja za duże odszkodowanie w dewizach sprowadza z Holandii urządzenia pralni chemicznej i otwiera własne przedsiębiorstwo na Kruczej oraz urządza sobie luksusowe mieszkanie, również dewizowe, na Miejskiej. Jest zamożna, a jeśli nie piękna, to na pewno bardzo interesująca. Lubi się bawić, lecz tylko u siebie w domu, a uprzywilejowanymi jej gośćmi są przede wszystkim młodzi mężczyźni i to ze środowisk bardzo różnych.

Lubi muzykę, malarstwo, film, mniej literaturę. Chodzi na imprezy sportowe, szczególnie na mecze bokserskie. Często wyjeżdża za granicę. Przed paroma laty, wyłącznie dla własnej satysfakcji, skończyła historię sztuki na Uniwersytecie).

SOBOTA, 18 KWIETNIA

Zastanowić się, czy zostawić tę notatkę biograficzną, jej miejsce właściwe w formie cokolwiek rozszerzonej jest przecież w *Życiorysach*, a tutaj znalazła się tylko dlatego, że gdy pisałem tę scenę — nie miałem jeszcze całkiem jasnej koncepcji, w jaki sposób włączyć do *Miazgi* życiorysy poszczególnych postaci. Więc chyba skreślić tę notkę. Jeśli czytelnik zainteresuje się tą książką — nie będzie się, jak myślę, niecierpliwić, gdy natrafwszy w tekście na postać, o której nic nie wie, poszuka informacji w *Życiorysach*.

Rozmowa telefoniczna Adama Nagórskiego z Alicją Singer.

— Adam?

— A kto mówi?

— Zdziwisz się. Alicja Singer.

— Jak się masz! Nie poznałem cię po głosie.

— Nic dziwnego, rzadko mnie słyszysz.

— To prawda. Już bardzo dawno, droga Alicjo, skończyłem dwadzieścia lat.

— A ja osiemnaście.

Roześmiał się.

— Co u ciebie?

— Żyję.

— Mam nadzieję, że dobrze?

— Nie narzekam. A ty?

— Mój zawód wymaga narzekania.

— A przy nadmiarze?

— Gnije, droga Alicjo.

— O Boże! — na to Alicja — jak to dobrze, że moja pralnia nie jest tak uciążliwa.

— Za to ja mam zaniżone podatki. Co u twojej mamy?

— Nie wiem, nie widzujemy się.

Po chwili:

— Pomyślałeś, że jestem potworem?

— Wcale nie. Pomyślałem tylko, że prawdopodobnie jesteście w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobne, tylko swoje niespożyte zasoby energii ku całkiem innym sprawom kierujecie.

— A wiesz, że to dość inteligentne, co mówisz. My z mamą rzeczywiście nie mamy wspólnego języka. Myślę, że to dlatego, że ona w dwustu procentach wykonała plan ideowy, a ja sobie już bardzo dawno powiedziałem stop, dosyć tej zabawy.

— Rozumiem.

— Powiedz mi Adam, bo właściwie w tej sprawie pozwoliłam sobie do ciebie zadzwonić. Znasz może takiego młodego poetę, który ma na imię Marek?

— Kuran?

— Właśnie!

— Zdemolował ci mieszkanie?

— Co to za jeden?

— Bardzo zdolny poeta.

— Nie słyszałam. On moich przyjaciół poznał gdzieś przypadkiem i przyciągnęli go tutaj. Nie wiesz, czy ma jakąś rodzinę, przyjaciół, gdzie on mieszka?

— Pojęcia nie mam — skłamał — — — — —

Córka, Matka, Rodzina

W swoim czasie myślałem o scenie u Alicji Singer (potwierdzającej najgorsze przypuszczenia Ksawerego Panka), nie wydaje mi się jednak, żeby ten wątek warto było ciągnąć dalej. Niech zostanie, jak jest — w niedomówieniu. Tak łatwo się domyślić, co się mogło dziać w mieszkaniu Alicji! Także obojętne, kiedy się tam Marek Kuran zjawił: wczoraj wieczorem czy wcześniej. Nie wiem natomiast, czy jest dość jasne, że Alicja Singer kłamie, gdy na informację Nagórskiego: bardzo zdolny poeta, odpowiada: nie słyszałam. Musiała o Kuranie słyszeć, szczególnie o jego różnych wyczynach skandalizujących. Bardzo jest nawet prawdopodobne, że znajomi na jej własne życzenie ściągnęli młodego poetę.

Po południu Nagórski, który od kilku tygodni unikał swego biurka, zabiera się do porządkowania zaległej korespondencji, lecz cokolwiek zdeprimowany ilością listów, na które nie odpowiedział, porzuca tę robotę, czyta, jednak nie dłużej niż kwadrans monografię Friedenthala (rozdział o starczej miłości Goethego do szesnastoletniej Ulryki von Leevetzov), potem robi sobie mocną kawę i wróciwszy do biurka wyjmuje z bocznej szuflady teczkę z nieopublikowanymi opowiadaniem (na teźce napis *Nowe opowiadania*) i zabiera się do ich lektury, co w stosunku do utworów napisanych czyni tylko wówczas, gdy w sposób jeszcze bardzo mglisty, lecz natarczywy poczyną się w nim kształtować nowe pomysły, a raczej atmosfera wokół pomysłu. Tego rodzaju zabieg jest dla Nagórskiego czymś w rodzaju sprawdzenia samego siebie.

NOWE OPOWIADANIA ADAMA NAGÓRSKIEGO

W DZIEŃ ZWYCIĘSTWA WIECZOREM

Zdarzenie to miało miejsce dawno, a w moim odczuciu osobistym nawet bardzo dawno, prawie w innej epoce, choć licząc lata było to tylko dwadzieścia dwa lata temu, dokładnie 9 maja 1945 roku, więc w dzień ogłoszony Dniem Zwycięstwa.

Podobnie jak milion warszawiaków nie mieszkałem wówczas w Warszawie, która w ten pierwszy czas powojenny była po Powstaniu jednym wielkim obszarem ruin i zgłiszcz, życie polityczne oraz gospodarcze stolicy koncentrowało się przede wszystkim po stronie praskiej, dotkniętej niewielkimi stosunkowo zniszczeniami, natomiast w Warszawie właściwej, lewobrzeżnej, tylko uparci śmiałkowicie ryzykowali powrót do pojedynczych, także okaleczonych domów, samotnie tkwiących wśród martwych gruzów i potrzaskanych barykad. Właśnie do takich nielicznych, ocalonych w Śródmieściu kamienic należał ośmiopiętrowy gmach hotelu „Polonia”, w nim dzięki służbowej delegacji udało mi się znaleźć pokój, gdy z początkiem, maja, w związku z pewnymi projektami filmowymi znalazłem się w Warszawie.

Co robiłem 9 maja, gdzie byłem i z kim się widziałem, pojęcia nie mam, wielkie dni historyczne spędzamy zazwyczaj mało odświętnie, więc też z biegiem czasu, jak i z innych, życie powoli się z nich ulatnia, nasze wielkie daty osobiste rzadko się zbiegają z historycznymi. Pamiętam jedynie, że pod wieczór, gdy po stronie praskiej rozległy się zwycięskie salwy armatnie, i ciężko i samotnie, jak leniwe grzmoty, przetaczały się ponad wymarłym miastem, pod niebem już prawie nocnym, a mnie z bliskich lat wojny pamiętnym z bomb, z gęstych lun i z reflektorów penetrujących ciemności, i gdy naraz potem, też ku uczczeniu Zwycięstwa, kolorowe rakiety poczęły się wzbijać ku niebu, rozpryskując się wysoko w górze w migocące wachlarze bezgłośnie opadających lampionów, wtedy, zapewne w drodze powrotnej z dalekiej Pragi do hotelu Polonia, znajdowałem się w samym Śródmieściu w okolicy placu Napoleona, obecnie Powstańców Warszawy, szedłem po kamienistym i pełnym zdradzieckich wertepów dnie ulicy Mazowieckiej, to był wąwóz z wąską ścieżką wtłoczoną pomiędzy twarde usypiska z ziemi i z gruzów, z nich wyrastały czarno-rude ściany wypalonych domów, miałem buty według wojennej mody podkute, więc słyszałem każdy swój krok, a gdy się zatrzymywałem — wpadałem w ciszę, jak w głęboki lej i wtedy jedynym świadectwem życia na tej ulicy pełnej niegdyś ruchu, księgarni, kawiarni i restauracji były owe odległe igraszki i płąsy rakiet wystrzelonych znad praskiego brzegu ku miastu bez ludzi i światła. Jeszcze nie byłem zarażony choro-

Warszawa, Wojna, Ruiny

bą, którą nieco później nazwałem nudą ruin, z ostateczną, jak się wtedy mogło zdawać, zagładą rodzinnego miasta zetknąłem się po raz pierwszy, ale nie pamiętam, co wówczas myślałem, nie musiały to być myśli lekkie, raczej ugniatające, jak kamienie spiętrzone po obu stronach mojej ciemnej i też kamienistej ścieżki.

Także nie pamiętam, ile czasu zabrało mi przebrnięcie przez Mazowiecką, rakiety rozjaśniające szybko ciemniejące niebo nieprzerwanie mi w tej wędrówce towarzyszyły, dobrze natomiast pamiętam moment, gdy znalazłem się na skraju placu Napoleona wobec pejzażu, jak z dręczącego snu o ostatecznym zagubieniu i ztracie, wypalone domy, które na Mazowieckiej tworzyły niemal jednolitą konstrukcję zwartych prostopadłych ścian, tutaj na rozległym i niegdyś dość kapryśnie zabudowanym placu, ukształtowały się w groźne strzępy, w dziwnie poskręcane turnie, obszar placu pogłębiał pustkę oraz zniszczenie, szedłem przed siebie trochę z takim uczuciem, jakbym był jedynym i ostatnim żyjącym człowiekiem na Ziemi, nawet poblask rakiet słabiej tu docierał, niebo było ogromne, ciężkie i czarne, gwiazdy martwe, a cisza wokół też martwa, czasem tylko trzasnął pode mną odłamek szkła, wtedy cieniutki jak struna dźwięk wibrował w ciszy, aby prawie zaraz zaniknąć.

Prawdopodobnie, idąc placem w ten wieczór Dnia Zwycięstwa, usiłowałem wywołać obrazy przeszłości; wtedy tak w czasie bliskie, iż mogło się wydawać, iż by ich dotknąć — starczy wyciągnięcie ręki, tam, zaraz na prawo, wznosił się smukły, wielopiętrowy drapacz „Prudentialu”, na lewo ciężki gmach Poczty Głównej, po środku zielone skwery, w głębi dwupiętrowy, żółtawy budynek Lombardu Miejskiego, niestety, po dwudziestu paru latach, jakie od tamtego wieczoru minęły, już nie umiem pamiętać, co pamiętałem wówczas, coraz częściej dręczy mnie świadomość, z jak rozległymi obszarami martwej pamięci i z własnym istnieniem jakże zubożonym żyję, zbliżając się do kresu życia. Zagrożeni zagładą i niepamięcią ostateczną, zapominamy w obliczu wieczystej ciemności, iż wśród powszechnej zagłady żyjemy, ku niej zmierzamy i ona zachłannie drąży, kruszy i niszczy życie czasów minionych. Tak więc, skoro nie umiałem w porę oprzeć się ruchomej fali mnie samemu niosącej nieuchronnie spustoszenie, skoro tak wielu własnych godzin nie umiałem ocalić, teraz pogodzić się muszę, że gdy się ku przeszłości zwracam, poruszać się w niej mogę tylko po omacku, niepewnie mętnych mroków dotykając, bardzo rzadko odzyskując wiarygodny kształt przeżytego świata.

Moment, kiedy się zatrzymałem, pamiętam bardzo dobrze. Prawie całą przestrzeń placu miałem za sobą, przede mną, na tle wyżej i ciasno spiętrzonych zgliszcz, rysowały się ruiny Miejskiego Lombardu, w głębi czarna czeluść otwierała ulicę Szpitalną. Pamiętam nawet, że choć wieczór nie był ciepły, było mi gorąco, czoło miałem lekko spocone, płaszcz przedtem rozpiąłem. Dźwięki, które mnie skłoniły do przystąpienia, wydobywały się z mroku, z odległości nie większej niż kilkanaście kroków, były niskie, chrapliwe, w pierwszej chwili zupełnie się nie mogłem zorientować, co to jest, w każdym razie w rozpościerającej się dokoła pustce i ciszy brzmiały dość niesamowicie, podniosłem rękę do czoła i pot, jaki pod palcami wyczułem, już nie był tylko oznaką zmęczenia. Gdybym poszedł za pierwszym odruchem, prawdopodobnie zawróciłbym lub próbował którąś z bocznych ulic dotrzeć do Marszałkowskiej. Jeśli tego nie uczyniłem, to chyba też z lęku, wiedziałem bowiem, że zarówno Boduena, jak Moniuszki doznały szczególnie dotkliwych zniszczeń, na Moniuszki mieściła się w czasie Powstania kwatera dowództwa. Więc stałem niezdecydowany, w mroku pod zgliszczami Lombardu coś się wyraźnie kotłowało i kłębiło, i właśnie z tego bezkształtnego mocowania wydobywały się dźwięki przyduszone i gardłowe, nagle przycichły — głodne psy, pijacy? — i wówczas ciężkie oddechy i posapywania całkiem ludzkie było słycać, potem głuche odgłosy przypominające uderzenia, zrobiłem kilka kroków do przodu, szkło trzasnęło pod butem, znów przystanąłem i w tym momencie nowy snop zwycięskich rakiet rozprysnął się po niebie, drugi, trzeci i natychmiast następne, całe ogromne niebo ponad ruinami i gruzami placu rozświetliło się nagle od tych kolorowych, rozpadających się jak fontanny rakiet, i wówczas, w zimnym poblasku fajerwerków zobaczyłem pod szerniałymi kikutami Lombardu dwie ludzkie sylwetki, dwóch mężczyzn z zapamiętałą furią okładających się pięściami, obaj byli w zimowych waciakach i walonkach, obaj krępi, średniego wzrostu, to oni, tłukąc się zaciekłe, wydobywali z siebie owe dziwne, gardłowe i nieartykułowane dźwięki, przechodzące od groźnych pomruków w skowity prawie zwierzęce.

Pamięć, Przemijanie,
Śmierć, Kondycja ludzka

Walka

Stałem bez ruchu, porażony tą zacieklą walką i dopiero, gdy ostatnia seria wystrzelonych rakiet zagasła i mrok z powrotem zaciemnił postacie walczących, zrozumiałem, że byli to głuchoniemi.

MODLITWY

W roku 1943 miała osiemnaście lat, wyglądała na młodszą, lecz jej doświadczenie należało mierzyć wiekami. Była Żydówką z północnych kresów przedwojennej Polski, dzięki pozycji ojca, właściciela tartaku i handlarza drzewem, była królewną małego miasteczka, ale oto na rok 1943 los ją zagnał do Lwowa, bogaci rodzice jej odpoczywali w ziemi, w płytkim zbiorowym grobie, który wraz z innymi spółziomkami musieli sobie byli przed śmiercią wykopać, małe miasteczko, gdzie była królewną, na skutek wojennych działań i akcji antysemitycznych, prawie znikło z powierzchni ziemi, strzępy zgliszczy i ruin tam były, nawet kamieni nie, bo domy w miasteczku były drewniane, więc nagie i puste placyki pozostały, drzewa z poutrącanymi konarami i w tym okaleczeniu zwęglone.

Wówczas, w swoich osiemnastu latach, nie robiła wrażenia Żydówki, miała jasne, bujne włosy, oczy niebieskie, a cerę białą, bardzo aryjską. Niemcy szczególnie lubili ten typ dziewczyny, przypominała im zdrową rodaczkę z północy, tylko oko wyczulone za zawiłe sprawy pochodzenia mogło jej błękitne, lecz cokolwiek nazbyt wypukłe oczy i jasne, lecz przecież lekko się kręcące włosy skojarzyć z rodzajem semickim. Pewnie dzięki tym jasnym włosom i niebieskim oczom ocalała. Lecz w miarę posuwania się czasu ognisty krąg wokół Żydów się zacieśniał, ziemia się trzęsła i paliła pod ich przeklętymi stopami, Czerwone Morze nie otwierało przed nimi nieruchomych głębi, ściany, w których szukali schronienia, stawały się nagie i przeźroczyste, sami śmiercią napiętnowani, także wokół siebie, gdziekolwiek się znaleźli, zagładę ścigali. Ale miała osiemnaście lat, już doświadczona wiekiem, kiedyś, w zagubionych obszarach czasu przeszłego, była królewną, była zdrowa i silna, więc walczyła o życie uporczywie, nauczyła się być chytrą, uległą i bezwzględną, wielowiekowe doświadczenia przodków wspierały ją w tej walce, nie chciała się poddać i ulec.

Tylko raz jeden wśród tych zmagañ opuścił ją instynkt samozachowawczy, a stało się to pewnej nocy marcowej we Lwowie, kiedy nagle zbudzona z pierwszego snu musiała, na wpół ubrana, uciekać przez parterowe okno, skoro przed kamienicę, w której po ciężkich poszukiwaniach znalazła schronienie, zajęchały o pierwszej w nocy dwie kryte brezentem ciężarówki i niemieccy żandarmi poczęli się dobijać do bramy. Była senna, śmiertelnie znużona, chciała spać. Ale ludzie, którzy jej tak wiele ofiarowali, siłą ją zmusili do ucieczki. Dom nie został, na szczęście, otoczony, więc pod brutalnym przymusem mogła się wysliznąć z parterowego okna na rozmięklą, wilgotną ziemię, w koszuli tylko i w jakiejś przypadkowej wiosennej, bardzo kolorowej sukience, cały dom już był pełen zaciemnionych światła, stała pod murem w tych cienkich i kruchych smugach dygocąc z zimna, z niewyspania i z braku chęci życia, wysoko w górze roztrącały ciszę chrapliwe krzyki Niemców, miała na nogach nazbyt luźne, wieczorowe pantofle na wysokich obcasach i te obcasy od razu się zanurzyły w wilgotną i rozmięklą ziemię, już przy pierwszym kroku musiała się schylić i wydobyć je z ziemi, a przy każdym kroku następnym też się w ziemię zapadała, aż wreszcie niezdolna do dalszej walki, pozostawiła jeden pantofel ugrzęźnięty w wilgotnej glinie i dalej szła śmiesznie kulejąc, wreszcie, gdy już poza sobą pozostawiła tamten dom w ciemnościach pełnych przekleństw i lamentów i gliniasta ziemia pod nią zmieniła się w twardego trotuar, straciła ze stopy i ten drugi pantofel i szła przed siebie, w obcą noc, boso, ulice były puste, domy umarłe, jak po przejściu zarazy, niebo bez gwiazd, żadna różdżka nie poruszyła przed nią martwych wód Czerwonego Morza, gdzie zatem iść, gdzie być i u kogo się schronić?, aż wreszcie, gdy się w tej kolorowej, jaskrawo wiosennej sukience i bosa znalazła na skrzyżowaniu pustych i nieznanych ulic, stanęła i na pewno wspomóżona duchami przodków powiedziała w ciemnościach na głos:

— Boże, odwróć ode mnie decyzję, czy mam iść w prawo, czy w lewo!

W którąkolwiek stronę poszła wtedy, we Lwowie w marcu roku 1943 — ocalała. Od lat prawie dwudziestu żyje w Paryżu, skończyła wbrew licznym przeciwnościom Szkołę Filmową i to z wysokim odznaczeniem, ale jak dotąd nie dotarła do wyższych regionów tej sfery, pod pseudonimem Françoise Martin pracuje w krótkim metrażu, kręci komercyjne filmy reklamowe, ociera się o sztukę, lecz sama jej robić nie może. Posiada

Żyd, Kobieta, Wojna,
Zagłada, Ucieczka

w ósemce, w nowoczesnej kamienicy, własne biuro, sekretarkę i asystenta, z których wyciska ostatnie poty, ma futro z lamparta, MG 1100, mieszkanie w Neuilly i wiejski dom pod Paryżem w małej kamiennej, wyludnionej wsi, czterdzieści kilometrów od Paryża, dom z siedemnastego wieku, który w stanie ostatecznej ruiny kupiła za niedużą sumę, aby później kosztem wielu tysięcy franków oraz niewyczerpanej energii przekształcić tę rozpadającą się rudę w nowoczesne wnętrze, w którym rozległa się z kominkiem i długim renesansowym stołem, wyłożona płytami kościelnymi z siedemnastego wieku, sąsiaduje z suteryną wyposażoną w najnowocześniejszą aparaturę do centralnego ogrzewania, z kuchnią urządzonej według wymagań „Expressu” i podobnie funkcjonalną łazienką na półpiętrze, prócz sieni dwa pokoje na dole ma ten dom i trzy na piętrze, poza tym ogród kamiennymi tarasami spadający w dół, tego wszystkiego, więc biura w ósmej dzielnicy, mieszkania w Neuilly i domu wiejskiego pod Paryżem, oraz wielu innych rzeczy wymaga od dawnej królowy, Frani Goldberg, jej obecna sytuacja i jako Françoise Martin musi o tę swoją miarę walczyć z uporem i z energią nie mniejszymi od zaciętości, która przed wieloma latami-wiekami kazała jej walczyć o życie. Jak na małą królową z małego miasteczka na kresach Polski i też jak na dziewczynę, która w mroczną noc marcową znalazła się na rozstajach ulic Lwowa w niedorzecznie kolorowej, wiosennej sukience i boso — osiągnęła nieprawdopodobnie wiele, choć dużo mniej, niżby pragnęła jej gwałtowna, zaborcza i namiętna natura. Jest jeszcze piękna, nosi się od kilku lat na rudo, co interesująco podkreśla nieskazitelną biel cery, jej niebieskie oczy jak gdyby lekko przyciemniały, lecz wciąż zachowują wilgotny, wspaniale lśniący poblask, w trosce o linię wypowiedziała stanowczą wojnę łakomstwu, a szczególnie upodobaniu do potraw tłustych, ciężkich i mącznych, jada prawie wyłącznie ryby i mięsa z rusztu, czasem tylko w przystępie dojmującego głodu jedzie na Marais i tam w którejś z żydowskich restauracji pożera kapiącą tłuszczem gęś, stara się też używać ruchu i gdy tylko czas jej pozwala, parkuje swego MG 1100 gdzieś na St. Germain i w towarzystwie czarnego pudelka wyrusza pieszo na obchód małych antykwariatów, dla zdrowia, ale też w poszukiwaniu starych fajansów, świeczników lub interesujących naczyń z miedzi albo cyny. A jednak, mimo tylu zachodów i wyrzeczeń — starość powoli, lecz nieustępliwie poczyna się zadamawiać w lustrach jej łazienek w Neuilly i pod Paryżem.

Gdy choruje, nikt się o nią nie zatroszczy i nie zaniepokoi, bywa niekiedy równie samotna, jak w tamtą wiadomą noc, choć jest to samotność innego gatunku, mniej na oko dramatyczna, za to ugruntowana aż po kres życia. Nie zna siebie i to tak dalece, iż naprawdę szczerze nie zdaje sobie sprawy, że siebie nie zna. Siła, która nią targa i trzęsie, a kiedyś pozwoliła przetrwać, teraz bywa jej kulą u nogi, choć ona o tym nie wie i wiedzieć nie chce. Na swój sposób jest istotą wspaniałą i wielkoduszną, o czym wie dobrze, ale też potworkiem despotyzmu, o czym wiedzieć nie chce i nie wie rzeczywiście. Chciałaby być małą, słabą kobietką noszoną przez mężczyzn na rękach, ale życie ją przyzwyczyło, że za wszystko trzeba płacić, więc też płaci wszystkie rachunki i tych, za których płaci, uważa za swoją własność. Chciałaby służyć, ulegle się poddawać, ofiary składać, natura zmusza ją do kupowania i trzeźwego obliczania strat i zysków. Przeżyła jedną wielką miłość i kilka miłości pomniejszych, wszystkie je jednak niszczyła, stając się w swoim najgłębszym poczuciu ofiarą małych i pozbawionych skrupułów egoistów, dużo by o tym pisać, widać życie nie dla miłości i dla kochania ją stworzyło.

Lecz jakkolwiek się potoczają losy Frani Goldberg, duchy przodków chyba wciąż przy niej wiernie czuwają, bo tak, jak jest teraz, a nie jest całkiem dobrze, ocalona z najstraszliwszych pogromów i morza krwi i łez, i zadamowiona w świecie, w którym nigdy nie była, nie jest i nie będzie królową, po nocy nie zawsze lekko przespanej, gdy rano udaje się do łazienki w Neuilly, czy tej drugiej w wiejskim domu pod Paryżem, czy w razie podróży związanych z interesami: do hotelowej w Londynie, w Kolonii albo w Rzymie, zawsze wśród bogatej kolekcji szczotek, kremów, ręczników, gąbek, kredek, perfum i wód, otóż gdy znajdzie się w którejś z tych łazienek i przysiądzie na sedesie, niezmiennie dzień w dzień odmawia na głos następującą dziękczynną modlitwę:

— Boże, dziękuję ci, że mi *to* dobrze funkcjonuje,
Boże, dziękuję ci, że mam co włożyć, aby miało co wyjść,
Boże, dziękuję ci, że mam dach nad głową i jest mi ciepło,
Boże, dziękuję ci, że mam telefon.

Ale nie byłaby sobą, nie byłaby królową z miasteczka na dalekich kresach, gdyby opowiadając niekiedy przyjaciółom tę historyjkę, nie dodawała: popatrzcie, wszyscy Boga o coś proszą, a tylko ja jedna dziękuję!

NARODZINY

Jak było naprawdę, tego nikt się nie dowie, obaj mężczyźni, którzy w pewną kwietniową noc w roku 1937 rozmawiali przez telefon, nie żyją, lecz według relacji dość wiarygodnej — jakkolwiek wszelką wiarygodność czasu przeszłego należy dopełnić znakami zapytań — mogło być tak:

W środku nocy, gdzieś około drugiej w nocy, w podmoskiewskiej dacy Piotra Worotowa zadzwonił telefon. Worotow od wielu miesięcy cierpiał na bezsenność. W pierwszych tygodniach, gdy nastaly noce czujnego napięcia i nadsluchiwania, próbował pracować. Potem przestał się interesować martwymi papierami i żadnej lektury na półkach bibliotecznych nie szukał. Tylko, aby stworzyć pozory pracującego pisarza, rozkładał na biurku kartki z luźnymi notatkami i na podręcznym stoliku, w skupionym poblasku wysokiej lampy z ciężkim abażurem, kładł niemiecki egzemplarz *Fausta*. Jeszcze potem dokonał w dekoracjach drobnej, lecz, jak mu się zdawało, bardzo istotnej poprawki, wśród notatek umieszczał ołówki, a egzemplarz *Fausta* kładł otwarty, autentyczność atmosfery pracy wydawała mu się szczególnie ważna, gdyby *to* miało się stać. Wiedział, że się rozbraja bezczynnością, lecz również wiedział, że bronią, jaką ma do rozporządzenia, nie potrafi walczyć skutecznie i jest nagi i nagim musi pozostać wśród samotnych godzin aż wreszcie pewnej, niewiadomej nocy *to* się dokona.

Gdy po wieczornej herbacie wracał do gabinetu, z początku, kiedy trudny czas nastał, Olga Nikolajewna mówiła: połóż się Piotr, jesteś zmęczony, i wtedy odpowiadał: trochę jeszcze popracuję, Oleńka, niedługo przyjdę, śpij spokojnie, i kiedy ona wbrew swoim latom w plecach przygarbiona i w ogóle mniejsza, aniżeli była jeszcze w roku ubiegłym, jak gdyby na skutek wewnętrznego napięcia zmalała, szła na górę (zaśnie, pocieszał się, na pewno zaśnie, jest silniejsza ode mnie) — on przechodził do pracowni na parterze i gdy stał na progu rozległego pokoju, wypełnionego po sufit spiętrzonymi książkami i z dwoma wysokimi oknami otwartymi na ogród, więc kiedy stał tam na progu, nie zapalając światła, aby bez sztucznych iluminacji natychmiast nawiązać kontakt z niewiadomą mocą, wydawało mu się nieraz, że gdyby się położył, zasnąłby natychmiast. Nie szybko rozpoznawał kruchość tego złudzenia — *ktoś musi czuwać, aby spać mógł ktoś* — wiedział, że skoro czeka na nieprzyjaciela, musi być sam i samotnie musi czuwać, ponieważ nawet we dwoje czuwać nie można, trzeba się wyrzec wszystkiego, co bliskie i drogie, więc przede wszystkim oddechu śpiącej i ciepłej bliskości jej uciszonego ciała, kto czuwa, musi być sam i taką musi mieć ciszę, aby móc w głębi nocy natychmiast i nieomylnie wychwycić odgłos wrogich poczynąń, w tym wypadku skupionych w odgłosach nadjeżdżających samochodów. Rzadko przez osiedle przejeżdżały, jednak co noc. Nigdy nie wiedział, skoro z głębi ciemności, najpierw letnich, potem jesiennych i już zimowych, a teraz wiosnę przynoszących, docierał do niego aż nadto dobrze znajomy warkot samochodu, czy ten powoli, lecz uporczywie przybliżający się dźwięk, ogromniejąc i nacierając, przy jego domu się zatrzyma i nagle stanie się cisza, sekunda ciszy, i potem obok, pod oknami roztrąca ciszę ludzkie głosy i w ciszy trzeba będzie słuchać odgłosu ciężkich kroków, aż po moment gwałtownego łomotu do drzwi wejściowych, czy też dźwięk, mącący noc, przetoczy się obok i będzie się oddalać komuś innemu przeznaczony, oddalać się, ginać i zanikać w tym samym powolnym tempie, w jakim był nadchodził.

W głębokim dziewiętnastowiecznym fotelu i w półcieniu, bo stojącą obok lampę tak ustawiał, aby jej blask zatrzymywał się na krawędzi krzesła, opatrzone w wysokie nagie okna, za którymi, zależnie od pory roku, śnieżycą się kłębiła, padał deszcz, księżyc krwawo wznosił się w odległej głębi, ciemności były zwarte lub lekko rozrzedzone, nagość kasztanów i lip zarysowywała się ciemnymi konturami, czy gęstwie zieleni wypełnia-

ło przestrzeń za oknami, więc tak trwając bez ruchu, duże i ciężkie dłonie złożywszy na udach, czujny, by nie zamknąć oczu, choć mu powieki niejednokrotnie bardzo ciążyły, tak zatem trwając i wyczekując mógł myśleć:

nie wiem, czy się śmierci boję, pewnie tak, nie byłbym ciałem, skórą, wzrokiem i słuchem, nie byłbym zdolny do myślenia i do rozkoszy, nie cierpiałbym i radości nie przeżywał, gdybym się nie bał zagłady, ale na pewno wiem, tak, to wiem, że się śmiertelnie boję, co moją ostateczną zagładę poprzedzi, boję się samego siebie, ponieważ nie wiem, jak tym niewiadomym chwilom podołam, boję cię, że mogę dopuścić do ponizenia samego siebie wtedy, gdy mi już nic nie pozostanie prócz świadomości ostatecznej zagłady, boję się samego siebie, boję się próby, kim jestem naprawdę, boję się niewiadomego, które moją zagładę poprzedzi, Boże! wiem, że jestem dumny i pyszny, lecz również wiem, że nie tylko z dumy i z pychy chciałbym do końca pozostać sobą, a może kłamię i samego siebie chcę oszukać?, może właśnie z dumy i pychy chcę do końca pozostać sobą?, jakkolwiek jest, daj mi Panie, żebym się nie stał szmatą, od zeznaczenia ocal mnie, Boże, od wstydu tchórzostwa ochroń, pozwól, żebym mógł umrzeć nie gardząc sobą i siebie się nie wstydząc, spraw, Boże miłosierny i wielkiego serca i litości, żebym mógł umrzeć świadomie i na własną miarę, której nie znam i znać nie mogę, dopuść Boże, żeby moja miara ostatecznie nie była nikczemna...

Na spoczynek udawał się nad ranem. Lecz szedł nie na górę do sypialni (sam się przed sobą usprawiedliwiając, że nie chce zbudzić Olgi), tu, w gabinecie, na staroświeckiej kanapie ze sprężyną kłującą jak żądło, u stóp spiętrzonych pod sufit książek, ścielił sobie legowisko, nigdy jednak wcześniej póki się nie upewnił, że świta i na dworze staje się jasno, wiedział z rozlicznych relacji, że światło dzienne nie sprzyja *tym* sprawom, działającym zazwyczaj pod osłoną ciemności. Więc skoro ciemność powoli, prawie niedostrzeżenie ustępowała przed światłem, zaliczał sobie jeszcze jeden dzień ocalony, nagie wysokie okna osłaniał ciężkimi, bo z pluszu, ciemnozielonymi portierami, gasił lampę na podęcznym stoliku, na którym leżał otwarty egzemplarz *Fausta*, rozbierał się w półmroku, dbając przecie, aby części garderoby zostały złożone w porządku, i potem nago, ponieważ wbrew zwyczajom swego kraju zawsze sypiał nago, kładł się w chłodną i cokolwiek wilgotną pościel, wiedział, że gdzieś koło ósmej, najdalej dziewiątej zbudzi się z krótkiego i ciężkiego snu, lecz gotowy do sumiennego wypełniania wszystkich dziennych obowiązków, i też wiedział i z tą krzepiącą świadomością usypiał, że ani on, ani ona, zachowując pełną swobodę i naturalność, nigdy za dnia nie uczynią żadnej aluzji do minionych, a także przyszłych godzin nocnych, wiedział, że każde z nich zachowa to szczególnie wtajemniczenie wyłącznie dla siebie, ponieważ jest świat, jest życie, są obowiązki, jest praca, nawet zamiary, projekty i nadzieje, niech się zatem kończy noc, skoro kresu dobiegła i należą jej ofiarę wyczerpała.

Tak więc dni Piotra Worotowa były w ten trudny czas normalne. Po mocnej rannej herbacie i zimnym natrysku zabierał się jak zawsze do pracy i pracował równie intensywnie, jak w latach poprzednich. Tak samo nawiedzały go krótkie chwile zachwyty i wzruszenia, i tak samo oplątywały godziny zwątpienia i nieświadomości. Telefonowali i przyjeżdżali w odwiedziny przyjaciele z Moskwy, w rozmowach unikano spraw, które wszystkich truły i zżerały, mówiło się o sztuce, literaturze i malarstwie, sięgano do wspomnień związanych z dawnymi podróżami na Zachód, dzielono się drobnymi plotkami. On też do Moskwy niekiedy jeździł, poczta funkcjonowała normalnie, o jedenastej przynosił ją w wielkiej torbie młody listonosz, Aliosza, zawsze w uśmiechu pokazujący białe zęby, ciemny i smagły, ale niebieskooki, z wilgotną kropelką miodu w tych niebieskich oczach, przynosił więc miły Aliosza listy od wielbicieli i wielbicielek geniuszu znakomitego poety, zaproszenia na autorskie wieczory, korespondencję wydawniczą. Zauważył przecie, że im głębiej w tajemniczej sferze zagospodarowywał się trudny czas, tym mniej zaproszeń nadsyłało, sprawy wydawnicze kurczyły się wstydliwie, listów prywatnych też ubywało, a chyba i uśmiech skąpiej odsłaniał białe zęby Alioszy, gdy otwierając torbę mówił młody chłopak: dzień dobry Piotrze Antonowiczu.

Aż wreszcie trudny czas sprawił, iż telefon Worotowa zamilkł, nikt z Moskwy nie przyjeżdżał, Aliosza przestał się zatrzymywać przed daczą Piotra Antonowicza.

Do popołudnia Worotow potrafił o tym wszystkim nie myśleć, lecz skoro wieczór się zbliżał, wszystko tak proste i zrozumiałe za dnia, poczynąło ciążyć ku wiadomym dołom

Kondycja ludzka, Śmierć,
Strach

Noc, Niebezpieczeństwo

mroku. Noce wylaniały się wcześniej niż im to kalendarz zalecał. Jeszcze nie nad słuchiwał i pracy nie porzucał, lecz już wiedział, że tylko cząstką siebie przynależy do dnia. Przygotowywał się do nocnych godzin równie pilnie i uczciwie, jak będąc chłopcem przygotowywał się był do komunii. Mógł myśleć: wy mną pogardzacie i chcecie mnie zniszczyć, ja się was boję i nienawidzę was, ale nasze złe myśli i uczucia zamiast nas rozłączyć, kojarzą nas w parę prawie miłosną. Daj mi, Boże, słuszne i godziwe rozeznanie. Nie jestem pustą dziuplą próchniejącą w umierającym drzewie, mam wszystko, nawet ponad miarę, wiem, moje drzewo też żyje i ja jestem w jego zimowym śnie, w jego powoli nawarstwiających się słojach, jestem w jego potężnym pniu i w korzeniach, i w pokracznych konarach, w gęstych sokach budzących się wiosną i w kleistej zieleni pierwszych liści, i w szumie letniego gęstowia, jesteście: ja i moje drzewo... *Proszczaj niemytą Rosję, Strana rabów — strana gospod*⁴¹... jestem i chcę być, więc dopomóż mi, miłosierny i litościwy Boże, żebym siebie mądrze chronił, ponieważ chcę być...

Tak więc wśród podobnych poczynań i wiar, rozdzielonych sprawiedliwie na dienne i nocne, minęło lato Piotra Worotowa, jesień, także sroga zima, aż wreszcie nastał kwiecień, który na rosyjskiej ziemi pierwsze poruszenie wiosny budzi, lecz dzięki nieodmiennie nieosłoniętym i lekko niedomkniętym nagim oknom trochę z tych pierwszych podmuchów wiosny wnikało do pokoju, zapach wilgotnej ziemi, krzepiąca wilgoć powietrza, cisza, może tylko kruche szelesty kasztanów i lip pod wilgotnym oparem nocy, ale cisza.

Według zwyczaju Worotow siedział w głębokim, staroświeckim fotelu, z rękoma złożonymi na udach, czujnie wpatrzony w nagie okna, w półmroku, bo światło stojącej obok lampy, zgodnie z przejętym rytuałem, tak było nakierowane, aby się zatrzymywało na poręczy fotela, a tuż obok, na podręcznym stoliku leżał otwarty egzemplarz *Fausta* — wtedy, około drugiej w nocy, zadzwonił telefon. Aparat stał na biurku, więc trzeba było wstać. Uczynił to bez pośpiechu, trochę zdziwiony, a nawet rozbawiony, że od tej strony niewinnej, nieomal płoczej noc go przyzywa. Tak musiał to określić w myśli: przyzywa, nie atakuje. Zawsze miał słuch bardzo dobry, a ostatnio szczególnie wyostrzony, więc podchodząc do telefonu miał absolutną pewność, że na razie cały rozległy obszar nocy jest pusty i wyciszony. Był, chyba, w tej chwili jak najdalszy myślami od nieprzyjaciela. Podniósł słuchawkę i spokojnie, jak zwykł to być czynić za dnia, powiedział:

— Tak, słucham.

Odpowiedział, prawie obok, niski, męski głos:

— Towarzysz Worotow?

— Tak, słucham — powtórzył.

— To ja.

Więc jednak! Spełniło się, *consumatum est!* Zatem nie za pośrednictwem najemnych zbirów, podrzędnych siepaczy i pacholków od brudnej roboty, lecz osobiście z tajemnych pieczar na Kremlu przemówił nieprzyjaciel. Gość w dom, Bóg w dom, zwłaszcza, jeśli prawdziwe bóstwo nawiedziło chatę. Pod jak licznymi i zmiennymi postaciami bogowie śmiertelnym się objawiali! Mówili z głębi ognistego krzaka, zstępowali z nieba w kształtach byka, łabędzia i chmury, wylinali się z oceanów, z piekielnych czeluści, z dzikich górskich szczytów, z ołtarzy i świątyń, byli ziemią, powietrzem, ogniem i wodą, mieli tysiące masek i kostiumów, nigdy się jednak, chyba, nie przydarzyło, aby bóstwo, prawdziwe i wiarygodne, przemówiło przez telefon. Poczul się uświęcony, lecz również wystrychnięty na dudka. Na Boga! Po cóż wyczekiwał, nie spał i tyle nocy się dręczył, jeśli *to* objawiło się tak prosto?

Zatem spytał:

— Czym wam mogę służyć, towarzyszu Stalin?

— Nie obudziłem was?

— Nie, towarzyszu Stalin, późno zwykle się kładę.

— Tak, jak ja. Słusznie! Noc jest przyjacielem człowieka. Jednym daje sen po pracy, drugim właśnie pracę najlepszą. Pracujecie?

— Czytam, robię notatki.

Bóg, Wróg, Noc,
Spotkanie, Słowo

Przyjaźń, Władza, Strach,
Artysta, Państwo, Sztuka

⁴¹*Proszczaj niemytą Rosję, Strana rabów, strana gospod* (z ros.) — Żegnaj, niedomyta Rosjo, kraju niewolników, kraju panów (fragm. wiersza Michaiła Lermontowa). [przypis edytorski]

— To dobrze, bardzo dobrze. Przyjaciele o was pamiętają?
 — Tak, bywają goście.
 — A wasze zdrowie, towarzyszu Worotow?
 — Dziękuję, nic mi na razie nie dokucza.
 — Kłopotów nie macie, zmartwień?
 — Jak każdy człowiek, towarzyszu Stalin.
 — Wy nie jesteście każdy. Wy jesteście Piotr Worotow, człowiek na świeczniku, więc i wasze zmartwienia są na świeczniku. Słyszycie mnie?
 — Tak, towarzyszu Stalin.
 Mógł, lecz nie musiał pomyśleć: do czego on zmierza, czego chce?
 — Olga Nikolajewna zdrowa?
 — Dziękuję, tak.
 — Też nie śpi i czuwa?
 — O nie, śpi na pewno, ona ma dobry, zdrowy sen, nigdy nie zarywa nocy.
 — Słusznie robi, bardzo słusznie, od czuwania wy jesteście, starczy. A tam u was wsi więcej już pewnie czuć wiosnę niż u mnie, pomiędzy murami? Kwiecień, piękny miesiąc na rosyjskiej ziemi.

*Ja poniał żyzni cel i cztu
 Tu cel, kak cel, i eta cel —
 Priznat, czto mnie niewmogotu
 Miritsja z tiem, czto jest apriel⁴².*

Nie od razu w tych twardo akcentowanych słowach rozpoznał własne sprzed lat dwudziestu, lecz gdy to sobie uświadomił, uświadomił sobie i to również, że za chwilę, jak po błyskawicy pada piorun — musi z tamtego odległego i ciemnego brzegu, z kremlowskich pieczar, wyniknąć cios decydujący, uderzenie, cios, chyba zagłada.

Więc powiedział, czując, że mu gardło wysycha i sztywnieje:

— Macie znakomitą pamięć, towarzyszu Stalin.

Na to niski i spokojny głos:

— No tak, zatem zdrowie wasze, towarzyszu Worotow, dobrze, pracujecie, szczególnych trosk nie macie, cieszę się, szczerze się cieszę. A wiecie, że pisarz Żylin został aresztowany?

Prawie na pewno musiał pomyśleć: teraz się rozstrzygnie. I chociaż miał gardło wyschnięte i zeszywniałe, powiedział możliwie wyraźnie:

— Tak, słyszałem.

— To był wasz bliski przyjaciel?

Powiedział:

— Raczej kolega, znajomy, towarzyszu Stalin.

— Ale poeta był wielki? Wielki artysta?

Wielki? Chcąc pomniejszyć znaczenie najbliższego przyjaciela powiedział:

— Zdarzały mu się niekiedy udane utwory.

— Udane, powiadacie. Więc Żylin nie był, jak zrozumiałem, ani waszym przyjacielem, ani wybitnym poetą?

— Przyjacielem nie, a wybitnym poetą? Czy ja wiem? Zdarzały mu się wiersze interesujące, niezłe.

— A ja myślałem, że artystycznie wybitne. Cóż, wy się lepiej na poezji znacie aniżeli ja. Ja mogę tylko powiedzieć, że z punktu widzenia oceny ideowej wiersze Żyлина były błędne, obce narodowi radzieckiemu, szkodliwe, antypartyjne, oszczercze.

Musiał się zdobyć na duży wysiłek, żeby powiedzieć:

— Towarzyszu Stalin, o ile wiem, Aleksy Fiodorowicz nie zajmował się polityką?

⁴²*Ja poniał żyzni cel i cztu (...)* Miritsja z tiem, czto jest apriel (ros., Я понял жизни цель и чту ту цель, как цель, и эта цель: признать, что мне не вмоготу мириться с тем, что есть апрель: первая строфа вiersza Borysa Pasternaka Я понял жизни цель и чту...) — Zrozumiałem cel życia i cieszę go jako cel, a jest nim przyznać, że nie do zniesienia dla mnie jest pogodzić się z istnieniem kwietnia. [przypis edytorski]

— Sądźcie zatem, że nasze organa bezpieczeństwa nie miały podstaw, żeby aresztować waszego przyjaciela?

Wtedy Worotow ciężką dłonią ścierając pot z czoła, chyba cokolwiek piskliwym głosem krzyknął w słuchawkę, w noc, w odległy ciemny brzeg:

— To nie był mój przyjaciel, towarzyszu Stalin!

Na to Stalin:

— No tak, rozumiem. Źle mnie poinformowano. Ja myślałem, że Żylin jest waszym bardzo bliskim przyjacielem i w sensie artystycznym wybitnym poetą. A oto się okazuje, że ani wasz przyjaciel, ani wybitny poeta. Po prostu kontrrewolucjonista. No cóż? Nie będę wam więcej zabierać czasu. Czytajcie, Piotrze Antonowiczu, róbcie notatki i spokojnie śpijcie. Dobranoc, Piotrze Antonowiczu.

Prawdopodobnie chwilę stał ze słuchawką w ręku, a potem ją odłożył i wrócił na fotel, ciężkie dłonie złożył na udach i patrzył na wysokie, nagie okna, za którymi cisza była i spokój, być może myślał: teraz wiem o sobie wszystko, ponieważ, ponieważ...

I wówczas prawie na pewno Olga Nikołajewna zeszła na dół. Odwrócony do drzwi plecami i osłonięty wysokim oparciem fotela mógł nie słyszeć jej wejścia.

— Pietia! — powiedziała cicho.

Chwilę milczał i nie poruszał się, ścieżki prowadzące od bezpośredniego kontaktu z bóstwem do ukochanej kobiety nie są proste. Więc nie zmieniawszy pozycji, dopiero po chwili powiedział głosem możliwie codziennym:

— To ty, Oleńka? Czemu nie śpisz?

— Kto dzwonił?

— Słyszałaś?

Podeszła bliżej, lecz nie na tyle blisko, aby wejść w krąg światła pozwalający dojrzeć twarz męża.

— Piotr — powiedziała — złe wiadomości?

Roześmiał się szczerze, prawie śmiechem z młodzieńczych lat.

— Ależ nie, Oleńka! Przeciwnie, wiadomości można uznać za dobre.

— Pietia, Pietia! Co dla nas dobrego może się stać?

— Nie przesadzaj, miła moja — odpowiedział, patrząc na swoje duże i ciężkie dłonie.

— Wyobraź sobie, zadzwonił Siergiej Fiodorowicz.

— Siergiej Fiodorowicz?

— Nie pamiętasz? W trzydziestym roku pracował u nas w ogrodzie parę miesięcy. Zapomniałaś? Mały, chudy, miał zabawny długi nos i uszy jak u nietoperza. Miły był, chyba nas polubił. Zadzwonił, żeby oznajmić, że jego Żuczka urodziła szczenięta.

— O drugiej w nocy?

Znów się roześmiał.

— Chłopak ma fantazję. Nawet nie był pijany, trochę sobie może tylko podpił. Żuczka oszczeniła się według jego relacji o dziesiątej, coś niecoś pewnie pod tę okazję wypił, przypomniał nas sobie i zadzwonił, żeby się podzielić dobrą nowiną.

— Pietia, nigdy nie kłamałeś!

— O Boże! Dlaczego myślisz, że mówię nieprawdę? Po cóż bym miał kłamać? Zastanów się, pomyśl. Polubił nas, przypomniał sobie i zadzwonił, że się jego Żuczka oszczeniła. Dobrze zresztą zrobił, bardzo mnie ucieszył. Każde narodziny mają coś pokrzepiającego.

I podniósł się z fotela, wiedział bowiem, że ma twarz w porządku i bezpiecznie może spojrzeć żonie w oczy.

— Chodźmy spać, Oleńka — powiedział czule. — Bardzo chce mi się spać. Czuję, że będę spać.

DUŻO PIASKU I MAŁO

Zimą z sześćdziesiątego szóstego na sześćdziesiąty siódmy, a także wiosną, mieszkałem w Paryżu, w studio na stromym piątym piętrze starej kamieniczki przy ulicy Guisard, więc często i o różnych porach wstępowałem do pobliskiego bistra przy placu St. Sulpice, na rogu des Canettes, uliczki tak za dnia spokojnej i na oko skromnej, iż nikt niespoufany z tą dzielnicą nie mógłby przypuścić, że późnymi wieczorami, gdy plac z ciężką fasadą kościoła i z rozlicznymi sklepami z dewocjonaliami w sen zapada, ją z drzemki budzą dwuznaczne atrakcje i pokusy nocnego życia.

Moje bistro wiodło żywot dzienny, z machinacjami ulicy des Canettes nie miało, chyba, nic wspólnego, poza godzinami południowymi oraz wczesnowieczornymi było nietłoczne i zaciszne, sprzyjało samotnym rozmyśleniom i spotkaniom intymnym, dzięki oszkleniu od frontu było, prócz salki w głębi, całe otwarte na rozległy plac z fontanną i z platanami, i z wysoką i ciemną ścianą kościoła, lubiłem stać przy barze, popijać kawę, piwo, *vin rouge*⁴³ albo koniak i patrzeć na ten pejzaż, szczególnie piękny, gdy spomiędzy stalowych chmur, lecących ponad placem na wietrze przedwiosennym, wyłaniało się nagle słońce i drzewa i kamienie natychmiast bardzo ostro się rysowały w zimnym po-blasku, a przy kontuarze było ciepło i zacisznie, posykiwał w kłębach pary ekspres, obok w grającej szafie Adamo śpiewał *Tombe la neige*.

Zamykano bistro w soboty i nie powiem bardzo, ale trochę nieswojo się czułem, kiedy było w soboty zamknięte, czegoś mi w pewnych porach dnia brakowało, obce miasta, nawet nieźle poznane i przyswojone, żyją dla mnie naprawdę realnie tylko w kilku uporczywie wydeptanych ulicach i w kilku stale odwiedzanych lokalach, już się nie uganiam za ilością wrażeń, przygód szukam w dobrowolnym ograniczeniu i powtarzaniu.

Ostatni raz na St. Sulpice byłem z początkiem kwietnia, w przeddzień wyjazdu, wstałem rano na jednego martela i wtedy, przy następnym, od patrona, tęgiego mężczyzny w staroświeckim cwikierze, dowiedziałem się o śmierci Kolendy, umarł dokładnie 1 kwietnia na serce, na które często się uskarżał, choć dolegliwości, które mu przysparzały tylu kłopotów i zmartwień, nie tłumaczył był chorobą, lecz przyczynami mglistymi, wyższej niejako natury, sięgającymi w odległą i wciąż niezasklepioną przeszłość. Podobno umarł nagle, przy pracy.

Poznałem Kolendę na pewno przy barze i chyba któregoś popołudnia jeszcze przed Sylwestrem, ale w jakich dokładnie okolicznościach — nie pamiętam, bo ani w spotkaniu w Paryżu rodaka nie było nic szczególnego, ani on sam niczym specjalnym się nie wyróżniał, szary był, płaski i niepozorny, a twarz też miał nijaką, od dnia poznania przynajmniej raz w tygodniu spotykaliśmy się w bistro, on popołudniu zawsze pijał cassis, a wieczorami drobnymi łyżkami miętę, wychodziliśmy niekiedy razem i ja go wtedy podprowadzałem na ulicę Mabillon, gdzie jako metrampaż⁴⁴ pracował w niedużej drukarni, ryczałem licząc sporo słów się między nami uzbierało, a jednak twarzy Kolendy nie pamiętam, sylwetkę jeszcze jako tako, ale twarz całkiem mi w pamięci zanikła, nawet nie pamiętam, czy był brunetem czy blondynem, łysym na pewno nie, chyba siwującym szatynem, chyba zawsze miał beret na głowie, jedno jego oczy zapamiętałem, bo miał podczerwienione i łzawiące, oprócz dotkliwych bóli i skurczy serca uskarżał się na chroniczne zapalenie spojówek, dlatego jego oczy zapamiętałem: małe, wyblakłe i wiecznie załzawione, z zaczerwienionymi powiekami, chyba też i mordkę miał króliczą, ale nie jestem pewien, naprawdę nie pamiętam.

Nie był mi Kolenda specjalnie sympatyczny, lecz i niechętnych uczuć nie budził, wiele wówczas czasu spędzałem samotnie, ludzi nie szukałem, za mną ludzie też nie gonili, spotkanie Kolendy w bistro było okazją do wymiany kilkunastu nieobowiązujących zdań, bo też zupełnie nieobowiązujące były nasze rozmowy, później się dopiero zorientowałem, że Kolenda z pewnością świadomie, choć okrężnie i po omacku zmierzał w naszych luźnych kontaktach do określonego celu, niepotrzebnie zresztą mówię: z pewnością, bo nie jest wykluczone, że wcale tak nie było, w każdym razie nie zaraz uchwyciłem, że o czymkolwiek mówił, poruszał się jakby w dwóch czasach równocześnie: w teraźniejszym i przeszłym, może dlatego sprawiał wrażenie człowieka bardzo siebie niepewnego, trochę jakby po przymarzniętej ziemi stąpał i ta ziemia za każdym jego krokiem wyslizgiwała mu się spod nóg, ale, jak powiadam, z początku i to z początku dość długiego nie uchwyciłem tego chwiejnego rozkojarzenia, więc też zachowywałem się wobec Kolendy jak człowiek, który dopiero po otrzymaniu kluczy dostrzega istnienie drzwi, zjawisko dosyć częste w stosunkach między ludźmi.

Już za pierwszym spotkaniem mogłem się zorientować...

⁴³*vin rouge* (fr.) — czerwone wino. [przypis edytorski]

⁴⁴*metrampaż* — pracownik drukarni (zecer) zajmujący się składem stron publikacji. [przypis edytorski]

Telefon Ksawerego Panka. W pewnym momencie Nagórski chce powiedzieć Ksaweremu o telefonie Alicji Singer, rezygnuje jednak i wtedy właśnie (trochę bez sensu) mówi o spotkaniu na St. Germain.

Po telefonie, w zeszycie z bieżącymi notatkami zapisuje zasłyszany przed paroma dniami wierszyk, swoiście przerobiony ze znanego porzekadła:

wlaził na gruszkę
trząsł pietruszkę,
cebula urodziła,
on się śmiał,
przyszedł właściciel tego banana
i mówi „złaż pan z tego kasztana!”
a ta wierzba jest moja.

Po czym wyłącza elektryczny piecyk i wraca do przerwanej lektury:

Już za pierwszym spotkaniem mogłem się zorientować, że Kolenda nie jest emigrantem z wyboru politycznego, polityka zupełnie go nie interesowała, zresztą wiele innych rzeczy również, chyba bardzo rzadko chodził do kina i do teatru, nigdy mi przynajmniej o czymś podobnym nie wspominał, do książek też, nie sądzę, żeby zaglądał, kilka razy widziałem w kieszeni jego płaszcza „Paris Soir”, z Paryża znał tylko dzielnicę, w której pracował oraz tę drugą, gdzie mieszkał, reszta miasta była dla niego jak z odległej i obcej planety. Był rodowitym warszawiakiem, urodził się, wychował i mieszkał na Marymoncie aż do jesieni roku 1942, kiedy wprost z ulicznej łapanki dostał się do Oświęcimia, potem pod koniec wojny był w Buchenwaldzie i na ostatek krótko w Dachau. Po wyzwoleniu przez Amerykanów myślał o powrocie do kraju, ale kiedy się dowiedział, że wszyscy jego bliscy: rodzice, rodzeństwo, również młodzianka żona zginęli w Powstaniu, począł powrót odkładać, miał fach łatwy do sprzedania, więc najpierw pracował w Monachium, potem się przeniósł do Francji, do Paryża, zarabiał nieźle, ożenił się z Francuską, kelnerką z *self-service*u przy bulwarze St. Michel, dorobił się z nią dwojga dzieci oraz skromnego mieszkania w okolicy Bastylli, co wszystko razem było wcale nie mało, zważywszy, że zaczął po wojnie od zera, nie sprawiał przy tym wrażenia, jak wspominałem, człowieka obciążonego nazbyt wieloma przeżyciami i problemami, świat, który sobie stworzył i w którym się obracał: dom, drukarnia, bistro i chyba niewiele więcej, nie dostarczał mu szczególnie zawyłych konfliktów, miał prawo, takie odniosłem wrażenie, uważać się za człowieka, któremu na tyle się powiodło, aby być z życia zadowolonym.

Właśnie coś w tym sensie powiedziałem jednego razu, to było za drugim, może trzecim spotkaniem, gdy już zdążył mi opowiedzieć o sobie, co najważniejsze. Wtedy powiedział:

— Zadowolony? *Satisfait. Ah, oui, oui, je comprends*⁴⁵. Zadowolony. Czy ja wiem? Zastanawiam się nieraz. Dawniej się nie zastanawiałem.

— Dawniej?

— *Avant la guerre*⁴⁶.

— Ileż pan miał, kiedy wojna wybuchła?

— *Dix neuf ans*⁴⁷. Dziewiętnaście.

— Niewiele.

— Faktycznie niewiele. Ale nie dlatego się nie zastanawiałem, czy jestem zadowolony z życia.

— Pewnie pan był?

— Serce miałem zdrowe.

Pierwszy raz wspomniał o sercu, więc spytałem, co mu dolega.

— Nacisnienie mam — odpowiedział.

— Duże?

— Sypiać nie mogę, ale to nie z nacisnienia.

— Był pan u lekarza?

⁴⁵*Satisfait. Ah, oui, oui, je comprends* (fr.) — Zadowolony. A, tak, rozumiem. [przypis edytorski]

⁴⁶*avant la guerre* (fr.) — przed wojną. [przypis edytorski]

⁴⁷*dix neuf ans* (fr.) — dziewiętnaście lat. [przypis edytorski]

— Na moje serce nie ma lekarstwa.

Pomyślałem, że typowy hipochondryk, a on dopił swoje cassis, to była godzina popołudniowa, i spojrział na zegarek.

— *Il faut travailler*⁴⁸ — powiedział. — Pan jeszcze długo w Paryżu?

— Trochę — odpowiedziałem, bo nie wiedziałem dokładnie, ile zostaną.

Tak się złożyło, że z początkiem Nowego Roku wyjechałem na parę tygodni na wieś, do przyjaciół aż pod Arles, wróciłem w drugiej dopiero połowie stycznia i bodaj tego samego dnia odnalazłem Kolendę w bistro, kończył cassis, gdy wszedłem, ale odmówił, kiedy mu dla towarzystwa zaproponowałem następne.

— *Je ne peux pas boire*⁴⁹ — powiedział — Moja żona pije do obiadu wino, *mais moi non*⁵⁰, jedno cassis, to moja norma, i to nie co dzień.

— Z powodu nadciśnienia?

— Dawniej mogłem pić, miałem mocną głowę, ale teraz nie. A w Polsce zawsze dużo piją?

— Raczej tak.

— Mój ojciec, pamiętam, kiedy pił, to szklanką po musztardzie.

— Musztardówką.

— Właśnie, musztardówką. A ja, jak byłem młody, mogłem wypić litr czystej i więcej, za okupacji biber, ale pijakiem nie byłem, sam nie piłem nigdy, z kolegami chętnie. *Mais apres la guerre c'est fini*⁵¹! Po wojnie już nie mogłem. A pana dawno nie było, myślałem, że pan wyjechał.

Wyjaśniłem, gdzie byłem. Zamyślił się i zamrugał podczerwienionymi powiekami.

— Wieś. Ja już nawet nie pamiętam, jak prawdziwa wieś wygląda.

— A urlopy gdzie pan spędza?

— Ja nie biorę urlopów.

— Jak to? — nie bardzo zrozumiałem.

— Dawniej brałem, jeszcze po wojnie brałem, ale teraz od wielu lat nie biorę. *Moi, je dois travailler*⁵², bo jak nie pracuję, zaraz czuję się gorzej z sercem. Żona z dziećmi zawsze w lecie wyjeżdża, w zeszłym roku byli w Bretanii, teraz się wybierają do Hiszpanii, mamy Deux Chevaux, żona prowadzi, *pas mal, moi non*⁵³, refleks mam słaby, skupić się nie potrafię.

— Pewnie jest pan przemęczony?

— Dlaczego przemęczony?

— Pracą, brakiem odpoczynku.

— *Ah, non, non*⁵⁴! Ja się najwięcej męczę, kiedy nic nie robię.

— A co pański lekarz na to?

— *Le docteur*⁵⁵ Cortot? O, on by mnie najchętniej widział w charakterze dożywotniego rentiera. Kiedy byłem u niego ostatnio przed paru miesiącami, wprost mi powiedział: pan *monsieur*⁵⁶ Kolenda, gdyby był pan rożadnym człowiekiem, sprzedałby pan czym prędzej mieszkanie i kupił gdzieś w ładnie położonym miasteczku niewielką kafejkę, żonie kazał interes prowadzić, a sam ryby łowił, na małe spacerki chodził, z sąsiadami gawędził, a wieczorami telewizję pooglądał albo ze dwa, trzy robry rozegrał.

— Może ma rację?

— Germaine też tak mówi.

— No, widzi pan!

Na to odpowiedział:

— *Non, non, cher monsieur*⁵⁷, to nie byłoby dla mnie życie, ja muszę pracować. Jakie serce mam, to mam, dobre nie jest, bo jakie ma być? Ale jeszcze chodzi, a gdybym rzucił

⁴⁸*il faut travailler* (fr.) — tu: trzeba jechać. [przypis edytorski]

⁴⁹*je ne peux pas boire* (fr.) — nie piję. [przypis edytorski]

⁵⁰*mais moi non* (fr.) — ale ja nie. [przypis edytorski]

⁵¹*mais apres la guerre c'est fini* (fr.) — ale po wojnie to się skończyło. [przypis edytorski]

⁵²*moi, je dois travailler* (fr.) — ja muszę pracować. [przypis edytorski]

⁵³*pas mal, moi non* (fr.) — zupełnie nieźle, ja nie. [przypis edytorski]

⁵⁴*ah, non, non* (fr.) — ach, nie, nie. [przypis edytorski]

⁵⁵*le docteur* (fr.) — lekarz; doktor. [przypis edytorski]

⁵⁶*monsieur* (fr.) — tu: panie. [przypis edytorski]

⁵⁷*non, non, cher monsieur* (fr.) — nie, nie, drogi panie. [przypis edytorski]

pracę i nic nie robił, tylko ryby łowił i spacerował, to pewnego dnia serce by mnie zadusiło, *non, non, cher monsieur, ce n'est pas la vie pour moi*⁵⁸.

Poza ostatnią jest to bodaj jedyna rozmowa z Kolendą, którą prawie dosłownie zapamiętałem, inne, następne, a było ich ciągu zimy i przedwiośnia sporo, rozmazały mi się w pamięci, jak zaciek na suficie, tyle pamiętam, że stale w nich powracało serce niedomagające na skutek jakichś tajemniczych zagrożeń, wynikających nie tylko z chronicznej choroby, również chwiejne rozkojarzenie wśród dwóch czasów, także uskarżanie się na dolegliwości oczu, drobne sprawy domowe też się pojawiły; najwięcej chyba mówiliśmy o pogodzie i paryskim klimacie. Myślę, że gdyby nie ostatnia z Kolendą rozmowa, choć nie przypuszczałem wówczas, że będzie ostatnią, cały w ogóle Kolenda rozplynąłby mi się po niedługim czasie w zapomnieniu, w pejzażu innym niż plac St. Sulpice nie byłoby dla niego miejsca, ostatecznie większość przelotnych i przypadkowych kontaktów z ludźmi dzieli los prześwietlonych klisz.

Był wieczór, pamiętam: ciepły i wilgotny, z drobną mgiełką, już pełen podmuchów wiosny, miałem się spotkać z kilkoma znajomymi na St. Germain, ale nie poszedłem, bo nie chciałem dużo pić, a w tym okresie trudno mi było z ludźmi współżyć bez większego alkoholu, chciałem wcześniej wrócić do domu i poczytać monografię Pintera o Prouście, więc z małej restauracyjki u początku ulicy Grenelle, gdzie często jadałem i skąd z zamkniętymi oczami mogłem trafić na plac St. Sulpice, bo to była jedna z owych wydeptanych przeze mnie ścieżek ogromnego labiryntu, przeszedłem w drobnej mżawce kilkaset kroków zupełnie machinalnie, prawie z uczuciem ulgi, że po krótkim, także rytualnym postoju w bistro i wypiciu dwóch, najwyżej trzech koniaków wrócę do siebie, na strome piąte piętro. Nie myślałem o Kolendzie, nie byłem usposobiony do rozmów nawet nieobowiązujących, więc gdybym go jeszcze z ulicy zdążył wypatrzeć przy barze, pewnie poszedłbym dalej albo zawrócił, aby w najbliższym bistro spełnić samotnie swoje wieczorne koniaki, lecz gdy wszedłem, już było za późno, żeby się wycofać, przywitaliśmy się w milczeniu, beret na pewno miał na głowie, u patrona zamówiłem podwójnego martela, Adamo śpiewał w grającej szafie, dopiero kiedy rozpiąłem płaszcz pokryty kruchą wilgocią, spostrzegłem, że przed Kolendą stoi nie wieczorna mięta, lecz duże cassis.

— O! — powiedziałem, żeby coś powiedzieć — odstąpił pan od swoich przyzwyczajzeń.

On wtedy podniósł do ust pękaty kieliszek, wypił cassis drobnymi łyżkami, kieliszek odstawił i mrugając bardziej niż zwykle zaczerwienionymi powiekami powiedział:

— Ja się w ogóle nie mogę przyzwyczać.

— Do Paryża? — spytałem bezmyślnie.

— W ogóle. Chcę się przyzwyczać i nie mogę. Dwadzieścia dwa lata z tym chodzę i przyzwyczać się nie mogę. Jak pan myśli, nie mam już szans, żeby się przyzwyczać?

Było to dość nieoczekiwane, lecz jak najbardziej prawdziwe: Kolenda był podchmielony, nie pijany, lecz na silnym rauschu na pewno. A oto, co mi w tym stanie rozluźnionej samokontroli powiedział:

— Niech pan powie, za co mnie to spotkało? Czemu Pan Bóg mnie tak pokarał? Nie urodziłem się przecież na męczennika, zwykłym jestem człowiekiem, więc dlaczego tak się ze mną stało? Przysięgam, tysiące ludzi gorsze rzeczy ma na sumieniu niż ja i się przyzwyczailli, normalnie żyją, serce im nie dokucza, sen mają dobry, a ja się przyzwyczać nie mogę, dlaczego, proszę pana, za co? Ja panu wtedy, kiedy się poznaliśmy, nie powiedziałem prawdy, że w czterdziestym piątym chciałem wrócić do kraju, a nie wróciłem, bo się dowiedziałem, że wszyscy moi bliscy nie żyją. Prawda jest taka, że ja bym mimo to wrócił, bo ojczyzna, nawet kiedy w niej nie ma bliskich, zawsze jest ojczyzną. Ja nie wróciłem, słowo panu daję, teraz Kolenda najszczerzą prawdę mówi, bo się bałem, że w kraju będę miał większe wyrzuty sumienia, a jak osiądę między obcymi, to się wszystko powoli zasklepi, wygładzi i ja się przyzwyczaję. I widzi pan, ojczyznę straciłem, cudzoziemską mam żonę, dzieci już francuskie, i wszystko na nic, bo ja się przyzwyczać nie mogę, wciąż tylko myślę i myślę o jednym, chodzi to za mną jak złe oko, posłuchaj pan, to mnie dopadło pod sam koniec, kiedy mnie z Buchenwaldu przewieźli do Dachau, trzy lata łagrów już w sobie miałem, ładowaliśmy piasek na lory, była wielka kupa piasku

Śmierć, Morderstwo,
Wina, Wyrzuty sumienia,
Więzienie, Przemoc,
Więzień, Piętno

⁵⁸*non, non, cher monsieur, ce n'est pas la vie pour moi* (fr.) — nie, nie, drogi panie, to nie jest życie dla mnie. [przypis edytorski]

do ładowania, ja stałem ze słońcem, ale wszystkie siły ze mnie uciekły, żadnej siły nie miałem, ledwo się na nogach mogłem utrzymać, pięć, może dziesięć łopat wysypałem, czy ja wiem?, a z drugiej strony ładował Ruski, młody silny chłopak, wolaliśmy na niego: Wania, on ładował i ładował, jak maszyna, kupa piasku leżała po jego stronie, chociaż ładował pod słońce. Nagle z daleka widzę, idzie *Aufseher*⁵⁹, więc mówię do Ruskiego: ty Wania, ładujesz pod słońce, oczy cię na pewno bolą, chcesz, to się możemy zamienić, uśmiechnął się na to, przeszedł na moją stronę, *spasibo*⁶⁰, powiedział, i dalej ładował. Po chwili nadszedł *Aufseher*, stanął, popatrzył, że przede mną wielka kupa piasku, a po stronie Ruskiego malutka, więc podszedł do mnie, wyjął mi z rąk łopatę i tą łopatą dwoma uderzeniami zatłukł Wanię, potem znów wrócił do mnie, łopatę oddał, poklepał po plecach, że dobrze pracuję i poszedł dalej, a ja przez to na serce choruję, męczę się, nie śpię i do życia przyzwyczaić się nie mogę. Pan może myśli, że ja nie wiedziałem, że *Aufseher* Wanię zatłucze? Dobrze, proszę pana, wiedziałem, że to robi, przecież gdybym nie wiedział, nie zamieniłbym się na miejsce.

Było to, jak wspomniałem, ostatnie moje spotkanie z Kolendą, od tego wieczora omijałem plac St. Sulpice, popołudniowe i wieczorne koniaki pijałem w innych bistrach, a do mojego starego, chcąc się pożegnać z patronem, wstąpiłem dopiero w przeddzień wyjazdu i na wszelki wypadek w porze południowej. Dowiedziawszy się o śmierci Kolendy, zrobiłem zmartwioną twarz, powiedziałem do patrona akurat tyle, co w podobnej sytuacji powiedzieć należało, lecz w głębi duszy odczułem ulgę, że już nigdy i nigdzie nie spotkam mego przypadkowego znajomego z bistra przy placu St. Sulpice.

Tych czterech opowiadań nie napisałem *specjalnie* dla Nagórskiego. Wszystkie utwory, jakie wymyśliłem Nagórskiemu, są ukształtowane na mój własny obraz. Bardzo dobrze zrozumiał to Antek L. pisząc dla Antka Raszewskiego esej o *Ostatniej godzinie*, gdzie w związku z utworami Nagórskiego pełno dosłownych cytatów z utworów moich. Właściwie dopiero teraz (dość późno!) przychodzi mi do głowy, że z wielu względów zarówno obiektywnych, jak i subiektywnych lepiej by było, gdyby Nagórski jako pisarz nie był moim powtórzeniem, lecz moim przeciwieństwem, przewyciężeniem samego siebie. Byłoby lepiej? Prawdopodobnie. Lecz, żeby było w tym sensie „lepiej” — nie stać mnie po prostu. Czy oznacza to, że zdając sobie sprawę z własnych niedostatków nie chciałbym być innym, aniżeli jestem? Innym, więc z innymi brakami i innymi przymiotami? Lecz jakimi? Nie umiem odpowiedzieć precyzyjnie na to: jakimi? Rzeczywiście, odkąd sięgam pamięcią — nigdy nie pragnąłem być kimś innym, aniżeli byłem, nawet w chwili szczególnie natrętnego zmęczenia samym sobą i obrzydzeniem ku własnemu „ja”. Nie, to było niemożliwością, abym ulepił Nagórskiemu inny model twórczości. Musiało być tak, jak jest.

Ukończywszy lekturę ostatniego opowiadania, Nagórski wyrównuje starannie stronicę maszynopisu, składa je do teczki, a tę chowa do biurka, wyjmując równocześnie inną teczkę z tekstem zaczętej w ubiegłym tygodniu *Mszy za poetę*. Zanim się jednak zabierze do lektury, telefon matki.

— Pamiętasz, że przed siódmą masz po mnie przyjechać?

— Oczywiście, mamo.

— Tylko się nie spóźnij.

— Dopiero dochodzi szósta.

— I uważaj, jak będziesz jechać, na pewno jest ślisko.

Nagórski, spoglądając na zimowy krajobraz za oknem:

— Jak się czujesz?

— Doskonale!

— Pogoda okropna. Nie gniewaj się, ale czy to ma sens, żebyś wychodziła z domu na taką zawieję?

— A co mi się stanie? Nie jestem z cukru.

— Mógłbym ci przywieźć parę płyt Haliny.

⁵⁹*Aufseher* (niem.) — dozorca, nadzorca. [przypis edytorski]

⁶⁰*spasibo* (ros., znieksz.) — dziękuję. [przypis edytorski]

Starsza pani po chwili milczenia:

— Dobrze, możesz nie przyjeżdżać, wolę zostać w domu, niż ci przeszkadzać.

— Ależ mam, kto mówi o przeszkadzaniu?

— Wiem, że jestem starą kobietą i nie należy do przyjemności pokazywać się ze mną publicznie.

— Mam — powiedział stanowczo — najdalej za trzy kwadranse jestem u ciebie.

Mogę liczyć na filiżankę herbaty?

Znów chwila ciszy, po czym rozległ się głos (z akcentem lekkiej obrazy) starszej pani:

— Właśnie zaparzyłam świeżą herbatę.

Nagórski już nie wraca do *Mszy za poetę*. Wprawdzie Maria Nagórska mieszka na Krakowskim Przedmieściu, zaraz za Miodową, więc po drodze do Filharmonii, lecz przed wyjazdem Nagórski musi się ogolić i przebrać.

Na godzinę przed koncertem symfonicznym Witold Otockiego opuścił gmach Komitetu Centralnego, a ponieważ poczuł głód — kazał kierowcy podjechać na Foksal, do „Kameralnej”.

Otockiego był w znakomitym humorze. Od przeszło miesiąca bez skutku się dobijał, aby Stefan Raszewski zechciał go przyjąć, kilkakrotnie wyznaczane spotkania były w ostatnich niemal chwilach przez sekretarkę Raszewskiego odwoływane. Otockiego gryzł się tym i niepokoił, nie miał bowiem pewności, czy przyczyną owych komplikacji był rzeczywiście brak czasu, czy też rozliczne obowiązki sekretarza KC nie miały w tym wypadku na celu zasygnalizowanie pierwszych objawów niełaski. Chociaż rok minął, od kiedy objął dyrekcję Teatru Stołecznego, zdawał sobie sprawę, że w opinii większości aktorów, a również i dla personelu technicznego wciąż pozostaje dyrektorem mianowanym odgórnie i to w okolicznościach szczególnie drastycznych, bo związanych z nagłym i brutalnym zdjęciem z dyrektorstwa Romana Gorbatego. Bywał już w swoim życiu wielokrotnie dyrektorem różnych instytucji kulturalnych, nigdy się nie zdołał wykazać poważniejszymi osiągnięciami, jeśli w ogóle w jego działalności o jakichkolwiek osiągnięciach można było serio mówić, wiedział w gruncie rzeczy, że jest miernotą, lecz i to wiedział, iż właśnie dlatego, że jest miernotą — może zawsze liczyć na kierownicze stanowisko, przecież ta świadomość mogła w nim trwać umocniona wówczas tylko, gdy czuł wokół siebie, a raczej ponad sobą krzepiące poparcie czynników nadrzędnych. W ciągu wielu minionych lat zmieniali się ludzie w Ministerstwie i w Komitecie Centralnym, w wydziale kierującym resortem, jedni wylatywali z orbity i gaśli nagle lub powoli, wśród rozległych i głębokich falowań codzienności, pamięć o nich, kiedyś wszechmocnych i groźnych, głuchła i stygła, inni wznosili się wyżej, osiągając wysokości już niedostępne dla istoty w randze dyrektora, jeszcze inni znikali w głębi labiryntów również wypełnionych władzą, lecz władzą kształtującą regiony życia niemające nic wspólnego z tzw. odcinkiem kultury, konstelacje gwiazdne na partyjnym niebie wciąż się odmieniały, Otockiego trwał, umiejętnie z każdym układem nawiązując życiodajny kontakt. Swoje trudności miewał, owszem, znał ich cierpki smak, znał owe niespodziewane telefony, gdy odległy, dobrze znajomy i zawsze z początku spokojny i zrównoważony głos pytał: co się tam u was dzieje, towarzyszu Otockiego?, wiedział, że po takim niewinnym wstępie za chwilę, za ułamek sekundy rozpęta się burza i w jego duże, mięsiste ucho, lepkiem potem zwilżające rozgrzewający się ebonit słuchawki, wleje się natychmiast spotworniały ryk, gwałtowny potok słów, grzmiących i szczękających, jak lawina głazów obsuwająca się ze zbocza góry, tego ryku nawet się nie bał, bał się, że ryk może się przekształcić w pewnym momencie w zarządzenie, w prawny akt — lecz nigdy strach nie dopadał go tak natarczywie, jak ostatnio, gdy nie mógł u Stefana Raszewskiego uzyskać posłuchania. Budził się nocami w ciemnej głębi koszmarnych i niezapamiętanych snów, leżał w ciemnościach zlany potem, obezwładniony sflaczałym ogromem własnego ciała, pod ciężkimi dłońmi skrzyżowanymi na brzuchu czuł obrzmiałą wypukłość brzucha, twarz mu w ciemnościach puchła, ogromniały uda i stopy, a skurczona i spotniała męskość przypominała mu złośliwie o doczesnej nędzy erotycznych przedsięwzięć, był zbyt znużony, aby spod koldry wyciągnąć ramię i zapalić światło, więc dalej leżał w ciemnościach szepcząc: Jezu Chryste, za co człowiek

Urzędnik, Władza,
Szczęście, Strach

się tak męczycy? — — — — i oto dzisiaj Stefan Raszewski go przyjął. Przyjął w swoim gabinecie w Komitecie Centralnym, ale w godzinach pozaurzędowych, popołudniu, poświęcił mu całą godzinę, był w dobrym humorze, prawie nieoficjalny, od razu opuścił swoje miejsce za biurkiem, rozmawiali w wygodnych fotelach przy okrągłym stole, na którym zjawiała się niebawem mocna, gorąca kawa, za oknem dęło i wirowała kwietniowa śnieżycza, lecz tu było cicho i przytulnie, złe nocne zmyry wyparowały powoli z Otockiego i wyparowały już chyba całkiem, gdy dyrektor Teatru Stołecznego, zrelacjonowawszy zwięźle nastroje w teatrze, przeszedł do sprawy najważniejszej, a mianowicie do sprawy *Makbeta* w reżyserii i scenografii Eryka Wanerta.

Zrazu Raszewski się skrzywił.

— Wanert? Dlaczego akurat Wanert? Nie za dużo Wanerta?

Otocki ostrożnie:

— O ile wiem, towarzyszu Raszewski, Wanert nic na razie nie kręci.

— A dlaczego nie kręci? Bo nie chce robić takich filmów, jakich my potrzebujemy.

— Interesuje się teatrem, ma ciekawe i ambitne pomysły.

— Wyobrażam sobie! Musicie sobie ten majdan brać na plecy, towarzyszu Otocku!

Przez moment Otocku chciał skapitulować, wycofując się z całej sprawy, lecz w ostatniej chwili powstrzymało go od tego kroku uświadomienie sobie, jak złe wrażenie wywoła podobna decyzja w teatrze. Zatem zwięźle i starannie dobierając słowa, począł wyjaśniać, na czym polega Wanertowska koncepcja *Makbeta*.

Raszewski słuchał uważnie i gdy Otocku skończył, spytał:

— A kogo chcecie obsadzić?

— Kellera jako Makbeta, a jako Lady Makbet Monikę Panek.

— Nie za młoda?

— Przy koncepcji Wanerta, to raczej plus.

— Ja miałem na myśli, że aktorsko młoda.

— W pewnym sensie tak — przyznał Otocku — ale bardzo ambitna.

— Podobno — mruknął Raszewski i Otocku uważnie odnotował, że pomiędzy Raszewskim i Moniką wszystko już chyba skończone. — Zresztą to nie moja sprawa. No tak! Cóż wam powiedzieć, towarzyszu Otocku? Próbuje! My z pana Wanerta nie mamy zamiaru robić męczennika, niech pokaże, czy chce i potrafi wyjść poza swoje subiektywne widzenie rzeczywistości, poza swój pesymizm i temu podobne. Damy mu szansę. Ale pod jednym warunkiem, towarzyszu Otocku. Wy osobiście będziecie odpowiadać przed Partią, jeżeli Wanert pójdzie śladami tych naszych różnych speców od uwspółcześnienia Szekspira i zamiast rzetelnie zrobionej tragedii historycznej sprezentuje nam jeszcze jedną wersję tzw. dramatu władzy, rozumiecie, co mam na myśli?

— Oczywiście, towarzyszu Raszewski. Możecie być pewni, że nic podobnego nie pojawi się w Teatrze Stołecznym.

— Mam nadzieję. A gdyby jednak, to pamiętajcie, co powiedziałem, żebyście potem nie mieli do nas pretensji. Jeśli chodzi osobiście o mnie, to wołałbym się z wami nie rozstawać, towarzyszu Otocku, Partia ma do was zaufanie.

— Dziękuję, towarzyszu Raszewski, postaram się nie zawieść tego zaufania.

I pod wpływem cieplej i pożywnej słodczy, jaką w sobie poczuje:

— Jeszcze jedną sprawę chciałbym nam, towarzyszu Raszewski, zreferować, sprawę, przynajmniej, trochę kontrowersyjną...

— Mianowicie?

— Chodzi o Gorbatego.

— Tak, słucham.

— Wydaje mi się, że z wielu względów, również i politycznych, byłoby wskazane, żeby w najbliższym czasie, no, może nie w najbliższym terminie, ale gdzieś w nowym sezonie dać Gorbatemu jakąś sztukę, może coś z klasyki rosyjskiej...

— Nie, towarzyszu Otocku — przeciął ostro Raszewski — ten numer nie przejdzie, na to nie pójdziemy ani dzisiaj, ani jutro. Pan Gorbaty w różnych swoich wystąpieniach dał się poznać jako ktoś obcy, niemający nic wspólnego z interesami narodu polskiego i terenem jego przyszłej działalności może być każdy kraj prócz Polski. Sprawę trzeba postawić jasno: my się nie podobamy panu Gorbatemu, jego sprawa, my się więcej nie będziemy wtrącać w sumienie pana Gorbatego, ważne jest, że pan Gorbaty *nam* się nie

Urzędnik, Władza, Obcy,
Wróg, Emigrant, Piętno,
Polityka, Sztuka

podoba, a kto się nie podoba nam, ten musi iść won! Dziwię się wam towarzyszu Otocki, że określiliście tę brudną sprawę jako kontrowersyjną. Ona wcale nie jest kontrowersyjna. Jest jasna jak stół!

I dla zaakcentowania owej jasności uderzył pięścią w stół, zadrżały leciutko filizanki, a Otocki poczuł w tym momencie nieprzyjemną mdłość w okolicach serca. Lecz Raszewski natychmiast się rozpogodził.

— No tak! — powiedział — tak by ta sprawa wyglądała na płaszczyźnie politycznej, a to jest jedyny punkt widzenia, jaki ja mogę zająć. Trudno, towarzyszu Otocki, ja muszę brać rzeczywistość taką, jaka jest, i muszę podchodzić do niej pryncypialnie. Ale wasze sugestie rozumiem. Rozumiem przede wszystkim waszą sytuację w Teatrze Stołecznym, nacisk środowiska nieumiejącego myśleć kategoriami politycznymi i państwowymi, łatwo też ulegającego bałamutnym nastrojom i różnym plotkom i oszczerstwom rozsiewanym przez naszych wrogów z wewnątrz, a przede wszystkim z zewnątrz, rozumiem to wszystko. I wasze poczucie lojalności koleżeńskiej też rozumiem i doceniam. Nie myślcie, że my, ludzie z aparatu, jesteśmy bezdusznymi maszynami, każdy z nas ma także serce, i to czasem duże serce, chodzi tylko o to, dla kogo to serce bije. Ja bynajmniej nie przeczę, że Gorbaty był wybitnym artystą i w rozwoju polskiego teatru posiada pewne niewątpliwe zasługi, niestety, nie wytrzymał naporu historii, wypadł na zakręcie i boleśnie się potłukł, jego talent przestał służyć naszej sprawie, słusznej sprawie. Jak to mówi poeta: „Daremne żale, próżny trud, bezsilne złorzeczenia”... Jak to idzie dalej? Wy na pewno jesteście w poezji silniejsi ode mnie...

— „Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia”.

— No właśnie!

Rozstali się jak przyjaciele i ze względu na szczególnie ludzki oraz intymny akcent, jakim się ta rozmowa zakończyła, niebezpiecznie w pewnym momencie nachylna ku katastrofie, Witold Otocki, spoglądając w drodze do pobliskiej „Kameralnej” na zawieję szalejącą na dworze i na lepkie płyty śniegu ścierane z przedniej szyby wołgi rytmicznymi ruchami wycieraczki, a także widząc ludzkie pokurczone mrowie, wypełniające chodniki na ruchliwym skrzyżowaniu Nowego Świata z Alejami Jerozolimskimi, mógł się w kojącym cieple auta poczuć czysty i wewnątrz obmyty nieomal jak młody chłopiec jeszcze prostodusznie wierzący po przyjęciu pierwszej komunii (*et super nivem dealabor*⁶¹), nie musiał również wobec tak pomyślnego finału żałować, że sprawę Gorbatego poruszył, przeciwnie — poczuł się wzruszony własną odwagą oraz koleżeństwem, i podbudowany tą świadomością, a też ożywiony bliską perspektywą koncertu, na którym w czasie przerwy będzie mógł co najmniej kilku osobom ze środowiska zakomunikować swoją dobrą wolę, wszedł do „Kameralnej”, strząsnął z jesionki śnieg, który zdążył na niej osiąść, gdy wychodził z auta, rozebrał się w szatni, życzliwym uśmiechem kwitując ukłon i słowa powitania znajomego szatniarza, po czym, poprawiwszy przed lustrem cokolwiek przekrzywiony krawat, zszedł na dół do toalety, żeby zrobić siusiu.

Przy barze, jak zwykle o tej wczesnej wieczornej godzinie, było tłoczno, znalazł jednak wolne miejsce u końca kontuaru i gdy się usadowił na wysokim stolku, zawsze, ilekroć wstępował do barów, kojarzących mu się, nie wiedzieć czemu, z Szymonem Słupnikiem, i rozejrzał się za kartą — w młodym człowieku siedzącym obok rozpoznał bez entuzjazmu Andrzeja Wajsa, siostrzeńca Jolanty, który po ukończeniu ekonomii politycznej, na Uniwersytecie pracował w dziale planowania i statystyki w Państwowym Instytucie Pracy, u Leopolda Panka. Natomiast Wajs, przystojny brunecik z baczkami i fryzurą cokolwiek przydługą jak na urzędnika państwowego, bardzo się wujem ucieszył.

— Dawno cię nie widziałem — Otocki bardzo po dyrektorsku przyhamował wylewność siostrzeńca — co u ciebie słychać?

Na to młody człowiek:

— Zależy, wuju, gdzie się ucho przyłoży. A u wuja?

— W porządku, wszystko w porządku

⁶¹*et super nivem dealabor* (łac.) — a nad śnieg wybieję (fragm. pokutnego biblijnego Psalmu 51, znane także pod incipitowym tytułem *Miserere*, w katolicyzmie należącego do liturgii eucharystycznej). [przypis edytorski]

— Michał się robi sławny, fajnie śpiewa.

Otoci nie lubił tematu syna, który od roku występował w big-beatowym zespole „LA DA CO”, pozostawił więc ten wątpliwy komplement bez komentarza i u barmanki, która akurat podeszła, zamówił pieczarki w kokilce⁶² oraz kieliszek jarzębiaku. Przed Andrzejkiem stała setka czystej i jasne piwo.

— Rzadko się wuja widuje w „Kameralnej”.

— Nie mam czasu, mój drogi, na włóczenie się po knajpach. Teraz miałem po drodze, więc wpadłem, żeby coś przekąsić przed koncertem. Halina Czaplicka dzisiaj śpiewa.

— Ona chyba do siedemdziesiątki dociąga, nie?

— Przesadzasz, ma najwyżej pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt dwa i wciąż jest w znakomitej formie. To wielka śpiewaczka!

— Wolę Beatlesów.

— Kwestia gustu.

— To zdrowie wuja! — powiedział Wajs, podnosząc szklaneczkę.

Otoci odwrócił się i zajął własnym jarzębiakiem, żeby nie widzieć, jak tamten jednym haustem opróżnia swoją setkę. Jednak nie wytrzymał.

— Czy u was młodych to już taki obyczaj, że się pije, nie jedząc?

Andrzejek dość długo i na jednym oddechu leniwie sączył piwo.

— Nie do uwierzenia, wuju — powiedział wreszcie — jak długi czas żółwie mogą żyć bez jedzenia, ba! nawet nie oddychając. Od pradawnych czasów żółwie lądowe bywają trzymane w niewoli, niektóre przeżywały w niewoli 70, 100, a nawet 150 lat. Żółwie lądowe piją rzadko, ale dużo naraz. To z Brehma⁶³, wuju.

— Nie wiedziałem, że się interesujesz zoologią.

— Żółwiami, wuju. Żółwie, to moje hobby.

Otoci:

— Na „Batorym”, kiedy jest wieczór kapitański, zawsze dają zupę żółwiową.

— Nie jadłem.

— Znakomita!

— Pozbawione głów, żółwie poruszają się jeszcze przez wiele tygodni.

— Rzeczywiście?

— Tak Brehm pisze. Może wuj ma przypadkiem w swojej bibliotece coś o żółwiach, ja zbieram wszystko, co jest o żółwiach.

Otoci, podnosząc do ust porcję pieczarek, zastanowił się poważnie.

— Nie, nie przypuszczam, żebym coś podobnego miał u siebie. Żółwie to nie moja specjalność.

— Szkoda — westchnął Andrzej Wajs i wyraźnie posmutniał.

Aż nagle spytał:

— To prawda wuju, że Teatr Stołeczny ma od nowego sezonu zmienić nazwę?

Otoci podniósł swoją wielką głowę znad opróżnionej kokilki.

— Zmienić nazwę? Pierwszy raz słyszę, nikt mi podobnego wniosku nie przedstawiał.

Po co Teatr Stołeczny miałby zmieniać nazwę?

— Ja nie wiem, może żeby się odciąć?

— Od czego?

— Tak w ogóle.

— Brednie!

— Pewnie brednie, ale wszyscy mówią.

— Co znaczy wszyscy?

— Różne typy, wie wuj, u nas w PIP-ie się przewijają, takie różne dzwony, lichтары i organki. Ale, jak wuj o niczym nie słyszał, to na pewno plotka. A jeszcze wczoraj wieczorem, tu przy tym samym barze, jeden aktor przysięgał się, że to prawda.

— Ze Stołecznego?

— Chyba tak, tak przynajmniej konfabulował⁶⁴.

⁶²kokilka — małe naczynie żaroodporne w kształcie miseczki, w którym zapieka się i podaje do stołu przystawki. [przypis edytorski]

⁶³Brehm, Alfred (1829–1884) — zoolog niem., autor dzieła *Życie zwierząt (Tierleben)*, wyd. w l. 1864–1869 (wyd. pol. 1935–1936), obejmującego 4 tomy (*Ptaki, Bezkręgowce, Ssaki, Ryby, płazy i gady*). [przypis edytorski]

⁶⁴konfabulować — bając, zmyślać, opowiadać niestworzone rzeczy. [przypis edytorski]

- Jak się nazywa?
- Wyleciało mi. Młody, młodszy ode mnie.
- Halicki?
- Nie, chyba nie Halicki, Halickiego znam od Hopfera, ten był młody, wysoki brunet.
- To by się zgadzało.
- Ale to nie Halicki.
- A, wszystko jedno! — zirytował się Otocki. — Co więc mówił?
- Że od nowego sezonu Teatr Stołeczny ma się inaczej nazywać.
- Mówił jak?
- Mówił, ale to beznadziejnie głupie.
- Wydaje mi się, że kto jak kto, ale ja mam prawo znać plotki o moim teatrze.
- Zapewne, zapewne — powiedział Andrzejek Wajs ze współczującym zrozumieniem. — Napije się wuj?
- Pięćdziesiątkę mogę ci postawić. Ale jedną.
- Dziękuję, wuju — na to Wajs — prześlę wujowi pocztówkę z żółwiem, żółwie przynoszą szczęście. Pani Lulu, dla mnie setkę i, jasne, pan dyrektor Otocki za wszystko płaci.
- Otocki chciał zaprotestować, lecz spojrzawszy na zegarek (dochodziła siódma, a musiał jeszcze wstąpić po żonę, która w „Sygnałach” miała zebranie partyjne), zażądał rachunku.
- Wszystko razem? — spytała tęga utleniona blondyna.
- Razem — zgodził się.
- I do siostrzeńca:
- Więc?
- Kiedy naprawdę, wuju, to koszmarnie głupie.
- Mam nadzieję.
- Więc mówią, że od nowego sezonu teatr wuja będzie się nazywać Teatr KaKa.
- KaKa?
- Rzekłem, że głupie, nie?
- Nie rozumiem dowcipu.
- Teatr Konrada Kellera. KaKa.
- Ach tak!
- Beznadziejnie płaskie.
- Powiedzmy! KaKa!
- Wuj się na mnie nie gniewa?
- Przeciwnie, jestem ci wdzięczny.
- To zdrowie wuja!
- Dziękuję. No, na umie już czas, muszę zmykać. Trzymaj się!
- Cześć, wuju. Ucałowanie rączek dla cioci.

Gdy Otocki podjechał na Smolną do „Sygnałów”, okazało się, że partyjne zebranie jeszcze się nie skończyło. Jola Otocka, wywołana na korytarz, oświadcza, iż postara się przyjechać na drugą część koncertu, na razie jako członek egzekutywy⁶⁵, nie może zebrania opuścić, ponieważ trwa dyskusja w sprawie usunięcia z Partii jednej z redaktorek, oskarżonej o rozpowszechnianie poglądów syjonistycznych i antypatriotycznych. Wprawdzie usunięcie owej pracowniczki zostało już zdecydowane przez Komitet Miejski, lecz dyrektynie tej towarzyszyło zalecenie, aby w dyskusji nad tym punktem porządku dziennego wzięła udział możliwie największa ilość członków POP-u⁶⁶, stąd przedłużanie się dyskusji. Otocki krótko referuje żonie przebieg rozmowy z Raszewskim i już przy wyjściu, jakby mimochodem, pyta Jolę, czy nie obija się jej o uszy taka głupia plotka

⁶⁵egzekutywa — władza wykonawcza. [przypis edytorski]

⁶⁶POP — Podstawowa Organizacja Partyjna; najmniejsza jednostka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR); tego rodzaju komórki partyjne funkcjonowały w zakładach pracy, instytucjach kulturalnych i na uczelniach w l. 1949–1989. [przypis edytorski]

o zmianie nazwy Teatru Stołecznego. Otocka śmieje się. Teatr KaKa? Oczywiście! Wszyscy to zabawne powiedzonko znają.

— Zabawne? — mówi Otockiego z akcentem goryczy. — Tobie się to wydaje zabawne?

— Bardzo! — odpowiada Otocka. — A biorąc pod uwagę twój silny, męski charakter, nawet prawdziwe.

Na to Otockiego:

— Ach tak? Tak sądzisz?

— Owszem, tak sądzę. Uważasz, że się mylę?

Ta nieprzyjemna rozmowa rozwiewa ostatecznie wahania Otockiego. Dyrektor Teatru Stołecznego, głęboko dotknięty w miłości własnej, postanawia zadziałać i to natychmiast. Skoro więc przybędzie do Filharmonii na kwadrans przed rozpoczęciem koncertu i w rozległym hallu na dole, już pełnym ludzi, dostrzeże Eryka Wanerta, natychmiast do niego podejdzie.

— Cześć, stary! Mam dla ciebie dobre wiadomości, w poniedziałek możesz zaczynać próby *Makbeta*. Raszewski bardzo życzliwie się ustosunkował do twojej koncepcji, właśnie od niego wracam.

Wanert zwięźle:

— Cieszę się. Chciałbym zrobić dobre przedstawienie.

— Zrobisz! Jest tylko jedno „ale”.

— Raszewskiego?

— Nie, moje. To, oczywiście, nie jest warunek, tylko sugestia. Otóż, stary, po rozmowie z Raszewskim jeszcze raz sobie przemyślałem całą sprawę, twoja koncepcja jest nowa i twórcza, ale właśnie dlatego, że taka jest, doszedłem do przekonania, że z tej historii należy bezwzględnie wyeliminować Monikę. Mówmy otwarcie, ty wiesz dobrze, jakie ona ma możliwości, ja też wiem, co się będziemy obcyndalać? Cudów nie ma, położyłaby spektakl.

Eryk Wanert:

— Zdaje się, że to nie ja upierałem się przy Monice? Twierdziłeś...

— Masz rację, mój błąd, przyznaję. Dlatego chcę to naprawić.

— Obawiam się, trochę za późno.

— To już mnie zostaw.

— Wszyscy wiedzą, że Monika ma grać.

— Więc się dowiedzą, że grać nie będzie, dość się już nagrała w tym sezonie. Dopóki ja jestem dyrektorem, Teatr Stołeczny nie jest i nie będzie teatrem KaKa.

— Już do ciebie doszło?

— Co byś powiedział na Beatkę Konarską?

— Mnie odpowiada, świetna dziewczyna. Proponowałem ją w swoim czasie.

— W takim razie załatwione! Ja Beatkę sam zawiadomię. Pojęcia nie masz, stary, jak się cieszę, kamień mi spadł z serca. Ale to na razie między nami, dobrze?

— A Konrad? Ze względu na niego nieprzyjemna sytuacja.

— Pozornie. Ty, stary, nie doceniasz Konrada. On jest przede wszystkim wielki aktor.

— Wiem, ale...

— Po sobie nie pokaże, ale zaręczam ci, że kiedy się dowie, że Monika nie będzie jego partnerką, w głębi ducha będzie zadowolony, on dobrze wie, jaka z niej aktorka. Ale uwaga, o wilku mowa...

Bo akurat w tej chwili, dość nieoczekiwanie wyłoniwszy się z zagęszczającego się wokół tłumu, podejdą Monika i Konrad. Otockiego, który nie zdążył ustalić, kiedy i jaki sposób powiadomi Monikę o powziętej decyzji (przed ślubem czy po?), na widok tej pary, wyniesionej przez złośliwą plotkę na uzurpatorskie i suwerenne wyżyny, zdecyduje się natychmiast.

— Jak się macie — mówi, witając się serdecznie — świetnie, że cię widzę, Moniczko, zadzwoń do mnie jutro rano do teatru, tak koło dziesiątej, mam do ciebie jedną sprawę.

Monika trochę zdziwiona:

— Jutro?

— Rozumiem, będziesz zajęta, możesz zapomnieć. Ja do ciebie zadzwonię.

— Nie możesz powiedzieć teraz?

— Chodźmy na salę, już dzwonią.

Eryk Wanert, aby nie okazać wewnętrznego zmieszania, do Kellera:
— Jak się czuje Prometeusz?

KONRAD

Na ogół nieźle, choć, jeśli mam być szczery, to nagość tego osobnika, ponieważ, niestety, ma być nagością moją, wciąż mi trochę zawadza.

MONIKA

Jak na jutrzejszego oblubieńca nie jestem pewna, czy to wyznanie jest specjalnie dowcipne.

KONRAD

W każdym razie mało boskie, to przyznaję.

WANERT

Nic się nie martw, zaręczam ci, że na ekranach będziesz wyglądać właśnie tak, jak bóg wyglądać powinien.

MONIKA

Bóg zdegradowany!

KONRAD

Dziękuję, kochanie. Ta świadomość będzie mi bardzo pomocna, muszę jednak pamiętać, że na tym etapie degradacji moje ciało musi pozostać boskie, a więc doskonale.

WANERT

Na dużych zbliżeniach będzie boskie.

KONRAD

Nie jest wykluczone, zresztą niech się operator martwi. Zawsze mi się wydaje, że zostałem aktorem przede wszystkim dlatego, iż zbrakło mi tupetu i fantazji, aby się stać hochsztaplerem — — — —

Monika Panek i Konrad Keller, gdy są na schodach:

MONIKA

Konrad?

KONRAD

Tak?

MONIKA

Jaką on może mieć do mnie sprawę?

KONRAD

raz po raz kłaniając się i odkłaniając
Kto?

MONIKA

Otocki.

KONRAD

Po to go zrobiono dyrektorem, żeby miał różne sprawy.

MONIKA

Już ci się uszy zaczynają czerwienić.

KONRAD

Rzeczywiście?

MONIKA

Niestety!

KONRAD

To jedyna ich możliwość, żeby zamanifestować uczucia dla ciebie.

MONIKA

Szalenie jesteś dowcipny!

KONRAD

Bądź wyrozumiała, kochanie, wiesz, z jaką trudnością przychodzi mi redagowanie tekstów dla samego siebie — — — — —

Beata Konarska i Łukasz Halicki już na sali, po brzegi wypełnionej publicznością, poszukują swych miejsc: ona w szerokich, pyjamowych spodniach z czarnego jedwabiu i takiej samej rubaszce⁶⁷, ściśniętej w pasie złotym łańcuchem, jasnowłosa, bardzo dziewczęca, pobrzękująca licznymi pierścieniami i łańcuchami, on — w cienkim żółtym golfie pod długą i na modłę staroświeckiego surduta skrojoną kurtką z czarnego welwetu, i w wąziutkich, także z welwetu spodniach. Mijając rząd dziewiąty, w którym dwa miejsca przy przejściu zajmują Adam Nagórski i jego matka, Łukasz Halicki kłania się z rzadkim przy jego niezależnych manierach szacunkiem, ponieważ jednak nieczęsto podobną atencję w życiu uprawia, ukłon jego w czujnym sprzężeniu całego ciała i w pośpiesznym i głębokim pochyleniu korpusu wyraźnie odwołuje się do czasów sztubackich młodego aktora i całkiem w stylu uczniowskim wypada.

BEATA

Kto to jest?

ŁUKASZ

Nie poznałaś? Nagórski.

BEATA

Ta staruszka obok niego?

ŁUKASZ

Matka.

BEATA

On ma jeszcze matkę?

ŁUKASZ

Wiesz, kto to jest? Słynna Kellerka!

BEATA

oglądając się do tyłu

O Boże, ona jeszcze żyje?

ŁUKASZ

Keller jest jej rodzonym siostrzeńcem, mówił mi kiedyś, że urocza staruszka.

BEATA

Staruszki mogą być urocze?

ŁUKASZ

Ja lubię staruszki.

BEATA

Bo ty lubisz wszystko, co lubi ciebie.

ŁUKASZ

Nieprawda, nie lubię pcheł.

BEATA

Ile ona może mieć lat?

ŁUKASZ

Osiemdziesiąt kilka.

⁶⁷*rubaszka* (z ros.) — długa koszula (tunika) ze stójką, zapinana na ramieniu, wykładana na wierzch na spodnie i przewiązywana paskiem a. sznurem. [przypis edytorski]

BEATA
Mów wyraźniej!

ŁUKASZ
Osiemdziesiąt dwa, trzy, nie pamiętam dokładnie.

Właśnie oboje, aby zająć swoje miejsca w głębi dwunastego rzędu, zmuszają już siedzących do podnoszenia się. Beata zatrzymuje się i skupienie oraz pewien wysiłek odmalowują się na jej twarzy.

ŁUKASZ
szeptem
Przechodź, Beata!

BEATA
głośno
To jak ona się urodziła, ja miałam minus sześćdziesiąt lat!
A ponieważ dopiero teraz zauważa, że jakaś starsza kobieta (Celina Raszevska) stoi, aby ją i Łukasza przepuścić, mówi szybko, pobrzękując swymi łańcuchami i ujmując się uśmiechając:

Przepraszam panią bardzo — — — — —

Celina Raszevska, dopiero gdy się podniosła, zauważa profil Adama Nagórskiego, akurat pochylonego ku matce. I jak zawsze, gdy go widzi z daleka w miejscach publicznych lub na ulicy, ogarniają ją dawne wspomnienia: pogrzeb Elżbiety i wciąż w niej jeszcze żywe trzy dni spędzone po pogrzebie w towarzystwie młodego Adama, lecz patrząc na tę oddaloną o kilka rzędów siwiejącą głowę, nie może znaleźć żadnego powiązania pomiędzy nią i kształtem szczupłego wysokiego chłopca, z którym w tamtych zamierzchłych czasach, wśród czystej przejrzystości tatrzańskiej wiosny (w istocie tylko jeden dzień był słoneczny, ten ostatni, dwóm pierwszym, przy chwilowych tylko rozjaśnieniach, towarzyszyło niebo pochmurne, drobne deszcze i mżawki zacierające zarysy gór) odbywała długie spacerunki pod regle i w głąb pustych o tej porze dolinek i ten obcy, prawie znieznawidzony człowiek, stawał się coraz bliższy, gdy szedł obok i mimo swych dwudziestu pięciu lat sprawiał wrażenie prawie jej rówieśnika, tak młodo wyglądał, szybkie i trochę nerwowe kroki uważnie dostosowując do jej drobnych i niepewnych, bo wychowanych w mieście i tylko z miejską ulicą oswojonych — gdy usiadła, ludzie przed nią przysłonili sylwetkę Nagórskiego, przez moment, wciąż wśród wspomnień i jakby z podobnego oddalenia słysząc odgłosy strojonych instrumentów, zastanawia się, czy w czasie przerwy nie podejść do Nagórskiego, lecz prawie równocześnie myśli, że to by nie miało żadnego sensu, nic, a w najlepszym razie prawdopodobnie nic nie mieliby sobie do powiedzenia, szczególnie on, z pewnością niechętnie, a może nawet wrogo usposobiony do jej męża, i w tej chwili, gdy nagle strojone instrumenty milkną, a potem rozlegają się oklaski, bo w głębi estrady ukazuje się sylwetka Andrzeja Markowskiego, Celina słyszy krótki, gwałtowny dzwonek, biegnie drzwi otworzyć i nie dalej niż o krok, w cieniu ciasnej i mrocznej klatki schodowej stoi młody Stefan, spod nasuniętego głęboko na czoło kaszketu ledwo widać jego twarz i dopiero, gdy wsuwa się do środka i drzwi za sobą zamyka, w pośliskim poblasku słabej żarówki oświetlającej przedpokój, dostrzega, jak Stefan jest przemoczony i blady, chwilę stoi bez ruchu, ciężko oddychając, z jego płaszczka spływa na podłogę woda, wreszcie mówi: „gonią mnie” i w tym momencie Celina Raszevska, poprzez przyśpieszone bicie serca, a dłoń wspartą o poręcz fotela podniósłszy do czoła, aby przed siedzącą obok jasnowłosą dziewczyną, pobrzękującą cichutko łańcuszkami, osłonić oczy nagle wypełnione łzami, słyszy pierwsze takty Mozartowskiego allegra — — — — —

Wspomnienia

Halina Ferens Czaplicka sama w pokoju dla artystów, nawet Aimo Immonen, świadomy wszystkich faz przedkoncertowego rytuału, na parę minut przed rozpoczęciem symfonii, wymknął się dyskretnie i prawie równocześnie z wejściem dyrygenta zajął swoje miejsce w pierwszym rzędzie na balkonie, Halina zawsze wymagała, aby słuchał jej śpie-

wu z odległości nie nazbyt bliskiej, a również mógł jej sylwetkę oglądać z perspektywy, całą i na tle orkiestry.

Jest zatem sama. Siedzi nieco sztywno, wyprostowana i na krawędzi fotela, aby nie pognieść sukni, z której jej drobna kibić wylania się jak z czarno-srebrnego kielicha rozszerzonego lekko u dołu. Na stole leży tom *Utworów Zebranych* Krzysztofa Czaplickiego. Ten tom, wydany na cienkim, biblijnym papierze, liczy ponad tysiąc stron, a ukazał się przed paroma zaledwie miesiącami, profesor Kazimierz Wnuk, który wiele lat poświęcił odszukiwaniu i gromadzeniu rozproszonych po ludziach utworów młodego poety, wstąpił po południu do hotelu Europejskiego, aby osobiście ofiarować książkę słynnej śpiewaczce, lecz skoro mu zakomunikowano w recepcji, że pani Ferens nikogo nie przyjmuje, zostawił tom, skreśliwszy na pierwszej stronie kilka słów dedykacji: „Wielkiej śpiewaczce — siostrze wielkiego poety”. Halina, wzruszona podarunkiem, kazała Aimowi wziąć ze sobą książkę i oto ma ją teraz przed sobą. Nieliczne, ocalone z wojennych zniszczeń fotografie brata widziała parę dni temu u matki, gdy nazajutrz po przyjeździe odwiedziła ją w skromnym mieszkaniu na Mariensztacie, była jednak wówczas pod tak silnym wrażeniem starości i osamotnienia matki, którą pożegnała była przed trzydziestu laty, iż mało co z tych zdjęć zapamiętała. Teraz poruszyły ją dwa szczególnie: na jednym Krzysztof, nie więcej niż sześciolatek, na tle jesiennych lub przedwiosennych, bo jeszcze albo już bezlistnych krzaków stał na dużym płaskim głazie, w krótkim ciemnym płaszczku, w skarpetkach, więc z gołymi kolanami i w wysokim ulańskim czaku, obie dziecięce dłonie wspierając o rękojeść szabli sięgającej mu do ramienia; zdjęcie drugie pochodziło z lat nieco późniejszych, lecz i na nim utrwalony Krzysztof z włosami przyciętymi na chłopaka, w szkolnym fartuchu z białym, pikowanym kołnierzykiem może tylko pięknem poważnie zamyślonych i już trochę smutnych oczu kojarzy się Halinie z przymglonym wspomnieniem drobnego i delikatnego maturzysty z wczesnej wiosny roku 1939 — — — wie, że ma przed sobą co najmniej pół godziny, lecz przez cały ten czas ani razu nie spojrzy na zegarek, również nie śledzi symfonii rozwijającej się gdzieś w odległej głębi uciszonego gmachu, wie, że w momencie odpowiednim uśmiechnięty pogodnie Andrzej Markowski stanie we drzwiach garderoby, a wówczas ona się podniesie, czując w piersiach skupioną lekkość, a w gardle rozluźwane ciepło, które całe jej ciało nasyci świadomością, że gdy znalazłszy się za chwilę na estradzie odrzuci w pewnym momencie głowę do tyłu, a potem ją wyprostuje — wtedy na lekkie skinienie dyrygenta i wraz z akompaniamentem orkiestry jej pierwsze „*Lasciate mi morire...*” wypełni skargą i cierpieniem, aby potem się wznosiło, trwało i opadało, i znów się wznosiło, wciąż jak strumień światła wibrującego w ciemnościach rozdzielając owe mroki miłosnym lamentem błagającym o śmierć. Lecz na razie, gdy siedzi na krawędzi szczupłego fotela i trzyma w dłoniach niedużą książeczkę oprawioną w zielony safian (jest to prezent Aima, który w rocznicę ich związku własnoręcznie swoim okrągłym, trochę szkolnym piśmem wypisał w kilku językach teksty arii oraz pieśni stanowiących repertuar śpiewaczki), nie zdążył się do niej jeszcze przybliżyć ów nieunikniony moment, gdy po koncercie Aimo, przez pierwszą godzinę wciąż opiekuńczy i czuły, wiernie w ten sposób dopełniając ostatnich obrządków szczególniego nabożeństwa, potem zacznie się od niej oddalać, coraz bardziej niespokojny i nieuważny, aż wreszcie zniknie jej z oczu i na długie godziny gdzieś się zagubi wśród spraw nigdy do końca niewyjaśnionych, a wiadomych tylko jemu. Smutek oraz żal, które na razie Halinę wypełniają, są nieokreślone, wzbierają w niej w swych czystych kształtach, wsłuchuje się przeciw w tę nienazwaną boleść bardzo czujnie, prawie z takim samym żarliwym skupieniem, z jakim niegdyś przed wieloma laty, będąc małą dziewczynką i na wakacjach, lubiła kłaść się na ziemi i ucho do ziemi przykładać, aby uchwycić odgłosy tajemniczych drzeń i westchnień podziemnych, słyszy już w sobie lament, zanotowany przed kilkoma wiekami przez włoskiego kompozytora, lecz jeszcze nie wie, co ten tren ma wyrazić; jej życie własne, czy może raczej skargę młodziutkiego chłopca czuwającego w noc sierpniową i nie o dziecięcą szablę wspierającego delikatne dłonie, lecz o męski automat?

Z powodu wyjazdu do Wrocławia na jedną z rozlicznych w tym jubileuszowym roku sesji naukowych profesor Wnuk nie był na wtorkowym recitalu Haliny Ferens-Czaplickiej, a ponieważ z wiadomych przyczyn nie mógł się popołudniu zobaczyć ze śpiewaczką osobiście — teraz, na koncercie, ma ją ujrzeć i usłyszeć po raz pierwszy. Jest do pewnego stopnia oswojony z jej twarzą, dzięki fotografiom, jakie mu na jego prośbę pokazywała pani Czaplicka, fotografiom nadsyłanym w różnych latach i z różnych miast i krajów, również nie jest mu obce szczególnie wzruszające piękno zadziwiającego mezzosopranu Haliny Ferens, ma bowiem kilka jej płyt, wśród nich *Pieśni Wędrowca* Mahlera, Schuberta *Die Winterreise* oraz arie Bacha i Haendla, wie jednak, że zarówno podobizny (zwłaszcza artystki), jak nagrania, nie mogą zastąpić kontaktu bezpośredniego, prawie zawsze w stosunku do autentyku ofiarowując więcej lub mniej. Zatem w oczekiwaniu na występ siostry Krzysztofa Czaplickiego nieuważnie i bez satysfakcji słuchał Mozarta, nieco zmęczony dniem wypełnionym rozlicznymi obowiązkami, niechętny tłokowi, jaki panował na sali, od czasu do czasu pocierał wskazującym palcem lewej dłoni koniuszek nosa, co zawsze było u niego oznaką niejakiego zamęcenia równowagi. W pewnym momencie, gdy fotel, który zajmował w dziesiątym rzędzie, wydał mu się szczególnie ciasny i twardy, poruszył się w nim w poszukiwaniu pozycji dogodniejszej tak ciężko i gwałtownie, iż spowodował głośnie pod sobą skrzypnięcie, sapnął więc z irytacji, a siedząca przed nim kobieta potrząsnęła głową i ramionami gestem zniecierpliwienia, na szczęście akurat w tym momencie ostatnia część symfonii dobiegła końca, zabrzmiały oklaski, mógł zatem, już się nie krępując, wygodnie się usadowić, lecz w trakcie tych czynności przypomniawszy mu się nieudana wizyta w „Europejskim”, „nieznośne musi być babsko!” — pomyślał i znów krótko czmychnął przez nos, ten nastrój irytacji trwał w nim jeszcze przez całą przerwę, a nawet się nasilił, gdy na uciszzonej sali rozległy się nagle oklaski, zrazu pojedyncze, jakby przypadkowymi wiązkami wyrzucone z różnych stron parteru i balkonów, natychmiast się jednak poczęły łączyć i kiedy Halina Ferenc-Czaplicka, nieomal dziewczęco drobna i krucha w swojej ogromnej sukni podpłynęła w niej lekko, jak na czarno-srebrnym korabiu, na skraj estrady i wyprostowawszy się głowę odrzuciła na moment do tyłu — entuzjastyczne brawa wypełniły salę, natomiast profesor Wnuk poczuł gwałtowne szarpnięcie serca i wzruszenie ścisnęło mu krtań, ponieważ poprzez ten gest znakomitej śpiewaczki ujrzawszy twarz Krzysztofa — — —

Do prototypu (w sensie bardzo zawężonym) profesora Kazimierza Wnuka, który akurat dzisiaj obchodzi uroczyste w Krakowie jubileusz sześćdziesięciolecia, wysłałem przed paroma dniami krótki list z życzeniami:

Drogi Kazimierzu,

bardzo żałuję, że nie mogę przyjechać na Twój Jubileusz, aby osobiście Cię uściskać i wypić z Tobą Twoje zdrowie. Mam nadzieję, że powetuję to sobie w roku 1990 na Twoim osiemdziesięcioleciu, i jeśli i wtedy się okaże, że właśnie kończę *Miazgę* — zostanie nam jeszcze rok 2000 szczególnie przychylny takim uroczystościom.

Bardzo, bardzo serdecznie Cię ściskam i wszystkiego możliwie najlepszego życzę. Marysia i cała moja rodzina przyłączają się do tych życzeń.

O dziewiątej wieczorem, w mieszkaniu Stefana Raszewskiego (Raszewski zajmuje połowę bliźniaczej willi na dolnym Mokotowie), a ściślej: w jego obszernym gabinecie na wysokim poddaszu zbiera się kilku przyjaciół: Antoni Formiński, prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, Józef Halicki sekretarz KC⁶⁸, Kazimierz Jaśko, redaktor „Panoramy Tygodnia”, Wojciech Konopka, pisarz, Marian Krystek, sekretarz KM⁶⁹ w Warszawie, Leopold Panek oraz pułkownik Władysław Pasięka z MSW⁷⁰. Żadnej kolacji. Koleżeńskie wieczory u Raszewskiego mają już swoją tradycję: czysta wyborowa, sucha kielbasa, podwędzona słonina i boczek, kiszzone ogórki, chleb, piwo, to wszystko.

— Towarzysze! — mówi Raszewski — porządek dzienny dzisiejszego zebrania przewiduje trzy punkty. Punkt pierwszy: zagajenie, drugi: część artystyczna, trzeci: dyskusja

⁶⁸KC — Komitet Centralny (w domyśle: Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). [przypis edytorski]

⁶⁹KM — tu: Komitet Miejski. [przypis edytorski]

⁷⁰MSW — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. [przypis edytorski]

oraz wolne wnioski. Kto chce zabrać głos w sprawie porządku dziennego? Nikt. Słusznie. Wobec tego uważam porządek dzienny za przyjęty przez aklamację i przystępuję do punktu pierwszego, czyli zagajenia. Otóż w pierwszych słowach zagajenia muszę wam, chłopcy, powiedzieć, że jesteście dupy!

Ogólne zainteresowanie i rozbawienie. A Raszewski:

— Nie ma się z czego śmiać, towarzysze. Dupy jesteście. A dlaczego jesteście dupy? Bo nikt z was nie wysunął demokratycznego wniosku, że jak jest zebranie, to należy wybrać przewodniczącego.

Ryk śmiechu. Raszewski:

— Dziękuję towarzysze. Uważam, że wybór przewodniczącego został dokonany przez aklamację.

PULKOWNIK PASIEKA

Stefan, wódka się zagrzewa!

RASZEWSKI

Alkohol jest przewidziany w trzecim punkcie zebrania, dyskusja oraz wolne wnioski.

PULKOWNIK PASIEKA

To zmień porządek.

RASZEWSKI

Poddaję wniosek towarzysza Pasieki pod głosowanie.

Wszyscy podnoszą ręce. Pułkownik Pasiaka oraz Konopka obie naraz.

RASZEWSKI

Uważam wniosek towarzysza Pasieki za uchwalony. Wojtek, ty jesteś najmłodszy.

KONOPKA

Rozkaz, towarzyszu generale!

Po zadziwiająco szybkim i zręcznym rozlaniu wódki przez ociężałego zazwyczaj Konopkę Raszewski podnosi kieliszek:

— No to chlup w ten głupi dziób!

KONOPKA

Gdyby nie gorzoła, byłaby stodoła.

HALICKI

Najlepsza zagrycha, słonina i kiszony ogórek.

PREZES FORMIŃSKI

Mnie się zaraz bimber przypomina.

KONOPKA

Dobry bimber nie jest zły.

PREZES FORMIŃSKI

Pamiętasz, Stefan, bimber w takiej jednej leśniczówce koło Biłgoraja, cholera, zapomniałem, jak się nazywała, spiliśmy się na trupa...

RASZEWSKI

Zarepetuj, Wojtek.

KONOPKA

Wedle rozkazu.

RASZEWSKI

po chwili

Znaczą zagajenie, towarzysze, mamy z głowy i przystępujemy do części artystycznej. Poważnie teraz mówię, chłopcy. Chcę, żebyście przesłuchali jedną płytę. Nie bójcie się, żadnych przemówień, same stare rewolucyjne pieśni, nasze partyzanckie i takie, wiecie, różne te nowe. To jest, wiecie, płyta na razie wzorcowa, na Zjazd Partii, trzecia z kolei,

kurwa jego mać! Kłopoty były różne. Najpierw była koncepcja, nawet słuszna, żeby nagrać i pieśni, i żywe słowo, ale wiecie, jak jest z żywym słowem, czasami bywa za żywe, towarzysze z Biura mieli różne zastrzeżenia, i co do wyboru nazwisk, i też do wydźwięku, jakiego mogą nabrać teksty przedwojenne, nawet Broniewskiego. Więc wreszcie stanęła decyzja, że pójdą tylko pieśni, żadnej poezji.

REDAKTOR JAŚKO

Towarzysze z Biura już znają tę płytę?

RASZEWSKI

Jak by znali, to ja bym was nie prosił na przesłuchanie.

PREZES FORMIŃSKI

Jasne!

KONOPKA

Puszczając, Stefan?

PULKOWNIK PASIEKA

Na sucho igła będzie zgrzytać.

Spojrzenia wszystkich zebranych zwracają się ku Raszewskiemu, a ten już ma powziąć decyzję, gdy rozlega się telefon, podchodzi więc do biurka i podnosi słuchawkę.

Raszewski... kto?... cześć!... nie, jestem zajęty... jutro też... w przyszłym tygodniu?... może, zadzwonić do mnie do KC... nie, lepiej do KC... to przy okazji obgadamy, teraz nie mam czasu... cześć!

Jest wyraźnie zirytowany. Po chwili do redaktora Jaśko:

Słuchaj, Kazik, ja się w to wołę nie mieszać, ale ty zdziałaj, żeby go trochę odstawić.

REDAKTOR JAŚKO

domyślnie

Heniek Orlik dzwonił?

RASZEWSKI

Dość mam tego gówniarza, za dużo go wszędzie.

PREZES FORMIŃSKI

W marcu był niezły

RASZEWSKI

Rok ma dwanaście miesięcy i nie każdy miesiąc jest marzec.

PREZES FORMIŃSKI

Ja to załatwię, Stefan.

RASZEWSKI

Nie za wysoko?

PREZES FORMIŃSKI

Jednak moje na wierzchu. Kto ci rok temu mówił, żeby Orlika nie popychać zanadto do przodu?

RASZEWSKI

Łatwo ci mówić! Ty na brak ludzi nie musisz się uskarżać. A ja, jak się robi gorąco i jakąś dużą akcję trzeba zmontować, muszę brać prócz kilku wyjątków same szmaty i gnoje, takich gówniarzy, jak ten twój zasrany Orlik.

PREZES FORMIŃSKI

Fakt, że mój i zasrany, ale mnie to nie szkodzi.

KONOPKA

Dziękuję, Stefan, że nie powiedziałeś „mój”.

RASZEWSKI

Jaki on twój? Ty jesteś swój chłopak i pisarz z jajami...

PREZES FORMIŃSKI

Więc jak, Stefan, zdjąć go z radia i telewizji?

RASZEWSKI

Po co? On po rozmowie z Władkiem sam swoje usługi kulturalne ograniczy. Wiersze niech pisze.

PREZES FORMIŃSKI

Zrobi się.

RASZEWSKI

No, chłopcy! Zejdźmy już z tego śmierdziela. Wojtek, szkło się rozsycha!

(Płyta nagrana na V Zjazd Partii jest zatytułowana *CZEŚĆ PARTII*. Na jednej stronie: 1) *Międzynarodówka*, 2) *Mazur kajdaniarski*, 3) *Warszawianka 1905*, 4) *Pieśni więzienne*: a) *Przez błota poleskie*, b) *Idą*, 5) *Gdy naród do boju*, 6) *My ze spalonych wsi*, 7) *Oka*, 8) *Cześć Partii*; na drugiej stronie: 1) *Nad Donem i Wisłą*, 2) *Kiedyśmy wracali*, 3) *Po ten kwiat czerwony*, 4) *Polonez warszawski*, 5) *Na prawo most, na lewo most*, 6) *Dzień dobry, Nike*, 7) *Pieśń o Wiśle*, 8) *Ukochany kraj*.)

Wykonawcy: chór i orkiestra Polskiego Radia, zespoły: „Mazowsze”, „Śląsk” i „No To Co⁷¹”, soliści: Tadeusz Bartosik, Mieczysław Czechowicz, Bernard Ładysz, Kazimierz Pustelak, Joanna Rawik, Józef Wojtan).

Lektura tej sceny potwierdza wszystkie moje wątpliwości i zastrzeżenia, zanotowane jeszcze przed kilkoma tygodniami, 31 marca i dnia następnego. Zresztą w tej chwili nie ta scena mnie niepokoi. Niepokoi mnie scena jeszcze nienapisana, dalszy niejako ciąg obecnej, lecz rozgrywająca się w parę godzin później, już po powrocie Celiny Raszewskiej z koncertu, także po powrocie Antka. Na razie zupełnie tej sceny nie widzę. Pijani? Ale czy wszyscy? A jeśli pijani, to co z każdego z nich wylazi? Z jakimi garbami chodzą? Co ich gryzie? Naprawdę są przyjaciółmi? Jakie wspomnienia natrętnie wokół nich krążą?

Przed paroma dniami, gdy rozmowa na moment i zupełnie marginesowo zeszała na Wacława K. — Irena bardzo trafnie go określiła jako rzadkie na ogół połączenie nienawistnictwa z lizusostwem. Redaktor Jaśko? Człowiek, dla którego głównym motorem działalności publicznej jest zastarzała nienawiść do rówieśnika, również dziennikarza, niegdyś przyjaciela?

Na razie się niepokoję i martwię, za dwa, trzy dni będę musiał coś z tym fantem zrobić. Dla Raszewskiego mam jego „szansę”, ale dopiero w części III, kiedy w sobotę wieczorem Raszewski zawiadomiony telefonicznie o wypadku swego ojca (przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej, zupełnie przypadkowym świadkiem tego wypadku jest Julia Singer znająca Zygmunta Raszewskiego jeszcze sprzed wojny) jedzie do szpitala i spędza parę godzin przy łóżku umierającego starca.

Jak było do przewidzenia, Ksawery Panek nie poszedł na koncert, a i z domu wyszedł wcześniej, niż był zaplanował, już przed dziewiątą zaliczył swoją drogę kalwaryjną od SPATiF-u po rynek Starego Miasta, w żadnym jednak lokalu nie znajdując Marka. Pogoda skiksowanej wiosny wciąż jest podła: chodniki i jezdnie toną w błocie, ziąb, przenikliwy wiatr, od czasu do czasu micie gęsty, wilgotny śnieg. Ksawery, przemarznięty i udęczonej, wstępuje na jedną wódkę do baru „Bazyliśzek”, tej mętnej spelunki, zawsze pełnej pijaków, teraz też zatłoczonej, wyziewy wódki, piwa, bigosu i papierosów, przesycone wilgocią parujących w gorącu mokrych ubrań, wypełniają wewnątrz baru ciężkim odorem. Ksawery szybko wypija setkę i wychodzi. Akurat nie pada. Dłuższą chwilę stoi na chodniku, trochę oszołomiony ciepłem, które skupiło się w nim poniżej mostka i nie chce się rozejść, stoi całkiem zagubiony, jakby się znalazł w nieznanej dzielnicy miasta, nie wie, co ze sobą zrobić dalej, gdzie iść, gdzie być? Nieopodal mały podstarzały pijaczek, podpierając plecami słup latarni, śpiewa na nutę starego hymnu narodowego: „Boże, coś

Wiosna, Miasto, Polak

⁷¹*No To Co* — powstały w 1967 r. skiffowy zespół wokально-instrumentalny, tworzący muzykę łączącą elementy folkloru z bigbitem. Zespół stanowił rodzaj inspiracji (w każdym razie w zakresie nazwy i atmosfery wokół występów tego rodzaju grup) dla Jerzego Andrzejewskiego, który w *Miazdze* umieścił formację bigbetową La Da Co. [przypis edytorski]

Polskę zawsze trzymał w krzakach...” — — — — — w drodze powrotnej, wciąż zresztą bez sprecyzowanego planu na najbliższe godziny, Ksawery spotyka na Świętojańskiej Romana Gorbatego, a ponieważ trotuar na Świętojańskiej jest wąski, a teraz dzięki kupkom odgarniętego śniegu jeszcze bardziej zacieśniony, obaj się zatrzymują i chwilę przy witrynie księgarni „Paksu⁷²” rozmawiają, starannie jeden i drugi unikając jakichkolwiek akcentów osobistych, związanych z pracą zawodową, wprowadzając w pewnym momencie Panek, czując, że mu stopy zaczynają marznąć, ma ochotę zaproponować Gorbatemu wspólną wódkę, wydaje mu się nawet, że Gorbaty też o czymś takim myśli, lecz natychmiast sobie uświadamia, że podobne przedsięwzięcie uniemożliwiłoby dalsze poszukiwania Marka, więc szybko, prawie w połowie zdania żegna się z Gorbatym i odchodzi w stronę Placu Zamkowego, tam, na rozległe od strony Wisły otwartej przestrzeni porzywisty wiatr, znów zaczyna padać śnieg, w świetle latarni ukośnie zacinający, Ksawery podnosi kołnierz płaszcza, zatrzymuje się przy autobusowym przystanku, gdzie długa kolejka ludzi czekających na autobusy, szarych i przemarzniętych, skulonych pod zamiecią i przydreptujących w rozpapranym bloku, Ksawery znów nie wie, a raczej nie może się zdecydować, co zrobić: wsiąść w 125 albo w 144 i pojechać do SPATiF-u czy jeszcze raz podążyć wiadomą trasą, nawiedzając po drodze rozliczne stacje ciemnych nabożeństw, a ponieważ żadne racje rozumowe nie mogą rozstrzygnąć, który z tych dwóch wyborów może się okazać korzystniejszy, postanawia zdać się na los przypadku i wsiąść do autobusu tylko wówczas, gdy ten w swojej numeracji będzie posiadać cyfrę 9, staje zatem w kolejce i teraz dopiero w stojącym tuż przed sobą chłopcu w krótkiej ortalionowej kurtce i z gołą głową poznaje Włodka Lewickiego, jednego z najlepszych swoich studentów, uwięzionego w ubiegłym roku po marcu i relegowanego z Uniwersytetu, pierwszym odruchem Ksawerego jest radość, że Włodek znajduje się na wolności, i już się chce z wciąż tylko z profilu widocznym chłopcem przywitać, gdy nagle strach go paraliżuje, strach przed rozmową, która może, a nawet musi między nim a Włodkiem wyniknąć, czuje się pusty i bezradny wobec cudzych trosk, nie chce dotykać nie swoich ran, lecz nie jest pewien, czy Włodek już przedtem go nie dostrzegł, zaraz jednak dochodzi do przekonania, że to mało prawdopodobne — tego rodzaju manewry nie pasowały do impulsywnego charakteru Włodka, chyba więzienie go zmieniło? — lecz zupełna obojętność chłopca na otoczenie, zajętego najwidoczniej tylko wypatrywaniem autobusów wciąż się nieukazujących w odległej perspektywie Krakowskiego Przedmieścia, uspokaja Ksawerego, jeszcze chwilę stoi w kolejce, a potem ostrożnie się z niej wycofuje, potrącając przy tym jakąś starszą kobietę, mówi półgłosem „przepraszam”, i szybko się od przystanku oddala w kierunku Świętojańskiej, aby przejść przez plac stroną przeciwną aniżeli ta, po której jest przystanek, idzie coraz szybciej z pochyloną głową, ponieważ wiatr wieje coraz gwałtowniej i śnieg też ostrzej zacina, chwilami brak mu tchu i mimo przenikliwego zimna czuje, że plecy i piersi ma spocone, o niczym nie myśli, i dopiero, gdy fasada kościoła św. Anny osłoni go przed wiatrem dmącym od Wisły, zatrzymuje się, a następnie już wolnym krokiem podchodzi do podcieni przy gmachu Biblioteki Rolniczej, aby zapalić papierosa, zdaje sobie sprawę z własnego tchórzostwa, więc nagle chce to naprawić, rzuca papieros w błoto i prawie biegnąc wraca na plac Zamkowy, lecz w kolejce oczekujących przy przystanku nie odnajduje Włodka, brak mu natomiast sił i odwagi, aby go poszukać w autobusie, akurat zapełnianym przez tłoczących się pasażerów — — — — —

⁷²*Pax* — Stowarzyszenie „Pax”, świecka organizacja katolicka powstała w 1947 r., kierowana przez Bolesława Piaseckiego, przywódcę przedwojennego faszystowskiego Ruchu Narodowo-Radykalnego Falanga i zrzeszająca działaczy z tego kręgu; organem „Paksu” był dziennik „Słowo Powszechne”, stowarzyszenie posiadało także własny Instytut Wydawniczy „Pax”. Organizacja była nastawiona na współpracę z powojennym rządem i dążyła do skupienia wokół siebie środowisk katolickich oraz przyjęcia funkcji wyłącznego ich reprezentanta w dialogu Kościoła z władzą PRL; popierała też wiele kontrowersyjnych działań władz (m.in. proces biskupa Kaczmarka, uwięzienie prymasa Stefana Wyszyńskiego, ruch „księży patriotów” itp.), czerpiąc w związku ze swoją postawą wiele wymiernych korzyści. Po 1991 r. na bazie struktur „Paksu” powstało Polskie Forum Chrześcijańsko-Demokratyczne, a w 1994 r. Stowarzyszenie „Civitas Christiana”. [przypis edytorski]

Po arii z *Orfeusza* rozentuzjasmowana publiczność czterokrotnie wywołuje Halinę Ferens, wreszcie, chociaż oklaski wciąż na sali nie milkną, Andrzej Markowski odprowadza śpiewaczkę do pokoju dla artystów. Na progu zatrzymuje się.

— Nie będę mówić pani komplementów...

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Bardzo się pan o mnie bał?

— Jest pani najniezwyklejszą śpiewaczką, jakiej miałem zaszczyt akompaniować.

— Na próbie byłam okropna?

— Nie była pani sobą.

Na to Halina:

— Ale byłam, drogi panie Andrzeju, rano też byłam sobą.

W tym momencie podchodzi Aimo Immonen, szczerzy zachwyt i podziw, a nawet coś w rodzaju wzruszenia rozpromienia jego twarz. Całując Halinę w rękę, mówi półgłosem:

— *Wasn't I right saying a miracle was going to happen*⁷³?

Maria Nagórska, obawiając się nadmiernego tłoku, woli na czas przerwy pozostać na sali, jednak nie chce, aby syn się poświęcał, więc Nagórski, rzeczywiście spragniony papierosa oraz rozprostowania kolan, korzysta z tego przyzwolenia i schodzi do hallu. Zatem starsza pani pozostaje na prawie pustej sali sama, mimo pewnego znużenia muzycznym zgiełkiem siedzi w swoim fotelu wyprostowana, lecz że powieki jej ciężą, a poza tym raz i zbyt ostry blask światła, siedzi przymknawszy oczy, więc jakby w półmroku, z twarzą rozluźnioną, co upodabnia ją cokolwiek do drzemiącej sowy, mile ogarnięta ściszonymi odgłosami pogwaru dobiegającego spoza sali, i być może kruchy półsen by ją na moment zmorzył, gdyby nagle nie ogarnął ją niepokój, czy Gienia Kordysówna (rocznik 1900), towarzyszka lat ostatnich, spełniająca rozliczne obowiązki damy do towarzystwa, pielęgniarki oraz pomocy domowej, niegdyś wieloletnia krawcowa w „Rozalindzie”, dogadzając swym lękom, kiedy sama zostaje w mieszkaniu, nie zapaliła wszystkich światła, łącznie z dwiema stuświecowymi żarówkami w łazience. Wizja tarczy wirującej w liczniku z zawrotną szybkością i złośliwie przemieniającej swoje obroty na złotówki, natychmiast się kojarzy starszej pani z podejrzeniem, że herbata, świeżo przed koncertem dla Adama zaparzona, została przez niepoprawnie lekkomyślną Gienię wyrzucona do kubła, a los konserwowej szynki, spoczywającej w lodówce, w związku z wiadomym starczym łakomstwem Gieni, też się wydaje starszej pani bardzo wątpliwy. Wszystkie te zagrożenia, już spełnione albo właśnie się spełniające w mieszkaniu przy Krakowskim Przedmieściu, sprawiają, że starsza pani, całkowicie wytrzeźwiona, poczyna się poważnie zastanawiać, czy ze względu na tak się komplikujące okoliczności nie powinna natychmiast powrócić do domu i już się chce w pewnym momencie podnieść, gdy zdaje sobie sprawę, na jak wiele komplikacji ta decyzja jest narażona: numerki od szatni ma Adam, musiałyby go zatem odszukać, co już nastroczało moc trudności, a gdyby się to nawet udało, nie mogąc podać przyczyn prawdziwych, musiałyby kłamać, że źle się czuje, wówczas Adam, jak go zna, nie z ochoty, lecz z niemiłego mu obowiązku z pewnością by się uparł, żeby ją odwieźć i nie omieszkałby przy okazji mentorsko, jak do dziecka zrzędzić, że miał słusność doradzając, aby pozostała w domu, zatem wobec podobnie nieuniknionych inwigilacji i pouczeń rezygnuje ze swego zamiaru, jednak już sobie nie zezwala na stan kojącego rozluźnienia, czy mimo jaskrawego światła ma czujnie otwarte, domowe spustoszenia, poczynione przez Gienię, przestają ją interesować, natomiast niechęć do znakomitego syna ją wypełnia i wnet ta niechęć zwraca się również ku Halinie Czaplickiej, „miałam rację — myśli — że nigdy nie czułam sympatii do jej matki, zawsze była nieprzyjemna dziewczyna, skryta, nachmurzona i spode łba patrząca” — — — —

Starość

⁷³ *Wasn't I right saying a miracle was going to happen* (ang.) — Czyż nie miałem racji mówiąc, że zdarzy się cud? [przypis edytorski]

W czasie przerwy Monika Panek daremnie usiłuje odszukać Otockiego. Ze swego miejsca na parterze widziała, że siedzi w balkonowej łoży rządowej obok wiceministra, teraz jednak w zatłoczonym hallu nigdzie nie może dostrzec jego zasobnej w ciało sylwetki. „Knuje coś” — myśli, intuicja jej podszeptuje, że w zachowaniu Otockiego coś było nie tak, jak być powinno, nie potrafi jednak dociec, co się za tym odchyleniem od normy kryje, jest przecież zbyt pewna siebie, aby się poczuć zaniepokojona, zresztą intuicja w ogóle wyklucza z tej niejasnej gry jej osobę, jest po prostu zła, nawet nie urażona, zwyczajnie zła.

W przejściu do hallu zewnętrznego wpada na Beatę Konarską i Łukasza Halickiego.

— Jak się macie, dziatki! — woła. — Ślicznie wyglądasz, Beatko.

Na to Beata bardzo cieniutkim głosikiem pensjonarki:

— Dziękuję. Czy mam się zrewanżować?

— Nie musisz! — śmieje się cokolwiek nienaturalnie Monika. — *ja wiem*, jak wyglądam.

— Ona — mówi Łukasz Halicki — zaraz się łamie, jak jej nie komplementują.

Beata:

— Bo ja mam kompleksy.

— Kompleksy? — pyta ze zdziwieniem Monika. — Co to jest kompleksy? Wszyscy ciągle mówią o jakichś kompleksach, a ja zupełnie nie mogę zrozumieć, co to takiego i o co chodzi?

Łukasz Halicki:

— Bo ty masz kompleks, że nie masz kompleksów.

Przez chwilę Monika mruga swymi długimi rzęsami, jakby tym motylin trzepotem chciała odzyskać zachwianą leciutko równowagę. I wreszcie:

— Myślisz? Ciekawe. To by mogło być interesujące, muszę się nad tym zastanowić.

Pa, dziatki! Jak wam się koncert podoba?

Beata cieniutko:

— Strasznie dowcipny!.....

— Prawda? — na to Monika. — Aha, nie widzieliście przypadkiem Otockiego?

Łukasz Halicki:

Wino życia jest scedzone

I tylko marne męty pozostały

Pod tym sklepieniem i udają wino — — — — —

Adam Nagórski pali papierosa w większym towarzystwie (Eryk Wanert, Konrad Keller, Zygmunt Mycielski i Krzysztof Penderecki, akurat na krótko w kraju; nieopodal Jarosław Iwaszkiewicz, Roman Jasiński i Artur Taube; nieco dalej profesor Kotarbiński i Stefan Kisielewski), skoro jednak dostrzega Pawła Jackowskiego, stojącego samotnie w głębi hallu, opuszcza przyjaciół, chcąc się przywitać z dawno niewidzianym dyrygentem. Jak było do przewidzenia, Jackowski specjalnie przyjechał z Poznania, żeby usłyszeć Halinę Ferens.

— Niebywała! — mówi, lecz Nagórski od razu zauważa, że mówi to bez charakterystycznej dla siebie młodzieńczej energii. — To jest u was chyba rodzinne: te niespożyte siły i fantastyczna żywotność. Ostatni raz słyszałem Halinę przed dwoma laty w Düsseldorfie, znakomicie śpiewała, ale dzisiaj wydała mi się jeszcze lepsza. Co u ciebie?

— Różnie.

— Bardzo ci dokuczają?

— Nie, właściwie wcale, tyle tylko, że nie ma moich książek, no, i mnie też. Ustalił się, wiesz, taki sposób bycia, który trochę przypomina stosunki pomiędzy skłóconymi kochankami, oni nie dostrzegają mnie, a ja staram się nie widzieć ich.

— Pracujesz?

— Dość mizernie to wygląda ostatnio.

— Pisz, Adam koniecznie pisz, tylu ludzi czeka na twoje książki.

— Ba, ja też na nie czekam. Słyszałem, że zrobiłeś świetnego *Tristana*.

— Podobno, taka jest na ogół opinia. Ale to już koniec pięknej zabawy.

Nagórski przyjrzał mu się uważniej.

— To znaczy?

— Rezygnuję z Opery, a właściwie już zrezygnowałem. Dzisiaj.

Nagórski po chwili:

— Musiałeś?

Grymas, jaki się w tej chwili pojawia na twarzy Jackowskiego, w sposób zaskakująco przykry źle przylega do tej pociągłej i męskiej twarzy podróżnika raczej albo sportowca aniżeli artysty.

— Wiesz, Adam, że nie należę do ludzi łatwo się łamiących, wszyscy mnie uważają za uosobienie energii...

— Słusznie.

— Pewnie słusznie, ale nawet mnie już brak sił i cierpliwości, i nerwów, żeby się użerać na co dzień z tą całą monstrialną i w gruncie rzeczy absurdalną machiną dużych i drobnych szykan, świństw i świństwewek, niedorzecznych zarządzeń i restrykcji, dość mam tego, mam pięćdziesiąt jeden lat, jestem w pełni moich możliwości, nie chcę się stać rozstrojonym wrakiem, wiesz, czym dla mnie była i jest ta poznańska Opera, ostatecznie ja z niej coś zrobiłem, ale w tych warunkach nic nie mogę, co najwyżej mogę położyć teatr i siebie, trudno! Okazało się, że jestem paskudnym syjonistą, elementem niepotrzebnym, przestałem się podobać rządcom folwarku nazywanego Polską Ludową, można i tak!

Nagórski po chwili:

— Co będziesz robić?

— Mam propozycję objęcia opery w Karlsruhe, na razie na trzy lata.

— Zgodzą się?

Jackowski roześmiał się.

— Już się zgodzili! Marzą, żebyśmy więcej nie wrócili.

— A wrócisz?

— Nie wiem, zobaczą. Chciałbym wrócić, ale jeżeli się nic nie zmieni...

— Słaba nadzieja — na to Nagórski i jak zawsze, gdy rozmowa schodzi na tematy polityczne szczególnie drastyczne, mechanizm uczuleniowy poczyna w nim nieomal automatycznie działać. — Dopóki się nic nie zmieni w Rosji, nie może się nic zmienić i u nas. A jak wierzyć w jakieś zasadnicze tam zmiany? To imperium, Paweł, może istnieć i funkcjonować tylko przy takim systemie, jaki jest, żadnych radykalnych zmian, musi być stary rosyjski carat, tyle że unowocześniony i przemalowany na czerwono, więc precyzyjniejszy w metodach ucisku, tak samo zaborczy, natomiast nieporównanie bardziej zakłamanym. Oni nawet, gdyby chcieli coś zmienić, nie mogą. W swoim rodzaju ta budowla stalinowska jest genialna, ale jak każdy system reakcji jest tak doskonale w swoim mechanizmie działania utrwalona, iż nie dopuszcza jakichkolwiek możliwości zmian, zakwestionujesz jeden z elementów konstrukcji lub zechcesz go wymienić na inny, wszystko wówczas zaczęłoby się walić, okazałoby się, że jeden nowy element absolutnie nie pasuje do pozostałych, całą machinę trzeba by było wymieniać. Nie, mój drogi, Rosja może się rozpaść, nigdy zmienić.

Paweł Jackowski, który słuchał uważnie ściągnąwszy swoje czarne, gęste brwi:

— Ale jednak mimo wszystko, gdybyśmy mieli u siebie ludzi trochę lepszych, a przede wszystkim mądrzejszych...

Nagórski:

— Paweł, a jacyż oni mogą być? Prowincjami imperium nie nogą zarządzać ludzie większego formatu. Był Dubczek, Smrkowski, był cały naród, i co? Mierność i skostnienie naszych wielkórzędów jest jedyną gwarancją tych żalonych pozorów, które składają się na naszą niepodległość — — — — —

W związku z dwiema ostatnimi kwestiami Adama Nagórskiego zastanowić się, czy są one rzeczywiście potrzebne, czy nie są po prostu w tym kontekście natrętne. Natrętne? Właśnie! Moje skrupuły mają charakter wątpliwości artystycznej. Wokół spraw najistotniejszych dla naszej egzystencji, lecz o których to właśnie sprawach nie można w Polsce

Rosja, Polska, Władza,
Polityka, Historia, Obraz
świata

Władza, Sztuka, Artysta

mówić publicznie od dwudziestu pięciu lat, nagromadziło się tyle wstydlivosti, zahamowań, zadrażnień i uprzedzeń, iż z chwilą, gdy pisarz decyduje się je powiedzieć — nie lęk polityczny go ogarnia, lecz artystyczny, obawa, czy to, co mówi i co jest jego najgłębszym przekonaniem, posiada dostatecznie przekonywującą nośność artystyczną. Jest to coś w rodzaju niepewności wynikającej z braku doświadczenia, co oczywiście potknięcia artystycznego w niczym nie usprawiedliwia.

Magda Jackowska i Antek Raszewski pozostali w czasie przerwy na balkonie drugiego piętra, tyle tylko że ze stopni, na których siedzieli, ponieważ dostali się na koncert za wejściówkami, przenieśli się do opustoszałych teraz foteli. On jest w tym samym nieco ekscentrycznym i bardzo kolorowym stroju, w jakim w południe wpadł do SPATiF-u, sądząc, że z okazji przyjazdu ojca Magdy znajdzie ich tam oboje na obiedzie, ona w spodniach i w grubym, żółtym golfie, podkreślającym smagłość jej cery i czern włosów. Sami jedni na opustoszałym balkonie, milczący i oboje trochę skuleni, jakby im było zimno, sprawiają wrażenie zatroskanych i zagubionych dzieciaków.

Antek od pierwszej chwili, kiedy się na parę minut przed rozpoczęciem koncertu spotkali przed gmachem Filharmonii, czuje, że się coś stało, ta myśl nie pozwala mu skupić się, nawet występ Haliny Ferens-Czaplickiej minął dla niego bez większego wrażenia i teraz, choć stara się na Magdę nie patrzeć, niepokój ogarnia go coraz większy. Wreszcie mówi półgłosem:

— Magda! — a gdy się nie odzywa, powtarza — Magda!

— Przecież słyszę — odpowiada niechętnie.

— Co ci jest?

— Nic.

Po chwili:

— Głowa mnie boli.

— Stało się coś?

Ponieważ wciąż unika spojrzenia na Magdę i porusza nerwowo szyją, jakby go uciskał pomarańczowy szalik, widzi tylko dłoń Magdy opartą o poręcz fotela i widok tej ręki o dziecięco przykrótkich palcach i krótko przyciętych paznokciach, nieco rozplaszczonej od gry na fortepianie, sprawia, że delikatnie jej dotyka.

— Magda — mówi cicho — nie bądź taka, proszę cię.

Magda gwałtownie rękę cofa.

— Przestań, bo się rozplacę.

Dłuższą chwilę siedzą w milczeniu, wreszcie Magda kładzie rękę na dłoni Antka.

— Przepraszam cię.

— Miałaś jakąś przykrość?

Magda potwierdza skinieniem głowy.

— Na uczelni?

Znów tylko ruchem głowy zaprzecza.

— Więc co? Dlaczego nie chcesz powiedzieć? Magda!

Magda siedzi z głową pochyloną, lekko przygryzając górną wargę, jakby się rzeczywiście bała, że się rozplacze. Wreszcie mówi:

— Ojciec wyjeżdża.

W pierwszej chwili nie zrozumiał.

— Jak to wyjeżdża?

— Wyjeżdża. Mam ci tłumaczyć, co to znaczy?

Antek po chwili:

— A Opera?

— Zrezygnował.

Antek dłuższą chwilę siedzi bez ruchu. Potem pyta:

— A ty?

— Co ja?

— Też chcesz wyjechać?

— Nie wiem, Ancik, nic nie wiem, to wszystko jest takie okropne — — — —

Adam Nagórski wraca na salę z Pawłem Jackowskim, jeszcze w przejściu zamienia kilka słów z profesorem Wnukiem, na swoje miejsce wraca tuż przed rozpoczęciem drugiej części koncertu, a ponieważ wciąż jest pod wrażeniem niedawnej rozmowy, nie zauważa obrazy malującej się na twarzy matki, czym z kolei starsza pani czuje się dotknięta, chcąc zatem natychmiast syna ukarać, otwiera z ostentacyjnym hałasem torebkę i odszukuje w niej miętowego cukierka, aby wyluskiwaniem go z szeleszczącego papierka zirytować uczulonego na podobne manipulacje Adama, jednak te jej zabiegi giną wśród braw witaających ponowne ukazanie się na estradzie Haliny Ferens-Czaplickiej.

Starość, Matka

Podobnie jak w części pierwszej, Nagórskiemu nadal słucha się źle, w ostatnich czasach odwykł od koncertów publicznych, lecz teraz, kiedy Halina zaczęła śpiewać czwartą *Pieśń wędrowca*, ową skargę miłosną: „Błękitne oczy mojej najdroższej, które wysłały mnie w daleki świat” (*Die zwei blauen Augen von meinem Schatz, / Die haben mich in die weite Welt geschickt*) — więc, gdy głos Haliny w sposób szczególnie przejmujący wzniósł się w samotnym szepcie ponad przyciszony akompaniament orkiestry, wyniknęło w nim wspomnienie Nike, prawie bezosobowe, bo bezkształtne i bezgłośnie, niezwiązane z jakąkolwiek sytuacją, musiał się przez moment skupić, aby wśród minionych dni i nocy, głosem Haliny jak smugą światła w ciemnościach prowadzony, wyszukać cielesnej formy dla tej zjawy, szukał jej po omacku, wciąż przy miłosnej skardze Haliny-wędrowca, potykając się o niewykończone, zbyt słabo lub tylko fragmentarycznie wywołane strzępy, cień uśmiechu, cień ramion, cień przymkniętych powiek, cień szeptu, cień oddechu, echo zanikające, aż wreszcie, gdy skuszony ciekawością sprawdzenia mechanizmów własnej pamięci, zdołał uśmierzyć ów chaos, Nike ukazała mu się taka, jaką był zapamiętał, kiedy się przed paru tygodniami, w drugi dzień Wielkanocy, rozstawali w Kazimierzu, w gniewie, który obojgu wybuchł gwałtownie i brutalnie, lecz narastał powoli, żywiąc się nimi, jak ukryty pasożyt, więc ujrzał naraz maskę zniekształconą złością i nienawiścią (gdy z końcem ubiegłego roku Nike zniknęła na kilka tygodni, napisał fragment prozy, który później ukrył głęboko w biurku:

Wspomnienia, Cień

„Mówi Orfeusz: więc stojąc przed murem, który nie istnieje dla świata, ponieważ mnie przydzielony, we mnie tylko i bez trzech sprawdzalnych wymiarów istnieje, stojąc zatem przed murem nierzeczywistym, lecz dla mnie jak najbardziej prawdziwym, stojąc, a raczej klęcząc, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze mego trenu dla Eurydyki, klęcząc zatem liturgicznie u podnóża mego muru, ściany mego życia, wiem, że kiedy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza spełzną z niej, z tej ściany mego życia, ostatnie poblaski zachodzącego słońca — przyjdą Furie, zwane za czasów mego dzieciństwa Bachantkami lub Menadami, przyjdą i rozszarpią mnie. Nie wiem dokładnie, kiedy to się stanie, za sekundę, godzinę, miesiąc czy rok. Czas, jaki mi pozostał, nie zależy ode mnie. Korzystam z niego, lecz nad nim nie panuję. Wiem tyle tylko, że w pewnym, niewiadomym momencie, gdy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza ostatnie poblaski zachodzącego słońca spełzną z muru, u którego niewidzialnego podnóża klęczę, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze mego trenu dla Eurydyki, przyjdą Furie i rozszarpią mnie. To się stanie gdziekolwiek, może wśród głuchych drzew nadwiślańskiego parku, może w zaułku ciemnej, staromiejskiej uliczki, może dla odmiany w oślepiających reflektorach obcego krajobrazu, a najpewniej w scenerii bardzo zwykłej, więc po prostu w moim pokoju, teraz pustym, niegdyś pełnym Eurydyki. Również obojętne, w jakich kształtach Furie się wyłonią, gdy chłód i mrok nastaną, mogą na przykład spaść bezszelestnie z nieba w kombinezonach komandosów albo otoczyć mnie nagle półnagimi ciałami chłopców trackich, pijanych winem i dmących w podwójne piszczalki, może to być również specjalny pluton mimów w cielistych trykotach, z twarzami białymi jak gipsowe maski, obojętne czas i miejsce egzekucji, obojętny kształt Furii, wiem bowiem, że jakikolwiek czas mi pozostał, nigdy nie zdałam wypowiedzieć rzeczy najważniejszej, mojej miłości do ciebie, Eurydyko!” — pomyślał: te gusła, te czary już się skończyły i nigdy nie powrócą, już mnie nie ranią i nie niepokoją, już nie jestem chory, lecz chyba i zdrowy jeszcze nie jestem — — — — —

Miłość, Choroba, Zdrowie,
Zabobony, Czary

Ta diagnoza, a również i pewne intencje profilaktyczne sprawiają, że gdy po dwóch bisach (Bacha *Komm süßer Tod* oraz Haendla *Begrüßung*) i po wielokrotnych wywołaniach Halina Ferens-Czaplicka, przytrzymując oburącz naręczce ciemno pąsowych róż,

odpłynęła wreszcie za kulisy w swym srebrno-czarnym korabiu, Adam Nagórski zwraca się do matki:

— Możemy sobie chyba darować Ravela, nie sądzisz mamo?

— Jak sobie życzysz — odpowiada starsza pani chłodno i wyniośle.

Lecz i ten akcent nie zostaje przez egocentrycznie w tej chwili usposobionego syna zauważony, także jak woda po kamieniu splywa z niego odmowa, gdy już po opuszczeniu sali na propozycję odwiedzenia Haliny starsza pani odpowiada krótko, lecz stanowczo: „Wolałabym nie”. Dopiero w aucie, ciężko sobie torującemu drogę poprzez ślizgawicę i zamieć, gdy na pytanie, jak się Halina podobała, starsza pani po chwili zamyślenia odpowiada, iż według jej rozeznania klaka była bardzo dobrze zorganizowana, znakomity syn leciutko się uśmiecha, ponieważ jest przekonany, że dzięki koncertowej scenerii i atmosferze ocknęła się w matce dawna aktorka, a to go tak rozbawia i wzrusza, iż więcej się nie odzywa, nie chcąc matce przeszkadzać w snuciu pradawnych wspomnień. W tym przekonaniu utwierdza go lekkie drżenie matczynej głowy, lecz sfera wspomnień, nawet cudzych, wydaje mu się nazbyt ryzykowna, aby skupić na nich uwagę, zatem pośpiesznie się z tych podejrzanych kręgów wyłącza i cały się skupia na prowadzeniu auta.

— No, to i jesteśmy! — stwierdza z ulgą, gdy zatrzymuje simkę na Krakowskim Przedmieściu, przy tym w synowskiej rycerskości posuwa się tak daleko, iż szybko wysiada i przechodzi na chodnik, aby otworzyć drzwiczki i dopomóc matce przy wyjściu.

— Odprowadzę cię — mówi, wyjmując z palta kluczyki od samochodu.

— Dziękuję ci — odpowiada na to starsza pani — ale nie fatyguj się, jeszcze, chwała Bogu, potrafię wejść na schody o własnych siłach.

I chcąc upokorzyć egocentrycznego syna wspaniałomyślnością, dodaje:

— Złóż Halinie ode mnie podziękowanie za piękny wieczór.

Nagórski, zadowolony, że nie musi towarzyszyć matce na drugie piętro, nie chwytając wieloznacznych akcentów, jakimi matka, chyba naprawdę odnajdując pomoc w swoich prehistorycznych kunsztach aktorskich, wyeksponowała słowo: „piękny”.

— Na pewno to zrobię, mamo — mówi — zresztą jutro, na ślubie Konrada, będziesz miała okazję zrobić to osobiście.

Starsza pani już wyczerpała swój zasób wspaniałomyślności.

— Będzie jej na pewno milej, jeżeli to uczynisz ty — odpowiada oziębło i drobnymi, lecz zadziwiająco lekkimi kroczkami, jakby ją unosiła parasolka rozpostarta dla ochrony przed śniegiem i wiatrem, zmierza ku bramie swego domu.

Niestety, nie udaje się jej, jak to sobie zamyśliła, wkroczyć do mieszkania nieopstrzeżenie. Nawet nie zdążyła przekręcić klucza w zamku, gdy Gienia, najpewniej dzięki nieczystemu sumieniu przyczajona w korytarzu, natychmiast drzwi na roścież otworzyła. Drzwi do obu pokojów i do kuchni były otwarte, lecz poblask światła docierał tylko z pokoju Gieni. Niemniej starszej pani się wydaje, że na czerstwej i z chłopską zażywej twarzy Gieni, sprawiającej zawsze, dzięki gładko przyczesanym, siwym włosom, wrażenie jeszcze większej, niż w istocie jest, więc że na jej twarzy, a szczególnie w wyblakłych i nieco nazbyt wypukłych oczach maluje się wyraźne zmieszanie:

— Coś ty taka czerwona? — pyta.

Równocześnie wciąga powietrze nosem.

— Gaz chyba czuć, pewnie się w łazience ulatnia.

I nie dając Gieni dojść do słowa, wchodzi do swego pokoju i woła:

— Co tu tak ciemno, jak w grobie?

Energicznie zapala górne światło i chociaż Gienia natychmiast za nią przydreptała i stanęła w progu, udaje się jej, gdy zamierza zaświecić również i lampę przy zaścielonym na noc tapczanie, dotknąć przed tym dyskretnie żarówki: okazuje się zimna.

— Wiesz, że nie znoszę ciemności — mówi — i nigdy ciemności nie lubiłam, od czasu, kiedy podczas powstania przesiadłam całą dobę w zasypanej piwnicy, wstręt mam do ciemności. Były jakieś telefony?

— Żadnych, proszę pani, kto by w taką pogodę dzwonił? Ale niechże pani futro zdejmie, i boty, bo się pani przegrzeje.

Lecz starszą panią roznosi potrzeba działania.

— Moja Gieniu, co też ty opowiadasz? Przecież tu ziąb, jak w lodówce.

I biegnie sprawdzić kaloryfer: jest bardzo gorący.

— Oczywiście! — stwierdza zapominając, że przed chwilą wytropiła zapach gazu. — Musiałś wietrzyć przez cały czas. Dziewczyno, dziewczyno, kiedy ty wreszcie wydorosłesz? Kobieta niby dojrzała, a wciąż się zachowuje jak dziecko.

— Napije się pani herbaty? — pyta Gienia.

Na to starsza pani:

— O tej godzinie? Chcesz, żebym całą noc nie spała? Albo dobrze, niech ci będzie, napiję się, bo mnie jednak trochę trzęsie.

I chcąc swoje zziębnięcie podkreślić, w futrze i w botach, pocąc się z przegrzania, podąża za Genią do kuchni i gdy towarzyszka jej życia napełnia czajnik wodą, sprawdza imbryczek z esencją, stwierdzając z pewnym zawodem, że pod jej nieobecność nie zmienił swojej zawartości.

— Tylko zaparz świeżą — mówi, kiedy Gienia, nieuleczalnie infantylna, zapala gaz i ustawia na czajniku imbryk — wiesz, że nie znoszę takich popłuczyn — — — — —

Pożegnawszy matkę, Adam Nagórski ma zamiar wrócić do Filharmonii, lecz po drodze rozmyśla się i parkuje samochód przed hotelem Europejskim, gdzie o dwudziestej drugiej trzydziści ma się odbyć bankiet, wydany dla Haliny przez Związek Kompozytorów Polskich. Ponieważ na razie nie ma jeszcze dziesiątej, Nagórski, rozebrawszy się szatni, przechodzi do baru w rozległym hotelowym hallu, zamawia tzw. harcerzyka, czyli podwójną wódkę z sokiem grapefruitowym, przez moment, gdy barmanka przygotowuje trunek, prześlizguje się w nim, a trochę jakby poza nim wspomnienie jesiennego popołudnia, kiedy umówiony z Nike czekał na nią w tym samym barze, aż wreszcie po godzinie, nie doczekawszy się, wyszedł i już na ulicy ujrzał Nike akurat wysiadającą z czerwonego volvo, to wspomnienie dosłownie się w nim, a trochę jakby poza nim prześlizguje, i jak nagle się pojawiało, nagle się urywa i znika — — — — — zaledwie znalazł miejsce w głębi hallu przy jednym z wolnych stołów, dostrzega, że nieopodal, prawie w pół leżąc w głębokim fotelu siedzi Henryk Orlik, który chociaż sprawiał wrażenie drzemiącego, musiał go już przedtem dojrzeć, bo skoro ich spojrzenia spotkały się na moment, Nagórski nie zdążył się odwrócić, gdy tamten natychmiast się poderwał i trochę się chwając, złożył w jego kierunku głęboki ukłon, po czym, już wyraźnie się zataczając i wepchnąwszy po drodze do kieszeni spodni obie dłonie, jakby mu zawadzały w zachowaniu równowagi, podszedł do Nagórskiego. Czy miał zmętniałe, białą koszulę pod wizytowym ubraniem rozpiętą przy szyi, krawat zsunięty na bok.

— Uszanowanie mistrzowi — powiedział głosem schrypniętym, lecz nadspodziewanie trzeźwym — mogę się na chwilę do mistrza przysiąść?

Nagórski:

— Niestety, jestem umówiony.

Wówczas Orlik:

— Rozumiem, to ja postoję, nawet wypada, żeby prosty szeregowiec stał przed generałem, bo ja wobec pana, mistrzu, jestem zwykły ciura i choć, ja wiem, pan mnie nie lubi i gardzi, ja pana, niech tu trupem padnę i skonom, jeżeli to nie jest najszczęsza prawda, ja pana częć jak rodzzonego ojca, przyznaję, pisałem o panu źle, podle o panu pisałem, ale przysięgam, to nie było z serca, bo moje serce kocha pana — tu się zachwiał, jakby z nadmiaru wzruszenia, oczy mu zaszczyły łzami, a gdy oślepyłymi dłońmi domacał się fotela, opadł na niego ciężko i odgarniając z czoła zlepione potem włosy, pochylił się ku Nagórskiemu — szesnaście lat miałem, mistrzu, kiedy się biłem w Powstaniu, na Starówce walczyłem, kanałami szedłem do Śródmieścia, taki byłem chłopak!, potem mnie zeszmaciły te skurwysyny, szmatę ze mnie zrobili, ścierkę do brudnych robót, ale nikt Heńka Orlika nie zapyta, przez jakie piekło przeszedł, pan patrzy na wszystko z wysoka, bo pan może sobie pozwolić, pan jest wielki pan, wielki pisarz, a co ja? butów nawet czyścić panu nie jestem godzien, bo jestem szmata! jestem, kurwa jego mać! ale człowiek też jestem — głowa mu na piersi opadła, więc ją objął oburącz, szeroko rozstawionymi łokciami wsparłszy się o krawędź stołu, chwilę trwał nieruchomo w tej pozycji, niewyraźnie coś mamrocząc, aż nagle ciężko i głośno się rozplakał — taki skurwysyn, taki skurwysyn — mamrotał,

łkając i pochlipując przez nos — jak mnie skurwysyn potrzebował, to kumplem byłem, ty mi mówił, Heniek, Henius, a teraz: nie mam czasu, zadzwoncie... skurwysyn taki!

Nagórski, cofnąwszy cokolwiek fotel do tyłu, jakby stwarzając ten pozorny dystans, chciał się od towarzystwa Orlika odciąć, popijał swojego harcerzyka, w pewnym momencie odstawił opróżnioną szklankę na stół i już miał zamiar podnieść się i odejść, gdy Orlik podźwignął głowę, przetarł wierzchem dłoni zażawione oczy, włosy odgarnął z czoła, a skoro spojrzął na Nagórskiego, wyraz jego oczu, jeszcze zaczerwienionych i zwężonych, lecz przytomnych, stał się ostry i nieprzyjemny.

— Przepraszam, że przeszkodziłem — powiedział z krzywym uśmiechem — już pana uwalniam od swego towarzystwa. A na pożegnanie powiem panu: pan też jest skurwysyn, tylko skurwysyn na szlachetno.

Czekał chwilę na reakcję Nagórskiego, lecz gdy się nie doczekał, podniósł się i odszedł w kierunku baru. Nagórski nie patrzył za nim. Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem, a gdy podniósł głowę — Orlika już w barowym hallu nie było. „No tak!” — powiedział do samego siebie półgłosem i był to jedyny komentarz, na jaki potrafił się zdobyć. Jeszcze po chwili podniósł się, aby — wbrew temu, co podszeptował rozsądek — zamówić następnego harcerzyka — — — —

wieczorem

Prawie dziesięć godzin nad maszynopisem, dotarłszy pod wieczór do fragmentu o tyle krytycznego, iż od tego miejsca zaczynają pojawiać się w tekście szczeliny i dziury, nawet miejsca puste, tylko część zaprojektowanych scen jest napisana, a spośród nich te, które przed kilkoma laty były drukowane w „*Twórczości*”, wymagają obecnie wielu korektur. Tylko przypadek sprawił, że znalazłem się w tym punkcie, pełnym niepokojących niewiadomych, akurat w pierwszą rocznicę dnia, w którym — wedle chronologii czasowej — zaczyna się *Miazga*. Pogoda lepsza niż w roku ubiegłym. Od kilka dni pochmurnie, lecz ciepło, sporo deszczu, w mieszkaniu — ponieważ wciąż jeszcze grzeją kaloryfery — zaczyna być duszno.

Zbyt po całym dniu pracy zmęczony, żeby ożywić wyobraźnię i wybiec wraz z nią ku oczekującym mnie kłopotom, chciałbym przecież jedno jeszcze zrobić: przepisać mianowicie — z notatki z października roku ubiegłego plan nieopracowanych fragmentów II części *Miazgi*. Później się zastanowię, czy ten plan rzeczywiście wyczerpuje wszystkie wątki.

Na razie przedstawia się to tak:

- 1) Antek Raszewski i Magda Jackowska wychodzą po koncercie z Filharmonii.
- 2) Maciej Zaremba po spektaklu *Orfeusza zstępującego* w Teatrze Popularnym. Jego żona rodzi.
- 3) Bankiet w hotelu Europejskim wydany dla Haliny Ferens-Czaplickiej przez Związek Kompozytorów Polskich.
- 4) Antek Raszewski wraca do domu. Matka i syn.
- 5) Koleżeńskie spotkanie u Stefana Raszewskiego (cd.)
- 6) Beata Konarska w obecności Łukasza Halickiego odbiera telefon dyrektora Otokiego, powiadamiający ją, że ma grać *Lady Makbet*.
- 7) Wróciwszy z koncertu, Eryk Wanert u siebie w domu czyta pierwszą scenę *Pro-meteusza Ajschylosa* Adama Nagórskiego.
- 8) Bankiet w „Europejskim” (cd.)
- 9) Po bankiecie Adam Nagórski odprowadza Halinę Ferens-Czaplicką do jej hotelowego apartamentu. Ich długa rozmowa.
- 10) Konrada Kellera rozbudza z pierwszego snu gwałtowny ból zęba. Telefon do Moniki, już dobrze po północy.
- 11) Adam Nagórski w nocnym barze „Bristolu”, z nim: Ksawery Panek, Marek Kuran i wciąż oczekujący narodzin syna Maciej Zaremba.
- 12) Noc profesora Henryka Wanerta w Jabłonnie.
- 13) Adam Nagórski u siebie w domu wspomina przed zaśnięciem przeszłość.

Jedno, co mi w tej chwili przychodzi do głowy: zastanowić się, czy po punkcie 8 nie powinna być jakaś scena: Ksawery Panek — Marek Kuran, ponieważ nic nie wiadomo, kiedy i gdzie się spotkali po tak długim (a dla Ksawerego dręczącym) rozstaniu. Gdzie

Kuran tego wieczoru spotkał Nike? W mieszkaniu Alicji Singer? Mało prawdopodobne. Bujał, żeby podrażnić Nagórskiego? Lepiej, żeby ją naprawdę spotkał.

I jeszcze: kiedy w środku nocy Konrad Keller dzwoni do Moniki w sprawie uśmierzającej tabletki — ograniczyć się do niego (pamiętać, że Konrad obolały i niepewny, co będzie jutro na próbie generalnej *Prometeusza*, jest wciąż zaniepokojony sprawnością fizyczną Halickiego-Hermesa, a szczególnie swobodą, z jaką ten początkujący aktor daje sobie radę z banalnym kaduceuszem), czy też przejść do mieszkania Moniki: rozbudzona, lecz trzeźwa matka, powrót od Raszewskiego podpitego ojca, a co z Gustawem?

Chyba jednak na dzisiaj dosyć. Jedyne, na co mnie jeszcze stać, to dokończyć lekturę pasjonującej monografii Ostrogorskiego o Bizancjum. Erykowi Wanertowi wymyśliłem całą jego filmową twórczość, dziecięco-młodzieńczą biografię także, lecz jego życie prywatne w latach ostatnich zupełna mgła. Już nie chcę nawet myśleć, jakie luki w życiorysie posiada Adam Nagórski. Wyobraźnia, kształtując określoną postać, jeśli się u samego początku zwiąże z postacią autentyczną — czerpie z owej postaci ogromne korzyści, lecz w pewnym momencie, gdy się chce od niej odbić: czuje się bezradna i sparaliżowana materią, która była do pewnego momentu pożywna, i nagle, jakby biorąc odwet, odejmuje wyobraźni wszystkie przynależne jej kondycje. Tylko wszystko wymyślając, jest się swobodnym i suwerennym.

Magda i Antek zeszli po koncercie na dół jedni z ostatnich, pierwsze piętro, gdy je mijali, było już opustoszałe, a w hallu i w szatni tłum też się przerzedził, Paweł Jackowski w palcie i z podręczną torbą czekał przy schodach prowadzących do wyjścia, byliby jednak przeszli obok, nie zauważywszy go, gdyby nie zawołał: „Magda!”, wówczas dopiero się zatrzymali i równocześnie odwrócili, oboje z twarzami nieobecnyymi, jakby nagle wywołani ze snu. „Boże, jacy oni młodzi!” — pomyślał i serce ścisnęło mu się z żalu, że swoją decyzją musiał i tę parę dzieci wciągnąć w sprawy zbyt na ich wiek oraz doświadczenia brutalne i trudne, zaczął więc ze sztucznym ożywieniem mówić o koncercie i o Halinie Ferens-Czaplickiej, lecz młodzi nie podjęli tego tematu.

— O której masz pociąg? — spytała Magda.

— Za pół godziny — odpowiedział — muszę się śpieszyć.

— Odprowadzimy pana — rzekł Antek.

— Oczywiście — dodała Magda.

Lubił ich widzieć razem, lecz teraz wołał, aby mu nie towarzyszyli.

— Nie, nie ma sensu — powiedział — innym razem.

Od razu zdał sobie sprawę, że to „innym razem” będzie miało charakter całkiem odmienny, chciał tę niezręczność zatrzeć, lecz poczuł się zbyt zmęczony, aby wykrzesać z siebie jakiś żart, zawiodła go umiejętność rozładowywania trudnych sytuacji, więc tylko objął córkę, żeby ją na pożegnanie ucałować i powiedział:

— Pa, kochanie, jutro wieczorem zadzwonię. Cześć, Antek!

Po koncertach piątkowych wstępowali zwykle na kawę do małej kawiarni „Lucynka” na Sienkiewicza, teraz ją jednak minęli bez słowa, zaczął drobny śnieg, podmuchy wiatru wciąż były ostre i mroźne, szli w milczeniu, a równocześnie młodszy o dwa lata, zaledwie osiemnastoletni, szli w upalną noc lipcową Alejami Ujazdowskimi, naprawdę nie wiedziałeś? — pyta Magda, nie — odpowiada — nie wiedziałem, ale to nie ma żadnego znaczenia, ma — mówi po chwili Magda — dzisiaj po południu, kiedy wyszłam po egzaminie z Konserwatorium, szłam zamyślona i na Ordynackiej wpadłam na jakiegoś przechodnia, to był młody chłopak, tylko trochę ode mnie starszy, okropnie się spieszyłam i nawet nie zdążyłam przeprosić, kiedy spojrzał na mnie z taką złością i pogardą, że dosłownie zaniemówiłam, wiesz, co powiedział?, co? — pyta cicho, Magda: jak leziesz, Żydów? lepiej byś do Dajana pojechała zamiast tu się pod nogami plątać, Antek czuje, że mu krew napływa do twarzy i dłonie się zaciskają, łobuz! — mówi zdławionym głosem — nie przejmuj się, zawsze się może trafić jeden łobuz, to nie był łobuz — mówi Magda — i nie jest jeden, i nagle, przytuliwszy się do Antka, zaczyna płakać równie żałośnie i bezradnie, jak rozpląkała się kiedyś dawno, jeszcze w II klasie szkoły Chopina, kiedy się skaleczyła w palec, płakała nie z bólu, lecz że przez kilka dni nie będzie mogła ćwiczyć, pocieszał ją wówczas i od tego skaleczonego palca i płaczu zaczęła się ich przyjaźń, teraz jednak nie umie znaleźć w sobie żadnych słów pocieszenia, więc tylko dotyka drobnej i drżącej dłoni Magdy, ponieważ nowe uczucie, które go wówczas przed paroma laty

przeniknęło, trwało w nim od owej letniej nocy lipcowej w stanie czujnego i wyostrego pogotowia, skupiając w sobie wszystkie jego instynkty tkliwości i opiekuństwa, gdy wciąż milcząc idą w zadymce mroczną ulicą Sienkiewicza, — — — — — dopiero na placu Powstańców Warszawy, już pustym w martwej poświacie jarzeniowych lamp, Antek szczerzej się owijając peleryną — — — — —

NIEDZIELA, 19 KWIETNIA

Przy tej niedużej rozmiarami scenie męczyłem się dokładnie miesiąc (od 18 grudnia do 18 stycznia), porzucając ją kilkakrotnie dla innych epizodów, wreszcie bezsilność, jaka mnie wobec tego tekstu ogarnęła, przemieniła się w bezsilność o charakterze i ogólniejszym, i głębszym, paraliżującą wszelką dalszą pracę.

Nie wydaje mi się, aby wątpliwości wobec wierszy Adama Nagórskiego: umieścić je, czy też z nich zrezygnować? — stanowiły istotę wspomnianych kłopotów. Scena pomiędzy Antkiem i Magdą tak była pomyślana, iż Antek, chcąc przerwać przedłużające się milczenie, a nie znajdując równocześnie żadnych słów, którymi mógłby Magdę wspomóc, w pewnym momencie zaczyna recytować półgłosem wiersze Nagórskiego; jeszcze zimną maszynopis tych wierszy pokazał mu Ksawery Panek, Antek zrobił sobie wówczas odpis. Już po napisaniu tego epizodu opowiedziałem go przy jakiejś okazji Antkowi L. Okazało się wtedy, że Antek (akurat dzisiaj kończy dwadzieścia jeden lat), znalazłszy się kiedyś z dziewczyną w sytuacji dość podobnej, zareagował w sposób identyczny, z tą tylko drobną poprawką, iż tekst, który przez pół godziny pewnej dziewczynie recytował z pamięci, był tekstem *Bramy rajowej*⁷⁴. Miałbym zatem pewne podstawy sądzić, iż ten mój pomysł z wierszami nie jest z punktu widzenia psychologicznego fałszywy. A przecież wyczuwałem w nim i nadal wyczuwam pewną sztuczność. Lecz czy sztuczność nie może być psychologicznie prawdziwa? Ba! chyba tu tkwi kłopot. Zdaje się, że kształtując postać Antka, przeoczyłem pewną cechę jego dość złożonego charakteru, mianowicie próżność i potrzebę podobania się, nawet swoistą kokieterię, swoistą, bo wynikającą przede wszystkim z pobudek intelektualno-artystycznych, nie bez głębszych przyczyn Antek w pewnym momencie swego niedługiego życia myślał o karierze artystycznej i po maturze, zanim się zdecydował na studia filologiczne, zdał egzamin do PWST. Otóż ten element sztuczności (niekoniecznie śmiesznej w sensie pejoratywnym, przecież w zestawieniu z rzeczywistym dramatem sytuacji wprowadzającej niezamierzony przez Antka pierwiastek zabawy, ironii) zupełnie mi się wymknął, moja pełna sympatia dla postaci Antka zamiast uczynić ją wieloznaczną i barwną, uczyniła ją mdlą. Nie demaskując „sztuczności” Antka, zrobiłem go sztucznym. Podszpty tzw. dobrych uczuć rzadko dają w sztuce dobre wyniki. Sięgając tak często po ironiczne ingrediencje przy kształtowaniu innych postaci, jak mogłem się w tym wypadku tak pomylić?

Lecz nawet świadomość tej mojej pomyłki nie całkiem mnie uspokaja. Czy błąd nie sięga głębiej? Bo gdybym z całą, na jaką mnie stać, umiejętnością wyekspozował ironicznie ów akcent kokieterijnej zgrywy Antka, czy już same rozmiary recytowanych wierszy (a również i ich charakter) nie usunęłyby w cień komentarza? Wydaje mi się, że tak. Chyba sam pomysł był po prostu niedobry, sprzeczny z wymaganiami narracji, bez względu na to, w jaki sposób narrację się prowadzi. Więc co z tym niewydarzeńcem zrobić dalej? Odjąć Antkowi Raszewskiemu okazję do zabłyśnięcia talentem deklamatorskim, inaczej milczenie między dwojgiem młodych poprowadzić, rezygnując ze sprezentowania⁷⁵ wierszy Nagórskiego? Prawie na 100% przechylam się ku takiemu rozwiązaniu.

ZAPIS

Wtedy jeśli mnie pamięć nie myli
do oślepiącej nagości powietrze było obnażone
lecz niebo ciemne
szerniałe słońce
z gęstych zlepiętych popiołów

⁷⁴*Bramy rajowej* — powieść Jerzego Andrzejewskiego (wyd. 1960), opowiadająca o średniowiecznej krucjacie dziecięcej z 1212 r., a zarazem o mechanizmie kształtowania się idei oddziałującej na pewną społeczność; powieść formalnie składa się z dwóch zdań. [przypis edytorski]

⁷⁵sprezentowanie — zaprezentowanie. [przypis edytorski]

nie tylko w dzień konało
lecz i w nocie
gdy białe gwiazdy wyprowadzało na teatr
i chwiejny smug księżycy budził ptaki na płonących wierzbach
wtedy wzdłuż horyzontu
tak mi powtarzano
pochody szły kamienne
i suchy wiatr
starczymi zmarszczkami
faldował twarze dziewcząt i chłopców
pomruki głuchoniemych szarpały niezoraną ziemię
wśród salw egzekucyjnych plutonów
przy kioskach z piwem
i w nieruchomych cieniach karuzel
mimowie w białych maskach i cielistych trykotach
wygłaszali kazania
o życiu i śmierci
a potem
tak donosili kolejni posłańcy
zawsze pod słońca ciemną spiekotą
opustoszałymi wąwozami ulic
wśród dwuszeregu drzew
krzyżujących zwęglone konary jak szpady
galopowali srebrzyści husarze
furgocząc blaszanymi skrzydłami
a na ogromnym stadionie
wypełnionym aż po zgłiszcza nieba
ciężkim oddechem ludzi
w więziennych i szpitalnych pasiakach
ktoś krzyczał
rozbijając powietrze, jak szklany posąg bohatera —
w tych głębokich warstwach czasu
zanikających jak dźwięk i jak dźwięk wibrujących niezniszczalnie
w kamiennej i czarnej przepaści
gdy w zastygłych warstwach lawy
sztywny pod ciężką liturgiczną szatą
zdobywałem kamienną ścianę
i przy oklaskach płaczących kurewek i trąbkach wojskowych straży
w uścisku niemiłosno-miłosnym
przenikałem białym strumieniem
poza czarną ścianę
i w wielkim mieście
wśród tanich neonów
w kręgu chłopców tańczących oberka
myślałem
że jestem natchnionym ognikiem pełznącym wzdłuż czarnej ściany
wtedy byłem ślepy
z wyrokiem bezterminowej ciemności
więc nie mogłem zobaczyć fałszywego końca świata.

GDY NA CHWIEJNEJ KRAWĘDZI

Gdy na chwiejnej krawędzi nocy i poranka
oddech blasku rozprasza kruche cienie snu
i nasze nagie ciała obmyte z ciemności
trwają wiernie złączone wspólnym rytmem krwi

i na miłosnej ziemi aż po wzgórze nocy
objęte czarnym gąszczem trwa początek dnia —

świat który był umarły i w zastygłym czasie
w zimny sopel się zmieniał przedwiosenny śpiew
i sztywne gesty dłoni wzywające echa
zamierały w powietrzu jak zmarznięty dźwięk
ktokolwiek zaś podnosił czarodziejską różdżkę
płomieniem wytryskała lecz natychmiast gasła
wtedy w ten niespełniony i samotny czas
tajemnice też były przemieniane w kamień —

teraz skoro przestały działać ciemne moce
i ciężar ślepej pustki już nas nie ugniata
poznać możemy wszystko — odrodzonym oczom
kamienie odsłoniły najtajniejsze warstwy
obumarły krajobraz nagle w drzeniu światła
gwałtownie zaczął krążyć ten radosny blask
potwierdził nam obojgu że za oknem orzech
wypełniający przestrzeń wilgotną zielenią
gniewne noce oznacza klótnie i rozłąkę —

śnieżyca wirująca nad białą równiną
prowadząc spragnionego w spragnione ramiona
tęsknoty jest symbolem żądzy i spełnienia
zmięty strzępek biletu kłamstwa jest świadectwem
czuwanie nocną porą pod zagasłym oknem
cierpką zazdrość oznacza wśród miłosnych kart
zatajony telefon mrok zdrady porusza
gdy w gorących podmuchach wieje halniak z Tatr
przypadkowe spotkanie jest końcem niezgody
natomiast wspólna podróż radość zapowiada
a zbieranie kaczeńców na podmokłych łąkach
jest najszcześniejszą wróżbą dla najbliższych lat.

Nic nie zapowiadało że nagle rozstanie
wstrząśnie murami miasta i zimowa noc
nigdy nas nie uwolni ze swych ciężkich gruzów
i jasnej smugi światła znów zmienionej w kamień
nigdy już nie przekroczy nasz kamienny krok.

PRZESŁANIE

Tylko pocałunkiem mogłem poznać usta
umykające cienie
tylko ślepą dłonią mogłem poznać ciało
nagie lecz okryte sztywnym płaszczem snu.

Kiedy na cmentarzach w ciemnych gąszczach ziemi
bieleją posągi zastygłe w kamieniu
my choć oddychamy — powoli stygniemy
aż w zimny sarkofag zakuje nas czas
i pamięć przeszłości krążyć w nas przestanie
warg naszych nigdy nie poruszy uśmiech
spod powiek kamiennych nie wypłynie łza.

Przechodniu obcy zlituj się nad nami.

Recytowanie wierszy Nagórskiego trwa dostatecznie długo, aby przez ten czas, idąc Warecką, a potem po przecięciu Nowego Świata Ordynacką, młodzi doszli do Kopernika, gdzie Magda Jackowska od wielu lat mieszka u ciotecznej babki, Ireny Kwileckiej, słynnej w latach międzywojennych skrzypaczki, obecnie kobiety bardzo już sędziwej.

Skreślałam scenę, w której Magda i Antek, schroniwszy się przed wiatrem i zamiecią w głąb bramy, nie mogą się zdecydować na rozstanie. Trzeba to napisać na nowo, to, co jest, jest zbyt liryczne. Magda i Antek nigdy się jeszcze ze sobą nie przespali. W ich miłości więcej jest wzajemnej idealizacji niż erotyzmu. Antek przy całej wrażliwości i kobiecym instynkcie opiekuństwa jest w istocie spragniony, aby go podziwiano i adorowano! Nawet jeśli jego esej o *Ostatniej godzinie* był rezultatem rzeczywistego przejęcia się twórczością Nagórskiego, to, choć Antek może w pełni sobie tego nie uświadamiał — napisał tę rozprawkę w nadziei, że kiedy Nagórski przeczyta ją, nie skwituje jej milczeniem i że ze znajomości ze znakomitym pisarzem wyniknie podziw i żywa sympatia dla młodego i tak utalentowanego wielbiciela. Nie wydaje się, aby Antek czuł się szczególnie pewny siebie jako mężczyzna. Może dlatego właśnie imponuje mu cokolwiek Marek Kuran?

Tego wieczoru, w momencie pożegnania Magda po raz pierwszy o tak późnej porze chce, aby Ancik poszedł z nią do mieszkania. Antek nie ma żadnych wątpliwości co do jej intencji. Czy pragnie tego samego? Prawdopodobnie i tak, i nie, bo nie jest pewien, czy okaże się w łóżku dostatecznie atrakcyjny. Lecz to, co go przede wszystkim w tej chwili paraliżuje, to świadomość, że skoro Magda akurat dzisiaj chce mu się oddać — jej postanowienie oznacza, iż zdecydowała się na wyjazd z Polski. Odczytanie w literaturze natychmiast podsuwa mu skojarzenie, że tym nagłym pragnieniem Magdy jest coś z ofiarnej determinacji młodych dziewcząt oddających się swoim chłopcom, gdy w czasie wojny powołani zostają do wojska. Ogarnięty popłochem, przerażeniem i rozpaczą ucieka.

Kobieta, Mężczyzna, Seks,
Młodość, Obyczaje,
Ucieczka

W hallu hotelu Europejskiego Ksawery Panek od razu dostrzegł Nagórskiego, moment się zawahał, czy nie podejść i nie zasięgnąć wiadomych informacji, lecz ostatecznie, przypomniawszy sobie, że Adam był na koncercie, wycofał się niezauważony przez tamtego, a ponieważ przed chwilą przeprowadził już był inspekcję baru, restauracji oraz kawiarni „Bristolu” — pierwszy etap swojej kalwaryjnej drogi ma z głowy, choć nie całkiem, nie może się bowiem wesprzeć pewnością, że właśnie teraz lub za chwilę, gdy zmierzać będzie w kierunku Nowego Świata, Marek nie pojawi się na którymś z terenów już spenetrowanych. Więc w miarę zapuszczania się w głąb regionów jeszcze dziewiczych, wątpliwości owe zawiązują się w Ksawerym w supeł tak nieprzyjemnie uwierający, iż przed pomnikiem Kopernika zwalnia kroku i poczyną się zastanawiać, czy nie zawrócić i raz jeszcze nie sprawdzić opuszczonych dopiero co lokali. „Koszmar!” — mruczy do samego siebie, wrażliwe na chłód ręce ma całkiem zgrabiłe, wargi i policzki drętwe, oczy załzawione.

— Ksawery! — słyszy nagle obok znajomy głos.

Andrzej Wąjs w rozpiętym kożuchu i z gołą głową wydawał się tym spotkaniem uszczęśliwiony.

— Co z tobą? Od godziny czekamy w „Kameralnej”, Marek mówił, że się umówił z tobą na dziewiątą.

Mimo przemarznięcia Ksawery Panek czuje, że błędnie.

— Coś mi wypadło — mruczy niewyraźnie.

— Marek chyba jeszcze czeka, bo jest bez forsy, a ja też na zero.

— Głupstwo! — Ksawery nagle się ożywił — mam pieniądze. Chodź!

Ale Wąjs potrząsnął głową.

— Wykluczone, na dziś mam dość, piję od szóstej.

— Nie jesteś pijany.

Na to Wąjs:

— Żółwie są wysoce wrażliwe na, zdawałoby się, zgoła niegroźne wpływy zewnętrzne, tylko że cierpią, nie okazując tego, co sprawia wrażenie, że mogłyby znieść wszystko.

Zatem Ksawery Panek, chociaż w sytuacji na taką modłę skryształizowanej wolałby się podeprzeć towarzystwem Andrzejka, sam ulicą Kopernika podąża w kierunku „Kameralnej”, lecz w miarę zbliżania się do celu, do owej stacji kalwaryjnej, gotującej mu tak

Cierpienie

beznadziejnie długo wyczekiwane i poszukiwane spełnienie — stan ekscytującego ożywienia powoli w nim przygasa, nawet się nie niepokoi, że Marek mógł lokal opuścić, jest pewien, że go przy barze odnajdzie i nim się zdecyduje wejść do „Kameralnej”, właśnie ta świadomość każe mu przystanąć i pomyśleć, że powinien odtrącić to bliskie spełnienie, lecz gdy to myśli, stojąc pod murem z półprzymkniętymi powiekami, znów poblady mimo zeszywniałych z zimna policzków i warg, wie, że tego nie uczyni, ponieważ — — —

Dopiero dzisiaj w brulionie z tekstami *Miazgi* odnalazłem tę scenę. Zupełnie o niej zapomniałem, nie było jej w planie, który wynotowywałem wczoraj. Koniecznie przejrzyć wszystkie bruliony oraz teczki z notatkami gromadzonymi od wielu lat. Moja pamięć bywa tak zawodna!

W Teatrze Popularnym dobiega końca przedstawienie dramatu Tennessee Williamsa *Orfeusz zstępujący*, już osiemdziesiąte siódme i jak wszystkie poprzednie przy pełnej widowni, ponieważ rolę młodego wykołajeńca, wędrownego grajka i śpiewaka, Vala Xaviera, gra rzadko występujący na scenie Maciej Zaremba, najpopularniejszy gwiazdor filmowy ostatniego dziesięciolecia. W tej chwili Zaremba w czarnej koszuli i w dżinsach, bowiem towarzysząca mu przez całą sztukę kurtka ze skóry węża pozostała na podłodze sceny, teraz przyciemnionej, a przedstawiającej wnętrze prowincjonalnego sklepiku, więc Zaremba stoi za kulisami, czekając na ostatnią kwestię Basi Stępińskiej, na razie, po raz osiemdziesiąty siódmy, lecz prawie zawsze czując w tym kulminacyjnym momencie mrowienie się dreszczy wzdłuż pleców, słucha nagranej na taśmę wrzawy rozjuszonego tłumy, kastrującego i rozszarpującego Vala na drodze przed sklepem, pod oliwnym drzewem, myśli, że po przedstawieniu wróci natychmiast do domu, jednocześnie widzi, że Andrzej Wnuk przystanął nieopodal, więc w jego stronę woła głośno, aby się przebić przez tumult wypełniający kulisy: „jak było?”, tamten kiwa głową, że dobrze, i oto scena się rozjaśnia, zgiełk w głośnikach powoli przycicha. Krwawe przeznaczenie Vala już się dopełniło i Basia Stępińska, grająca rolę Carol, z długimi, prawie białymi włosami, w zmiętym, przybrudzonym trenchu, w dłoniach ściskając kurtkę z wężowej skóry, woła nieprzytomnie, jakby tym histerycznym krzykiem usiłowała wydobyć z banalnej kwestii najgłębszą tajemnicę życia, woła: „Dzikie istoty zawsze pozostawiają po sobie skórę, pozostawiają poza sobą suchą skórę, zęby i białe kości i to są pamiątki przechodzące z pokolenia na pokolenie, tak jak pokolenia zstępujące zastępowane są przez następne”, jeszcze chwila i kurtyna powoli opada, a z widowni po momencie ciszy, owej wymownej pauzy przedłużającej trwanie fikcji, dobiega szum oklasków i te nasilające się brawa nagle, jak wilgotna gąbka kredowy napis, zmywają w Zarembie parogodzinny stan napięcia, czuje się zmęczony i pusty, i gdy ma wyjść na scenę, chociaż wie, że jego ukazanie się natychmiast podniesie temperaturę braw, musi się przewyciężyć, aby swemu już przeciężkiemu na co dzień ciału nadać lekkość wibrującą podskórnym niepokojem i siłą, a więc ten kształt i gest, których żądają od niego niezliczone rzesze wielbicielek i wielbicieli, bowiem jeszcze przed dziesięcioma laty, gdy w filmie Wanerta *Natchmienie świata* grał legendarną już teraz postać Krzysztofa Gaszyckiego, młodziutkiego akowca z czasów okupacji, taką właśnie fascynującą cielesnością zaraził tysiące młodych, naśladowujących jego nieco nieskoordynowane ruchy, taneczny krok i przyciemnione okulary (wychodząc po skończonym przedstawieniu na scenę zawsze ma moment żalu, iż zgodnie z zaleceniem reżysera nie może na siebie włożyć wężowej kurtki) — — — — —

Zarembę, ciężko i powoli zmierzającego ku garderobie, zatrzymuje Andrzej Wnuk.

— Maciek, był do ciebie telefon.

Tamten bez zainteresowania:

— Od kogo?

— Tylko się nie denerwuj...

— Czego się mam denerwować?

— Na pewno wszystko jest w porządku.

— Dobry byłem?
 — Bezbłędny! Słuchaj, dzwonili, że Grażyna jest w szpitalu.
 W pierwszej chwili Zaremba zdaje się nie bardzo rozumieć, o co chodzi.
 — Jak to? — bąka niepewnie.
 — Nie gniewaj się, stary, ale naprawdę tylko ze względu na ciebie i przedstawienie wolałem ci tego nie mówić wcześniej.
 Wówczas Zaremba:
 — O rany! Kiedy dzwonili?
 — Zaraz po siódmej. Poczekaj! Powiedzieli, że do szpitala przyjechała koło drugiej, tylko nie mogli się nigdzie do ciebie dodzwonić.
 Zaremba spojrzął na zegarek i chwycił się za głowę.
 — Jezus Maria! To ja już jestem ojcem!
 Lekkość, z jaką się poderwał i pomknął ku garderobie, wskrzesiła najlepsze jego czasy. Wrócił prawie natychmiast, z notatnikiem w ręku.
 — Co to za szpital?
 — Dzieciątka Jezus. Zaraz ci dam numer centrali. 29-60-21.
 Zaremba wykręcił numer.
 — Zajęty! Akurat teraz kogoś przypiliło.
 A ponieważ dla swego podniecenia i niecierpliwości musi znaleźć jakieś ujście, otwiera notes i pod datą 18 kwietnia wypisuje dużym i pośpiesznym pismem: URODZINY TOMASZA.
 — Skąd wiesz, że to jest syn? — pyta Andrzej Wnuk.
 Zaremba spogląda na niego ze zdumieniem.
 — Zwariowałeś? Cudów nie ma! Grażyna może mieć różne wady, ja też nie jestem doskonałością, ale jedno jest pewne, jej można zaufać.
 Dopiero za trzecim razem udaje mu się uzyskać połączenie, jest jednak tak podniecony, że skoro przy pomocy nieskoordynowanych i przeraźliwie głośno wykrzyczanych informacji zdołał się wreszcie połączyć z oddziałem położniczym, głos (ten sam, którym od wielu lat uwodził i czarował z ekranu) mu się załamał, jak gdyby w tym doniosłym momencie męskiej dojrzałości zwagarował w okres chłopięcej mutacji. Zatem rozpaczliwymi gestami wolnej dłoni począł na pomoc przywoływać Wnuka, który z właściwą sobie dyskrecją w sprawach intymnych stanął bezpiecznie przy oknie.
 — Andrzej! — krzyknął wreszcie Zaremba wysokim dyszkantem, przysłaniając słuchawkę dłonią. — Nic nie rozumiem, co ta idiotka mówi, chodź!
 Więc Andrzej Wnuk ujął sprawę w swoje precyzyjne, reżyserskie dłonie.
 — Halo! siostra dyżurna? dobry wieczór siostrze, tu mówi Andrzej Wnuk z Teatru Popularnego... tak, ten sam... dziękuję siostrze, bardzo mi miło... na oddziale siostry leży, o ile się nie mylę, pani Grażyna Zarembina, żona... właśnie... tak... tak... rozumiem... oczywiście, powtórzę i dziękuję... to świetnie... a kogo prosić?... siostrę... siostrę Dobrowolską, tak, oczywiście, wszystko dokładnie powtórzę... dziękuję... proszę przekazać pani Zarembinie najlepsze pozdrowienia od męża i również ode mnie...
 Podczas rozmowy Zaremba krąży wokół Wnuka na palcach, jakby tańczył.
 — I co?
 — Na razie nic.
 — Jak to nic?
 — Jeszcze nie urodziła.
 — Co ty mi stary lejesz wodę! Żartujesz!
 Reżyserskie milczenie Wnuka okazuje się dobrym argumentem.
 — O której, mówiłeś, przyjechała?
 — Koło drugiej.
 Zaremba szybko poczyna liczyć na palcach.
 — Trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma, ósma, dziewiąta, dziesiąta... osiem godzin!
 Jezus Maria, to co ona robi? Ile trzeba, żeby kosmonauta okrążył Ziemię?
 Na to Wnuk:
 — Siostra Dobrowolska, ta, z którą rozmawiałem, bardzo miła, powiedziała, że widziała wszystkie twoje filmy i jest twoją wielbicielką.
 — Nie pieprz, stary! Pewnie była pijana.

Ojciec

— Kazała ci poza tym powiedzieć, żebyś się nic nie niepokoił, ale to pierwsze dziecko...
— To co z tego?
— Poród może dłużej potrwać, tak powiedziała.
— Ale dlaczego? — wrzasnął Zaremba. — Sprawozdania się im nie zgadzają? Budżet przekroczyli? Remanent? Dlatego mój syn nie może się urodzić?

Andrzej Wnuk, nie odnajdując w sobie dostatecznie trafnej riposty, przywołuje na pomoc starego Flauberta, którego korespondencję czytał akurat ostatniego wieczora. Spokojnie zatem wypowiada zdanie z listu (zapomniał do kogo):

— Czepia się pan szczegółów, a trzeba zaatakować całość. Pierwiastek brutalny jest w głębi, a nie na powierzchni.

Na to Zaremba:

— Dziękuję, ta przynęta już nie chwyci. Dwa razy robiłem rewolucję, przepraszam, mam dość. Nie jestem wieża ani król czy królowna, laufer też nie jestem. Pionek, rozumiesz? To kogo mam atakować, jaką kurewską całość? Sondą też nie jestem, żeby macać głębokości. Aktor jestem!

— Ona ma dzisiaj nocny dyżur — mówi Wnuk — i powiedziała, że możesz dzwonić o każdej porze.

PONIEDZIAŁEK, 20 KWIETNIA

Pochmurno, ale 18°C, zielonawa mgielka poczyna się już zawiązywać wśród drzew parku po drugiej stronie alei Świerczewskiego. Wysłałem dzisiaj list do prof. Waltera Davy, naczelnego reżysera austriackiej telewizji z prośbą, abym otrzymał oficjalne zaproszenie na przyjazd do Wiednia w drugiej połowie sierpnia w związku z jesienną premierą *Ciemności kryją ziemię* w wiedeńskiej telewizji.

Bankiet w hotelu Europejskim wydany dla Haliny Ferens-Czaplickiej przez Związek Kompozytorów Polskich. Koszmar z tym przeklętym bankietem! To wieczorne po koncercie przyjęcie dla Haliny Ferens-Czaplickiej wlecze się za mną od wielu lat tym cięższe, że niezmiennie puste. Kogo i co upchać w ten worek? Kłopot największy, że w podobnej kolacji musi brać udział co najmniej ze dwadzieścia osób (powiedzmy: około piętnastu), a ze znanych są tylko: Halina, Adam Nagórski, Aimo Immonen, dyrygent (trochę kłopotliwy, bo autentyczny Andrzej Markowski), może na osobiste życzenie Haliny prof. Kazimierz Wnuk. To wszyscy. A reszta? Aha! jeszcze Witold Kalecki, kompozytor i kolekcjoner starych zegarów i pozytywek oraz grających szaf, o tyle tutaj użyteczny, ponieważ dzięki niemu Adam Nagórski poznał przed kilkoma laty Nike, późnym wieczorem lipcowym na Nowym Świecie. Już od dawna było zaplanowane, że na bankiecie Kalecki, orientując się doskonale, zresztą jak wszyscy, w związku Nagórskiego z Nike, lecz nic o ich ostatnim, niedawnym rozstaniu nie wiedząc, podejdzie do Nagórskiego i zapyta o Nike. To potrzebne, aby motyw Nike kilkakrotnie w ciągu tego długiego piątkowego wieczoru powracał. Lecz na miłość boską, krótka rozmowa Nagórskiego z Kaleckim nie robi jeszcze bankietu, który musi trwać co najmniej ze dwie godziny. Aimo? Wszystko już wiadomo! Nie dłużej niż godzinę nienagannie wychowany i ożywiony towarzysko (przy kim siedzi?), lecz zgodnie z rytuałem obowiązującym przy koncertowych nabożeństwach wielkiej śpiewaczki przesyłający jej z oddalenia czułe, choć dyskretne spojrzenia i uśmiechy — potem zacznie się od swej kochanki i protektorki oddalać, coraz bardziej niespokojny i nieuważny, aż wreszcie zniknie jej z oczu i na długie godziny gdzieś się zagubi (na dole, w barze?), wśród spraw nigdy do końca niewyjaśnionych, a wiadomych tylko jemu.

Cóż zatem zostaje? Prawie na pewno dłuższa rozmowa Haliny Ferens z prof. Wnukiem, oczywiście o Krzysztofie Czaplickim. Może się do takiej rozmowy przyłączyć Adam Nagórski, odpowiedni moment (bo już po alkoholu, przed bankietem przecież wypił w barze dwa harcerzyki) dla jego wynurzeń na temat Krzysztofa. Muszę koniecznie sprawdzić tekst już przejrzany, wydaje mi się bowiem, że w pewnym miejscu Halina Ferens-Czaplicka została nazwana cioteczka siostrą Nagórskiego, tymczasem ona i Krzysztof, będąc dziećmi przyrodniej siostry Adama, Emilii Czaplickiej, są jego siostrzeńcami.

Pomysł, żeby gdzieś koło północy wtargnął na bankietową salę podпиты Marek Kuran — natrętny i niepotrzebny. Ewentualne rozmowy o sztuce i polityce też do bani. Mógłby

Rewolucja, Obywatel

Nagórski, o którejś tam porze schodząc do toalety, spotkać w hallu albo w szatni Alicję Singer, która po koncercie poszła na kolację w towarzystwie młodego i przystojnego, powiedzmy: sportowca (bokser, oszczepnik, krótkodystansowiec?). Ale po co? Żeby się dowiedzieć, co to była za historia z Markiem Kuranem? Albo żeby Nagórski, nie bez pewnej satysfakcji, mógł stwierdzić, że jego kuzynka (także siostrzenica!), mimo wielkiego o siebie zadbania, trochę się podstarzała? Zastanowić się, może to miałyby jakiś sens, Alicja Singer przynajmniej raz jeden pokazałaby się w swoim kształcie cielesnym.

Nieźle by pasowali do bankietu jutrzejsi nowożeńcy, a Konrad, jako powinowaty Haliny, mógłby wraz z narzeczoną figurować wśród zaproszonych. Byłaby to okazja, aby Konrad w przystępie pewnego rozluźnienia (lecz czy dopuściłby do takiego stanu?) poczynił zwierzenia na temat swego nie całkiem zrozumiałego małżeństwa z Moniką. A jutrzejsza Panna Młoda samą swoją obecnością też by wniosła element ożywienia, to mogłoby wypaść nieźle, lecz obecność obojga na bankiecie psuje cokolwiek i mąci ową historię z bólem zęba, która w sposób bezwzględny i ostateczny została od dawna Kellerowi zaplanowana. A może jednak? Gwałtowny ból zęba (wyleczonego i zaplombowanego) budzi Konrada z pierwszego snu gdzieś koło drugiej w nocy. A ponieważ znakomity aktor usypia łatwo i szybko, wystarczy, jeśli się położy między północą i pierwszą. Ze względu na jutrzejszą ranną próbę generalną *Prometeusza* i w ogóle cały dzień dla obojga męczący (choć jakże radosny!) nie muszą uczestniczyć w przyjęciu do końca, przed północą mogą się w sposób dyskretny ulotnić, Konrad odwozi Monikę na Saską Kępę i natychmiast wraca do siebie, wszystko razem nie zabierze więcej niż około piętnastu, dwudziestu minut. Owszem, to jest kuszące. Warto by może także dopisać scenę w aucie, kiedy Konrad odwozi Monikę. Przy willi, w której mieszkają Pankowie, mogliby, wysiadając z auta, akurat natknąć się na moment powrotu do domu Leopolda Panka (wraca od Raszewskiego), oczywiście starego, nieźle podpitego, odwozi kierowca, ten sam, który o swoim szefie dość pogardliwie się wyrażał w części I. Takie nocne i nieoczekiwane spotkanie ojca z córką i już prawie zięciem może być interesujące, możliwość dobrych podtekstów, śmieszne poza tym i także trochę żalodne, szczególnie dla Panka. Także po drodze, w aucie jeszcze jeden dialog narzeczonych: Konrad całkowicie pochłonięty swoim *Prometeuszem*, Monika rozgadana na temat Lady Makbet (z pewnością poruszała ten temat na bankiecie), a równocześnie wciąż niezdecydowana, w jaki sposób ułożyć swoje dalsze stosunki ze Stefanem Raszewskim. Bo chyba jednak jeszcze ostatecznie nie zerwali?

Wspomniane przed chwilą zwierzenia Konrada Kellera. W Filharmonii przed koncertem Keller mówi, że jeśli został aktorem, to być może dlatego, iż zbrakło mu fantazji i tupetu, aby stać się hochsztaplerem. Przepadła mi, niestety, wtedy w '66 roku w Stuttgarcie, scena (właśnie ta nocna z bólem zęba) w której Konrad słucha wywiadu ze sobą nagranego na taśmę. Został mi jednak w notatkach fragment tego dialogu:

— Jeżeli zostałem aktorem, jestem aktorem i chyba nim pozostanę, to nie dlatego, żebym nie potrafił robić czegoś innego. Myślę np. że mógłbym być niezłym architektem, może chirurgiem.

— Więc?

— Jestem aktorem, żeby się nie pozwolić przychwycić.

— Przez kogo?

— W ogóle. Na tym polega gra. Jeżeli w poniedziałek jestem dla kilku milionów odbiorców telewizji Tartuffem, tego samego dnia w iluś tam kinach oglądają mnie ludzie w pontyfikalnych szatach papieskich, a nazajutrz w teatrze jestem Jagonem albo Edypem... rozumie pan, nie umiem tego wyrazić inaczej, bo to jest właśnie tak: nie można mnie dopaść i przychwycić.

Wydaje się, że Keller jest źle przystosowany do wszystkich rzeczywistości prócz tych, które stwarza grą i w kostiumie, a jeśli stosunkowo nieźle czuje się w towarzystwie Moniki, to dlatego przede wszystkim, iż wie, że ta piękna kobieta i kiepska aktorka jest dostatecznie kabotynką, aby nie wymagała od niego naturalności. Przy niej może grać, a nawet zgrywać się. Czy ma świadomość tego? Chyba tak, jest zbyt inteligentny, żeby tego nie musiał wiedzieć. Ale tego, oczywiście, w rozmowie na bankiecie (z kim? może z którymś z kompozytorów), nie powie, to znaczy: nie powie do końca. Natomiast zdania z przytoczonego przed chwilą wywiadu na pewno wygłosić może. A może się i tak zdarzyć, że Monika, choć siedzi po drugiej stronie stołu, dosłyszyna ostatnie zdanie i wówczas

niewątpliwie się nie powstrzyma, aby swego znakomitego narzeczonego nie spytać, czy jej się także nie pozwoli dopaść i przychwycić. Wówczas:

KONRAD

Och, ty jesteś wyjątkiem! Ty mnie już przychwyciłaś, kochanie. Przepraszam, źle się wyraziłem. Myśmy się wzajemnie przychwycili.

MONIKA

Jesteś tego pewien?

KONRAD

Więcej, przypuszczam.

W innej sytuacji:

MONIKA

Gdybym miała tak cudowny głos, jak pani, chyba bym się bała śpiewać.

HALINA FERENS

A pani na scenie nie boi się grać?

MONIKA

Och nie! Oczywiście, że nie (*i bardzo pewna przewagi, jaką posiada dzięki urodzie i młodości*), ale to co innego, ja nie jestem tak cenna. Konrad, powiedz, odczuwasz lęk, kiedy jesteś na scenie?

KONRAD

Staram się to zostawić za kulisami, kochanie.

MONIKA

Coś nowego! Przecież ty nie masz tremy?

KONRAD

Mówiłaś o lęku.

MONIKA

To lepiej czy gorzej?

KONRAD

Zależy w stosunku do czego.

MONIKA

Słyszeliście? On na żadną kwestię nie odpowie wprost, zawsze gdzieś z boku.

KONRAD

Czasami z dołu, kochanie.

MONIKA

Oni to nazywają nowoczesnym dialogiem.

NAGÓRSKI

Oni?

MONIKA

Intelektualiści.

NAGÓRSKI

Nie uważasz siebie za intelektualistkę?

KONRAD

Monika jest skromna.

MONIKA

Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jestem prostą dziewczyną, która, kiedy o co zapyta, to lubi, żeby jej odpowiadano po prostu, tak albo nie, a nie żeby jej podawano na ozdobnej tacy nowe pytanko z zieloną wstążeczką.

KONRAD

Musi być zielona, kochanie?

MONIKA

Och, ty swoje odpowiedzi-pytania zawiązujesz czasem zwykłym sznurkiem. Wybacz, ale to nie jest moja *cup of tea*.

Pozostańmy na razie Monice ostatnie słowo. Po przepracowaniu całości *Miazgi* trzeba będzie i do tej zabawy powrócić. Może się coś da zrobić z tego bankietu. Zgodnie z planem (chyba słusznym) scena tego wieczornego przyjęcia, w pewnym momencie przerwana, ma się pojawić raz jeszcze, tyle że później, gdzieś przed północą, kiedy na sali bankietowej nie ma już Aima Immonena, wszyscy są dość pomęczeni i rozluźnieni, a Konrad i Monika dyskretnie się ulatniają. Może wtedy rozmowa Nagórskiego z dawnym jego, bo jeszcze sprzed wojny przyjacielem, prof. Wnukiem? Kusi mnie trochę, żeby jeszcze raz wywołać pewne moje wspomnienie z lat wojennych, kiedy w sierpniu roku 1942 znaleźliśmy się z Czesławem Miłoszem w Krakowie, przedtem parę dni zatrzymaliśmy się w Chrobrzu u Józka Mortona, a potem wąskotorową kolejką dobrnęliśmy po całym dniu podróży do Kocmyrzowa, do Krakowa szliśmy piechotą, było już dość późno, kiedy znaleźliśmy się w mieście, bo — pamiętam dobrze — był zmierzch i słabo się tliły zaciemnione światła, piliśmy tani rum w knajpie koło dworca, i chyba ostatnim pociągami w doskonałych humorach pojechaliśmy do Kazika Wyki, do Krzeszowic. Nazajutrz rano wybraliśmy się we trójkę do Krakowa, było akurat jakieś święto hitlerowskie, bodaj święto Hitlerjugend, cały Kraków dosłownie tonął w sztandarach i w swastykach, więc przytłoczeni tą obcą wrogością opuściliśmy stłoczone śródmieście bez oddechu i Grodzką poszliśmy w kierunku Wawelu, zaszliśmy aż na Skalkę, tam martwa cisza była, żywej duszy i właśnie z tego dość długiego błędzenia wokół kościoła z grobami zasłużonych Polaków wyniknęła w wiele lat później fragment mojej przedmowy do *Lorda Jima* Conrada, któremu kiedyś, gdy był młodym chłopakiem i rwał się do świata, krakowska Skalka mogła się wydać czcigodnym przybytkiem równie skostniałym i bez życia, jakim się wydała nam już nie tak wprawdzie młodym, lecz jeszcze młodym w tamten upalny dzień sierpniowy w okupowanym Krakowie. Lecz wspomnienie, o którym przed chwilą napomknąłem, dotyczy nie tego dnia, lecz poprzedniego wieczora. Może warto coś z tego zrobić?

Koniecznym napisać scenę Monika-Konrad w drodze na Saską Kępę i również scenę spotkania z powracającym od Raszewskiego Leopoldem Pankiem.

wieczorem

Po prawie dziesięciu godzinach pracy jestem tak zmordowany fizycznie, ale tylko fizycznie, że brak mi sił, aby się zabrać do powrotu Antka Raszewskiego do domu i jego rozmowy z matką. Też scena nienapisana, sporo jednak do niej dawnych pomysłów, trzeba je tylko będzie uporządkować i zdecydować ostatecznie, czy tekst eseju Antka o *Ostatniej godzinie* ma być w tym miejscu, czy przełożyć go do części III. Już kilkakrotnie rozpatrywałem wszystkie argumenty, przemawiające na korzyść lub niekorzyść każdego z tych dwóch rozwiązań. Na razie bardziej mi trafia do przekonania, aby tekst eseju (jutro, to znaczy w sobotę, są urodziny Antka, kończy dwadzieścia lat i nie bez głębszych racji wybrał sobie ten właśnie dzień, aby zanieść w południe swoją pracę Nagórskiemu, tekst w schludnej teczce leży na biurku) przeczytała jeszcze tego wieczoru Celina Raszewska. Ale to do jutra.

Żeby nie zapomnieć, bo mi to dzisiaj, gdy krótko odpoczywałem po obiedzie, przyszło do głowy.

1) W przeciwieństwie do męża i syna Celina Raszewska nie ma jeszcze wykończonej biografii. Więc do jej danych dodać: jeszcze przed wojną skończyła stomatologię, nie prowadząc praktyki prywatnej, pracuje do dzisiaj w Klinice Stomatologicznej Akademii Medycznej. Nikt, nawet najbliżsi, nie wie, że jest śmiertelnie chora i ma przed sobą nie więcej niż rok życia (rak wątroby, żołądka?). Jej wieloletnie zaangażowanie partyjne. Jej miłość do młodego Stefana, w tych dawnych latach, gdy był rzeczywiście wspaniałym chłopcem i jak nikt inny precyzyjnie i bezbłędnie wykonywał wyroki na prowokatorach i zdrajcach. Ten motyw zabijania musi wrócić w scenie części III, gdy Stefan Raszewski spędza parę godzin w szpitalu, przy łóżku umierającego ojca, starego i zasłużonego komunisty, przed wojną tramwajarza.

2) W związku z powyższym: w sobotę wieczorem (19 kwietnia) Zygmunt Raszewski wraca z partyjnego zebrania Komitetu Miejskiego Śródmieście, więc nie może wpaść wśród zadymki pod auto u zbiegu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia, Zygmunt Raszewski mieszka w jednym z bloków Muranowa, jest po śmierci żony sam, Komitet Miejski Śródmieście ma swój lokal w tej właśnie dzielnicy, można przypuścić, że po zebraniu stary Raszewski, chcąc być sam, odłącza się od swoich towarzyszy i idzie w stronę placu Dzierżyńskiego, żeby w barze mlecznym, który się mieści kilkadziesiąt metrów za placem, coś zjeść. Wpada pod auto na placu Dzierżyńskiego. Tuż obok, w jednym z wieżowców w najbliższym sąsiedztwie placu Dzierżyńskiego i baru mlecznego mieszka Julia Singer. Ona to właśnie w przeniesionym na chodnik starym i prawie martwym mężczyźnie rozpoznaje ojca Stefana Raszewskiego. Powie to, roztrzęsiona, milicjantowi, który jest bardzo młody i najoczywiczniej jeszcze niedoświadczony, lecz te jego braki nie umniejszają wrażenia, jakie na nim robi stwierdzenie starszej kobiety, iż ofiarą tragicznego wypadku jest ojciec Sekretarza KC. Ponieważ nikt spośród spanikowanych lekarzy szpitala Przemienienia Pańskiego na bliskiej Pradze, dokąd karetka pogotowia przewozi starego Raszewskiego, nie zna domowego telefonu jego wysoko postawionego syna, jeden z dyżurujących akurat doktorów (kto?) postanawia... zatelefonować do Komitetu Centralnego. Jest dziewiąta wieczór, może trochę wcześniej, żeby się to akurat zbiegło z najazdem członków Bractwa Żółwiowego (Andrzej Wajs i jego kumple z różnych Ministerstw) na Jabłonkę, gdzie mimo odwołania przyjęcia ślubnego wszystko jest przygotowane na przybycie gości i Łukasz Halicki, zgodnie z życzeniem niedoszłego Pana Młodego, witać będzie w charakterze Hermesa (koniecznie z kaduceuszem) niewydarzonych gości. Funkcjonariusz przyjmujący w KC telefon ze szpitala nie może podać domowego telefonu sekretarza, skoro jednak dociera do jego świadomości, o co chodzi — oświadcza, że sam tę sprawę załatwi. I to on dzwoni do Raszewskiego. Raszewski jedzie natychmiast. Od wielu miesięcy myślę o tej scenie: partyjny dygnitarz spędza dwie długie godziny w zaimprovizowanej naprędce separacie (jakieś pozostałości po poprzednim pacjencie?) przy umierającym, lecz zupełnie przytomnym ojcu. Całe dzieciństwo, cała młodość. I mówi do konającego: tato!

Dochodzi teraz ósma. Bardzo jeszcze wcześnie. Gwałtownie się w godzinach popołudniowych oziębiło, ale w mieszkaniu, ponieważ wciąż grzeją kaloryfery, bardzo duszno. Mam do przeczytania dwa ostatnie rozdziały monografii Ostrogorskiego.

WTOREK, 21 KWIEŃNIA

Mało prawdopodobne, aby Antek Raszewski, przybiegłszy krótki odcinek Kopernika i skręciwszy w ulicę Foksal, dostrzegł Ksawerego Panka. Możliwe zresztą, że Ksawery już zdołał przełamać chwilę rozsądnej słabości, oderwał się od pokutniczego muru kamienicy i wszedł do „Kameralnej”, aby odnaleźć przy barze swój mozolny los uosobiony w niezmiennie kuszącym, chłopięcym kształcie i w ładnych i bezczelnych, a też trochę na boki umykających oczach.

Również mało prawdopodobne, aby Antek Raszewski w samotnej wędrowce piechotą przez pustoszące o tej porze miasto poszukiwał uspokojenia dla swych potarganych uczuć i myśli. To nie on. Pogoda jest zbyt podła. Antek źle znosi chłód. Więc na Nowym Świecie wsiada w autobus 122.

Musiałem się zatrzymać w tym momencie, kiedy Antek wsiada do autobusu i zabrać się do pracy niewymagającej szczególniejszego skupienia wyobraźni: przeczytałem esej Antka Raszewskiego, wprowadzając trochę poprawek dotyczących niektórych szczegółów twórczości Nagórskiego, potem przejrzałem kilkadziesiąt pierwszych stron *Dziennika*. Musiałem, bo w pewnym momencie, gdy miałem podprowadzić Antka pod jego dom, zaczął mi przeszkadzać sobotni pomysł opowiadania o aktorze, grającym w wielu sztukach, słuchowiskach i filmach rolę Lenina. W wywiadzie dla *Radia i Telewizji* aktor

M. mówił, że już pod koniec roku 1944, kiedy występował w wyzwolonym Rzeszowie, „ktoś zwrócił uwagę na moje zewnętrzne podobieństwo do Lenina, a ja zrozumiałem, że to będzie miało reperkusje w mojej aktorskiej przyszłości. Od tego momentu zacząłem więc gromadzić materiały ikonograficzne, czytać to, co napisał Lenin i co napisano o nim. Potem przyszła kolej na filmy dokumentarne z okresu Rewolucji i filmy fabularne z doskonałymi rolami radzieckich kolegów, wreszcie na oglądanie radzieckich sztuk podczas gościnnych występów radzieckich teatrów w Polsce”.

„Ktoś zwrócił uwagę...”, właśnie! Ale kto? Przyszło mi na myśl, że mogliby to być dwaj żołnierze radzieccy, którzy gdzieś, założmy prowizorycznie: jesienią roku 1945, w którymś z miast wojewódzkich (Kraków, Wrocław?), późnym wieczorem znaleźli się w pijanym widzie za kulisami teatru akurat w momencie, kiedy się skończył spektakl *Hamleta*, pełno pracowników technicznych oraz aktorów częściowo już rozcharakteryzowanych, Iks, grający w tym przedstawieniu Poloniusza, byłby już bez kostiumu, lecz jeszcze w peruce i z krótką bródką, jeden z żołnierzy (starszy, drugi jest całkiem młody), gdy go ujrzy — oniemieje i po chwili, wyprężywszy się na baczność, zamelduje się: „towarzyszu Lenin, taki to a taki melduje się wam posłusznie”. Wśród duńskiego dworu zrazu konsternacja, potem jednak Fortynbras krzyczy: on ma rację! i wszyscy stwierdzają, że Iks-Poloniusz jest rzeczywiście ludzako do Lenina podobny. Zjawia się wódka. Starszy żołnierz wciąż rozmawia z Iksiem jak z Leninem, młody też wreszcie tej sugestii ulega, a aktorzy szybko, każdy na swój sposób, podejmują tę fikcję.

Dalsze losy Iksa: cała jego kariera opiera się na podobieństwie do Lenina. W gruncie rzeczy nie lubi tej postaci, ale musi się w nią wcielać. Z biegiem lat niechęć przeradza się w nienawiść, lecz wbrew niej coraz częściej się przychwytuje, że również w życiu codziennym poczyną wykonywać ruchy charakterystyczne dla Lenina.

ŚRODA, 22 KWIETNIA

Więc Antek Raszewski wsiada na Nowym Świecie do autobusu 122. I oto nie później niż po kwadransie, oburącz zaciskając pelerynę na piersiach, aby się osłonić przed podmuchami wiatru, idzie pustą, zaśnieżoną ulicą w kierunku domu, jest to bliźniacza willa, której jedną połowę zajmują Raszewscy, a drugą: może pułkownik Pasięka z MSW z rodziną (ale jaką?), a może ktoś z Rady Państwa, może Halicy, oczywiście bez Łukasza, który już przed paroma laty pokłócił się z ojcem i wyprowadził z domu, mieszkając rozmaicie, przeważnie u swoich dziewczyn, ostatnio u Beaty Konarskiej.

Podchodząc do willi, Antek od razu dostrzega, że w pokoju matki świeci się, nie może natomiast wiedzieć, czy ojciec jest w domu, ponieważ okna obszernej mansardy, którą Raszewski przerobił na swój gabinet oraz sypialnię, wychodzą na stronę przeciwną, na ogród. Skoro jednak Antek otworzy drzwi frontowe i znajdzie się w hallu — natychmiast dotrą do niego odgłosy hałaśliwej pijatyki na górze. Jeszcze nie zapaliwszy światła i nie zdjąwszy mokrej peleryny, powinien się chyba przez moment zawahać, czy nie wyjść z domu. Nienawiść do ojca. Lecz gdzie pójść i do kogo? Zaczyna żałować, że nie został z Magdą. Lecz nie dłużej niż przez moment. Ksawery Panek? Też natychmiast ten pomysł porzuca. Poczucie bezdomności. Równocześnie, choć bardzo chciałby się znaleźć poza domem, zdaje sobie sprawę, że jest zbyt zmęczony i rozbity, aby jeszcze raz wyjść na dwór i jechać do miasta w poszukiwaniu noclegu. Więc nie zapalając światła wciska swoją pelerynę na wieszak pełen męskich płaszczy, ściąga gumowe wellingtonki, chwilę się waha, czy nie pójść do kuchni, aby napić się herbaty i coś zjeść, jest głodny, a przede wszystkim spragniony gorącego napoju, skoro jednak przychodzi mu na myśl, że gdy się znajdzie w kuchni, może się niespodziewanie zjawić ktoś z góry, choćby ojciec — rezygnuje z posiłku i z herbaty, i w wełnianych skarpetkach, ostrożnie stąpając, aby odgłos jego kroków na schodach nie dotarł do matki, wchodzi na górę, u dołu drzwi do pokoju matki, tuż przy podłodze, światło prześwituje wąziutką smugą. Antek stoi bez ruchu, nie mogąc się zdecydować na przebycie kilku kroków, jakie go dzielą od pokoju, sąsiadującego z pokojem matki, hałasy z góry właśnie nagle przycichły i Antek jest pewien, że w tej nagłej ciszy i w ciemnościach podłoga bardzo głośno zaskrzypi pod jego krokami, chciałby pójść do łazienki, lecz nie ma odwagi poruszyć się i dopiero gdy wrzawa męskich głosów znów się rozlega — dociera do swego pokoju, możliwie najostrożniej odmykając i zamy-

kając drzwi, a potem nagle osłabły, jakby miał za sobą ogromny wysiłek fizyczny, opiera się plecami o framugę drzwi, czoło ma spocone i dłonie wilgotne, w głębi na wprost, w słabym poblasku niezbyt od domu odległej latarni widać suchy i delikatnie podczer-niony zarys wysokiej topoli, drobne, na wietrze wirujące pyłki śniegu, prawem kontrastu może się ten smutny i swojski pejzaż skojarzyć na moment Antkowi z kolorytem światła jakby sączącego się przez płynącą wodę albo gęste listowie, więc z kolorytem, który dzięki soczystej wiosennej zieleni za oknem i drobnemu deszczowi stwarzał szczególnie osobliwe piękno i towarzyszył udręczonym rozmyśleniom umierającego Leonarda, chyba pod wpływem tego przelotnego obrazu Antek głębiej odetchnie i być może dopiero teraz, gdy stan napięcia nagle się w nim rozluźni, poczuje się rozpaczliwie sam i beznadziejnie nieszczęśliwy, tak ostatecznie nieszczęśliwy i samotny, jak może nim być chłopiec dwudziestoletni, którego po raz pierwszy w życiu przygniata prawdziwe cierpienie, a jeszcze nie wie, że czeka go w przyszłości wiele samotności i wiele ciężkich nieszczęść.

Zdaje się, że przy tym nowym zetknięciu z Antkiem znów mnie poniosło, i to tak dalece, że jakaś cząstka wzruszenia tego chłopca mnie samemu się udzieliła. Trudno, śpij ironio! Zresztą na razie tylko projektuję, staram się sytuacyjnie zorganizować i uporządkować puste miejsca.

Ten moment, kiedy Antek w ubraniu rzuca się na pościelony na noc tapczan i płacze, przyciskając twarz do poduszki, aby jego łkania nie dosłyszała ze swego pokoju matka — tę scenę mam już od dawna wymyśloną. Celina Raszewska mimo zmęczenia jeszcze się nie położyła. Do koleżeńskich przyjęć męża zdążyła się już przyzwyczaić, minęły również dość dawno czasy, kiedy Stefan, wracając do domu z pijaństwa na mieście lub u siebie odprowadzwszy do drzwi ostatnich gości, bez względu na godzinę i czy już spała, czy jeszcze nie — zachodził do jej pokoju, aby w długich i chaotycznych monologach zwierzyć się przed nią z różnych swoich politycznych kłopotów i wątpliwości. Te nocne pijackie spowiedzi musiały ją męczyć, lecz z drugiej strony były dla niej w jakiejś mierze dowodem, że Stefan, w codziennym domowym współżyciu coraz dalszy, coraz bardziej obcy i w sobie się zamykający, przecież pod wpływem rozluźnienia, jakie daje alkohol, właśnie u niej szuka schronienia i przed nią szczerze (choć z pijacką przesadą) siebie odsłania. Teraz wie, że nic podobnego się nie stanie i stać nie może. Stefan od dobrych kilku lat przestał się u niej zjawiać w stanie alkoholowego podekscytowania lub załamania. Ostatni raz, i to po długiej przerwie, przyszedł we wrześniu ubiegłego roku, w okresie zbrojnej interwencji na Czechosłowację, wrócił do domu po północy, był bardzo pijany, lecz jego gwałtowne potępienie współdziałania wojsk polskich w tej brutalnej agresji wydawało się całkiem trzeźwe, wówczas pod wpływem przygnębienia własnego i jakby w nadziei, że właśnie teraz odnajdą oboje zagubione wśród minionych lat porozumienie, zaczęła mówić szczerze i nie tylko o Czechosłowacji, lecz o wszystkim, o wszystkich udręczających ją schorzeniach zniekształcających i degenerujących życie tego kraju, o zwyrodnieniu Partii przede wszystkim, tej Partii usztywnionej i zakłamaniej na zewnątrz, obcej narodowi, a od wewnątrz przeżartej strachem, służalstwem, cynizmem i krecimi intrygami, mówiła z takim przejęciem, ku niemu siedzącemu w fotelu przy tapczanie pochylona, iż nie zauważyła, jak z początku słuchał jej osłupiały, z niedowierzającym zdumieniem, a potem, w miarę jak ona się ożywiła, on chłódł, jego rozogniona od alkoholu twarz stygła i kamieniała, aż wreszcie w pewnym momencie, gdy zaczęła mówić o Związku Radzieckim — ciężko się podniósł, chwilę stał bez ruchu wyprostowany i już zupełnie trzeźwy, po czym odepchnąwszy nogą zawadzający fotel, wyszedł bez słowa, trzasnąwszy z całej siły drzwiami. Nazajutrz wyjechał z domu bardzo wcześnie, przed śniadaniem, i później nigdy do tej nocnej sceny nie wrócili, ani on, ani ona.

Więc jeśli teraz Celina Raszewska mimo zmęczenia i złego samopoczucia jeszcze się nie położyła, to przede wszystkim dlatego, iż wie, że nawet po zażyciu nasennego proszka pijackie hałasy na gorze nie pozwolą jej zasnąć. Antek, jeżeli powracał do domu późniejszym wieczorem, a w jej pokoju świeciło się jeszcze światło, zawsze, bodaj na chwilę zaglądał, żeby opowiedzieć, gdzie był i co robił, i powiedzieć dobranoc. Dzisiaj wołałaby prawdopodobnie, aby Antek wrócił później, gdy goście ojca już się rozejdą. Jednak Antek był w błędzie, przypuszczając, że matka jego powrotu nie dosłyszała. Przeciwnie, wracała właśnie do siebie z łazienki, więc słyszała, jak otwierał i zamykał drzwi frontowe.

Trochę ją pewnie zaniepokoi, że nie poszedł do kuchni czegoś zjeść i nie wstąpił do łazienki, on, który tak zawsze dba o czystość i tyle czasu poświęca zabiegom toaletowym. Czy podobnie jak Stefana (bo jego bardzo) drażnią ją i rażą długie włosy oraz trochę ekscentryczny sposób ubierania się syna? Chyba raczej nie. W nazbyt wiele prawd i wartości towarzyszących jej życiu w latach minionych zwątpiła, aby nie być wyrozumiałą i tolerancyjną. Zresztą Antek z niewymuszonym wdziękiem obnasza swoje długie, starannie pielęgnowane włosy, i jak w tym sezonie: jaskrawe szaliki, obcisłe spodnie koloru bordo oraz staroświecką pelerynę. Jeśli ją coś w tym stylu niekiedy dziwi, a może nawet w sposób nieco niepokojący zdumiewa, to fizyczne podobieństwo syna do ojca, tak uderzające, iż w pewnych momentach, gdy widzi Antka na ulicy lub poruszającego się z ożywieniem po mieszkaniu — wydaje się jej nagle, że to Stefan sprzed wielu lat, tylko w wypożyczonych teatralnych rekwizytach, jakby się wybierał na maskaradę.

W oczekiwaniu na koniec zebrania na górze, zresztą dopiero jedenasta dochodzi, siedzi najprawdopodobniej w swoim ulubionym, głębokim fotelu z wysokim oparciem, czy z książką? chyba tak (może *Lord Jim*?), nie wydaje się jednak, żeby czytała, jest zbyt zmęczona i zbyt wiele różnych myśli ją oblega, może ją np. jeszcze raz zastanowić ów zbieg okoliczności, że akurat dzisiaj zobaczyła z daleka Nagórskiego, w przeddzień nie tylko urodzin syna, lecz i rocznicy śmierci Elżbiety, akurat jutro minie trzydzieści pięć lat, miałyby pięćdziesiąt osiem, gdyby żyła, kim mogłaby być? żoną Nagórskiego, sławną pianistką, matką niewiadomych dzieci — a może tylko starą i schorowaną, zawiedzioną w wielu nadziejach kobietą, bez śladów dawnej urody, może jakąś podrzędną nauczycielką muzyki w szkole powszechnej, oczekującą bliskiej emerytury? Lepiej nie ubierać umarłych w urojone maski, wszystkie im pasują i żadna. O czymkolwiek jednak będzie rozmyślać — cisza w pokoju syna z pewnością ją zastanowi. Żadnego odgłosu, jakby nikogo w pokoju obok nie było. Pomyśli więc najpewniej, że musiała nie dosłyszeć, kiedy Antek przechodził do łazienki. I gdy uspokojona podniesie leżącą na kolanach książkę — usłyszy płacz za ścianą. Być może w pierwszej chwili się jej wyda, że się musiała przesłyszeć. Lecz nie, po długiej minucie, gdy szloch będzie przycichać i znów, chociaż wyraźnie tłumiony, zza ściany dotrze, nie może mieć wątpliwości.

CZWARTEK, 23 KWIETNIA

Wczoraj wieczorem, przeglądając notatki do części III *Non consummatum*, ostatecznie się zdecydowałem, żeby esej Antka Raszewskiego umieścić teraz, to znaczy po rozmowie Celinie z synem, kiedy Antek z początku oporny (też chyba jak każdy słaby zawstydzony, że dał się przyłapać w momencie słabości) i w sobie zamknięty, rezygnuje wreszcie z milczenia i chaotycznie, dając pełny upust swojej egzaltowanej uczuciowości, zwierzy się matce z ostatnich przeżyć. Lecz rozżalenie z powodu utraty Magdy łączy się w jego świadomości z zadawnioną niechęcią do ojca, wyolbrzymia ją i nieomal się nią upaja, uważając, że przede wszystkim ojciec ponosi odpowiedzialność za wszystko, co jest w Polsce złe. Siedząc na tapczanie z nogami podwiniętymi pod siebie (Celina już chyba przed tym zaświeciła lampę umieszczoną na stoliku obok), rozgorączkowany i z oczami pociemniałymi, już bez śladu niedawnego płaczu, powinien w pewnym momencie powiedzieć (na przytłumionym, aktorskim szeptcie) coś w tym rodzaju: mamó, ja go nienawidzę, zawsze go nienawidziłem!, co jest nieprawdą, ponieważ w dzieciństwie i jeszcze jako wyrostek ubóstwiał ojca, który w jego czułych oczach był uosobieniem męskiej siły i odwagi. Wydaje mi się jednak, że Antek, boleśnie zraniony w swoich uczuciach, powinien w tej zadrażnionej niechęci do ojca posunąć się jeszcze dalej: zdając sobie sprawę, że fizycznie jest do ojca podobny (tu oczywista sprzeczność, bo przenosząc swoją nienawiść również i na wygląd ojcowski, siebie samego raczej lubił, starannie swoją urodę pielęgnując), lęka się, że w przyszłości także i psychiczne cechy ojca mogą w nim dojść do głosu, czuje się więc niejako wszechstronnie zagrożony przez wrogi żywioł, co z kolei w jego własnym odczuciu czyni z niego ofiarę, spychaną wbrew woli ku mrocznej przepaści.

Najprawdopodobniej Celina dzięki wrodzonej intuicji orientuje się w skomplikowanym mechanizmie tej uczuciowo-intelektualnej rozterki syna, nie wydaje się jednak, żeby uważała za właściwe przeciwstawić się jej akurat w tym momencie, gdyż Antek jest tak

rozdrażniony i nieszczęśliwy, wie, że rozsądne perswazje nie bywają w podobnych sytuacjach lekarstwem skutecznym.

Przychodzi mi w tej chwili na myśl, że teczka z maszynopisem eseju Antka powinna leżeć nie na biurku, jak to sobie do tej pory wyobrażałem, lecz bliżej, na podręcznym stoliku przy tapczanie, przy takiej „scenerii” Celina, która siedzi na tapczanie, może w pewnym momencie skierować wzrok właśnie na teczkę, Antek, chociaż pochłonięty złowrogą wizją swojej przyszłości, natychmiast to spojrzenie przychwyci i niechybnie skorzysta z okazji, aby schronić się w lepszą i niejako suwerenną część swojej osobowości. Pracował nad esejem w tajemnicy przed matką, powodowany trochę wstydlivością pisarską, a także i z tych samych pobudek, które skłaniają zakochanego do skrywania uczuć, aby nic ze świata mniej doskonałego nie mogło zamącić zamkniętego i tajemniczego kręgu adoracji. Teraz wszakże, w sytuacji zupełnie nowej, odczuje potrzebę, aby ową lepszą swoją część przekazać matce, zapewne trochę i w nadziei, że zostanie przez nią zrozumiana i zaakceptowana. Opowie zatem o swoim eseju, może nawet przeczyta list skierowany do Nagórskiego i dołączony do tekstu. A może tak zrobić, żeby Antek przeczytał matce całość? Młodzi chłopcy lubią na ogół czytać swoje utwory, zwłaszcza, jeśli czytają je dobrze i wiedzą o tym, a Antek z pewnością o tym wie. Celina z wielu względów może sama zaproponować synowi, żeby przeczytał esej, zapewniając go, że wcale nie jest zmęczona. I Antek również z wielu względów chyba się zgodzi. Zeskoczywszy z tapczana, przysunie matce fotel, żeby mogła wygodnie się rozgościć, po czym wróci na tapczan, a ponieważ w pokoju jest bardzo ciepło — pobędzie się pomarańczowego szalika, ściągnie grubą golf i podkurczywszy pod siebie nogi zacznie czytać.

Jeszcze i ta przy podobnej sytuacji korzyść, że gdy przed północą (więc mniej więcej za pół godziny do trzech kwadransów) Stefan Raszewski odprowadzać będzie na dół gości, wracając dostrzeże uchylone drzwi do pustego pokoju żony i usłyszy głos syna, nie będzie więc miał żadnych wątpliwości, że Celina i Antek są razem. Raszewski w przeciwieństwie do swoich przyjaciół (prócz płk. Pasieki) nie powinien być pijany, natomiast w nastroju złym, zwłaszcza gdy zamknie drzwi za wychodzącymi i zostanie w uciszonym domu sam. Prawdopodobnie chwilę zostanie jeszcze w hallu, słuchając pijackich nawoływań przyjaciół oraz odgłosów odjeżdżających aut (kierowcy otrzymali polecenie, żeby przyjechać po swoich szefów na jedenastą), potem powinien przejść do kuchni, żeby poszukać w lodówce czegoś do zjedzenia. Może znajdzie „rezerwową” butelkę wódki? Ale o tym później. Nie zapomnieć jednak, że gdy Raszewski wróci do siebie — poczucie osamotnienia oraz różne ciężkie myśli powinny go tak przytłoczyć, iż w pewnym momencie sięgnie po słuchawkę i wykręci numer telefonu swego starego ojca.

wieczorem

Dzień imienin, których zresztą od kilku lat nie obchodzę, więc jednak poza paroma wczesnymi godzinami rannymi, dzień rozbity: ciągle telefony (wśród nich jeden szczególnie mi miły od Zygmunta H. z Paryża), po południu parę niezapowiedzianych wizyt, ostatecznie musiałem przerwać w połowie przepisywanie z brulionu tekstu początkowej sceny *Prometeusza Ajschylosa* Nagórskiego; nie umiem więc w tej chwili ocenić, co to jest warte i czy jest sens wprowadzać ten fragment do *Miazgi*. Czy nie za dużo tych lektur? Nagórski czyta. Antek Raszewski czyta, bo już się zdecydowałem, że to on powinien czytać swój esej matce. Wreszcie Eryk Wanert czyta. Za dużo? Trochę to wszystko sztuczne? Sytuacje wymyślone tylko w tym celu, żeby zamaskować natarczywość, z jaką autor chce wyeksponować teksty już przygotowane? Być może. Ale tylko — być może.

We współczesnej literaturze polskiej (i nie tylko polskiej) rzeczywiście mało się czyta, istnieje film, radio, telewizja, płyty, jazz i big-beat, literatury prawie wcale. Lecz literatura zawsze miała i nadal ma, jakby była w pewnych zakresach na życie uodporniona i zarażała się tylko w zetknięciach z własnym gatunkiem, posiada zatem literatura pewną szczególną tendencję, aby stwarzać i powielać nie tyle egzystencję autentyczną, lecz pewien jej model. W literaturach powstających w ustrojach totalnych ów wzorzec życia musi być z konieczności zawężony do małych realiów, jest w pewnym sensie odpowiednikiem kroniki wypadków oraz rubryk: skargi i zażalenia.

Sztuka, Słowo

Poza tym: jeśli mi się w wyniku rozlicznych przemian ukształtowała forma, w którą włożyć można wszystko — czemu miałbym z tego dobroczynnego luzu nie korzystać? To ma być *miazga*.

List Antka Raszewskiego do Adama Nagórskiego

Warszawa, 19 kwietnia 1969 r.

Szanowny i Drogi Panie,

chcę wyrazić swą wdzięczność, jaką żywię dla Pana za Jego postawę i twórczość, które pomagają mi teraz — teraz, gdy zaczęła się dla mnie pierwsza *noc* — trwać i żyć, a jednocześnie czując, że wszelkie tego typu deklaracje — choćby i najgorętsze — zawsze są ubogie i płaskie, pozwałam sobie przekazać Panu szkic, jaki napisałem o *Ostatniej godzinie*, by uporządkować sobie przynajmniej część z wielu myśli, jakie towarzyszą mi od chwili, gdy po raz pierwszy sięgnąłem po tę książkę. Wierzę, że może w ten sposób uczynię zadość mojemu pragnieniu.

Łączę wyrazy szacunku i serdecznych uczuć

Antoni Raszewski

NIE COFA SIĘ TEN, KTO ZWIĄZAŁ SIĘ Z GWIAZDĄ

Czy to, iż ktoś stał się pisarzem, było swego czasu kwestią wyboru? Czy też zawsze w takiej sytuacji mamy do czynienia z pewną koniecznością? A może zdecydował o tym po prostu przypadek? Jakkolwiek jest, jakkolwiek może być, zawsze jednak, w jakimś trudnym do określenia momencie życia, trzeba wybrać pomiędzy miłością a sztuką, tymi dwiema możliwościami, które rywalizując ze sobą, wykluczają się wzajemnie.

Pierwszym zwiastunem artystycznej świadomości bywa zazwyczaj uczucie, aby przeżycia, których się doznało: przeżycia ułomne i chaotyczne, uczynić czystszy i jaśniejszymi i w takim kształcie utrwalić na zawsze. Z biegiem czasu uczucie to przeradza się w nieustanną potrzebę przetwarzania rzeczywistości, ta zaś staje się wreszcie czymś dominującym — głównym sposobem istnienia. Można to jeszcze inaczej określić: artysta to człowiek, którego świadomość żąda sublimacji świata przeżywanego; taką sublimacją jest pieśń, którą tworzy.

Kiedy jednak stajemy w obliczu wyboru? W którym momencie decydujemy się uczynić własne dyspozycje i wrażliwość przedmiotem życiowej działalności i przyjąć na siebie ciężar konsekwencji, jakie wynikają z tego postanowienia? Co sprawia, że rezygnujemy z miłości, by tęsknić za nią całe życie? Co powoduje, że wolimy żyć pośród wyrzeczeń i cierpienia? Ilość tych pytań i tkwiący w nich niepokój zdają się zapowiadać, że tym, co po nich nastąpi, może być tylko milczenie. „Nie cofa się ten, kto związał się z gwiazdą” — powiada Leonardo, i zdanie to jest chyba jedyną odpowiedzią, jakiej można udzielić „Związać się z gwiazdą” zaś to tyle, co pragnąć nieśmiertelności, co chcieć żyć dłużej niż zezwala na to biologia. Namietność ta domagając się zaspokojenia, pcha swego nosiciela w otchłanie przeróżnych żywiołów. Człowiek nią opętany zawiera pakt z diabłem, czyli jedną się z własnym złem, albowiem wówczas tylko ma szansę zostać przeklętym i potępionym, by później przekleństwem i potępieniem okupić nieśmiertelność. Przekleństwo zaś spada na niego, gdy staje się nieludzki i ponadludzki.

W naszej, dość zubożałej literaturze, Adam Nagórski jest jednym z niewielu pisarzy, którzy piszą sobą i o sobie i dla których dumne marzenia o pieśni wyrażającej człowieka i zbiorowość nie straciły na świeżości i blasku. Jego pielgrzymka w głąb siebie jest jednocześnie wędrówką ku wyniesieniu i sławie. Skomplikowane to jednak drogi i wymagają dłuższej refleksji.

W *Notatkach* Nagórskiego, wszystkich, którzy po nie sięgają, uderza jeden wciąż powtarzający się motyw: oto pisarz prawie obsesyjnie powraca do wyznania, że jego oblicze prawdziwe zasadniczo różni się od tego, jakie mu się przypisuje, z jakim funkcjonuje w społeczeństwie. „Kim jestem? — pyta. — Czego chcę? Jaka jest moja wartość, ale ta prawdziwa, nie ta mojej tzw. pozycji, mojego nazwiska? Ci, którzy mnie nie znają, mogą sądzić, że moja egzystencja jest znakomita i po prostu jestem jednym z rzadkich dzieci szczęścia. Słabość i samotność, tylko tyle”.

Albo w innym miejscu: „Jestem spragniony głosów uznania, lecz gdy do mnie docho-
dzą, pogłębia się we mnie zwątpienie we własne siły i możliwości. Ileż razy we własnym

Artysta, Twórczość, Słowo

Artysta, Nieśmiertelność,
Przekleństwo

poczuciu kończyłem się jako pisarz!”. Motyw ten pojawia się także w utworach, ale i tam ma on charakter wybitnie osobisty. „Ja? ja silny i szlachetny? — demaskuje się bohater *Pragnień* — wierz mi, tylko złudą, złudą i pozorem jest moja siła, nawet domyślić się nie możesz, jak bardzo inny jestem od tego, który istnieje w twojej wyobraźni”. Wydaje się, iż odnalezienie i zrozumienie źródeł tych myśli może naprowadzić na pewien trop do wyjaśnienia i pojęcia całej złożonej osobowości Nagórskiego.

Pragnienie wyniesienia nad innych i przedłużenia swego ziemskiego życia o życie w pamięci potomnych osiągnęło u Nagórskiego moc szczególną. Autor *Karolinki* tak zawsze fascynował się zjawiskiem wybitności i ludźmi, którzy za życia stali się historią i tę historię bezpośrednio tworzyli, że kiedy niepostrzeżenie sam stał się kimś uznanym i wywyższonym, poczuł się zaskoczony tą okolicznością. „Jak to? A więc to już? A więc to wygląda tak? Niemożliwe! To chyba nieporozumienie! Jakże bym ja mógł osiągnąć to, co stanowiło dla mnie krąg zaczarowany? Ja, który jestem nieprzerwanym wątpliwym w sobie, słabością i rozpaczą? Ja, który znam wszystkie swoje myśli i wiem o nich, jaka jest ich wartość? Czyżby zatem ci wszyscy, których podziwiałem, wcale tajemnicą nie byli, będąc jedynie takimi, jakim ja jestem teraz? Nie, to niemożliwe! To, co osiągnąłem, jest zaledwie żalną namiastką”.

Oto chyba i powód, dla którego w kilku utworach Nagórskiego pojawiają się postacie ludzi wielkich. To bardzo charakterystyczna cecha tej twórczości: pokazywać siebie takiego, jakim by się chciało być; samym faktem obcowania z opisywanymi postaciami czynić siebie im równego, wznosić się do nich, utożsamiać się z nimi.

Oto przykład: opowiadanie o Mickiewiczu. Wielki poeta, ten, który jak nikt spośród siebie współczesnych poznał wszystko, decyduje się przed wyjazdem do Turcji na zniszczenie swych rękopisów. Temat ten hipnotyzuje i pochłania Nagórskiego bez reszty. Oto on sam — chce się odtworzyć jego motywy — może na chwilę przybrać kształty „mistrza” i wywołać w sobie jego stany i uczucia. W opowiadaniu krąży niespokojne pytanie: dlaczego On, świadomy swej wielkości i chwały, zdecydował się na tak desperacki krok? W ciekawości jednak, z jaką autor opowiadania próbuje dociec przyczyn tego niepojętego aktu, natrętnie rzuca się w oczy niepokój osobisty, ściśle prywatny. Czy warto więc dążyć do boskości? — wyczuwa się w podtekście dręczące pytanie. — Czy jest ona rzeczywiście harmonią i mocą, wyzutą z udręki, strachu i bezradności?

W pełni problem ten zarysowuje się w opowiadaniu *Nagroda Nobla*, lecz zanim zatrzymamy się przy nim, spróbujmy najpierw odtworzyć pewne przemiany, jakie nastąpiły w świadomości Nagórskiego. W tym miejscu znów trzeba przywołać *Notatki*. Oto któregoś dnia odnotowuje wojenne sny: „są pełne Niemców, ucieczek, strachu człowieka śmiertelnie zagrożonego. Zabawne, że wtedy, kiedy to było, naprawdę się nie bałem, i nie dlatego, żebym posiadał odwagę, lecz po prostu wierząc, że *mnie* nic stać się nie może”. Można by tu zapytać: skąd u człowieka o tak silnym poczuciu wątpliwości w sobie tyle miłości własnej, typowej, jak wiadomo, dla osobowości szczególnych, dotkniętych błogosławieństwem? Na innej stronie pada nawet takie wyznanie: „nie potrafię wyobrazić sobie własnej śmierci; to, że kiedyś ona nastąpi, uważam za coś wprost nieprzyzwoitego”. Jak można wytłumaczyć ten zwrot w świadomości autora *Natchnienia świata*? Zwrot? Czy Nagórski rzeczywiście uwierzył w jakąś nadprzyrodzoną moc, którą jakoby posiadał? Nie ma na to jasnej odpowiedzi. Autor *Ostatniej godziny* nie spełnił przecież warunków paktu, o jakim wspominałem na wstępie, a w każdym razie wypełniał je dosyć szczególnie. Przecież chłód nie zamieszkał w jego duszy, przecież nie wyrzekł się miłości, przeciwnie — nieustannie ulegał jej, co raz to zatracił się w występnych przygodach zmysłów albo w szalonych, na przemian czułych lub gwałtownych namiętnościach. Ale pragnienie nieśmiertelności nie ustępowało potrzebie kochania. Dlatego też z każdej burzy swych uczuć wychodzi rozbity, pełen pogardy do siebie i ze wstrętem do swego ciała. Wtedy z pomocą przychodziła sztuka, słowa, w których z jednej strony można było wyśpiewać swój żal i ból, a które — z drugiej — wznosiły kolejną kondygnację przyszłej wielkości i sławy. Lecz i wtedy, gdy wydawałoby się, że jest już dobrze, że porządek jest przywrócony i dzieje się to, co ma się dziać, zjawiała się obsesja wątpliwości. Pisał: „Chwile entuzjazmu, wzruszenia i pewnej mglistej świadomości, że osiąga się właśnie to, co się osiągnąć pragnęło, chwile rzadkie i zawsze okupowane rozczarowaniem, nie rozjaśniają

pogodniejszym światłem ponurego i dręczącego niewolnictwa, jakim jest powolne zapisywanie stronicy za stronicą”.

Nagórski pojął wkrótce inspirującą wartość swej pękniętej osobowości. Zrozumiał, że słabość i niezadowolenie z siebie mogą być źródłem natchnienia. Stąd właśnie zrodził się kult wątpliwości i cała mitologia przemijania i zapomnienia. Jako konsekwencja słabej pamięci. Stąd też wywodzi się idea nadziei, będącej odbiciem tęsknoty za nieosiągalną w danym wypadku kondycją boską. Znowu rozlega się wewnętrzny głos pisarza: nie jestem nic wart, skoro nie zdobyłem się na konieczne wyrzeczenia; powinienem być wszystkie pragnienia zabić, wypalić do korzeni, żeby być wielkim naprawdę, ale czyż bez pragnień warto żyć w ogóle?

Niechęć do siebie, owa choroba pogardy do samego siebie, stanie się wkrótce całym mechanizmem, swoiście masochistycznym: im bardziej odbiegnę od siebie takiego, jakim bym siebie pragnął, tym zwiększę w przyszłości własną inwencję; im więcej będę cierpiał ze swego powodu, tym lepiej. Dlatego też historia twórczości Nagórskiego jest w istocie historią wznoszenia się przez upadki. Jest obrazem formowania się dojrzałej wielkości poprzez stałe i niepoprawne trzymanie się niedojrzałego dziecięctwa. Obraz ten, jak się wydaje, wyraża nie tylko jego indywidualny przypadek, wyraża on pewną ogólną prawdę o człowieku. Jest więc nie tylko osobistym świadectwem, jest wartością artystyczną, która współtworzy kulturę. To właśnie sprawiło, że Nagórski pojął, iż zdobył coś, w czego osiągnięcie nigdy nie wierzył. Oto stanął w obliczu faktu, że należy do świata urzeczywistnionej kultury, że jest jednym z tych, którzy wnoszą gmach zaklęć i modlitw, jakimi się żywi wspólnota. Wtedy też napisał *Nagrodę Nobla*.

Bohater tego opowiadania, Hermann Euler, wielki szwajcarski pisarz, po otrzymaniu nagrody Nobla w Sztokholmie, przyjeżdża do Paryża, aby w kilka dni później wyruszyć na Sycylię, gdzie zamierza wypocząć, Euler czuje się stary i jak sam mówi w pewnym momencie: „potrzebuje słońca”. W Paryżu sensacja. Tłumy dziennikarzy, radio, telewizja polują na laureata, on jednak ucieka przed tą nagonką i skrywa się w małym hoteliku przy ulicy Vaneau, gdzie zatrzymywał się w młodości. Następnego dnia idzie na rue de Seine do niewielkiej galerii, aby odwiedzić starą przyjaciółkę jeszcze z czasów po I wojnie światowej i tam poznaje młodą malarkę Laurine. Oczarowany jej młodością i inteligencją zaprasza ją do pobliskiego bistra, a w końcu umawia się z nią na wieczór. Kiedy idą razem ku Saint-Germain, spotykają młodego chłopca, znajomego Laurine, który słysząc nazwisko Eulera, nic o nim nie wie. Wkrótce potem pisarz zostaje schwytyany w sidła dziennikarzy i wywiadom oraz rozmowom nie ma końca. On jednak myśli wyłącznie o wieczornym spotkaniu i gdy tylko nadarza się sposobność, wymyka się zgrai żądnych sensacji reporterów. W hotelu, mając jeszcze godzinę czasu, bierze kąpiel, jest więc zmuszony widzieć swą nagość. Szczególną uwagę zwraca na paznokcie i skórę: „jest stara — myśli — wygląda jak zwiotczała szmata”. W tym momencie z radiodbiornika, wmontowanego w ścianę łazienki, dobiegają dźwięki fragmentu z *Orfeusza* Glucka, kiedy to schodzący do podziemi Orfeusz zostaje zatrzymany przez Furie i na jego wstrząsające lamenty chór odpowiada twardym: „Nie!”. W tym momencie Hermann Euler czuje nagle, że jest śmiertelnie znużony i skończony. Wciąż przyglądając się swemu staremu ciału, rezygnuje ze spotkania z Laurine. Rozproszony wewnętrznie idzie sam do bistra na róg ulicy Vaneau i de Sévres, i tam, w „Figaro”, czyta tekst przemówienia, jakie wygłosił w Sztokholmie, przyozdobiony okazałym zdjęciem zamieszczonym obok. Siedzący obok dobrze ubrany Anglik w jego wieku z młodym chłopcem są całkowicie zajęci rozmową i dopiero w chwili, gdy zjawia się nagle tłum dziennikarzy i fotoreporterów — tamci zwracają na Eulera uwagę.

Tak kończy się opowiadanie. Aby wyświetlić jego sens, trzeba przytoczyć kilka fragmentów przemówienia, które — niczym centralne ogniwo — wiąże całość utworu. Czytał więc Hermann Euler w swojej wypowiedzi: „Stało się zwyczajem, potwierdzonym przez rozliczne epoki odwiecznych doświadczeń, iż człowiek w jakikolwiek sposób wywyższony w stosunku do swoich współczesnych, powinien składać w tym szczególnym momencie podziękowania swojemu czasowi, ponieważ, choćby sam był warty, zdradziecki i ze sobą samym skłócony — czas, jaki mu przypadł w udziale, zrodził go, wychował i ukształcił. Nie chciałbym tym słusznym i czcigodnym uczuciom przeczyć. Jeśli widzę siebie i słyszę, to tylko wśród głosów i kroków czasów przeszłych. Dałem z siebie mniej,

niż pragnąłem. I gdy w tym momencie wywyższony ponad miarę, mam mojemu, mnie na zawsze danemu czasowi złożyć hołd — staję nieomal bezradny i zagubiony, jedynie zdolny, by wywołać chwilę najpiękniejszą w świecie urojeń, gdy doświadczony Prospero porzuca wszystkie swoje czary. (...) Myśl, że moje prace, dzieła moich rąk i umysłu, moje wysiłki i pragnienia mogą przyszłość ulepszyć lub pokoleniom nadchodzącym stworzyć warunki sprzyjające postępowi, wydaje się wprawdzie szlachetna, na pewno bardzo ludzka i potrzebna, lecz to, co ludzkie, to, co szlachetne i potrzebne, bywa często tylko złudzeniem. Historia przeczy moralnemu prawu przyczynowości. Nie mamy żadnych podstaw, aby twierdzić, że dobry czyn wywołuje dobre skutki i odwrotnie: zły czyn — złe następstwa. (...) Dzieją się bowiem na ziemi rzeczy, których nędza i boleść niczym ziemskim nie mogą być okupione”.

Nawet w tych kilku fragmentach przemówienia widać zasadnicze i stałe niepokoje Nagórskiego. Znow można dopowiedzieć jego myśli, które płyną podskórnym nurtem: zawsze marzyłem o wielkości i oto osiągnąłem ją wreszcie, ale drogą, którą zawsze uważałem za niemożliwą. Oto z własnych klęsk, upadków i rozczarowań wzniosłem sobie pomnik. Własne rozdarcie uczyniłem treścią mojej pracy; stworzyłem pewien mit o sobie i okazało się, że ta legenda przyjęła się, co więcej, że wyraziła nie tylko niepokój mój, ale i niepokój mojego czasu. Jestem powszechnie znany, moje utwory znajdują się w szkolnych podręcznikach. Czy to nie paradoksalne, że mówi się o moim talencie i niezwykłości, podczas gdy naprawdę każde słowo, które napisałem, wynikało ze słabości i strachu? W istocie, jest to niezwykle! Rzeczywiście, szczególną umiejętnością musi być demonstracja cierpienia i nędzy w taki sposób, by wzbudzały one zachwyt i podziw. Lecz cóż mi teraz po tym może nawet zasłużonym uznaniu, kiedy jestem już bliski starości? A poza tym czymże jest cała moja twórczość wobec zniszczeń i cierpień, które drążą świat? Moje nadzieje kielkowały we mnie i wzrastały za cenę swoistego egoizmu i zapomnienia. Wszystko przecież, o czym mówi się teraz, że ofiarowywałem ludziom, przeznaczone było w istocie tylko dla mnie. Pisarstwo było zawsze moją sprawą ściśle prywatną, jakże więc mam się zachować teraz, kiedy tak wielką odpowiedzialnością zostałem obarczony? Może porzucić godności, a wraz z nimi ciężki i dręczący bagaż niepokoju? Lecz czy jest to możliwe? Oto zgłaszają się Furie ze swoim bezwzględny „Nie!”. Nie ma powrotu w krainę niewinności, odwrót jest odcięty. Jeżeli całe życie czarowało się innych, oszukiwało się ich, mamilo słowami i iluzjami, jeżeli nawet robiło się to na pół świadomie, lecz jeśli ludzie iluzjom zawierzili i stały się one dla nich nadzieją i podporą — nie można uciec teraz, usprawiedliwiając się brakiem, siły potrzebnej do dźwignania konsekwencji magicznej działalności.

Dlatego też Hermann Euler czuje się bezradny i zagubiony, dlatego przekłada spontaniczność, urodę i wdzięk Laurine nad sławę i zaszczyty. Dlatego wreszcie, widząc prawdziwe przyczyny, dla których ludzie wyróżniają go czy choćby zwracają uwagę, a więc snobizm lub żądza sensacji, rozumie swoją bezsilność pisarza. Cóż mu więc pozostaje? Radość, jakiej się przez całe życie spodziewał po najwyższej z możliwych form potwierdzenia jego pracy, okazała się kolejnym i jakby ostatecznym już rozczarowaniem. Miłość zaś? Niestety kochać go już nie można — można najwyżej podziwiać, ale i o podziwie tym nie wiadomo, czy wywołuje go sama osoba czy też jedynie literacki wizerunek, ów czarująco-uwodzący autoportret. Owszem, warto zbliżyć się do osoby, ale o tyle tylko, o ile kontakty z nią mogą przynieść jakiś okrucień ewentualnej nieśmiertelności. Wywyższony zostaje więc zupełnie sam, a wierności dochowuje mu jedynie przeszłość, szczególnie młodość, kiedy to właśnie żył w świecie urojeń i marzeń, gdy rozpierała go nadzieja przyszłości i mógł jeszcze wierzyć w piękno chwili wielkiego zwycięstwa.

Czym była *Nagroda Nobla* dla Nagórskiego? Czy rzeczywiście zwierzył się on w opowiadaniu z opisanego powyżej doświadczenia? Czy też próbował je sobie wyobrazić, przewidzieć — na podstawie przeczuć? Sądzę, że Nagórski umyślnie miesza tu dwa przeżycia: dojrzałą wiedzę o rozczarowaniu i klęsce z wciąż młodzieńczym (niedojrzałym) marzeniem o takiej sytuacji, gdy będzie mógł na oczach całego świata pozostać sam ze sobą i odegrać ostatnią (boską?) scenę dramatu — gest pożegnania ze sztuką. Stawszy się kimś ponad własną miarę — wciąż i na nowo czuć się nikim, posiadłszy wszystko — wszystko odrzucić. Sprawy takie zdają się wciąż absorbować jego myśli, a typowe wątpienie, że

nigdy nie stanie się to jego udziałem, powołuje do życia utwór literacki, w którym może siebie w takiej sytuacji umieścić.

Flaubert w jednym z listów do Luizy Colet pisze o Szekspirze: „To był nie człowiek, lecz kontynent — mieścili się tam wielcy ludzie, całe tłumy, pejzaże...”. Określenie to kojarzy się z postacią Leonarda da Vinci — człowieka, którego natura obdarzyła z nie-pohamowaną wprost hojnością. Nic więc dziwnego, że geniuszem tym Nagórski interesował się od dawna, a wreszcie ośmielił się uczynić go bohaterem swego utworu. Była to bowiem postać, która, jak żadna inna, nosiła w sobie piętno boskości.

Autor *Natchnienia świata* od dawna myślał o utworze poświęconym Leonardowi. W roku 1958 w listopadowym numerze „Miesięcznika Artystycznego” znajduje się opowiadanie pod tytułem *Zamek snów*, które za fabularny pretekst bierze na razie jedno tylko wydarzenie z życia Leonarda. Opowiada ono mianowicie o katastrofie, która zniszczyła wielki fresk *Bitwa pod Anghiari*. Jak widać, nie wystarczyło to Nagórskiemu. W *Notatkach* ogłaszanych w owych latach w „Przeglądzie Literackim” wciąż pojawiają się jakieś refleksje związane z osobą Leonarda. Ciekawe, że spośród obszernych i tak różnorodnych materiałów Nagórskiego interesowały te jedynie ustępy, w których odnajdywał cechy własne i myśli zbliżone do swoich. „Artysta — przepisuje Nagórski w jednej z *Notatek* słowa Leonarda — odtwarza nieprzepraczone myśli swoją, więcej nawet, rysy swej własnej twarzy; dochodzi tak daleko, że obdarza modelów swych własnymi wadami i zaletami... najlepiej niechaj z oczu danej osobistości wyziera sam artysta i niechaj w ten sposób daje coś z własnego ducha stworzonym przez się postaciom”. W innych *Notatkach* wiele uwagi poświęca relacjom, wedle których rysem stałym i niezmiennym było u Leonarda niedoprowadzanie własnych zamierzeń do końca. Wypisuje sobie nawet interpretację tej właściwości dokonaną przez Vasarięgo: „I dlatego pozostało po nim rzeczy mało, gdyż to, że tak dobrze znał błędy, wstrzymywało go od roboty”. Przytacza wreszcie wypowiedź samego Leonarda: „Najgorszy to znak, jeśli dzieło przewyższa sąd, jak zdarza się wówczas, gdy ktoś się dziwi, że osiągnął tak dobre wyniki, ale kiedy sąd przewyższa dzieło, znak to doskonały” — i opatruje ją komentarzem: „nad własnym, genialnym dziełem sąd Leonarda dominował zawsze?”. Nietrudno zauważyć pewne podobieństwo pomiędzy tymi uwagami a wyznaniem Nagórskiego. W książkowym wydaniu *Notatek* na przykład: „nie czerpię żadnej pomocy z pochwał, jakimi obdarzono i mnie samego, i te utwory, które dotąd napisałem. (...) Zaledwie widzę kształt tego, co bym napisać pragnął, ale ponieważ pragnę nazbyt wiele — kształt ów przerasta moje siły i dostrzegam go jedynie jako mglisty zarys moich pragnień. (...) Zam swoje braki, natomiast nie jestem równie pewien swoich cnót. (...) Zwątpienie w siebie przewyższa wszystko, co o nim powiedzieć można. Odrętwienie, które wydaje się zupełne i ostateczne. Dno rozpacz, zniechęcenia i znużenia. Wszystko, co piszę, wydaje mi się nędzne i nikłe. (...) Z jednego może tylko jestem rad: noszę w sobie trudną i gorzką, lecz jakże owocującą jednocześnie cnotę zwątpienia. (...) Miara, jaką człowiek szacuje samego siebie, ważniejsza bywa niekiedy od ludzkich sądów. Gdybym wśród minionych lat aż po dzień, który przeżywam obecnie, policzył godziny zwątpienia — mnogość ich dość znacznym ciężarem położyć by się musiała na tych nielicznych chwilach, w których danym mi było przeżyć celność własnych myśli, osiągnąć i zamierzeń”.

Również i inne myśli Leonarda zacytowane przez Nagórskiego w *Notatkach* przywołują na pamięć wiadome cechy osobowości autora *Ostatniej godziny*.

Leonardo: „Zważcie tylko! Nadzieja powrotu do siebie i do swego dawnego stanu przypomina urzeczenie śmy światłem; człowiek, który z ciągle się odradzającym pożądaniem tęskni do nowej wiosny, nowego lata, każdego nowego miesiąca i nowego roku, czując, że to, co upragnione, nadejdzie jeszcze nieprędko, nie zdaje sobie nawet sprawy, że pożąda tylko własnej zguby”.

Nagórski: „Wypełnia mnie tęsknota, która własnego spełnienia się lęka”.

Leonardo: „O czasie, szybko niszczący rzeczy stworzone, iluż królów, ile

Czas, Przemijanie, Historia,
Starość

ludów zniweczyłeś! O czasie, pożerco rzeczy, o zawistna starości, przez które wszystko się trawi”.

Nagórski: „Godziny szczęścia, niepokoju, niepewności, jakże różnych kształtów nabierają w bezpośrednim przeżyciu i później we wspomnieniu. Obrazy wywoływane z przeszłości już nie podlegają prawom niepowtarzalnego czasu”.

Leonardo: „Myśli zwracają się ku nadziei. Odkrycie zawsze nas rozczarowuje”.

Nagórski: „Wiem, że kresem oczekiwań jest rozczarowanie, ale wolę choćby złudny cień nadziei od jej nieuchronnej śmierci. Każda zdobycz jest grobem nadziei, każde osiągnięcie jest grobem nadziei. Ostatnią nadzieją nie jest ona, lecz potrzeba jej posiadania i łatwiej wszystkie nadzieje pogrzebać, łatwiej patrzeć na konanie wszystkich nadziei, niż potrzebę posiadania nadziei w sobie uśmiercić”.

Nadzieja

Leonardo: „Pragnienie jest kwintesencją, duchem żywiołów, który czując, że jest zamknięty przez duszę w ciele ludzkim, pragnie ciągle wrócić do tego, który go wysłał”.

Nagórski: „Przyszłość wciąż mnie porywa najgwałtowniejszymi nadziejami i pragnieniami. Ponad pewność posiadania silniej mnie pociąga niepewność poszukiwań. Zawsze kusily mnie i wciąż kuszą niewiadome obszary czasu i przestrzeni, jakie się przede mną mogą otworzyć i jakie się niekiedy przede mną otwierają, one mnie niecierpliwie i nagląco wabia, ponieważ mogą zawierać w sobie wszystko”.

Leonardo: „Miłość przewycięża wszystko. Człowiek wszakże głęboko kocha jedynie rzeczy nieuchwytnie, a swe pragnienia zapala jedynie u krzosu przeciwieństw”.

Nagórski: „Miłością nawet głód można uciszyć. Miłość wielkich rzeczy może dokonać, góry może przenieść. Miłość jest poszukiwaniem i odkrywaniem, dążeniem i niepewnością, pośpiechem i oczekiwaniem, niecierpliwym, ale zawsze oczekiwaniem, jest onym szczególnym stanem pragnień i pożądań czystych i mrocznych, szczególnym i jedynym stanem pragnień i pożądań, które dążąc do zaspokojenia, domagają się nieprzekroczenia ostatecznej granicy ostatecznego zaspokojenia, bowiem miłość, cała z racji swej natury będąc gwałtowną potrzebą zaspokojenia, nie jest nim, nie jest zaspokojeniem i nigdy nim stać się nie może, miłość jest wołaniem i poszukiwaniem, jest zaborcza, ale wszelkie zaspokojenie pragnień zabija ją, jest bezustannie spragniona, ale wszelkie zaspokojenie uśmierca ją, jest rozpaczą pomiędzy sprzecznymi żywiołami, jest samotnością pomiędzy sprzecznymi żywiołami, ale jest także nadzieją”.

Podobne przykłady można by mnożyć dalej. Te chyba jednak w sposób wystarczający pokazują pewne pokrewieństwo, jakie wiąże Nagórskiego z Leonardem. Autor *Karolinki* długo przygotowywał się do ostatecznego zmierzenia się z wymarzoną postacią. Przygotowywał? Raczej odkładał je, bo, jak się za chwilę okaże, w *Ostatniej godzinie* zbiegły się prawie wszystkie doświadczenia pisarza, a wiadomo przecież, że taka okoliczność bywa zazwyczaj symptomem jakiejś sytuacji granicznej, przełomowej, kiedy jest się w apogeum swoich możliwości, kiedy ma się nareszcie ulotne poczucie pełni. W *Notatkach* obok rozważań o Leonardzie prowadzone są równoległe refleksje poświęcone ostatniemu dramatowi Szekspira, *Burzy*, a w szczególności postaci Prospera. Jak pamiętamy, postać ta pojawiła się już wcześniej, w *Nagrodzie Nobla*, w przemówieniu Hermana Eulera, teraz jednak, gdy występuje w określonym kontekście (osoba Leonarda), nabiera ona innych,

nowych znaczeń, zresztą będzie jeszcze o tym mowa, ale nie teraz... teraz spójrzmy na początek *Ostatniej godziny*.

Jest ranek 2 maja 1519 roku, pada drobny deszcz, wokół rozbrzmiewają żabie rechoty i cykanie świerszczy, Leonardo leży w niewielkim pokoiku, w swoim domu w Amboise, poniżej zamku wzniesionego na wzgórzu; soczysta zieleń drzew za oknem; białe, nagie ściany; Leonardo przywołuje Francesca, swojego ucznia i jedyne wiernego przyjaciela, i mówi o świetle tego poranka.

Jeżeli dobrze się wczytać w opis tej sytuacji, a jednocześnie będzie się miało świeżo w pamięci wszystkie utwory Nagórskiego — zauważy się, że ma ona w sobie coś z kolorytu pierwszego bodaj opowiadania Nagórskiego pt. *Zdrada*. Podobieństwa bowiem uderzają nawet w drobnych szczegółach. Powstaje teraz pytanie, czy owa analogia jest dziełem przypadku lub zdradza najwyżej pewne ulubione obrazy i nastroje autora? Czy też jest ona zabiegiem świadomym, który posiada, być może, jakieś znaczenie? Mam wrażenie, że jest to zbieżność umyślna.

Oto Nagórski, rozpoczynając myślami Leonarda wielką spowiedź, przywołuje swą pierwszą próbę literacką, dając w ten sposób do zrozumienia, że spowiedź przeprowadza od samego początku, od zarania swej historii jako pisarza. Zaraz potem Leonardo zapada się w sobie, milknie i milczy tak aż do ostatnich słów, które znowuż wypowiada na głos. Pamiętamy je wszyscy. Wypowiedziane po włosku mają dla naszego ucha moc zwielokrotnioną: „*Non si debbe desiderare lo impossibile. La ricerca dell'impossibile ha come castigo la malinconia e la disperazione. Il vouto nasce, quando la speranza more*”. (Nie należy pragnąć niemożliwości, bo kto szuka rzeczy nieosiągalnych, płaci rozpaczą i śmiercią nadziei, a tam, gdzie umiera nadzieja — rodzi się próżnia). Co oznaczają te zaklęcia i jakimi drogami doszedł do nich bohater *Ostatniej godziny*?

Dwusetstronicowy monolog umierającego Leonarda to dzieje pewnego nienasyceńca, historia niepokonanej nadziei. „Związany z gwiazdą” za jedyne godny sens swej egzystencji uznał dążenie do boskości. Odtąd poświęcił wszystko: szczęście osobiste, miłą zwykłość codzienności, doczesne radości i przyjemności. W wyrzeczeniu i samotności tworzy dzieła, które wzbudzając podziw przynoszą mu sławę i oddanych bez reszty wielbicieli. Boskiego wybrańca pociąga jednak co innego niż zwykle i choćby największe wywyższenie przez innych. Chodzi mu o zmierzenie się z samą naturą. Pragnie wiedzieć, czy kiedy osiągnie niespotykaną dotąd władzę nad przedmiotami martwymi, nad tworzywem, z którego lepil swe dzieła, oraz nad własnym duchem, który stanie mu się posłuszny i całkowicie poddany jego woli, otóż czy wtedy natura ugnie się przed nim? Czy, krótko mówiąc, człowiek jako wyodrębniona cząstka może zapanować nad substancją, z której się składa? I czym będzie ta władza, jeżeli jest osiągalna? Do czego doprowadzi? Co spowoduje?

Nagórski zezwala swemu bohaterowi dowiedzieć się o tym. Leonardo osiąga ową nadludzką wiedzę i moc, która pozwala mu widzieć i czuć o wiele dalej niż dane to jest pięciu zmysłom. I cóż się wówczas dzieje? Co ta szczególna kondycja objawia? Objawia ona pewną prawdę, która jest nie do ujawnienia. Zaklęty krąg boskości dopełnia się ostatnim ogniwem — aktem miłosierdzia. Ludzkość nie może wiedzieć, czym jest i po co jest, i gdzie jest, i w jaki sposób jest. Ta wiedza byłaby dla niej zgubna. Trzeba jej tego oszczędzić. Błogosławieństwem jest nieświadomość. To ona jest dźwignią życia.

I Leonardo myśli: „Wiedząc wszystko, kłamię, ponieważ wiedząc wszystko, nie wiem, co mam uczynić z tą wiedzą, a więc nie kłamstwa, lecz prawda niszczy nadzieję”. Cóż mu więc pozostaje? Jedno tylko: odrzucić czarodziejską pałeczkę, wyrzec się magii, stać się na powrót zwykłym, niewiedzącym, śmiertelnym. Rozpocząć wszystko od nowa, od początku. Czy jednak szansa taka jeszcze istnieje? Nie! — po raz wtóry odpowiadają Furie. Jeżeli szukało się prawdy i odnalazło się ją, pada się jej ofiarą, takie jest prawo. Powrotu nie ma. Trzeba odtąd żyć jak ktoś zwykły z niezwykłą wiedzą. Taka jest cena. Myśli Leonardo: „Ja, którego ciała już nikt nie może pożądać, ale również i ja, który w swoim dogasającym ciele, w ciele okrytym usychającą skórą — wciąż odczuwam błogosławione i rozpaczliwe dreszcze pożądania, ja, którego nikt nie zapragnie wziąć w ramiona, aby na moich usychających wargach złożyć pocałunek i ustami młodości objąć moje usta już usychające, ja, oszukujący samego siebie i oszukujący tych, których muszę oszukiwać, aby oszukać mego siebie, śmiercią przywoływany, a wciąż pogrążenia w młodości spragniony, nigdy niezaspokojony, bowiem ściganie uciekającej młodości nigdy nie może być

zaspokojone, ja, któremu nie jest obcy żaden grzech i który zna do ostatniego oddechu wszelkie zbląkanie, ja, który mimo mojej usychającej skóry i moich starczych warg, które są obrazą radości i harmonii, znam równie dobrze dno ciemnych przepaści, jak urojone blaski tęsknot, ja, który w pysze fałszywej pokory... ja wziąłem na swoje ramiona ciężar ponad moje siły”. Jednakże i w tym szczególnym momencie nie opuszczają go sprzeczne uczucia. Oto po tym dramatycznym wyznaniu pojawia się bluźnierstwo przeciwko Bogu. Leonardo przypomina sobie, jak zdarzyło mu się kiedyś wykonać obraz treści religijnej, za którym jął szaleć pewien młody książę, jak kupił go wreszcie i chciał zniszczyć to, co wskazywało boskość postaci, aby móc całować ją bez wyrzutów sumienia. „Osiągnąłem taką władzę nad duchem tego człowieka — myśli — że zdolny byłem rozkochać go w kobiecie malowanej, nie mniej niż w żywej. W tym, Boże, poprzednika nie miałem. Zdołałem stworzyć piękno, jakiego nikt dotąd nie oglądał! I ja miałbym teraz umrzeć? Nie! Ja pójdę dalej...”. Rzeczywiście, Leonardo do ostatnich słów nie wierzy w możliwość własnej śmierci. Wydaje mu się, że to, co wkrótce nastąpi, przyniesie po prostu kolejne doświadczenie, okaże się jakąś szczególną, jemu tylko daną przemianą. Wiara ta wzbudza ostatnią nadzieję Leonarda. Lecz cóż w tej sytuacji oznaczają zdania ostatnie? Czyżby jednak zwątpienie w obliczu zjawiającej się pustki? A może tylko przestroga? Lecz jeśli przestroga, to dla kogo? Bo przecież nie dla stojącego obok Francesca Melciego, wyłącznego spadkobiercy jego ziemskiego dorobku. Może więc dla ludzkości w ogóle, a zwłaszcza dla tych, których potrzeba dążenia ku rzeczom nieosiągalnym już opętała?

Ostatnia godzina pod względem kompozycyjnym jest dziełem zbudowanym misternie. Każdy szczegół, wszelkie podteksty są tu starannie dobrane i posiadają określone znaczenie. W sumie całość kojarzy się z kołem, z ciągłą linią zamkniętą. Oto Leonardo rozpoczyna opowieść o swoim życiu, aby przeprowadziwszy rachunek sumienia, wywód burzliwy i narastający jak same koleje życia, powrócić na koniec tam, skąd wyruszył, do punktu wyjścia. Pomiędzy poszczególnymi fazami życia a stadiami monologu zachowana jest swoista symetria. Każdemu przeżyciu Leonarda zawsze odpowiada jakiś inny ton i jakaś nowa myśl, która dalej popycha jego spowiedź. Ale i to jeszcze nie wszystko: Nagórski bowiem w kolejnych stadiach „choroby” Leonarda widzi okresy i tendencje własnych poszukiwań. Najbardziej wyrazisty przykład tej zależności znajduje się mniej więcej w połowie (wybór tego właśnie miejsca również nie wydaje się przypadkowy), kiedy to Leonardo przypomina historię hodowanego przez siebie ptaka, małej kawki imieniem Mezzanotte. Oswojony ptak, trzymany przez swego opiekuna na wolności, spędzał całe dni w ogrodzie i okolicy. Któregoś dnia, po gwałtownej burzy, nie wrócił i wszelki śluch o nim zaginął. Nie zjawiał się przez wiele tygodni, aż wreszcie pewnego słonecznego poranka zastukał dziobem w okiennice. „Nigdy do tej pory nie przeżyłem wzruszenia równie dławiącego — myśli na to wspomnienie Leonardo — i szczęścia tak bezgranicznie czystego, jak w owej chwili, kiedy poczułem w dłoniach drobne i drżące ciało Mezzanotty, a pod wargami ciepłe, puszyste pióra”. I w chwilę potem, komentując przypływ czułości, stwierdza: „Wówczas mogłem jeszcze zawrócić...”.

Opisy podobnej tkliwości tworzą w utworach Nagórskiego cały motyw, jednak szczególnie często występują w pewnym cyklu opowiadań, który powstał — przy zachowaniu wszelkich proporcji — w środkowym okresie twórczości. Czytając *Natchnienie świata*, natrafiamy w pewnym momencie na scenę następującą: „Już schodził z werandy, gdy na wilgotnej, z lekka omszałej balustradzie dojrzał malutką, nieruchomo przycupniętą biedronkę. Schylił się i delikatnie przesunął ją sobie na dłoń. Przestraszona nie ruszała się dłuższą chwilę, dopiero gdy podniósł rękę do ust i chuchnął na nią parę razy ciepłym oddechem, biedronka ożyła i zaraz potem pośpiesznie poczęła wędrować po otwartej dłoni. Gdy doszła do końca wskazującego palca, zatrzymała się na moment, potem rozwinęła drobniutkie skrzydła i lekko sfrunęła”.

W opowiadaniu *Francek*, napisanym w tym samym mniej więcej czasie, bohater utworu na widok wiewiórki reaguje takim wspomnieniem z dzieciństwa: „Nie wiem dokładnie, ile miałem wtedy lat, ale musiałem być bardzo mały, może trzy lata miałem albo cztery, i jednego dnia brat wystrzelił z wiatrówki do wiewiórki, jeszcze teraz słyszę odgłos strzału i jak przymknę powieki, widzę, jak małe, rude stworzonko, które dopiero co zwinnie po gałęziach skakało i życiem się cieszyło, spada, jak kamień z wysokiego drzewa i kiedy leżała na ziemi, ja do niej podbiegłem i miała podkurczone pod siebie

Zwierzę, Miłość, Ptak,
Szczęście

Zwierzę, Śmierć, Dziecko,
Morderstwo

łapki i oczka otwarte, jakby spała, tylko z pyszczka ciekł strumyczek czerwonej krwi i po tym zastrzeleniu wiewiórki całą noc nie spałem i miałem wysoką gorączkę”.

Przytoczenie tych dwóch przykładów unaocznia, że Nagórski, tak jak początkiem — do *Zdrady*, tak epizodem z kawką — do tej swojej pisarskiej przygody tu nawiązuje. A że miała ona miejsce mniej więcej w połowie twórczego życia — więc i w *Ostatniej godzinie* jej echo odzywa się po środku utworu. Owe przyipywy tkliwości mają niewątpliwie charakter erotyczny, a to, że nie ludzie je wywołują — to tylko oznaka samotności bohaterów. Albowiem ktoś, kto nie potrafi otworzyć się na ludzi, ktoś, kogo trawi paraliżujący wstyd wobec innego człowieka, ten jest istotą wygnaną, tkniętą piętnem nieodwracalnego wyobcowania. Taki ktoś — skazany wyłącznie na siebie — przeżywa wszystkie ludzkie odczucia i odruchy „zastępczo”, w wyobraźni lub pośród przedmiotów i istot, które są martwe, głuche lub ślepe, lub które nie rozumieją ludzkiej mowy.

Taki właśnie jest Leonardo: kawka *Mezzanotte* jest dla niego ucieleśnieniem tego wszystkiego, do czego jako człowiek z krwi i kości nie mógł czy nie potrafił być się zbliżyć. Jest więc wszelkimi formami kobiecości — jest matką, kochanką i córką. Sens tego epizodu wydaje się jasny. Natury szczególnie wrażliwe, błogosławione, z gwiazdą wreszcie związane — potrafią przeżywać tylko różne kształty swej samotności; zdolne jedynie do kochania „w sobie”, mogą się sobą tylko zajmować i z siebie tylko uczynić obiekt miłości. Dlatego też Leonardo wraca później do tego, co pomyślał był po wywołaniu w sobie uczucia sprzed lat, zatem do owego „wówczas mogłem jeszcze zawrócić” i przeczy temu przekonaniu. Niewinna tkliwość, radosna czułość i ciepło były złudą, której uległ Leonardo dwukrotnie, wówczas, przed laty, i teraz, pod bezpośrednim wpływem wspomnienia. Powrót nie istniał już wtedy, choć organizm wciąż jeszcze był bardzo żywotny. Był on niemożliwy, bo dusza była już zatruta poznaniem. „Nigdy nie byłem młody, tak naprawdę młody — skarży się Leonardo — chociaż urządziłem najwspanialsze maskarady i najznakomitsze festyny, chociaż rozbawiałem najbardziej zgorzkniałych i pochmurnych”.

Czym jest *Ostatnia godzina*? Jak można ją widzieć na tle całego dorobku twórczości Nagórskiego? Mam wrażenie, że wszelka jednoznaczna odpowiedź spłaszczyłaby zagadnienie. *Ostatnia godzina* jest pieśnią starości i pieśnią życia, jest testamentem i pożegnaniem, a jednocześnie świadectwem harmonijnego spełnienia — harmonijnego oczywiście na ludzką, ułomną miarę. Jest to rapsod o bujnym i burzliwym istnieniu, o niebezpieczeństwie nadmiernych namiętności, o zgubnej magii ludzkich kuglarstw i o cenie, jaką trzeba zapłacić za iluminację, jakiej się doznawało.

Pchany jakąś niejasną siłą — po raz ostatni słyszymy wewnętrzny głos Nagórskiego — pragnieniem wiedzy i wolą poznania, a jednocześnie nie chcąc porzucić ludzkiej, prostej miary — cierpiałem, lecz z tego cierpienia urządziłem widowisko. Każde przeżycie, najintymniejsze doznanie chwytiałem jak złodziej i gromadziłem je, gromadziłem, aby je później scalić i wystawić na pokaz. Myślałem, że w ten sposób uwolnię się od tego, co we mnie jest złe, myślałem, że przezwyciężę to i wyzwolę się z tej niedobrej, dręczącej kondycji, z jaką przybyłem na ten świat. Teraz, gdy jestem nareszcie u kresu tej drogi, gdy dobrnąłem w końcu tu, skąd odzywam się teraz, widzę, że wszystko to było daremne. Moje przekleństwo wyśpiewane, ale ja niewolniony od niego. Oto — starzec — stoję stopami w trawie mojego dzieciństwa, mojej niepoprawnej młodości, mojej spapranej dojrzałości. Wciąż taki sam, niezmiennie. Stoję i śpiewam mój płacz nad sobą, który nie mogłem być na taką miarę, jakiej dla siebie pragnąłem. Stoję i śpiewam. Mogę jeszcze śpiewać. Ale co będzie, gdy przestanę móc? Gdy moja czarodziejska pałeczka wypadnie mi z rąk? Gdy stracę głos i słuch? Chciałbym wtedy zamilknąć. Chciałbym umieć zamilknąć. Chciałbym, aby mój ostatni śpiew nie zabrzmiał fałszywie. Wolałbym, żeby był ciszą.

PIĄTEK, 24 KWIETNIA

Już dwunasta dochodzi i poza przejrzeniem porannej prasy oraz paru tygodników nic do tej pory nie zrobiłem. Obezwładniająca senność i pustka w głowie, na dworze pochmurno, ale 18°C, kaloryfery wciąż grzeją i w pokoju mimo uchylonego okna jest tak duszno, iż nie ma czym oddychać. Chyba będzie burza.

Samotnik

Starość, Rozczarowanie

Dość dokładnie sobie wyobrażam, jakie powinno być zakończenie sceny Celina Raszevska — Antek, ale myśli mam tak poklejone, iż żadnej z nich nie potrafię sformułować w zdania. Przy podobnej bezsilności natychmiast wszystko przestaje mi się podobać i wszystkie wątpliwości powracają.

Burzy nie było, tylko po południu przez kilka godzin padał deszcz i pod wieczór trochę się odświeżyło. Ale dzień stracony, choć bardzo długi, cały w nastroju skretynienia: sam ze sobą grałem w kości i z miernym zainteresowaniem, żeby się czymś zająć, przeczytałem kiepski kryminał.

SOBOTA, 25 KWIETNIA

Trochę, lecz niewiele lepiej niż wczoraj. Czytanie eseju Antka musi trwać co najmniej godzinę i kwadrans, może nawet dłużej, więc w pewnym momencie lektury oboje, i Celina, i Antek muszą usłyszeć, jak goście schodzą na dół, nie ma chyba jednak sensu zaznaczać tego w tekście. Natomiast, kiedy Antek przeczyta ostatnie zdanie i pocznie starannie wyrównywać niedbale w trakcie lektury odkładane na bok kartki, aby je z powrotem włożyć do teczki — wołałbym w tym momencie uniknąć wypowiedzianych przez Celinę jakichś bepośrednich ocen i sądów. Zamyślona i po dłuższym milczeniu powinna powiedzieć raczej tak:

CELINA

Jutro jest rocznica śmierci ciotki Elżbiety.

ANTEK

Ciotki Elżbiety?

CELINA

Trzydzieści pięć lat.

ANTEK

Skąd ci to przyszło do głowy?

CELINA

Na pogrzebie Elżuni, w Zakopanem, poznałam pana Nagórskiego. Możesz sobie wyobrazić, że miałam wtedy siedemnaście lat?

ANTEK

Nagórski też chorował na gruźlicę?

CELINA

Ależ nie! Był zdrowy.

ANTEK

Więc skąd się wziął na pogrzebie?

CELINA

Oni się bardzo kochali, to była wielka miłość.

ANTEK

po chwili

Nigdy mi o tym nie powiedziałaś. *znów po chwili* Jaki on był?

CELINA

Pan Nagórski?

ANTEK

Zabawne, że mówisz o nim „pan”.

CELINA

Dla mnie był pan.

ANTEK

Więc jaki był?

CELINA

Czy ja wiem? *po dłuższej chwili* To było tak dawno, nie bardzo już pamiętam. Byłam taka młoda i głupiotka, na pewno nawet do głowy mi nie przyszło, że spotkałam sławnego w przyszłości pisarza.

ANTEK

Niesłychane! Poczekaj, urodził się w dziewięćset dziewiątym, a to było?

CELINA

W trzydziestym czwartym.

ANTEK

To znaczy miał? Nieprawdopodobne! Dwadzieścia pięć, tylko cztery lata był starszy ode mnie.

Po ściągniętych brwiach i zmarszczonym czole widać wysiłek (chyba jednak daremny), jaki wkłada, aby wyobrazić sobie tak odległą i niespodziewanie wywołaną przeszłość. Natomiast bez większych trudności natychmiast sobie uświadamia, że w jakiejś mierze, może nawet istotniejszej i głębszej od formalnego powinowactwa, jest dzięki owej przeszłości związany z obiektem swojej adoracji.

ANTEK

Naprawdę nic nie pamiętasz?

Trzeba tak jakoś zrobić, żeby czytelnikowi musiało się w tym momencie nasunąć skojarzenie z dwukrotnie już eksponowanym motywem pogrzebu Elżbiety, w części I podczas rozmowy Celiny z Nagórskim i w części II, w czasie koncertu w Filharmonii, kiedy Celina dostrzega Nagórskiego, siedzącego kilka rzędów przed nią.

CELINA

Prawie nic. Pogoda była, zdaje się, bardzo piękna. Przedwiośnie.

ANTEK

A potem go nie widywałeś?

CELINA

Czasem, z daleka. Dzisiaj na przykład.

ANTEK

Był na koncercie? No, widzisz, jaka ty jesteś! Nigdy mi jednym słowem nie powiedziałeś, że znasz Nagórskiego.

CELINA

Bo cóż to za znajomość? Ja go nie pamiętam, on mnie na pewno też.

ANTEK

On lubi nie pamiętać! A ciotka?

CELINA

Elżunia?

ANTEK

Jaka była?

CELINA

Bardzo ładna.

ANTEK

Nie masz jej fotografii?

CELINA

Żadnej.

ANTEK

Podobna była do ciebie?

CELINA

Czy ja wiem? Myślisz, że ja siebie pamiętam, jak wtedy wyglądałam? Rodzice mówili, że byliśmy do siebie trochę podobne.

ANTEK

I co jeszcze?

CELINA

Zapowiadała się na znakomitą pianistkę.

ANTEK

To wiem! I zachorowała na gruźlicę.

CELINA

Strasznie młodo umarła. Miała... Poczekaj, żebym nie poplątała, była ode mnie starsza siedem lat, to znaczy miała dwadzieścia dwa, kiedy umarła.

ANTEK

Nie wiesz, jak się poznali?

Celina bardzo dobrze to pamięta, bo na jednym z długich spacerów w głąb pustych o tej porze dolinek Nagórski wśród wielu zwierzeń opowiedział i o pierwszym spotkaniu z Elżbietą, gdy po powrocie z podróży poślubnej jesienią trzydziestego drugiego roku, w salonie stryjenskiej żony, Julii Wanertowej, będąc zresztą w towarzystwie Alicji, poznał młodzieńką pianistkę nagrodzoną wyróżnieniem na dopiero co zakończonym II Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim.

ANTEK

Nie wiesz?

CELINA

Poczekaj, coś sobie przypominam, tylko nie jestem pewna...

ANTEK

prawie z tą samą rozgorączkowaną ciekawością, z jaką przed laty słuchał partyzanckich opowiadań ojca

No, no! Przypomnij sobie.

CELINA

Już wiem, kiedyś mi Elżunia opowiadała, ale kiedy to było i przy jakiej okazji, pojęcia nie mam... chyba w trzydziestym drugim.

ANTEK

Boże!

CELINA

Pan Adam...

ANTEK

O, to już brzmi lepiej.

CELINA

Nie przeszkadzaj, Ancik, bo wszystko poplączę.

ANTEK

Pocałuję cię i nie poplączesz.

CELINA

zaniepokojona gorącością warg syna

Coś ty taki rozpalony? Nie masz przypadkiem gorączki?

ANTEK

Opowiadaj!

CELINA

Wrócił właśnie do Warszawy z poślubnej podróży...

ANTEK

Wiem, z Alicją z domu Wanert, córką tego starego i wielkiego Wanerta.

CELINA

Wtedy nie był jeszcze taki stary. Ale skąd ty to wiesz?

ANTEK

Wiem! No tak! Teraz rozumiem. To z powodu ciotki Elżbiety Nagórski rozszedł się z żoną. Tak?

CELINA

Zdaje się. A spotkali się w domu stryjenki żony pana Adama. To był bardzo bogaty dom, pani Wanertowa przyjmowała wielu artystów, opiekowała się młodymi talentami...

ANTEK

Na pewno lepiej niż Komitet Centralny.

CELINA

Ancik!

ANTEK

Nie lepiej?

CELINA

Elżunia otrzymała akurat wyróżnienie na konkursie Chopinowskim i dlatego grała w salonie pani Wanertowej.

ANTEK

Nie pamiętasz co?

CELINA

Za dużo od mojej pamięci wymagasz. Pewnie Chopina.

ANTEK

Ale co Chopina?

A Celina, idąc w tym momencie wąską i dość stromo wspinającą się pod górę ścieżynką, gdy w dole szumi gwałtownie wezbrany potok, idąc obok Nagórskiego, który mimo swych dwudziestu pięciu lat sprawia wrażenie jej rówieśnika, tak młodo wygląda, szybkie i trochę nerwowe kroki uważnie dostosowując do jej drobnych i niepewnych, bo wychowanych w mieście i tylko z miejską ulicą oswojonych — mówi, przesuając równocześnie fotel cokolwiek do tyłu, aby znaleźć się poza kręgiem światła padającym od lampy:

CELINA

Nie jestem pewna, czy dobrze pamiętam, ale tak mi się wydaje, iż Elżunia wspomniała, że grała także jakąś etiudę Skriabina...

ANTEK

Którą? Może tę?

Wciąż siedząc na tapczanie z podwiniętymi pod siebie nogami, powinien w tym momencie zanucić początkowy temat jednej z etiud Skriabina, markując jednocześnie grę na swych udach obciśniętych spodniami z welwetu koloru bordo. I nagle, jakby doznał ośnienia, uderza się ręką w czoło.

ANTEK

Jasne! Teraz rozumiem, skąd się wzięły *Pragnienia*. Oczywiście! Wszystko się zgadza! I motyw kłamstwa, i pragnień, które nie mogą być spełnione. Wspaniale! Zawsze o sobie, tylko o sobie! Och, mamó! Że też mi tego wszystkiego wcześniej nie opowiedziałaś.

CELINA

Nie cieszyłbyś się teraz.

ANTEK

To prawda. Ale gdybym wiedział, mógłbym to wykorzystać. Ani słowa nie napisałem o *Pragnieniach*. Głupi jestem, nie mam żadnej intuicji.

CELINA

I co jeszcze? Nie masz inteligencji, wyobraźni...

Antek śmieje się, lecz nagle poważnieje.

ANTEK

Powiedz, mamó, czy to nie dziwne i właściwie nie okropne, że kiedyś jacyś ludzie się kochali, cierpieli i przeżywali chwile szczęścia, wreszcie śmierć to wszystko przygniotła i pokruszyła, a potem, po latach, ktoś taki, jak na przykład ja, dowiaduje się o tym i zdaje sobie sprawę, dociera do niego z dalekiej przeszłości echo jakiejś prawdziwej ludzkiej tragedii, a on się tylko potrafi tym cieszyć, jest zachwycony, że coś takiego było, to właściwie nieludzkie, nie, mamó? — — —

NIEDZIELA, 26 KWIETNIA

Wczoraj wieczorem na imieninach u Marka N. Dzisiaj od rana duszno i parno, ale krótka burza dopiero po południu. Jurek Skolimowski kręci w Monachium nowy film dla producenta belgijskiego.

Niepokój, co znajduję we fragmentach opublikowanych w swoim czasie w „Twórczości”, od tego czasu, więc od trzech i pół roku, nie zaglądałem do nich i nie pamiętam dokładnie tekstu. Także niepokój, żebym znów nie popadł w nastrój zniechęcenia. Prawdopodobnie z tych właśnie przyczyn chodzi za mną od paru dni podszept, aby na razie, przy tej pierwszej korekcie całego materiału, zrezygnować z dokładniejszego opracowania dwóch scen wypunktowanych w planie pod liczbami 5 i 8: *Koleżeńskie spotkanie u Stefana Raszewskiego (cd.)* oraz *Bankiet w Europejskim (cd.)*. Mimo kilku pomysłów zanotowanych w ubiegłym tygodniu w związku z tymi scenami — obie mają wiele pustych miejsc i wiele elementów niewyjaśnionych. Może jednak uciec się do uniku, na potem odłożyć rozwikłanie tych komplikacji, nie tracąc na nie w tej chwili czasu, a przede wszystkim energii wyraźnie słabnącej? Może poczucie porządku trochę się przed podobnym wybiciem wzdraga. A może jednak?

PONIEDZIAŁEK, 27 KWIETNIA

Nie całkiem przekonany, że postępuję słusznie, postanowiłem mimo wszystko wyminąć wiadomą przeszkodę.

W związku z nocnym telefonem Stefana Raszewskiego do ojca: nie zapomnieć, że Raszewski, gdy tylko wykręci numer i usłyszy sygnał, natychmiast słuchawkę odłoży.

Beata Konarska w obecności Łukasza Halickiego odbiera telefon dyrektora Otockiego, powiadamiający, że ma grać Lady Makbet.

Gdy zadzwonił telefon, dochodziło pół do dwunastej i Beata Konarska i Łukasz Halicki, jeszcze w owym początkowym okresie intymności, kiedy wieczorne posiłki chętnie się spożywa w domu, leżeli.

— Odbierz — powiedziała Beata — jeżeli do mnie, to mnie chyba nie ma.

Na to Łukasz:

— Dziewczyna w twoim wieku nie ukrywa, że spędza wieczór z ładnym chłopcem.

— Dziewczyna w moim wieku spędza wieczór z ładnym chłopcem nie po to, żeby tracić czas na rozmowy telefoniczne.

Łukasz zastanowił się.

— Pewna racja w tym jest, owszem, trudno zaprzeczyć. Ale telefony mogą mieć...

— Odbierz, bo ten ktoś gotów odłożyć słuchawkę.

Łukasz, leżąc na wznak i z męskością wciąż w stanie silnej erekcji, podniósł słuchawkę:

— Tak, słucham?

— Łukasz? Mówi Witold Otocky.

— Dobry wieczór, panie dyrektorze.

— Jest Beata?

— Oczywiście. Podać ją panu?

— Bądź tak dobry.

— Już podaję — i półgłosem do Beaty — stary KaKa.

Ponieważ leżał po zewnętrznej stronie tapczana, ułożyła się wygodnie w poprzek jego ciała i dopiero wtedy wzięła słuchawkę.

— Jestem.

— Dobry wieczór, Beatko. Przepraszam, że dzwonię tak późno, mam nadzieję, że was nie obudziłem.

— Oczywiście, że nie.

— Mam dla ciebie wiadomość, która powinna ci sprawić przyjemność.

— Wiem.

— Jak to wiesz? Skąd wiesz? Dzwonił może Eryk?

— A miał dzwonić?

— Jeżeli nie dzwonił, to skąd wiesz, że mój telefon cię ucieszy?

— Przecież nie dzwoniłby pan o pół do dwunastej w nocy, żeby zrobić Beatce przykrość.

Otocki roześmiał się.

— To prawda, masz rację. Więc słuchaj dobrze, Beatko.

— Cała jestem słuchaniem.

— W najbliższy poniedziałek Eryk zaczyna próby *Makbeta*.

Prawa dłoń Beaty, zabawiająca się gęstym owłosieniem na podbrzuszu Łukasza, przesunęła się w tym momencie nieco niżej ku jego męskości. Nie poruszył się, leżał w pobliżu nocnej lampy z półprzymkniętymi powiekami, a jego członek, już zmalaty i miękki, nie drgnął pod dotknięciem jej palców. Zaciśnęła je mocniej.

Otocki:

— Słyszysz mnie, Beatko?

— Ależ tak, bardzo dobrze słyhać, panie dyrektorze. Czy Monika już wie?

— Monika?

— Czy już wie, że ja będę grać Lady Makbet?

Przez moment Otocki zaniemówił.

— No, wiesz! Ależ ty masz cholerną intuicję, dziewczyno! Niech cię diabli! Zaimponowałaś mi.

— To wcale nie intuicja, panie dyrektorze.

— Tylko co?

— Podobno bardzo dobrze prowadzę auto. Mam bezbłędny refleks.

— Niech ci będzie, ja już należę do wapniaków i nazywam to staromodnie intuicją. Domyśliłaś się bezbłędnie. Grasz panią Makbet. Dzisiaj wieczorem uzgodniłem to a Erykiem. Jest zadowolony. A ty, cieszysz się?

Beata, coraz mocniej ściskając martwą męskości Łukasza:

— Ponieważ ma to być dla mojego dobra, postaram się, żeby to dobro było jak największe. Więc Monika jeszcze nie wie?

— To nie ma znaczenia. Dowie się. Nie przejmuj się tym, Beatko.

— Ależ ja się wcale nie przejmuję, chcę tylko wiedzieć.

Potem, gdy odłożyła słuchawkę, a Łukasz wciąż leżał bez ruchu, z przymkniętymi powiekami:

— No?

— Winszuję.

— Dlaczego nie patrzysz na mnie?

— Kontempluję na razie twój sukces.

Wówczas Beata, siedząc z podkurczonymi pod siebie nogami tuż obok nieruchomo kontemplującego, wyciągnęła prawą dłoń ku światłu lampy, chwilę się ze skupioną uwagą przypatrywała się swoim smukłym i krucho-dziewczęcym palcom, delikatnie podświetlonym zielonkawą barwą abażuru, i powiedziała:

— Teraz już rozumiem, dlaczego cała krew odpłynęła ci do głowy.

Na to Łukasz, jakby pod nim petarda wybuchła, poderwał się nagle i, odbiwszy się piętami, tak gwałtownie z tapczana wyskoczył, iż znalazł się nieomal na środku pokoju, wylądował przecież, zachowując doskonałą równowagę, chwilę stał bez ruchu, z prawą nogą lekko ugiętą w kolanie i cały też cokolwiek ku przodowi wychylony, co go upodabniało do gorliwego posłańca bogów, mającego za moment oderwać się od ziemi i chyżo wzlecieć w powietrze, jednak się nie poderwał do lotu, obrócił się tylko zwinnie na palcach i sięgnął po spoczywający nieopodal na fotelu drewniany, połączony kaduceusz —

Kiedy jesienią roku ubiegłego wróciłem po długiej przerwie do *Miazgi* i zabrałem się do uzupełniania części II — od tej właśnie sceny zacząłem pracę, pojęcia jednak nie mam, dlaczego nie dopisałem wówczas kilku zdań końcowych.

Tekst z *Prometeusza* (jednak powinien pozostać oryginalny tekst Aischylosa, przekład Stefana Srebrnego, zakalcowaty i naszpikowany archaizmami, trochę poprawiłem), który Łukasz Halicki ze swoim „roboczym” kaduceuszem wygłasza przed lustrem:

Daremne będą, widzę, wszelkie moje słowa,
daremnie zwracać prośby do twardego głazu.
Jak młody rumak, nie chcąc zgodnie biec w zaprzęgu,
kąsasz wędzidło, wierzgasz i nie znosisz cugli.
Szarpiesz się, ciskasz z furią, lecz myśl twoja słaba:
jeśli komu rozsądku brak, upór i pycha
w niczym pomoc nie mogą, siły nie dadzą.
Pomyśl, Prometeuszu, jak gwałtowna burza
klęsk zwali się na ciebie, jeśli mnie, Hermesa,
nie zechcesz wysłuchać...

W tym momencie Beata miała chwycić z nocnego stolika popielniczkę i z rozmachem cisnąć ją w Łukasza, ten jednak posiada dostatecznie szybki refleks, aby się uchylić w porę i popielniczka z hałasem roztrzaskuje się o ścianę. Chyba tak zostawić? I nic więcej nie dodawać. Bo po co? Jeśli ktoś pożałuje, iż brak opisu, jak się potem Beata i Łukasz kochają, niech to sobie wyobrazi.

Wróciwszy z koncertu, Eryk Wanert czyta u siebie w domu pierwszą scenę *Prometeusza Aischylosa* Nagórskiego.

Skąły, niebo, pustkowie. Wchodzą: Prometeusz, Hefajstos, Przemoc i Siła.

HEFAJSTOS

Stój, Prometeuszu! Doszliśmy do kresu, mój stary, albo, jeżeli wolisz, po długiej i żmudnej wędrówce jesteśmy u celu. Skraj świata, jak widzisz. Dzikie turnie, nagie szczyty, niebo, z którego leje się żar. Żaden człowiek nie dotarł do tego bezludzia i wieki przeminą, nim zabrzmi tutaj ludzki głos. Wybacz mi, Prometeuszu, wprowadzie cię prowadzę, lecz nie czynię tego, czego chcę, przeciwnie: czego nie chcę, to czynię. Z rozkazu mego ojca, wszechpotężnego Zeusa, muszę wykonać to, co muszę.

PRZEMOC

Musisz?

HEFAJSTOS

Jesteś Przemocą, więc czemu pytasz?

SIŁA

Musisz?

HEFAJSTOS

Jesteś Siłą, nie powinnaś pytać.

PRZEMOC

Pomyśl — Hefajstosie.

SIŁA

Zastanów się, Hefajstosie.

HEFAJSTOS

Czego chcecie?

PRZEMOC

Świadomości.

SIŁA

Słusznej oceny.

HEFAJSTOS

Wypełniam posłusznie rozkazy mego ojca, wszechpotężnego Zeusa. Czynię, co mi nakazał.

PRZEMOC

Musisz?

SIŁA

Masisz?

HEFAJSTOS

A wy?

PRZEMOC

Wyrok jest słuszny. Każdy wyrok wszechpotężnego Zeusa jest słuszny.

SIŁA

Kara jest słuszna. Każda kara wszechpotężnego Zeusa jest słuszna.

HEFAJSTOS

Wielkie moje siostry!

PRZEMOC

Siostry?

SIŁA

Siostry?

HEFAJSTOS

Jestem posłuszny i spełniam, co mi nakazano.

PRZEMOC

Musisz?

SIŁA

Chcesz?

HEFAJSTOS

Prometeuszu!

PRZEMOC

Pomyśl, Hefajstosie!

SIŁA

Zastanów się, Hefajstosie!

HEFAJSTOS

Wyrok nakazuje, żebyś był nagi, Prometeuszu. Sam będąc bogiem, wiesz najlepiej, kim się staje bóg, gdy traci władzę. Nie sprzeciwiaj się więc, Prometeuszu, i dobrowolnie zrzuć swoje szaty.

PRZEMOC

Chcesz tego?

SIŁA

Chcesz tego?

HEFAJSTOS

Spełniam wiernie i dokładnie rozkaz mego ojca, wszechpotężnego Zeusa.

PRZEMOC

Który widzi wszystko.

SIŁA

Który słyszy wszystko.

PRZEMOC

I którego wszechwiedzę wspieram ja, Przemoc.

SIŁA

I którego nieomylność potwierdzam ja, Siła.

PRZEMOC

Który zatem i o tobie, Hefajstosie, wie wszystko.

SIŁA

I nieomylnie, twoje myśli i pragnienia, Hefajstosie, ocenia.

HEFAJSTOS

Moje myśli? Moje pragnienia?

PRZEMOC

Boisz się swoich myśli?

SIŁA

Lękasz się swoich pragnień?

HEFAJSTOS

Mylicie się, moje wielkie siostry.

PRZEMOC I SIŁA

My tylko pytamy.

HEFAJSTOS

Wszystkie moje myśli...

PRZEMOC I SIŁA

Twoje myśli?

HEFAJSTOS

Wszystkie moje myśli i wszystkie moje pragnienia są zgodne z wolą wszechpotężnego Zeusa.

PRZEMOC

Powiedz to Prometeuszowi.

SIŁA

Niech Prometeusz zna twoje prawdziwe myśli i twoje prawdziwe pragnienia.

HEFAJSTOS

Macie słuszność, moje wielkie siostry. Wysłuchaj mnie więc, Prometeuszu, wysłuchaj uważnie, bo chociaż będąc bogiem wiesz, jaki cię wyrok czeka, musisz go wysłuchać, jak byś był tylko człowiekiem. Z woli wszechpotężnego Zeusa, z którą to wolą jednoczę się ja: ramię karzącej sprawiedliwości, rozkazuję ci, Prometeuszu, żebyś przede mną i przed moimi wielkimi siostrami, Przemocą i Siłą, stanął nagi.

PRZEMOC

Bracie!

SIŁA

Bracie!

Prometeusz zdejmuje z siebie wolno odzież pasterza.

HEFAJSTOS

Jestem!

PRZEMOC

Bracie!

SIŁA

Bracie!

HEFAJSTOS

Chciałeś, Prometeuszu, samowolnie wywyżżyć ludzkie plemię i oto jesteś nagi naj-
nędzniejszą człowieczą nagością. Sięgnąłeś zuchwałą dłonią po ogień, który jest przywi-
lejem bogów, i oto będzie ci odjęta wszelka sposobność działania. Widzisz tę samotną
skałę, Prometeuszu?

PRZEMOC

Bracie!

SIŁA

Bracie!

HEFAJSTOS

Idź do niej, ona będzie twoją wiecznością. Ona i żelazne łańcuchy, którymi cię do niej
przykuję.

PRZEMOC

Chwała wielkiemu Zeusowi!

SIŁA

Sława wielkiemu Zeusowi!

HEFAJSTOS

Ale wieczność jest pojęciem nawet dla bogów cokolwiek mglistym.

PRZEMOC

Hefajstosie!

SIŁA

Hefajstosie!

HEFAJSTOS

Więc skoro w wieczności, będącej zarazem skończonością, narodzi się dziecię odku-
pienia, zwane Heraklesem — — —

Dwie możliwości: 1) Eryk Wanert mieszka na Powiślu, w wieżowcu wzniesionym
niedawno na rozległym terenie założonego już po wojnie Parku Kultury, a ponieważ ma
mieszkanie na ostatnim piętrze, widok z jego okien roztacza się bardzo rozległy na park
w dole i bieg Wisły, płynącej w tej części miasta wśród krajobrazu leśno-łąkowego, cał-
kiem jak na wsi; 2) z powodu komplikacji rodzinnych (rozejście się z żoną, której oddał
mieszkanie?) Eryk Wanert jest od pewnego czasu bezdomny, w ubiegłym roku korzystał
z mieszkania kogoś, kto na kilka miesięcy wyjechał z Polski, a po powrocie tego kogoś
przeprowadził się do stryja, stary profesor Henryk Wanert mieszka samotnie (podobnie
jak Nagórski posiada dochodzącą pomoc domową) na Karowej, w kamienicy wzniesionej
na skraju wiślanej skarpy, mieszkanie jest obszerne i wygodne, Eryk mógłby posiadać
własny, zupełnie niekrępujący pokój, jego stosunki ze stryjem zawsze układały się i nadal
układają bardzo dobrze. W tej chwili profesora Wanerta nie ma w domu, od paru dni
przebywa w Jabłonnice.

Wybrać chyba tę drugą wersję. Nie zapomnieć, że do Eryka powinien zadzwonić
Maciej Zaremba, który z wiadomych przyczyn jest zbyt podekscytowany, aby wrócić

po przedstawianiu do domu, poszedł więc najpierw najprawdopodobniej do SPATIF-u, a gdzieś koło północy zawędrował do nocnego Bristolu, gdzie zorientowawszy się, że Eryk mieszka tuż obok, koniecznie chce go odwiedzić. Mimo całej przyjaźni i wciąż żywej sympatii, jakie żywi w stosunku do Zaremby, nie wydaje się, aby nawet dla niego i w sytuacji tak wyjątkowej Eryk Wanert pozwolił sobie na wplątanie się w męczący klimat niepokoju przyjaciela, zwłaszcza że jutro czeka go ciężki dzień.

ZAREMBA

Eryk? Cześć, to ja. Co robisz, stary?

WANERT

Idę spać.

ZAREMBA

W grobie się wyśpisz. Stary, słyszysz mnie?

WANERT

Słyszę, ale wyspać się muszę dzisiaj.

ZAREMBA

Poczekaj, nie przerywaj, cholernie źle słyhać. Słuchaj, stary, ja jestem obok, w Bristolu, koniecznie muszę się z tobą widzieć. Koniecznie, słyszysz? Cholernie ważna sprawa.

WANERT

Co się stało?

ZAREMBA

Wszystko ci powiem, za pięć minut będę. Słyszysz mnie?

WANERT

Wybacz, Maciek, bardzo mi przykro, ale naprawdę nie mogę cię w tej chwili przyjąć.

ZAREMBA

Przestań, stary, pieprzyć. Nie mogę! Myślisz, że ja mogę? Też nie mogę, ale muszę. Sprawa jest, mówię ci, cholernie, ale to cholernie ważna. Słyszysz mnie?

WANERT

Jaka sprawa?

ZAREMBA

Rany boskie, co z ciebie za uparty facet! *ściszając głos, ponieważ dzwoni z szatni Grażyna* nie może urodzić, rozumiesz? Słyszysz mnie?

WANERT

Gdzie jest Grażyna? W szpitalu?

ZAREMBA

A gdzie ma być?

WANERT

Zastanów się, Maciek, w czym ja jej mogę pomóc?

ZAREMBA

A czy ja cię proszę, żebyś jej pomógł? Mnie masz pomóc! Jesteś moim przyjacielem czy nie?

WANERT

Jestem, Maciek, wiesz, że jestem, ale zrozum...

ZAREMBA

Nic nie słyszę, mów głośnie.

WANERT

Przykro mi, Maciek, okropnie przykro, ale tak się składa, że w tej chwili nie jestem sam, bardzo cię przepraszam.

ZAREMBA

po chwili milczenia

Rozumiem. Nie wiedziałem. To ja cię, stary, przepraszam. O key! Nie gniewaj się, stary. Cześć! Ale zobaczysz, zapamiętaj sobie, przyjdzie jeszcze taka chwila, że do mnie zatęsknisz. I wtedy mnie nie będzie. Zobaczysz!

wieczorem

Przed i po kolacji przeglądanie oraz uzupełnianie notatek do części III. Trochę rozterki, czy w przedostatniej scenie Maciek Zaremba ma zginąć czy nie. Wydaje mi się, że musi zginąć. Bierze oczywiście udział w „dzikim” przyjęciu w Jabłonie (wraz z członkami Bractwa Żółtowego z Andrzejem Wajsem na czele), wciąż, jak przez cały miniony dzień, wydzwanając klinikę ginekologiczną, ponieważ poród Grażyny niepokojąco się przedłuża. Obowiązki gospodarza, co było od dawna przewidziane, spełnia Łukasz Halicki (ze swoim kaduceuszem?). Zaremba sporo pije. Jest bardzo zmęczony i czuje się stary. Gdzieś u schyłku nocy, gdy jeszcze raz dzwoni, dowiaduje się, że właśnie przed paroma godzinami poród odbył się szczęśliwie, Grażyna urodziła zdrowego chłopca. Zaremba postanawia natychmiast jechać do Warszawy. Biegnie do toalety i zimną wodą przemywa twarz, potem szuka Halickiego, żeby pożyczyć od niego auto. Ponieważ sprawia wrażenie zupełnie trzeźwego, Halicki godzi się. Na dworze już szarawo, popaduje drobny śnieg, szosa jest bardzo śliska. W półmroku chłopskie furmanki z warzywami, wolno ciągnące ku miastu. Zaremba nigdy nie był dobrym kierowcą i nie lubił prowadzić auta. Jedzie dość wolno, uważnie wymijając furmanki, czuje jednak, że nie panuje nad wozem, kierownica dąży mu w kurczowo zaciśniętych i spotniałych dłoniach. W pewnym momencie czuje, że dłużej nie da rady. Zjeżdża na bok szosy, zatrzymuje auto i wysiada. Chłodne powietrze trochę go otrzeźwia. Głęboko oddycha, zwilża skronie śniegiem. I wówczas z dość bliska, z półmroku zanikającej szosy, dociera do niego popularna melodia bigbeatowa (może Beatlesów *Ob-La-Di-Ob-La-Da*), wygrywana na zwykłej fujarce. Słucha. Po chwili słychać skrzypienie kół, wylania się wiejska furmanka, zaprzężona w jednego konia, powozi stary, półsenie drzemiący chłop, obok niego jasnowłosy chłopiec, nie więcej niż dwunastoletni, to on właśnie wygrywa na prostej fujarce tę bigbeatową melodię. Nie widać ich obu bardzo wyraźnie, lecz gdy furmanka przejeżdża obok stojącego przy aucie Zaremby, wydaje mu się nagle, że tym chłopcem jest on sam z dawnych lat, jakieś mgliste wspomnienie go przenika, nieomal pewność, że kiedyś także jechał o wczesnym świcie na wiejskim wozie i przygrywał na fujarce. Niebawem furmanka ginie w szarości, a melodyjka też powoli zanika. Zaremba czuje, że wróciły mu siły, chce teraz jednego: jak najszybciej znaleźć się w Warszawie i zobaczyć syna. Gdy wraca do auta i rusza, ma absolutną pewność, że bezbłędnie panuje nad oporną maszyną. Mijając furmankę opuszcza szybę i macha jadącym ręką. Ma przed sobą pustą szosę. Przyśpiesza. Czuje, jak go wypełnia i rozpira młodzieńcza sprawność fizyczna. I wtedy auto wpada w poślizg i roztrzaskuje się o przydrożne drzewo.

Pijaństwo, Męczyzna,
Ojciec, Narodziny, Śmierć,
Wspomnienia, Wizja,
Katastrofa

Na krótko przed północą Adam Nagórski odprowadza Halinę do jej apartamentu na pierwszym piętrze. Już w przedpokoju ogarnia ich ciężki aromat kwiatów, a gdy Nagórski, wyprzedzając Halinę, przyciska kontakt elektryczny i otwiera drzwi do salonu, zagęszczenie kwiatów wylania się przed nim tak bujne i obfite, bo do kwiatów poprzednich przybyły kosze oraz bukiety z koncertu dzisiejszego, przede wszystkim róże, tulipany i goździki, trochę cieplarnianych, nazbyt wydelikacjonnych bzów, wobec tego wielokolorowego i nienaturalnie obfitego gęstowia przeżywa moment wahania, czy wejść do środka. I mówi:

— Jednak nadmiar bywa niekiedy niepokojący.

— Nadmiar czego? — pyta Halina, wchodząc do środka.

Nagórski znów z nie całkiem ukształtowanym w otwartych oczach zarysem twarzy Nike:

— Jeżeli nie jesteś bardzo zmęczona...

— Trochę jestem, ale to przyjemne zmęczenie. Napijesz się?

— Chętnie.

— Koniak? Whisky?

— Raczej whisky. Wiesz, co to jest koniak?

— Już słyszałam, ktoś mi opowiadał, koniak to jest trunek, zapomniałam jak jest dalej...

— Który klasa robotnicza pije ustami swoich najlepszych przedstawicieli.

— Zabawne!

— Myślisz? To jest dowcip, ale dowcip realistyczny.

— Wy tutaj wszyscy opowiadacie dowcipy.

— Czemu się dziwisz? Służba zawsze lubi się nabijać ze swoich panów, ale oni na swój sposób bywają arystokratyczni i lubią się niekiedy pobratać ze służbą, opowiadając kawały o samych sobie.

— Dziwne to wszystko.

— Egzotyczne?

— Nie, właśnie dziwne.

— Cóż? Żyjemy.

— Wciąż patrzę i słucham, i nie mogę się napatrzeć i nasłuchać.

— Polski?

— Wszystkiego. Znow ten ironiczny uśmiech?

— Przepraszam, to odruchowo.

— Wy prawie wszyscy tak się uśmiechacie. A już kiedy zaczynam mówić, co mi się tu podoba...

— A co ci się podoba?

— Wciąż sprawiacie takie wrażenie, jak byście chcieli przybyszowi stamtąd, z Zachodu, dać do zrozumienia, że w porównaniu z wami jest mało doświadczonym, głupiutkim dzieckiem. Czy nie tak?

— Mów dalej, Halinko.

— Cóż mam mówić? Wiem, że nie jestem specjalnie mądra, ale kto wie, czy na wiele spraw nie mam świeższego spojrzenia od was. Mniej przeżyłam, mniej widziałam okropności, nie musiałam walczyć z tyloma trudnościami, ale może dlatego potrafię widzieć i więcej, i ostrzej. Mnie się naprawdę wiele rzeczy tutaj podoba, pamiętam, jak było przed wojną, i też może lepiej pamiętam od was, bo to, co było, stało się dla mnie ostatnim i jedynym obrazem Polski, jaki wywiozłam z kraju. Bardzo się bałam tego przyjazdu.

— Ale nie żałujesz?

— Jeszcze nie wiem, wszystko jest za świeże. Prócz jednego.

— Mianowicie?

— Was!

— Przybyszom z Zachodu na ogół się podobamy.

— Ja nie jestem przybyszem z Zachodu.

— Wiem i wcale nie miałem zamiaru dać ci do zrozumienia, że uważam cię za przybysza z Zachodu. Chciałem tylko powiedzieć, że prawdziwi przybysze z Zachodu nie są w stanie uchwycić wieloznaczności różnych naszych gestów i manifestacji. Nie znają zasad.

— Ja się też w tych zasadach gubię. I w samej grze.

— Bo wyszłaś z wprawy. Ale gdybyś tu posiedziała dłużej, szybko byś doszła do formy. A raczej, żeby być ścisłym, do antyformy, do czegoś, co jest zaprzeczeniem formy klarownej i jednoznacznej.

— Odrzuciła głowę do tyłu, jakby stojącego tuż obok, przy stole, chciała lepiej widzieć. Nagórski uśmiechnął się.

— Boże, jaka ty jesteś w tej chwili podobna do Krzysia!

— Już mi to kiedyś powiedziałeś w Paryżu i teraz, zaraz na lotnisku. Naprawdę jestem podobna?

— Każdy szczegół twojej twarzy wydaje się inny, a w całości, zwłaszcza w tym tak dla ciebie charakterystycznym odrzuceniu głowy trochę do tyłu, Krzys prawie żywy.

— Mama mi tego ani razu nie powiedziała. Wiesz, trochę tych kwiatów zawiozę przed odjazdem mamie. Twojej także.

— Będzie zachwycona.

Władza, Robotnik,
Alkohol, Pozycja społeczna

Polska, Polak, Żart, Pozory

— Trochę mi przykro, że mama nie przyszła na koncert. We wtorek też nie była.
 — Zlituj się, Halinko, sama widziałaś, jaka jest pogoda, a twoja mama przekroczyła osiemdziesiątkę, w Polsce ludzie szybciej się zużywają niż tam, u was.

— A twoja matka?

— Ba! Moja jest szczególnie przemyślnym kaprysem natury.

— Pięknie dzisiaj wyglądała. Gdybym miała żyć długo, chciałabym się zestarzeć, jak ona. Ale wolałabym nie. Podziwiać można starość drugich, własna jest nieprzyzwoita. Nie uważasz?

— Owszem, uważam.

— Wiesz, Adam, ile my się znamy?

— Długo.

— Pamiętasz, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy?

— Raczej nie.

— Ja pamiętam. Już mieszkaliśmy w Warszawie, to był dwudziesty trzeci.

— Boże!

— Przyszedłeś do nas, a właściwie do mamy z wizytą. Pamiętam, że w głowie nie mogło mi się pomieścić, w jaki sposób mama może mieć takiego niedorosłego brata. Miałam wtedy sześć lat, a Krzys był zupełnie malutki i miał złote, kędzierzawe włoski. Ty byłeś bardzo ładnym chłopcem.

— To rzeczywiście była Wielkanoc?

— Na pewno, Wielki Piątek albo Wielka Sobota, bo, jak przyszedłeś, mama zawołała mnie z kuchni, kiedy się piekły babki i mazurki.

— Zabawne!

— Babki i mazurki?

— Wydawało mi się do tej pory, że wszystkie świąteczne ferie spędzałem poza domem, przeważnie w gościnie u kolegów. Miałem w Jeleniu sporo kolegów z tzw. sfer ziemiańskich. Ale poczekaj, może nasz rację, to by się zgadzało, w dwudziestym trzecim roku byłem w trzeciej klasie, oczywiście, przyjechałem wtedy na Wielkanoc do domu, bo oni spędzali święta we Włoszech. Strasznie to było dawno.

Chwila milczenia. Wreszcie Halina:

— No widzisz, i zrobiło się prawie smutno.

— Pozwolisz, że wezmę jeszcze trochę whisky?

— To może i mnie kapkę koniaku. Ale dosłownie kapkę. Nie uważasz, że mój polski jest dosyć dobry?

— Bezbłędny! Taką kapkę?

— Może być ciut, ciut podwójna.

I znów po chwili:

— Byłeś o matkę zazdrosny?

— Ależ nie, skąd? Ojczyzna ubóstwiałem, pułkownik Abgar-Sołtan był przedmiotem mojej ówczesnej adoracji, choć wkładałem wiele wysiłków, aby i jemu, i matce mogło się zdawać, że go nienawidzę. O, to długa i wówczas piekielnie dla mnie zawiła historia. Pojęcia nie masz, Halinko, jak strasznie się w dzieciństwie wstydziałem, że mam starego ojca. Najpierw myślałem, że wszyscy ojcowie muszą być bardzo starzy. Dopiero kiedy zacząłem chodzić do przedszkola, otworzyły mi się oczy. Ojciec, jadąc rano do Hipoteki, podrzucił mnie po drodze autem na Bracką i już chyba drugiego czy trzeciego dnia spotkałem w bramie przedszkola jedną z koleżanek, kiedy się całowała na pożegnanie z młodym mężczyzną. Spytałem ją, czy to jej braciszek, wtedy ona wybuchnęła śmiechem, strasznie długo chichotała, ten śmiech dopadał mnie później przy różnych okazjach przez wiele lat, jeszcze teraz wydaje mi się, że go słyszę gdzieś tak daleko, tak bardzo daleko, jak pogłos w ciemnym, długim korytarzu. Od razu wtedy poczułem, że palnąłem potężne głupstwo, to był, oczywiście, ojciec, ten gołowąsy szczeniak. I jeszcze, żeby mnie do końca pogrzyżić, spytała, zresztą chyba w najniewinniejszej intencji, czy staruszek, który był ze mną w aucie, to mój dziadus. Z pobłażliwej perspektywy tylu lat uważam, iż okazałem pewne męstwo, poprzestając na potwierdzeniu tej wersji, mogłem się przecież powołać na pradziadka, prawdopodobnie bardzo bym w ten sposób koleżance zaimponował.

— Twój ojczym był, zdaje się, bardzo pięknym mężczyzną?

Ojciec, Matka, Syn,
 Starość, Uroda, Obyczaje,
 Dziecko

— Zdaje się, w każdym razie ja go za takiego uważałem. Twoje zdrowie, Halinko, byłaś dzisiaj naprawdę wspaniała, kto wie, czy nawet o ułamek dziesiątą nie lepsza niż w recitalu.

— Naprawdę?

— Sama wiesz.

Znów odrzuciła głowę do tyłu.

— Wiem! Ale zawsze jest przyjemnie słyszeć potwierdzenie.

— Bardzo bym chciał posłyszeć jeszcze kiedyś twego Mahlera, wiesz którego? *Die zwei blauen Augen von meinem Schatz*, błękitne oczy mojej najdroższej...

— Lubisz to?

— Bardzo! Kiedy przyjedziesz do Polski?

Zawahala się.

— Nie wiem, Adam.

I po chwili:

— Chyba nigdy.

Nagórski dołał whisky na dwa palce.

— Masz *Pieśni Wędrowca* nagrane?

— Przyślę ci płytę, dyryguje Eduard Beinum. Ale lepiej do mnie przyjedź.

— Ba! To nie takie proste.

Halina po chwili:

— Wybacz, Adam, może nie powinnam stawiać takich pytań...

— Chodzi ci pewnie o to, czy nie za bardzo utrudniłem sobie życie, tak? Cóż ci powiedzieć, miła moja? Oczywiście, w pewnym sensie rzeczywiście życie sobie utrudniłem, ale dobrowolnie i świadomie. Jednak w rozrachunku ostatecznym, kto wie, czy żyć tutaj w sposób trudny nie znaczy żyć łatwiej, przynajmniej dla pewnego gatunku ludzi.

— Niezależnych?

— Raczej dumnych. Zasady naszych narodowych gier bywają bardzo różne, Halinko. A i gracze różni.

I naraz, wbrew dotychczasowej wstrzemięźliwości, a może właśnie z powodu niej, zbyt długo sobie narzuconej, lub może również dzięki przyplwowi ożywienia spowodowanego alkoholem, odczuł potrzebę mówienia:

— Zrozum, Halinko, skoro tak, jak u nas, źle funkcjonuje cała rozległa sfera polityczno-społeczna i zły, z gruntu niemoralny i powodujący najdotkliwsze zniekształcenia ucisk nie omija żadnej dziedziny życia, wówczas wszyscy ponoszą straty, zarówno ci, którzy rządzą lub rządowi biernie ulegają, jak i ci, którzy wyrażają sprzeciw. W tych warunkach nikt nie może podjąć żadnej decyzji, którą mógłby uznać za bezwzględnie słuszną lub niesłuszną, zawsze bowiem wokół każdego wyboru mnożyć się poczynają rozliczne zastrzeżenia i wątpliwości, nic nie jest czyste i klarowne, w każdym człowieku, nawet jeśli sobie z tego nie zdaje sprawy, dokonuje się bezustanne ząębienie racji i nieracji, słusności i niesłusności, okrucy dobra odbarwiają zło, a szczypta zła zamąca dobro, zamiast osądu jednoznacznego powstaje w każdym z nas i przy każdym wyborze zlepek, jak przekładaniec, ukręcony z różnych sprzecznych ingrediencji, tak niestety jest i chyba inaczej być nie może, ludzie są ludźmi i ludzie chcą żyć. Gdybyś mnie zatem spytała, co w podobnej sytuacji robić i jakie decyzje podejmować, mógłbym ci odpowiedzieć jedno: postępuj tak, aby to, co zamierzasz lub chcesz uczynić, było w możliwie największej zgodzie z twoją osobowością i chociaż nie całkiem ją wyrażało, przecież było w jakiś sposób zbieżne z twoją naturą, przylegało do niej możliwie ściśle, to wszystko! A gdybyś mnie z kolei spytała, czy ta miara...

W tym momencie telefon. Halina podnosi słuchawkę.

— Słucham?

Nagórski, wciąż ze szklanką whisky, stoi zbyt blisko, aby nie usłyszeć męskiego głosu: *here's Aimo, good night, darling*⁷⁶.

Halina:

— *Where are you*⁷⁷?

⁷⁶*here's Aimo, good night, darling* (ang.) — tu Aimo, dobranoc, kochanie. [przypis edytorski]

⁷⁷*where are you* (ang.) — gdzie jesteś. [przypis edytorski]

Nie słycać żadnej odpowiedzi, tylko odgłos położonej słuchawki. Po chwili Halina też słuchawkę odkłada.

— Przepraszam cię, Adam — mówi.

A gdy nakręca numer recepcji, Nagórski dyskretnie się cofa, przez co natychmiast ogarnia go gęstowie róż, pnących się wokół w ogromnych koszach.

Halina trochę nazbyt głośno i rozkazująco:

— Poproszę pokój osiemnaście.

Moment ciszy i zaraz potem odgłos pobrzmiwającego natarczywie w odległej głębi sygnału. Nagórski pochyla się, aby powąchać róże i gdy przymyka oczy, jeszcze raz tego wieczoru, poprzez rytmicznie ponawiany sygnał, wyłania się przed nim twarz Nike z rozchyłonymi wargami i jej nagie ciało, nie — myśli — to nie jest powrót choroby, to nie jest choroba, już nie jestem chory, to tylko zwykle wspomnienie choroby, ale wspomnienie, które nic we mnie nie porusza i pozostawia mnie obojętnym, jakbym to nie ja tęsknił do tego zanikającego teraz ciała i nie ja przeżywał — — — — — ponieważ słyszy, jak Halina słuchawkę odkłada, jeszcze raz pochyla się nad różami i odwraca się, odruchowo podnosząc do ust szklanekę, aby ukryć w ten sposób nagły popłoch, lecz szklanka jest pusta, więc udając, że pije, myśli: czyste i jasne oczy Krzysia, gdyby żył, byłyby również zmęczone i puste, jak jej, a jego dziecięce wargi ukształtowałyby podobny grymas goryczy.

I mówi:

— Jeżeli chcesz, Halinko, zejdę na dół do baru.

— Myślisz, że tam jest?

— Przyślę ci go.

— Nie! — i znów sprzeciw ciasnych poczwar, piekielnych Furii zagradzających drogę Orfeuszowi, zabrzmiał w jej głosie.

I już ciszej:

— Po co?

Zatem Nagórski:

— Więc jutro o dwunastej spotykamy się na rodzinnym ślubie, a potem intymny obiad u mnie.

Halina, jednak mimo ostatecznego znużenia, przechylając głowę do tyłu:

— Dziękuję ci za wszystko, kochany.

— Za co?

— Jestem śmieszna, prawda?

— Ty?

Chce powiedzieć: „miłość nigdy nie jest śmieszna”, myśli: „jeśli się dawno przestało być młodym, zawsze jest śmiesznością podszyta”.

— Miła moja, mogę ci tylko z całego serca życzyć, aby ów stan śmieszności służył ci przyjaźnie jak najdłużej. Gdyby natura istnienia stale nam ukazywała jednolicie ukształtowaną maskę dostojnej powagi, powinna by wówczas swoje duże dzieci, skoro przekroczy pewną granicę wieku, zwalniać wspaniałomyślnie i miłosiernie od wszelkich miłosnych pragnień, sprawiedliwie w sensie humanistycznym rozumując, iż nie należy narażać ludzkiej powagi na próby oraz doświadczenia tak bardzo kompromitujące wstydlivosti, wynikające z powolnych, lecz nieuchronnych zmian w strukturze protoplazmy. Skoro jednak szczerobliwa natura jest wieloznaczna, więc również szydercza, frywolna, groteskowa i błazeńska... każ mi przestać gadać, Halinko, zdaje się, że twoja znakomita whisky cokolwiek nadmiernie pobudziła moje niewyżyte skłonności oratorskie, więc niech cię twój dobry Anioł Stróż wspomóż, żeby nie rozpoczął teraz nocnych zwierzeń i nie sprezentował ci w rytmie „*alla polacca*” wszystkich własnych kolczastych sfer miłosnych śmieszności. Wyrzuć mnie po prostu za drzwi, a jeśli dobre wychowanie nie pozwala ci tego zrobić, ja siebie sam wyrzucę i to natychmiast. Dobrej nocy, Halinko, bądź śmieszna, błagam cię. Gdybyś nią nie była, twoje „*wenn mein Schatz Hochzeit macht*” brzmiałoby płasko jak plasterzek tektury! Do jutra!

Miłość, Czas, Starość,
Przemijanie, Natura,
Śmiech

WTOREK, 28 KWIETNIA

Niedopatrzenie: Halina Ferens-Czaplicka nie może mówić do Nagórskiego, że jego matka wspaniale wyglądała na koncercie, ponieważ nie miała okazji jej widzieć. Błąd z tego wynikający, iż planowałem pierwotnie, że po skończonym koncercie Nagórski wraz z matką odwiedzają Halinę. Osobowość starej Kellerki ukształtowała się później, w trakcie pisania scen rozgrywających się w czasie koncertu, dopiero wtedy stało się oczywiste, że starsza pani popadnie w zły humor i o żadnych z jej strony serdecznościach w stosunku do córki jej pasierbicy (a również i rówieśnicy) nie może być mowy.

Pominięty w maszynopisie fragment rozmowy, kiedy pod koniec Nagórski mówi, że nazajutrz mają się spotkać na rodzinnym ślubie i potem na obiedzie u niego. Zastanowić się, czy tego fragmentu jednak nie wprowadzić do tekstu.

HALINA

On jest naprawdę wielkim aktorem?

NAGÓRSKI

Konrad? Tak, to znakomity aktor.

HALINA

Twarz ma bardzo interesującą. I głos.

NAGÓRSKI

On jest w ogóle interesujący. Choć, prawdę mówiąc, znam go bardzo dobrze i właściwie nie znam, nigdy na przykład nie umiem sobie jednoznacznie odpowiedzieć, czy on jest rzeczywiście inteligentny, czy to tylko błyskotliwe pozory inteligencji. A może dlatego jest fascynujący.

HALINA

A ona?

NAGÓRSKI

z akcentem rozbawionego upomnienia
Halinko!

HALINA

Nie robią wrażenia zakochanych

NAGÓRSKI

Ba!

HALINA

To po co się żenią?

NAGÓRSKI

Myślisz, że ja wiem?

HALINA

A może to należy do gry?

NAGÓRSKI

śmiejąc się

Widzę, że się szybko aklimatyzujesz. Owszem, wcale nie jest wykluczone, że ten związek można traktować jak swoistą grę. Nasze gry narodowe mają niekiedy zabarwienie całkiem prywatne.

Zastanowić się również, czy, a jeśli tak, to w jaki sposób, wykorzystać fragment z „Twórczości”, który jest dalszym ciągiem rozmowy Haliny Ferens z Nagórskim, ale którego nie włączyłem później do tekstu. W tym fragmencie Nagórski po pożegnaniu Haliny schodzi na dół i natychmiast udaje się do nocnego baru, w pierwotnej wersji znakomita śpiewaczka oraz Aimo Immonen mieszkali w „Bristolu”, później przenieśli ich do

„Europejskiego”, znajdującego się dosłownie na przeciw „Bristolu”, po przeciwnej stronie Krakowskiego Przedmieścia, ponieważ w ostatnich latach wybitni goście z Zachodu raczej w „Europejskim” są umieszczani, aniżeli w „Bristolu”, który stał się hotelem przede wszystkim dla obcokrajowców ze Związku Radzieckiego i z Demokracji Ludowych. Te subtelne rozgraniczenia bardzo są przestrzegane w obyczajach hotelowych państw socjalistycznych. Stąd i bankiet zorganizowany dla Haliny Ferens-Czaplickiej przez Związek Kompozytorów Polskich odbywa się nie w „Bristolu” (tam zbiorowe przede wszystkim wycieczki), lecz w „Europejskim”, zatem Nagórski, chcąc się udać do nocnego „Bristolu”, musi najpierw opuścić „Europejski”, może zresztą, powodowany zrozułnią ciekawością, powinien zajrzeć do „Kamieniołomów” (nocny lokal w hotelu Europejskim) i tam spotkać pijanego Aimo Immonena, podobieństwo miłosnych powikłań, dotyczące kogoś drugiego, zawsze bywa pewną pociechą, tylko we wczesnej młodości uważa się własne przeżycia za jedyne i niepowtarzalne, starość dostrzega powinowactwa i poszukuje powinowactw.

Więc wspomniany tekst:

Znalazłszy się w hotelowym hallu (przedtem dostrzega Aima schodzącego z wyższego piętra), Nagórski postanawia podążyć za głosem rozważnego rozsądku i natychmiast wrócić do domu. Że jednak ów głos dojrzałej, męskiej rozważności, szczególnie obowiązujący kogoś, kto i w lata, i w sławę jest zasobny, złożył oficjalną wizytę za ledwie w przedpokoju świadomości znakomitego autora *Pragnień* oraz *Ostatniej godziny* — Nagórski, zamiast roztropnie o sobie zadbać i udać się do pobliskiej szatni po odbiór jesiennego impermebla, przechodzi przez opustoszałą i wygaszoną salę restauracyjną, po czym, wprost z rozległych obszarów pobojuwiska, jakim zazwyczaj bywa lokal publiczny już nieczynny i przez gości opuszczony, a jeszcze do nowych, codziennych świadczeń nieprzygotowany, wnika do nocnego baru, gdzie tłok, skłębienie ciał, pijacka wrzawa w dusznym półmroku, jak w łodzi podwodnej unieruchomionej w głębi ciężkich i wiecznie ciemnych wód — — — — za barem Edward Kubiak.

Wspomnienie prawie stale i od wielu lat towarzyszące Nagórskiemu przy spotkaniach z Edwardem:

Krakowskie Przedmieście (jest rok trzydziesty drugi), szeroki trotuar przy rogu ulicy Traugutta, z kamienicą inną niż obecna, wówczas mieścił się w niej magazyn konfekcji męskiej „Old England”, niespodziewane przy jednej z witryn tego sklepu natknięcie się na młodziutkiego Edka Kubiaka, w owym czasie zaufanego lokajczyka u Karola Wanerta, i jakby się to wszystko rozgrywało według praw snu (wówczas minuta, aby spełnić swoje trwanie, musiała trwać sześćdziesiąt sekund; niczego, co się stało, nie można wiernie, to znaczy w trwaniu czasu odtworzyć) natychmiast, właśnie jak we śnie Elżbieta, jej łamiący się, chropawy cokolwiek głos, i znów, prawie równocześnie, we dwoje z Elżbietą, idący jakimiś ulicami (jakimi? i jaka była wtedy pogoda, padał deszcz, świeciło słońce, był może wiatr albo niebo niskie i pochmurne, czy też ruchliwe, postrzępione szybkimi obłokami?) — więc i teraz, kiedy nie pijany, lecz w stanie przyjaznego ludziom i naturze rozluźnienia, stanął w wejściu do baru (szklista jaskinia ze stalaktytami zamrożonych lamp, wewnątrz wieloryba przechowującego w swych mętnych trzewiach tłum znieruchomiałych w różnych pozach Jonaszów), nawiedził go na moment ów odległy strzęp czasu, czary, czarowanie, czarodziejstwo, czarnoksiężstwo, czary i czarty — pomyślał, dostrzegając za barem kręłą sylwetkę oraz wyłysiałą głowę Edka Kubiaka — pamiętam miejsce, pamiętam rok, pamiętam witrynę „Old England”, ale twarzy nie pamiętam ani jednej, mnie w ogóle jakby nie było, jestem gdzieś obok, a oni oboje, Elżbieta i Edek, nie mają głów, stwierdził to zresztą bez większego przejęcia, także bez zdziwienia, przecież, podobnie jak na koncercie, zaintrygowany mechanizmami pamiętania i zapominania, zamierzał pośród innych rezerw wspomnieniowych poszukać wiadomych głów, aby dokleić je, jak w fotomontażu, gdy tuż obok objawia się naraz Maciek Zaremba: ze zmierzwionymi włosami opadającymi na czoło, w czarnym golfie, przesadnie rozluźnionym i postrzępionym przy szyi, w szarganej kurtce zamszowej i w spodniach sztruksowych tak wymyślnie pomiętych — — — —

Z dalszego ciągu (bo został całkowicie przerobiony i wszedł częściowo do sceny, kiedy Zaremba po przedstawieniu dowiaduje się, że Grażyna jest w szpitalu) tylko ten dialog ewentualnie wykorzystać:

Miłość, Młodość, Starość

Wspomnienia, Sen, Czas

ZAREMBA

Cześć, Adam! Słuchaj, stary, ty wszystko wiesz, powiedz, ktoś mi dopiero co klarował, że dzieci najczęściej się rodzą nad ranem, to prawda?

NAGÓRSKI

Maciek, to wspaniale! Czekasz na Tomasza?

ZAREMBA

Czekam! Masz pojęcie, stary? Ta zabawa już trwa dwanaście godzin.

NAGÓRSKI

Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze.

ZAREMBA

Stary, tobie też się ręce pocą, jak jesteś zdenerwowany?

NAGÓRSKI

Gorzej, mnie się mózg przestaje pocić.

ZAREMBA

Nie pieprz, chciałbym, żeby mi się mózg tak nie pocił, jak tobie.

Przychodzi mi w tej chwili na myśl, że gdybym te fragmenty wykorzystał, należałoby ulokować Nagórskiego za barem, żeby mógł trochę porozmawiać z Edkiem Kubiakiem, który całkiem w cieniu do tej pory pozostał, przegapiłem odpowiedni moment w części I, wówczas (a właściwie w niespełnionym czasie przyszłym) Kubiak, pełniący na weselnym przyjęciu funkcje barmana w piwnicznym barze, mógłby zamienić kilka słów z Erykiem Wanertem, pamięta go przecież, jako całkiem jeszcze małego chłopca, gdy przyjeżdżał na wakacje z Anglii, mógłby spytać Eryka, kiedy i jakie miał ostatnie wiadomości od ojca. Czy Eryk może sobie zdawać sprawę z charakteru intymnych stosunków, łączących przed wojną jego ojca z Kubiakiem? Tylko wakacje spędzał w kraju, a i wówczas przebywał poza Warszawą, w górach albo nad morzem, wątpliwe, czy w ogóle kiedykolwiek widział Edka, a jeśli nawet tak, to obecny wygląd Kubiaka, zażywnego starszego pana z brzuszkiem i łysiną, z trudem mógłby się kojarzyć z młodzieńczym seksem dwudziestoletniego chłopaka. Całkiem więc swobodnie i z właściwą sobie, mało kosztującą grzecznością mógłby Eryk wypytywać dawnego lokaja swego ojca o jego obecne sprawy rodzinne. Jak mogłem o tym zapomnieć?

Nagórski, rzecz oczywista, musi posiadać wiedzę o Kubiaku o wiele rozleglejszą aniżeli Eryk. Widuje go często i od wielu lat, zna jego sytuację rodzinną, również się orientuje, w jakim charakterze młody Edek mieszkał u Karola Wanerta. Znów dla Kubiaka Adam Nagórski jest trochę jakby członkiem rodziny, bo najpierw mężem siostrzenicy jego kochanka, a potem kochankiem rodzonej siostry. Stąd, wystrzegając się w stosunku do Nagórskiego jakiegokolwiek poufałości, jest bowiem zbyt dobrym barmanem (a przedtem kelnerem), przecież pewien odcień ciepłej i niejako prywatnej intymności można wyczuć, gdy się zdarza, że Nagórski siedząc za barem sam, chętnie rozmawia, bo ze swojej strony Nagórski doskonale wie, co o nim Edward Kubiak wie, i nie chcąc uchodzić za dumnego i nieprzystępnego — sam swojemu współrozmówcy wychodzi naprzeciw.

Coś w tym rodzaju:

NAGÓRSKI

Co słyhać w domu, panie Edku?

KUBIAK

Dziękuję, jakoś leci. Żona od paru dni na zwolnieniu.

NAGÓRSKI

Grypa?

KUBIAK

Lumbago. Podać, co zawsze?

NAGÓRSKI

Tylko czystą i mineralną.

KUBIAK
Kawy nie?

NAGÓRSKI
Piłem już. A co syn? Maturę ma za miesiąc?

KUBIAK
A owszem, ma.

NAGÓRSKI
Nie cieszy się pan?

KUBIAK
Cieszę się, owszem, ale tak prawdę mówiąc więcej sercem niż rozumem. Bo, proszę pana, gdyby chłopak nie był udany... Ale udany jest, ładny, zdolny, głowę ma otwartą...

NAGÓRSKI
To czego się pan martwi?

KUBIAK
Ja uważam, proszę pana, że jak młody człowiek jest w dzisiejszych czasach na poziomie, to powinien taki fach wybrać, żeby złapać mocny grunt pod nogami i żeby świat stał otworem. Ekonomia polityczna, proszę pana, a jeszcze lepiej inżynier, to rozumiem, skończy chłopak elektronikę na Politechnice, to jako inżyniera dźwięku wszędzie go wezmą z pocałowaniem ręki, nie tylko u nas, w Ameryce też może zarabiać ciężkie dolary, wszędzie, gdzie tylko zechce!

NAGÓRSKI
A on?

KUBIAK
A, szkoda do niego gadać, proszę pana. W zeszłym roku chciał iść na filozofię...

NAGÓRSKI
Nie ma na razie zapisów na filozofię.

KUBIAK
No właśnie! Ucieszyłem się nawet, myślałem, że chłopak pójdzie po rozum do głowy, a wie pan, co on sobie ubrdał?

NAGÓRSKI
No?

KUBIAK
Leśnictwo! Na SGGW się zapisuje. Żona też się zamartwia. No, bo tylko pomyśleć, proszę pana: jednak i, jak powiedziałem, żeby nie był udany, ale udany! Chłopak na poziomie i w jakimś lesie zakopie najlepsze lata życia, co on będzie miał z życia? Las na dzień dobry i las na dobranoc — — — — —

Konieczność umieścić w planie części III scenę, kiedy nazajutrz w południe, z komunikatu radiowego, Edward Kubiak dowiaduje się u siebie w domu o śmierci profesora Henryka Wánerta. Żona, syn i może wnuk pani Jaskólskiej.

wieczorem

Parę pomysłów z ostatnich dni, ewentualnie do wykorzystania kiedyś potem:

Pisarz po czterdziestce, autor wielu powieści i opowiadań, cieszących się dużą poczytnością, również autor kilku filmowych scenariuszy, według których nakręcone zostały filmy, znane zarówno w kraju, jak za granicą. Nie należy do Partii, ale w zasadzie mógłby, nie jest pozbawiony krytycyzmu w sprawach drugorzędnych, lecz w zasadniczych popiera przemiany dokonane i dokonywane w Polsce. Gwałtowny przełom przeżywa w latach 1967–1968: Izrael, Czechosłowacja. W ciągu jednego roku staje się zupełnie innym człowiekiem, więc również i innymi oczami patrzy na otaczającą go rzeczywistość. A ponieważ nie będąc pisarzem na wielką miarę, jest przecież konstrukcją autentycznie pisarską, wszystko go skłania, aby ów świat ujrany na nowo opisywać i utrwać. Pi-sze z pasją, jakiej do tej pory nie doświadczał. Nie może oczywiście liczyć, aby któryś

z tych jego nowych utworów mógł się ukazać w kraju. W tych warunkach decyduje się na publikowanie na Zachodzie, lecz ze względu na własne bezpieczeństwo — postanawia ogłaszać swoje nowe rzeczy pod pseudonimem. Niebawem parę jego znakomitych opowiadań drukuje paryska „Kultura”, zdobywają rozgłos, są tłumaczone i publikowane w zachodnich miesięcznikach. Później ukazuje się jego powieść, stając się niebawem bestsellerem w NRF, w Anglii i w USA. W kraju również nowe nazwisko polskiego pisarza poczyna budzić coraz większe zainteresowanie, wszyscy się domyślają, że to jest pseudonim, nikt jednak nie wie, kto się pod nim ukrywa, choć ze względu na klimat tych utworów wydaje się niemal pewnym, że musi je pisać człowiek przebywający w kraju. W związku z tym całym zamieszaniem Iks popada w sytuację bardzo szczególną: im większym rozgłosem cieszą się jego zakonspirowane utwory, tym bardziej pilnuje się, aby ze swoim autorstwem przed nikim się nie zdradzić. Nawet żona i dorastające dzieci o niczym nie wiedzą, lecz z drugiej strony Iks, dręczony strachem, przeżywa dotkliwie cierpienia jako pisarz, ponieważ nie może się przyznać do najlepszych swoich dzieł. Gnębi go nieustanny wyrzut, że zapiera się samego siebie, lecz równocześnie wie, że gdyby się ujawnił — zniszczyłby egzystencję własną oraz rodziny, nawet gdyby mu się udało uniknąć procesu i więzienia.

Redakcja tygodnika filmowego (pismo ma charakter popularny), w której liczny (jak wszędzie) zespół redakcyjny składa się prawie wyłącznie z ludzi niemających nic z filmem wspólnego, a skierowywanych do tej pracy, gdy w różnych latach i z różnych powodów, zawsze jednak politycznych, byli usuwani z wyższych stanowisk i przestawiani na tzw. boczny tor. Dawny ubek, naukowiec-socjolog usunięty z Partii za rewizjonizm, wybitny w swoim czasie (w okresie Października) aktywista partyjny, wykolejony politycznie działacz młodzieżowy, podstarzały arystokrata zaplątany w jakieś źle widziane kontakty z zachodnimi dziennikarzami, były cenzor, były instruktor rolniczy i z ostatniej fali „czystek”: wieloletnia na odpowiedzialnym stanowisku pracowniczka Filmu Polskiego, z pochodzenia Żydówka oraz jeden z kierowników produkcji filmu, również uznany za syjonistę.

Konrad Keller rozbudzony z pierwszego snu bólem zęba.

Urzędnik, Sztuka, Władza

ŚRODA, 29 KWIETNIA

Ten przed kilkoma laty napisany fragment, w całości przepadł w Stuttgarcie. U ubiegłym tygodniu w poszukiwaniu jakichś śladów tej sceny przeglądałem oba bruliony ze starymi notatkami, ale znalazłem tylko strzępek dialogu z nagranego na taśmę wywiadu Konrada Kellera. O ile pamiętam, były jeszcze na tej taśmie utrwalone różne drobne notatki Nagórskiego (osobiście przez niego czytane) i na koniec przegrany z płyty Albinoni, chyba *Adagio* na smyczki i organy, nie mogę sprawdzić, bo płytę już dość dawno ktoś (Jarek S.?) pożyczył i nie oddał, zresztą to nie takie ważne. Konrad przesłuchuje tę taśmę już po zażyciu proszka przeciwbólowego, aby skrócić wyczekiwanie na uśmierzenie bólu zęba i sen. Właśnie ten proszek!

W przeciwieństwie do Moniki, która jest zdecydowaną farmakomanką i przy różnych okazjach, kiedy trzeba i nie trzeba, łyka (przeważnie zagraniczne) środki uspokajające albo podniecające — Konrad od najdawniejszych lat żywi do wszelkich leków wstręt, jest bowiem najgłębiej przekonany, że ich działanie uboczne nie tylko może, lecz musi osłabiać pamięć. Stąd jego rozterka, kiedy gdzieś koło godziny drugiej silny ból zęba rozbudza go z pierwszego snu. W pierwszej chwili, gdy leży z zamkniętymi oczyma, wydaje mu się, że to tylko przykry sen, lecz ból nasilający się w dolnej szczęce uświadamia mu niebawem prawdziwy stan rzeczy. Wynik swoistej obdukcji, ostrożnie dokonanej przy pomocy wskazującego palca (aaa! jęknął w tym momencie), nie pozostawia żadnych wątpliwości: jądro bólu, rozpalone i promieniście się iskrzące, mieści się dolnym zębem trzonowym, który w ubiegłym roku był wyleczony i wzorowo zaplombowany. Najgorsze myśli oblegają Kellera, już siebie widzi z twarzą opuchniętą, groteskowo zdeformowaną. Prometeusz z taką twarzą! Pan Młody! Spanikowany opuszcza tapczan i w pyjampie z czarnego jedwabiu (podarunek Moniki przywieziony w ubiegłym roku z Festiwalu Filmowego w Cannes), zapalając po drodze wszystkie światła, biegnie do łazienki. Lecz jego ulga, gdy widzi w lustrze, że na razie twarz ma w porządku, jest połowiczna, ból, zapewne pobudzony nazbyt

gwałtownymi ruchami, nagle się nasila i znakomity aktor, skoro kilkakrotnie, jak duża ryba pozbawiona wody, otwiera i zamyka usta, spostrzega, że przy każdym ruchu rwący ból przenika aż do warg. Zaprzestaje więc ryzykownych prób, lekko zmętniałymi, bo załamionymi oczami bada z rosnącym niepokojem swoje odbicie w lustrze, koniuszki uszu ma wyraźnie zaczerwienione. Wreszcie się decyduje i wprost do lustra, zrazu na przytłumionym szepcie mówi fragment swojej roli:

Jak na pachółka bogów nazbyt dumnie mówisz.
Skąd w tobie ta wyniosłość, dostojność i pycha?
Nowi panowie — nową cieszy się władzą,
Mniemając, że bezpiecznie rządzą z Olimpu.
A ja przecież widziałem, jak z owej wyżyny
Dwóch mocarzy runęło...

Niestety, końcowa kwestia, wypowiedziana pełnym głosem, potęguje ból i twarz, jaką Konrad widzi w tej chwili w lustrze nie ma nic z boskiej wielkości Prometeusza. Tego nie było w zaginionym tekście, lecz wydaje mi się, że w tym momencie Konrad, zupełnie złamany, powinien przysiąść na sedesie i wtedy właśnie może sobie wyobrazić jutrzejszą próbę generalną: siebie półnagiętego i przykutego do skały, z twarzą wykrzywioną cierpiętniczym grymasem, niewyraźnie bełkocącego tekst, i naprzeciw — bezwstydnie i prowokacyjnie urodziwego Hermesa, jak suwerenny w młodzieńczej nagości, z jedną dłonią wspartą na biodrze, a drugą, w sposób bezbłędnie niedbały i płynny poruszając złocistym kaduceuszem mówi swoją kwestię pełnym, jasnym głosem:

Biedny Prometeuszu, nie umiesz się zmieniać,
Chociaż zuchwały upór pogrążył cię w nędzy.

Niewykluczone, że Keller będzie słyszeć i dalsze kwestie tego dialogu, oczywiście wyraźniej słysząc głos Łukasza Halickiego:

PROMETEUSZ

W mojej nędzy śpi wolność, miałbym ją zamienić
Na twój los niewolnika butnego tyrana?

HERMES

Sądzisz, Prometeuszu, że niewolnik skały
Jest kimś lepszym niż zwiastun boskiego przesłania?

PROMETEUSZ

Mój wstręt do wszystkich bogów jest równy ich pysze.

Bóg, Pycha

HERMES

Ciało tve poskromione, ale dusza chora.

Myśl o doraźnej uldze (a ulga, to także sen), jaką mogłoby spowodować zażycie proszka usmierającego, chyba już w łaziance powinna się pojawić, gdzieś na peryferiach świadomości Konrada. Lecz podobnego podszeptu, równającego się brutalnemu gwałtowi na własnej naturze, Konrad nie może przyjąć bez oporu. Więc w ostrożnym przepłukaniu obolałej jamy ustnej zimną wodą spod kranu szuka wsparcia dla swojej odrazy do lekarstw. Niestety, zarówno woda zimna, jak gorąca okazują się nieprzydatne. Tak więc, wobec koszarnej perspektywy bezsennej nocy (bo nie wcześniej niż przed ósmą rano będzie się mógł skomunikować z dentystką), usmierający proszek wydaje się jedynym ratunkiem. Lecz, na Boga! Skąd wziąć proszek o drugiej w nocy? Ubrać się i szukać apteki z nocnym dyżurem? Nie, nawet od samego siebie nie można się domagać, aby człowiek w stanie tak ciężkiej obolałości prowadził auto po nocy i w ślizgawicę, Keller powinien pamiętać, jak bardzo się zmęczył odwołując przed paroma godzinami Monikę

na Saską Kępę i potem, wracając do siebie. Więc może zejść do któregoś ze znajomych sąsiadów? Konrad przebiega w myśli nazwiska aktorów mieszkających w tej samej, co on, kamienicy, są to aktorzy nie najwyższej rangi, zawistni i złośliwi, jutro pół znajomej Warszawy będzie opowiadać za kulisami, po kawiarniach, w Radio i w Telewizji, jak wielki Keller w przeddzień swego ślubu zjawił się w środku nocy, z bolącym zębem, błagając o ratunek. Odpada. Lepiej cierpieć. Ba, cierpieć! („Nie! Pycha i wzgarda każą mi dziś milczeć — Niemy ból mnie przygniata, gdy pamiętać muszę, jak ponizono we mnie to, co żyć powinno”). I jutro być do niczego? Cóż za przeklęty dzień! Długi, jak maraton wymagający skoncentrowania wszystkich dyspozycji fizycznych i psychicznych, gorzej niż maraton, bo pełen wilczych dołów, karkołomnych przeszkód i grząskich trzęsawisk: dentystka wprowadzająca piekielne żądło w bezbronną i obolałą jamę ustną; wątpliwe w wynikach udawanie Prometeusza w demaskującym i dla chorego zęba z pewnością szkodliwym świetle jupiterów; ten idiotyczny ślub cywilny z tłumem przyjaciół, znajomych i ciekawych, gdy bez taryfy ulgowej trzeba będzie robić twarz, uśmiechać się, czarować i szczyrzyć zęby do kamer i fotograficznych obiektywów, a potem stojąc w małżeńskiej wspólnocie przy nazbyt wyperfumowanej Monice wysłuchiwać chrypiącego przez głośnik marsza Mendelssohna; rodzinny obiad u Adama?, może by i mógł przynieść parę godzin odprężenia, ale Monika z pewnością się postara, aby swoje płaskie i pretensjonalne gierki narzucić wszystkim, i wszyscy, ze względu na niego, do tego stylu się dostosują, on pierwszy; i już trzeba będzie gnać do kościoła, jakby to całe zbiegowisko i także rytuał organizował kapryśny i niezdecydowany reżyser, gdy po nakręceniu sceny wpadł naraz na przekorny pomysł, aby powtórzyć ją w nowej wersji i w zmienionych dekoracjach; przyjęcie u starych na Saskiej Kępie, lepiej o tym nie myśleć, kto jednak wie, czy akurat wówczas nie uda się wykroić choćby kwadransu dobroczynnego relaksu, może w pokoju Moniki? och, zdjęć marynarkę, rozpiąć koszulę przy szyi i kwadrans poleżeć bez ruchu, zamknąwszy oczy, poleżeć; ale już czas zadziała i trzeba się będzie znaleźć w tej koszarnej Jabłonnie i znów robić twarz, gadać, gadać, brnąć i wygłupiać się, wygłaszać kwestie, od których język powinien drętwieć, wielki Boże! po co to wszystko? komu potrzebna ta grafomańska farsa?, czemu wielki aktor ma się zgrywać na tak kiczowatym tekście i demonstrować siebie w sytuacjach tak wątpliwych?

Z ustami półotwartymi, aby ułatwić sobie płyciutkie, niezadrażaniające oddychanie, a uszy mając całkiem czerwone, Konrad Keller poczyna krążyć bezradnie po mieszkaniu rozświetlonym wszystkimi lampami, w pewnym momencie, gdy nagła erupcja bólu zmusi go do stłumionego jęku (Król Lear, Edyp?), wydaje mu się, że wszystkim nieszczęściom, jakie go złośliwie dopadły i obiegły, w perspektywie nieuniknionego jutra urastając do wymiarów żywiołowego kataklizmu, winna jest Monika, a ponieważ zdaje sobie sprawę, że tego przeświadczenia nie może podeprzeć argumentami rzeczowymi — zezwała w przystępie sympatycznej słabości, aby się w nim poczęła zagęszczać i rosnąć nienawiść, och, prawie ulga!, i naraz wśród tego kłębiącego się życiodajnie żywiołu odkrywa ratunek! oczywiście Monika!

wieczorem

Myślałem rano, gdy zabierałem się do pracy, że uda mi się dzisiaj zrekonstruować całą tę scenę. Ale okazało się, co jest zresztą oczywiste — że rekonstrukcja w sferze twórczości nie istnieje i istnieć nie może. Można kopiować, lecz nie rekonstruować, wiernie odtwarzać. Wiedza i świadomość w momencie czasowym Y już nie są tymi samymi, jakimi były wcześniej: w momencie X. W ogólnym zarysie wyjątkowo dobrze zapamiętałem zagubioną wersję tej sceny, lecz teraz, gdy ją chciałem w sensie propozycji odtworzyć — działać we mnie poczęły całkiem nowe inspiracje, wszystko, co się wiąże z rolą Kellera jako Prometeusza, wymyśliłem dopiero dzisiaj, ale to zrozumiałe, bo przed kilkoma laty, gdy ten fragment komponowałem, jeszcze nie istniał Łukasz Halicki, a i sam Konrad nie był tak wyraźny.

Sporo czasu zabrała mi praca przy tekstach Aischylosa, wydaje mi się jednak, że brzmia teraz po polsku niezłe i dobry aktor mógłby je mówić.

Od wielu tygodni więzień tych stronic, mało co wiedziałbym z tego, co się dzieje dokoła, gdyby nie moja rodzina, która tak, jak jest, w różnych latach i na różnych etapach doświadczenia, znosi mi z miasta wiele realiów. Dzisiaj przy kolacji M., która zaraz po obiedzie pojechała do miasta, aby pomóc swojej siostrze przy zakupach garderobianych, opowiedziała, że gdy się znalazła w Śródmieściu, przy rogu dokładnie od wielu miesięcy rozkopanej Marszałkowskiej i ulicy Moniuszki, tam — w związku z bliskim świętem 1 Maja — leżały na trotuarze i oparte o ściany kamienic olbrzymie płótna kolorowe z fragmentami twarzy Marksa, Engelsa, Lenina i Gomułki, więc jedno wielkie płótno tylko z ustami i brodą Marksa, drugie z powiększonymi oczami Lenina, inne jeszcze z czołem Gomułki, coś w rodzaju rupieciarni albo rekwizytorni, jeszcze martwej, w przeddzień święta, gdy niebawem, przy sztucznym świetle, bo nocą, obojętni ludzie poczną w zwolnionym tempie łączyć te wycinki w całość. Opowiadała też M., że w tym właśnie miejscu — bo przecież o kilkadziesiąt kroków dalej odbywała się na Marszałkowskiej, przed Pałacem Kultury doroczna manifestacja pierwszomajowa — wypróbowywano akurat działanie głośników i nad tym zagęszczeniem ćwierć- i pół-twarzy twórców socjalizmu unosiły się hałaśliwe zgrzyty i piski, a potem nagle wybuchała melodia *Międzynarodówki*.

Przed ósmą wyszedłem, żeby trochę odetchnąć powietrzem, a też żeby kupić w Domu Towarowym butelkę wina, czułem się tak śmiertelnie po całym dniu zmęczony i wypompowany, że do niczego, prócz wypicia paru szklanek wina niezdolny, ulice były wyludnione i w Domu Towarowym, o tej ostatniej przed zamknięciem godzinie zazwyczaj pełnym ludzi śpieszących się z zakupami, też było pusto — właśnie o pół do ósmej zaczął się w Wiedniu finałowy mecz piłki nożnej w rozgrywkach o Puchar Zdobywców Pucharów, mecz między naszym śląskim Górnikiem i angielską drużyną Manchester, zadziwiające mechanizmy, które na całym świecie przy podobnych sportowych imprezach pobudzają i rozgrzewają patriotyzmy (szowinizmy?) milionów kibiców, doprowadzając w przypadkach skrajnych do konfliktów zbrojnych, jak to się wydarzyło w ubiegłym roku w wojnie pomiędzy Salwadorem i Hondurasem.

Rzeczywiście po tylu trudnych i ciężkich doświadczeniach lat minionych świat drugiej połowy XX wieku jest światem nacjonalizmów? Zdrowa obrona wobec niebezpieczeństwa zatarcia różnic? Lecz w istniejących okolicznościach obrona odmienności z konieczności musi się odwoływać do szukania wsparcia i pomocy właśnie u tych potęg, które — choć na inny sposób i w imię odmiennych celów — zdążają do *ujednoczenia*. Trochę zamknięty, zaczarowany krąg. Bierność jest popychana ku zależności, lecz u kresu buntu także jedyną perspektywą jest zależność. Cóż jeden człowiek? Nie mam większych złudzeń. Myślę, iż jest to z mojej strony pewnym osiągnięciem moralnym, jeśli w tych warunkach, w jakich żyję, mogę i chcę pisać tak, jak chcę i mogę, bez czujnego i przecheranego cenzora wewnętrznego i nie zważając na cenzurę oficjalną. Lecz zdaję sobie bardzo dobrze sprawę, że moja, patetycznie mówiąc: suwerenność twórcza — w spełnieniu dociera do granic, które są od moich pragnień bardzo różne. Żyję w tym kraju od urodzenia i nie chcę go opuścić. Zbyt wiele mnie łączy z przeszłością i z dniem dzisiejszym tej ziemi, a zbyt jestem stary i wieloma rodzinnymi obowiązkami związany, abym z lekkim sercem mógł się zdecydować na wątpliwy los emigranta politycznego. Chciałbym jeszcze jednego: żeby *Miazga* mogła się ukazać w kraju. Ale wiem, że to prawie niemożliwe. Więc wydam książkę w wydawnictwie emigracyjnym, będzie tłumaczona, może nawet trochę mi przysporzy rozgłosu, i cóż z tego? Tu, gdzie jestem i gdzie żyję, książka będzie nieznana, przeczyta ją stu, powiedzmy: tysiąc ludzi, może nawet więcej, to prawie bez znaczenia, głucha cisza wokół niej zapadnie. Cóż zatem znaczy ta moja suwerenność?

Nie myśleć na razie o tym. Sprawdzić, poprawić, zaprojektować, dokończyć.

CZWARTEK, 30 KWIETNIA

Cały ranek porządkowanie i poprawianie *Życiorysów*. Z wynotowanych nazwisk wynika, że przy pięćdziesięciu życiorysach już gotowych (dwa z nich: Eryka Wanerta i profesora Wanerta wymagają uzupełnień) brakuje jeszcze trzydziestu kilku, zresztą wszystkie — prócz życiorysu Nagórskiego — raczej peryferyjne.

Gra, Nacjonalizm

Literat, Wolność, Sztuka,
Ojczyzna, Książka

po południu

Nie jestem pewien, w jaki sposób zakończyć tę nocną scenę z Konradem Kellerem. W wersji zaginionej Konrad dzwonił do Panków i rozmawiał z Moniką, ponieważ, ponad miarę udręczony bólem, uświadamia sobie nagle, że właśnie Monika musi posiadać jakieś proszki uśmierzające i jeśli jej zależy (a zależeć musi), aby jutro był w dobrej formie, być może zdobędzie się na odruch swoistego poświęcenia i zbawczą (choć także obmierzłą) pigułkę przywiezie. Wynikało wszakże z rozmowy, że Monika nie musi się poświęcać, Konrad nie wiedział, że tuż pod ręką, bo w szafie własnej łazienki, posiada bardzo bogaty zestaw najróżniejszych proszków, od dawna przechowywany przez Monikę na wszelki wypadek. Ta informacja w sposób najprostszy, choć nieoczekiwany, wybawia Konrada z ciężkiej opresji, lecz równocześnie znakomity aktor czuje się nią cokolwiek wstrząśnięty, prawie tak, jakby się dowiedział, że w jego łazience, z najbliższym sąsiedztwie jego przyborów toaletowych, znajduje się słoik z nitrogliceryną.

Może niechęć do jeszcze jednego dialogu Konrad — Monika sprawiła, iż ogarnęły mnie wątpliwości, czy właśnie tak powinno być. Jedno wydaje się konieczne: komplet proszków Moniki musi się znajdować w łazience i Konrad musi się o tym dowiedzieć. Lecz czy koniecznie od Moniki? Wydaje się, że Monika, chcąc dobrze przed jutrzejszym dniem wypocząć, położyła się wcześniej i prawie na pewno ubezpieczyła się proszkiem nasennym, więc śpi mocno i chyba nie ona powinna usłyszeć telefon. Leopold Panek? Pijany po zebraniu u Raszewskiego, też powinien spać twardo. Więc Zofia Pankowa? A może Gustaw?

Z tym ostatnim kłopot, bo (prócz swych dwudziestu lat) wciąż jest nikim i żaden w związku z nim sensowny pomysł nie przychodzi mi do głowy. Może jedyny z rodzeństwa powinien się wdać w ojca? Przeciętny, praktyczny, pracowity, bez większych ambicji, zbyt słaby w przedmiotach humanistycznych, żeby zdać do liceum ogólnokształcącego, wcale zresztą tego nie chciał, skończył jakieś technikum (mechaniczne, energetyczne, samochodowe?), wcześniej się ożenił i ze swoją „zwariowaną” rodziną nie chcąc mieć nic wspólnego, osiedlił się gdzieś poza Warszawą, w Olsztynie na przykład albo w Szczecinie. Więc skoro tak, to w sytuacji obecnej by odpadał.

Zatem, jeśli nie Monika, to tylko Pankowa mogłaby odebrać telefon, lecz gdyby Konrad Keller usłyszał w słuchawce głos przyszłej teściowej, chyba by jednak nie zdobył się na rozmowę i słuchawkę odłożył. A nawet gdyby do rozmowy (trochę zabawnej) doszło — nie wydaje się prawdopodobnym, aby Pankowa wiedziała, że Monika przechowuje w łazience Konrada podręczne proszki. Więc?

Mogłoby jeszcze być i tak, że Konrad po nieudanym telefonie wraca do łazienki, szuka czegoś w szafce (np. wody kolońskiej, żeby zwilżyć skronie), a ponieważ ruchy na skutek bólu ma cokolwiek nieskoordynowane — jakieś blaszane pudełko spada z półki na posadzkę, właśnie w nim przechowywana jest podręczna apteczka Moniki. Trochę to jednak naciągnięte. Poza tym, nawet gdyby Konrad przypadkiem dokonał podobnego odkrycia, to będąc całkowitym ignorantem w dziedzinie lekarstw, nie mógłby się zorientować, co jest na co. Posiadając skarb, nie umiałby z niego skorzystać. Mógłby — powiedzmy — zadzwonić w tej sytuacji do Eryka Wanerta. Może? Ale nie bardzo mi się to wszystkim podoba. Więc chyba na razie zostawię, jak jest, niech się to odleży, potem do tego wrócę.

wieczorem

Lektura inteligentnie ironicznego opowiadania Heinricha Bölla *Doktor Murke zbiera milczenie*.

PIĄTEK, I MAJA

Na wypadek, gdybym się zdecydował wykorzystać dawny pomysł: Konrad Keller po zażyciu przeciwbólowego proszka przesłuchuje taśmę magnetofonową — przejrzałem stare notatki, żeby wybrać z nich teksty dla Nagórskiego.

Do wyboru:

Obląkana kobieta. Czarna, o śniadej twarzy i wielkich, ciemnych, tragicznych oczach. Mówi prawie bezustannie, przechodząc od rozwlekłego zawodzenia do akcentów radości i uniesienia. Chwilami, gdy wpada w nasiloną egzaltację, rozkłada zniszczone, nie-

współmiernie do twarzy starcze dłonie, wykonując nimi ruchy naśladowujące gesty kapłana odprawiającego nabożeństwo.

To, co mówi, jest urywane, chaotyczne.

— Jest góra i dół, góra i dół... gwiazda, wielka gwiazda, góra i dół... o! krople spadają na mnie, czuję je, o! jak je czuję... jedna, druga... o! leci to wszystko... z szumem leci... o! jak huczy... jak ja się cieszę, jak się strasznie cieszę! ludzie, ludzie! moje pola, moja ziemia... jak tu pięknie, jak tu strasznie pięknie... tak się cieszę...

Nagle podnosi dłonie do góry i kurczowo je zaciskając, krzyczy z przerażeniem:

— Alarm! o Boże, ludzie! pali się, pali... o! jaki huk, ziemia drży, niebo drży... góra-dół, góra-dół... ludzie!

Gdybyś przestała mówić, mógłbym cię wreszcie usłyszeć.

Buty mnie bołą.

Stara, niegdyś bardzo piękna i bogata księżna C. krótko chorowała. Pewnego dnia zasłabła, położyła się do łóżka, a następnego dnia powiedziała do zgromadzonych dokoła córek, zięciów i licznych wnucząt:

— Przestańcie mi teraz zawracać głowę, bo ja będę umierać.

Po czym odwróciła się do ściany i rzeczywiście umarła.

We fragmencie ocalałego pamiętnika wielkiego aktora, Wincentego Rapackiego, dwie notatki z roku 1882. Pisząc o *Podporach społeczeństwa* Ibsena, Kotarbiński zanotował: „Szczęśliwy naród, że ma takich pisarzy i szczęśliwy kraj, gdzie prawdę nagą bez obłonek pisać można. My mamy dwie cenzury, a podobność nasza straszniejsza od rządowej... Ta jałowość, jaka panuje dziś w sercach, w głowach, w literaturze, słowem, we wszystkich czynach ludzkich, jest straszna. Nic, nic i nic. Apatia ogólna. Ludzie czegoś oczekują, za czymś się oglądają, a tymczasem nudzą się najokropniej. Potrzeba by jakiegoś straszliwego wstrząśnięcia”.

Sztuka, Wolność, Nuda,
Obyczaje, Polak

Nieżyjący już dyrygent, Walerian Bierdiajew, znany z cholerycznego temperamentu, przerwał raz próbę i pod adresem znanej śpiewaczki, pani K. wykrzyknął: „Pani K.! Niech pani nie kręci dupą na trzy, bo ja dyryguję na dwa i mnie to myli”.

Tańczy jak królik z podwiązanymi nogami.

Jeśli nie pasują szczegóły — należy przewrócić całość.

W Eisenach, w muzeum Bachowskim, znajdują się skrzypce, w które zostały wprawione trąbki. Gdy książę, niezapowiedziany, zjawił się w sali — przerywano koncert i skrzypkowie na trąbkach odgrywali powitalną fanfarę.

Pozycja społeczna,
Obyczaje, Artysta, Władza

Do ciebie się tęskni, kiedy cię nie ma i kiedy jesteś.

Tęsknota

Było tak pusto, że chyba nawet wróbel by tu nie przysiadł.

Przez wiele lat Iks był wielbicielem Freuda. Gdy stał się marksistą, twierdził, że obstrukcja jest wynikiem skąpstwa.

Na wiejskim cmentarzu w Kunstacie, na grobie wielkiego poety czeskiego, Franciszka Halasa, zmarłego w roku 1949:

Tu śpi szczęśliwy szczęściem swojej śmierci.

Żył wtedy, gdy drudzy byli za życia martwi.

Z *Notatek brzuchomówcy*:

Po długich próbach udało mi się nareszcie. Mówili i stale pouczali, że chcąc zostać brzuchomówcą trzeba się nadać. Nieprawda. Trzeba się skurczyć i w sobie stwardnieć. Przy nadymaniu, choćby najbardziej umiejętnym, głos wcale nas nie opuszcza, ulega tylko pewnym zniekształceniom, niekiedy bardzo istotnym. Np. Celestyn B. nadymał się... zupełnie nie rozumiem, dlaczego teoretycy brzuchomówstwa mówili i pouczali, że trzeba się nadymać. Całe szczęście, że się dość szybko zorientowałem w niecelowości podobnej metody. Parę razy się nadałem i zrozumiałem, że nic z tego nie wyjdzie. Nie znaczy jednak, abym wiedząc, czego czynić nie należy, posiadał jasną świadomość, co czynić trzeba. Zupełnie inne, niezwiązane z wielką ideą brzuchomówstwa okoliczności sprawiły, że począłem się w sobie kurczyć i twardnieć. Pojęcia nie miałem, dokąd mnie ten powolny, lecz wciąż postępujący proces zaprowadzi. Koniec — myślałem niekiedy, czując, jak bardzo się kurczę i twardnieję — koniec z tobą, człowieku! Śmierć dokoła ciebie i śmierć

Słowo, Dźwięk, Sztuka,
Artysta, Ciało, Kondycja
ludzka

w tobie, żadnej już nadziei, głupstwem jesteś pokurczonym, twój mózg twardy jak deska, a serce kozim bobkiem, Boże wielki, czy rzeczywiście musisz się tak kurczyć i twardnieć?

...jedna myśl wciąż mnie męczy: możliwy jest dla mnie powrót do normalnego głosu? Obawiam się...

Mając na uwadze bardzo małą kubaturę nowo budowanych mieszkań, pewien racjonalizator zaprojektował nocniki z wewnętrznym uchem.

Prędej woda w młynie w kamień się zmieni aniżeli ja...

SOBOTA, 2 MAJA

Przez cały dzień, przy silnym wietrze i temperaturze w okolicach 0°C, deszcz ze śniegiem, a po południu normalna śnieżna zawieja.

W związku z lekturą bardzo interesującej książki Mariana Serejskiego *Europa a rozbior Polski* — fragment z recenzji Jana Szczepańskiego w „Polityce”:

„Państwo, które nie rozwija się w identycznym tempie i nie idzie w tym samym kierunku rozwoju i modernizacji, jak jego sąsiedzi, jest zagrożone w swojej egzystencji. Naród, który nie umie organizować własnych zasobów naturalnych i zasobów zdolności swoich obywateli, uzależnia swój byt od zmiennych konstelacji polityczno-gospodarczych istniejących w państwach wspierających i wywołuje zagrożenie swojego rozwoju. Naród, który nie wnosi ważnych elementów w rozwój szerszych układów polityczno-ekonomicznych, wartości ekonomicznych, intelektualnych, naukowych, technicznych, artystycznych, który stwarza ujemny własny obraz wśród innych narodów, który nie umie sobie zyskać prestiżu — jest zagrożony w swoim istnieniu. Naród, który przepija i przejada zbyt duży odsetek dochodu narodowego, zamiast go obrócić na inwestycje w gospodarkę ogólną czy w trwałe dobra gospodarstw domowych, który nie dba o swój wygląd zewnętrzny, tzn. o wygląd swoich miast, osiedli, wsi, domów, mieszkań, ubrań, o czystość obejść itd., sprawia na innych narodach wrażenie oberwańców i niechlujów, a takie wrażenie jest niebezpieczne. Naród, który nie imponuje innym, który nie ma czym zaimponować, nie wywołuje w swych obywatelach identyfikacji podbudowanej dumą. A naród i państwo, którego obywatele się wstydzą — jest zagrożony w swojej egzystencji”.

Państwo, Naród, Sąsiad,
Obyczaje,
Niebezpieczeństwo

NIEDZIELA, 3 MAJA

Poprawianie tekstu z „Twórczości” (scena w nocnym barze „Bristolu”). Chciałbym już to mieć za sobą, żeby wejść w pusty gąszcz części III.

Po wczorajszym nawrocie zimy dzisiaj prawie wiosennie.

PONIEDZIAŁEK, 4 MAJA

Wczoraj w Teatrze Kameralnym na premierze sztuki Stefana Otwinowskiego *Pacjent*. Trochę niezwykle wieczór, jak gdyby intymna i wspomnieniowa warstwa rozgrywających się na scenie wydarzeń miała w sobie coś z magicznej siły pałeczki Prospera, wyczarowując wokół mnie zarówno w teatrze, jak i po przedstawieniu, gdy wstąpiłem do sąsiedniej restauracji, ludzi z różnych minionych czasów. W pewnym momencie doliczyłem się ich aż czterech, wśród nich dwóch niewidzianych od lat tak wielu, iż pozostając w mojej pamięci jako młodzi i piękni, w pierwszej chwili, gdy ich ujrzałem, wydali mi się ludźmi całkiem nieznanymi, musiałem się im dobrze przyjrzeć, aby spod tuszy jednego i łysiny oraz zwiędłej twarzy drugiego wyłaniać się poczęły nagle i zniekształcone ślady ich dawnych ciał. M.K., którego nie widziałem chyba ze dwa lata, też czas trochę strywializował. Nagórski rozsądnie by postąpił, gdyby zrezygnował z wywoływania twarzy Nike z niedalekiej przeszłości, uczynił natomiast pewien wysiłek, aby sobie wyobrazić, jak ta twarz będzie wyglądać za lat kilka. Ta uwaga, w gruncie rzeczy bez sensu, wynika z tego, że już od dawna się zastanawiam i nie mogę się zdecydować, a wczoraj wieczorem myślałem o tym ze szczególną rozterką, w jaki mianowicie sposób zakończyć wątek Nagórskiego i Nike. Prawie na pewno wiem, że w sobotę pod wieczór Nike musi do

Ciało, Przemijanie,
Przemiana, Starość,
Młodość

Nagórskiego zadzwonić. Lecz jak on na ten telefon zareaguje? Co najmniej kilka możliwych wariantów, a dwa zasadnicze: jeszcze raz powrót albo rozstanie ostateczne. Pojęcia nie mam, co wybrać. Wmieszał się w tę całą historię element przewrotny i płochy: gdy przed sześcioma laty zaczął mi się kształtować ten wątek miłosny — sfera i klimat moich przeżyć własnych pokrywały się z doznaniem Nagórskiego, byliśmy obok siebie, ja się z nim dzieliłem moimi rozterkami i on je podejmować musiał, dzisiaj jesteśmy na całkiem odmiennych etapach, ja to już mam dawno poza sobą, patrzę na to wszystko z wystygłej i obojętnej perspektywy wiosny roku siedemdziesiątego, on — ze mnie i przeze mnie wymyślony — wciąż zakłęty, tkwi w moich latach sześćdziesiątych czwartych i piątych. Kłopot. Trochę śmieszny, ale kłopot.

Stefanowie zatrzymali się w Związku Literatów, a ponieważ pod koniec przysiadłem się do nich i do ich gości z teatru, wracaliśmy przed północą razem, pustym Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem. Oni od dwudziestu pięciu lat w Krakowie, ja w Warszawie — bardzo rzadko się widzimy, zawsze jednak o nich umyślam z miłością i z czułym wzruszeniem, jak o moich najstarszych przyjaciół, bo przecież się znamy i przyjaźnimy od roku trzydziestego piątego, gdy byliśmy tak zadziwiająco młodzi, a Stefan i ja pierwsze zaledwie kroki stawialiśmy w literaturze, i może dlatego, że ich oboje obdarzam autentycznym uczuciem, na tyle bezinteresownym, jak ludzkie uczucie być potrafi — nigdy, skoro ich spotykam, nie istnieją dla mnie w swoich fizycznych kształtach z lat dawnych, widzę ich tylko takimi, jakimi są obecnie, nie muszę ich odmładzać i upiększać, nie muszę się w obcowaniu z nimi odwoływać do przeszłości, to jest wielka ulga, bo żadnego żalu, że już jesteśmy ludźmi u progu starości, wszystkie wspomnienia młodych naszych lat pasują do ich sylwetek, twarzy, ruchów i głosów, które nie są wcale młode.

WIECZOREM

Po południu przepisywanie poprawionego tekstu, potem lektura monografii Johna M. Todda o Marcinie Lutrze.

Więc jest akurat tak, jak powinno być o drugiej nad ranem w opustoszałym barze, gdy ci, którzy pozostali, są śmiertelnie znudzeni sobą i drugimi, nic już nie mają do powiedzenia, siedzą jednak dalej, ponieważ nuda przy pewnej ilości alkoholu oblepia ciała i umysły, jak smoła.

Nagórski:

— Chyba pójdziemy? Jeśli nie sobie, to przynajmniej panu Edkowi pozwólmy odpocząć.

Marek Kuran:

— Czas nie pyta, czas nie stoi, zegar czasu się nie boi.

A Maciej Zaremba leniwie się przeciąga i naśladując głos oraz akcentację Konrada Kellera wygłasza następującą kwestię:

Pochodnie nocy już się wypaliły,
I dzień nie wspina raźnie na gór szczyty,
Chcąc żyć, iść muszę, lub zostając — umrzeć.

Kuran:

— Nie martw się, staruszku nasze samice wcale nie są przez naturę pokrzywdzone. Wprawdzie ciąża myszy trwa tylko trzy tygodnie, lwicy około czterech miesięcy, ale już żyrafy muszą się męczyć miesiące prawie szesnaście, nie mówiąc o słonicy, która ciąży prawie dwa lata.

Nikt się nie odzywa, lecz i nikt nie czyni gestu, aby wstać od stolika. Nagórski myśli bez szczególniejszego związku z sytuacją: zadowolenie zawsze znajdzie dla siebie formy współżycia z istniejącym stanem rzeczy, tylko zwątpienie i niepokój muszą poszukiwać nowych kształtów.

Kuran:

Przemijanie, Przyjaźń, Czas,
Starość, Młodość,
Wspomnienia

Alkohol, Nuda

— W roku 1607 wzdłuż brzegów Afryki płynęły na wschód, ku Indiom, dwa statki: „Dragon” oraz „Hektor”, oba pod flagą kompanii Indii Wschodnich. „Dragonem” dowodził kapitan William Keeling, a „Hektorem” kapitan też William, tylko Hawkins. Jak wynika z książki okrętowej kapitana Keelinga, kapitan Hawkins był kilkakrotnie zapraszany na pokład „Dragona”. Uważajcie, mistrzowie, teraz pytanie! Czym, oczywiście poza obiadami, uczęstowywano kapitana Hawkinsa na pokładzie „Dragona”? Nie wiecie? Ty też, Ksawery, nie wiesz?

— Nie wiem — odpowiada Ksawery, żeby nie psuć Markowi zabawy. — Ale coś mi się w związku z tym przypomina. — dodaje natychmiast, ponieważ nie może się powstrzymać, aby choć w ten sposób nie przekazać swoich intymnych myśli związanych z pewną nocą, kiedy leżącemu obok Markowi opowiedział tę właśnie historyjkę.

— Trzy zero dla mnie — stwierdza Kuran, świadomie nie chcąc się z Ksawerym podzielić owymi intymnymi wspomnieniami. — Prawidłowa odpowiedź brzmi: marynarze kapitana Keelinga kilkakrotnie odgrywali na pokładzie „Dragona” *Hamleta* oraz *Ryszarda II*.

— Nie pij — mówi Ksawery Panek w sposób przesadnie obojętny — masz dość.

Kuran:

— Może w takim razie wiecie, jaka jest różnica pomiędzy naukowcem, filozofem i marksistą? Też nie wiecie? Wapniaki!

— Długo tak możesz? — pyta Nagórski.

Kuran:

— Do końca i jeszcze dalej. Naukowiec, moi mistrzowie, to taki facet, który z oczami przewiązanymi ciemną przepaską szuka w ciemnym pokoju czarnego psa. Filozof też jest w ciemnym pokoju, także ma oczy przewiązane i również szuka czarnego psa, tyle tylko, że psa nie ma. A marksista, jak filozof: jest w ciemnym pokoju, oczy ma przewiązane, szuka czarnego psa, którego nie ma, ale od czasu do czasu wykrzykuje: „mam go! mam go!”. Dlaczego się nie śmiejecie?

— Pół do trzeciej dochodzi — mówi Nagórski, a Zaremba, ciężko wsparłszy głowę o zaciśniętą pięść, odsuwa rękę Kurana, nachylającą po przekątnej stolika karafkę z wódką.

— Mnie nalej — mówi Panek.

Więc Kuran nalewa sobie, potem płytką resztkę wsącza do kieliszka Ksawerego.

— A wiecie, co to jest aksolotl?

Nagórski:

— Aksolotl, Mareczku, nie aksolotl.

— A więc aksolotl, moi wy sfrustrowani mistrzowie, jest to salamandra meksykańska, która rozmnaża się przez pedogenezę, to znaczy rozmnaża się w stanie larwalnym, przy czym komórka jajowa rozwija się bez zapłodnienia. A w ogóle powinniście wiedzieć, że aksolotl nigdy nie wychodzi poza stan larwalny, w pewnym momencie osiąga tzw. dojrzałość płciową, ale larwą pozostaje całe życie. To się nazywa neostenia. Nie uważacie, że Polska jest neosteniczna?

Nagórski po raz drugi polyka przynętę:

— Neotenia, nie neostenia. Łapię słowa, jak muchy, Mareczku. Wydaje mi się, Ksawery, że twój utalentowany uczeń ma poważne braki.

— Oczywiście — na to Kuran — łapię słowa, jak muchy, a potem wyrywam im nóżki i skrzydełka. Język, jak wiesz, zgodnie z teorią wuja nieboszczyka, nie należy ani do bazy, ani do nadbudowy, można go zatem kształtować wedle intencji subiektywnych. Mnie na przykład, aksolotl lepiej pasuje niż aksolotl. Jak polot albo kaszalot. A neostenia jak astenia, względnie neurastenia. Ty, Adam, jesteś znakomitym stylistą, tylko brak ci czasem polotu. Zresztą rozumiem cię. Przyznaj się, jesteś aksolotl, nie?

Panek, który przecierał chustką spieczoną wargi, parsknął krótkim śmiechem.

— Panowie — wymruczał Zaremba, wciąż z głową wspartą o pięść — zdaje się, że się znalazłem w czubkach.

Kuran:

— Cała Dania jest więzieniem, tylko ty nic o tym nie wiesz, bo ty jesteś gwiazdor w masowym, popularnym zakładzie.

I do Nagórskiego:

— Jesteś aksolotl! Słowo daję, jesteś aksolotl.

Nauka, Filozof, Wiedza,
Błądzenie

Polak, Pijaństwo, Słowo

Tym razem Nagórski nie tylko przynętę chwycił, lecz połknął ją razem z haczykiem.
— Słuchaj, Ksawery, powinieneś uważać na tego małego kleptomana, żeby cię pewnego dnia nie spotkał los niedźwiadka langwedockiego względnie samca modliszki, wiesz jakiej?

— *Mantis religiosa*.

— Właśnie!

Wówczas Ksawery, podniecony drastyczną aluzyjnością:

— Myślisz, że byłoby to nieprzyjemne?

— W pewnym sensie tak — odpowiada Nagórski — bo jeśli przyjemne, to bez możliwości powtórzenia.

— Ba! — na to Ksawery.

Marek Kuran jest zbyt wytrawnym graczem, aby się zdradzić, iż znalazł się nagle w sytuacji kibica. Spośród wielu stanów dobrowolnego niewolnictwa (jak gdyby przymusowych nie było aż nadto dużo zresztą, być może, łączą się one: dobrowolne i przymusowe? cóż, ostatecznie, możemy powiedzieć o granicach, kiedy chcę coś uczynić, a kiedy muszę?) — jednym z najbardziej pętających człowieka wydaje się stan (rzecz by można górniczo: nieustanna potrzeba ducha), aby w każdej sytuacji wygrać.

Kuran (bo i skąd, jeśli jego mentor nie miał dotychczas okazji wspomnieć o szczególnych obyczajach niedźwiadka i modliszki?) nie wie nic o langwedockim niedźwiadku, również o modliszce tak pośpiesznie przemienionej w *mantis religiosa* (*mantis?* mania? francuskie: *manteau*, więc może płaszcz? płaszczyk religijny?), lecz ta nieświadomość natychmiast go, zgodnie z prawidłami gry, mobilizuje. Bowiem podstawowe reguły gry nakazują: nigdy po sobie nie pokaż, że czegoś nie wiesz, że jesteś stropiony, niepewny, że się wahasz; nigdy swoim zachowaniem nie zdradź, więc twarzą, dłońmi, a przede wszystkim wyrazem oczu nie zdradź, że zostałeś zaatakowany, najlepszą odpowiedzią na atak jest spokojna demonstracja absolutnej nieświadomości ataku, atak nie przyjęty traci impet, staje się niewypałem, pudłem, ostrość i ironia rozlażą się jak rozgotowane mięso i wykorzystaj wówczas swój osobisty urok (bez osobistego uroku w ogóle się nie zabieraj do rozgrywek), uśmiechnij się, zrób cokolwiek, niech to będzie jednak świeże i czyste, może być nawet bezbronne i naiwne, zachowaj się tak, aby nikomu z obecnych, a przede wszystkim stronie atakującej do głowy nie przyszło, że poczuleś się zachwiany i nadwątłony; i nie atakuj natychmiast, to byłoby zbyt prostackie, gra stałaby się dla wszystkich zbyt przejrzysta, tylko głupcy odpowiadają ciosem za cios, to jest poziom „pyskówek”, rodzinnych awantur i prymitywnych kłótni miłosnych, dobry gracz tak zagra, aby sytuację niekorzystną możliwie szybko obrócić na swoją korzyść, należy zatem atak zbagatelizować, pomniejszyć, rozcieńczyć, utrzczyć z ręcznej sytuacji nosa.

I oto, co Marek ma do rozważenia po ostatniej kwestii Ksawerego (z nim osobno się porachuje; ludzi, z którymi się kuszuje, należy przerabiać na osobności): przed sobą ma kieliszek wódki oraz szklankę z wodą mineralną. Moment refleksji i szybka decyzja: sympatyczny, chłopięcy uśmiech, lekki ruch dłoni, prawie nie sposób, żeby się nie zetknąć z nieruchomym szkłem, więc szklanka się przewraca, woda po stoliku się rozprzestrzenia, niechże teraz wszyscy uczeni diabli gonią modliszkę i niedźwiadka!

— Upiłeś się — mówi Panek

Na to Marek, bardzo wiarygodnie udając zmieszanie i przywołując najsympatyczniejszą barwę głosu:

— Przepraszam, bardzo mi przykro. Czuję się, jakbym przewrócił ustrój.

Po czym, nachyliwszy się ku Ksaweremu, obejmuje go przez ramię i szepce do ucha gorącymi, trochę wilgotnymi wargami:

— To przez ciebie, bo coś sobie pomyślałem.

I do Nagórskiego:

— Wiesz, widziałem Ping Ponga.

Nagórski obojętnie:

— Kogo?

— Ping Ponga.

— Kto to jest? Ona czy on?

— Kazała ci się kłaniać.

Nagórski wzruszył ramionami.

Kondycja ludzka, Niewola,
Zwycięstwo

Gra, Wiedza

— Nie znam.

— Nie znasz? Prawda! Zapomniałem, że dla niektórych frajerów ona się nazywa Nike, ale dla Szufłady i Sezama i całej ferajny oblatuje jako Ping Pong, piłeczka, rozumiesz?

— Zabawne — mówi Nagórski, cofając się nieco do tyłu, aby skryć w cieniu bladłość twarzy.

A ponieważ znakomity pisarz nie posiada już, niestety, młodzieńczego refleksu, a i instynkt samozachowawczy ma leciutko nadwątlony, zapytuje z tego swego cienia:

— Kiedy ją widziałeś?

— Dzisiaj.

— Chyba wczoraj — wtrąca Ksawery, który już w „Kameralnej” zdążył przeprowadzić wstępne badania śledcze.

Marek Kuran:

— Może wczoraj. Wiesz, Adam, mam dla ciebie pierwszorzędną myśl, mogę ci sprzedać, słowo daję, to byłoby coś akurat dla ciebie.

— Gdzie ją spotkałeś?

— W takiej jednej chacie, bardzo elegancka melina.

Nagórski w nagłym olśnieniu:

— Możliwe. Bardzo dawno nie byłem u Alicji Singer.

Kuran tak dalece nie potrafił ukryć zdumienia, iż wymknęło mu się nierozważne pytanie:

— Skąd wiesz?

— Wiem.

I do Ksawerego, jakby dla podkreślenia, że Marek wyleciał z gry:

— Nie pamiętam, czy ci kiedyś wspominałem, że mój starszy, przyrodni brat, wiesz, ten wykończony w Moskwie w trzydziestym siódmym, pozostawił córkę. To jest właśnie Alicja Singer. Kiedyś, przy okazji opowiem ci jej biografie, coś dla ciebie.

— W sensie?

— Płochych igraszek losu.

Ksawery najchętniej natychmiast skierowałby rozmowę na ten temat, ponieważ na skutek niedbałych, a pewnie i kłamliwych zwierzeń Marka w „Kameralnej” osoba nieznanego mu dotychczas Alicji Singer przeobrażać się poczęła w jego umęczonej wyobraźni w groźną i demoniczną potęgę, teraz natomiast, skoro się dowiedział, że chodzi o bliską kuzynkę Adama — doznał nieomal ukojenia, jakby przez sam fakt powinowactwa ze znakomitym przyjacielem ciemny i niebezpieczny wróg uczłowieczał się, ukazując normalne, ludzkie oblicze i niejako przecząc z tej racji brudnym (mitomańskim) aluzjom Marka. Nie zdążył jednak tej swojej chęci wyrazić, bowiem Marek, przewyciężywszy chwilowy impas, a nie mając dość czasu, aby nowy atak zaplanować, odwołał się, wedle prawideł gry dość prymitywnie, do wątku już wyeksponowanego.

— Adam!

— No, co jeszcze?

— Nie denerwuj się, ja jeszcze nic nie powiedziałem. Ale powiem. Tytuł: *Monologi!* Dobry, nie? W różnych epokach faceci odcięci od świata i skazani na śmierć. Na przykład facet w starożytnej Grecji kryje się przed tłumem w świątyni, w średniowieczu facet wtrącony do lochu, z ostatniej wojny mógłby być gość z ulicznej rozwałki, wiesz jeden z tych, co stali pod murem, z zagipsowanymi ustami. Współczesną historyjkę sam sobie wymyślisz? Jest pomysł?

Ksawery, czując na sobie spojrzenie Nagórskiego:

— Żadnych praw autorskich nie zgłaszam.

Kuran:

— Słyszysz, Adam? Ten chuj w spirytusie nie zgłasza zastrzeżeń. Więc co? Ty byś zrobił z tego numer, przysięgam ci, Adam, w pierwszej osobie, ty to lubisz. Ale jeżeli ci nie pasuje, może wolisz przypowieść psychologiczną? Zaczyna się banalnie, ale potem jest lepiej. Pewien gość na skutek wypadku traci pamięć i potem z kobietą, którą kochał, powtarza, oczywiście, nie pamiętając, te same dosłownie sytuacje. No? Duża psychologia, nie?

— Rany boskie! — wymamrotał Zaremba. — Wciąż musicie pieprzyć?

Marek Kuran:

— Kupisz?

— Za ile?

— Moje rachunki kłamały, jak powiada na łożu śmierci twój zasrany Leonardo do jeszcze bardziej zasranego, podstarzałego Salana. Nie znasz mnie. Nie chcę forsy. Wiesz, gdzie ja mam forsy i jaką forsy, gdybym chciał, mógłbym mieć? Wyczaruj u pana Edka ćwiartkę, tobie da.

— Marek! — mówi Ksawery. — Proszę cię, nie pij więcej.

Kuran:

— Nie widzisz pan, panie zasrany doktorze, że mam teraz z mistrzem konferencję na szczycie? Mam panu przypomnieć, co powiedział pewien sekretarz Komitetu Powiatowego? Jak jesteście, towarzyszu, taka świnia, tak powiedział, to ja was podsumuję. Adam! Mogą ci się nie podobać moje wypociny, ale wyczaruj, Adam!

I Nagórski w pełni świadomy, że nie powinien tego uczynić, wstaje od stolika cokolwiek ociężałe i podchodzi do baru, tym razem wobec Edka Kubiaka bez prawidłowych skojarzeń w przestrzeni i w czasie.

— Jeszcze trochę pana pomęczymy, panie Edku — mówi.

— Jeszcze to samo?

— Właśnie.

— Pan Kuran nie ma dosyć?

— Wszyscy mamy dosyć.

I gdy, wsparłszy się o barowy kontuar, przygląda się, jak pan Edek nalewa wódkę do karafki, przychodzi mu nagle na myśl, że Nike, skoro jest w Warszawie, mogła dzwonić pod jego nieobecność i nie dodzwoniwszy się, czeka w mieszkaniu. Dopiero teraz fakt, że opuszczając Kazimierz owego świątecznego ranka, gdy zerwanie wydawało się ostateczne, a wszelki powrót niemożliwy dla obojga, zabrała jednak klucze od mieszkania, staje się dla Nagórskiego szczególnie wymowny, o ileż wymowniejszy od możliwości zapomnienia, zrozumiałego w atmosferze wrogiego pośpiechu, jaki temu wyjazdowi towarzyszył. „Nigdy niczego nie zapomina — myśli — zawsze zapominała tylko to, co zapomnieć chciała, zwłaszcza niektóre kłamstwa zapominała, ileż razy tak było, że gdy do jakiegoś wydarzenia z przeszłości wracałem, ona nie będąc pewna, co mi w swoim czasie opowiadała, mówiła z najszczerzym akcentem: nie pamiętam, zapomniałam”. A głos rozsądku mówi w nim prawie równocześnie: znów się, głupcze, łudzisz, znów się chcesz utopić w złudzeniach, w tej mętnej wodzie oczekiwania.

Mówi:

— I rachunek, panie Edku.

— Wszystko razem?

— Plus dużą soplicę. To na dzisiaj byłoby chyba wszystko.

I myśli: gdybym mógł wiedzieć, gdybym mógł wiedzieć tylko to jedno, to jedno jedynie, jaka jesteś naprawdę i co naprawdę myślisz, kiedy kłamiesz i mówisz prawdę.

— Zdrowie pańskiego syna, panie Edku. Może ma rację chłopak, że ucieka do lasu.

Na to Kubiak:

— Każdy człowiek, proszę pana, ma jakąś rację, tylko nie każda racja wychodzi na zdrowie.

Ale Nagórski nie ma ochoty podjąć tego zawilego wątku, więc uregulowawszy rachunek wraca do stolika, a ponieważ chciał się tą pospiesznie przy barze wypitą soplicą upić, czuje się pijany.

— Dobranoc — mówi.

Zaremba:

— Wychodzisz, stary?

— Wódkę zaraz wam pan Edek przyniesie. Bawcie się dobrze.

Natomiast Kuran, zaskoczony takim zwrotem w sytuacji, daremnie poszukuje kwestii, którą mógłby jeszcze raz „ustrzelić” Nagórskiego, chce powiedzieć: „nawet ciemny kmiotek, jak kupi na jarmarku krowę, oblewa interes ze sprzedawcą”, wydaje mu się jednak, że okazałby w ten sposób niezadowolony, iż Nagórski ich opuszcza, mówi więc obojętnie:

— Kurwy by się jakieś przydały.

A Nagórski tak bardzo nie może (i nie chce) swojej rozbudzonej po kilkutygodniowym znieczuleniu udręki opanować, iż odwołuje Ksawerego i pociąga go za sobą do hallu.

— Przepraszam cię, Ksawery, on się z nią naprawdę widział?

Sprzeczne uczucia Ksawerego: lubi Nagórskiego i bardzo go jako pisarza ceni, przy tym, sam niewolniczo podporządkowany kaprysom Marka, pojmuje udrękę Adama, czuje się z nią w pewien sposób solidarny, jednak równocześnie, umęczony ostatnimi dniami, a szczególnie dzisiejszym wieczorem, niepewny, czy Marek zechce wrócić do domu, przeklinając siebie, że w „Kameralnej” dał chłopcu jakieś większe pieniądze, nie może Adamowi darować zafundowania nowej wódki.

— Tak mówił — stwierdza niechętnie.

— I co jeszcze mówił?

— Sam słyszałeś.

I po chwili:

— Po coś ty, Adam, tę wódkę zamawiał? On już pije od trzech dni, ma zupełnie dość, wiesz, jaki jest, kiedy wypije za dużo.

Nagórski przygląda się chwilę Ksaweremu, nie bardzo się orientując, o co mu chodzi, wreszcie rozjaśnia mu się w głowie.

— Zabawne! — mówi. — My właściwie, nawet kiedy nie jesteśmy sami, uprawiamy formę monologu, i ty, i ja. Ale przepraszam cię. Za *mantis religiosa* również.

Na to Ksawery, idąc za podszeptem urazy i niechęci:

— Na Syberii Zachodniej żyje małe mrówka, *lisus flavus*. Entomologów zdumiewało od dawna, w jaki sposób to małe stworzonko potrafi budować w ziemi rozległy system szerokich korytarzy, w których spędza całe życie. Dopiero niedawno odkryto, że sprytnie mrówki poszukują dżdżownic, a gdy je znajdują, nieprzerwanym szczypaniem zmuszają je do drążenia rozległych tuneli. Kompletnie wyczerpanych budowniczych w końcu pożerają.

Uśmiech, którym Nagórski chce pokwitować odbiór tej historyjki, tak sztucznie zniekształca jego żałośnie zmęczoną i bardzo w tej chwili podstarzałą twarz, iż Ksawery niemal jako nieprzyzwoitość odczuwa własną młodość (lecz jakże w lata posuniętą wobec młodzieńczości Marka!) i jak wyrostek, przychwytywany na brzydkim figlu, na bok umyka spojrzeniem.

— Teraz ja cię przepraszam — mamrocze niezgrabnie — to było głupie.

— Przeciwnie — na to Nagórski — to było i ciekawe, i dość mądre, tylko w sensie pedagogicznym chybione. Nie zapominaj, Ksawery, że należę do typowych recydywistów.

— Ja też.

— Właśnie! Więc o reedukacji szkoda mówić. Bądź zdrow, nie zapomnij, że jutro w południe masz ślub siostry.

I wykonawszy dłonią dość zawiły ruch, larwalne skrzyżowanie gestu pożegnania ze znakiem zapytania, jak gdyby skierowanym ku wszelkim sprawom istnienia, odwraca się i krokiem cokolwiek usztywnionym idzie w stronę toalety. Sam czuje się tak zmęczony i zamroczony, przede wszystkim zamroczony, iż opiera się oburącz o umywalkę, patrzy chwilę na odbicie swojej twarzy w lustrze (więc to jestem ja? ja? który ja? z podręczników literatury, paszkwili czy z pracowitego i niewolniczego przekopywania podziemnych tuneli dla sprytnego *lisus flavus*, zwanej też Ping Pongiem?), po czym przymyka powieki i głowę nieco pochyla na piersi. W tej sytuacji monolog Nagórskiego może być mniej więcej taki:

— Ty jesteś moją chorobą, ciebie pokochałem, żebym mógł być chory, więc żebym się mógł w schorzałym świecie stanem własnej choroby usprawiedliwiać, ale nie zawsze chcąc sobie zdać sprawę, że jestem chory i chcę być chorobą ze wszystkiego usprawiedliwiony, przeciwnie: wierząc, że mojej miłości do ciebie zawdzięczam stan wszechstronnego ożywienia i pobudzenia, szczytową kondycję rozbudzenia umysłu i ciała, rozbudzenia całego organizmu, pełnego rozbudzenia, pełnej czujności i pogotowia, ale to tylko pozory wynikające z choroby, z nieświadomości choroby i z samej istoty choroby, miłosne porażenie zatrute słabością i strachem, zatrute potrzebą choroby, ponieważ miłość...

Albo:

— Posłuchaj, wtedy gdy wróciłem pod wieczór z samotnego spaceru, bo ty, wcale się nie kryjąc, że jesteś mną zmęczona, wolałaś zostać, więc kiedy wróciłem i znalazłem cię

Miłość, Choroba

Rozstanie, Cierpienie

na dole, przy telefonie, rozmawiającą z Warszawą, z człowiekiem, z którym przysięgłaś, że się nie będziesz widywać, wtedy, gdy stałem chwilę przy drzwiach, i potem, kiedy się do telefonu śmiałaś, jak gdyby mnie nie było, jakbym nie istniał, potem, gdy podszedłem i uderzyłem cię w twarz, zrobiłem to chłodno, zupełnie spokojny i opanowany, ponieważ chciałem cię uderzyć, chciałem uczynić coś takiego, abyśmy się natychmiast rozstali, właśnie w gniewie i w nienawiści, żebyś ty nie mogła chcieć powrotu i ja żebyem twego powrotu już nie pragnął, chciałem tym uderzeniem zniszczyć moją miłość, moją śmiertelną chorobę, i kiedy odjechałaś przywołaną z rynku taksówką, z całą trzeźwą i jasną świadomością dałem ci tyle tylko pieniędzy, ile trzeba na bilet autobusowy do Warszawy chciałem się z tobą rozstać jak z kurwą, której po jednej nocy płaci się najtańszą stawkę, wróciłem potem, kiedy odjechałaś, na górę do naszego pokoju, do tego pokoju, który przez tydzień był naszym wspólnym pokojem, i kiedy weszliśmy do niego po raz pierwszy, myślałem, że będzie pokojem naszej odnowionej miłości, a stał się świadkiem wzrastającej pomiędzy nami obcości i niechęci, ty, nawet w moich ramionach, myślałaś o tamtym, a ja, jak nieporadny chłopiec, nie, jak starzec przegrywający ostatnią szansę, zebrałem u ciebie miłości, wywoływałem przeszłość, jak gdyby to, co było, mogło kształtować chwile obecne, więc wróciłem do tego pokoju, do tej karnej celi, kiedy odjechałaś, położyłem się na łóżku, nie zapaliłem światła, był zmierzch, leżałem z otwartymi oczami wśród powoli zagęszczającej się dokoła ciemności, czekając, czy z odrętwienia, jakie mnie ogarnęło, nie wyłoni się nagle ból, cień bólu, bowiem w chwili rozstania styka się człowiek tylko z pierwszą warstwą rozstania, dotyka jej wszakże w taki sposób, jakby był znieczulony i niewrażliwy nawet na lekkie ocknienie bólu, dopiero w głębszych warstwach rozstania kipią wrzące jady, więc leżałem wciąż z otwartymi oczami i już w ciemnościach, lecz gdy zadzwoniono na kolację, wstałem, zapaliłem światło i twoje łóżko, które miało pozostać puste, i nieobecność twoich rzeczy, nawet twój ostatni papieros, niedopalony i pozostawiony w popielniczce, nie wywołały we mnie bólu, poszedłem do łazienki i tam od razu zauważyłem, że zabrawszy wszystkie drobiazgi zostawiłaś cienki skrawek mydła, jego zapach też nie obudził we mnie bólu, wymyłem tym mydłem ręce, pachniały tobą, przetarłem wilgotnym ręcznikiem twarz i wciąż nie słysząc w sobie cierpienia, zszedłem na dół, w małej jadalni, już zapełnionej kompletem gości, nasz stół był jak zawsze przygotowany na nas dwoje, nim usiadłem, poszukałem właścicielki pensjonatu, aby ją poinformować, że na skutek telefonu z domu o chorobie twojej matki musiałaś, niestety, natychmiast wyjechać, mówiąc to, doskonale zdawałem sobie sprawę, że w to wyjaśnienie nikt nie wierzy, było mi to jednak zupełnie obojętne, jadłem kolację z apetytem, byłem głodny i nic mi nie przeszkadzało, że obok istnieje puste nakrycie dla ciebie, teraz już jadącej przepelnionym zapewne autobusem, myślałem, co zrobisz, znalazzszy się w Warszawie bez pieniędzy, kogo przywołasz telefonem, do kogo pojedziesz i z kim spędzisz noc, i wszystko, co sobie mogłem na ten temat wyobrazić, było mi zupełnie obojętne, czekałem na ból i ból się nie zjawił, ale jeszcze i potem, gdy po kolacji grałem w bridża i dość późno, bo już po dwunastej, wróciłem do siebie, i nazajutrz, gdy o wczesnym świcie, kiedy było jeszcze ciemnawo, zbudziłem się i nie znalazzszy cię obok, zapaliłem światło, aby ujrzeć cię śpiącą w swoim łóżku, nawet wtedy, gdy jeszcze odrzucony ciężkim snem uświadomiłem sobie, jak gdyby po raz pierwszy, co się stało, nawet wtedy ból się nie zjawił, byłem znieczulony, pusty, bez śladów choroby, pokonałem ją tym uderzeniem cię w twarz, dobiłem pięćdziesięciotówką na bilet autobusowy, i kiedy o świcie, nie znajdując cię obok ani w twoim łóżku, nie odczułem bólu, począłem cię szukać we wspomnieniach, i kiedy z nich również najniklejszy cień bólu nie wyniknął, wtedy, leżąc w półmroku powoli się rozjaśniającym, leżąc we wspomnieniach...

I wreszcie, gdyby mógł pamiętać, a chciałby się zanurzyć w żywiole lirycznej refleksji (larwalnej?), mógłby sięgnąć do własnych rozważań, zanotowanych w podręcznym zeszycie, na drugi dzień po przyjeździe do Kazimierza. Więc mógłby wówczas, gdyby mógł pamiętać, oczywiście w tej samej pozycji, wsparty o umywalkę i z głową męczeńsko sklonioną ku pierścionom, mógłby mówić:

— Zdarza się w historiach niektórych chorób, iż ludzie, śmiertelnie których z nich dotknięci, odzyskują na krótko przed śmiercią siły, jakby strumień życia opuszczające ciało pragnął raz jeszcze wypełnić je swoim ruchem i szumem. Powraca wówczas nadzieja i kto wie czy nie wtedy właśnie w owych chwilach, gdy ostateczna zagłada w sposób

Choroba, Śmierć, Pozory,
Odrodzenie, Miłość

tak podstępny, a może i wspaniałomyślny przybiera kuszący kształt życia, nie zostaje umierającemu dane przeżyć największej miłości do życia, już oczyszczonego z wszelkich niedostatków, objawionego w doskonałej nieomal postaci piękna. Jak bardzo przecież kruche są owe pozory! Śmierć już głęboko i wszechstronnie zadawniona w dogasającym organizmie, nie musi się odwoływać do manifestacji szczególnie mocnych i jaskrawych, aby zedrzeć z siebie maskę życia i zadać cios ostateczny. Drobiazg wystarcza, okruczeństwo działania, przyprawiający wyczerpany organizm o ostateczną dezorientację. Podobnie bywa i z umieraniem miłości, gdy na chwilę przed jej zagładą ukazuje się ona naraz w swoim wzruszającym kształcie pierwotnym, tym z pierwszych dni oczarowania. Towarzyszy jej, oczywiście, nadzieja, że teraz, od zaraz, wszystko ułoży się dobrze. Tak wielka i krzepiąca jest owa nadzieja, umiłowanie życia, iż cała splątana i bolesna historia miłosnej choroby wydaje się naraz mało ważnym błędzeniem, cierpienia usypiają, różnice zostają wyrównane, ufność powraca i wielka miłość, jak gdyby odmłodzona wszystkimi minionymi porażkami, czyni człowieka tym szczęśliwszym, im bardziej przed tym zwątpił był i w nią, i w możliwość jej trwania. Być może spośród wielu złudzeń, którym ulegamy, oraz oszustw, które sami sobie i istnieniu narzucamy, to złudzenie, objawiające się nam w przedostatniej godzinie, traktować należy z wdzięcznością, bowiem i w obliczu śmierci, i wobec zagłady miłości pozwala nam ono złożyć hołd życiu i miłości, przeżyć je w doskonałym i niepozabawionym wzniosłości skrócie, aby później, gdy rozwieje się kształt złudzenia — bez trwogi i rozpaczycy uczynić konieczny krok ku przestrzeniom ciemności i milczenia, lecz czy bez trwogi i rozpaczycy? — — — — —

WTOREK, 5 MAJA

Ciepło, słonecznie i nareszcie, nieomal na oczach rozkwitająca zieleń drzew.

Postanowiłem zrezygnować z kilku stroniec rozmowy, jaką po opuszczeniu „Bristolu”, idąc o pierwszym świcie Krakowskim Przedmieściem, prowadzą Nagórski oraz Zaremba (wówczas Wojciech Bielski), zbyt cała ta scena rozwlekła i chyba nudna, pełno w niej poza tym realiów związanych z poprzednią wersją *Miazgi*, kiedy akcja miała się rozgrywać nie w kwietniu, jak teraz, lecz w połowie maja, taki np. kłopotliwy drobiazg: część dialogu, gdy Nagórski chce ustalić możliwie dokładnie dzień, w którym Zaremba widział Nike, toczy się wokół dnia imienin Wojtka Bielskiego (23 kwietnia) — teraz, skoro Wojciech nie egzystuje, a rzecz się dzieje wczesnym rankiem 19 kwietnia, wszystko bez sensu.

Większy kłopot z pozostawionymi w barze: Ksawerym Pankiem i Markiem Kuranem. Tekst z opisem ich kłótni oraz scena ucieczki Kurana przepadły w wiadomych okolicznościach i poza dwoma momentami: kłótni i ucieczki nie mogą sobie przypomnieć żadnych szczegółów.

Chyba jednak pozostawię na razie te drobne sprawy w zawieszeniu, później do nich powrócę. Okazji do kłótni może być wiele. A co, opuściwszy Ksawerego, może ze sobą zrobić Kuran? Czy ja wiem? Może uczyni coś zupełnie nieoczekiwanego, np. ogarnięty potrzebą „skruchy” wsądzi w pierwszy dzienny pociąg podmiejski i pojedzie do matki, do Pruszkowa? Warto i taką możliwość wziąć pod uwagę. Ale to potem.

Dom, w którym mieszka Nagórski, stoi przy Nowomiejskim Rynku, najprościej można tam dojść, minąwszy Barbakan ze skrzydłami fos i murów, które oddzielają Stare Miasto od Nowego, ulicą Freta i południową stroną Rynku (tam, gdzie kino „Wars”) w głąb, do końca, aby wszedłszy pod odpowiednim numerem w długą, mroczną sień, znaleźć się na zacisznym podwórku, prawie prowincjonalnym dzięki staroświeckim, drewnianym galeryjkom, przyozdabiającym jedno skrzydło dwupiętrowej kamieniczki...

Nagórski wraca zazwyczaj do siebie drogą inną i nie dlatego że cokolwiek krótszą, lecz że lubi spokój i ciszę, w jakie wkracza prawie natychmiast i bez względu na porę, gdy zaraz za kościołem dominikanów skręca z ulicy w prawo. Wówczas, również po stronie prawej, pozostawia białą fasadę klasztorną, spokojnie swoim ogromnym obszarem wtłoczoną pomiędzy niebo ponad nią i drzewa poniżej, drzewa, które dzięki widocznemu (lub w nocy: wyczuwalnemu) powiązaniu z ziemią tamto spiętrzenie białych murów jak gdyby wspierają w nieruchomym trwaniu; potem idzie długim szlakiem podwórkowym, a wła-

ściwie wewnętrzną uliczką wzdłuż kamienic, połączonych z ulicą Freta licznymi sieniami, mijają nowoczesny budynek przedszkola, po czym w miejscu, gdzie wznoszą się tyły kina „Wars”, znów skręca na prawo, tym razem po kilku płaskich i szerokich tarasowych schodach, wówczas wprost przed sobą, nieco w dole ma dziedziniec swego domu, na lewo — wylaniającą się nagle w głębi u wylotu przyrynkowej uliczki i opiekuńczo zamykającą perspektywę, ogromną kopułę oraz skrawek jasnej ściany kościoła sakramentek.

Więc gdy za dominikanami skręca i oddala się od ostrego łoskotu, jaki wydają blaszane bańki z mlekiem wyladowywane na Freta przed sklepem z nabiałem, a przybliża do przyciszonego świergotu wróble, słabiutko i żałośnie poćwierkujących wśród oszronionych drzew i jeszcze poza tym słyszy kruchy chrzęst wilgotnej warstewki śniegu pod własnymi krokami — słyszy telefon, musi zatem wyminąć nierozpakowane jeszcze walizy, aby podejść do aparatu i gdy podnosi słuchawkę i po raz pierwszy po półrocznej nieobecności w kraju mówi po polsku: słucham, słyszy obcy głos: to ja, Nike, i jest tak w pierwszym momencie zaskoczony, że to ona, iż pyta: skąd wiesz, że wróciłem?, przecież słyszę — mówi, więc znów pyta: gdzie jesteś?, niedaleko — odpowiada, ponieważ jednak słychać nie najlepiej, głos jej wydaje się bardzo odległy, mogą być za chwilę — mówi ten daleki głos, i Nagórski, posuwając się pustym ciągiem podwórkowym, wciąż z kruchym chrzęstem śniegu pod stopami, znając dalszy ciąg tamtej sprzed przeszło czterech lat rozmowy, może, gdy dochodzi do tarasowatych stopni, spytać: zostaniesz?, dzisiaj tak — mówi ona, a jutro?, nie wiem — mówi ona, i może przy ostatnim schodku, twarzą zwrócony ku ogromnej kopule kościoła sakramentek, spytać w ciemnościach: dobrze ci?, i ona może mu wówczas odpowiedzieć w ciemnościach: cieszę się, że mnie masz, i może stać jeszcze chwilę, wpatrzony w zarys barokowej kopuły i obejmując bliskie ciało w ciemnościach, stać, aby odwlec nieunikniony moment, gdy otworzywszy furtkę na podwórko, będzie musiał ujrzeć w głębi okna sypialni, tej, w której teraz leży w ciemnościach, więc stoi mimo chłodu, jaki w sobie czuje, mimo chłodu nieprzespanej nocy, chłodu znużenia, chłodu starości — myśli, i przymyka powieki, aby raz jeszcze odnaleźć Nike w ciemnościach, w ciemnościach pierwszej ich nocy, kiedy jeszcze nie wiedział, a nawet i nie przeczuwał, ku jakim przestrzeniom czasu przyszłego ta noc się potoczy, w co jej jedyny i niepowtarzalny kształt się obróci, gdybym wtedy — myśli — wtedy, w ten wieczór lipcowy, kiedy nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, w ten przedostatni wieczór przed wyjazdem, gdybym wtedy, zmęczony przyjęciem w ambasadzie francuskiej, nie robił tego wszystkiego, co robiłem, gdybym w owym czasie nie robił tego wszystkiego dokładnie, jak się to wszystko wtedy układało, a raczej, jak ja to nieświadomie układałem, niczego nie planując, bo przecież tylko dlatego spacerowałem i wstępowałem do kilku lokali, żeby jakoś zepchnąć ten przedostatni wieczór, zepchnąć go, aby nie wrócić zbyt wcześnie do pustego mieszkania, więc, żeby się nie chciał przez tych kilka godzin oszukiwać, że nie jestem sam, gdybym, na przykład, dokładnie kilka minut przed jedenastą nie wyszedł z „Kameralnej”, a potem, gdybym skręcił Nowym Światem ku Alejom albo gdybym nawet poszedł w kierunku przeciwnym, lecz nie po tej stronie, po której ostatecznie poszedłem, wtedy... właśnie! — mówi prawie na głos, i przestrzeń kilku metrów, jaka dzieli ostatni stopień od żelaznych sztachet podwórza, okazuje się przy powolnym kroku oraz lekkim pochyleniu głowy (jednak dyskretniejszym niż przy monologowaniu w toalecie) wystarczająco rozległa, aby ze stopami w płytkiej warstewce śniegu mógł przystanąć w lipcowy wieczór, przystanąć pośrodku szerokiego chodnika Nowego Świata, ponieważ skłania go do tego zarówno przyjacielski gest Witolda Kaleckiego, który dostrzegł go, samotnego, z dość znacznej odległości, jak i uczucie ulgi, że dzięki temu przypadkowemu spotkaniu powrót do domu oddali się chociaż o kilka minut, więc przystaje na środku trotuaru, lecz dopiero wówczas, gdy to czyni, dostrzega, że Kalecki nie jest sam, obok niego, a właściwie trochę w tyle, a przez to cokolwiek przysłoniętą jego barczystą i obfitą w ciało sylwetką, dostrzega młodzieńką dziewczynę, jak się masz, Adam! — mówi Kalecki na pełnym uśmiechu, co pulchnej dojrzałości jego twarzy przywraca wygląd nienaturalnie, lecz sympatycznie wyrosniętego dziecka — strasznie się cieszę, że cię widzę, i zaraz potem: pozwól, że ci przedstawię tę młodą osobkę, wtedy Nagórski, gdy Kalecki, obejrzawszy się za siebie, odsuwa się nieco na bok, widzi dziewczynę z odległości nie większej niż na wyciągnięcie ramienia, nie widzę jej — myśli zbliżając się do furtki —

wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to ona, a Kalecki mówi z akcentem dobroduszej, lecz i leciutko ironicznej lubieżności: to jest Nike, a to we własnej postaci pan Adam Nagórski, poszłaś wtedy do Kaleckiego? — pyta w innym czasie, tak — odpowiada, dlaczego?, cisza, dlaczego do niego poszłaś, podobał ci się?, nie chciałam wrócić do domu — odpowiada, i było ci z nim przyjemnie? — pyta, nie wiem — odpowiada, jak to nie wiesz?, nie pamiętam — odpowiada, Nike? — zapytuje, aby przerwać niezręcznie przedłużające się milczenie, jakie wynikło pomiędzy nimi trojgiem pośrodku trotuaru Nowego Świata — co to za imię?, Nike — odpowiada ona, nie ma takiego imienia — mówi, nagle wzruszony jej niskim, po chłopięcemu łamiącym się głosem, ja je mam — mówi ona, a Kalecki, którego hobby o wiele namiętniejszym od robienia muzyki jest kolekcjonowanie starych pozytywek i zegarów oraz grających szaf, kwituje ten dialog swobodnym uśmiechem człowieka, który zawsze tyle tylko bierze, ile udźwignąć może, ta młodziutka osoba — mówi — jest w pewnych sprawach bardzo pryncypialna, ale tylko w pewnych, i do niej: wiesz, mała, kim jest ten pan? — Nagórski, już obejmując zmarznąętą dłonią oszronioną klamkę furtki, powtarza odruch niezadowolonia, prawie protestu, jakim w lipcowy wieczór, wciąż pośrodku trotuaru Nowego Świata, reaguje na słowa Kaleckiego, nie bój się — mówi wtedy Kalecki — ta ładna osóbką bardzo dobrze, jak na swoje lata, jest zorientowana, i do niej, wciąż stojącej nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia: uważaj, mała, jeżeli będziesz dla tego pana miła i grzeczna, to on, jak chyba wiesz, ma nie tylko nazwisko sto razy od mego większe, ale i stosunki w światku teatralnym i filmowym ma takie, że jeden jego telefon... przestań, Witold — mówi wówczas z dłonią na klamce furtki, i pyta: a co pani robi?, uczy się — odpowiada za nią Kalecki — w przyszłym roku zdaje maturę, a potem wybiera się do Szkoły Teatralnej, nadaje się, jak sądzisz?, wtedy ona mówi bardzo spokojnie, trochę tonem grzecznej dziewczyny z dobrego domu: pan Nagórski zna mnie chyba zbyt mało, aby wiedzieć, czy się nadaje czy nie, i Kalecki znów wybucha swoim dostatnim śmiechem i tłustą rękę kładąc na karku dziewczyny, mówi: podobno wyjeżdżasz, Adam? do Francji?, tak — wywołuje z przeszłości swój własny głos, z głową lekko pochyloną i niezdeterminowany, czy już nacisnąć oszronioną i zimną klamkę furtki, na długo? — pyta tamten, na pół roku — odpowiada, a ponieważ jej ciemne oczy zwrócone są ku niemu i ich wyraz wydaje mu się czujny i pytający, mówi do niej: niech mi pani da swój adres, przyślę pani kartkę z Paryża, wszystko skłamałaś — mówi w innym czasie — klamałaś od samego początku, nawet wtedy, kiedy wróciłem i zadzwoniłaś, powiedziałaś, że dzwoniłaś z automatu na Rynku, tak — odpowiada w ciemnościach, co tak? — pyta, dzwoniłam z automatu, i wtedy krzyczy: nieprawda, wiem wszystko, wiem o wiele więcej niż ci się wydaje, dzwoniłaś nie z automatu, ale od tego faceta z telewizji, który mieszka nad kinem „Wars”, nie było tak? wprost z jego łóżka i z jego łazienki przyszedł do mnie i powiedziałaś, cieszę się, że mnie masz, przyznaj się, od niego przyszedł?, o Boże, wielki Boże! — mamrocze śmiertelnie zmęczony i w tym momencie przyciska klamkę, w ciszy bardzo głośno rozlega się cieniutkie skrzypnięcie, wtedy podnosi głowę, aby natychmiast stwierdzić, że dwa okna jego sypialni, nieruchomo spoczywające w głębi, są nagie. To nic nie znaczy — myśli — to wcale nie znaczy, że jej nie ma, może spać przy oknach niezasłoniętych albo czeka na mnie w drugim pokoju — — — — —

ŚRODA, 6 MAJA

O siódmej rano około 30°C w słońcu, a teraz (dochodzi jedenasta) w cieniu 26°C Kalendarz jeszcze grzeją, więc w mieszkaniu, mimo pootwieranych okien, jak w łaźni, musiałem się bardzo przymusić, aby przepisać do końca scenę powrotu Nagórskiego do domu. Jeszcze kilkanaście stron i koniec z porządkowaniem części II. W tej uldze (bardzo prowizorycznej) przeszkadza mi trochę wczorajszy pomysł, żeby Marek Kuran pojechał do Pruszkowa, do matki. Może byłoby to i niezłe? Ale jeżeli tak, to należałoby tę scenę umieścić bezpośrednio po scenie z profesorem Wanertem, więc prawie zaraz.

Na razie, łącznie z notatkami *Dziennika*, mam ponad 360 stron maszynopisu.

W związku z lekturą monografii o Lutrze; nie wiedziałem, że pokuta, słowo kojarzące się z karą i winą (*poenitentia*) brzmiało po grecku *mezanoia* i oznaczało odmianę serca.

Równie pojęcia nie miałem i nikt mi nigdy nie wspominał, że pojęciem „bram raj” posłużył się Luter, gdy opisując w ostatnim roku swego życia wewnętrzne olśnienie,

Kara, Wina, Przemiana

jakiego doznał przed laty w Wartburgu, odczytawszy zdanie z *Listu do Rzymian* 1,17: „Sprawiedliwy z wiary żyje” — pisał: „I jak przedtem nienawidziłem tych słów: »Sprawiedliwość Boża«, teraz tym silniej wysławiałem je przed sobą, tak że owo miejsce u Pawła było dla mnie niczym prawdziwe bramy rajów”.

PIĄTEK 6 MAJA

Agencja PAP informując o zawartym przed paroma dniami w Pradze układzie radziecko-czechosłowackim, podaje wśród głównych postanowień układu że:

„Obie strony (...) będą rozwijać wszechstronną współpracę obu krajów i udzielać sobie wzajemnej bratniej pomocy i poparcia, opierając się na wzajemnym poszanowaniu państwowej suwerenności i niezależności, równouprawnieniu i wzajemnym nieingerowaniu w sprawy wewnętrzne”.

Oraz:

„Obie strony, wyrażając niezłomne zdecydowanie kroczenia drogą socjalizmu i komunizmu, będą podejmować konieczne kroki w celu obrony socjalistycznych zdobyczy narodów, bezpieczeństwa i niezależności obu krajów, będą dążyć do rozwijania wszechstronnych stosunków między państwami socjalistycznej wspólnoty oraz działania w duchu utrwalenia ich jedności, przyjaźni i braterstwa”.

SOBOTA 9 MAJA

W ostatnim numerze jednego z tygodników, w rubryce *W kraju* krótka notatka: „Na półkach magazynów i sklepów rośnie ilość bubli. Wartość zapasów, według obliczeń GUS, wynosiła w lutym br. około 40 mld. złotych w hurcie i około 74,8 mld. złotych w detalu. Cieszyłoby nas to zjawisko, gdyby to były towary poszukiwane, ale są to w większości towary, które nie znajdują klienta. Podobnie zresztą jak zapasy w handlu, rosną zapasy w całej gospodarce”.

I druga notka z tego samego numeru: „Dokuczliwa zima odbija się nie tylko na rolnictwie, opóźnionej wegetacji roślin, zniszczonych drogach, ale także na budownictwie mieszkaniowym. Mieszkańcy wielu budynków przeżyli prawdziwy kataklizm z powodu przeciekających dachów. Winę za to ponoszą częściowo projektanci, bowiem — jak donoszą z Krakowa i Łodzi — stosowano tam wadliwą konstrukcję dachów, ale przede wszystkim winę ponoszą partacze budowlani. Setki domów w całym kraju zostało poważnie uszkodzonych”.

Z rozmowy o *Hamlecie* w *Ulissie* Joyce'a:

„Tu rozważa on rzeczy, których nie było: czego dokonałby Cezar, gdyby uwierzył wróżbicie: to, co mogło się stać: rzeczy nieznanne: możliwe możliwości możliwego: jakie imię nosił Achilles, gdy mieszkał wśród kobiet”.

Andrzej S. chyba słusznie zauważył, że zakończenie tego cytatu zdaje się być wyraźnym nawiązaniem do *Urn burial* Thomasa Browne'a:

„Jakie pieśni śpiewały syreny i jakie imię przybrał Achilles, gdy ukrywał się pośród kobiet, pytania te, choć zagadkowe, nie leżą poza wszelkimi do mniemaniami...”.

Bardzo piękne to sformułowanie: możliwe możliwości możliwego.
List Alicji Stamirowskiej do ojca, profesora Henryka Wanerta.

Johannesburg, 27 III 1969

Mój drogi Papo!

Bardzo się zmartwiłam Twoim ostatnim listem, że źle się czujesz, a w ogóle cały list tak smutny. Czy aby jesteś pod opieką dobrego lekarza i kto to jest, przedwojenny specjalista, czy jeden z tych nowych? Jestem pewna, że z Twoim sercem to nic poważnego, my, Wanertowie, jesteśmy długowieczni, ale w każdym razie powinieneś o siebie dbać, a przede wszystkim takich smutnych myśli do siebie nie dopuszczać. Piszesz, że czujesz się osamotniony.

Samotność, Cnota,
Sumienie

Mój Boże, jak to możliwe? Pamiętasz, jak mi kiedyś, kiedyś bardzo dawno powiedziałeś, że człowiek, który ma czyste sumienie, nie powinien odczuwać samotności? Powiedziałeś tak, pamiętasz? Ja pamiętam doskonale, chociaż od tego czasu ponad trzydzieści lat upłynęło. Mówiłeś także, że samotność wówczas nam zagraża, gdy popełniamy przestępstwa wobec innych ludzi lub przekraczamy prawa moralne i społeczne. Powiedziałeś wtedy, że ze wszystkich samotności najbezwzględniejsza jest samotność dyktatorów i tyranów. Jakżeż więc Ty, drogi Papo, możesz się czuć samotny?

Wprawdzie my tutaj, w Afryce Południowej, od wielu lat żyjemy z dala od Kraju, ale przecież dobrze wiemy, jak u was jest i kto jest kto. Wiemy także, dla jak wielu rodaków w Kraju, również i takich, którzy nigdy nie zajmowali się filozofią, Twoje nazwisko reprezentuje wielki autorytet moralny, bo jesteś Człowiekiem, który nigdy nie poszedł na żadne kompromisy, natomiast zawsze, jeśli okoliczności na to pozwalały, występował w obronie wolności ludzkiej myśli. Czy nie prowadziłeś przed wojną swoich wykładów, stojąc na znak protestu, gdy Twoim słuchaczom pochodzenia żydowskiego nie pozwalano siadać w ławkach? Czy nie zapłaciłeś za swoje przekonania i postawę patrioty Pawiakiem i Oświęcimiem? A czy w roku pięćdziesiątym nie pozbawiono Cię katedry, choć za przykładem swoich licznych, niestety, kolegów-uczonych mogłeś ją zatrzymać za cenę paru deklaracji? Czy nie milczałeś przez te wszystkie lata, choć mogłeś mówić półprawdy i półkłamstwa? I czy Twój powrót na katedrę w roku pięćdziesiątym szóstym nie był dla tysięcy ludzi symbolem nadziei?

Papo mój drogi, Ty nie jesteś samotny i jeśli komukolwiek w Kraju, to Tobie tak myśleć nie wolno. Zdaję sobie sprawę, że takiemu Człowiekowi, jak Ty, który przy swoich latach umiał zachować tyle z młodości, musi nieraz ciężko tak zwana emerytura, a przede wszystkim brak stałych i bezpośrednich kontaktów z młodzieżą, do czego przez całe życie byłeś przyzwyczajony. Lecz jak wielu musisz mieć przyjaciół i ilu dawnych uczniów z pewnością Cię odwiedza! Znając Cię, lękam się nieraz, czy ze względu na swoje zdrowie nie jesteś zbyt hojny i czy w rozmowach lub dyskusjach prywatnych nie dajesz z siebie za wiele. Mój Boże, jakże bym się czuła bogata i szczęśliwa, gdybym mogła spędzić z Tobą chociaż parę godzin, siedząc tuż obok Ciebie, aby żaden Twój ruch i żadne Twoje słowo nie wymknęły się mojej uwadze. Jestem pewna, że nic a nic się nie zmieniłeś i zawsze, kiedy rozmawiasz, zdejmujesz swoje okulary w cieniutkiej, złotej oprawie, aby starannie je przetrzeć kawałkiem irchy, przechowywanej specjalnie w tym celu w bocznej kieszonce marynarki, a kiedy jesteś bardzo przejęty — obracasz obrączkę na palcu lewej ręki. Widzisz Papo, jak ja Ciebie dobrze pamiętam i umiem na pamięć?

Niestety, są to tylko piękne marzenia! Rozumiem dobrze, że ze względu na zdrowie (a może i inne są jeszcze powody?) trudno by Ci było zaryzykować tak długą i uciążliwą podróż. Ale obawiam się, że te inne powody mogą być decydujące. Jeśli zaś chodzi o nas, o czym wspomniałeś w ostatnim liście, to nie przypuszczam, aby mnie odmówiono wizy, z Arturem jednak sprawa, jak się nam wydaje, nie byłaby tak prosta. Po Twoim ostatnim liście bardzo dokładnie wszystko to sobie przemyślałam i długo też na ten temat rozmawialiśmy z Arturem. Maciej już czwarty rok siedzi w tym swoim szekacie nad Zatoką Perską, finansowo powodzi mu się nieźle, ale wciąż się jeszcze nie ożenił i trochę się o niego z Arturem martwimy, żeby nie zdziaczał, pisuje do nas rzadko i tak lakonicznie, jakby telegrafował. Anna, jak Ci w swoim czasie pisałam, wyszła w ubiegłym roku za naszego kuzyna, Pawła Stamirowskiego, mieszkają w Caracas, on — sympatyczny chłopak, ale trochę prymitywny, jak na mój gust — jest pilotem Amerykańskich Linii Lotniczych. Sami więc, jak widzisz Papo, zostaliśmy z Arturem na stare lata, a ponieważ Artur nie najlepiej czuje się ostatnio z sercem, trochę bym się bała zostawić go samego — — — — doszły do nas ostatnio od przyjaciół w Londynie niezbyt pomyślne wiadomości o stryju Karolu. Podobno bar-

Cnota, Historia, Polak,
Polska, Nauczyciel, Filozof,
Sumienie

dzo się fizycznie i psychicznie posunął i jak chodzą słuchy cały swój majątek (chyba dość znaczny!) zapisał w testamencie jakiemuś młodemu fotografowi. Okropne to wszystko! Papo drogi, czy nie mógłbyś przy jakiejś okazji pomóc z naszym sławnym Erykiem, jesteś z nim, zdaje się, bardzo dobrze, może on by mógł jakoś wpłynąć na stryja Karola, jest bądź co bądź jego rodzonym i jedynym synem. Artur twierdzi, że podobny testament, pomijający żyjącą najbliższą rodzinę, z pewnością będzie można zakwestionować, ponieważ zagraniczny majątek stryja był w pewnym sensie majątkiem Firmy — — — także pewnie nie doszło do Ciebie, że z początkiem marca zmarł w Londynie pułkownik Grzegorz Sołtan, podobno popełnił samobójstwo, ale to nie jest pewne. Jeżeli widzisz Adama — — — —

Ten list (cztery stroniczki gęstego maszynopisu na bibułce lotniczej) leży na nocnym stoliku. Również na tym samym stoliku szklanka z wodą oraz okulary w rogowej oprawie i mocno przyćmionymi szklami. Pokój w mieszkalnej oficynie w Jabłonnie jest dość mały i banalnie, w stylu hotelowym umeblowany: okrągły stolik nieporęczny do pracy, fotel, szafa, w głębi umywalka. Okno wychodzi na park, a ponieważ na noc, mimo chłodu, zostawiono je niedomknięte, słychać nadranny świergot ptaków, pobrzmiwający trochę tak, jakby gdzieś bardzo daleko orkiestra stroiła instrumenty.

Profesor Wanert przyjechał do Jabłonny przed trzema dniami, w środę, nazajutrz po recitalu Haliny Ferens-Czaplickiej. Miał bilet na koncert piątkowy, lecz po bardzo przykrej nocy z wtorku na środę, skoro zbudziły go z płytkiego półsnu pierwsze dzienne odgłosy świata, tak zatęsknił za wiejską ciszą, iż wydało mu się, że zgubiłby lekkomyślnie chwilę niesłychanie ważną i cenną, gdyby posłusznie i pośpiesznie nie podążył za tym głosem wewnętrznym. I przez dwa pierwsze dni rzeczywiście czuł się lepiej. Ciężka teczka z gromadzonymi od wielu lat materiałami i notatkami do *Wstępu do dziejów nietolerancji* spoczywała w podręcznej torbie, nic go do pracy nie ciągnęło, o niczym z większym skupieniem i przejęciem nie myślał, czuł się wewnętrznie rozluźniony i chociaż w tym braku myślowej dyscypliny odnajdywał pustkę — było mu z nią dobrze, kilka razy dziennie odbywał spacer po pustym i nagim parku, a pierwszego dnia, gdy jeszcze była pogoda, w grubej jesionce i owinięty pledem trochę się wygrzewał na słońcu w wygodnym leżaku ustawionym na tarasie, nawet pod wieczór, mimo ostrego chłodu, siadywał na ławce przy wejściu do oficyny, słuchał, jak kawki podnoszą naraz hałaśliwy jazgot, i czuł się prawie szczęśliwy, kiedy zawsze o tej samej porze, mniej więcej kwadrans przed siódmą, odzywało się w głębi parku turkanie turkawki. Gości było mało, nikogo wśród nich znajomego, i z tym też mu było dobrze. Po wczesnej kolacji jeszcze raz obchodził znikający w ciemnościach park, a przed udaniem się do siebie na górę, z uczuciem nieomal radosnej ulgi po raz ostatni korzystał z ławki przy drzwiach wejściowych, wówczas parokrotnie usłyszał w sobie głos Haliny Czaplickiej śpiewającej *Komm süsser Tod*⁷⁸, i wciąż mu było dobrze, a potem, gdy się już całkiem ściemniało, szedł do siebie, uchylał okno, bo kaloryfery mocno grzały, gasił światło i w fotelu, przymknąwszy powieki, cierpliwie i bez warszawskich niepokojów czekał, aż poczuje senność. Noce też miał lepsze niż ostatnio w Warszawie, wcale go stan wewnętrznego rozluźnienia nie drażnił, pustka, którą w sobie nosił, była lekka, nie męczyły go duszności i odeszły stany lękowe, które każdą z nocy zmieniały w nieskończenie długi koszmar.

List Alicji osobiście przywiózł Eryk wczoraj. Henryk Wanert przeczytał go parokrotnie, potem schował do podręcznej teczki z zaległą korespondencją i więcej o nim nie myślał. I oto ostatnią dopiero noc ma złą. Spędził ją bezsennie, wsparty o wysoko spiętrzone poduszki, wielokrotnie zapalał światło, a gdy je gasił — odruchowo uchylał sztywną zasłonę przy oknie i bezmyślnie spoglądał na drzewa w białym szronie, przeszło godzinę gdzieś u początku nocy spędził w szlafroku na fotelu, usiłując czytać (w drugim tomie *Pism rozproszonych* Marii Dąbrowskiej odnalazł przemówienie, jakie i w jego obecności wielka pisarka wygłosiła przed siedmioma laty na Uniwersytecie Warszawskim

⁷⁸*Komm süsser Tod* (niem.) — Przyjdź, słodka śmierci. [przypis edytorski]

z okazji otrzymania tytułu doktora *honoris causa* i od razu ujrzał jej drobną sylwetkę, zagubioną w rozległej sali wśród dostojnych tóg, biretów i łańcuchów, poszukał ostatnich dwóch zdań tego przemówienia, ponieważ już wówczas go były poruszyły, i teraz je odnalazł „Ale niech mi też wolno będzie wyznać, że moja radość zmieszana jest z silnym uczuciem zawstydy. Bo tytuł zakładający bądź co bądź jakąś wiedzę o świecie i o bycie, zastaje mnie w dobie życia, w której z każdym dniem rośnie we mnie świadomość mego niedouczenia, znikomość mej wiedzy, słabości mego rozumienia zawyłych spraw świata i człowieka”; jeszcze potem odszukał list Alicji, lecz niedoczytany do końca odłożył na stolik, i jeszcze w pewnym momencie chciał sięgnąć po *Ostatnią godzinę* Nagórskiego, lecz gdy sobie przypomniał, że jest to monolog umierającego Leonarda — przypomniał sobie, że w zapiskach, utrwalonych przy pomocy lustrzanego pisma, zanotował Leonardo rysując klocki: „Jeden popycha drugi. Za pomocą tych klocków przedstawione jest życie i wysiłki człowieka” — odsunął cieniutką książeczkę), na koniec, gdy wciąż trwała noc, zdrzemnął się po powtórnym zażyciu uspokajających kropli, i teraz, gdy się rozbudził z uczuciem, jakby wcale nie spał, i leży z zamkniętymi oczami, z lewym ramieniem aż po palce ciężko odrętwiałym i z nadmiarem mdlącego ciężaru w lewej piersi, wsparty o wysoko spiętrzone poduszki i z dłońmi na nieskazitelnie równo wygładzonej koldrze, z lewą prawie martwą, ale w udręczający sposób żywą, i ze dworu, spomiędzy gęsto oszronionych drzew parku docierają szkliste ptasie strojenia zanikających smyczków, teraz — teraz jest gęsta zadymka śnieżna, gdy obudzony w środku nocy w więziennej celi wychodzi w towarzystwie młodego gestapowca na więzienny dziedziniec, a potem wsiada do wielkiej, czarnej limuzyny wśród kurniawy oraz pejzażu zniekształconego pustką, ruinami i płaskimi poblaskami przyćmionych lamp z trudem rozpoznaje znajome ulice, wie jednak w pewnym momencie, że jadą Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem, Alejami, aż wreszcie zatrzymują się przy Alei Szucha, i potem, wciąż eskortowany przez uprzejmego gestapowca, idzie długimi korytarzami, wchodzi po jakichś schodach i zaraz potem następnymi schodzi w dół, a potem trafia do obszernego pokoju, gdzie jest cisza, przyćmione światło lampy na biurku, na oknach ciężkie zasłony, miękki dywan na podłodze, Obersturmführer Thiess — mówi wysoki mężczyzna w mundurze, podnosząc się zza biurka i uprzejmym ruchem dłoni wskazując nie krzesło po drugiej stronie, lecz jeden z foteli nieopodal, sam siada na drugim, gdy młody gestapowiec opuszcza pokój, po czym, wskazując na butelkę francuskiego wina oraz dwa kieliszki, pyta: napije się pan, panie profesorze?, zdaje się, że to niezłe wino, potem (na tle kruchych poćwierkiwań bardzo dalekich instrumentów) Thiess, podnosząc ciemny kieliszek: zdrowie Führera! i ja, jakby to było obok i chcąc na serdecznym palcu odnaleźć podwójną obrączkę, której od prawie trzydziestu lat już nie mam, Thiess: mogę pana zapewnić, panie profesorze, że to jest naprawdę dobre wino kraju łacińskiego, i ja po chwili wahania sięgam po mój kieliszek, ponieważ gardło mam zaschnięte i wargi spieczone, mówi Thiess: zdrowie Führera, i ja piję, i smak wina rzeczywiście wydaje się znakomity (wrzask kawek gdzieś daleko w głębi), siłę, panno Klaro — mówię idąc wzdłuż średniowiecznych murów Fryburga — nie zawsze towarzyszy odwaga, i odwrotnie, słabość nie musi być tchórzliwa. Gdyby pani na przykład, panno Klaro, ujrzała za dnia kawki nagle się z wielkim hałasem podrywające z drzew, mogłaby być prawie pewna, że psotna wiewiórka, to ulubione przez dzieci stworzonko, dobiera się do gniazd kawek, aby zmiażdżyć ostrymi zębami jajka i wypić ich zawartość; wrony i gawrony są dostatecznie silne, aby odeprzeć atak wiewiórek, kawki są cokolwiek słabsze, ale, mój boże, nie na tyle, aby nie mogły walczyć, znamy w przyrodzie ptaszki bardzo drobne, a jednak obdarzone dużą siłą bojową, kawki są po prostu lękliwe, ich obroną jest wrzask, mówi Thiess (jeszcze na tle krzyku kawek) pańska żona, panie profesorze, była, o ile mi wiadomo, Niemką?, i ja mówię: tak, von Beckendorff z domu, Thiess: krewna marszałka von Beckendorff?, i ja na to (szkoda, że nie byłem na wczorajszym koncercie, chciałbym usłyszeć jeszcze raz...) ja mówię: córka wielkiego filozofa, Ernesta Beckendorffa, Thiess: zatem Niemka?, ja: matka mojej żony była Angielką (jeszcze pisał Leonardo: „Zważcie tylko! Nadzieja powrotu do siebie i do swego dawnego stanu przypomina urzeczenie cmy światłem: człowiek, który ciągle się odradzającym pożądanym tęskni do nowej wiosny, nowego lata, każdego nowego miesiąca i nowego roku, czując, że to, co upragnione, nadejdzie jeszcze nieprędko, nie zdaje sobie nawet

Kondycja ludzka

Niemiec, Więzień,
Przemoc, Wino

Siła, Tchórzostwo, Odwaga,
Zwierzęta

Odrodzenie, Pozory

sprawy, że pożąda tylko własnej zguby). Thiess mówi: jeszcze wina, panie profesorze?, odpowiadam: dziękuję, i piję, co mi zostało nalane, i Thiess mówi: powiedział pan, panie profesorze, że pańska żona była z domu von Beckendorff, przepraszam, czy chciał mi pan przez to dać do zrozumienia, że małżonka, pochodząca z tak świetnej rodziny niemieckiej, zaszczepiła w panu szacunek i miłość dla narodu niemieckiego?, ja bardzo ceniłem naród niemiecki i niemiecką kulturę. Thiess: to mnie cieszy, panie profesorze, czemu pan jednak umieszcza swoje oceny w czasie przeszłym?, chcę odpowiedzieć: z tych samych powodów, dla których powiedziałbym: byłem młody, i mówię, nie pamiętam, co odpowiedziałem, całą rozmowę pamiętam tak dokładnie i wyraźnie, jakby została we mnie nagrana, ale co w tym momencie odpowiedziałem, nie pamiętam, mówi Thiess: współczuję panu, panie profesorze, że pańska małżonka zmarła tak młodo, myślę, że tragizm jej przedwczesnej śmierci na tym przede wszystkim polega, iż jej, córce wielkiego narodu niemieckiego, nie było danym doświadczyć dumy i poczucia siły, jakimi obdarzyła nas, wszystkich Niemców, III Rzesza, *Mein Gott*, nie znała Führera! (zwiedzając bibliotekę w Pesaro Leonardo zanotował strofę wyrytą na sarkofagu arcybiskupa Sguillace: *Decipimur votis et tempore fallimur et mors; Deridet curas, anxia vitae nihil*⁷⁹), i teraz Thiess podnosi się z fotela i skrzypiąc podszwami długich butów podchodzi do drzwi, i gdy rozlega się w ciszy trzask przekręconego kontaktu, jaskrawe światło wypełnia pokój, słyszę, że mówi Thiess: bardzo mi przykro, panie profesorze, jeśli sprawię panu nieco kłopotu, ale chciałbym pana poprosić, aby zechciał się pan rozebrać, wtedy pomyślałem, tak, chyba wtedy pomyślałem, a raczej uświadomiłem sobie w tym momencie, że chociaż zawsze lubiłem słońce, nigdy w życiu nie byłem na plaży, i mówi Thiess: czy pan słyszał, panie profesorze, o co pana prosiłem?, ja: tak, ale nie mogę zrozumieć... Thiess: tego od pana nie wymagam, proszę pana o wysiłek myślowy doprawdy nie większy od trudu, jaki musi sobie zadać żołnierz na rozkaz sierżanta, ale pan pewnie nigdy w wojsku nie był i pański umysł przywykł do poruszania się w rejonach cywilnych, nieporównanie, jak się panu wydaje, cenniejszych od prostej musztry, otóż pragnę pana poinformować, panie profesorze, że w skromnych sformułowaniach komendy kryją się tak zwane sprawy ostateczne, więc profesor Wanert, dobrze wiedząc, co za chwilę uczyni, otwiera oczy, aby w szarości pierwszego świtu znaleźć sojusznika przeciw tamtej oślepiającej jasności, i wówczas, choć tak krótkowzroczny, bo na prawe oko prawie ślepy, w półcieniu i w blasku stoi pośrodku pokoju nagi, mrugając bezbronnymi powiekami, ze stopami zanurzonymi w miękkim dywanie, i mówi w półcieniu i w blasku Thiess: proszę się wyprostować, panie profesorze, mam pana pouczać, że intelektualista zawsze powinien mieć głowę śmiało podniesioną? no tak! za dużo pan nad niemoralnymi książkami przesiadywał, trzeba się było sportować, ruch, powietrze, słońce, woda, zna pan starą rzymską maksymę?, mizernie pan wygląda, śladu mięśni, klatka piersiowa płaska, skóra sflaczała, jeśli pańska małżonka była prawdziwą Niemką, nie sądzę, aby mógł ją pan zadowolić jako kobietę, pytam potem: jestem wolny?, Thiess: chcemy tylko pańskiego dobra, panie profesorze, jako intelektualista z pewnością ceni pan najbardziej wolność wewnętrzną, pozostawimy ją zatem panu, natomiast pańską osobowość fizyczną będziemy musieli cokolwiek podleczyć, praca, powietrze, ruch, współzycie ze zdyscyplinowanym kolektywem na pewno trochę poprawią pańską kondycję, pozwalam panu podziękować, nie dosłyszałem, głośniejsze proszę.

I profesor Wanert, wsparty o wysoko spiętrzone poduszki, turkanie turkawki w głębi parku słysząc, prawą dłoń podniósłszy do oczu, aby je osłonić przed blaskiem nazbyt jaskrawym, mówi prawie na głos:

— *Danke schön, Herr Obersturmführer*⁸⁰.

Adam Nagórski kładzie się i aby wzbronić myślom penetrowanie zawiłych i grząskich labiryntów „choroby”, układa prelekcję, którą mógłby na przykład, wygłosić przed gronem nauczycieli polonistów, gdyby na podobne zgromadzenie został zaproszony:

— Proszę państwa! Jeśli państwo pozwolą, odejdę dzisiaj od formulek, tradycyjnie obowiązujących na spotkaniach pisarza z czytelnikami, i powiem państwu coś nieośmieszającego o sobie samym, ściślej zaś temat zaproponowanej państwu pogadanki określając: opowiem o moich miłościach. Niestety, nie będę mógł państwu sprezentować relacji pełnej,

⁷⁹*Decipimur votis et tempore fallimur et mors; Deridet curas, anxia vitae nihil* (łac.) — „Zwodzą nas modlitwy i oszukuje czas i śmierć / Szydzi z trosk, trwożne życie [jest] niczym”. [przypis edytorski]

⁸⁰*Danke schön, Herr Obersturmführer* (niem.) — bardzo dziękuję, panie poruczniku. [przypis edytorski]

Niemiec, Więzień, Władza,
Przemoc, Ciało, Filozof,
Żołnierz

i to nie tylko ze względu na obyczajność. Czas, ten pracowity i podstępny niszczyciel, sprawia, iż fakty, które pragnąłem państwu przekazać, będą jedynie cieniami prostacko zniekształconymi w stosunku do pierwowzorów. Muszę tu wszakże zaznaczyć, że, akcentując zjawisko zniekształcenia, nie chcę w sposób jednoznaczny określić tego procesu pejoratywnie, jeśli się bowiem zdarza, że wspomnienia z upływem czasu tracą pierwotną urodę, aż wreszcie utrwalają się w naszej pamięci w szpetnej i wulgarnej masce, to również i nie najrzadziej tak się dzieje, iż to, co w swym rzeczywistym trwaniu było skażone, później wszelkie niedoskonałości gubi i utrwała się w kłamliwym, lecz wzruszającym kształcie doskonałego nieomal piękna.

A teraz, po tych kilku, może nie nazbyt precyzyjnie i przejrzyście sformułowanych zastrzeżeniach, pozwolą państwo, że przystąpię do właściwej opowieści.

Moją pierwszą miłością był drugi mąż mojej matki, czyli mój ojczym. Niestety, była to miłość nieszczęśliwa, chcąc zaś zapoznać państwa z jej charakterem, muszę państwu przedstawić bodaj w najogólniejszym zarysie moją ówczesną sytuację rodzinną. Byłem dzieckiem starego ojca i matki bardzo młodej, dzisiaj powiedzielibyśmy dziewczyny. Mój ojciec był rówieśnikiem Sienkiewicza i Prusa, a od Stefana Żeromskiego był starszy o szesnaście lat. Z pierwszego małżeństwa miał syna i córkę, oboje byli dorosłymi ludźmi, gdy ja się urodziłem. Mogę zrozumieć; ojca, że u progu starości zapragnął wprowadzić do swego domu istotę tak uroczą i atrakcyjną, jaką musiała być podówczas moja matka. Należał do pokolenia pozytywistów, dzielił z nimi ideały epoki, był niezłym publicystą i przez pewną ilość lat doskonałym, jak mi opowiadano, obrońcą sądowym. Gdy ożenił się z moją matką, prawie o czterdzieści lat od siebie młodszą, był już tylko zamożnym rejentem oraz praktykującym badaczem tajemniczych sfer okultyzmu i spirytyzmu. Nie wiem, czy posiadał świadomość klęski — w Polsce, jak państwo wiecie, każde pokolenie przeżywa klęskę, tylko nie wszyscy o tym wiedzą — i czy uważał swoje życie za zmarnowane. Nigdy nie miałem okazji rozmawiać z nim na podobne tematy. Miałem dziesięć lat, kiedy umarł. Mogę sobie przecież wyobrazić, proszę państwa, że jeśli zdawał sobie w pewnych momentach sprawę, jak daleko odszedł od tzw. ideałów młodości i nawet wieku dojrzałego, mógł u schyłku życia ulec złudzeniom, iż u boku drogocennej młodości odnajdzie szczodre źródło, mało wprawdzie skuteczne na sklerozę oraz artretyzm i schorzenia naczyń wieńcowych, zdolne prawcież uśmierzać gorycz, zwątpienia i samotność. Być może wyimaginowane przeze mnie uczucia mego ojca usiłuję wznieść w zbyt wysokie rejony, być może powodował się jedynie starczą namiętnością, lecz jakkolwiek było, powtarzam, iż mogę wyobrazić sobie racje, które skłoniły go do tak szczególnego małżeństwa. Trudniej mi natomiast zrozumieć i ocenić pobudki mojej matki. Nigdy nie mogłem pojąć, a i dziś niewiele więcej rozumiem, co spowodowało, iż młoda dziewczyna, tak ponad miarę szczerze przez naturę obdarowana, piękna, już popularna i adorowana, gwiazda, jak by się dzisiaj powiedziało, nagle pewnego dnia i to na zawsze porzuca scenę, jednym, chyba lekkim krokiem schodzi z drogi sławy, odrzuca wszystkie ponętne dary i pokusy losu, stając się żoną człowieka, który na dobrą sprawę mógłby być jej dziadkiem, a z pewnością ojcem. Gdybyż przynajmniej za wszystko, co odrzucała, jeśli nie gwałtowna i namiętna miłość miała się stać jej przeznaczeniem, złożono u jej stóp magnacką fortunę, pałace, majątki ziemskie, olśniewające podróże i klejnoty, tytuł księżnej lub hrabiny, sławą wreszcie opromienione nazwisko znakomitego twórcy lub wirtuoza! Mój ojciec był człowiekiem zamożnym, lecz tylko zamożnym. Czy byli, czy w ogóle mogli być małżeństwem szczęśliwym? Nie wiem. Cóż się wie o swoich rodzicach? Wiem natomiast, bo tyle z dzieciństwa zapamiętałem, że ojciec coraz więcej wolnego czasu poświęcał seansom spirytystycznym, a matka była piękna i młoda, a po śmierci ojca, jakkolwiek była niezłe materialnie zabezpieczona, prawie natychmiast założyła pracownię krawiecką, właściwie Dom Mody, później, w latach międzywojennych pod firmą „Rozalinda” cieszący się ogromnym powodzeniem w sferach wojskowo-rządowych oraz teatralnych. Dla realistycznej ścisłości zaznaczam, że „Rozalinda” obsługiwała wyłącznie pleć piękną. Również chyba wypada państwu wyjaśnić, że klientelę ze sfer wojskowo-rządowych wniósł niejako w posagu, cokolwiek zresztą spóźnionym, bo dopiero po przewrocie majowym, drugi mąż mojej matki, pułkownik Grzegorz Abgar-Soltan, a zatem, jak to już miałem zaszczyt państwu zakomunikować, obiekt moich pierwszych uczuć miłosnych.

Miłość, Matka, Ojciec,
Dzieciństwo, Syn, Obyczaje

Trudno mi, niestety, wywołać jego sylwetkę z owych odległych czasów, gdy gdzieś pod koniec wojny, w dwudziestym roku zaczął bywać w naszym domu, wówczas jeszcze w randze kapitana, o ile wiem, matka poznała go w jednym z warszawskich szpitali, gdzie on leżał, podobno dość ciężko ranny, a gdzie ona, zaniedbując w imię wyższych celów „Rozalindę”, występowała w roli pielęgniarki. Mam pewne dane przypuszczać, że młody kapitan ułanów, a młodszy był od matki o dobrych kilka lat, był jej jedyną wielką miłością. Ale również mam wiele danych, aby podejrzewać, że kiedy w dziesięć lat później porzucił ją, nie przeżyła tego rozstania ciężko. Ja natomiast...! Pozwolą państwo, że zanim się cofnę w moje lata chłopięce, wyznam, iż najlepiej sylwetkę mego ojczyma zapamiętałem z ostatniego z nim spotkania, wtedy, choć miłość już dawno we mnie wygasła, zdjęte ze mnie zostały czary, choć nie jestem pewien, czy stwierdzając to wiernie odtwarzam wieloznaczny kształt moich uczuć. A stało się to dopiero w roku 1932, gdy odbywałem z moją pierwszą żoną, Alicją, podróż poślubną. Była wczesna wiosna, chyba marzec, może początek kwietnia, w każdym razie jeszcze nie sezon, podróż odbywaliśmy autem, mieliśmy więc zupełną swobodę poruszania i pewnie dlatego, w drodze z Włoch do Francji, gdy nam pewnego wieczora w Cagnes spodobał się taras z rozległym widokiem na morze i bardzo nam poza tym smakowała langusta, opieczona na ruszcie kamiennego paleniska, umieszczonego też na tarasie, postanowiliśmy pozostać w tej gospodzie kilka dni. I bodaj nazajutrz, kiedy wybraliśmy się na zwiedzenie willi, w której mieszkał był Renoir, spotkaliśmy mego ojczyma. Wiedziałem, że mniej więcej od roku pełnił funkcję attaché wojskowego w Rzymie, lecz w czasie tygodnia spędzonego w tym mieście z Alicją, nie odczułem szczególniejszej potrzeby nawiązania jakiegokolwiek kontaktu z ojczymem, ściślej: z moim byłym ojczymem. Skoro jednak spotkaliśmy się w miejscu tak ostatecznie niezwykłym, jak pokój, w którym umarł Renoir, a pułkownik ucieszył się nami jak rodzonymi dziećmi i zaprosił na wieczorny obiad, nie było powodu odmówić. Wobec tego przyjechał do naszej gospody pod wieczór i zawiózł nas, ale nie do Cannes ani do Nicei, tylko do cichych i mało wówczas znanych Antibes, do niewielkiej, za to piekielnie drogiej restauracyjki. Wieczory były jeszcze chłodne, więc na kominku, pamiętam, paliły się grube, ciężkie kłody, byliśmy wszyscy troje na wieczorowo, zresztą w sali prawie pustej, my dwaj w smokingach, Alicja w sukni wieczorowej, jedliśmy ten obiad przy świecach i tak już na zawsze, właśnie wśród tych rekwizytów, utrwaliła mi się sylwetka mego ojczyma, nie w mundurze ułańskim, który niegdyś tak uwielbiałem, lecz w smokingu, jak gdyby zbyt wątym i cienkim dla jego barczystych ramion i potężnych pleców, z twarzą nalaną i szybko czerwieniejącą pod wpływem wina, faceta prawie łysego, o grubym karku i przykrótkiej szyi, z workami pod oczami... pamiętam, dużo piłem tego wieczora, ale nie mogłem się upić, ponieważ godziny zdejmowania uroków i odczarowywania są zbyt okrutne, aby alkohol mógł działać. Nigdy już potem mego ojczyma nie widziałem, lecz wiem, że żyje, jest to już teraz dobrze starszy pan, który przekroczył siedemdziesiątkę, podobno mieszka w Edynburgu, ale czym się zajmuje i z czego żyje, pojęcia nie mam. A kochałem się w nim z całą chłopięcą zaborczością, był dla mnie ideałem ojcostwa, pragnąłem zatem, abym i ja był dla niego ideałem syna. Być może w ogóle dlatego go pokochałem, aby on mnie kochał? W czasie tego obiadu w Antibes przy świecach i płonącym kominku zwrócił się w pewnym momencie do mojej żony i powiedział: masz szczęście, droga Alicjo, nigdy nie przypuszczałem, że z wyrostka, delikatnie mówiąc: nieznośnego, jakim był twój mąż, wyroście tak uroczy młody człowiek. Niestety ta ocena mojej osoby nie sprawiła mi już przyjemności, zbyt późno przyszła, i kto wie, czy wówczas, gdy to mój ojczym powiedział, nie odnalazłem przez moment wszystkich gorzkich udręk chłopca, który w oczekiwaniu na miłość rzeczywiście i najłagodniej mówiąc był chłopcem nieznośnym, i to tak uporczywie i nieuleczalnie, że po roku wspólnego życia we troje, skoro ukończyłem pierwszą klasę, matka i ojczym zgodnie uznali, że dla mego własnego dobra lepiej się stanie, jeśli będę się wychowywać z dala od domu. Tak się też stało, i najpierw wygnany, a później już dobrowolnie upierając się przy tym oddaleniu, siedem lat życia aż do matury spędziłem najpierw w małym miasteczku w Poznańskim, w Jeleniu, w tamtejszym gimnazjum i internacie, a później dwa ostatnie lata przed maturą, lecz o tym w odpowiednim momencie.

Więc Jeleniu! Właśnie z Jeleniem, proszę państwa, oraz z pewnym majątkiem pod Mogilnem łączy się moja miłość następna, może, aby być lepiej zrozumianym, powinienem

Miłość, Przyjaźń,
Dzieciństwo, Młodość,
Męczyzna, Kobieta,
Zdrada, Sztuka

użyć słowa: przyjaźń, sądę jednak, że nie odda ono wiernie ani klimatu moich uczuć, ani ich dalszych kolei. Obiektem mego uczucia i jednak powiedzmy: miłości, był mój rówieśnik, jedyny syn zamożnego ziemianina, akurat przed rokiem owdowiałego. Tego chłopca pamiętam dokładnie: był długonogi, wysoki, szczupły, miał bardzo ciemne brwi zrosnięte u nasady nosa, twarz smagłą, jakby zawsze opaloną, za to oczy bardzo jasne, włosy też. Na imię miał Hipolit, zdrobniale: Polek. Tym razem była to miłość odwzajemniona obaj mieliśmy po piętnaście lat, po piętnaście z początku, gdy on, jako nowy zjawił się w Jeleniu i pierwszego dnia, kiedy zaczynał się rok szkolny, podszedł do mnie i spytał, czy może zająć miejsce obok w ławce. Wierzę, proszę państwa, w miłość od pierwszego wejrzenia. Więcej, uważam, że miłość się zaczyna tylko od pierwszego wejrzenia. Nasza z pewnością była taka. Niestety, trwała krótko, pod koniec wakacji, które podobnie jak ferie Bożego Narodzenia i wielkanocne spędzałem w domu Polka, mój przyjaciel utopił się w stawie. Kto z państwa zna pierwsze moje opowiadanie, zatytułowane *Zdrada*, odnajdzie w nim bez trudu realia tego pamiętnego dla mnie lata, mnie pod imieniem Andrzeja, Polka jako Janka, również i dziewczyna istniała w rzeczywistości, ta Amelka, która w opowiadaniu, choć niepokazana, odgrywa dość dużą rolę, do niej to bowiem, córki gajowego, czarnobrewy Janek przeprawia się późnymi wieczorami łódką przez staw, o nią jest zazdrosny Andrzej i to on po tragicznej śmierci Janka odbywa tę samą drogę, aby w ramionach Amelki przeżyć pierwszą miłosną noc. Muszę się również państwu zwierzyć, że ów szczególny koloryt, w jakim utrzymana jest ostatnia moja książka, ów długi monolog umierającego Leonarda da Vinci, a więc koloryt światła, jakby sączącego się przez płynącą wodę albo geste listowie, do tamtego właśnie młodzieńczego opowiadania świadomie został nawiązany, bo chociaż Leonardo zalecał malarzom, aby malowali portrety w dnie bezsłoneczne, kiedy blade światło przesącza się spomiędzy niskich chmur i pada drobny deszcz — ja z tym szczególnym kolorytem zapoznałem się, mało co poza nazwiskiem o Leonardzie wiedząc, a dla zaświadczenia tego ostatecznie drobiazgu mogę jeszcze państwu przypomnieć inne moje opowiadanie z lat 50., *Francka*, tę historyjkę o chłopcu z miasta zagubionym w lasie, gdzie także ten sam koloryt odgrywa pewną rolę, również w innych moich utworach, ale, przepraszam państwa, oddalam się od zasadniczego tematu. Gdyby natomiast interesowało państwa, czy przy tak wielu realiach zaczerpniętych z rzeczywistości również i wydarzenia wiernie zostały odtworzone w tym moim pierwszym opowiadaniu, muszę odpowiedzieć: nie, proszę państwa, już wówczas, jakkolwiek jeszcze nie miałem pewności, że będę pisarzem, byłem nim w sposób tak istotny, iż może nieświadomie, lecz z pewnością intuicyjnie czułem, że tak zwane dzieło sztuki nie odtwarza rzeczywistości, lecz w przewrotny sposób przedstawia jej elementy, przewrotny, bo świadomie odwołując się do osobliwie prywatnych miar sprawiedliwości.

W rzeczywistości nie czarnobrewy Polek, lecz Adam odbywał wieczorne przeprawy łódką przez staw i nie ten drugi, lecz pierwszy, czarnobrewy, dręczony był zazdrością o Amelkę-Maryjkę, zazdrością głębiej, być może, sięgającą, niż pozwala przyjaźń, i tak w rzeczywistości było, że po gwałtownej scenie jednego wieczoru Adam powiedział: dobrze, zostanę, jeżeli tak ci na tym zależy, zostanę, ale ty za mnie pojedziesz i mnie zastąpisz. Wtedy, pamiętam, czarnobrewy zbladł i spytał: nie możemy zostać razem? Nie — powiedziałem — jeden z nas musi pojechać, ty tylko albo ja, wybieraj. Więc wybrał i pojechał, i wtedy to się stało, a ponieważ nikogo przy tym nie było, nigdy nie mogłem wiedzieć: czy był to wypadek, czy świadomie podjęty wybór. Tak było. Lecz teraz, gdy tak nieudolnie staram się przekazać państwu moją pamięć tamtego czasu, przychodzi mi na myśl, że może jednak jego, czarnobrewego, nie dość kochałem? Może, gdybym go kochał lepiej, nie postawiłbym go tak brutalnie wobec niedorzecznego wyboru? A może to mgliste przeczucie kazało mi nie pozostać tego wieczoru z czarnobrewym, abym ja nie musiał wyboru dokonać? Nie wiedząc, przemilczamy raczej, proszę państwa, odpowiedź jednoznaczna, a zatem więcej niż wątpliwą.

A z pewnych względów wolałbym również przemilczeć i ów odległy okres mego życia, który nastąpił po śmierci czarnobrewego. Skoro się jednak domagacie ode mnie bezwzględnej szczerości... Ojciec czarnobrewego, nieświadom naszych tajemnic, chciał mnie zatrzymać u siebie do końca wakacji, nie mogłem jednak zostać, wyjechałem natychmiast po pogrzebie i cały sierpień spędziłem w Warszawie, w domu, który był pusty, matka z ojczymem byli za granicą. Pod ręką miałem ojcowską bibliotekę. Do tej pory

Książka, Młodość, Ciało,
Dusza, Literat

nie interesowałem się literaturą i jeśli zdarzało się, że korzystałem z biblioteki szkolnej, to poza lekturą obowiązkową były to przeważnie książki podróżnicze albo historyczne. Owszem, w roku 1924, z okazji sprowadzenia do Warszawy zwłok Henryka Sienkiewicza, wygłosiłem na naszej szkolnej akademii odpowiedni referat, podejrzewam jednak, iż namiętność, z jaką zanurzyłem się w świat bitew i przygód, w większym stopniu kierowana była moimi skłonnościami ku osobie rycerskiego ojczyzna niż rzeczywistym zainteresowaniem literaturą. Jakkolwiek było, naprawdę czytać zacząłem dopiero owego pamiętnego sierpnia. Czytałem bez wyboru po dwie, trzy książki dziennie, więc jeśli czułem się wówczas nieodwołalnie usuniętym ze świata ludzi żyjących, to przecież tyle w tej sytuacji napiętnowanego banity osiągnąłem, iż przestrzenie mojego wygnania były rozległe w zakresie nieomal nieograniczonym. I tam to właśnie, pośród owych przestrzeni, uległem, a nawet z hojnym nadmiarem wynagradzających moje ziemskie wygnanie, zacząłem gorliwie i doprawdy bez wszelkiego umiaru uprawiać to, co uczynił pan Leopold Bloom, siedząc pod wieczór nad brzegiem morza. Miły Boże, nie miejcie mi państwo za złe tego wyznania, nawet nie powiem: wstydlivego, pisarstwo, proszę państwa, jest z samej swej natury bezwstydnym, raczej uśmiechnijcie się pobłażliwie w stronę mglistego cienia, ostatecznie ów cień, choć może trudno to sobie teraz patrząc na mnie wyobrazić, istniał w kształtach chłopca szesnastoletniego, był zdrowy i dobrze rozwinięty. Aby jednak zgodnie z prawdą przydać tej pradawnej przeszłości również i wzniosłego akcentu niejakiego uduchowienia, pragnę państwu zakomunikować, że właśnie owego lata, a może nieco później, kiedy powróciłem do Jelenia, zacząłem pisać wiersze, niestety, pamięć mnie w tym miejscu zawodzi, zniszczyłem cały ten dorobek, opuszczając Jeleń, tak jest, z końcem roku szkolnego opuściłem Jeleń i to nie tylko dlatego, iż skutki moich nowych wieloznacznych nawyków okazały się tak jednoznaczne na świadectwie z siódmej klasy, pod postacią pięciu dwójek zdradzając całoroczny stan mego ducha i ciała. Chyba instynkt samozachowawczy sprawił, iż w obliczu porażki tak sromotnej wykazałem jednak pewien hart ducha, odmawiając kategorycznie kontynuowania nauki w Jeleniu. Posiadałem jeszcze wówczas wiarę, zresztą uzasadnioną, kiedy ma się siedemnaście lat, więc posiadałem, proszę państwa, wiarę, iż ze zmianą otoczenia zmiany i mnie obejmą. Sądząc po uporze, w jakim przy tym postanowieniu trwałem, można przypuszczać, iż samotne praktyki, do duchowej oraz cielesnej sfery przynależne, aczkolwiek tyłoma atrybutami wolności obdarzone, musiały znużyć młodego wygnańca, jeśli po roku owych doświadczeń zapragnął powrotu pomiędzy żywych. Już nigdy więcej do Jelenia nie wróciłem, również i pod dach rodzinny nie zawitałem, chociaż matka czyniła w tym kierunku pewne delikatne aluzje, owszem, w Warszawie pozostałem, domem moim stał się internat ojców marianów na Bielanach... Zdaje mi się jednak, proszę państwa, że oddalam się cokolwiek od właściwego tematu prelekcji. Czyżbym już był senny i dlatego tak skłonny do dygresji? Nie, proszę państwa, chyba jeszcze nie usnę, choć mimo zamkniętych oczu i przysłoniętych kotar czuję, że światło dokoła mnie coraz wyraźniej staje się światłem dziennym. Zresztą moich nowych przyjaciół, Jurka Mikulskiego i Antka Gniewosza, odnajdziecie państwo bez trudu, oczywiście pod zmienionymi nazwiskami, w jednym z początkowych rozdziałów *Natchnienia świata*. Również i uroczy, choć cokolwiek frywolny domek ciotki Reginy, nieomal rodzaj intymnej świątyni, gdzie przy uprzejmej pomocy młodych, lecz doświadczonych kapłanek zdjęte zostały ze mnie czary mizoginizmu, czary, którym tak uległem poddałem się po śmierci czarnobrewego. Zatem? Czuję niestety, proszę państwa, że nie zdołam dzisiaj doprowadzić mojej relacji do końca, zwłaszcza mój ostatni związek, moja miłość ostatnia, *bic et nunc*, moja nieuleczalna choroba... Nim jednak minie nasze spotkanie, chciałbym, nawiązując... byłem, proszę państwa, dwukrotnie żonaty i z pewnym zażenowaniem, a może raczej z odrobiną żalu muszę wyznać, że żadnego z tych związków nie mogę utożsamić z miłością. Wydaje mi się, że mój rodzaj miłosny w sposób bezwzględnie konsekwentny i uporczywy domaga się cierpienia. Nie chcę analizować w tej chwili, dlaczego tak jest, zwłaszcza, że przyczyny z pewnością są rozliczne i splecione w tak misternie skręcony bicz, iż trudno by odróżnić i wyodrębnić poszczególne wiązania. Kto wie, czy zazdrość nie jest jednym z nich? A zaborczość, bliźniacza twarz zazdrości? Obie moja żony nie były kobietami, dzięki którym, czy raczej z powodu których mógłbym cierpieć Nie mógłbym też do żadnej z nich powiedzieć: do ciebie się

Miłość, Małżeństwo,
Cierpienie, Zazdrość,
Cierpienie

tęskni, kiedy cię nie ma i kiedy jesteś. Może zatem niespełnienie i nieosiągalność, może nienasycenie w dwóch maskach: nadziei i zwątpienia? Może...

Pierwsze małżeństwo zawarłem w roku 1932, chyba z końcem zimy, bo, jak już wspominałem, zaraz po ślubie wyjechalśmy w podróż do Włoch i Francji, a wtedy już była wiosna. Jeszcze wtedy chodziłem na uniwersytet, na wydział filozoficzny, ale już byłem zdecydowany studia porzucić, ponieważ akurat w tym okresie po kilku latach solidnej abstynencji, dokładnie od chwili, kiedy w towarzystwie Antka Gniewosza — zginął pod Monte Cassino, proszę państwa — po raz pierwszy przestąpiłem próg domku ciotki Reginy, gdzie tak sprawnie zdjęte ze mnie zostały czary wygnania, więc akurat wówczas, gdy niebawem na jednym z balów karnawałowych miałem poznać moją przyszłą żonę, wróciłem do pisania, najpierw pod wpływem mglistej potrzeby, osobliwie prywatnej, pod wpływem mglistej potrzeby, aby w osobliwym kształcie prywatnej sprawiedliwości zamknąć ostatecznie moją miłość do czarnobrewego, a później coraz bardziej świadomy, że moje garby i wilcze doły, chociaż na ciele byłem zdrowy i dobrze rozwinięty... moja żona miała wiele zalet, była ładna, inteligentna i na dodatek zamożna, lubiłem z nią... jednak, nie, czuję, że już nie dopłynę do tego portu o nazwie: Alicja, portu, który wnet miałem opuścić, ponieważ pewnego dnia wieczorem, w salonie ciotki mojej żony ujrzałem po raz pierwszy... potem, kiedyś potem, przy innej okazji, będę jeszcze musiał o tej miłości opowiedzieć... także i o tej ostatniej, przyszło mi na myśl, że gdyby jej imię, kojarzące się z walką i ze zwycięstwem, ze skrzydłami rozwiniętymi do śmiałego i zwycięskiego lotu, gdyby jej imię, chociaż nie ma takiego prawdziwego imienia... tylko umarli bronią nas skutecznie przed klęską, powinni umierać ci, których kochamy.

Miłość, Śmierć

NIEDZIELA, 10 MAJA

Gdy wczoraj przed południem ukończyłem przepisywanie ostatniego fragmentu części II — zacząłem się trochę zagubiony i to uczucie niepewności, co robić dalej, towarzyszy mi do dzisiaj. Uczucie niepewności? Nie jest to, chyba, określenie najlepsze.

Nie od wczoraj i nie od pozawczoraj, obok myślenia, czy pod myśleniem o *Miazdze* jako o całości skończonej, istnieje we mnie przeświadczenie z początku mgliste i dość długo chwiejne, ale jednak przeświadczenie, że do tekstu, który poprawiam i przygotowuję dla późniejszych uzupełnień, już więcej nie wrócę, pozostawiając go w kształcie niedokończenia, lecz niedokończenia, które w moim odczuciu nie jest równoznaczne z niespełnieniem. Więc ukończone niedokończenie?

Książka, Literat

Gdy przed kilkoma laty opublikowałem w „Twórczości” fragmenty *Miazgi* — wielu przyjaciół oraz znajomych, których sądy artystyczne cenię, twierdziło, że te fragmenty powinny fragmentami pozostać, trwając ostatecznie w formie upodobniającej ją niejako do bryły kamienia z grubsza tylko ociosanego, gdy z jego bezkształtnego ciężaru zaledwie surowe zarysy projektowanej rzeźby się wyłaniają. Słuchałem tych sugestii chętnym uchem, ponieważ i mnie podobnie niewykończony kształt kusił. Jeśli jednak rzeczywiście miała to być bryła tylko z grubsza ociosana, wyobrażałem ją sobie nieporównanie większą od tekstu opublikowanego w „Twórczości”, większą, cięższą, więc i z zarysem utrwalo-nych kształtów wyrazistszym i rozleglejszym. Nie był to zatem dla mnie problem *zasady*, lecz *wymiaru*.

Nigdy jednak w moich intencjach nie kojarzyłem tej pokusy z kondycją kapitulacji, więc z usposobieniem wyczerpania i bezsilności, który to stan wobec ogromu podjętego przedsięwzięcia narzuca rezygnację z doprowadzenia do końca. Nie mam sympatii dla tej swoistej kokieterii, demonizującej produkt sztuki. Mitologizacja niespełnionego osiągnięcia nie tym wyższym rejonom twórczych penetracji składa zazwyczaj wątpliwy hołd, lecz sobie samemu: zauważcie tylko — powiada głośnym szeptem artysta — jak bardzo jestem świadomy, czujny i szczery, jeśli się publicznie przyznaję do własnej bezsilności!

Jeśli już jednak padły takie słowa, jak „kapitulacja” oraz „rezygnacja” — trudno by mi było udawać, że mnie nie dotyczą.

WTOREK, 12 MAJA

Kapitulacja i rezygnacja — tak, jednak w tym wypadku nie wobec dzieła, lecz wobec materii, z której dzieło powstaje. Więc pokusa niedokończenia, wynikająca nie z nie-

możności skończenia, lecz z uświadomienia sobie, że w stosunku do *materii* skończenie dzieła jest także niedokończeniem, więc po co udawać? w imię czego sugerować i sobie samemu, i czytelnikom, iż kończąc utwór wedle obowiązujących prawideł artystycznych osiągam więcej niż prezentując go w kształcie niewykończonej miazgi?

ŚRODA, 13 MAJA

Przystępując przed dwoma miesiącami do pisania *Dziennika* nie przypuszczałam, że notatki i uwagi, podjęte w intencji uporządkowania tekstu *Miazgi*, aby przez to uporządkowanie doprowadzić go do wersji ostatecznie wykończonej, niebawem zachłannie w ów tekst wtargną, stając się czymś w rodzaju konia trojańskiego, coraz natarczywiej rozbijającego akt wykończenia.

Ludzkość bardzo wiele zawdzięcza pięknu dzieł sztuki. Czy za element oszustwa, oszustwa podniecającego a zarazem uspokajającego, który się w nich zawiera, też powinna być wdzięczna? Być może.

Ze Swetoniusza fragment o pytaniach Tyberiusza:

„Szczególnie zajmował się poznawaniem dziejów bajecznych, popadając nieraz w brednie i śmieszność. Oto na przykład filologom, którą to kategorię ludzi, jak już powyżej wspomniałem, szczególnie lubił, takie mniej więcej zadawał pytania: »Jak się zwała matka Hekuby? jakie miał imię Achilles, gdy przebywał wśród dziewcząt? jaką pieśń zwykły śpiewać syreny?«”.

Lektura opowiadań Flannery O'Connor: ich precyzyjnie wykalkulowane okrucieństwo bardziej zadziwia niż wstrząsa, a jeśli również niepokoi, to przede wszystkim na skutek rozbudzenia ciekawości, kim była ta przedwcześnie zmarła kobieta, uważana za jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich. Zdaje się, że nie wyszła za mąż, mieszkała w rodzinnej posiadłości w Georgii, zmarła w czterdziestym roku życia, pozostawiając po sobie dwie powieści i dwa tomy opowiadań — to wszystko, co o niej wiem. Bardzo chciałbym wiedzieć coś więcej.

SOBOTA, 16 MAJA

Ilekróć otwieram radio — ogarnia mnie podziw (trochę podszyty rozbawieniem) dla sprawności naszych spikerów oraz komentatorów, a także i licznych prelegentów, którzy w sposób tak nieomyślny potrafią upolitycznić swoje głosy, nasycając je w zależności od tematyki niebywale bogatą i subtelnie różnicowaną skalą zabarwień emocjonalnych. Ten sam np. głos, relacjonując sprawy dotyczące krajów socjalistycznych, brzmi łagodnie, pełen spokojnego liryzmu, jakby opowiadał grzecznym dzieciom piękną bajkę, a chwilę potem, przechodząc do tematyki związanej z imperializmem USA, odmienia się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, staje się chłodny, ironiczny, zdolny również w momentach szczególnie godnych potępienia do akcentów surowego oburzenia. Opowiadano mi przed kilkoma laty, że pracownicy Radia, porozumiewając się między sobą, posiadają kilkanaście skrótowych określeń dla tych subtelności głosowych. Oczywiście, w zależności od zmian politycznych zmieniają się również głosy. Przez wiele lat akcenty o największym ładunku ironii i oburzenia przeznaczone były dla NRF. Od pewnego czasu, zgodnie z nową sytuacją polityczną, głosy mówiące o NRF wyzbyły się intonacji dyskryminacyjnych, stały się spokojne i rzeczowe. Wszystko się zmienia, głosy radiowe także, jedynie w odniesieniu do wewnętrznych spraw obozu socjalistycznego słodki ton bajkowy trwa, zresztą niekiedy wznosi się do wyższych rejonów emocji, nie lękając się patosu i dumy.

Szigalew z *Biesów* Dostojewskiego poświęcił, jak wiadomo, całą swoją energię studiowaniu kwestii ustroju społecznego przyszłej ludzkości. Ten swój własny system urządzenia świata spisał drobnym pismem w grubym brulionie. Zanim jednak na tajnym zebraniu u Wirgińskich przystąpi do wyjaśnienia słuchaczom owej teorii, oświadcza:

„Zaplątałem się we własnych wywodach i konkluzja moja pozostaje w całkowitej sprzeczności z pierwotną ideą, która jest u mnie punktem wyjścia. Zaczynam od nieograniczonej wolności, lecz kończę na nieograniczonym despotyzmie. Muszę jednak zaznaczyć, że innego rozstrzygnięcia zagadnień społecznych nie ma i być nie może”.

Piękno, Kłamstwo

Polityka, Urzędnik,
Dźwięk, Czary

Władza, Pan, Niewola,
Pozycja społeczna, Święto

Jeden z obecnych na zebraniu, kulawy nauczyciel, który sam zna zapiski Szigalewa, tak uzupełnia jego wyznanie:

„Dochodzi on [Szigalew] do ostatecznego wniosku, iż ludzkość musi być podzielona na dwie nierówne części. Dziesiąta część otrzymuje wolność osobistą i nieograniczoną władzę nad pozostałymi dziewięćdziesięcioma. Tamci zaś tracą osobowość, stają się stadem i bezgraniczne posłuszeństwo doprowadza ich w drodze przekształceń do niewinności pierwotnej, do jakiegoś raju przedhistorycznego, w którym jednak — będą musieli pracować”.

Natomiast młody Wierchowieniński w parę godzin później, w rozmowie ze Stawroginem, dodaje:

„Wszystko pod jeden strychulec... Potrzebne są jednak i dreszcze, a o tym my pomyślimy, my, władcy! Niewolnicy muszą mieć panów! Całkowite posłuszeństwo, całkowite zabicie jednostki, lecz raz na trzydzieści lat Szigalew puszcza dreszcze”.

Zdumiewające! Co trzydzieści lat? Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Dostojewski, kreując tak nieomylnie wizję rządów totalnych (choć takiego pojęcia nie znał), w tym jednym szczególe się pomylił. Czyżby dziewiętnastowieczne rozumienie czasu oraz działania w czasie tak bardzo się różniły od doświadczeń naszych, już pobieranych z ogromnych przestrzeni wieku dwudziestego? Nie przewidział wielorakich zdobyczy technicznych, bez których natężenie oraz częstotliwość „dreszczy” są nie do pomyślenia? Jakkolwiek było, pomylił się Dostojewski gruntownie. System totalny musi „puszczać dreszcze” nieustannie, bez przerwy, przy pomocy wszystkich dostępnych mu środków, upodabniając sferę propagandy do fantastycznej maszyny, wiecznie się poruszającego perpetuum mobile. Lecz mechanizmy, które w nieustannym ruchu muszą tę gigantyczną maszynę utrzymywać, obnażają jedną z wielu sprzeczności systemu totalnego. Jest rzeczą oczywistą, że aparat władzy totalnej, inspirując i organizując wszystkie rozliczne dziedziny propagandy, określa ich treść, kierunek, miarę zasięgu, natężenia, rozporządza również wszystkimi środkami kontroli. Przecież, skupiwszy w swych rękach tak ogromny zasób uprawnień, staje się jednocześnie aparat władzy żalosnym i bezwolnym niewolnikiem stworzonego przez siebie perpetuum mobile. Ta dramatyczna (a też i groteskowa) sprzeczność nie ujawnia się na ogół w dniu codziennym. Tryby maszyny, naoliwione biernością a nawet nadgorliwością wykonawców, działając na napędzie z mieszanki frazesów, kłamstw i przemilczeń poruszają się ciężko i niezgrabnie, rozpylając wokół opary biernej nudy, przecież się poruszają mniej więcej sprawnie. Lecz z punktu widzenia propagandy nasycającej społeczeństwo treściami ideowymi — w systemie totalnym dni codziennych bywa raczej mało. Totalizm na podobieństwo mitycznych smoków, spragnionych pięknych ciał i dziewic, i niewinnych młodzianków, potrzebują obchodów, rocznic, masówek, wieców, zorganizowanych powitań, akademii i zjazdów, niezbędna mu jest do utwierdzenia się we własnej sile atmosfera odświętna wśród sztandarów, przemówień, uchwał i rezolucji.

W miarę utrwalania się systemu totalnego rozległa sfera propagandy staje się wyrazem swoistej schizofrenii, której ulegać muszą wszyscy funkcjonariusze aparatu rządzącego, bez względu na to, z jakiego szczebla biurokratycznej drabiny władzę reprezentują. W ich kostniejących umysłach, zmuszonych okolicznościami do permanentnego działania według odgórných dyrektyw, rzeczywistość *ideowa* coraz natrętniej i skuteczniej usuwa w cień rzeczywistość *istniejącą*. Władzę totalną, podobnie, jak schizofrenika, pożera *fikcja*. Ale władza totalna musi tę fikcję podtrzymywać i umacniać, ponieważ tylko w fikcji przez siebie stworzonej (lub przy pomocy siły z zewnątrz narzuconej) może istnieć i rządzić. Atmosfera odświętna bardzo skutecznie w mniemaniu rządzącego aparatu podobną fikcję ożywia.

NIEDZIELA, 17 MAJA

Hierarchie świąt bywają różne. Na przykład większość zawodów posiada swoje doroczne Dni, więc: Nauczyciela, Lotnika, Marynarza, Leśnika, Hutnika, Górnika, Włókniarza, Pocztownica, Pszczelarza itd. itd. Podobne Dnie posiadają charakter ogólnopolski, lecz ich świąteczny charakter mobilizuje tylko ludzi jednego zawodu, zresztą i ranga ideowa poszczególnych Dni nie jest jednakowa. Dzień Hutnika czy Marynarza znajdują nieporównanie większy oddźwięk w środkach masowego przekazu aniżeli np. Dzień Pszczelarza.

Niebezpieczeństwo, Strach,
Władza

Władza, Kłamstwo, Święto,
Choroba

Święto

Na pierwszej stronie dzisiejszej „Trybuny Ludu” znajdują następujące wiadomości:

1) *Centralne obchody Dnia Budowlanych w Opolu* — Centralne obchody Dnia Budowlanych, jakie odbyły się w sobotę w Opolu, zapoczątkowało złożenie wieńców i wiązanek kwiatów na Górze św. Anny i w Mauzoleum Martyrologii Jeńców Wojennych w Łabinowicach. W godzinach popołudniowych uczestniczący w uroczystościach członek Biura Politycznego, przewodniczący CRZZ⁸¹, Ignacy Loga-Sowiński, minister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, Andrzej Giersz i przewodniczący Zarządu Gł. Zw. Zaw. Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, Feliks Papierniak, w towarzystwie gospodarzy województwa: I sekretarza KW PZPR⁸², Mariana Miśkiewicza i przewodniczącego Prezydium WRN⁸³, Józefa Busińskiego, odwiedzili otwartą w tym dniu wystawę ćwierćwiecza budownictwa Ziemi Zachodnich i Północnych (...). Centralnym punktem obchodów była akademie w opolskiej hali widowiskowo-sportowej, gdzie zgromadziło się kilka tysięcy przeszło milionowej rzeszy budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych. Po powitaniu uczestników przez Feliksa Papierniaka zabrał głos Ignacy Loga-Sowiński (...). W czasie akademii 51 zasłużonych pracowników budownictwa otrzymało odznaczenia nadane przez Radę Państwa. Uczestnicy akademii uchwalili list do I Sekretarza KC PZPR⁸⁴ Władysława Gomułki, w którym zapewniają, że nie będą szczędzić wysiłków dla polepszenia efektów ekonomiczno-produkcyjnych budownictwa.

2) *Święto polskiej wsi. Akademia w Krakowie w 75-lecie ruchu ludowego* — W sobotę, w przeddzień tradycyjnego Święta Ludowego odbyły się w Krakowie centralne uroczystości inauguracyjne obchodów 75-lecia powstania w naszym państwie zorganizowanego ruchu ludowego. Uczestniczyli w nim członkowie najwyższych władz partyjnych i państwowych oraz delegacje ZSL⁸⁵ z całego kraju.

3) *Na czele szerokiego frontu walki z pożarami. Dzień Strażaka* — W sali Filharmonii Narodowej odbyła się 16 bm. uroczysta akademie z okazji przypadającego w niedzielę Dnia Strażaka oraz dni ochrony przeciwpożarowej, które trwać będą do 24 bm. Na akademie przybyli: przewodniczący Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej KC PZPR, prezes NIK — Zenon Nowak, minister Spraw Wewnętrznych — Kazimierz Światała, sekretarz CK SD⁸⁶ — Leonard Hohensee, członek sekretariatu NK ZSL⁸⁷ — Feliks Starzec, zastępca kierownika Wydziału Administracyjnego KC PZPR — Aleksander Śliwierski. Na sali delegacje wojewódzkich komend straży pożarnej i zarządów okręgów wojewódzkich Związku Ochotniczych Straży Pożarnych. Na wielu piersiach widnieją rzędy najwyższych odznaczeń państwowych i bojowych — wielu aktywistów i zasłużonych pracowników straży to wczorajsi uczestnicy frontowych walk o wyzwolenie kraju i bojów partyzantycznych. Dziś stoją na pokojowym froncie walki z żywiołem pochłaniającym rocznie setki ofiar, wyrządzającym milionowe szkody (...).

4) *Z ich pracy korzystamy na co dzień. Akademia pracowników komunalnych w Szczecinie* — Ponad 400-tysięczna rzesza pracowników gospodarki komunalnej obchodziła w sobotę swoje doroczne święto. Na centralne uroczystości, które odbyły się w Szczecinie, przybyli z całego kraju zasłużeni pracownicy gospodarki komunalnej, a wśród nich duża grupa pionierów odbudowy w pierwszych latach po wyzwoleniu. W godzinach popołudniowych w szczecińskim Domu Sportu odbyła się centralna akademie (...).

Zaś na dalszych stronach:

5) *Dzień Działacza Kultury. Obchody w całym kraju* — W wielu miejscowościach kraju obchodzono w sobotę Dzień Działacza Kultury, stanowiący już od lat tradycyjny punkt programu Dni Oświaty, Książki i Prasy. W Poznaniu w obchodach Dnia uczestniczył kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, Wincenty Kraśko, który spotkał się z dziennikarzami rozgłośni Polskiego Radia i Ośrodka Telewizyjnego oraz z przedstawicielami

⁸¹CRZZ — Centralna Rada Związków Zawodowych, naczelny organ zarządzający i reprezentacyjny Zrzeszenia Związków Zawodowych (ZZZ); istniała od 1949 do 1980 r., kiedy to w grudniu wszystkie związki zawodowe wystąpiły ze zrzeszenia. [przypis edytorski]

⁸²KW PZPR — Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. [przypis edytorski]

⁸³WRN — Wojewódzka Rada Narodowa. [przypis edytorski]

⁸⁴KC PZPR — Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. [przypis edytorski]

⁸⁵ZSL — Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. [przypis edytorski]

⁸⁶CK SD — Centralny Komitet Stronnictwa Demokratycznego. [przypis edytorski]

⁸⁷NK ZSL — Naczelny Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. [przypis edytorski]

załóg fabrycznych, wziął on również udział w uroczystości wręczenia nagród i odznaczeń zasłużonym działaczom kultury.

6) *Nagrody Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa* — W Warszawie odbyła się w sobotę uroczystość wręczenia dorocznych nagród Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich grupie dziennikarzy publicystów oraz redakcjom szczególnie zasłużonym w popularyzacji tematyki związanej z ukazywaniem wyzwoleniczej walki narodu w latach 1939–1945.

7) *Tęgoroczne obchody Dni Morza* — Właściwa dekada Dni Morza przypada w tym roku na 21–30 czerwca, niemniej wiele imprez odbędzie się wcześniej. Dotyczy to przede wszystkim masowych imprez z udziałem młodzieży uczącej się, na którą program obchodów zwraca szczególną uwagę. Przypadające w tym roku 50-lecie szkolnictwa morskiego i 25-lecie rozwoju obronnych sił morskich PRL nadaje Dniom Morza 1970 charakter jeszcze bardziej uroczysty. W dniu 26 czerwca, w przeddzień Dnia Marynarki Wojennej, odbędzie się w Gdyni wielka parada morska i lotnicza. Centralne obchody zostaną skoncentrowane w Szczecinie i tam odbędzie się tradycyjna akademicka w dniu 20 czerwca.

Wciąż porządkowanie notatek do III części *Miazgi*. Od kilku dni pogodnie, ale chłodno. Przyszło zaproszenie z Wiednia. Powrót do lektury monografii Johna Todda o Lutrze.

W jednym z zeszytów z notatkami natrafiłem na zdanie z *Doktora Faustusa*: „Daleki jestem od zaprzeczania powadze sztuki, lecz kiedy sprawa staje się poważna, gardzimy sztuką i nie jesteśmy do niej zdolni”. Niestety, zupełnie nie pamiętam, z którego fragmentu przepisałem tę myśl.

PONIEDZIAŁEK, 18 MAJA

Totalizm kocha się w historii ojczystej, najbardziej jednak rozmiłowany jest w tych kartach historii, które sam fałszuje, aby swoje wyobcowanie z narodu ukryć poza maskami kłamliwie mitologizowanych dziejów. Totalizm bardzo dobrze zdaje sobie sprawę, iż fikcję może stworzyć tylko słowo mówione lub drukowane, stąd nieomal magiczna wiara aparatu rządzącego w słowo, niepohamowana potrzeba mówienia, mówienia i jeszcze raz mówienia, także lęk przed słowem, które sprzeciwia się i protestuje, lęk przeobrażający się nieraz w histerię, wreszcie przeświadczenie, że jeśli się coś przemilcza, to tego nie ma.

Władza, Historia, Ojczyzna,
Patriota, Fałsz, Słowo,
Przemoc

Ostatnia, o ile mi wiadomo, informacja publiczna o zbrodni katyńskiej, datuje się z roku 1959, można ją znaleźć w Małej Encyklopedii Powszechnej pod hasłem: *Katyni*, miejscowość w okręgu smoleńskim RFSRR⁸⁸, miejsce masowych grobów kilku tysięcy oficerów polskich internowanych od 1939 w ZSRR, a wymordowanych przez hitlerowców po zajęciu tych terenów”. W V tomie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej z roku 1964 hasło: *Katyni* już nie zostało uwzględnione. Skoro ze względu na zbyt oczywistą świadomość opinii publicznej kłamać dalej nie można, a na dyktaturę stalinowską, winną tej zbrodni ludobójstwa, wskazać się nie chce, wówczas się milczy. W fikcji, obowiązującej w Polsce, Katynia nie ma. Opowiadał mi przed paroma laty młody nauczyciel historii, poza tym wychowawca przedostatniej klasy licealnej, iż uczniowie, którzy go lubią, nigdy mu nie zadają pytań drastycznych, skoro zaś on sam zmuszony jest, zgodnie z programem, mówić nieprawdę, odczuwa to w sposób przykry, lecz pociesza go świadomość, iż uczniowie wiedzą, że on zdaje sobie sprawę, iż oni wiedzą, że on z prawdą się rozmija. Nie moja wina, że to zdanie jest tak zawile, to życie w narzuconej odgórnej fikcji jest w sposób zawily pokręcone.

Nauczyciel, Uczeń,
Historia, Władza, Przemoc,
Prawda

Wracając do świąt: dopiero obchody rangi najwyższej o charakterze ogólnopolskim, związane szczególnie mocno z totalną ideologią, a więc dzięki swojej specyfice sta-

Święto, Władza

⁸⁸RFSRR — Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka, utworzona 8 listopada 1917 r. po obaleniu rządu Aleksandra Kiereńskiego; nazwa nowo powstałego państwa kierowanego przez bolszewików została przyjęta w 1918, po wejściu w życie konstytucji; stolicą RFSRR był początkowo Piotrogród, następnie Moskwa (przeniesienie nastąpiło w związku z ofensywą armii niemieckiej w lutym 1918). W 1922 r. Rosyjska FSRR, Ukraińska SRR, Zakaukaska FSRR i Białoruska SRR zjednoczyły się, tworząc Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR), istniejący do grudnia 1991 r.; po rozwiązaniu ZSRR, RFSRR, najważniejsza

nowiące okazję do podjęcia wzmożonej ofensywy „dreszczy”, dopiero teraz takie uroczystości, zawsze bardzo starannie zaplanowane w czasie i w przestrzeni, obnażają okrutnie i groteskowo, jak aparat rządzący jest niewolniczo bezsilny wobec własnych poczynań, i jak wyniki tych poczynań osiągają efekt wręcz odwrotny od zamierzonego.

Zakończone w ubiegłym miesiącu obchody 100-letniej rocznicy urodzin Lenina zaczęły się przed wieloma miesiącami i powoli, lecz systematycznie rosły, jak lawina, w szczytowym momencie osiągając rozmiary katastrofy, okrutnie zwracając się ku sprawcom tego bezprzykładnego zanudzenia wszystkich osobą Lenina, jego samego również w konsekwencji dyskredytując i ośmieszając.

Nie ukrywam sympatii i zainteresowania, jakie zawsze we mnie budziły i budzą krążące po mieście i Polsce kawały. Wiele z nich jest płaskich i tylko ordynarnych, lecz wiele niosących w obrazowych skrótach bardzo celne i finezyjne rozeznanie w rzeczywistości. Wydaje od się, że w naszych czasach, zwłaszcza w warunkach ograniczonej wolności słowa, uliczna anegdota, żart, dowcip, kpiący śmiech, cierpka, szydercza ironia są w pewnym sensie odpowiednikiem prastarej twórczości ludowej, pojmującej akt inwencji sytuacyjnej i słownej, jako jeden z elementów zabawy i jak ona, do której rzeczywistych źródeł nie możemy już zawrócić, powstającej raczej zbiorowo, z kontaktów towarzysko-knapiarsko-biurowych, z samej istoty ludzkiego instynktu zabawy, lecz — tu i teraz — z gorzką i upartą domieszką zdrowego instynktu sprzeciwu. Bardzo wiele podobnych kawałów w związku ze 100-letnią rocznicą urodzin Lenina krąży od wielu miesięcy po Polsce. Darowałbym sobie dość prymitywny kawał, w którym przewodnik oprowadzający wycieczkę po muzeum Lenina w Poroninie zatrzymuje się w pewnym momencie przed skromnym łóżkiem i powiada: to tu towarzysza Krupska — dawała Leninowi dupska. Też i tę historyjkę, choć dość charakterystyczną: pewnego wieczoru na Pałacu Kultury i Nauki zapalił się ogromny neon — SRUL, a to imię, tradycyjnie w Polsce określającego małego, wstrętnego Żydka, należy odczytać: Stuletnia Rocznicą Urodzin Lenina. Lecz rzeczywiście w inteligentnym skrócie efekt propagandy został pokwitowany w małym opowiadanku o twórczym pomysle jednej z naszych wytwórni sprzętu meblarskiego, która z okazji 100-lecia urodzin Lenina zaprojektowała i na rynek wypuściła nowe, trzyosobowe tapczany małżeńskie pod hasłem: Lenin między nami!

Czy muszę wspominać, że w tygodniu szczytowym nawet pisma tak specjalistyczne, jak dwutygodnik „Rozrywka” ogromną ilość swoich szarad, rebusów i krzyżówek poświęcił hasłom związanym z osobą Lenina i z Rewolucją Październikową?

Już pod koniec kwietnia doszły do mnie jak najbardziej wiarygodne wiadomości, że niektóre dzielnicowe instancje partyjne odwołały szereg pomniejszych leninowskich akademii terenowych, tłumacząc poufnie to zarządzenie argumentacją, że na niektórych imprezach poprzednich publiczność reagowała w sposób niewłaściwy.

Lecz mnie w tej chwili nieoczywiste i zdrowe reakcje uczestników owych małych, lokalnych akademii obchodzą, więc reakcje ludzi, których przez kilka miesięcy wszystkie środki masowego przekazu przekarmiały Leninem, Rewolucją Październikową i Związkiem Radzieckim jak gęś intensywnie tuczona. Rola aparatu władzy interesuje mnie przede wszystkim w tej paradoksalnej sytuacji. Aparat władzy! Nie zdawali sobie sprawy, nie przewidzieli, co z tego gigantycznego nadużycia słowa wyniknie? Byliby chudymi głupcami, gdyby tak mniemali. Lecz wciąż mi się wydaje, że kierowniczy aparat władzy totalnej nie w tak niskich i wulgarnych rejonach egzystuje. Raczej skłonny jestem myśleć o wielu spośród nich, jak o ludziach zasługujących w pewnym sensie na współczującą litość, bo naznaczonych dość szczególnym dramatem: sprawują władzę, lecz muszą się z nią męczyć, jak Syzyf ze swoim głazem; ograniczając wolność rządzonych — sami ze skąpej wolności korzystają; działając w fikcji — nie mogą bez niej istnieć, ponieważ udusiliby się, jak człowiek w księżycowej próżni, wyluskany z życiodajnego skafandra, więc muszą podtrzymywać i umacniać fikcję, zatracając powoli rozeznanie, co prawdą jest, a co nią nie jest, obrońnięci fikcją, jak zwierzęta sierścią, samotni, prawie ponad ludzką miarę wytrzymałości samotni, tylko i wciąż pomiędzy sobą, na naradach, konferencjach, odpra-

Zabawa, Lud, Żart

Władza, Samotność, Fałsz

republika Związku (największa pod względem zajmowanej powierzchni i liczby ludności), uzyskała odrębność państwową i zmieniła nazwę na Federacja Rosyjska – Rosja. [przypis edytorski]

wach, akademiach, wiecach i przyjęciach. Zawsze tylko między sobą, porozumiewający się umownym językiem fikcji, przemawiający językiem fikcji i słuchający języka fikcji.

Odnoszę niejednokrotnie wrażenie, że ci z punktu widzenia elementarnego ludzkiego miłosierdzia ludzie nieszczęśliwi, podejmując szereg decyzji, zdają sobie sprawę, iż nic z tego dobrego wyniknąć nie może, jednak wbrew owej świadomości uchylić się przed decyzją nie mogą, ponieważ krok taki oznaczałby uszkodzenie fikcji, zwane w języku partyjnym rewizjonizmem. Zbliża się, dajmy na to rocznica leninowska. Można jej na największą miarę nie uczynić? Nie można. A jeśli nie można, trzeba uruchomić cały podległy aparat, aby sprostał zadaniu. I już w tym momencie decyzja zmienia się nieuchronnie w groźną lawinę. Po wszystkich szczeblach drabiny partyjno-rządowej muszą pójść okólniki i dyrektywy, w stan alarmu i pogotowia postawione zostają wszystkie stowarzyszenia, związki, organizacje, zakłady pracy, urzędy, instytucje, szkolnictwo, oczywiście w pierwszym rządzie: prasa, radio i telewizja. Nic już działania tej maszyny nie może zahamować. A ponieważ w ustroju totalnym nie istnieje i istnieć nie może inna inspiracja ideologiczna, aniżeli ta, która wynika z wierzchołka władzy — dyrektywy partyjne, przekazywane z góry na dół, zawierają w swych wskazówkach szczególnie intensywną siłę pobudzającą. Stan znużenia, wymieszany ze strachem i niepewnością oraz troską o byt i karierę, na podobieństwo kobiety starzejącej się bez mężczyzny, sprawia, iż bardzo wielu ludzi i to nie tylko z aparatu przyjmuje odgórny apel z gorliwością, która ma w sobie niekiedy coś z uczuć ulgi i wdzięczności. Znam osobiście wielu ludzi skądinąd wartościowych, którzy natarczywie marzą, aby ich władza chędożyła. Najinteligentniejsi spośród nich unikają przy podobnych sytuacjach słowa *Władza*, zastępując je słowami *Historia* lub *Ojczyzna*.

Władza, Historia, Ojczyzna

Jeśli o mnie chodzi, muszę wyznać, że w swoim czasie i przez kilka lat spałem z *Władzą*, nie z *Historią* lub *Ojczyzną*, lecz właśnie z *Władzą* i w tym miłosnym związku było mi bardzo dobrze, czułem się zdrowo i szczęśliwie. Więcej: kto wie, czy romans z *Partią* nie był jedyną udaną miłością moim życiu. Że dobrze się nie rozstaliśmy, to fakt. Dalsze nasze stosunki też się kiepsko układały. A teraz wszystko to wygląda dość zakalcowato. Ale kiedyśmy się kochali! To znaczy, skromniej się wyrażając: kiedy ja się kochałem z niejaką wzajemnością. Właśnie! Czemu więc po czterech latach harmonijnego współżycia poczęłem odchodzić i romans zakończył się wreszcie gwałtownym zerwaniem?

Od dawna planowałem, że w III części *Miazgi* będzie o tych sprawach mówić Nagórski, kiedy to na skutek zerwania w ostatniej nieomal chwili małżeństwa Konrada Kellera z Moniką Panek — na obiedzie „ślubnym” u siebie w domu znajdzie się sam na sam z Haliną Ferens-Czaplicką. Lecz wciąż opory przed wejściem w tę III część.

ŚRODA, 20 MAJA

Umarł Tadeusz Breza.

CZWARTEK, 21 MAJA

Śniadanie w „Bristolu” z Claudem Gallimardem i jego współpracowniczką, Catherine von Bülow, tuż przed ich odlotem do Paryża.

Po południu Natalia B. przed ostatecznym opuszczeniem Warszawy.

WTOREK, 26 MAJA

Krótko z Karlem Dedecusem, a potem bardzo interesujący obiad z współpracownikiem Suhrkap Verlag, Dieterem Hildebrandtem.

PIĄTEK, 29 MAJA

W ostatnich dniach kilkanaście nowych *Życiorysów*, mam ich w tej chwili około osiemdziesięciu. Zmęczenie.

SOBOTA, 30 MAJA

Cały dzień praca: życiorys Romana Gorbatego.

PIĄTEK, 5 CZERWCA

Zbyt przez ostatnie dni zmęczony i w zlej pod każdym względem kondycji, żeby coś robić. Ale nie chce mi się więcej na ten temat pisać.

Wieczorem w Teatrze Współczesnym na *Play Strindberg* Dürenmatta, w reżyserii i scenografii Andrzeja Wajdy. Niezła, a chwilami, dzięki błyskotliwej reżyserii, doskonałej grze i ostremu dialogowi, zabawa prawie świetna, lecz że wesoły relaks — trochę w związku z tym złośliwo-melancholijnych refleksji na temat ciągłego przetasowywania (nie przemian!) ludzkiej wrażliwości, która pewne zespoły uczuć, pozawczoraj przeżywanych serio i dramatycznie, dzisiaj przyjąć może tylko w konwencji zabawowej.

PONIEDZIAŁEK, 8 CZERWCA

Po bardzo chłodnym i deszczowym maju dopiero od kilku dni pogodnie, zresztą mało co, a właściwie nic z tej wiosny nie miałem, nawet kwitnących kasztanów i bżów nie widziałem ani razu.

Dzisiaj zakończyłem pracę nad *Życiorysami*, lecz żadnej z tego powodu ulgi, satysfakcja też nikła, wciąż mi się wydaje, że wielu życiorysom daleko do tego, czym by mogły być, gdybym miał więcej wiedzy, doświadczenia i inwencji. Na razie, gdy są uporządkowane alfabetycznie, lecz na oddzielnych stronicach i półstronach, a w wielu wypadkach na wąskich skrawkach — trudno mi się zorientować, ile miejsca zabiorą po przepisaniu tekstu. Chyba gdzieś koło 40–50 stronic.

ŚRODA, 9 CZERWCA

Wczoraj i dzisiaj poprawianie oraz uzupełnianie *Życiorysów*.

CZWARTEK, 10 CZERWCA

Od paru dni burzowy niż: pochmurno i parno, dzisiaj, nawet po mocnych kawach, nie mogłem się wydobyć z sennej bezsilności, cały dzień stracony.

Burza

INTERMEDIUM CZYLI ŻYCIORYSY *ALLA POLACCA*

CZAPLICKA EMILIA — ur. 16 VIII 1887 w Warszawie, córka Ignacego Nagórskiego i Zofii z Mentzlów. Wcześniej, bo w czwartym roku życia osierocona, wychowana była, wraz ze swym starszym bratem Janem, przez ciotkę, Jadwigę Mentzel. W roku 1904 ukończyła pensję pani Tymińskiej. Grała na fortepianie, trochę amatorsko malowała, miała ładny głos. W sierpniu 1906 roku, akurat w przeddzień swoich urodzin, bawiąc z ojcem na wakacjach w Nałęczowie, na przedstawieniu teatru amatorskiego, który wystawił w szopie „Na Pałubach” fragmenty III części *Dziadów*, poznała młodego malarza, Krzysztofa Woytowicza. Po latach, w *Snobizmie i postępie* Stefan Żeromski tak to przedstawienie wspominał: „Grono rzemieślników, ludzi najprostszych, ledwie umiejących czytać, grało *Dziadów część trzecią*, co prawda po półrocznym ćwiczeniu ich przez doskonałego kierownika, rzeźbiarza Gardeckiego — w szopie na polu, przeznaczonej w normalnym porządku rzeczy na skład kartofli, grało w sposób niezrównany, wywierający głębokie wrażenie na widzach tej miary, co Bolesław Prus, Ignacy Matuszewski, mec. Ignacy Nagórski”. W parę dni później Woytowicz musiał wracać do Krakowa, więc na razie zawiązała się pomiędzy młodymi ożywiona korespondencja, ale już w listopadzie Woytowicz zjawił się w Warszawie i spotkał się z Emilią na odczycie Bolesława Prusa *O szczęściu* w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Jednak uczucie Emilii spotkało się ze stanowczym sprzeciwem ze strony ojca, Emilia parokrotnie myślała o ucieczce z domu, brakło jej jednak odwagi, aby się na podobny krok zdobyć, wreszcie uległa ojcowskiej woli i z Woytowiczem zerwała. Gdy w roku następnym Ignacy Nagórski, liczący wówczas sześćdziesiąt lat, poznał Marię Kellerównę i nieoczekiwanie dla szerokiego kręgu swoich przyjaciół i znajomych wziął z nią ślub z początkiem roku 1908, Emilia, chcąc opuścić dom rodzinny, przyjęła oświadczenia Olgerda Czapllickiego, lekarza z Krakowa i wyszła za niego za mąż jesienią roku 1908.

W latach 1908–1919 mieszkała w Krakowie i tam urodziła troje dzieci: Jerzego (ur. 1910), Andrzeja (ur. 1913) oraz Halinę (1917). W roku 1919, gdy Olgierd otrzymał propozycję objęcia katedry na Uniwersytecie Warszawskim, Czapliccy przenieśli się do Warszawy, mieli duże i wygodne mieszkanie na Smolnej. W roku 1921 urodził się ostatni syn Czaplickich: Krzysztof.

Wzorowa żona znakomitego lekarza i najlepsza matka czworga bardzo udanych i świetnie się rozwijających dzieci, Emilia przeżyła prawie dwadzieścia lat domowego szczęścia. Wspomnienie dziewczęcej miłości już w niej przybladło i czasem tylko te lata w niej się odzywają, gdy zajdzie niekiedy do Muzeum Narodowego i tam wśród kilkunastu płócien Woytowicza odnajdzie słynny *Portret młodej dziewczyny*. Dopiero wojna rujnuje życie Emilii. Jerzy, schwytany w ulicznej łapance — zostaje jako zakładnik rozstrzelany w listopadzie 1943, dochodzą zrazu mgliste, a potem całkiem już pewne wiadomości, że Andrzej zginął w obozie jenieckim w Katyniu, najukochańszy ze wszystkich dzieci, Krzysztof, wciąż jest narażony na niebezpieczeństwo. Czwartego dnia powstania Krzysztof zginął na placu Teatralnym, a 6 sierpnia dr Olgierd Czaplicki wraz z wieloma innymi lekarzami i pacjentami został zastrzelony przez Niemców na terenie Szpitala Wolskiego.

Po powstaniu, spotkawszy przyrodniego brata, Adama, mieszkała w Podkowie Leśnej, a później w Konstancinie wraz ze swoją macochą i rówieśniczką, Marią Nagórską. Jedyne co z domu na Smolnej wyniosła, to część rękopisów Krzysztofa i trochę po nim pamiątek. Długo zresztą w śmierć najmłodszego syna nie chciała wierzyć, dopiero ekshumacja zwłok Krzysztofa przekreśliła w niej wszelką nadzieję. W roku 1949 otrzymała małe mieszkanie na nowo zbudowanym Mariensztacie.

CZAPLICKA-FERENS HALINA — ur. 23 IV 1917 w Krakowie, córka Olgierda Czaplickiego i Emilii z Nagórskich. Pensję im. Żmichowskiej ukończyła w 1935 w Warszawie. Studia wokalne w warszawskim Konserwatorium, uczennica Adama Didura. Jej debiut w roli Carmen był rewelacją warszawskiego sezonu operowego 1938/39. Wczesną wiosną 1939 wyjechała do Paryża i dzięki rozległym stosunkom swego ciotecznego dziadka, bardzo już sędziwego Władysława Nagórskiego, wystąpiła z początkiem roku 1940 w Operze Paryskiej w *Carmen* i w roli Jokasty w *Królu Edypie* Strawińskiego. Te dwie role, entuzjastycznie ocenione przez krytykę i publiczność, otworzyły przed nią drogę do kariery światowej. Za namową amerykańskiego impresaria, Egona Ferensa, wyjechała z początkiem kwietnia do Stanów Zjednoczonych. W październiku razem z Beniaminem Gigli wystąpiła w Metropolitan Opera, w *Carmen*, pod dyrekcją Toscaniniego. Przyjęcie, z jakim się spotkała ze strony krytyków, było jeszcze gorętsze niż w Paryżu. W ciągu dosłownie kilku dni Halina Czaplicka wyrosła na gwiazdę operową pierwszej wielkości. Została na stałe zaangażowana do Metropolitan Opera. Występowała również w latach wojennych w Buenos Aires i w Rio de Janeiro. W roku 1942 wyszła za mąż za Egona Ferensa. Po wojnie Ferensowie przenieśli się na stałe do Londynu. Przez dwa sezony Halina Ferens-Czaplicka śpiewała w Covent Garden, w roku 1950 odbyła tournée po Australii. Do najwybitniejszych jej operowych ról obok Carmen należą: partia Jokasty w *Królu Edypie* Strawińskiego, Oktawiana w *Kawalerze Srebrnej Róży* Ryszarda Straussa oraz Klitajmestry w *Elektrze* i Herodiady w *Salome*, Dalili w *Samsonie i Dalili* Saint-Saënsa, Chłopca w *Dziecko i czary* Ravela, Judyty w *Zamku księcia Sinobrodego* Bartoka oraz Marty w *Nizinach* D'Alberta. Znakomita wykonawczyni arii Bacha i Haendla oraz pieśni Schuberta, Schumana i Mahlera.

Po śmierci męża w roku 1958 Halina Ferens-Czaplicka zlikwidowała dom w Londynie i przeniosła się na stałe do Paryża. Z początkiem lat sześćdziesiątych poczęła ograniczać powoli występy operowe, stając się przede wszystkim śpiewaczką estradową.

CZAPLICKI ANDRZEJ (1913–1941) — ur. 12 IX 1913 w Krakowie, syn Olgierda Czaplickiego i Emilii z Nagórskich. W bardzo wczesnym wieku przejawiał nieprzeciętne zdolności matematyczne. W roku 1930 ukończył gimnazjum im. Jana Zamojskiego w Warszawie, następnie wydział matematyczny na Uniwersytecie Warszawskim. Asystent prof. Wacława Sierpińskiego. Publikował swoje prace (od 17. roku życia) w „*Fundamenta Mathematicae*” i w lwowskich „*Studia Mathematica*”.

W czasie kampanii wrześniowej dostał się do niewoli radzieckiej i w roku 1940 zginął w Katyniu.

CZAPLICKI JERZY (1910–1943) — ur. 14 II 1910 w Krakowie, syn Olgierda i Emilii Czaplickich. Zapowiadał się jako wybitny chirurg. Schwytany w ulicznej łapance w październiku 1943 roku, w listopadzie został rozstrzelany na Nowym Świecie, jako zakładnik.

CZAPLICKI KRZYSZTOF, pseud. KAMIL PORAJ, KAMIL (1921–1944) — ur. 22 I 1921 w Warszawie, syn Olgierda Czaplickiego i Emilii z Nagórskich. W 1939 ukończył gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie. W czasie okupacji studiował filozofię na konspiracyjnych kompletach, organizowanych przez prof. Henryka Wanerta, Pod pseudonimem Kamil Poraj ogłaszał wiersze w podziemnych antologiach: *Werble wolności*, *Pieśń niepodległa* (współredaktor Adam Nagórski), *Słowo prawdziwe*, oraz we własnych tomikach: *Chmura z miedzi* (1940), *Pieśń o ciemności* (1941), *Ogień znaczeń* (1942), *Wiersze* (1942), *Ciężka sława* (1944). Obok Krzysztofa Baczyńskiego, Tadeusza Gajcego i przebywającego w obozie oświęcimskim (od 1943) Tadeusza Borowskiego, uważany za jednego z najwybitniejszych poetów najmłodszego pokolenia.

Mimo wątku zdrowia wstąpił w lecie 1943 do Harcerskich Grup Szturmowych. Przeszedł pełne konspiracyjne przeszkolenie bojowe, z tytułem podchorążego kończąc Szkołę Podchorążych. Pseudonim konspiracyjny przybrał sobie „Kamil”. Należał do Harcerskiego Batalionu Szturmowego „Zośka”, a na parę miesięcy przed wybuchem Powstania Warszawskiego przeniesiony został do bratniego batalionu harcerskiego „Parasol”, obejmując w nim funkcję zastępcy dowódcy plutonu. Brał udział w kilku akcjach bojowych. Zginął w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego, 4 sierpnia, w czasie ostrzeliwania przez Niemców pałacu Blanka na placu Teatralnym.

Po wojnie liczne wiersze Czaplickiego drukowane były w prasie oraz w antologiach poświęconych poezji okupacyjnej. Wybór wierszy pt. *Ciężka sława* ukazał się w 1955. Całość spuścizny po Krzysztofie Czaplickim zgromadził prof. Kazimierz Wnuk i z początkiem roku 1969 opublikował ją w tomie ponad tysiącstronicowym *Utwory zebrane*.

CZAPLICKI OLGIERD (1876–1944) — ur. 18 V 1876 w Irkucku, gdzie jego ojciec, Leon Czaplicki, właściciel majątku ziemskiego pod Grodnem, przebywał po Powstaniu Styczniowym na zesłaniu. Po śmierci Leona Czaplickiego (1880) matka Olgierda, Eliza z Wołytyłów, osiedliła się w Krakowie. Tam Olgierd ukończył gimnazjum św. Anny, a następnie wydział medyczny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Najpierw asystent profesora Gluzińskiego, potem docent i od roku 1910 profesor Jagiellonki. W roku 1908 ożenił się z Emilią Nagórską. W roku 1919 otrzymał katedrę na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1920 członek Polskiej Akademii Umiejętności. Wieloletni ordynator Szpitala Dzieciątka Jezus, w czasie okupacji ordynator Szpitala Wolskiego.

Internista i patolog, od czasów Tytusa Chałubińskiego i Władysława Gluzińskiego jeden z najwybitniejszych polskich internistów, znakomity diagnosta, klinicysta i pedagog. Ogłosił liczne prace ze wszystkich prawie dziedzin patologii i medycyny wewnętrznej. Najważniejsze dotyczą chorób żołądka (zwłaszcza praca *O wczesnym rozpoznaniu raka żołądka*, 1912), chorób układu krwionośnego, nerek, dróg żółciowych, serca. Autor monumentalnej pracy *Choroby wewnętrzne*, 1934.

Zginął 6 VIII 1944 roku wraz z wieloma innymi lekarzami i pacjentami rozstrzelanymi przez Niemców na terenie Szpitala Wolskiego.

FERENS EGON (1898–1958) — ur. 30 IX 1898 w Przemyślu, syn właściciela restauracji, z pochodzenia Węgra, Rudolfa Ferensa i Polki, Jadwigi z Krauzów. W mieście, w którym w owych czasach stacjonował silny garnizon austriacki, a w nim wielu oficerów i żołnierzy Węgrów — restauracja Ferensa cieszyła się dużym powodzeniem. Niestety skłonność do szerokiego trybu życia oraz pociąg do hazardu doprowadziły Rudolfa Ferensa do ruiny. Po samobójstwie męża w roku 1912 wdowa wraz z Egonem wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie od paru lat przebywał starszy syn, Karol (ur. 1892), skrzypek w restauracji węgierskiej w New Yorku.

Wkrótce po przybyciu do Stanów Egon Ferens, mając piętnaście lat i żadnego prawie unormowanego wykształcenia, rozpoczął samodzielne życie. Obdarzony po ojcu pewną żyłką do awanturnictwa, bardzo bystry i zdolny, a poza tym ponad swój wiek dojrzały i pełen osobistego uroku — przemierzał w ciągu kilku lat i w najrozmaitszych oko-

licznościach ogromne przestrzenie Stanów, rzadko kiedy dłużej się w jednym miejscu zatrzymując i wciąż zmieniając zajęcia. Był m.in. gońcem w dużym dzienniku chicagowskim, lift-boyem⁸⁹ w hotelu w Nowym Orleanie, pracował na rancho w Teksasie, tańczył czardasza w podrzędnym nocnym lokalu w San Francisco, współpracował przez pewien czas na Zachodnim Wybrzeżu z gangiem przemytników opium i haszyszu, przez pół roku w charakterze sekretarza osobistego towarzyszył bogatemu Anglikowi podróżującemu po Stanach. Pod koniec roku 1918 znalazł się w Los Angeles, gdzie rozpoczął karierę od statystowania, przechodząc następnie do działu organizacyjnego wytwórni Paramount. W roku 1925 był już właścicielem samodzielnej agencji w Hollywood i impresariem, reprezentującym interesy kilku gwiazd i gwiazdorów. W roku 1926 ożenił się ze znaną aktorką, Głorią Morre, wkrótce się z nią jednak rozszedł i mając dość osiadłego życia, jak i atmosfery Hollywood, przeniósł się do New Yorku, stając się w połowie lat trzydziestych jednym z najgłośniejszych w skali międzynarodowej agentów artystycznych, impresariem znanym z nieomylnie szczęśliwej ręki, specjalizującym się w odkrywaniu i lansowaniu talentów jeszcze na giełdzie światowej nieznanymi. Stale w podróżach, większą część roku spędzając w Europie — z początkiem 1940 usłyszał w Operze Paryskiej Halinę Czaplicką, śpiewającą Carmen oraz Jokastę w *Królu Edypie* Strawińskiego. Zachwycony mezzosopranem młodej polskiej śpiewaczki oraz jej urodą i urokiem osobistym, zdołał ją nakłonić (młodzieńczy czas mimo przekroczonej czterdziestki wciąż go jeszcze nie opuścił), aby wobec coraz groźniejszej sytuacji politycznej wyjechała z nim natychmiast do Stanów. Dotrzymał obietnicy, jaką przed wyjazdem złożył śpiewaczce. Jego to przede wszystkim nazwisku, wpływom i stosunkom zawdzięczała olśniewający debiut: w październiku 1940 w Metropolitan Opera, gdy miała możliwość zaśpiewać w *Carmen* razem z Beniaminem Gigli i pod dyrekcją Artura Toscaniniego.

W roku 1941 Egon Ferens ożenił się z Haliną Czaplicką.

Zarówno w czasie wojny, jak i po wojnie towarzyszył jej we wszystkich podróżach artystycznych.

Zmarł 28 V 1958 w Madrycie, na aneuryzm serca.

FORMIŃSKI ANTONI — ur. 7 VI 1914 we Lwowie, syn nauczyciela gimnazjalnego, polonisty, Kazimierza Formińskiego i Ludwiki z Abakanowiczów. Do gimnazjum uczęszczał we Lwowie, w latach 1932–1936 studiował historię na uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Od 1934 członek Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. W latach 1936–1938 brał udział w domowej wojnie w Hiszpanii, m.in. w XIV Brygadzie Międzynarodowej, którą dowodził generał Karol Świerczewski. Od 1938 przebywał we Francji, członek Francuskiej Partii Komunistycznej. W czasie okupacji brał udział w Ruchu Oporu na terenie Francji i Belgii.

Po powrocie do kraju w lecie 1945 objął funkcję dyrektora Departamentu Prasowego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W roku 1946 ożenił się z Ireną Wają, wdową po pułkowniku Armii Polskiej, straconym w 1944 w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, matką trzyletniego podówczas Andrzeja.

W latach 1947–1950 ambasador w Szwecji. Odwołany z tego stanowiska z końcem 1950 roku w związku z aresztowaniami przeprowadzonymi wśród byłych kombatantów wojny domowej w Hiszpanii, przesłuchiwany był wielokrotnie przez władze bezpieczeństwa i choć uniknął uwięzienia — przez kilka lat pozostawał na marginesie życia politycznego, sprawując w okresie 1951–1955 funkcję dyrektora Biblioteki Sejmowej. W roku 1955 objął stanowisko dyrektora Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Od roku 1960 przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Na II Zjeździe PZPR w 1959 wybrany członkiem Komitetu Centralnego.

Z żoną Ireną ma córkę, Krystynę (ur. w 1948 w Sztokholmie), obecnie studentkę Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

⁸⁹lift-boy (ang.) — windziarz; chłopiec obsługujący windę dla gości hotelowych. [przypis edytorski]

GORBATY ROMAN — ur. 17 V 1924 w Grodnie, syn urzędnika bankowego, Konstantego Gorbatego i Zofii z Rakowskich. Po wywiezieniu rodziców przez władze radzieckie na wschód z początkiem roku 1940 znalazł zatrudnienie jako pracownik fizyczny w teatrze, który znakomity aktor i reżyser, Aleksander Węgielko założył na wschodnich terenach Polski, zajętych we wrześniu roku 1939 przez Związek Radziecki. W połowie roku 1941, gdy te ziemie, natychmiast po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, dostały się pod okupację hitlerowską — siedemnastoletni Roman przedostał się wraz z paroma warszawskimi aktorami do Warszawy. Zdał w 1943 maturę na tajnych kompletach nauczania. Żołnierz Armii Krajowej. Brał udział w wielu akcjach bojowych — walczył w Powstaniu Warszawskim. Po upadku powstania znalazł się w obozie jenieckim w Murnau, gdzie zetknął się z największym polskim reżyserem teatralnym lat międzywojennych, Leonem Schillerem. Już wówczas twórca nowoczesnego polskiego teatru monumentalnego, organizując obozowe życie teatralne, zainteresował się młodym chłopcem, niezwykle inteligentnym i wykazującym ogromne wyczucie sceny. Gorbaty towarzyszył Schillerowi, gdy ten po wyzwoleniu w 1945 kierował przez kilka miesięcy Teatrem Ludowym im. Bogusławskiego w Lingen, w Dolnej Saksonii. Również z Leonem Schillerem wrócił do kraju w grudniu 1945.

W latach 1946–1949 asystent Leona Schillera, podówczas dyrektora Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. Niewątpliwie w tych właśnie latach bliskiej współpracy z Schillerem i pod jego wpływem kształtował się przyszły teatr Gorbatego z wszystkimi jego najbardziej charakterystycznymi elementami: poetyckim monumentalizmem (zresztą oszczędniejszym i surowszym niż u mistrza), sięganie do tradycji teatru staropolskiego oraz tendencyjnością polityczną, której nurt, powstając w inscenizacjach Gorbatego w warunkach bardzo różnych od międzywojennych, też począł z biegiem lat wyrażać inne wezwania i emocje aniżeli niegdyś walczący, lewicowy teatr Schillera.

Krótki okres jednego sezonu (1949–1950) w Teatrze Polskim w Warszawie, który wobec radykalnego usztywnienia polityki kulturalnej zakończył się odsunięciem Leona Schillera od czynnego życia teatralnego, zakończył również i współpracę Gorbatego z wielkim reżyserem. W ciągu paru następnych lat mogło się zdawać, że osobowość i talent młodego reżysera podporządkują się bez reszty ciasnym i rygorystycznym wymaganiom politycznym. Jak wielu jego rówieśników, Gorbaty, od roku 1948 członek Partii, stał się żarliwym, głęboko ideowym komunistą, ślepo ufając Partii i bez zastrzeżeń przyjmując jej dyrektywy. Doszedłszy do przekonania, że w warunkach wciąż się toczącej, a nawet zaostrzającej się walki klasowej wszelkie racje artystyczne muszą schodzić na plan drugi wobec bieżących racji politycznych — z pełną dobrą wolą, a nawet z pasją brał na swój warsztat reżyserski martwe sztuki agitacyjne i tyle nawet potrafił zdziałać, iż za jego skinieniem manekiny i kukiełki upodabniały się cokolwiek do ludzi, a wygłaszane ze sceny kwestie brzmiały niekiedy przekonująco. W owych latach 1950–1953 wyreżyserował około dziesięć sztuk w teatrach warszawskich oraz łódzkich, każda jego premiera była przez krytykę przyjmowana więcej niż życzliwie, często entuzjastycznie.

Rok 1954 był przełomowym w życiu i twórczości Romana Gorbatego, bowiem jesienią tego roku, dzięki poparciu najwyższych czynników partyjnych, powierzono trzydziestoletniemu reżyserowi kierownictwo Teatru Stołecznego w Warszawie, właśnie odbudowanego po wojennych zniszczeniach. Panowało w sferach rządzących przekonanie, że Gorbaty lepiej niż ktokolwiek inny, nawet bardziej w zakresie teatralnym doświadczony, uczyni z tej nowej kulturalnej placówki teatr wysoce ideowy, walczący o postęp i socjalizm.

Gorbaty od lat marzył o własnym teatrze. Skoro to osiągnął, skupił dokoła siebie zespół złożony z młodych przeważnie i mało jeszcze znanych aktorów. W momencie powstania Teatr Stołeczny był teatrem autentycznie pod każdym względem młodym. Premierą inauguracyjną w październiku 1954 było pierwsze po wojnie przedstawienie *Dziadów* w inscenizacji i reżyserii Gorbatetgo. Tylko narastającym fermentem, który już w owym czasie począł ożywiać powszechne w ostatnich kilku latach odrętwienie społeczeństwa, a przede wszystkim pewną dezorientacją i niepewnością wślizgującymi się w nieożywione do tej pory kierownictwo partyjne, więc owymi pierwszymi niejako zapowiedziami Października wytłumaczyć można fakt, iż Gorbatemu udało się przeforsować spektakl *Dziadów*, tego najbardziej zadziwiającego w spełnieniu i niedokończeniu arcy-

dzieła literatury światowej, jak żadne inne mówiące w przejmujący sposób o stanie ludzkiej niewoli i bezwzględnej sile ucisku. Zarówno publiczność premierowa, jak i widzowie, wypełniający widownię Teatru Stołecznego na kilkunastu przedstawieniach dalszych, stanowili publiczność nazbyt jeszcze sparaliżowaną, a i zbyt oszołomioną i wstrząśniętą słowami padającymi ze sceny, aby mogło dojść do jakichkolwiek manifestacji, wyrażających się spontanicznymi oklaskami w momentach brzmiących szczególnie aktualnie. Spektakle *Dziadów* przebiegały w ciężkiej, niemal martwej ciszy, jakby widownię nie kilkuset żywych ludzi wypełniało, lecz jedna istota, porażona nazbyt oślepiającym blaskiem, nawet braw na końcu prawie na tych przedstawieniach nie bywało, widzowie rozchodzili się w milczeniu. Było to wielkie przedstawienie i wielka data w historii polskiego teatru.

Prawdopodobnie w przyszłości ukaże się niejedna monografia, poświęcona prawie piętnastoletnim dziejom Teatru Stołecznego pod dyrekcją Romana Gorbatego. Tu, w związku z jego sylwetką, wypada choć pokrótce wymienić te przedstawienia, które w historii Teatru Stołecznego były największymi osiągnięciami i reżysera i całego zespołu. Więc: *Sulkowski i Uciekła mi przepióreczka* Żeromskiego, *Nieboska komedia* Krasińskiego, *We-sele* i *Wyzwolenie* Wyspiańskiego, *Król Edyp* Sofoklesa, *Don Juan* Moliera, *Ryszard II* Marlowa, *Otello*, *Król Lear* i *Burza* Szekspira, *Zbójcy* Schillera, adaptacja sceniczna *Biesów* Dostojewskiego, wreszcie ostatnia inscenizacja Gorbatego w Teatrze Stołecznym: wstrząsające widowisko pasyjne, skonstruowane z łacińskich i polskich tekstów z XVI i XVII wieku, zatytułowane *Męka Pańska* i spektakl ten, którego premiera odbyła się w drugiej połowie lutego 1968 roku, tuż przed wypadkami marcowymi, został po dwóch przedstawieniach zdjęty z repertuaru.

Konflikt Romana Gorbatego z kierowniczymi instancjami Partii istniał już i zaostrzał się od wielu lat, jego początki datują się jeszcze z roku 1957, kiedy to prawie natychmiast po Październiku, który wzbudził w społeczeństwie tak wiele wszechstronnych nadziei, rozpoczął się powolny regres we wszystkich dziedzinach życia, również w sferze propagandy i kultury. Jeśli już w tym okresie, gdy wielu wybitnych ludzi sztuki oddało legitymację partyjne, Gorbaty nie uczynił tego samego, to przede wszystkim z obawy, iż likwidując w tak ostentacyjny sposób swoje obrachunki osobiste, może zaprzepaścić również egzystencję Teatru Stołecznego, a siebie samego pozbawić warsztatu pracy i jakiegokolwiek, mimo rozlicznych przeszkód, wpływu na kształtowanie się teatralnego repertuaru.

Kierownictwo partyjne, zwłaszcza, gdy w roku 1964 resort kultury w Komitecie Centralnym objął Stefan Raszewski, przeniesiony na to stanowisko z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dobrze było zorientowane, że Roman Gorbaty odchodzi od Partii, i jeśli jeszcze nie przeszedł na pozycję wyraźnie wrogie, należy do tzw. rewizjonistów, więc gatunku ludzi najniewygodniejszych dla ustroju, ponieważ chcą go naprawiać, podważając pryncypialną zasadę, iż wszelka inicjatywa ideologiczna oraz rozpoznanie rzeczywistości pozostają w wyłącznej gestii władzy odgórnej. Jeśli jednak na przestrzeni lat, i wbrew, i zgodnie z tym rozpoznaniami stosowano w stosunku do Gorbatego swoistą taryfę ulgową, dając oficjalną akceptację przedstawieniom w Teatrze Stołecznym więcej niż kontrowersyjnym i przez dłuższy okres czasu, nawet po takich spektaklach jak *Zbójcy* Schillera czy *Biesy* Dostojewskiego, unikano nacisków na prasę, aby oddając należny szacunek mistrzostwu reżysera, wyeksponowała jednak dwuznaczną wymowę ideową owych widowisk — tę szczególną wstrzemięźliwość, mogącą uchodzić za wyraz tolerancji, przypisać należy niechęci, jaką Partia żywi do wszelkich radykalnych posunięć taktycznych, które mogłyby posiadać charakter personalny, jednostkowy. W systemie, w którym problem ideologiczny jest zawsze nadrzędny w stosunku do jednostki, indywiduum wówczas dopiero może do problemu dorosnąć, gdy staje się jednym z elementów problemu, ten zaś, aby się sobą stać — musi ogarniać co najmniej grupę jednostek, tylko w takich okolicznościach problem może być ideologicznie zakwalifikowany i nazwany.

Ani aluzyjności *Męki Pańskiej* nie były wymowniejsze i ostrzejsze od akcentów sprzeciwu i buntu, które w innych spektaklach padały niejednokrotnie ze sceny Teatru Stołecznego, ani w czasie wypadków marcowych sam Roman Gorbaty, nie ukrywając krytycznego stosunku wobec brutalnych represji władz, nie ukazał nowego oblicza. Po prostu sytuacja według oceny partyjnej stała się nowa: ilość jednostek przemieniła się w ideologiczną jakość i bez względu na to, czy określano ją jako wyraz rewizjonizmu czy syjonizmu — zawsze w owej jakości musiał istnieć element wywrotowy i wrogi, zagrażający

Wróg, Idealista, Władza

Władza, Konflikt, Artysta

Władza, Konflikt, Artysta,
Polityka, Siła, Przemoc,
Wróg

interesom socjalizmu, a tym samym interesom całego narodu polskiego. I znów, w podobnych okolicznościach, Partii nie zależy na realnych wartościach i społecznej użyteczności jednostki. Z chwilą, gdy problem ideologiczny tak niebezpiecznie dojrzał, iż musi być zlikwidowany — poszczególne jednostki stają się niebezpieczne w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do nieważności, jaką reprezentowały wówczas, gdy problemu nie było. Partia, która przez pewien okres czasu umiała okazywać wiele cierpliwości, staje się nagle surowa i bezwzględna, a przy pierwszej, najgwałtowniejszej fali represji tak obficie szafuje karami, jakby tym demonstrowaniem miażdżącej siły chciała wziąć odwet za stan poprzedni, odrzucając tym samym wszelkie podejrzenie o słabość.

Roman Gorbaty był w pewnym okresie faworytem Partii. Zbuntowani faworyci, gdy dojrzeją do ideologicznego problemu, ponoszą zazwyczaj karę najdotkliwszą.

HALICKI JÓZEF — ur. 29 II 1922 we wsi Stawczyn, koło Kielc, syn średniorolnego chłopca, Stanisława Halickiego i Urszuli z domu Urbaniec. Ukończył przed wojną szkołę powszechną i trzy klasy w gimnazjum kieleckim. Pierwsze lata wojny spędził na wsi, pomagając ojcu przy gospodarce. Od 1942 w partyzantce Armii Ludowej na Kielecczyźnie, pseudonim „Orkan”. Adiutant pułkownika Stefana Raszewskiego, w stopniu porucznika.

Od lutego 1945 zatrudniony w Urzędzie Bezpieczeństwa w Kielcach. W tym samym roku ożenił się z byłą partyzantką, Bronisławą Morton. Ciężko ranny na wiosnę 1946, został po wyzdrowieniu przeniesiony do pracy partyjnej, najpierw w Komitecie Miejskim w Szczecinie, potem w Gdańsku. W 1949 zdał maturę na kursach dla dorosłych i przeszedł kurs szkoleniowy w Centralnej Szkole Partyjnej w Łodzi. Od 1953 w Warszawie, w Komitecie Wojewódzkim. Ukończył trzyletnią Wyższą Szkołę Partyjną, a następnie Instytut Kształcenia Kadr Naukowych. W 1957 sekretarz Komitetu Warszawskiego. Na IV Zjeździe PZPR w 1964 wybrany członkiem Komitetu Centralnego oraz sekretarzem KC. Ojciec aktora, Łukasza Halickiego.

HALICKI ŁUKASZ — ur. 18 VII 1946 w Kielcach, syn partyjnego aktywisty, zajmującego w minionym dwudziestopięcioleciu szereg odpowiedzialnych funkcji w aparacie PZPR, ostatnio sekretarza Komitetu Centralnego, Józefa Halickiego i Bronisławy z Mortonów. Po maturze w 1963 wstąpił na wydział aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Od sezonu 1967/68 aktor Teatru Stołecznego. W czasie studiów w PWST grał w kilku filmach, m.in. obok Macieja Zaremby i Beaty Konarskiej jedną z głównych ról w filmie *Wanerta Zagubieni*. Obdarowany doskonałymi warunkami zewnętrznymi, wszechstronnie wysportowany, w stylu gry bardzo nowoczesny, bo zawsze sprawiający wrażenie jakby w każdej scenicznej czy filmowej rzeczywistości był przede wszystkim sobą — należy do najlepiej się zapowiadających aktorów najmłodszego pokolenia. Z rodzicami nie podtrzymuje od paru lat żadnych kontaktów. Jest zainteresowany nie tyle karierą, ile możliwościami zabawy, jakiej może mu dostarczyć gra. Eryk Wanert ceni go i lubi, a nawet adoruje, jak w swoim czasie Macieja Zarembe. W pierwszym swoim sezonie w Teatrze Stołecznym Halicki grał Ryszarda II w tragedii Marlowe'a oraz apostoła Jana w *Męce Pańskiej*, w tym ostatnim i już historycznym spektaklu Romana Gorbatego, którego premiera odbyła się w Teatrze Stołecznym w lutym 1968. Nagłe zdjęcie tego przedstawienia sprowokowało pierwsze manifestacje młodzieżowe, później w marcu tak tragiczne w przebiegu i w skutkach.

W przygotowywanym ostatnio przez Eryka Wanerta dla telewizji *Prometeuszu* Aj-schylosa gra Hermesa.

IMMONEN AIMO — ur. 12 V 1943 roku w Helsinkach, syn Elmera Immonena, bogatego przemysłowca, oraz śpiewaczki szwedzkiej, Birgit Berger, której błyskotliwą karierę przerwała śmierć w wypadku samochodowym, w roku 1951. Od roku 1960 Aimo, zerwawszy stosunki z ojcem, studiował w konserwatorium w Stockholmie i w Hambur-

gu. Przez pewien czas zajmował się dziennikarstwem. W roku 1964 wyjechał na Kubę i pisywał korespondencje do lewicowego dziennika „Tyokansan Sanomat”, w roku 1965 przebywał w Czechosłowacji i na Węgrzech, w 1966 krótko w Związku Radzieckim, skąd został usunięty za publicznie wypowiedzianie krytycznych opinii. W tym samym roku przyjechał do Paryża i tam, w małym lokalu przy ulicy des Canettes, gdzie grał na fortepianie, poznał Halinę Farens-Czaplicką, stając się jej sekretarzem, akompaniatorem oraz kochankiem.

JACKOWSKA-MALEWICZ IRENA (1927–1961) — ur. 21 II 1927 w Borowcu pod Poznaniem, córka średnio zamożnego obywatela ziemskiego, Wojciecha Malewicza i Anny z Kwileckich. Wysiedlona przez Niemców wraz z całą rodziną z końcem 1939, spędziła okres okupacji w Warszawie, gdzie jej matka, dzięki spowinowaceni z rodziną Sulemirskich, pracowała w charakterze kelnerki w restauracji „U Wiktora”.

Muzykalna i obdarzona ładnym sopranem, studiowała po wojnie w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. W roku 1949 wyszła za mąż za kolegę z PWSM, zresztą starszego od siebie o kilkanaście lat, Pawła Jackowskiego, który kończył właśnie studia dyrygenckie. Śpiewała w operach w Bydgoszczy i Poznaniu, i na gościnnych występach w Operze Warszawskiej. W latach 1959–1961 przebywała wraz z mężem w NRD, w Karl-Marxstadt, śpiewając w tamtejszej operze. Matka Magdy.

14 XI 1961 zginęła w wypadku samochodowym w drodze na występy gościnne w operze w Lipsku.

JACKOWSKA MAGDALENA — ur. 29 X 1949 w Lublinie, córka Pawła Jackowskiego i Ireny z Malewiczów. Uczęszczała od roku 1956 do podstawowych szkół muzycznych w Bydgoszczy i Poznaniu i w Karl-Marxstadt. Po tragicznej śmierci żony w 1961 Paweł Jackowski, związany kontaktem na *tournee* po Stanach Zjednoczonych w roku 1962, odwiózł córkę do kraju i umieścił w Warszawie, u ciotki żony, znanej w okresie międzywojennym skrzypaczki Ireny Kwileckiej.

W latach 1962–1963 uczęszczała do Podstawowej Szkoły Muzycznej im. Szymanowskiego w Warszawie, 1963–1967 do Szkoły Średniej Muzycznej im. Chopina, ze szczególnym uwzględnieniem fortepianu. Od 1967 w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Koleżanka szkolna Antka Raszewskiego.

JACKOWSKI PAWEŁ — ur. 20 VI 1918 w Lublinie, syn właściciela sklepu z muzycznymi instrumentami, Izidora Grubera i Cecylii z Schindlerów. W latach 1936–1939 studiował na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. W czasie okupacji cała jego rodzina zginęła w 1941 w Majdanku, obozie masowej zagłady ludności żydowskiej pod Lublinem. Działacz PPR, pułkownik Gwardii Ludowej i dowódca grupy uderzeniowej sztabu GL, pseudonim „Jacek”.

Po wojnie studiował w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Był kolejno dyrygentem Filharmonii w Lublinie, Bydgoszczy i Poznaniu. W latach 1959–1961 dyrektor Państwowej Opery w Karl-Marxstadt, w NRD. Dyrygował licznymi koncertami symfonicznymi i przedstawieniami operowymi w NRF, Włoszech, Szwecji, Norwegii, Związku Radzieckim, w Czechosłowacji i w Jugosławii. W roku 1962 odbył *tournee* po Stanach Zjednoczonych. Od sezonu 1963/64 dyrektor Opery im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu. W kwietniu 1969 zgłosił rezygnację z zajmowanego stanowiska, podpisując dwuletni kontrakt na prowadzenie jednej z prowincjonalnych oper w Niemczech Zachodnich.

Jeszcze w czasie studiów w Poznaniu ożenił się w 1947 z koleżanką z PWSM, z klasy śpiewu, Ireną Malewicz, która w roku 1961 zginęła tragicznie w wypadku samochodowym w NRD.

JASKÓLSKA URSZULA — ur. 5 II 1915 w Piasecznie pod Warszawą, córka rzeźnika Zygmunta Sobczaka i Anieli z Pędzichów. W roku 1933 wyszła za mąż za ogrodnika w Jeźmiernej, Tomasza Jaskólskiego, który zginął w kampanii wrześniowej. Córka Jaskólskiej, Weronika (ur. 1934), zginęła wraz z mężem, technikiem budowlanym w katastrofie motocyklowej w roku 1961, pozostawiając syna Wiesława, ur. 1952. Lokatorami Jaskólskiej od wielu lat są Kubiakowie: Edward z żoną Danutą i synem, Robertem.

Urszula Jaskólska pracuje u Adama Nagórskiego w charakterze „dochodzącej” gospodyni. Ma duże i nieustanne kłopoty z wnukiem.

JĄSKO KAZIMIERZ — ur. 24 VII 1921 w Łowiczu, syn kupca kolonialnego, Mariana Jaśko i Janiny z Wojtałów. Maturę zdał w 1939. Okres okupacji spędził w Łowiczu, pracując w sądzie powiatowym. Po wojnie w latach 1945–1947, studiował na wydziale humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie. Jesienią 1947 przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, na wydział prawa. Członek katolickiego, lecz współpracującego z władzami stowarzyszenia „Pax” i współpracownik tygodnika „Dziś i jutro”. Od 1949, to jest od chwili założenia, współpracownik Instytutu Wydawniczego „Pax”. W roku 1951 rozstał się z „Paxem” i wstąpił do Partii. Autor powieści produkcyjnej *Praca wyżej* (1952) oraz zbioru reportaży z Ziem Odzyskanych *Na granicach pokoju* (1953). W roku 1953 otrzymał Nagrodę Państwową III stopnia.

W latach 1953–1955 naczelny redaktor partyjnego dziennika w Koszalinie, 1955–1958 korespondent „Trybuny Ludu” w Moskwie, 1958–1961 korespondent tego samego dziennika w Paryżu. W 1962 podróżował po Stanach Zjednoczonych, skąd przywiózł tom reportaży *Intryga i dolar* (1963). Po powrocie do kraju zostaje w roku 1964 naczelnym redaktorem popularnego tygodnika „Panorama Tygodnia”, w której pod pseudonimem „Oset” publikuje felietony, odznaczające się wyjątkowo ostrą napastliwością w stosunku do wszelkich przejawów tzw. rewizjonizmu. Od 1965 wykładowca na Studium Dziennikarzy Polskich. Od końca 1967 prowadzi w Telewizji stałą audycję polemiczną „Kontrowersje”. Po wypadkach marcowych mianowany jesienią 1968 prodziekanem wydziału filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego.

KELLER BARBARA (1893–1945) — ur. 15 VII 1893 roku w Krzeszowicach, z domu Lech, córka Józefa Lecha, w młodości lokaja u hr. Potockich w Krzeszowicach, a potem właściciela pensjonatu w Poroninie pod Zakopanem, ożenionego z Marią Marusarzówną — córką zamożnego gazdy. Po tragicznej śmierci swego narzeczonego, Andrzeja Krzeptowskiego, który w zimie 1912 roku zginął przysypany lawiną, postanowiła się usamodzielnąć, wyjechała do Krakowa i po zdaniu matury skończyła studia farmaceutyczne, pracując następnie w jednej z krakowskich aptek. W roku 1923 wyszła za mąż za nauczyciela gimnazjalnego, Stefana Kellera. Matka Konrada Kellera.

W 1945 roku zmarła w Krakowie na zapalenie płuc.

KELLER KAZIMIERA (1863–1942) — aktorka, ur. 13 XII 1863 roku we Lwowie, z domu Krogulska, córka suflera teatru we Lwowie, Wilhelma Krogulskiego. Od wczesnych lat grała w wędrownych trupach teatralnych, przede wszystkim role komediowe. W roku 1884 wyszła za mąż za młodego aktora, Ludwika Kellera. W Warszawie występowała przez wiele lat w operetce, nigdy jednak nie osiągając większych sukcesów artystycznych, Matka Marii i Stefana. Już w podeszłym wieku wycofała się ze sceny i razem z mężem, również emerytem, mieszkała aż do śmierci w Domu Aktora w Skolimowie pod Warszawą.

Zmarła 17 III 1942.

KELLER KONRAD — ur. 21 IV 1926 w Krakowie, syn Stefana i Barbary z domu Lech, brat cioteczny Adama Nagórskiego. Zrobił maturę w Krakowie w 1944, na tajnych kompletach nauczania, pracując jako goniec w firmie budowlanej, a później w księgarni Gebethnera i Wolffa. Brał udział w tajnych wieczorach artystycznych. Po warszawskim powstaniu mieszkał u niego przez kilka tygodni Adam Nagórski.

Po wojnie studiował w krakowskiej Wyższej Szkole Teatralnej. W latach 1950–1958 występował w teatrach wrocławskich, grając w pierwszych sezonach role raczej podrzędne i nie zwracając na siebie większej uwagi krytyki. Jego wielka indywidualność artystyczna osiągnęła tryumf dopiero w roku 1956, w przedstawieniu *Kordiana*, w którym grał rolę tytułową. Najważniejsze role z tego wrocławskiego okresu: Przełęcki w *Uciekła mi przepióreczka* Żeromskiego, Karol Moor w *Zbójcach* Schillera oraz Hamlet. W roku 1957 ożenił się z młodą malarką, Martą Glińską i w roku następnym rozszedł się z nią. Od sezonu 1958/59 aktor Teatru Stołecznego w Warszawie, zdobył niebawem sławę jednego z największych aktorów współczesnych. Grał w ostatnim dziesięcioleciu m.in.: Stawrogina w adaptacji scenicznej Romana Gorbatego *Biesów* Dostojewskiego, don Juana w *Don Juanie* Moliera, Alcesta w *Mizantropie*, Jagona w *Otelli*, Prospera w *Burzy*, Edypa w *Królu Edypie* Sofoklesa, Sulkwoskiego w *Sulkowskim* Żeromskiego, Hrabiego w *Nieboskiej Komedii* Krasińskiego, Johna Proctora w *Czarownicach z Salem* Artura Millera oraz Piłata w *Męce Pańskiej*. Grał również w wielu filmach, m.in. w *Natchnieniu światła* i w *Karolinie* Eryka Wanerta. Występuje często w radio i w telewizji. Ostatnio w przygotowywanym dla telewizji przez Wanerta *Prometeuszu* Aischylosa gra Prometeusza. Ma również objąć rolę Makbeta w przedstawieniu, które w Teatrze Stołecznym ma reżyserować Eryk Wanert. Zaręczony z Moniką Panek, z którą ślub jest wyznaczony na 19 IV 1969.

KELLER LUDWIK (1858–1939) — ur. 6 II 1858 roku w Nowym Sączu, w rodzinie kupieckiej, w siedemnastym roku życia uciekł z domu i przyłączył się do jednej z wędrownych trup teatralnych, pracując na początku jako pracownik fizyczny, później pomagał przy malowaniu dekoracji i szyciu kostiumów, niebawem zręczny i pomysłowy, na koniec, mając lat osiemnaście zaczął grywać epizody. Już jako czołowy amant trupy poznał młodziutką aktorkę, Kazimierę Krogulską i ożenił się z nią w roku 1884. Trafwszy do Warszawy, Keller, zdając sobie sprawę, że nigdy nie będzie wielkim aktorem, rzucił scenę i został rekwizytorem Teatru Rozmaitości, po wojnie i do późnego wieku pełniąc podobne funkcje w Teatrze Narodowym. O nim to jeden z wybitnych naszych teatrologów pisał po latach w swoich *Wspomnieniach*. „Ludwik Keller! Jedna z najkolorowszych postaci, jakie przesunęły się przez mury dwóch teatrów: jeszcze starych »Rozmaitości« i tego nowego, »Narodowego«, wybudowanego po I wojnie, gdy wewnątrz »Rozmaitości« zniszczył pożar. W organizacji teatru prawdziwy *factotum*: sprawował nadzór nad rekwizytornią, na jego głowie spoczywała troska o komplet aktorów na próbie, przez niego kancelaria teatru utrzymywała łączność z redakcjami pism, a niezastąpiony praktyk, bodajże chronił też dyrektorów od popełnienia większych gaf; fanatyk teatru, jakby z powieści o teatrze i legendarny ironista życia teatralnego”.

Ojciec Marii i Stefana. W roku 1935, akurat w sześćdziesięciolecie swojej pracy w teatrze, przeszedł na emeryturę i razem z żoną zamieszkał w Domu Aktora w Skolimowie. Zmarł 18 IX 1939.

KELLER STEFAN (1890–1942) — ur. 12 I 1890 w Warszawie, syn Ludwika Kellera i Kazimiery z Krogulskich. Niechętnie od najmłodszych lat usposobiony do teatralnej atmosfery panującej w domu rodzicielskim, natychmiast po maturze w roku 1908 wyjechał do Krakowa i ukończył wydział matematyczny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Walczył w Legionach, lecz ciężko ranny w jednej z pierwszych większych bitew, pod Łowczówkiem koło Tarnowa, przebywał wiele miesięcy w szpitalu i był niezdolny do dalszej służby wojskowej. Z jego marzeń o karierze naukowej nic nie wyszło, został nauczycielem gimnazjalnym. W roku 1923 ożenił się z Barbarą Lech. Ojciec Konrada Kellera.

Aresztowany w roku 1941, zmarł w Oświęcimiu w roku następnym.

KONARSKA BEATA — ur. 15 VIII 1945 w Warszawie, córka drobnego krawca-chalupnika (spodniarza), Mariana Konarskiego i Wandy z Czyżewskich. Jedyna z licznego rodzeństwa ukończyła liceum (1963), a następnie dostała się do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, na wydział aktorski. Podczas studiów występowała w programach Studenckiego Teatru Satyryków (STS) oraz w Hybrydach, jednym z najpopularniejszych lokali studenckich w stolicy, grała również epizodyczne role w filmach, m.in. w *Lalce* Wojciecha Hasa i w *Faraonie* Jerzego Kawalerowicza. Jeszcze za dyrekcji Romana Gorbatego zaangażowana do Teatru Stołecznego, zwróciła na siebie uwagę krytyki, grając Irinę w *Trzech siostrach* Czechowa oraz Salomeę w *Horsztyńskim* Słowackiego. W filmie *Wanerta Zagubieni* grała jedyną rolę kobiecą, mając za partnerów Macieja Zarembę oraz swego kolegę z PWST, Łukasza Halickiego. Ostatnio, dzięki dość zawiłym komplikacjom personalnym, otrzymała rolę Lady Makbet, którą w pierwotnych planach dyr. Otockiego miała grać Monika Panek.

KONOPKA WOJCIECH — ur. 1 IV 1923 w Warszawie, syn urzędnika bankowego, Mikołaja Konopki i Heleny z Wiśniewskich. W 1939 uzyskał małą maturę w gimnazjum ogólnokształcącym w Warszawie. W okresie okupacji pracował jako robotnik. Od jesieni 1942 żołnierz Gwardii Ludowej. Członek Związku Walki Młodych, pełniąc w ruchu podziemnym funkcję instruktora bojowego i agitatora politycznego. Walczył w Powstaniu Warszawskim.

Po upadku powstania — w partyzantce Armii Ludowej na Kielecczyźnie. Z początkiem roku 1945 pracował w Milicji Obywatelskiej w Kielcach. Zmobilizowany do Wojska Polskiego, został ranny przy forsowaniu Nysy. Po wyleczeniu pracował w Zarządzie Głównym Związku Walki Młodych. W roku 1947 zdał maturę. W latach 1947–1949 studiował w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Debiutował w roku 1950 tomem opowiadań o tematyce okupacyjnej *Z cierpliwości — niedostatecznie*.

Od 1952 w komitetach redakcyjnych i na kierowniczych stanowiskach w prasie literackiej. Od 1956 poseł na Sejm.

Ważniejsze utwory Konopki: *Z cierpliwości — niedostatecznie* (1950), *Byli wówczas młodzi* (powieść, 1952), *Kartki z podróży po Związku Radzieckim* (1953), *Polska edukacja* (powieść 1955), *Opowiadania myśliwskie* (1958), *Spoczywają w niepokoju* (opowiadania, 1961), *Wspomnienia z młodości* (1966).

KORDYS EUGENIA — ur. 28 III 1900 w Londynie, córka znanego geografa i podróżnika, Stefana Kordysa oraz Heleny z Boguskich. Po śmierci ojca, który w czasie wyprawy do Kamerunu zmarł w 1903 w okolicach Jeziora Słoniowego, wróciła z matką do Polski. Ponieważ Kordys, organizując swoją ostatnią wyprawę, pozycyował wiele długów, wdowa po nim pozostała bez żadnych środków do życia, a pochodząc ze środowiska zbankrutowanego ziemiaństwa, nie mogła liczyć na żadną pomoc nielicznej już resztki rodziny. Dzięki pewnemu rozgłosowi nazwiska męża udało się jej uzyskać posadę nauczycielki geografii na jednej z warszawskich pensji. W roku 1915 zmarła na złośliwą anemię.

Osierocona Eugenia musiała przerwać naukę i poszukać jakiegoś fachu. Wybrała krawiectwo. Od roku 1919, to znaczy od chwili założenia, pracowała w firmie „Rozalinda”, u Marii Nagórskiej-Sołtanowej, nigdy jednak, mimo wielkiej pracowitości i sumienności nie mogła zdobyć pozycji kierowniczej, na wielką krawcową brakło jej talentu, również inicjatywy i wyobraźni.

W połowie lat dwudziestych przeżyła wielką miłość do pułkowego kolegi rotmistrza Sołtana, porucznika Alfreda Bonieckiego. Porzucona przez młodego i przystojnego ułana po kilku miesiącach, bardzo ciężko ten zawód przeżyła i tylko przypadek sprawił, iż w porę ją odratowano, gdy usiłowała otruc się gazem. Być może przeżycia Marii Nagórskiej, związane z niewiernym Grzegorzem Sołtanem, sprawiły, iż właścicielka „Rozalindy”, mimo skandalu, jakim wśród pracowników firmy odbiła się ta miłosna afera Eugenii, przyjęła ją z powrotem do pracy, gdy ofiara zawiedzionej miłości powróciła po długiej chorobie do zdrowia. Tą wspaniałomyślnością Maria Nagórska kupiła sobie wdzięczność Eugenii Kordys na całe życie.

W latach okupacji Eugenia, utraciwszy w czasie oblężenia Warszawy cały swój dobytek, również i pamiątki po ojcu, zamieszkała w obszernym mieszkaniu Marii Nagórskiej, poświęcając odtąd swój czas oraz umiejętności raczej na prowadzenie domu niż pracę

w „Rozalindzie”. Z biegiem czasu, w miarę starzenia się Marii Nagórskiej, staje się jej nieodłączną towarzyszką, kimś w rodzaju służącej, damy do towarzystwa oraz pielęgniarki.

KRYSTEK MARIAN — ur. 22 II 1934 w okręgu węglowym Namur, w Belgii, w polskiej emigranckiej rodzinie, syn górnik, Wilhelma Krystka i Kunegundy z domu Suchol. Od roku 1946, gdy rodzice reemigrowali do kraju, w Wałbrzychu, na Dolnym Śląsku. Maturę zdał w 1953, następnie studiował ekonomię polityczną na Uniwersytecie Wrocławskim. Działacz Związku Młodzieży Polskiej, przekształconym w roku 1956 na Związek Młodzieży Socjalistycznej. Od 1957 w Warszawie, pełniąc funkcje członka Zarządu Głównego ZMS. Ukończył Instytut Nauk Społecznych. W latach 1964–1967 przewodniczący Zarządu Głównego ZMS. Od roku 1967 sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Warszawie. W roku 1965 ożenił się z córką jednego z najwyższych postawionych dygnitarzy partyjnych.

KUBIAK DANUTA — ur. 26 X 1920 w Poznaniu, córka właściciela sklepu z dewocjonaliami, Bolesława Nowickiego i Anny z Bojanów. W 1937 ukończyła pensję prowadzoną przez zakonnice, następnie kursy stenografii i pisanie na maszynie. Przed samą wojną pracowała w katolickim Wydawnictwie św. Wojciecha. Z początkiem roku 1939 wyszła za mąż za młodego introligatora, Leszka Stecia, który zginął czasie kampanii wrześniowej, w bitwie pod Kutnem.

Wysiedlona wraz z rodzicami przez władze niemieckie z początkiem roku 1940, przebywała przez okres okupacji w Radomiu, pracując jako kelnerka w dobrze prosperującym barze. Bolesław Nowicki, mając bardzo dobre referencje, znalazł przytułek w charakterze zakrystiana przy jednym z kościołów. W roku 1943 wyszła ponownie za mąż, tym razem za starszego od siebie o dobrych kilkanaście lat właściciela warsztatu samochodowego, Wojciecha Kowalskiego. Niestety to małżeństwo zakończyło się jeszcze tragiczniej aniżeli poprzednie: z końcem 1943 Kowalski zdemaskowany jako niemiecki konfident, został z wyroku podziemnej organizacji zastrzelony. Dzięki pomocy ojca Danuta mogła opuścić Radom, do końca wojny przebywała na wsi pod Piasecznem, pełniąc obowiązki gospodyni na plebanii.

Po wyzwoleniu Warszawy wróciła do swego zawodu przedwojennego, pracując jako maszynistka w Filmie Polskim. Zamieszkała natomiast w oddalonej o kilkanaście kilometrów od Warszawy Jeziornej. Urszulę Jaskólską poznała jeszcze w czasie okupacji, gdy ta parokrotnie odwiedzała jej chlebodawcę, proboszcza.

W roku 1949 wyszła za mąż za kelnera w „Kameralnej”, Edwarda Kubiaka. Po urodzeniu syna, Roberta, w 1951, przestała pracować.

KUBIAK EDWARD — ur. 22 III 1914 w Warszawie, syn Franciszka Kubiaka i Weroniki z Ozimków. Niechętnie się uczący i od wczesnych lat pełen pogardy dla więcej niż skromnych warunków materialnych w domu rodzicielskim, spragniony wygód i luksusu, a poza tym bardzo ładny i wcześniej dojrzały, już mając lat piętnaście zaczął prowadzić życie uliczne, sprzedając przygodnie spotkanym mężczyznom swoje chłopięce wdzięki. Wiosną 1932 spotkał Karola Wanerta i zamieszkał u niego na Kredytowej. Wprawdzie miłość Wanerta nie trwała długo, dostatecznie jednak, aby w ciągu niespełna roku Edward potrafił stać się dla Wanerta niezbędnym. Przez następne lata, aż do wybuchu wojny, spełniał na Kredytowej rozmaite funkcje: lokaja, kucharza i szofera, a przede wszystkim dostarczyciela ładnych chłopców, których fizyczne walory, zanim ich Wanert brał do łóżka, sam na życzenie swego chlebodawcy i przyjaciela sprawdzał. We wrześniu 1939 opuścił Warszawę wraz z Wanerem jego mercedesem, zgubili się jednak podczas bombardowania lotniczego w Lublinie. Znalazszy się sam, Kubiak powędrował dalej na wschód i znalazł się we Lwowie. W roku następnym został wywieziony przez Rosjan do Kazachstanu. Po zawarciu układu polsko-radzieckiego w 1941 wstąpił do Armii Andersa, brał udział w kampanii włoskiej Korpusu Polskiego, ranny pod Monte Cassino i odznaczony następnie Krzyżem Walecznych. W roku 1946 wrócił do Polski i dzięki starym znajomościom został kelnerem w „Piekielku” na Poznańskiej, później w „Kameralnej” na Foksal. W pierwszym okresie po powrocie do Warszawy mieszkał kątem u przygodnych przyjaciół, także przyjaciółek. W roku 1949 ożenił się z Danutą Nowicką, maszynistką w Filmie Polskim i zamieszkał w jej dotychczasowym mieszkaniu w Jeziornej pod Warszawą, w domku Urszuli Jaskól-

skiej. W 1951 urodził mu się syn, Robert. Od roku 1957 Kubiak pracuje w „Bristolu” jako barman w nocnym barze.

KUBIAK ELŻBIETA (1911–1934) — ur. 15 I 1911 w Warszawie, córka Franciszka Kubiaka i Weroniki z Ozimków. Od najwcześniejszego dzieciństwa bardzo muzykalna, już w 10. roku życia zaczęła chodzić do Konserwatorium, zapowiadając się z biegiem lat na bardzo wybitną pianistkę. Uczennica prof. Żurawlewa. W 1929 wyprowadziła się z domu, utrzymując się z lekcji muzyki i skromnego stypendium. W 1932 na II Międzynarodowym Konkursie im. Chopina w Warszawie otrzymała wyróżnienie. W tym samym roku, późną jesienią, poznała w salonie Julii Wanertowej Adama Nagórskiego. Ich gwałtowna miłość spowodowała zerwanie małżeństwa Nagórskiego z Alicją Wanert. Z początkiem roku następnego po ciężkiej grypie wystąpiły u Elżbiety pierwsze objawy gruźlicy. Dalsze jej dzieje, zresztą już bardzo krótkie, to walka z postępującą chorobą, parokrotne pobyty w Zakopanem, konieczność przerywania studiów muzycznych, tuż przed dyplomem. I miłość z Nagórskim.

Zmarła w Zakopanem, 19 IV 1934. Pochowana w Zakopanem.

KUBIAK FRANCISZEK (1880–1930) — ur. 4 VII 1880 w Płocku, w rodzinie ubożego szewca. Najpierw goniec, a później woźny w Teatrze Rozmaitości i w Teatrze Narodowym. W roku 1910 ożenił się z Weroniką Ozimek, miał z nią troje dzieci: Elżbietę (1911), Edwarda (1914) oraz Celinę (1917).

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł na raka żołądka 31 XII 1930.

KUBIAK ROBERT — ur. 21 II 1951 w Piasecznie, syn Edwarda Kubiaka i Danuty z Nowickich. W maju 1969 ma zdawać maturę, a potem wbrew perswazjom rodziców, zwłaszcza ojca, chce studiować leśnictwo w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

KUBIAK WERONIKA (1896–1944) — ur. 12 VIII 1886 w Żyrardowie pod Warszawą w rodzinie robotniczej, z domu Ozimek. Wcześniej osierocona, wychowała się w Warszawie, u swego stryja, Mariana Ozimka, robotnika w Zakładach Wanerta. Jako bardzo młoda dziewczyna pracowała w tych zakładach. Dzięki urodzie zwróciła na siebie uwagę starego Wanerta i przez parę lat była w jego domu pokojówką. W roku 1910 wyszła za mąż za woźnego Teatru Rozmaitości, Franciszka Kubiaka, miała z nim troje dzieci: Elżbietę (1911), Edwarda (1914) oraz Celinę (1917). W czasie przewlekłej choroby męża, znalazłszy się z dwojgiem młodszych dzieci w ciężkiej sytuacji materialnej, została zatrudniona w „Rozalindzie” w charakterze sprzątaczkii, Maria Nagórska pamiętała Franciszka Kubiaka jeszcze z czasów, gdy występowała w „Rozmaitościach”. Zginęła w czasie powstania, w sierpniu 1944.

KUBICKI WIKTOR — ur. 27 VII 1883 w Moskwie, syn kucharza, Józefa Kubickiego i Rosjanki, Natalii z domu Kirow. Uważany po ostatniej wojnie za najznakomitszego kuchmistrza w Polsce. Praktykę odbywał przy ojcu, który przez wiele lat pracował w arystokratycznych domach moskiewskich. Jeszcze przed pierwszą wojną światową był kucharzem u księcia Białozierskiego-Białosielskiego w Petersburgu. W roku 1917 opuścił Rosję, pracując do połowy lat trzydziestych na Zachodzie, m.in. u księżnej Róży Sulemirskiej w Rzymie, w poselstwie polskim w Kopenhadze, u „Ritza” w Paryżu i w wielkich hotelach na Riwierze. W roku 1936 wrócił do kraju i do wybuchu wojny był kucharzem prezydenta Mościckiego.

W czasie okupacji prowadził wraz z żoną małą restaurację „U Wiktora”, słynną ze znakomitej kuchni i starych nalewek. Straciwszy wszystko w czasie powstania, pracował po wojnie najpierw w Grand Hotelu w Sopocie, później u „Wierzyńka” w Krakowie. Od 1955 jest kucharzem w reprezentacyjnym ośrodku Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Jabłonie pod Warszawą.

KURAN ANNA — ur. w roku 1919 w Stanisławowie, córka policjanta, Grzegorza Barańskiego (1894–1923) i Janiny z domu Pawlak (1896–1939). Matka Anny, po śmierci męża, zastrzelonego przez ukraińskich nacjonalistów, prowadziła bufet kolejowy w Stanisławowie. Zginęła we wrześniu 1939 roku, w czasie lotniczego nalotu. W roku 1938 Anna wyszła za mąż za młodego kolejarza, Wacława Kurana. Przedwczesna śmierć dwóch córek naruszyła cokolwiek jej równowagę psychiczną, lecz ten stan depresji minął, gdy w roku 1946 urodził się syn, Marek. Po śmierci męża w roku 1962 pracuje na poczcie w Pruszkowie.

KURAN MAREK — ur. 9 XI 1946 roku w Opolu, syn Wacława i Anny Kuranów. Do szkoły podstawowej i do liceum ogólnokształcącego chodził w Pruszkowie, wcześniej dojrzały i bardzo ładny, miał zaledwie 15 lat, gdy go do praktyk homoseksualnych wciągnął jeden z nauczycieli, wychowawca i wykładowca wychowania fizycznego. W połowie roku 1962, już po śmierci ojca, przestał się uczyć. Z nowym rokiem szkolnym jeszcze raz wrócił do X klasy, lecz po kilku tygodniach rzucił liceum ostatecznie i zaczął się włóczyć po Polsce, zawsze rozporządzając adresami ludzi chętnie korzystających z jego usług. Przez pewien czas mieszkał we Wrocławiu, gdzie został przyjęty do Pantomimy Tomaszewskiego, lecz po paru miesiącach ćwiczeń wydalono go na skutek braku dyscypliny. W roku 1964 debiutował kilkoma wierszami w krakowskim „Życiu Literackim”. W roku następnym, nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się pierwszy tomik jego wierszy *Korytarze*. W roku 1966 poznał w lecie w Sopocie Ksawerego Panka i od jesieni zamieszkał w jego warszawskim mieszkaniu, zresztą co pewien czas znikając, aby po kilku dniach, a niekiedy po paru tygodniach zaalarmować Ksawerego telefonem, iż znajduje się w ciężkich tarapatkach i potrzebuje pieniędzy. W roku 1968 wyszedł drugi zbiór jego wierszy *Leukocyty*, a z początkiem roku 1969 trzeci: *Akromegalia*.

KURAN WACŁAW (1915–1962) — ur. w roku 1915 we wsi Kamionka koło Ropczyc, w Rzeszowskim, syn małorolnego chłopca, szkołę powszechną ukończył w Ropczycach w roku 1930, następnie zaczął pracować w kolejnictwie. Od roku 1938 zamieszkały w Stanisławowie. W tym samym roku, osiągnąwszy już stanowisko konduktora, ożenił się z Anną Barańską. Dwoje dzieci: Grażyna (ur. 1940) oraz Katarzyna (ur. 1942) zmarło we wczesnym dzieciństwie. Wiosną roku 1945 Kuranowie w ramach akcji repatriacyjnej opuścili Stanisławów i osiedlili się w Opolu. W roku 1946 urodził się syn Marek, w roku 1955 Kuranowie przenieśli się pod Warszawę do Pruszkowa, gdzie Kuran awansował na zastępcę naczelnika stacji.

W roku 1962 zmarł po krótkiej chorobie na białaczkę.

KWIECIEŃ STEFAN (1929–1961) — ur. 12 III 1929 w Warszawie, syn listonosza, Stanisława Kwietnia i Zofii z Domańskich. Jako piętnastoletni chłopiec brał udział w Powstaniu Warszawskim. Technik budowlany. Z początkiem roku 1952 poznał Weronikę Jaskólską, jeszcze uczennicę Liceum Pedagogicznego. Gdy Weronika zaszła w ciążę, młodzi pobrali się i zamieszkali w Olsztynie. Będąc dobrym i zdolnym fachowcem, brał równocześnie czynny udział w życiu społeczno-politycznym. Członek PZPR. Z końcem lat pięćdziesiątych zaczął zaoczne studia na Politechnice w Gdańsku.

W maju 1961 zginął wraz ze swoją żoną w katastrofie motocyklowej.

KWIECIEŃ WERONIKA (1934–1961) — ur. 17 XI 1934 w Jeziornej pod Warszawą, córka Tomasza Jaskólskiego i Urszuli z Sobczaków. Ukończyła Szkołę Podstawową oraz Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli. W roku 1952 wyszła za mąż za technika budowlanego, Stefana Kwietnia, osiedlając się wraz z nim w Olsztynie, gdzie z końcem roku przyszedł na świat ich syn, Wiesław. Od roku 1954 pracowała w swoim zawodzie jako przedszkolanka.

W maju 1961 zginęła wraz z mężem w katastrofie motocyklowej.

KWIECIEŃ WIESŁAW — ur. 25 XII 1952 w Olsztynie, syn Stefana Kwietnia i Weroniki z Jaskólskich. Po tragicznej śmierci rodziców w roku 1961 wychowuje się u babki, Urszuli Jaskólskiej. Z pewnym opóźnieniem kończy w 1967 szkołę podstawową w Jeziornej, ale już w roku następnym porzuca naukę w Liceum Ogólnokształcącym w pobliskim Piasecznie. Pije i chuligani.

MENTZEL EMILIA (1841–1905) — ur. 12 III 1841 w Warszawie, w średniozamożnej rodzinie mieszczańskiej pochodzenia niemieckiego, młodsza siostra Franciszka Mentzla. Po śmierci narzeczonego, Tadeusza Pakulskiego, w Powstaniu Styczniowym, nie wyszła za mąż, żyjąc skromnie z niewielkiej renty i z udzielania lekcji języka niemieckiego. Po skazaniu w roku 1879 ukochanego siostrzeńca, Ludwika Metzla na zesłanie na Sybir, wszystkie swoje niewyżyte uczucia rodzinne przeniosła na siostrzenicę, Zofię. Po jej przedwczesnej śmierci w roku 1890 zamieszkała na prośbę Ignacego Nagórskiego w jego domu i przez kilkanaście lat prowadziła gospodarstwo wdowca oraz zajmowała się wychowaniem dwojga nieletnich dzieci: Jana i Emilii. Dla wszystkich, zarówno dla rodziny, jak i dla znajomych, była po prostu ciotką Emilią. Do końca życia w pokoju jej, na pocze-

snym miejscu, stała młodzieńcza fotografia Ludwika, który po ucieczce z zesłania w roku 1881 przebywał w Genewie, a po powrocie do kraju w roku 1884, w tym samym roku został aresztowany i w słynnym procesie 29 Proletariaczyków skazany na śmierć.

Zmarła 25 VIII 1905, po krótkiej chorobie, w wyniku komplikacji wywołanych zapaleniem płuc.

NAGÓRSKA MARIA, 2^o voto SOŁTANOWA — ur. 12 X 1884 w Krakowie, córka Ludwika Kellera i Kazimiery z Krogulskich. W roku 1902, mając zaledwie osiemnaście lat, debiutowała w warszawskim Teatrze Rozmaitości w roli Klary w *Zemście*. Kronikarz tych czasów tak m.in. napisał o niej we wspomnieniach teatralnych, ogłoszonych w latach pięćdziesiątych: „Jeżeli znała jakie powietrze, to tylko to, nie dość odświeżone, ale duchem artystycznym nasycone, powietrze kulis aktorskich garderób, korytarzy, rekwizytorni czy tapicerni. Abecadła uczyła się z ról aktorskich; w domu, jeżeli się o czym mówiło, to o teatrze i o aktorach, na pamięć umiała wszystkie efekowniejsze sceny, jakie grywali warszawscy artyści; nie było takiego skórobrania, które by ją zdolne było oduczyc od spędzania czasu w jakichś zakamarkach zascenia, świat się dla niej zamknął w tym czarodziejskim pudle, które się nazywa sceną, tajemnice gry aktorskiej wsiąkały w nią, jak płyn wsiąka w ziemię. Nim została aktorką, w palcach już miała technikę gry scenicznej, w sercu namiętny pęd do tworzenia”. I w innym miejscu ten sam pamiętnikarz: „Pamiętam swoje pierwsze wrażenie z jej pierwszej roli, w jakiej ją w »Rozmaitościach« słyszałem — słyszałem, nie widziałem, bo w czyjejs łóżki wypadało mi siedzieć w głębi, za trzema damami w kapeluszach z oranżerii i filiami ogrodów botanicznych, zasłaniających doszczętnie scenę. Poznałem więc Kellerównę przede wszystkim z jej głosu i z jej mówienia. Zasluchiwałem się w jej mezzosopran świetnie postawiony i jakżeż po majstersku zużywany w olśniewających wierszach Fredry! Dykcja, nawet jak na »Rozmaitości«, fenomenalna. Zgłoski biegły czyściutkie, nieobarczone żadnym »cieniem dźwiękowym«, jakby ktoś lotne powietrze w perelki rzeźbił. I to jeszcze w jej mówieniu było osobliwe w zestawieniu ze starymi »Rozmaitościami«: gdy oni po swojemu, więc pięknie, mówili, to — choćby w minimalnym stopniu — zwracali, rzekłbyś, uwagę słuchacza na ozdobność swego słowa. Kellerówna, już wżyta w styl sztuki nowszej, gdzie nie piękność, lecz naturalność mówienia staje się celem, Kellerówna jakby nie wiedziała, że ślicznie mówi i jakby to sobie za nic miała. Nie znałem wówczas Stendhala, lecz gdybym go znał — mógłbym, mówiąc o grze Kellerówny, powiedzieć to samo, co on niegdyś napisał o słynnej Rachel: »gra w tragedii, jakby sama wymyślała to, co mówi...«, nie pamiętam drugiej u nas artystki, która by w grze swojej dawała tyle bezpośredniości. Grała tak, jak »ptakowie śpiewają«, jak kwiat kwitnie, czyli jakąś niezbadaną koniecznością grania tak, a nie inaczej: nie inaczej, a nieomylnie. Wszystko, co ludzkie, a zwłaszcza wszystko, co kobiece — miłość we wszystkich miłości odcieniach, ból czy szczęście, radość czy łzy — odbijało się w niej jak w zwierciadle, zwłaszcza jej oczy, śliczne, duże oczy, z maksymalną wrażliwością komunikowały wszystko, co się w sercu dzieje... w talencie Kellerówny spoczywał jakiś sekret wyjątkowo mocnego oddziaływania na widzów, choć grała, można powiedzieć, skromnie, bez wirtuozerii, bez roztaczania kunsztu aktorskiego, w którym celowały dawne artystki »Rozmaitości«. Była już gatunkiem artystycznym nowego stylu, poezji naturalności. Nawet kobiety zachwycały się jej urodą, a o tej urodzie jakby się zapominało, tak stronę fizyczną zjawiska przewyższały duchowe elementy tworzenia, tak promieniało z niej gorące wzywianie się w odtwarzaną postać. Musset o poezji powiedział, że piękne w niej przede wszystkim to, co proste, a najpiękniejsze to, co jest »tylko załkaniem« (*les purs sanglot*). Potwierdzał to talent Kellerówny: jej najprostsze akcenty, najcichsze dźwięki słów, a nawet same tylko spojrzenia potrafiły nieraz dawać przykład wzruszającego osiągnięcia emocjonalnego. Ileż niezapomnianych ról stworzyła w swojej krótkiej i olśniewającej karierze! Klara w *Zemście*, Rozalinda w *Burzy*, Rozyna w *Weselu Figara*, a nade wszystko zjawiskowa i równocześnie jakże ziemiska Julia! W marcu roku 1908, na uroczystym spektaklu szekspirowskiej tragedii, Kellerówna żegnała się ze sceną na zawsze. Tak oto kandydatka na jedno z pierwszych w przyszłości miejsc w zespole aktorskim scen polskich, po niespełna pięciu latach pracy dla sztuki, zabłysnąwszy na niebie teatralnym jak meteor, opuszcza teatr i to na stałe. Jak niegdyś Popielka, a zaraz po wojnie Janina Szyling, poświęca laury aktorskie dla szczęścia małżeńskiego i młod-

Kobieta, Artysta,
Małżeństwo, Pozycja
społeczna, Sztuka, Obyczaje

sze pokolenia tylko od swoich żyjących jeszcze rodziców lub dziadków dowiadują się, że przed czterdziestu kilku laty w warszawskich »Rozmaitościach« grywała i zachwycała Maria Keller, ulubienica publiczności, popularnie Kellerką nazywana. I choć dalsze koleje życia znakomitej artystki nie należą już do *Wspomnień teatralnych*, godzi się wspomnieć, że sfera sztuki nie opuściła tego »czarodziejskiego dziecięcia«, jej bowiem synem, jako pani Ignacowej Nagórskiej, dzisiaj czcigodnej staruszki, jest jeden z naszych najznakomitszych pisarzy, Adam Nagórski”.

W „Kurierze Warszawskim” z dn. 24 kwietnia 1908 roku można znaleźć następującą notatkę: „Wczoraj, w kościele Zbawiciela w godzinach rannych, w ścisłym gronie najbliższej rodziny, odbyła się uroczystość zaślubin znakomitej artystki Teatru Rozmaitości Marii Kellerówny, ze znanym adwokatem, rejentem Ignacym Nagórskim. Ślubu udzielił ks. prałat Aleksander Plater, świadkami byli Bolesław Prus oraz nestor naszych scen Bolesław Leszczyński. Jak się dowiadujemy, nowożeńcy tego samego dnia wieczorem opuścili Warszawę, udając się w podróż poślubną do słonecznej Italii”.

Ta podróż, przewidziana pierwotnie na kilka tygodni, przedłużyła się do pięciu miesięcy. Z Włoch udali się nowożeńcy do Hiszpanii i dopiero z początkiem września opuścili Paryż, aby zdążyć na ślub córki Nagórskiego, Emilii, z dr. Olgierdem Czaplickim.

4 sierpnia 1909 roku przyszedł na świat syn Nagórskich, Adam. Chrzest odbył się w parę tygodni później, 15 sierpnia, w kościele Zbawiciela (Nagórscy mieli duże, szczęśliwe mieszkanie we własnej kamienicy przy ulicy Wilczej), chrztu udzielił ks. prałat Aleksander Plater, a rodzicami chrzestnymi Adama byli: żona Bolesława Prusa, pani Oktawia Głowacka oraz Julian Ochorowicz, filozof i psycholog, w swoim czasie jeden z najwybitniejszych pozytywistów, obecnie uprawiający mediumizm oraz okultyzm i dzięki tym swoim studiom znów, po latach stosunków raczej chłodnych, zaprzyjaźniony z Ignacym Nagórskim.

W latach następnych, jeszcze przed pierwszą wojną światową, Maria Nagórska kilkakrotnie wyjeżdżała za granicę: do Grecji, Egiptu i na Sycylię, odbywała jednak te podróże bez męża, w towarzystwie panny służącej, raz tylko, gdy Adam miał cztery lata i przeszedł dość ciężkie zapalenie płuc, spędziła z nim lato w Nicei. Po śmierci męża w roku 1919, mimo zabezpieczenia materialnego (kamienica w Warszawie, willa w Konstancinie oraz liczne place w jednej z miejscowości podwarszawskich), założyła przy ulicy Kruczej pracownię krawiecką, która w latach następnych pod firmą „Rozalinda” stanie się jednym z najdroższych i najwytworniejszych domów mody stolicy, gromadząc klientelę ze sfer teatralnych, później po przewrocie majowym również i z kół rządowo-wojskowych.

W roku 1920, w czasie tzw. inwazji bolszewickiej, pracując w jednym z warszawskich szpitali jako siostra miłosierdzia, poznała ciężko rannego rotmistrza Grzegorza Abgar-Sołtana, zakochała się w nim, i w roku następnym, mimo różnicy wieku, ona miała lat trzydzieści sześć, a on zaledwie dwadzieścia osiem, wyszła za mąż. Poza pierwszym, zresztą krótkotrwałym okresem, mało szczęścia przyniosło jej to małżeństwo. Grzegorz Sołtan, po przewrocie majowym pułkownik, wciąż młodzieńczy i bardzo przystojny, stale ją zdradzał, parokrotnie opuszczał, wreszcie doszło do rozwodu, gdy w roku 1930 pułk. Sołtan został mianowałby attachée wojskowym w Rzymie.

Okres okupacji Maria, z powrotem po rozwodzie Nagórska, spędziła w Warszawie. „Rozalinda”, choć na skalę skromniejszą, dalej prosperowała. Jest również dawna Kellerka właścicielką modnej w tych latach restauracji „Rozyna”, w której obsługują dawne jej koleżanki i koledzy. Dzięki tym umiejętnie prowadzonym interesom, a również w wyniku rozlicznych transakcji walutowych oraz pośredniczeniu w handlu biżuterią i dziełami sztuki Maria Nagórska, mimo zniszczenia kamienicy przy Wilczej i utraty całego majątku osobistego, wyszła z powstania ze znacznym majątkiem ulokowanym w złocie, w biżuterii i w dolarach. Jej żywotność i energia były nadal niespożyte. Zaraz po powstaniu otworzyła na terenie Podkowy Leśnej małą restauracyjkę, a po wyzwoleniu Warszawy, z końcem stycznia roku następnego, przeniósła się do Konstancina, gdzie w swojej willi urządziła pensjonat, prowadząc go aż do lat pięćdziesiątych, gdy po otrzymaniu dwupokojowego mieszkania w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, sprzedała willę z całym urządzeniem ZAIKS-owi i przeniósła się na stałe do stolicy, dobierając sobie za towarzyszkę swoich podeszłych lat Eugenię Kordys, dawną krawcową „Rozalindy”.

NAGÓRSKA ZOFIA (1860–1890) — ur. 4 IV 1860 w Warszawie, córka zamożnego fabrykanta powozów, Franciszka Metzla oraz Emilii, z kupieckiej rodziny Dregerów (znana w tamtych latach firma kuśnierska). Skończyła pensję panny Tymińskiej. W roku 1879 w związku z procesem, jaki wytoczono starszemu bratu Ludwikowi oraz grupie studentów Uniwersytetu Warszawskiego, oskarżonych o przynależność do tajnej organizacji socjalistycznej (tzw. Gminy socjalistów polskich, włączonej w parę lat później do utworzonego przez Waryńskiego Proletariatu) poznała młodego prawnika i publicystę, Ignacego Nagórskiego. W roku następnym wyszła za niego za mąż.

Zmarła 15 II 1890 przy trzecim, nieszczęśliwym połogu, pozostawiając dwoje nieletnich dzieci: Jana i Emilię.

NAGÓRSKI ADAM — ur. 4 VIII 1909 w Warszawie, syn Ignacego Nagórskiego i Marii z Kellerów. Studia średnie odbywał w Jeleniu, w Poznańskim i ostatnią klasę gimnazjalną u ojców marianów na Bielanach, w Warszawie. W roku akademickim 1927/28 studiował na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej, w latach 1928–1932 na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1932 ożenił się z Alicją Wanert i rozwiódł się z nią w roku następnym. Debiutował w roku 1934 tomem opowiadań. W 1939 otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury za powieść *Pragnienia*.

W czasie wojny przebywał w Warszawie, biorąc czynny udział w konspiracyjnym ruchu podziemnym. Po wojnie mieszkał w Konstancinie pod Warszawą i od roku 1949 w Warszawie. W latach 1947–1957 członek PPR i PZPR. W 1948 otrzymał nagrodę tygodnika „Odrodzenie”, za powieść *Natchnienie świata*. W latach 1949–1956 członek i następnie wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. 1956–1958 prezes Oddziału Warszawskiego ZLP. 1952–1956 poseł na Sejm.

Twórczość

1. *Zdrada*. Opowiadania. Warszawa, 1934. (Tom zawierający cztery opowiadania: *Zdrada*, *Cień ziemi*, *Tylko tyle*, *Kiedy ptaszek*).

2. *Pragnienia*. Powieść. Warszawa, 1938.

3. *Natchnienie świata*. Powieść. Warszawa, 1947.

4. *Portret Maurycego Mochnickiego*. Warszawa, 1949.

5. *Nowy powrót z ZSRR*. Warszawa, 1950.

6. *Spowiedź brzuchomówcy*. Opowiadania. Warszawa, 1956.

7. *Karolinka*. Powieść. Warszawa, 1956

8. *Notatki i zapiski I*. Warszawa, 1957.

9. *Opowiadania historyczne*. Warszawa, 1958 (Tom zawierający trzy dłuższe opowiadania: *Przed odjazdem* — o Adamie Mickiewiczu, palącym swoje papiery przed wyjazdem do Turcji; *Gry przegrane i wygrane* — spotkanie Katarzyny II ze Stanisławem Augustem Poniatowskim w Kaniowie, w maju 1787; *Starość* — opowiadanie o starym, dogorywającym w Puławach poecie, Stanisławie Trembeckim, ślepym i na pograniczu obłądu).

10. *Nagroda Nobla*. *Zamek snów*. Opowiadania. Warszawa, 1959.

11. *Drzewo*. Powieść. Warszawa 1962. (Druga wersja dłuższego opowiadania napisanego w roku 1943 i zaginionego wraz z innymi papierami pisarza w czasie Powstania Warszawskiego. Opowieść ta, osnuta na autentycznym zdarzeniu, rozgrywała się w czasie wojny, na wsi, w Kielecczyźnie, gdy Niemcy, przeprowadzając akcję pacyfikacyjną, spędzili ponad stu mieszkańców onej wsi pod ogromny, stary dąb i kazawszy się wszystkim rozebrać, nagich zagnali na rozłożyste, potężne drzewo, po czym bezbronnym wystrzelali po kilku godzinach. Druga wersja tej historii, opublikowana w wydaniu książkowym, zachowując wszystkie realia wersji poprzedniej, rozgrywa się w czasie wojny trzydziestoletniej).

12. *Notatki i zapiski II*. Warszawa, 1964.

13. *Ostatnia godzina*. Powieść. Warszawa, 1967.

14. *Prometeusz Ajschylosa* (w rękopisie).

15. *Czarodziej* (Opowieść o pełnym uroku i inteligencji młodym człowieku, którego niepoohamowana potrzeba bezustannego kreowania życia zarówno własnego, jak i innych ludzi, doprowadza do przykrych konfliktów z prawem; w rękopisie).

16. *Nowe opowiadania. W dzień zwycięstwa wieczorem. Modlitwy. Dużo piasku i mało. Narodziny* (w rękopisie).

17. *Msza za poetę* (powieść niedokończona, w rękopisie).

NAGÓRSKI IGNACY (1848–1919) — ur. 22 II 1848 w Białej Podlaskiej, syn Jana Adama Nagórskiego (1815–1887) i Pauliny z Radomyskich (1826–1914). Ojciec Ignacego, pochodzący z zamożnej jeszcze w poprzednim pokoleniu rodziny ziemiańskiej, był właścicielem małego dworku na przedmieściu Białej, zajmował się sadownictwem oraz hodowlą pszczół, tracił jednak tak wiele na nieudanych eksperymentach, iż musiał dorabiać na utrzymanie rodziny oraz kontynuowanie swoich doświadczeń, pracując jako buchalter w administracji miejscowego majątku Radziwiłłów. Do gimnazjum Ignacy Nagórski uczęszczał w Białej, maturę zdał w roku 1866, następnie studiował na wydziale prawnym w warszawskiej Szkole Głównej, gdzie kolegował m.in. z Sienkiewiczem, Prusem oraz Świętochowskim. Po zamknięciu Szkoły Głównej w roku 1869 i przekształcaniu jej na uniwersytet rosyjski, wyjechał do Lipska, gdzie po ukończeniu studiów prawnych studiował filozofię. Po powrocie do Warszawy w roku 1883 współpracownik „Przeglądu Tygodniowego”, później „Nowin i Prawdy”, znakomity polemista i propagator idei pozytywistycznych, bliski przyjaciel i współpracownik Aleksandra Świętochowskiego, ówczesnego przywódcy walki „młodych ze starymi”. W roku 1880 ożenił się z Zofią Mentzel, córką fabrykanta powozów i dzięki posagowi żony otworzył kancelarię adwokacką, stając się niebawem znanym i cenionym w kołach postępowych obrońcą, słynnym zwłaszcza ze swoich wystąpień w procesach politycznych. Z małżeństwa z Zofią miał dwoje dzieci: Jana i Emilię. Kilka lat po śmierci żony, w 1890 porzucił adwokaturę i kupił kancelarię rejentalną. W roku 1908, będąc już człowiekiem bardzo zamożnym, ożenił się po raz drugi, z młodszą od siebie o prawie czterdzieści lat, znakomicie się zapowiadającą aktorką Teatru Rozmaitości, Marią Keller. Z tego małżeństwa urodził się w roku 1909 syn, Adam.

Po upadku rewolucji 1905 roku Ignacy Nagórski całkowicie się odwrócił od ideałów młodości, ostatnie lata życia poświęcił studiom nad mediumizmem i zjawiskami hipnotycznymi, urządzając u siebie seanse spirytystyczne.

Po długiej i ciężkiej chorobie (rak prostaty) zmarł 11 XI 1919 w klinice prowadzonej przez swego zięcia, prof. Olgierda Czaplickiego.

NAGÓRSKI JAN, pseud. MARECKI, GÓRSKI, JAN (1882–1937) — ur. 17 III 1882 w Warszawie, syn Ignacego Nagórskiego i Zofii z Mentzlów. Od wczesnej młodości brał udział w robotniczym ruchu rewolucyjnym. Po ukończeniu gimnazjum w 1901 wstąpił w tym samym roku do Polskiej Partii Socjalistycznej. Jako najbliższy współpracownik wybitnej rewolucjonistki, Marii Koszutskiej-Kostrzewy, działał głównie na terenie Łodzi. W latach 1903 i 1904 parokrotnie więziony. W 1905 roku brał czynny udział w wypadkach rewolucyjnych w Warszawie, stając się wraz z Marią Kostrzewą jednym z czołowych przedstawicieli lewicy PPS, zwalczając prawicowe i nacjonalistyczne tendencje w partii i opowiadając się za ścisłą współpracą z rewolucyjnym ruchem rosyjskim. W 1906 brał udział w organizowaniu i w obradach IX Zjazdu PPS w Wiedniu, stając się jednym z głównych współtwórców powstałej wówczas PPS-Lewicy. Do 1918 — członek jej władz naczelnych (Centralny Komitet Rewolucyjny), obok Marii Koszutskiej-Kostrzewy i Henryka Waleckiego-Horowitza jeden z najbardziej aktywnych działaczy rewolucyjnych. Po upadku rewolucji przebywał krótko w Wiedniu, w Petersburgu i w Krakowie. W 1908 wrócił do Łodzi, następnie działał na terenie Warszawy, z ojcem nie utrzymując żadnych stosunków. Współredaktor „Robotnika”, organu PPS-Lewicy, współpracował również z wieloma innymi pismami związanymi z PPS-Lewicą, m.in. z „Myślą Socjalistyczną”, „Nowym Życiem” i „Kuźnią”. Jako wybitny publicysta i ideolog Partii odegrał dużą rolę w opracowywaniu zasad programowych, wyznaczających strategię oraz taktykę Partii. Ostro zwalczał wszelkie przejawy nacjonalizmu i antysemityzmu. Od 1912 na

emigracji, w Wiedniu, potem w Szwajcarii, gdzie wraz z Henrykiem Waleckim współpracował z lewicą socjalistyczną. Współredaktor pisma „Volksrecht”. Uczestnik międzynarodowych konferencji socjalistycznych w Zimmerwaldzie (1915) i Kientalu (1916). W latach 1916–1917 więziony przez Niemców wraz z czołowym działaczem SDKPiL, Adolfem Warskim, w Zelle, następnie w Havelbergu. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku wrócił do kraju. Należał do grona organizatorów Komunistycznej Partii Polski, powstałej z połączenia PPS-Lewicy i SDKPiL, odegrał czołową rolę w przygotowaniu Zjazdu Zjednoczeniowego (grudzień 1918), na którym wybrano go do Komitetu Centralnego i sekretariatu KC. W 1918–1919 brał z ramienia KC KPP udział w organizowaniu rad delegatów robotniczych. Uwięziony w roku 1920, zbiegł i udał się na emigrację. Wraz z Marią Koszutską i Adolfem Warskim wchodził w skład zagranicznego kierownictwa KPP. Uczestniczył w działalności Międzynarodówki Komunistycznej. Przebywał w Gdańsku i w Berlinie, następnie w ZSRR, skąd nielegalnie przyjeżdżał do Polski. Z ramienia kierownictwa KPP przygotowywał z Marią Kostrzewą tzw. „tezy agrarne” na III konferencję partyjną w 1922. Brał udział w założeniu teoretycznego organu KPP „Nowego Przeglądu”. Był przedstawicielem KC KPP przy Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki.

Jan Nagórski, działając w tym okresie w kraju pod pseudonimem „Marecki” był autorem wielu podstawowych dokumentów partyjnych. Należał do głównych organizatorów i referentów II Zjazdu KPP (1923), który miał przełomowe znaczenie dla przezwyciężenia tzw. sekciarstwa i kształtowania się nowej linii politycznej Partii. Tezy agrarne opracowane przez Marię Koszutską i Jana Nagórskiego orientowały Partię na sojusz z chłopstwem i wysuwały hasło podziału ziemi obszarnej zamiast głoszonej poprzednio nacjonalizacji. Tezy te zostały przyjęte jako uchwała II Zjazdu, na którym wybrano Nagórskiego do zagranicznego Biura Politycznego. W 1924, w związku z krytyką polityki Biura ze strony Międzynarodówki na mocy decyzji Komisji Polskiej powołanej przez V Kongres Międzynarodówki pod przewodnictwem Stalina, Nagórski wraz z innymi czołowymi przywódcami KPP, jak Koszutska, Walecki i Warski, którzy odegrali czołową rolę na II Zjeździe, został odsunięty od kierowniczej pracy partyjnej i skierowany do Pracy w Międzynarodówce Chłopskiej. Bo Biura Politycznego oraz KC wszedł po przewrocie majowym w 1926. W dyskusji wewnętrzzopartyjnej, toczącej się wokół stosunku Partii do przewrotu, był reprezentantem tzw. większości, opowiadającej się za jednolitym frontem z ugrupowaniami socjalistycznymi. W 1928 uczestniczył w VI Kongresie Międzynarodówki. W czerwcu 1929 na VI Plenum KC KPP, w rezultacie uzyskania przez grupę „mniejszości” oparcia w Międzynarodówce wyłoniono nowe kierownictwo z Julianem Leszczyńskim-Leńskim, jako sekretarzem generalnym. Działacze „większości”, m.in. Jan Nagórski, zostali usunięci z instancji centralnych i pozbawieni możliwości aktywnej działalności w KPP.

W 1930, wraz z zapoznaną niedawno Julią Singer, Nagórski wyjechał do ZSRR, gdzie pracował w Instytucie Marksa-Engelsa-Lenina. Aresztowany w czerwcu 1936 na podstawie fałszywych oskarżeń, w roku następnym został rozstrzelany, dzieląc w ten sposób los swoich towarzyszy, jak: Koszutska, Warski, Walecki, Leszczyński.

W 1956 po XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego rehabilitowany.

NAGÓRSKI WŁADYSŁAW (1846–1940) — ur. 7 VI 1847 w Białej Podlaskiej, syn Jana Adama i Pauliny z Radomyskich, starszy brat Ignacego. Skrzypek, kompozytor, krytyk muzyczny i pedagog, uczeń Apolinarego Kątskiego. w Instytucie Muzycznym w Warszawie oraz Fryderyka Kiela w Berlinie. Solista Teatru Wielkiego w Warszawie, nauczyciel Konserwatorium Warszawskiego od roku 1884, recenzent muzyczny „Słowa”. Koncertował w wielu krajach Europy, m.in. z Paderewskim w Paryżu, w sali Erarda, 9 IV 1890. Pod koniec stulecia osiedlił się w Paryżu. Solista w orkiestrze Lamoureux, prowadził tzw. *Lesons d'accompagnement*, polegające na stylowym opracowaniu oraz interpretacji muzyki kameralnej. Ważniejsze kompozycje: stylowe kadencje do koncertów skrzypcowych Beethovena i Mendelssohna, *Suita skrzypcowa C-moll*, *Mazurki*, *Berceuse*

i *Intermezzo capriccioso*, *Preludium* i *Fuga*, *Wariacje na temat Paganiniego*. Dożył dostatecznie sędziwego wieku, aby swojej stryjecznej wnuczce, Halinie Czaplickiej, ułatwić pierwsze kroki, gdy wiosną 1939 przyjechała do Paryża.

Zmarł 15 II 1940, wkrótce po niebywałym sukcesie Haliny w Operze Paryskiej w roli Carmen i w partii Jokasty w *Królu Edypie* Strawińskiego.

ORLIK HENRYK — ur. 13 III 1928 w Warszawie, syn farmaceuty, Lucjana Orlika i Stefanii z Markowskich. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie w oddziale partyzanckim, działającym na terenie Kielecczyny. Ranny i schwytany z bronią w rękę wiosną 1946, znalazł się w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach, gdzie w czasie śledztwa zetknął się z pułkownikiem Raszewskim, podówczas szefem UB w Kielcach. Raszewski zorientowawszy się, że ma do czynienia z inteligentnym i wrażliwym chłopcem, piszącym wiersze i marzącym o karierze literackiej, potrafił zmienić przesłuchiwanie w dialog. Osiemnastoletni Orlik, zresztą zagrożony karą śmierci, wyszedł z tych rozmów całkowicie w sensie orientacji politycznej odmieniony, zgodził się również w zamian za wolność i dla zmazania swoich przewinień współpracować z Bezpieczeństwem.

Lata 1946–1952 spędził we Wrocławiu (pod opieką kapitana Władysława Pasieki). Zrobił maturę i studiował polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Opublikował dwa tomy wierszy: *Kohysanki i Płomienie* (1948) oraz *Maski* (1950), w których formalne wartości tomiku poprzedniego świadomie zostały uproszczone na rzecz ideowego zaangażowania i demaskatorstwa postaw wrogich socjalizmowi. Wydał również tom opowiadań o tematyce współczesnej *Chocholy* (1952). Od roku 1950 członek Związku Literatów Polskich.

Jesienią 1952 roku przeniósł się na stałe do Warszawy, zarabkując przez lata następne pisywaniem tekstów do piosenek pod pseudonimem: Marek Sawicki. W roku 1953 ożenił się z chórzystką zespołu „Mazowsze”, Hanką Galicką, w następnym dziesięcioleciu dość popularną pieśniarką.

Do działalności pisarskiej wrócił po wielu latach dopiero z początkiem roku 1968, publikując w czasie wypadków marcowych i po nich szereg ostrych, szczególnie brutalnych artykułów na łamach „Panoramy Tygodnia”.

OTOCKA JOLANTA — ur. 12 I 1921 w Pińsku, córka urzędnika państwowego, przed wybuchem II wojny światowej starosty w województwie wileńskim, Tadeusza Dębowskiego i Anny z Kobielskich. Szkołę średnią ukończyła w Wilnie. Z początkiem roku 1940 została wraz z rodzicami wywieziona przez władze radzieckie do Kazachstanu, gdzie w roku następnym, w marcu, oboje jej rodzice zmarli na tyfus. Od roku 1943 zatrudniona w charakterze urzędniczki w kierownictwie politycznym I Armii, organizowanej przez komunistyczny Związek Patriotów Polskich, działający na terenie Związku Radzieckiego. Zdemobilizowana jesienią 1945, zamieszkała w Krakowie wraz ze swoim kochankiem, kapitanem wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, Władysławem Pasięką. Zatrudniona w charakterze sekretarki Witolda Otockiego, pełniącego podówczas funkcje wiceprezenta miasta. W połowie roku 1946 wyszła za mąż za swego szefa, nadal zresztą pozostając jego sekretarką. W roku 1947 już po przeniesieniu się do Warszawy, gdy Otocky został mianowany wiceministrem w Ministerstwie Kultury i Sztuki, urodziła syna, Michała.

W latach następnych współpracowniczka pism oraz wydawnictw młodzieżowych, sama pisze i publikuje liczne wiersze oraz powiastki dla starszych dzieci. W dziesięcioleciu ostatnim, porzuciwszy ten rodzaj twórczości, zaczęła pod pseudonimem Marka Soplisy publikować powieści kryminalne, oparte przeważnie na aferach szpiegowskich i przemytniczych.

OTOCKA SEWERYNA (1910–1942) — ur. 14 IX 1910 w Jaśle, córka lekarza, wenerologa, Bronisława Korala i Zofii z Sachsów. W czasie studiów medycznych w Krakowie

poznała młodego działacza Polskiej Partii Socjalistycznej, Witolda Otockiego i w roku 1936 wyszła za niego za mąż. W roku 1938 urodziła syna Pawła. Obrawszy sobie jako specjalność hematologię, zapowiadała się w momencie wybuchu wojny na wybitną się naukową.

Od pierwszych dni niemieckiej okupacji brała wraz z mężem aktywny udział w organizowaniu walki podziemnej na terenie Krakowa. Zagrożona dodatkowo ze względu na swoje żydowskie pochodzenie, nakłoniła męża, aby ze względu na bezpieczeństwo odwiózł małego Pawła do jego rodziców w Tarnowie, sama zaś zamieszkała oddzielnie i pod fałszywymi papierami.

Aresztowana w styczniu 1942, została zamordowana w czasie śledztwa w krakowskim więzieniu na Montelupich.

OTOCKI MICHAŁ — ur. 26 IV 1947 w Warszawie, syn Witolda Otockiego i Jolanty z Dębowskich. Porzucił naukę w X klasie licealnej, w roku następnym powołany do służby wojskowej. W jednostce wojskowej w Lidzbarku trafił dzięki swym uzdolnieniom wokalnemu do zespołu artystycznego. W roku 1966 na konkursie piosenek radzieckich z Zielonej Góry otrzymał I nagrodę. Dalszą służbę wojskową odbywał w Warszawie, w Zespole Artystycznym Wojska Polskiego. W 1967 został przyjęty do Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”, wkrótce go jednak opuścił, zakładając wraz z kilkoma przyjaciółmi zespół big-beatowy La-Da-Co. Gra w tym zespole na gitarze i śpiewa.

OTOCKI PAWEŁ (1882–1957) — ur. w 1882 w Łańcucie, w licznej rodzinie skromnego oficjalisty w dobrach hrabiów Potockich. Urzędnik pocztowy w Tarnowie. W roku 1908 ożenił się z Katarzyną Kaczorowską. Z trojga dzieci, które ze sobą mieli, wychował się tylko syn, Witold.

Zmarł w listopadzie 1956.

OTOCKA KATARZYNA (1885–1958) — ur. w 1885 w Tarnowie, w rodzinie rzemieślniczej. W 1908 wyszła za mąż za urzędnika pocztowego, Pawła Otockiego. Wraz z mężem wychowała wnuka, Pawła Otockiego.

Zmarła w grudniu 1958.

OTOCKI PAWEŁ — ur. 21 VIII 1938 w Krakowie, syn Witolda Otockiego i Seweryny z Koralów. Od czwartego roku życia wychowywał się w Tarnowie, u swoich dziadków, Pawła i Katarzyny Otockich. Gdy z początkiem roku 1945 Witold Otockki powrócił z obozu oświęcimskiego i natychmiast wpadł w wir działalności politycznej — życie w tych pierwszych miesiącach wolności było zbyt intensywne i nieunormowane, aby samotny mężczyzna mógł się podjąć wychowywania siedmioletniego chłopca. Został więc na razie mały Paweł u dziadków, zresztą ku ich wielkiemu zadowoleniu, zdążyli się bowiem w ciągu minionych lat do wnuka przyzwyczać. Gdy w roku następnym Witold Otockki ponownie się ożenił, sam przestał być zainteresowany ewentualnym powrotem syna, a skoro niebawem przyszedł na świat Michał i Otoccy przenieśli się do Warszawy — ostatecznie utrwaliła się pomiędzy Otockimi i jego rodzicami umowa, zresztą nigdy wyraźnie nie precyzowana, że Paweł zostaje przy dziadkach, a jego ojciec ograniczy swoją opiekę do przekazywania co miesiąc pewnej sumy, pokrywającej koszt utrzymania i wychowania chłopca. Ze swej strony Paweł nigdy żadnego zainteresowania osobą ojca ani jego nową rodziną nie zdradzał.

Liceum Ogólnokształcące w Tarnowie ukończył w 1956. Przez następne trzy lata studiował biologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1959, już po śmierci babki (dziadek zmarł parę lat wcześniej), znalazłszy się wraz z młodzieżową wycieczką we Francji, odmówił powrotu do kraju.

Od roku 1961 przebywa w Monachium, zmienił nazwisko na Paweł Koral i pod tym nazwiskiem jest znany jako jeden z najbardziej czynnych komentatorów politycznych, radia „Wolna Europa”.

OTOCKI WITOLD — ur. 29 VI 1910 w Tarnowie, syn urzędnika pocztowego, Pawła Otockiego i Katarzyny z Kaczorowskich. Studia średnie odbył w Tarnowie, wyższe na wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Od wczesnej młodości uczestniczył w ruchu socjalistycznym. Podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim był w zarządzie akademickiego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (ZNMS), brał również udział w pracach Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (TUR) w Krakowie. Po ukończeniu wyższych studiów w 1934 — członek Polskiej Partii Socjalistycznej, wiceprzewodniczący TUR-u województwa krakowskiego, publicysta, współpracownik krakowskiego „Naprzodu” i centralnego organu partii, „Robotnika”. W latach 1933–1936 brał czynny udział w kampanii o amnestię dla więźniów politycznych. W 1937 współorganizował powszechny strajk robotników warszawskich. W 1936 ożenił się z młodą lekarką pochodzenia żydowskiego, Seweryną Koral (ur. w Jaśle, w 1910). W 1939, w stopniu porucznika artylerii, walczył w kampanii wrześniowej. Zbiegłszy z niewoli niemieckiej w końcu 1939 brał aktywny udział w organizowaniu walki podziemnej z okupantem na terenie Krakowa. Jeszcze przed aresztowaniem żony, z końcem 1940 odwiózł małego syna, Pawła do swoich rodziców w Tarnowie. W styczniu 1942 Seweryna Otocka została zamordowana w więzieniu na Montelupich w Krakowie, w parę miesięcy później, w połowie marca, gestapo aresztowało Otockiego. Po dłuższym śledztwie na Montelupich został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie przez następne lata brał czynny udział w międzynarodowej organizacji obozowego ruchu oporu. Po wyzwoleniu wraca do Krakowa, zostaje natychmiast dokooptowany do Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS, pracuje najpierw w reaktywowanym „Naprzodzie”, nawiązuje kontakty ze starymi krakowskimi socjalistami, w kwietniu mianowany wiceprezydentem Krakowa, podlegają mu resorty kultury, oświaty i propagandy. W pierwszym okresie po wyzwoleniu związany z tym odłamek PPS, który, nie odrzucając współpracy z Polską Partią Robotniczą, dążył jednak do utrzymania własnej linii ideowej. Mianowany z początkiem roku 1947 wiceministrem Kultury i Sztuki zmienił swoją dotychczasową orientację polityczną, stając się zwolennikiem połączenia PPS z PPR. W wyborach do Sejmu Ustawodawczego został wybrany posłem. W grudniu 1948 brał udział w ostatnim, XXVIII Zjeździe PPS, który uchwalił połączenie z PPR, nie został jednak wybrany do władz nowo utworzonej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W lutym 1949 opuścił resort Kultury i Sztuki i dopiero po kilku miesiącach otrzymał nominację na dyrektora jednego z warszawskich wydawnictw, pozostając na tym stanowisku do roku 1952, kiedy znów przeszedł do ministerstwa, jako dyrektor departamentu teatralnego. W latach 1953–1955 kierownik artystyczny Teatru Popularnego. W roku 1955 przechodzi do Radia na stanowisko naczelnego redaktora programów dziecięco-młodzieżowych. Kiedy po wypadkach marcowych w 1968 założyciel oraz wieloletni dyrektor Teatru Stołeczno, Roman Gorbaty, zostaje zwolniony, stanowisko to obejmuje Otockie.

W połowie roku 1946, gdy pełnił funkcję wiceprezydenta Krakowa, ożenił się ze swoją sekretarką, Jolantą Dębowską. Ma z nią syna, Michała.

PANEK GUSTAW — ur. 27 IX 1948 w Białymstoku, syn Leopolda Panka i Zofii z Motylów.

Bez żadnych zainteresowań intelektualnych i artystycznych, fizycznie, a także i psychicznie podobny do ojca, może tylko bardziej od niego niezależny, zafascynowany od najmłodszych lat techniką i sportem — kiepsko się uczył w szkole podstawowej i mimo gwałtownych sprzeciwów matki zrezygnował z liceum, zapisując się do Technikum Samochodowego. Ukończywszy je w roku 1967, wyjechał natychmiast do Olsztyna, gdzie w roku następnym ożenił się z Krystyną Urbańską, ekspedientką w Domu Towarowym. Z rodziny, zawiadomionej o tym wydarzeniu, przyjechał na ślub tylko Leopold Panek.

PANEK JÓZEF (1913–1945) — ur. w Pabianicach, syn Zenona Panka i Stanisławy z Woźniaków. Robotnik w Zakładach Włókienniczych Herynga, należących do Karola Wanerta. W czasie kampanii wrześniowej dostał się do niewoli rosyjskiej. Żołnierz I Armii, uformowanej na terenie Związku Radzieckiego.

Zginął w maju, w czasie zdobywania Berlina.

PANEK KSAWERY — ur. 19 VII 1937 roku w Warszawie, według metryki syn Leopolda Panka i Zofii z Motylów, w istocie syn Zofii Motyl i hrabiego Ksawerego Sulemirskiego, który zginął pod Tobrukiem w roku 1941. W szkole podstawowej i w liceum uczeń bardzo przeciętny, chimeryczny i niesforny (robi maturę w 1955), dopiero na studiach wyższych (wydział filozoficzny na Uniwersytecie Warszawskim) zablysnął nieprzeciętną inteligencją. W roku 1960 otrzymał tytuł magistra na podstawie pracy: *Jaspers jako krytyk pozytywizmu* oraz stanowisko asystenta przy Katedrze Filozofii Nowożytnej. Jeszcze w okresie studiów wyprowadził się z domu, otrzymując dzięki zagranicznym oszczędnościom matki dewizowe mieszkanie w nowoczesnym wieżowcu. W roku 1963 ukończył pracę doktorską *Kategorie czasu w teozofii Jakuba Boehma* i po jej obronie otrzymał doktorat oraz awansował na starszego asystenta. W latach 1964–1965 przebywał na stypendium fundacji Rockfellera w Holandii, w NRF i we Francji. Po powrocie do kraju, gdy coraz bardziej się zacieśniały i tak niezbyt szerokie marginesy wolności myśli i słowa, Ksawery coraz więcej zaczął pić i także coraz więcej czasu oraz energii poświęcać swoim powikłanym sprawom erotycznym. Latem roku 1966 poznał w Sopocie Marka Kurana i nakłonił go, zresztą z powodzeniem, aby młody poeta przeniósł się do Warszawy i z nim zamieszkał.

W roku 1968, po wypadkach marcowych, gdy ofiarami czystek przeprowadzonych na wszystkich polskich wyższych uczelniach padło tak wielu wybitnych naukowców, Ksawery Panek został usunięty z Uniwersytetu. Zarabia na życie, pisząc w charakterze „murzyna” prace magisterskie dla wyższych urzędników.

PANEK LEOPOLD — ur. 7 XI 1910 w Pabianicach pod Łodzią, w rodzinie robotniczej, syn Zenona Panka i Stanisławy z Woźniaków. Szkołę średnią ukończył w Łodzi w 1930, po czym przeniósł się do Warszawy, zapisał na wydział chemii Uniwersytetu Warszawskiego, lecz parokrotnie na skutek trudnych warunków materialnych musiał studia przerywać, ukończył je dopiero w 1937. Należał do młodzieżowej organizacji lewicowej, Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Pod koniec 1936 poznał manikiurzystkę w firmie „Ewaryst”, Zofię Motyl, i ożenił się z nią w lutym roku następnego, uznając urodzonego w lipcu Ksawerego za syna własnego. Po otrzymaniu dyplomu, nie mogąc znaleźć w Warszawie zatrudnienia, chciał się przenieść do rodzinnych Pabianic, gdzie mógłby liczyć na posadę w Zakładach Chemicznych Herynga, uległ jednak sprzeciwowi żony, która podobne rozwiązanie trudności bytowych uważałaby za osobistą porażkę. Dzięki stosunkom Zofii otrzymał kilka dobrze płatnych korepetycji w zamożnych domach. W roku szkolnym 1938/39 był wykładowcą na wieczorowych kursach Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

Ranny w kampanii wrześniowej, w ostatniej bitwie, jaka się rozegrała pod Kockiem w pierwszych dniach października, uniknął niewoli dzięki pomocy, jaką mu okazał jeden z żołnierzy jego kompanii, młody komunista, Stefan Raszewski. Po powrocie do Warszawy z końcem listopada 1939 pomagał żonie, zresztą z niewielkimi sukcesami, w jej transakcjach walutowych. Podtrzymując znajomość ze Stefanem Raszewskim, wstąpił za jego namową do komunistycznej organizacji podziemnej, Związku Walki Wyzwoleńczej (ZWW) Od marca 1942 członek nowo utworzonej partii komunistycznej, Polskiej Partii Robotniczej. W latach 1942–1944 w partyzantce Armii Ludowej, najpierw na Lubelszczyźnie, potem na terenie województwa kieleckiego, gdzie w stopniu majora, pseudonim „Zenon”, dowodził większym oddziałem. W bitwie w lasach janowskich uratował życie ciężko rannemu Raszewskiemu, wówczas już pułkownikowi i dowódcy partyzantki alowskiej na Kielecczyźnie.

Natychmiast po wyzwoleniu w styczniu 1945 mianowany prezydentem Kielc. Żonę wraz z dwojgiem dzieci: ośmioletnim Ksawerym i urodzoną w 1943 Moniką odnalazł dopiero w marcu w Zakopanem, gdzie Zofia Fanek założyła po powstaniu małą kawiarenkę. W roku 1947 wojewoda białostocki. Poseł do Sejmu Ustawodawczego i również wybierany posłem we wszystkich następnych kadencjach. Członek PZPR. W latach 1951–1954 ambasador PRL w Holandii. 1954–1957 prezes Filmu Polskiego. 1957–1960 dyrektor Biura Podróży „Orbis”, od 1962 dyrektor Państwowego Instytutu Prasowego (PIP).

PANEK MARIANNA (1912–1917) — ur. w Pabianicach, córka Zenona Panka i Stanisławy z Woźniaków. Umarła we wczesnym dzieciństwie na szkarlatynę.

PANEK MONIKA — ur. 19 II 1943 w Warszawie, córka Leopolda Panka i Zofii z Motylów. Gdy ojciec jej był ambasadorem w Holandii, chodziła trzy lata w Hadze do angielskiej szkoły dla dzieci dyplomatów. Maturę zdała w Warszawie w 1961, w latach 1961–1965 studia na wydziale aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Większość wakacji spędzała za granicą: we Włoszech, Francji i w Jugosławii. Od sezonu 1965/66 aktorka Teatru Stołecznego. W 1966, po Akademii Pierwszomajowej, na której występowała w części artystycznej, została kochanką przyjaciela swego ojca, Stefana Raszewskiego, sekretarza Komitetu Centralnego. Bardzo piękna i ambitna, lecz bez większych zdolności, pokazuje się na scenie dość często, występuje również w radio i w telewizji, jeśli jednak jej role spotykają się z uznaniem krytyków — zawdzięcza te zdawkowe komplementy przede wszystkim swoim rozległym koneksjom i sytuacji towarzyskiej. Chcąc umocnić swoją pozycję w teatrze, flirtuje ze znakomitym aktorem, Konradem Kellerem, doprowadzając do ślubu, który planowany pierwotnie na maj 1969, został ze względu na przygotowywanego przez Eryka Wanerta *Makbeta*, przeniesiony na termin wcześniejszy, 19 kwietnia.

PANEK STANISŁAWA (1887–1942) — ur. w Pabianicach pod Łodzią w rodzinie robotniczej, tkaczka w Zakładach Włókienniczych Herynga, później należącej do Karola Wanerta. W 1909 wyszła za mąż za Zenona Panka. Miała z nim troje dzieci: Leopolda (ur. 1910), Mariannę (ur. 1912) oraz Józefa (ur. 1913). W czasie okupacji brała wraz z mężem udział w ruchu podziemnym. Aresztowana równocześnie z mężem w listopadzie 1942, zmarła w wyniku tortur, jakim ją poddano na gestapo w czasie śledztwa.

PANEK ZENON (1885–1942) — ur. w Pabianicach pod Łodzią, robotnik w Zakładach Włókienniczych Herynga, później należącej do Karola Wanerta. W 1909 ożenił się ze Stanisławą Woźniak. Miał z nią troje dzieci: Leopolda (ur. 1910), Mariannę (ur. 1912) oraz Józefa (ur. 1913). Członek Polskiej Partii Socjalistycznej. W czasie okupacji brał udział w ruchu podziemnym, a ponieważ tereny województwa łódzkiego zostały przyłączone do Reichu, warunki pracy konspiracyjnej były wyjątkowo trudne i niebezpieczne. Po odkryciu w listopadzie 1942 przez gestapo w jego mieszkaniu tajnej radiostacji, zamordowany w czasie śledztwa.

PANEK ZOFIA — ur. 15 V 1914 roku w Warszawie, córka Władysława i Rozalii Motylów, właścicieli sklepiku z nabiąłem przy ulicy Zielnej. Z szóstej klasy gimnazjalnej usunięta z pensji za złe sprawowanie, ukończyła kursy kosmetyczne i dzięki urodzie oraz protekcjom dostała w roku 1935 posadę manikiurzystki w znanej firmie „Ewaryst” na Marszałkowskiej. Nawiąawszy z jednym z klientów, młodym hrabią Ksawerym Sulemirskim romans, zaszła w ciążę. Porzucona, przyjęła oświadczyzny Leopolda Panka i wyszła za

niego za mąż w lutym 1937 roku. Urodzony w lipcu Ksawery otrzymał oczywiście nazwisko Panek i wychowywany był w nieświadomości swego pochodzenia. Zaraz po ślubie Zofia zdecydowanie przeciwstawiła się planom męża, który nie mogąc znaleźć zajęcia w Warszawie, myślał o powrocie do rodzinnych Pabianic, gdzie mógłby liczyć na posadę w Zakładach Chemicznych Karola Wanerta. Dzięki jej stosunkom Leopold otrzymał dość niezłe płatne korepetycje. Natomiast wszystkie pieniądze otrzymane od swego arystokratycznego kochanka Zofia ulokowała w dolarach i w złocie, co się bardzo okazało przydatne, gdy w okresie okupacji zaczęła handlować walutami i biżuterią.

Przebywając latem 1944 wraz z dziećmi na wakacjach w Poroninie, pod Zakopanem, uniknęła dzięki temu Powstania Warszawskiego i chociaż straciła znaczny majątek, ulokowany w obrazach, srebrach, dywanach i porcelanie, zachowała przy sobie dostateczną ilość złota i biżuterii, aby założyć w Zakopanem małą kawiarenkę, bardzo modną, gdy po upadku powstania tłumy warszawiaków ścigały do Zakopanego.

Matka: Ksawerego (1937), Moniki (1942) oraz Gustawa (1948). Z jej licznych rodzeństwa żyje tylko młodszy brat, Stanisław Motyl (ur. 1922), obecnie prałat w Opolu.

PASIEKA WŁADYSŁAW — ur. 21 XI 1916 w Jenisiejsku na Syberii, syn polskiego działacza rewolucyjnego, członka SDKPiL, zesłańca politycznego, od 1918 komisarza Armii Czerwonej, poległego pod Warszawą w sierpniu 1920 roku, Teodora Pasięki i rosyjskiej rewolucjonistki, również przebywającej w czasie I wojny światowej na zesłaniu, Ludmiły Matwiejew. Ukończył studia techniczne, aktywista Komsomołu. W latach 1939–1941 pracował w NKWD we Lwowie. W 1943 przerzucony do partyzantki Armii Ludowej na Lubelszczyźnie. Po wojnie przyjąwszy obywatelstwo polskie, pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa: w Krakowie i we Wrocławiu, od 1950 w Warszawie, w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, przekształconym w 1954 na Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Od roku 1956 jeden z wyższych funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w randze pułkownika.

RASZEWSKA CELINA — ur. 25 IV 1917 w Warszawie, córka Franciszka Kubia-ka i Weroniki z Ozimków. Otrzymała wykształcenie technika dentystycznego i od roku 1936 pracowała w swoim zawodzie, mieszkając nadal z matką, zatrudnioną po śmierci męża w charakterze sprzątaczkii w firmie „Rozalinda”. Jeszcze w roku 1934 poznała Stefana Raszewskiego, podówczas studenta wydziału prawnego Uniwersytetu Warszawskiego oraz działacza Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. W czasie okupacji, w roku 1941 wyszła za Raszewskiego za mąż.

Po wojnie, najpierw w Kielcach, a później w Szczecinie, uzupełniła swoje wykształcenie, robiąc maturę i kończąc stomatologię w Akademii Medycznej w Szczecinie. Matka Antoniego, urodzonego w Szczecinie w 1949. Gdy w roku 1952 Stefan Raszewski, podówczas przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Zamościu, został aresztowany — Celina, pozbawiona mieszkania oraz pracy, przeniosła się z trzyletnim synem do Warszawy, do swego teścia, Zygmunta Raszewskiego i dzięki jego pomocy znalazła zatrudnienie w ambulatorium Miejskich Zakładów Komunikacyjnych.

Od roku 1952 pracuje w klinice stomatologicznej Akademii Medycznej.

RASZEWSKA URSZULA (1892–1950) — ur. w roku 1892 pod Ostrołęką, w ubo-gej rodzinie małorolnego chłopa. Po roku 1908 przybyła do Warszawy w poszukiwaniu pracy. Najpierw służąca w urzędniczej rodzinie, później robotnica niewykwalifikowana w Zakładach Chemicznych Wanertów na Woli. W roku 1915 wyszła za mąż za młodego tramwajarza-motorniczego, Zygmunta Raszewskiego. Matka Stefana. Syn Marian (ur. 1919) zmarł na szkarlatynę we wczesnym dzieciństwie, a Zenon (ur. 1921), z zawodu tokarz, aresztowany w 1943, jesienią tego samego roku został rozstrzelany w Alejach Jerozolimskich, jako jeden z zakładników.

Zmarła 10 I 1950 w Warszawie, w wyniku nieudanej operacji, której musiała się poddać na skutek postępującej nadczynności tarczycy.

RASZEWSKI ANTONI — ur. 19 IV 1949 w Szczecinie, syn Stefana Raszewskiego i Celiny z Kubiaków. W latach 1956–1963 uczęszczał do Państwowej Szkoły Muzycznej im. Szymanowskiego w Warszawie. W latach 1963–1967 liceum ogólnokształcące i równocześnie średnia Szkoła Muzyczna im. Chopina, ze szczególnym uwzględnieniem fortepiano i fagotu. W roku 1967 z doskonałymi wynikami zdaje egzamin do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, rezygnuje jednak z tych studiów, ponieważ doszedł do przekonania, że egzamin, uważany za bardzo trudny, poszedł mu zbyt łatwo, przypuszcza zatem, że tak pomyślny jego przebieg może zawdzięczać stanowisku ojca. Ostatecznie składa egzamin wstępny na Uniwersytet Warszawski, na wydział polonistyczny. Bardzo wrażliwy, inteligentny i wszechstronnie utalentowany. Pozostając pod wielkim urokiem i wpływem twórczości Adama Nagórskiego, pisze na II roku studiów pracę o *Ostatniej godzinie*. Zakochany w Magdzie Jackowskiej, koleżance ze Szkoły Muzycznej im. Chopina.

RASZEWSKI STEFAN — ur. 8 XII 1915 w Warszawie, syn Zygmunta Raszewskiego i Urszuli z Sikorów. Po ukończeniu gimnazjum w 1933 studiował na wydziale prawnym Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1933 członek Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, w roku następnym porzucił studia wyższe, całkowicie się poświęcając działalności rewolucyjnej. Od 1935 członek Komunistycznej Partii Polskiej. Aresztowany w 1936 i skazany na dwa lata więzienia. W 1939 brał udział w kampanii wrześniowej. W czasie okupacji od 1942 członek Polskiej Partii Robotniczej. Jeden z organizatorów Gwardii Ludowej, a następnie Armii Ludowej, 1942–1943 zastępca dowódcy lubelskiego obwodu GL, 1944–1945 dowódca kieleckiego obwodu AL, w randze pułkownika. W 1941 ożenił się z Celiną Kubiak.

W latach 1945–1948 szef organów bezpieczeństwa w Kielcach, następnie w Szczecinie. Poseł do Sejmu Ustawodawczego. Członek Komitetu Centralnego PPR, na Zjeździe Zjednoczeniowym w 1948 wybrany na członka KC PZPR. Na II Plenum KC PZPR w listopadzie 1949, oskarżony o „odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne”, usunięty z Komitetu Centralnego i zdjęty z pracy w Bezpieczeństwie. W latach 1950–1951 przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Zamościu. Aresztowany z początkiem 1952 i zwolniony w 1955, został zrehabilitowany na VII Plenum KC PZPR w 1956. Na VIII Plenum KC został ponownie powołany do Komitetu Centralnego. W latach 1956–1964 jeden z wice-ministrów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W 1964 Komitet Centralny powołał go na sekretarza KC.

RASZEWSKI ZYGMUNT (1890–1969) — ur. 27 IX 1890 w Warszawie, w rodzinie robotniczej, od paru pokoleń związanej z przemysłem dzielnicy wolskiej, tramwajarz, wieloletni pracownik Miejskich Zakładów Komunikacyjnych, zasłużony działacz ruchu robotniczego, członek SDKPiL, KPP i PZPR. W roku 1915 ożenił się z Urszulą Sikorą, robotnicą Zakładów Chemicznych Wanertów. Ojciec Stefana Raszewskiego.

W latach 1907–1944 pracownik fizyczny, bileter, motorniczy oraz kontroler Tramwajów Miejskich. W czasie okupacji działacz podziemnej lewicy. Po II wojnie jeden z najbardziej zasłużonych tramwajarzy, którzy natychmiast po wyzwoleniu Warszawy w styczniu 1945 podjęli niesłychanie trudną pracę przy uruchomieniu komunikacji miejskiej. We wszystkich kadencjach radny Stołecznej Rady Narodowej. Pracownik Głównej Dyspozytorni Ruchu, a od 1955 kierownik Zakładu Działalności Socjalnej. Od roku 1957 na emeryturze, uczczony na pożegnanie uroczystym jubileuszem z okazji 50-lecia swojej nieprzerwanej pracy w Tramwajach Miejskich. Od 1955 członek Komitetu Miejskiego PZPR.

Umiera wieczorem 19 kwietnia 1969 na skutek wylewu krwi do mózgu.

RYCHTER MONIKA — ur. 26 XI 1949 w Warszawie, córka dziennikarza, Michała Rychtera i Joanny z Kleckich, również dziennikarki. Po rozejściu się rodziców w 1955 pozostała przy ojcu, mieszkając pod Warszawą, w Podkowie Leśnej, gdzie Michał Rychter posiadał własną willę.

Szkołę podstawową ukończyła w Podkowie Leśnej. Następnie uczęszczała do liceum ogólnokształcącego w Warszawie, przerywając naukę w X klasie, później parokrotnie ją podejmując, lecz na bardzo krótkie okresy.

Latem roku 1966 poznała Adama Nagórskiego. Znana jako Nike, a w niektórych kołach Warszawy jako Ping Pong.

SINGER ALICJA — ur. 17 X 1934 w Moskwie, córka Jana Nagórskiego i Julii Singer. Gdy w roku 1936 Jan Nagórski został aresztowany i w roku następnym rozstrzelany, a Julię Singer zesłano na osiem lat do lagru — małą Alicją zaopiekowała się rosyjska rodzina, zaprzyjaźniona z rodzicami osieroconej. W roku 1945, po zwolnieniu Julii Singer z obozu, Alicja wróciła z matką do Polski. W 1953 roku ukończyła liceum ogólnokształcące, następnie rozpoczęła studia na wydziale handlu zagranicznego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. W roku 1959 wyszła za mąż za korespondenta zachodniemieckiego, Klause Sommeringa. Gdy ten rok później zginął w katastrofie lotniczej, Alicja za duże odszkodowanie w dewizach sprowadziła z Holandii wyposażenie pralni chemicznej i otworzyła własne przedsiębiorstwo na Kruczej oraz urządziła sobie luksusowe mieszkanie, również dewizowe, na Wiejskiej.

Jest zamożna, a jeśli nie piękna, to na pewno bardzo interesująca. Lubi się bawić, lecz tylko u siebie w domu, a uprzywilejowanymi jej gośćmi są przede wszystkim młodzi mężczyźni i to ze środowisk bardzo różnych. Lubi malarstwo, muzykę, film, mniej literaturę. Chodzi na imprezy sportowe, szczególnie na mecze bokserskie. Często wyjeżdża za granicę. Z matką żadnych prawie stosunków nie utrzymuje. Przed paroma laty, wyłącznie dla własnej satysfakcji, skończyła historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim.

SINGER JULIA — ur. 11 III 1904 w Warszawie, w środowisku zamożnej żydowskiej plutokracji, córka adwokata Mieczysława Singera (1874–1943) i Pauliny z Heryngów (1880–1943), spokrewnionej z potentatami przemysłu włókienniczego, lecz pochodzącej z bocznej, nie tak bogatej linii. W latach 1922–1928 studiowała na Uniwersytecie Warszawskim romanistykę i filozofię. Najpierw sympatyczka, a od roku 1928 członek Komunistycznej Partii Polskiej. W roku 1929, w związku z działalnością polityczną, poznała Jana Nagórskiego i związaawszy się z nim, wyjechała w roku następnym do Związku Radzieckiego. W roku 1934 urodziła córkę Alicję. Po aresztowaniu Jana Nagórskiego została również uwięziona i skazana na osiem lat lagru.

Po powrocie do Polski w roku 1945 Julia Singer zajmowała się przede wszystkim krytyką literacką, pozostając przez wiele lat autorytetem w dziedzinie estetyki marksistowskiej, reprezentując w tym zakresie stanowisko skrajnie dogmatyczne. W latach 1949–1954 była naczelnym redaktorem jednego z dużych wydawnictw. Nieomylna w tropieniu i demaskowaniu wszelkich błędów i odchyłeń ideologicznych. W latach 1954–1956 sprawowała w Rzymie obowiązki attachée kulturalnego, przeżywając równocześnie powolny i bolesny proces rozpadania się i kruszenia ideologii całego jej życia. Po powrocie do kraju nie podejmuje już działalności krytycznej i publicystycznej, utrzymując się z przekładów z literatury francuskiej i włoskiej. W roku 1967, po wojnie izraelskiej, a później w roku następnym, po wypadkach marcowych i agresji na Czechosłowację, wielokrotnie

wzywana przez Komisję Kontroli Partii, wreszcie dobrowolnie, mając za sobą czterdzieści lat przynależności partyjnej, oddaje legitymację. Z początkiem roku 1969 decyduje się na emigrację do Izraela.

SOŁTAN-ABGAR GRZEGORZ (1893–1969) — ur. 15 VIII 1893 w Krzemieńcu, w zubożałej rodzinie ziemiańskiej, syn Franciszka Sołtana i Anny z Abgarowiczów. Szkołę średnią ukończył w Krzemieńcu, następnie studiował w Dublinach w słynnej Akademii Rolniczej. Brał udział w młodzieżowym ruchu niepodległościowym. Od roku 1912 w Związku Strzeleckim, pod pseudonimem Abgar. W latach 1914–1918 w I Brygadzie Legionów. Po I wojnie światowej rotmistrz z dywizji kawalerii, dowodzonej później przez gen. Wieniawę-Długoszewskiego. Ciężko ranny w sierpniu 1920, poznaje w czasie pobytu w jednym z warszawskich szpitali Marię Nagórską, która w tym dramatycznym okresie wojny polsko-bolszewickiej pracowała jako pielęgniarka. W roku następnym Grzegorz Abgar-Sołtan ożenił się ze starszą od siebie, lecz wciąż jeszcze piękną, a przede wszystkim zamożną, Marią. Wielkiej urody i obdarzony dużym, lecz niezdyscyplinowanym temperamentem, nie bardzo potrafił znaleźć dla siebie miejsce w normalizujących się po wojnie warunkach pokojowych. Po kilku latach dość burzliwego współżycia Sołtanowie rozchodzą się.

Grzegorz Abgar-Sołtan dopiero po przewrocie majowym, jako jeden z najwierniejszych ludzi marszałka Piłsudskiego, awansuje na pułkownika i pod koniec lat dwudziestych zostaje attaché wojskowym przy ambasadzie polskiej w Rzymie. W 1936 mianowany generałem brygady, zostaje po powrocie do kraju jednym z inspektorów armii. We wrześniu 1939 przedostaje się do Rumunii, następnie do Francji, lecz ze względu na swoją przeszłość polityczną, uchodząc za jednego z najzagorzalszych piłsudczyków, nie zostaje przez rząd generała Sikorskiego w Paryżu powołany do służby czynnej, nie otrzymuje również, mimo licznych zabiegów, żadnej funkcji politycznej. Jeszcze przed kampanią francusko-niemiecką w roku 1940 wyjeżdża do USA, później przebywa w Brazylii, gdzie w roku 1943 żeni się z bogatą wdową, właścicielką ogromnych plantacji kawy w stanie Espirytu Santo, Marią de Calvalho, z pochodzenia Polką, z domu Szafraniec, ur. w 1900 roku na Podhalu, w Nowym Targu, córką ubogich polskich emigrantów. Do 1947 Grzegorz Sołtan gospodaruje na plantacji swojej żony, po jej śmierci sprzedaje, jako jedyny spadkobierca, posiadłość i wraca do Europy. Będąc obecnie człowiekiem więcej niż zamożnym, odnajduje, dochodząc do sześćdziesiątki, nową pasję życiową: podróże do egzotycznych krajów, szczególnie polowania na grubego zwierzka w Afryce. W 1951, bawiąc przejazdem w Rzymie, poznaje młodziutką Polkę, Joannę Bratkowską (ur. 1928), uciekinierkę z Polski, tancerkę w warszawskiej operetki, która daremnie usiłuje zrobić we Włoszech karierę filmową. Żeni się z nią w tym samym roku, lecz już w roku następnym, gdy okazuje się, jak na skutek ogromnych wydatków i nie zawsze szczęśliwych transakcji giełdowych fortuna Sołtana zmalała, Joanna opuszcza męża.

Wróciwszy do Londynu, generał Abgar-Sołtan nabywa za resztki swego majątku małą restaurację, urządza ją w stylu polskim i jako specjalnością: z kuchnią też polską, znajduje bowiem doskonałego kucharza w osobie jednego ze swoich dawnych przyjaciół, wybitnego przed wojną polityka.

W drugiej połowie roku 1968 siedemdziesięcioletni Grzegorz Sołtan ulega na skutek wylewu krwi do mózgu lekkiemu paraliżowi. Powróciwszy po kilku miesiącach pobytu w szpitalu do zdrowia, w lutym roku 1969 popełnia samobójstwo, pozbawiwszy się życia strzałem z rewolweru.

STAMIROWSKA ALICJA, *r^o voto* Nagórska — ur. 10 XII 1911 we Fryburgu, córka Henryka Wanerta i Małgorzaty von Beckendorff. Od 1912 przebywała w Polsce. Po maturze w 1929 studiowała romanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W marcu 1932 wyszła za mąż za Adama Nagórskiego, początkującego podówczas literata i studenta wydziału filozoficznego. W roku następnym rozeszła się z mężem i w 1935 wyszła ponownie za mąż za młodego arystokratę, pracującego w dyplomacji, hr. Artura Stamirowskiego.

W latach 1935–1937 przebywała w Paryżu, gdzie mąż jej pełnił obowiązki II sekretarza w polskiej ambasadzie. W 1937 Artur Stamirowski został mianowany I sekretarzem ambasady polskiej w Budapeszcie, a w lipcu 1939 dyrektorem Departamentu Zachodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. Z początkiem września 1939 Stamirowscy opuścili Warszawę i po krótkim pobycie w Rumunii przedostali się do Francji. Umieszczona przez męża u jego krewnych, właścicieli zamku Montresor (uprzednio należącego do rodziny Branickich), tam spędziła całą wojnę. Urodziła dwoje dzieci: syna Macieja (ur. 1940) oraz córkę Annę (ur. 1943). Od jesieni 1945 przebywa w Afryce Południowej, w Johannesburgu.

STAMIROWSKA ANNA — ur. 17 VI 1943 w Montresor we Francji, córka Artura Stamirowskiego i Alicji z Wanertów. W 1967 wyszła za mąż za swego kuzyna, Pawła Stamirowskiego. Mieszka w Wenezueli, w Caracas, gdzie jej mąż, jako pilot, pracuje w Amerykańskich Liniach Lotniczych.

STAMIROWSKI ARTUR — ur. 5 III 1905 w Przeworsku, syn Macieja Stamirowskiego i Róży z Lubomirskich. Na skutek utraty po I wojnie światowej wielkich dóbr na Podolu, pozostał Stamirowskim tylko nieduży majątek w Małopolsce, w okolicach Limanowej. Najmłodszy z licznego rodzeństwa, Artur Stamirowski ukończył w 1923 gimnazjum św. Anny w Krakowie, następnie studiował w paryskiej Ecole Libre des Sciences Politiques. Od 1928 pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1935 ożenił się z córką prof. Henryka Wanerta, Alicją. W latach 1935–1937 II sekretarz polskiej ambasady w Paryżu, 1937–1939 I sekretarz ambasady w Budapeszcie. W lipcu 1939 mianowany w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dyrektorem Departamentu Zachodniego. Z początkiem września 1939 opuścił wraz z żoną Warszawę i po krótkim pobycie w Rumunii przedostał się do Paryża. W rządzie utworzonym przez gen. Władysława Sikorskiego pracował w Ministerstwie Informacji i Propagandy. Po upadku Francji w 1940 pełnił funkcje tajnego obserwatora Rządu Polskiego w Londynie, na terenie nieokupowanej Francji. Z Alicją, przebywającą przez cały okres u jego kuzynów w Montresor, miał dwoje dzieci: syna Macieja (ur. 1940) i córkę Annę (ur. 1943). Aresztowany w Vichy na wiosnę 1944 i skierowany następnie do obozu w Dachau, został po drodze uratowany przez wojska alianckie. Przy ambasadorze, Kajetanie Morawskim, I sekretarz ambasady polskiej w Paryżu, reprezentującej Rząd Polski w Londynie. Po uznaniu latem 1945 przez rząd gen. de Gaulle'a Rządu Tymczasowego w Warszawie i przekazaniu dotychczasowej ambasady nowym władzom, wyjechał z rodziną do Johannesburga, obejmując z ramienia firmy francuskiej jedno z kierowniczych stanowisk w zarządzie francuskim kopalni azbestu w Afryce Południowej.

STAMIROWSKI MACIEJ — ur. 12 I 1940 w Montresor we Francji, syn Artura Stamirowskiego i Alicji z Wanertów. Szkołę angielską oraz studia handlowe ukończył w Salisbury, w Rodezji. Od 1966 pracuje w belgijskiej firmie naftowej, w szekacie Kataru, nad Zatoką Perską.

WAJS ANDRZEJ — ur. 18 VIII 1943 w Warszawie, syn pułkownika Franciszka Wajsa i Ireny z Dębowskich, siostrzeniec Jolanty Otockiej. Pułkownik Wajs, aresztowany przez Niemców przed urodzeniem Andrzeja, bo w czerwcu 1943, został osadzony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen i po wybuchu Powstania Warszawskiego rozstrzelany wraz z komendantem Armii Krajowej, generałem Stefanem Grottem-Roweckim.

W roku 1946 Irena Wajs wyszła powtórnie za mąż za Antoniego Formińskiego, podówczas dyrektora departamentu prasowego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W związku z nominacją Formińskiego w roku 1947 na ambasadora w Szwecji, Andrzej

przeszło trzy lata dzieciństwa spędził w Sztokholmie. Po powrocie do kraju w 1950 podjął normalną naukę, kończąc w 1961 Liceum Ogólnokształcące i wydział ekonomii politycznej na Uniwersytecie Warszawskim w 1966. Pracuje w Państwowym Instytucie Prasowym (PIP), w dziale planowania i statystyki.

W czasie studiów uniwersyteckich uczestnik półtajnych prelekcji Ksawerego Panka, w roku 1967 założyciel i przewodniczący „Bractwa Żółwiowego”, owej dość szczególnej, na pół serio i na pół żartem ukształtowanej organizacji, której kilkudziesięciu członków rekrutuje się z intelektualizującej młodzieży, pracującej w różnych ministerstwach i instytucjach, lecz ze statutowym zastrzeżeniem, że członkami „Bractwa” mogą być jedynie urzędnicy na stanowiskach niższych od naczelnika wydziału.

WANERT ERYK — ur. 19 VIII 1925 w Warszawie, jedyny syn Karola Wanerta i Julii z Heryngów. Od siódmego roku życia kształcił się na życzenie ojca w Anglii, w Eton College, tylko na wakacje przyjeżdżając do kraju. Lato 1939, wraz z zaangażowanym przez ojca opiekunem, młodym taternikiem z Zakopanego, Bronkiem Wawrytko, spędzał w Tatrach. Zaskoczony wybuchem wojny na wysokogórskiej wycieczce, pozostał kilka tygodni w Zakopanem, u rodziny Wawrytków, i dopiero z końcem października został przez Bronka odwiedzony do Warszawy. Dzięki pomocy stryja, prof. Henryka Wanerta, dostał się na komplety tajnego nauczania, szybko uzupełniając braki, jakie miał w zakresie historii polskiej oraz literatury. W 1943 zdał maturę. Był to w życiu przyszłego twórcy tzw. polskiej szkoły filmowej okres szczególnie doniosły. Znalazłszy się w październiku 1939 w zniszczonej i okupowanej Warszawie, a mając lat zaledwie czternaście, był zarówno ze sposobu bycia, jak i z myślowych reakcji bardziej chłopcem angielskim, wychowanym w ekskluzywnej szkole, aniżeli Polakiem. W wiele lat później Eryk Wanert powiedział w jednym z wywiadów: „Uczyłem się polskości w okupacyjnej Warszawie, te lata były najpełniejszą szkołą w moim niedługim podówczas życiu”. Tak było istotnie. Z matką, której właściwie do tej pory prawie nie znał, nawiązał stosunki bardzo serdeczne, w praktyce jednak zdany był na samego siebie, Julia zbyt wiele czasu i energii wkładała w swoje wewnętrzne życie religijne oraz w niesienie pomocy ofiarom wojny, aby móc się naprawdę zająć dorastającym synem. Jesienią roku 1941 zetknął się z akcją tzw. Małego Sabotażu „Wawer” i niebawem, pod pseudonimem „Eryk”, dzięki swojej pomysłowości, zręczności i odwadze, stał się popularny wśród młodzieży, uprawiającej często z narażeniem życia dywersję, polegającą na wypisywaniu na murach hasel wolnościowych i antyhitlerowskich, zawieszaniu z okazji świąt narodowych polskich flag oraz niszczeniu plakatów i godeł okupanta. W czerwcu 1943 kończy podchorążówkę „Agricola” i zostaje włączony do jednego z oddziałów dywersyjnych. Brał udział w kilku akcjach bojowych w Warszawie i na prowincji. W czasie powstania, w stopniu kaprała podchorążego kompanii „Rudy” batalionu „Zośka” walczył na Woli, Starym Mieście i na Czerniakowie. Po kapitulacji, gdy udało mu się zbiec z transportu więzionych do niewoli żołnierzy Armii Krajowej, przedostał się do Zakopanego, gdzie przebywał u rodziny Wawrytków, aż do wyzwolenia. Dopiero w marcu 1945 przybywszy do Warszawy, dowiedział się o śmierci matki. Dzięki pomocy, jakiej mu udzielił stryj, prof. Henryk Wanert, zapisał się jesienią 1945 do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Uczeń wybitnego malarza i pedagoga, Czesława Rzepińskiego. W czasie studiów pracował w Krakowskim Muzeum Narodowym. W 1948 zrezygnował ze studiów malarskich i zapisał się do Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Zwrócił na siebie uwagę znakomitą pracą dyplomową, etiudą filmową *Próba generalna*, której akcja rozgrywa się za kulisami teatru, w garderobach i na scenie tuż przed próbą generalną *Snu nocy letniej*. Aktora, który w spektaklu ma być Pukiem, grał stawiający wówczas pierwsze kroki na scenie Maciej Zaremba, przyjaciel Wanerta z czasów krakowskich.

Po ukończeniu WSF asystent Aleksandra Forda przy kręceniu jego okupacyjnego filmu *Piątka z ulicy Barskiej*, pierwszy swój film samodzielny *Za całą sławę*, nakręcił w 1955 (według scenariusza Wojciecha Konopki). Na skutek rozlicznych zastrzeżeń ze strony czynników politycznych (akcja filmu rozgrywa się w czasie Powstania Warszawskiego) — *Za całą sławę* ukazało się na ekranach dopiero jesienią 1956. Zarówno ten film, surowy i oszczędny, choć pełen gorzkiego patosu, jak i następny: *Natchnienie świata* (1957),

nagrodzony Srebrnym Lwem na festiwalu w Wenecji, stały się artystycznymi sukcesami Wanerta na skalę międzynarodową.

W *Natchnieniu świata* — z legendarną już kreacją Macieja Zaremby w roli młodego akowca, Tomka Gaszyńskiego — Eryk Wanert, zachowując epicki charakter powieści Nagórskiego, zrezygnował jednak z jej wielowątkowości, kreując rozległy i wielopłaszczyznowy obraz życia warszawskiego od lata 1939 roku aż po ostateczny upadek powstania, w pierwszych dniach października 1944. Z tego ogromnego materiału Wanert wyekspozował w swoim filmie przede wszystkim dramatyczny wątek grupy młodych chłopców, dorastających w latach okupacji, ten zatem wątek, który osobiście był mu najbliższy —

WANERT HENRYK (1884–1969) — ur. 4 IV 1884 w Warszawie, starszy syn Henryka Wanerta i Diany z Heryngów. Gimnazjum ukończył w roku 1902. Studia wyższe odbywał w Zurichu, w Jenie i we Fryburgu badenkim. Po habilitacji na podstawie rozprawy *Psychologia poznania*, został asystentem znanego niemieckiego filozofa, Marcina von Beckendorff. W roku 1910 ożenił się z jego córką, Małgorzatą. W 1912 powrócił do Warszawy, latach 1913–1919 był kierownikiem katedry filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1919 otrzymał profesurę i kierował katedrą historii filozofii na Uniwersytecie Warszawskim aż do wybuchu II wojny światowej. Członek przedwojennej Polskiej Akademii Umiejętności i powojennej Polskiej Akademii Nauk. W latach 1935–1936 rektor Uniwersytetu Warszawskiego. Wybitny pedagog, wychowawca kilku pokoleń naukowców, przeciwstawiający się wszelkim przejawom nietolerancji.

W czasie okupacji jeden z najczynniejszych organizatorów tajnego nauczania uniwersyteckiego. Aresztowany w roku 1942, spędził ponad rok w koncentracyjnym obozie w Oświęcimiu. Zwolniony pod koniec roku następnego, pozostały okres okupacji spędził w Pławowicach pod Krakowem, w majątku znanego dramaturga i mecenasa, Ludwika Hieronima Morstina.

W latach 1945–1948 rektor Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1950 usunięty z katedry, powrócił na nią w 1956. W latach 1957–1962 prezes Polskiej Akademii Nauk. Od roku 1964 na emeryturze. Doktor *honoris causa* uniwersytetów krajowych (m.in. Uniwersytetu Jagiellońskiego) i zagranicznych.

Do najważniejszych jego prac należą: *Studia porównawcze nad soteriologią ultrakwistów a braci polskich* (1915), *Wpływy Erazma na braci polskich* (1917), *Studia religioznawcze* (1919), *Kategoria wolności* (1921), monumentalna, czterotomowa *Historia tolerancji* (1925–1932), *Jednostka jako byt tragiczny* (1936), *Sens i bezsens* (1936), *Kategorie tragizmu* (1947), *Notatki do autobiografii* (1957) oraz pozostający w rękopisie i niedokończony *Wstęp do dziejów nietolerancji*.

Zmarł 19 kwietnia 1969 w Jabłonie pod Warszawą.

WANERT JULIA (1895–1944) — ur. 14 XII 1895 w Łodzi, jedyna córka Eryka Herynga i Julii z Wanertów, a tym samym jedyna spadkobierczyni ogromnej fortuny ojcowskiej, reprezentującej przemysł włókienniczy. Wcześniej, bo w roku 1906, utraciwszy matkę, zmarłą w Davos na gruźlicę, została przez ojca, lękającego się o jej dość wątłe zdrowie, umieszczona na ekskluzywnej pensji w Szwajcarii, gdzie otrzymała bardzo staranne wykształcenie. Bardzo piękna i inteligentna, rozkochana w muzyce i w poezji, miała wielu starających się o jej rękę (o spadek też), żaden jednak z kandydatów na zięcia nie odpowiadał wymaganiom Eryka Herynga. W roku 1921, spełniając życzenie ojca, wyszła za mąż za swego kuzyna, Karola Wanerta. W roku 1925 urodziła syna, Eryka.

Otoczona luksusem i mając do swojej dyspozycji ogromne ilości pieniędzy, a jednocześnie zaniedbywana przez męża, którego nigdy nie potrafiła pokochać, nie lubiąc zaś życia światowego w potocznym tego słowa znaczeniu, również nie poszukując przelotnych miłostek, urządziła w swojej willi na Żoliborzu salon artystyczny, gromadząc na wieczorach u siebie najznakomitszych ludzi sztuki, przede wszystkim kompozytorów i wirtuozów. Dopomagała wielu młodym artystom, zakupując obrazy i rzeźby, subsydiu-

jąc wydawanie tomików poezji i urządzając u siebie recitale początkujących muzyków. W latach trzydziestych salon Julii Wanert stał się pewnego rodzaju instytucją, prawie każdy z wybitnych solistów, przebywając w Warszawie na gościnnych wstępkach, koncertował w willi na Żoliborzu. Dochodząc do czterdziestki, wciąż jeszcze była piękną. Ubierała się skromnie, jedyną jej biżuterią był naszyjnik wspaniałych pereł odziedziczony po matce. Z wieloma znakomitościami, m.in. ze Strawińskim, Arturem Rubinsteinem i z młodym Igorem Markiewiczem prowadziła ożywioną korespondencję. Wypadek, jakiemu uległa jesienią roku 1938 i z którego wyszła z ciężkimi obrażeniami kręgosłupa, całkowicie odmienił jej dotychczasowe życie. Powoli powracając do zdrowia, bo prawie pół roku leżąc w klinice z unieruchomionym kręgosłupem, przeżyła przełom religijny. Epoka salonu Julii Wanertowej skończyła się. Wkrótce po wyzdrowieniu Julia za namową zaprzyjaźnionego poety odwiedziła Laski. Ta wizyta zmieniła się w dłuższy pobyt w Domu Rekolekcyjnym i w okresie Wielkanocy została uwieczniona konwersją na katolicyzm. (Heryngowie, podobnie jak Wanertowie, byli protestantami).

Podczas okupacji, gdy firma „Wanert”, podobnie jak wszystkie większe przedsiębiorstwa otrzymała zarząd niemiecki, warunki materialne Julii znacznie się pogorszyły, pozostała jednak dostatecznie zamożna, aby móc dopomagać ludziom potrzebującym. Pozostając w stałym kontakcie z Laskami, szeroko otworzyła swój dom przede wszystkim ludziom z terenów wcielonych do Rzeszy.

Zginęła w czasie powstania, 16 XI 1944, pod gruzami swojej willi, przemienionej w owych dniach na szpital.

WANERT KAROL — ur. 16 IX 1890 w Warszawie, młodszy syn Henryka i Diany z Heryngów, w trzecim pokoleniu właścicieli wielkiej firmy chemicznej. Wobec humanistycznych zainteresowań starszego brata, Henryka, przewidziany przez ojca na przyszłego kierownika przedsiębiorstwa, skończył w roku 1906 gimnazjum Chrzanowskiego w Warszawie, dalsze studia odbywał w Anglii i w Belgii. Po powrocie do kraju w roku 1912 wstąpił do firmy, a po śmierci ojca w roku 1922 prowadził ją samodzielnie. W roku 1921, wbrew swoim naturalnym skłonnościom, ożenił się z kuzynką Julią Heryng, jedyną spadkobierczynią wielkiej fabryki włókienniczej w Pabianicach, stając się dzięki temu, po śmierci teścia, Eryka Herynga w roku 1923, jednym z najzamożniejszych ludzi w Polsce. Ojciec Eryka Wanerta urodzonego w 1925 roku.

Oprócz willi na Żoliborzu posiadał w centrum Warszawy, na Kredytowej, własne luksusowe mieszkanie, w którym prowadził życie całkiem niezależne od rodzinnego. Jednym z rozlicznych kochanków Wanerta, z początkiem lat trzydziestych, był Edward Kubiak, po upływie niedługiego czasu zaufany jego człowiek aż do wybuchu wojny.

We wrześniu roku 1939 Wanert opuścił Warszawę autem i po krótkim pobycie w Paryżu wyjechał do Londynu, gdzie, podobnie jak w bankach szwajcarskich, posiadał znaczne kapitały. Zawsze posiadając pewne skłonności kolekcjonerskie, założył po wojnie w Londynie antykwariat, który spełniając wszystkie warunki, jakich się domaga drogi i atrakcyjny sklep ze starożytnościami, stał się równocześnie lokalem szczególnie znanym w środowisku homoseksualistów. W pierwszych latach po wojnie Karol Wanert dopomagał pozostałemu w kraju synowi, później, gdy Eryk stał się znanym reżyserem filmowym, stosunki ich prawie się urwały. W ostatnich latach Karol Wanert, już bardzo stary i całkowicie zniedołężniały, znajduje się pod całkowitą nieomal kuratelą niejakiego Geralda Marshalla, młodego fotografa, przewidzianego w testamencie Wanerta na jedyne spadkobiercę.

WANERT MAŁGORZATA (1886–1930) — ur. 17 VIII 1886 we Fryburgu, córka wybitnego filozofa niemieckiego, Martina von Beckendorffa i Karoliny z domu hrabianki von Hehenheim. W roku 1910, mimo pewnych oporów ze strony matki, wyszła za mąż za młodego filozofa, asystenta ojca, Henryka Wanerta. W roku 1911 urodziła córkę Alicję. Po nagłej śmierci profesora Beckendorffa w końcu 1911 Wanertowie opuścili Fryburg i osiedlili się w Warszawie.

Wątlęgo zdrowia, wszechstronnie wykształcona, lecz uparta i apodyktyczna, a także ze skłonnością do melancholii, nigdy się nie mogła przyzwycząić do życia w Polsce, choć mąż otaczał ją luksusem nieporównanie większym od raczej skromnych warunków, w jakich się wychowywała była w domu rodzicielskim. Do końca życia nie nauczyła się dobrze mówić po polsku, w stosunkach towarzyskich najchętniej posługiwała się francuskim. Około czterdziestki zaczęła chorobliwie tyć.

Zmarła 14 III 1930 na skutek skomplikowanego zapalenia płuc.

WNUK ANDRZEJ — ur. 19 XII 1937 w Krakowie, syn profesora Kazimierza Wnuka i Marty z Piekarskich. Po maturze w 1955 studiował na wydziale reżyserskim w Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie. W latach 1960–1963 pracował w teatrach krakowskich i we Wrocławiu, w okresie 1963–1965 w warszawskim Teatrze Stołecznym jako asystent Romana Gorbatego. Zwrócił na siebie uwagę krytyki bardzo interesującym spektaklem sztuki Ionesco *Król umiera* we własnej scenografii i reżyserii. Od 1966 pracuje również w Telewizji.

W końcu roku 1968 wystawił z wielkim sukcesem w warszawskim Teatrze Ludowym dramat Tennessee Williama *Orfeusz zstępujący* z Maciejem Zarembą w roli Vala Xaviera.

WNUK KAZIMIERZ — ur. 19 III 1910 w Myślenicach pod Krakowem, syn właściciela tartaku, Marcina Wnuka i Zofii z Maciejaków. Do gimnazjum uczęszczał w Krakowie. W latach 1928–1932 studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, uczeń prof. Stefana Kołaczковского. Historyk literatury, krytyk literacki i eseista. Od 1934 asystent Seminarium Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1938 doktoryzował się na podstawie pracy o polskim modernizmie. Publikował w tygodnikach i w miesięcznikach liczne recenzje literackie oraz eseje, stając się jednym z najwybitniejszych krytyków młodego pokolenia.

W czasie okupacji przebywał w Myślenicach i w Krakowie, współpracował z konspiracyjnymi wydawnictwami literackimi i wykładał na tajnym uniwersytecie. Po wojnie kontynuował pracę naukową, początkowo jako starszy asystent, a następnie zastępca profesora na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od roku 1955 profesor zwyczajny. Wychowawca wielu młodych naukowców i krytyków. Członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. Od roku 1955 dyrektor Instytutu Badań Literackich w Warszawie.

W latach 1945–1949, podobnie jak przed wojną, dzielił swoje zainteresowania pomiędzy pracę naukową i krytykę, publikując studia o Żeromskim, Leśmianie i Stanisławie Ignacym Witkiewiczu oraz w 1947 zbiór esejów o przedwojennej literaturze młodego pokolenia *Dwa oblicza katastrofizmu*. (m.in. szkice o Czesławie Miłoszu, Witoldzie Gombrowiczu, Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim i Adamie Nagórskim). Od roku 1949 poświęcił się prawie wyłącznie pracy naukowo-historycznej oraz pedagogicznej. Najważniejsze jego prace z tego okresu: monografia o Aleksandrze Fredro (1952), *Zagadnienie pokoleń w literaturze* (1957), tom szkiców *Z pogranicza literatury i malarstwa* (1960, tam m.in. szkic o malarstwie Krzysztofa Woytowicza) oraz dwutomowa *Historia literatury polskiej* (1966). Ogłosił też studium *Krzysztof Czaplicki* (1962) i wydał *Utwory zebrane* Krzysztofa Czaplickiego (1969).

Ożeniony w roku 1936 z córką krakowskiego księgarza, Martą Piekarską (ur. 1908), jest ojcem reżysera teatralnego, Andrzeja Wnuka.

WOYTOWICZ KRZYSZTOF (1882–1913) — ur. 29 XII 1882 w Warszawie, syn właściciela zakładu kamieniarskiego przy cmentarzu na Powązkach, Jana Woytowicza i Janiny z Pawłowskich. Jeden z najwybitniejszych polskich artystów z początku XX wieku, uważany za jednego z prekursorów kubizmu i nadrealizmu, związany początkowo z nurtem symbolizmu i wczesnego ekspresjonizmu. Studiował jako młody chłopak w warszawskiej

Szkole Rysunków u Wojciecha Gersona i od roku 1902 w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Latem roku 1906 poznał w Nałęczowie Emilię Nagórską, córkę znanego adwokata i publicysty. Nieszczęśliwy finał tej miłości, zakończony zerwaniem, skłonił Woytowicza do opuszczenia kraju, przyczynił się jednak pośrednio do rozgłosu, jaki malarstwo młodego artysty zdobyło na Zachodzie. W maju 1907 roku, z inicjatywy André Gide'a, który napisał do katalogu entuzjastyczną przedmowę, odbyła się indywidualna wystawa płócien Woytowicza w Galerie Drouet w Paryżu. W sprezentowanym na tej wystawie cyklu *Zabawy dziecięce* zarysowały się już bardzo wyraźnie wszystkie najbardziej charakterystyczne cechy malarstwa Woytowicza: jego warstwa literacko-anegdotyczna, łącząca elementy bajkowości z realizmem, groteskę z patosem, delikatny liryzm z dramatycznie zabarwionym niekiedy okrucieństwem, a kolorystycznie niezwykle bogate w skali barwnej i osiągnące piękno szczególnie głębokie i wzruszające w świetlistościach i tonacjach mrocznych, intensywnie zagęszczonych. Z kilkunastu obrazów cyklu *Dziecięce zabawy* (Muzeum Narodowe w Warszawie) największą sławą oraz popularnością wyróżniają się: *Kwiat paproci* — arcydzieło kolorystyki, wydobywające niezwykłą atmosferę fantastycznego i ciemnego lasu, rozświetlanego tylko ognikami robaczek świętojańskich oraz zgrzebnymi koszulkami pięciorga wiejskich dzieci, które poszukują kwiatu paproci; *Zabawa w dorosłych*, ukazująca bogato zastawiony stół, przy którym ucztuje siedmioro dzieci, przybranych w kontusze z szabelkami, obsługiwanych przez płowowłose i bose dzieci wiejskie, w płóciennych koszulkach; *Wróżby*, gdzie znów występuje tak charakterystyczny dla młodzieńczej twórczości Woytowicza motyw biednych, polskich dzieci, tym razem przy poblasku świecy lejących na Andrzejki wosk, który akurat zastyga w kształt trupiej czaszki; wreszcie *Zabawa w chowanego* — kolorystycznie najradośniejszy, najbardziej świetlisty obraz całego cyklu, choć sens jego daleki jest od tego rozslonecznionego pejzażu starej krakowskiej uliczki: usiłującym przychwycić któreś z rozbawionych wokół siebie dzieci jest mały, niewidomy chłopczyk.

W dalszej twórczości Woytowicza, przerwanej niestety niebawem przedwczesną śmiercią artysty, kontynuacja warstwy znaczeniowej, nasycającej się zresztą z biegiem lat coraz silniejszymi akcentami pesymizmu, wyrażona zostaje przy pomocy coraz to nowych środków artystycznych. I tak w cyklu *Prace i dnie* z wyraźnie ironiczną intencją nawiązującym w tytule do dzieła Hezjoda, tragiczno-groteskowa atmosfera, ukazująca codzienne prace ludzi różnych zawodów (obrazy: *Rzeźnik*, *Kominiarz*, *Hycel*, *Górnicy*, *Biuraliści*, *Kasjer* — wszystkie w Muzeum Narodowym w Warszawie), w sensie malarskiej konstrukcji należy do okresu wczesnego kubizmu. Natomiast ostatni cykl obrazów Woytowicza *Sny*, w całości pokazany dopiero na pośmiertnej wystawie w Galerie Drouet w Paryżu, pod koniec roku 1913, w klimacie przypominający grafikę Goyi z cyklu *Kaprysy*, po I wojnie światowej został przez André Bretona uznany za jedną z najwybitniejszych manifestacji i surrealistycznego prekursorstwa.

Krzysztof Woytowicz zmarł na gruźlicę 19 III 1913 roku w Hyères, na południu Francji. Większość jego obrazów dopiero w latach trzydziestych znalazła się w warszawskim Muzeum Narodowym. Wśród nich znajduje się jedyny portret namalowany przez artystę, tzw. *Portret młodej dziewczyny*, będący portretem młodej Emilii Nagórskiej. Według świadectw przyjaciół malarza, Woytowicz w ostatnich latach życia pisał *Dziennik*, zniszczył go jednak prawdopodobnie przed śmiercią, ponieważ śladu podobnych zapisków nie znaleziono w jego papierach.

ZAREMBA MACIEJ — ur. 3 XI 1929 w Wilnie, syn majora Wojska Polskiego, Jerzego Zaremby i Stefani z Bochwiców. Po zajęciu Wileńszczyzny przez wojska rosyjskie latem 1944 major Zaremba wraz z innymi wyższymi oficerami Armii Krajowej został aresztowany i wywieziony na wschód, po czym wszelki ślad po nim zaginął. Wczesną jesienią 1945 Stefania Zarembina w czasie trwania akcji przesiedleńczej opuściła Wilno i zamieszkała wraz z jedynym synem w Toruniu, gdzie Maciej w 1948 zdał maturę. Szkołę Teatralną ukończył w Krakowie w 1952. Przez dwa sezony grał w teatrach wrocławskich, następnie na Wybrzeżu, w Gdyni, Gdańsku i w Sopocie. Współzałożyciel pierwszego

w Polsce kabaretu młodzieżowego „Krokus”. Odkryty przez Eryka Wanerta, w filmie *Natchnienie świata* (1958), nakręconym według głośnej powieści Adama Nagórskiego, zdobył ogromną sławę i popularność, tworząc z postaci młodego akowca z lat okupacji, Tomka Gaszyckiego, kreację tak sugestywną i osobście przeżywą, iż stał się od razu bożyszczem młodzieży, która przez dłuższy okres czasu wiernie naśladowała jego wygląd zewnętrzny oraz sposób bycia. Grał w wielu filmach, m.in. w *Karolinie* Wanerta i w jego ostatnim filmie *Zagubieni*, na skutek osobistej interwencji sekretarza KC, Stefana Raszewskiego niedopuszczonym na ekrany. Występował również w teatrze m.in. w Teatrze Stołecznym w roli Karola Moora w *Zbójcach*. Ostatnio w Teatrze Ludowym grał Vała Xaviera w dramacie Tennessee Williamsa *Orfeusz zstępujący*.

W 1966 ożenił się z Grażyną Szymdt, absolwentką wydziału elektroniki Politechniki Warszawskiej.

Ginie tragicznie w wypadku samochodowym, w nocy z 19 na 20 kwietnia 1969 roku, na szosie prowadzącej z Jabłony do Warszawy.

We *Wspomnieniu*, opublikowanym w roku 1970 w rocznicę śmierci Zaremby, Adam Nagórski napisze:

„Znałem go ponad piętnaście lat, jakkolwiek »znałem«, to może trochę za wiele, widywałem go w ciągu piętnastu lat od czasu do czasu, niekiedy całymi miesiącami wcale, aż niespodziewanie dzień po dniu, częściej wieczór po wieczorze. Nie byliśmy przyjaciółmi, nie łączyła nas konieczność widywania się — więc pewnie ani on nie potrzebował mnie, ani ja jego, ale cieszyliśmy się sobą, gdy nas przypadek lub wspólna praca zetknęły. Tylko kilka razy, trzy czy cztery, widziałem Zarembę na scenie, trochę więcej w filmie, ale nie za dużo więcej, nie jestem zatem pewien, czy w tych warunkach mam prawo pisać wspomnienie. Może raczej trochę notatek do rozmyślań na jego temat?

Po raz pierwszy spotkałem Zarembę w Sopocie, w końcu roku 1953, dobrze nie pamiętam, czy to był listopad czy grudzień, w każdym razie było to pod koniec roku (a może z początkiem 1954?), było chłodno. Przyjechałem do Sopotu na jakiś zjazd czy konferencję, charakteru tego spędu ludzi filmu też dokładnie nie pamiętam i w ogóle wszystko, co się działo na owym zjeździe czy konferencji wyleciało mi z głowy, pamiętam natomiast, że po zakończeniu obrad zostałem kilka dni w Grandzie i wtedy zobaczyłem Maćka Zarembę po raz pierwszy na scenie sopockiego teatru w jakiejś amerykańskiej sztuce. Był jednym z gromadki krakowskiej młodzieży, którą Lidia Zamkow przywiozła ze sobą na Wybrzeże, na pierwszy teatralny sezon. Pewnego popołudnia czytałem tym młodym *Spowiedź brzuchomówcy*, wówczas nienadająca się do druku, dużo później powiedział mi Zaremba, że pierwszy pomysł utworzenia „Krokusa” powstał właśnie z wrażeń, jakie on z lektury tego opowiadania był odniósł. Nie jestem pewien, czy tak było naprawdę, interpretowanie faktów z perspektywy lat kilku czy kilkunastu bywa dość zwodnicze, ale mogło być i tak, jak Maciek mówił.

Cóż jeszcze mógłbym dodać do tych kruchych sopockich wspomnień? Może jeszcze jakiś wieczór, a raczej noc w „Grandzie”, wspomnienie nieprawdopodobnego zagęszczenia, tylko zagęszczenia, bo gwaru nie słyszę, i pierwszy świt za rozległymi oknami tej sali, która znajduje się w sąsiedztwie baru, tylko niżej, bliskie morze wylaniające się z mroku migocącą smugą, jakieś rozmowy, zwierzenia, bełkoty, ale jakie, pojęcia nie mam. Może więc jeszcze wspomnienie głosu Maćka, tego głosu, który zawsze mnie urzekał i w szczególny sposób wzruszał? Nie uważam się za znawcę aktorskiej sztuki, więc może prymitywnie się wyrażę, jeśli wyznam, iż aktorstwo skupia się dla mnie przede wszystkim w głosie i w ruchu. Zaremba był głosem i ruchem.

Przez następnych lat kilka chyba się w ogóle z Maćkiem nie zetknąłem, a jeśli go i spotkałem, musiało to być widzenie przelotne, nieważne, w każdym razie moja pamięć nic podobnego nie odnotowuje. Tak więc po długiej przerwie ujrzałem Zarembę dopiero wczesną wiosną roku 1957, kiedy Eryk Wanert zaczął we wrocławskim atelier zdjęcia do *Natchnienia świata*. Nad scenariuszem pracowaliśmy z Wanerem w Oborach w grudniu roku poprzedniego, może jeszcze trochę w styczniu, bo scenopis przygotowywaliśmy Kazimierzowi, w lutym. O ile się nie mylę, Eryk Wanert dopiero z gotowym scenopisem począł się rozglądać za aktorami. Nie mieszałem się do tych spraw, rzecz to wyłącznie re-

żysera, ale doskonale pamiętam, jak bardzo byłem speszony, gdy Wanert, zrezygnowawszy z kilku kandydatur, zdecydował ostatecznie, że Tomka Gaszyckiego zagra Zaremba. Nie dlatego, abym zdolnościom aktorskim Zaremby nie ufał, tylko całkiem inaczej wyobrażałem sobie sylwetkę Gaszyckiego. Gaszycki w ciemnych okularach? Koszmar, nieporozumienie! W latach następnych wiele osób zapytywało mnie niejednokrotnie w związku z filmem, jak ja sobie Gaszyckiego wyobrażałem. Nie umiałem odpowiedzieć, bo już nie pamiętałem, jaki był Gaszycki pomyślany w latach okupacji i pisany prawie zaraz po wojnie. Zaremba przygasił jego sylwetkę i chyba już na zawsze ta stworzona kiedyś przeze mnie postać zachowa w mojej wyobraźni cielesny kształt młodego Maćka, jego głosem prowadząc miłosny dialog i jego ruchami nosząc wbrew modzie okupacyjnej dzinsy, gruby sweter oraz skórzaną kurtkę, poprzez jego ciemne okulary patrzeć będzie mój i nie mój Gaszycki na świat, który w odległych przestrzeniach czasu historycznego gwałtownie i zdradliwie prowadzi go ku tragicznej śmierci.

Nigdy nie zapominam, jak wiele zawdzięczam Erykowi Wanertowi i Maćkowi Zarembie. To sukces filmu zwrócił uwagę zagranicznych wydawców na moją książkę, posypały się tłumaczenia, a te prawie automatycznie doprowadziły do przekładów innych moich utworów. Prawdę mówiąc, oni dwaj też swoje przydziały sukcesu i sławy dzięki *Natchnieniu świata* otrzymali, a kariera, jaką nagle, nieomal z dnia na dzień, zrobił Zaremba była może najbłyszotliwsza, naprawdę fascynująca i to pod każdym względem: artystycznym, socjologicznym, psychologicznym, wydaje mi się jednak, że była to równocześnie kariera pełna natrętnych niebezpieczeństw i wieloznacznego ryzyka. Stał się gwiazdorem, więc kimś, kogo na Zachodzie nazywają *monstre sacre*⁹⁰. Lecz był w powojennej Polsce i jedynym, i w ogóle pierwszym gwiazdorem. Byli od niego aktorzy większych zasług i większego talentu, lecz nikt prócz niego nie stał się gwiazdorem, zatem wzorem do naśladowania, powielania, obiektem czegoś więcej niż podziwu, nawet adoracji, bo obiektem kultu, zrodzonego z najgłębszych poruszeń i drżeń współczesnej rzeczywistości. W kostiumie z końca lat pięćdziesiątych, całym sobą tu i teraz — wskrzeszał jednocześnie bohaterką i tragiczną legendę minionych lat, kusząc pokolenie, wychowane w pokoju, zagubione i wyobcowane, zuchwałymi i desperackimi gestami, lecz jednak gestami, które ludzi dojrzałych wzruszały, a w młodzikach budziły tęsknotę do czegoś, co jest większe, bujniejsze i czystsze od ich życia.

Artysta

Holoubek, Keller, Hanuszkiewicz czy Łomnicki cieszą się zasłużoną sławą i popularnością, lecz dla swoich widzów i słuchaczy nigdy się nie stali przedmiotem tajemniczych zabiegów. Natomiast po *Natchnieniu świata* Zarembowie wyroili się w terenie, jak za dotknięciem magicznej pałeczki Prospera. Szedł Zaremba ulicą i już dwóch, trzech innych Zarembów wychodziło mu naprzeciw, czwarty niespokojnym krokiem Zaremby przebiegał jezdnię w niedozwolonym miejscu, piąty Zaremba wychodził ze sklepu albo z najbliższej bramy, szósty dopędzał go i mijał, wszyscy w dzinsach, w grubych swetrach, w przyciemnionych okularach, ruchliwi, taneczni i niespokojni, bruneci, blondyni, rudzielcy, lecz koniecznie z włosami w nieładzie zsuniętymi na czoło, nie dziwię się, że pewnego razu prawdziwy Zaremba, idąc w Paryżu ulicą du Bac w kierunku St. Germain, gdy w jakimś momencie ujrzał przed sobą sobowtóra, nie zwolnił kroku i na pełnym chodzie wpakował się w ogromne lustro, czołem mocno stuknąwszy w odbicie samego siebie.

Sprawił na mnie wrażenie zadziwiającego zlepka przeciwieństw: był harcerzykiem i bałaganiarzem, bywał zadbany i niechlujny, śmieszny i patetyczny, skrupulatny i rozrzutny, uspołeczniony i zanarchizowany, koleżeński i zawistny, do serca przyłoż i drażliwy, naturalny i cały na aktorskiej zgrywie, długo by można wyliczać te sprzeczne elementy jego natury, nie wiem, ale chyba bardzo często trudno i niewygodnie musiało mu być z samym sobą, a los mu przypadł w udziale niełatwy: stał się gwiazdorem, gwiazda jego poczęła blednąć, pociemniały lustra odbijające sobowtórów, wielkim aktorem stawał się wśród niepowodzeń, goryczy i oporów.

W sposób niewybaczalny w ogóle, a w zawodzie aktorskim w szczególności, nie dbał o siebie, za cenę sobie tylko znanych urzeczeń i złudzeń, przyspieszał rozstanie z cielesnym

⁹⁰*monstre sacre* (fr.) — święty potwór. [przypis edytorski]

kształtem Tomka Gaszyckiego, a równocześnie chyba się i dręczył, że mu rysy twarzy grubieją, a oczy, z natury nieduże, wnikają powoli pod napuchnięte powieki.

Myszę, że w tym nowym kształcie cielesnym dużego, tłustego i ciężkiego faceta, prawie zapowiedzi Orsona Wellesa, dojrzewał aktor charakterystyczny miary największej, nie zdążył się jednak Zaremba zagospodarować w tym nowym mieszkaniu, a może nie chciał i nie zawsze się na męską dojrzałość godził? Może jego ruchy przy kierownicy auta, wtedy o najwcześniejszej godzinie przedwiosennego dnia na szosie podwarszawskiej, były ruchami młodości, niestety fałszywymi, bo z cielesności prowadzącego auto młodość już była uleciała? Jakkolwiek było w ten koniec kwietniowej nocy — stworzył ze swego życia fascynującą kreację, tragiczna śmierć znów go uczyniła młodym, przywracając go mitowi, który niegdyś sam stworzył, a równocześnie otwierając wieloznaczne perspektywy dla dojrzałej wielkości”.

CZĘŚĆ 3. *NON CONSUMMATUM*

PLAN

I.

Tytuł: *Poranek Konrada Kellera* (?)

Budzi się wcześniej niż zwykle, zaraz po siódmej, niedostatecznie wypoczęty i z głową ociążałą (zatrucie organizmu proszkiem przeciwbólowym), chory ząb nie sygnalizuje wprawdzie bólu, jednak jest, lekko ćmi, więc Konrad, aby uniknąć ryzykownego zwarcia szczęki, leży z ustami pół otwartymi, rozważając problem: jak się ubrać? Ze względów praktycznych (próba w telewizji, wyznaczona na godzinę dziesiątą, z pewnością się przeciągnie i potrwa ponad godzinę, a przed ślubem w Urzędzie Stanu Cywilnego będzie jeszcze musiał pojechać na Saską Kępę po Monikę), więc ze względów praktycznych należałoby od razu włożyć czarny garnitur, lecz na myśl, że w tak uroczystym stroju sprzentuje się najpierw u dentystki, a potem w Telewizji, Konrad krzywi się z niesmakiem. Zatem ubrać się zwyczajnie i po próbie wrócić do domu, żeby się przebrać? Ile czasu podobne przedsięwzięcie może kosztować? Pół godziny? Trochę mało. Trzy kwadransy? Keller tak bardzo nie lubi pośpiechu, iż nawet ról wymagających szybkich zmian kostiumu podejmuje się niechętnie. Wielokrotnie w ostatnich dniach rozważał ów problem ubrania, lecz co innego znaczy: jakiś problem rozważać, a co innego: stanąć wobec konieczności rozstrzygnięcia go. Zatem wobec tych perspektyw, w każdej wersji kłopotliwych i wnoszących złośliwe elementy dekompozycji, samopoczucie Kellera gwałtownie się pogarsza.

Ranna toaleta Konrada Kellera. Dłuższa refleksja, czy zęby wymyć normalnie, czy ograniczyć się do przepłukiwania jamy ustnej letnią wodą? Rozterka z tego powodu. Wreszcie decyduje się na rozwiązanie połowiczne: zachowując wszystkie możliwe środki ostrożności, czyści szczoteczką zdrową stronę uzębienia i tylko górne zęby strony chorej.

Po ogoleniu się i prysznicu Konrad czuje się znacznie lepiej, chociaż ząb wciąż leciutko ćmi, jakby w nim mikroskopijny kornik chrobotał. Problem garnituru nadal nierozstrzygnięty.

Śniadanie. Rezygnuje z grzanek, ograniczając posiłek do łyżki pokrzepiającego miodu i filiżanki mocnej kawy. Nieprzewidziany a fatalny skutek działania kofeiny: ząb zaczyna nagle pulsować, puchnąć i niebawem to pulsowanie i puchnięcie przekształcają się w rwący ból.

Zaraz po ósmej Konrad Keller dzwoni do swojej dentystki. Telefon przyjmuje jej stara i przygłucha gosposia, Konrad mówi na swoim słynnym szepcie, okazuje się, że Ewa Gergerowa wyjechała na weekend jeszcze wczoraj i wróci dopiero w poniedziałek wieczorem.

W bezradną słabość, w jaką po tym telefonie popada Keller, wślizguje się pokusa, aby jeszcze raz poszukać ulgi w proszku przeciwbólowym. Jednak ostatecznie, w obawie, że uboczne działanie składników narkotycznych może pamięć przyćmić, a nawet sparaliżować, nie decyduje się na ten ryzykowny krok i dzwoni do Eryka Wanerta. Ten jednak (o śmierci stryja jeszcze nie może wiedzieć), ponieważ nigdy z zębami nie miał kłopotów, nie zna żadnego adresu dentystki, dopiero w trakcie rozmowy przypomina sobie, że gdy w roku ubiegłym, w czasie zdjęć do *Zagubionych*, Maćka Zarembę rozboleł ząb — pojechał z Maćkiem na Miodową, do Kliniki Stomatologicznej. Ta nazwa nie robi na Konradzie dobrego wrażenia, ponieważ słowo: „klinika” kojarzy mu się z przypadkami szczególnie ciężkimi, wymagającymi leczenia szpitalnego. Zatem Wanert uspokaja go w tym względzie, wyjaśniając, że jest to po prostu rodzaj przychodni, w której pracują doskonali lekarze związani z wydziałem stomatologii Akademii Medycznej.

WANERT

Na pewno ci pomogą.

KELLER

Myślisz? A co było Maćkowi?

WANERT

Wiesz, ja się na tych sprawach nie znam, ale to była jakaś paskudnie skomplikowana sprawa, ropa pod zębem wyleczonym i zaplombowanym, Maciek spuchł potwornie, musieliśmy na tydzień przerwać zdjęcia.

KELLER

po chwili

Mnie też boli ząb wyleczony i zaplombowany.

WANERT

zaniepokojony

Ale chyba nie spuchłeś?

KELLER

Przepraszam cię, Eryk, poczekaj chwilę, ktoś dzwoni do drzwi.

Odłożywszy słuchawkę, idzie do łazienki, aby sprawdzić, jak się w tej chwili sprawa z jego twarzą przedstawia. Stwierdza, że na razie wszystko jest w porządku. Lecz, gdy nagle natężenie bólu zmusza go do otwarcia ust i przelknięcia gromadzącej się obficie śliny, wydaje mu się, że mu szczęki drętwieją. Przerazająca myśl: szczękościsk! Biegnie sprawdzić w Wielkiej Encyklopedii: „Szczękościsk, mocne zwanie szczęk wskutek kurczu mięśni żwaczy i wywołanego przez bodźce ośrodkowe, m.in. w przebiegu tężca, tężyczki, zapalenia opon mózgowych, padaczki, hysterii, albo przez bodźce miejscowe, w przypadku zębopochodnych zapaleń okostnej, ropni pookostnych (...) w razie konieczności usunięcia zęba, rozwarcie szczęk jest możliwe tylko w narkozie”.

KELLER

Eryk?

WANERT

Jestem.

KELLER

Spytałeś, czy nie spuchłem? Na razie nie.

WANERT

z ulgą

No widzisz! To znaczy nic poważnego. Jedź zaraz na Miodową, przyjmą cię poza kolejką, masz zresztą masę czasu, wystarczy, jak w studio będziesz pół do dziesiątej.

KELLER

Eryk, znasz mnie, że nie mam skłonności do przesady, ale obawiam się, że to może być szczękościsk.

WANERT

Co takiego?

KELLER

Szczękościsk, zwanie szczęk, które można usunąć tylko pod narkozą.

WANERT

Rozumiem, ale wydaje mi się, że szczękościsk występuje tylko przy tężcu.

KELLER

Nie tylko, w przypadkach zębopochodnych zapaleń okostnej także. Pewne objawy...

WANERT

Mówisz normalnie.

KELLER

To zawodowa rutyna, Eryk. Nie czuję się normalnie.

WANERT

po chwili

Słuchaj, Konrad, za dziesięć minut będę u ciebie.

KELLER

Naprawdę? Strasznie ci, Eryk, dziękuję. Cóż to za dziwy! Jak wiele wspaniałych istot! Jak piękna jest ludzkość! O nowy, wspaniały świat z takimi ludźmi!

W oczekiwaniu na przyjazd Eryka Konrad, bardzo w samopoczuciu psychicznym podbudowany, rozstrzyga sprawę ubrania, zdecydowanie ze względu na okoliczności (klientka!) odrzucając „wersję” czarnego garnituru.

2.

Zespół przychylnych oraz satysfakcjonujących okoliczności sprawił, iż z wieczora, wkrótce po telefonie do Beaty Konarskiej, Otockiego usnął łatwo i szybko, zapadłszy się w głębie, do których nie mają dostępu dręczące zmyły i majaki. Lecz nad ranem, niczym topielec przebywający nazbyt długo w wodnej toni, musiał się najwidoczniej oderwać od bezpiecznego dna snu i wznieść się ku mętnej powierzchni graniczącej z jawą, gdy bowiem nagi i w poczuciu śmiertelnego zagrożenia szukał, ślepo kołując wśród rozległych korytarzy, schodów, pustych kondygnacji, wyjścia z gigantycznej i czarnej, lecz pełnej tajemniczych rozbłysków budowli, przypominającej równocześnie i metro podziemno-nadziemne, i kombinat przemysłowy z kominami, które dymiły jak wyloty pieców krematoryjnych w łagrze, więc gdy szukając wciąż w poczuciu śmiertelnego zagrożenia wyjścia z tego opustoszałego labiryntu, pełnego bezgłośnych eksplozji świetlnych, i pod ciężką warstwą sadzy i dymu, znalazł się wreszcie przy gładkiej, rozgrzanej ścianie, która nagle, skoro prawie skostniały przywarł do niej nagim ciałem, poczęła się zmieniać w ścianę z kolczastego drutu, wówczas, czując całym sobą, jak wyslizgujące się spiralnie ze ściany taśmy drutu oplątują go, wbijając się mrowiem drobnych i ostrych żądał w unieruchomione ciało, wówczas szarpnął się i z krzykiem bólu i przerażenia obudził się.

Dochodzi godzina szósta Czując, że już nie usnie — wstaje i nastawia radio. Akurat trafia na komunikat meteorologiczny.

Spiker:

„...obfite opady śniegu, a miejscami śnieżycy i zawieje śnieżne wystąpiły w nocy z piątku na sobotę na wschodzie kraju i w centrum. W Warszawie, Lublinie, Włodawie oraz w wielu innych miejscowościach prawie dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu poważnie utrudnia ruch kołowy oraz pieszy. Temperatura spadła w wielu rejonach do około 0°C Olbrzymie opady śniegu wystąpiły w górach...”

Z tomem *Pamiętników* wybitnego działacza socjalistycznego, przebywającego na emigracji, Adama Pragiera (stykał się z nim wielokrotnie przed wojną), Otockiego wraca do łóżka. *Pamiętniki* Pragiera, wydane przed paroma laty w Londynie, są pasjonującą lekturą, Otockiego już od kilku dni czyta je w wolnych chwilach z wielkim zainteresowaniem, teraz jednak nie może się skupić (myśli bowiem o oczekującej go rozmowie telefonicznej z Moniką Panek) i wreszcie po paru stronach odkłada książkę. Leżąc z przymkniętymi oczami układa sobie przez pewien czas i w różnych wersjach zdania, które by od jego strony najlepiej tę rozmowę ustawiły, wciąż jednak ma wrażenie, że w całym tym przedsięwzięciu, wczoraj tak oczywistym, coś się nie zgadza. I nagle dokonuje odkrycia: Raszewski! Jak Raszewski zareaguje, gdy się dowie, że Monika została pozbawiona wielkiej roli i do tego w okolicznościach tak drastycznych? Co się stanie, jeśli stosunki tych dwojga są nadal, jeśli nawet nie intymne, to przyjacielskie? Zasłonić się w razie burzy Wanertem? Lecz zasłonić się Wanertem — znaczy: ulegać Wanertowi. A uległość w stosunku do osobnika z kontem ideowym tak zachwianym jak Wanerta jest równoznaczna z uległością i chwiejnością w ogóle. Błąd? Artystyczna pomyłka? Otockiego wie bardzo dobrze, że każda taka omyłka, gdy się ją odpowiednio ustawi i opuka, może się natychmiast przekształcić, ztracając niewinny charakter potknięcia artystycznego i odsłaniając równocześnie groźne oblicze przestępstwa ideologicznego.

Udręka i niepokój Otockiego. Wreszcie po przeanalizowaniu wszystkich elementów niebezpiecznej sytuacji dochodzi do przekonania, że jedyne wyjście z tego impasu sprowadza się do uprzedzenia ewentualnego ataku. Zaasekurować się na wszelki wypadek —

oto, co musi zrobić! Dochodzi ósma. Korzystając, że Jolanta poszła akurat do łazienki, przenosi aparat telefoniczny z hallu do swego pokoju i usiadłszy za biurkiem, aby nieco przydać równowagi osłabionemu z emocji ciału, wykręca swymi grubymi i lekko obrzmiałymi palcami domowy numer Raszewskiego, nie przewidział (bo i skąd mógł przewidzieć?) jednego: w jak bardzo złym humorze jest tego ranka Raszewski. Sekretarz Komitetu Centralnego podjął słuchawkę prawie natychmiast.

RASZEWSKI
Słucham, Raszewski.

OTOCKI
z nadmiernego podenerwowania zbyt szybko i mało wyraźnie
Dzień dobry, towarzyszu Raszewski, tu mówi Otockki.

RASZEWSKI
Kto?

OTOCKI
Witold Otockki.

RASZEWSKI
Słucham.

OTOCKI
Przepraszam, towarzyszu Raszewski, że was niepokoję o tak wczesnej porze, mam nadzieję, że was nie obudziłem...

RASZEWSKI
O co chodzi?

OTOCKI
Nawiązując do naszej wczorajszej rozmowy, nie wiem, czy sobie przypominacie, ale kiedy wam referowałem sprawę ewentualnego wystawienia w Teatrze Stołecznym *Makbeta*, wspomniałem wam, że rolę Lady Makbet zamierzamy powierzyć pani Monice Panek, otóż tak się złożyło, że wczoraj wieczorem, już po rozmowie z wami, miałem okazję mówić na ten temat z reżyserem i w trakcie dyskusji, jaką mieliśmy, doszedłem do przekonania, że wbrew temu, co sądziłem do tej pory, pani Panek, nie chciałbym sprawy tak postawić, żeby twierdzić, że się do tej roli nie nadaje, artystyczny aspekt tej sprawy jest w tym wypadku bardzo szczególny, po prostu, głębiej się nad całym problemem zastanawiając, doszedłem do przekonania, że mamy w zespole aktorkę także młodą, nawet młodszą od pani Moniki, wybitnie zresztą utalentowaną, która ze względu na swoje warunki zewnętrzne i także, oczywiście, ze względu na rodzaj uzdolnień, jeszcze w większym stopniu niż pani Monika posiada dyspozycje do zagrania tak trudnej i eksponowanej roli, mam na myśli Beatę Konarską. Ponieważ próby mamy zacząć w najbliższy poniedziałek, nie chciałbym podejmować ostatecznej decyzji bez usłyszenia waszej opinii, zwłaszcza, że jak już wspomniałem, w stosunku do tego, co wam wczoraj referowałem, zaszły tego rodzaju zmiany...

RASZEWSKI
To wszystko?

OTOCKI
Słucham?

RASZEWSKI
Pytam, czy to wszystko?

OTOCKI
Uważałem, towarzyszu Raszewski, za swój obowiązek zakomunikować wam...

RASZEWSKI
A nie uważacie przypadkiem za swój obowiązek zakomunikować mi, czyście się już dzisiaj wysrali czy jeszcze nie? *przechodząc w krzyk* Za kogo wy mnie właściwie bierzecie,

co? Niemowlęciem jesteście, a ja waszą niańką? A może uważacie, że jestem na etacie wykidajły w tym waszym zasranym burdelu? *po chwili, gdy Otockci milczy całkiem sparaliżowany, mówi już spokojnie, choć twardo* Bardzo mi przykro, dyrektorze Otockci, ale odnoszę wrażenie, że macie całkiem opaczne pojęcie o moich zainteresowaniach i kompetencjach. Zechciejcie więc przyjąć do wiadomości, że nie interesują mnie — słyszycie? — nie interesują mnie takie czy inne rozróby personalne, dopóki nie nabierają charakteru politycznej dyskryminacji. O efekcie artystycznym waszych decyzji wypowiedzą się w odpowiednim momencie odpowiedzialni krytycy, ze mną obsady nie musicie uzgadniać, nic mnie nie obchodzi, kto i co w waszym teatrze gra, to wasza sprawa i osób zainteresowanych. W związku z tym przyjmijcie, Otockci, do wiadomości, że Partia, tępiąc gdzie należy i kiedy należy przejawy sobiepaństwa, tępi także objawy nadgorliwości, która bardzo często bywa tylko drugą stroną postawy oportunistycznej.

(W jednym z brulionów, przy szkicu tego dialogu, notatka z ubiegłego roku: „nieoczekiwana reakcja Otockiego: »Oczywiście!«”)

OTOCKI

całkiem spokojnie, nawet z akcentem pewnej stanowczości

Wybaczcie, towarzyszu Raszewski, ale zaszło pewne nieporozumienie.

RASZEWSKI

Jakie nieporozumienie? Tyle rozeznania chyba macie, żeby zdawać sobie sprawę, do kogo i co mówicie?

OTOCKI

Owszem, towarzyszu Raszewski, mam tyle rozeznania. Niestety, nie daliście mi przyjść do słowa, abym mógł wam wyjaśnić, że zadzwoniłem do nas, może rzeczywiście niepotrzebnie, ale w najlepszych intencjach, i to w intencjach, pozwolę sobie z całym naciskiem stwierdzić, niemających nic wspólnego z jakąkolwiek oficjalnością. Orientując się w waszych przyjacielskich stosunkach z rodziną pani Panek, z jej ojcem przede wszystkim, oraz uwzględniając fakt, że znacie Monikę wiele lat, prawie od dziecka...

RASZEWSKI

Więc?

OTOCKI

To wszystko, towarzyszu Raszewski.

Sprzeczne uczucia Raszewskiego: oczywiście domyślił się aluzji Otockiego do stosunków z Moniką (skąd ten gnój wie?) i chętnie by go z miejsca wykończył, lecz z drugiej strony zdaje sobie sprawę, że rozegrawszy w ten sposób całą historię miałby w Otockim nie tyle groźnego, ile uprzykrzonego wroga, poza tym trochę mu zaimponowała zręczność, z jaką dyrektor Teatru Stołecznego odwrócił sytuację na swoją korzyść.

RASZEWSKI

No tak! Przyznaję wam rację, towarzyszu Otockci, rzeczywiście zaszło nieporozumienie, ale to trochę i wasza wina, bo trzeba było sprawę od razu jasno postawić i zacząć od tego, na czym wy skończyliście. Nie jestem duchem świętym, towarzyszu Otockci, żeby domyślać się waszych intencji. A poza tym... słyszycie mnie?

OTOCKI

Bardzo dobrze, towarzyszu Raszewski.

RASZEWSKI

Moim zdaniem, mówię to oczywiście prywatnie, miła Monika trochę się pozłości, to jasne, ale ponieważ mam ją za rozsądną dziewczynę, chyba jednak zrozumie, że rola Lady Makbet jeszcze nie dla niej, nie na tym etapie, chociaż skądinąd na pewno nie jest pozbawiona zdolności.

OTOCKI

Nikt jej talentu nie odmawia, towarzyszu Raszewski.

RASZEWSKI

Zresztą, o ile sobie przypominam, coś w tym rodzaju mówiłem wam wczoraj. Ale jeżeliście się do mnie zwrócili jako do przyjaciela rodziny, to o jedno bym was prosił,

towarzyszu Otockiego. Dzisiaj jest ślub Moniki, wstrzymajcie się z zakomunikowaniem jej waszej decyzji do... powiedzmy, do poniedziałku. Po co psuć dziewczynie humor w tak uroczystym dniu?

OTOCKI

Jasne, towarzyszu Raszewski, sam to wziąłem pod uwagę.

RASZEWSKI

To świetnie!

I już chce w tym momencie zaprosić Otockiego do siebie na przyszły piątek (będzie to samo towarzystwo, co wczoraj), gdy się natychmiast reflektuje, że taki pośpiech byłby z jego strony poważnym błędem, wystarczy, jeśli Otockiego otrzyma podobne zaproszenie za tydzień, nawet lepiej: za dwa albo trzy tygodnie, słabych ludzi nie należy rozpieszczać.

3.

Po śniadaniu nieco późniejszym niż zwykle Adam Nagórski wraca do łóżka i czyta zaczętą przed paroma tygodniami *Mszę za poetę*.

MSZA ZA POETĘ

Umarł na zawał serca, w Londynie, w lutym 1969 roku. Polskę opuścił w pamiętnym wrześniu, więc w ciemnej i głębokiej prehistorii, z pewnością nie zdając sobie wówczas sprawy, że nigdy do ojczyzny nie powróci, trzydzieści lat przeżył na emigracji, wielokrotnie, jakby w nieustannym poszukiwaniu domu, zmieniał miejsca pobytu, kraje i miasta, najpierw był we Francji i krótko w Portugalii, potem wyjechał do Stanów Zjednoczonych, ale po iluś latach powrócił do starej Europy, mieszkał w Paryżu i w Rzymie, później przeniósł się do Anglii i jeszcze raz do Paryża, aż wreszcie śmierć dosięgła go w londyńskim szpitalu. Gdyby żył, obchodziłby za pół roku, w sierpniu, swoje siedemdziesięciopięcioletcie.

12 marca w ostatniej nieomal chwili dowiedziałem się, że msza za duszę Kazimierza Wierzyńskiego zostanie odprawiona o pół do szóstej wieczorem, w kościele Wizytek. Już na wiele dni przed tym słyszałem, że nekrolog z zapowiedzią nabożeństwa, złożony przez przyjaciół zmarłego w „Życiu Warszawy”, usunęła cenzura, później powiedziano mi, że zabroniono również rozlepiania na kościele żalobnej klepsydry.

Było jeszcze jasno, kiedy wychodziłem z domu. Dzień był słoneczny i bezwietrzny, lecz nie czuło się w powietrzu przedwiośnia, wilgotny zamróz ciągnął od chodników i asfaltu jezdni, na skwerach przy Krakowskim Przedmieściu leżały płachetki szarnego śniegu. Dwa lata temu, też z początkiem wiosny, w Paryżu była już wiosna, kapryśna wprawdzie i zmienna, z częstymi deszczami i dokuczliwie wietrzna, lecz jednak wiosna, nie pamiętam, czy kasztany na bulwarach i nad Sekwaną już się zazieleniły, chyba ledwo, ledwo, pamiętam za to dobrze, że chodziło się w lekkich płaszczach i można było przesiadywać na tarasach kawiarni, w godzinach południowych słońce przygrzewało bardzo mocno.

W pierwszym tygodniu tego marca odbywało się w Paryżu coś w rodzaju *sympozjonu* poświęconego przekładom polskiej poezji, przedsięwzięcie zorganizowane przez trzy wydawnictwa: paryskie, zachodniemieckie i amerykańskie, które wydały antologię polskiej poezji lub tomiki kilku poetów współczesnych. Impreza wypadła bardzo kameralnie, wiedziało o niej tylko nieliczne grono wtajemniczonych, kilku zaproszonych francuskich krytyków, kilku tłumaczy polskiej poezji, wśród nich jeden szczególnie zasłużony: Carl Dedecius z Frankfurtu nad Menem, nie było telewizyjnych kamer, nawet żaden fotograf się nie zjawiał, nikogo z przybyłych nie proszono o wywiady, październikowa moda na Polskę i polskich intelektualistów i pisarzy już przeminęła, ludzi, którzy korzystają z wolności, nie interesują ci, którzy muszą egzystować bez niej, tylko bunt ich zaciekawia i ekscytuje, a na to efektywne dla widzów widowisko niewolnicy nie zawsze mogą sobie pozwolić, przegrani nie mają szans, klęski posiadają zazwyczaj charakter prowincjonalny, zaściankowy, więc też i prasa francuska prawie całkowicie przemilczała to pierwsze bodaj po wojnie spotkanie poetów, należących do jednej literatury, lecz w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu sztucznie rozdzielanych, a nieraz dobrowolnie dzielących siebie na tych, którzy żyją w kraju i tych, którzy wybrali emigrację. Więc z Polski przyjechali Ja-

Wolność, Niewola, Bunt

rosław Iwaszkiewicz, Julian Przyboś, Adam Ważyk, Artur Międzyrzecki i tłumacz, Jerzy Lisowski, z Niemiec Zachodnich, gdzie akurat przebywał na stypendium, przyleciał Wiltold Wirpsza, Zbigniew Herbert przyjeżdżać nie musiał, ponieważ w Paryżu mieszkał był od wielu miesięcy, Jan Brzękowski od wielu lat, natomiast z Berkeley przyjechał Czesław Miłosz, a z Rzymu Kazimierz Wierzyński, obaj z żonami, Aleksandra Watta, niestety, nie było, jeszcze w grudniu, poszukując ciepła dla swego zniszczonego zdrowia, wyjechał na Majorkę.

Konferencje z referatami poświęconymi przede wszystkim trudnej sztuce poetyckich przekładów odbywały się w godzinach popołudniowych, w małej auli w solidnym i ciężkim gmachu, na wprost kościoła St. Germain des Prés. W Paryżu, o każdej porze roku, a także dnia i nocy, nietrudno spotkać Polaka, szczególnie na St. Germain, wówczas jednak, w ciągu owych kilku dni marcowych, zagęszczenie polskości w tej dzielnicy było wyjątkowe, mały odcinek bulwaru z narożnym, jarmarcznym „Drug Store” i Lippem, a z „Deux Magots” i z „Cafe Flore” po stronie przeciwnej, ten zawsze gwarny i zatłoczony deptak interesów, przeróżnych snobizmów oraz płatnej, głodnej miłości sprawiał wrażenie jakby na skutek magicznych ruchów pałeczki Prospera, który stał się polskim patriotą, wielojęzyczny tłum Francuzów, Niemców, Anglików, Amerykanów i Włochów nagle zastygł, a wszelki ruch życia, mowa i widzenie pozostawione zostały jedynie polskim poetom, nadmiernie wśród tego powszechnego wyciszenia i bezruchu hałaśliwym i ożywionym, wysokie niebo — słoneczne, chmurne lub rozgwieżdżone — było zawsze niebem paryskim, kamienice połyskujące świeżą białością były kamienicami paryskimi, paryskie były tarasy kawiarni, autobusy, światło sygnalizacyjne, neony, afisze, kasztany i dalekie perspektywy, wszystko dokoła było Paryżem, przecież na tym skrawku wielkiego miasta, jakby na dalekiej i obcej wyspie, istnieli ci jedynie, których tchnienie różdżki starego czarodzieja przywiodło z różnych wprawdzie stron świata, lecz dzięki innym, prastarym, w głąb wieków sięgających czarom przyprowadzało zawsze spomiędzy żywiołów polskiej mowy.

Już czwarty miesiąc byłem w Paryżu, mieszkalem koło Odeonu, w skromnym, lecz czystym i wygodnym hoteliku, w którym teraz zatrzymać się mieli również Miłoszowie. Dla poetów z Polski gospodarze na czas trwania konferencji zarezerwowali pokoje w drogich hotelach na bulwarze Raspail i pobliskiej ulicy Montalambert. Wierzyńscy też tam mieszkali.

Przyleciałem do Paryża w ulewny deszcz, w połowie listopada, samolotem z Monachium, po dwóch tygodniach podróży z wieczorami autorskimi po Niemieckiej Republice Federalnej. Przyjechałem zmęczony i chory na Polskę. Nie da się ukryć, że ilekroć z kraju wyjeżdżam, choruję na Polskę. W domu też jestem chory na Polskę, jest to schorzenie chroniczne i jak się wydaje nieuleczalne, choć, tak jak na katar, rzadko się na nie umiera. Zdawałoby się, że wyjazd, zmiana otoczenia, zmiana ludzi, pejzażu i drobnych, codziennych obyczajów, właściwie zmiana wszystkiego, a więc nowe wrażenia, nowe bodźce, przeżycia i nawyki powinny przynieść odprężenie i ulgę w dolegliwościach tego chorowania na własną ojczyznę. Owszem, tak się właśnie zawsze łudzę, gdy podróż mam przed sobą. I rzeczywiście, kiedy samolot lekko się odrywa od startowego pola na Okęciu i coraz wyżej poczyna się wznosić, aby zatoczywszy ogromny łuk nad miastem wspiąć się ponad pułap chmur i w nasłonecznionej, pustej przestrzeni rozwinąć szybkość, która podróżnym, zamkniętym w długim pudle, wydaje się bezruchem — ależ tak! to jest ulga, ogromna, ulga, rodzaj tępego odprężenia, kiedy po uśmierzającym zastrzyku lub lekarstwie szarpiący ból powoli zanika. W tym rozpędzonym zawieszeniu jest coś z intermezza, które z płochą zuchwałością odrywa się od akcji widowiska i sprawia, że przeszłość pozostawiona daleko w dole, na ziemi, nagle wyparowuje, jak woda wylana na rozpaloną blachę, a przyszłość, z którą mamy nawiązać za kilka godzin kontakt, jeszcze nie podjęła natarczywego ataku. Lecz potem, po pierwszych kwadransach podniecenia, towarzyszących powrotowi na ziemię, potem, gdy się zostawia w pokoju hotelowym nierozpakowane walizki i w pośpiechu wybiega się na miasto, aby spotkać dawno niewidzianych przyjaciół, potem wszystko wraca. Trudno, nie ma na to rady — nie istnieje na tę chorobę lekarstwo skuteczne, a jeżeli istnieje, ja go nie znam. Chorowałem zatem na Polskę wówczas, w Paryżu, prawidłowo i nie bez pewnej zawodowej rutyny, a kiedy ojczyzna, jak stary orzeł, rozpościerający na nagiej skale znużone skrzydła do lotu, ciężko

Polak, Polska, Choroba

się niekiedy ode mnie odrywała, chorowałem na siebie, co nie znaczy, aby złośliwe wirusy podtrzymujące schorzenie prywatne nie zatruwały infekcji publicznej.

O polskiej imprezie poetyckiej, zapowiedzianej na początek marca, wiedziałem kilka tygodni przedtem i myślałem o niej ze skłóconymi uczuciami, co się też wydaje odruchem jak najbardziej prawidłowym, ponieważ stan wszelkiej niedyspozycji duchowej na tym między innymi polega, iż myśli i uczucia chorego rzadko osiągają klarowną krystalizację, niespokojne sprzeczności są ich udziałem, nieustanne ścieranie się przeciwieństw, ciemny dialog rozlicznych pytań i wielorakich, dalekich od jednoznaczności odpowiedzi. W tym wypadku cieszyłem się, że spotkam wielu przyjaciół, cieszyłem się przede wszystkim na przyjazd Miłoszów, których ostatni raz widziałem przed siedmioma laty, gdy jeszcze mieszkali w Montgeron, pod Paryżem. Lecz równocześnie do tych szczerze radosnych uczuć wślizgiwał się lęk, że na przeciąg wielu dni zagęści się dokoła mnie polskość, zarówno ta w kraju, jak i tamta druga: emigracyjna, i owa zagęszczona miazga natarczywie mnie oblegnie, zaatakuje, przyprze i przydusi, a przecież mdły lęk mi podszeptował: już i tak, sam na sam ze sobą, jestem dostatecznie chory i z wystarczająco uwierającym garbem chodzę, potrzebne mi jeszcze tu, w Paryżu, te wszystkie aż nadto dobrze znane rozmowy, nieuchronnie wciągające uczestników w grzęzawisko lepkiej bezsilności, te wieczne polskie udręczone bełkoty i stękania, po których, jak po przepiciu, pusto w głowie, sucho w gardle i ciało staje się ciężkie jak kłoda, po co się mam dobrowolnie rozjątrzać i oczadzać, teraz zwłaszcza, gdy po przerwie bardzo długiej zacząłem pisać i miałem już parę opowiadań prawie gotowych i pełno pomysłów nowych, za miesiąc, najdalej dwa wrócę do Warszawy i będę się opychać Polską aż do mdłości, więc po co mi to wszystko?

W przeddzień konferencji, wieczorem ostatniego lutego, przedstawicielka amerykańskiego wydawnictwa urządziła u siebie w hotelu, bodaj przy ulicy des Rennes, powitalny cocktail. Zaproszenie otrzymałem, pójść? Nie pójść? Nie pójść? A może pójść? Wiele razy z wiadomych powodów zmieniałem decyzję, pisanie poczęło mi się chwiać, pamiętam dobrze: pogoda tego ostatniego lutego była okropna, deszcz i wichura, ostatecznie podły czas dorzucony do wszystkich wątpliwości i oporów przeważył, zbuntowałem się przeciw współuczestniczeniu i zagęszczaniu polskość, wypiąłem się na przyjaciół-rodaków, nie poszedłem na amerykański cocktail. Wkrótce jednak głód począł mnie ssać, w hotelu nie miałem nic prócz koniaku, wypilem dwa małe, żeby się wewnętrznie rozgrzać i poszedłem na ulicę Saint Sulpice, najbliższą, gdzie mogłem kupić coś do jedzenia, w znajomej garmażerii kupiłem trochę zimnej cielęciny i ozora, mały camembert i garstkę ciemnych oliwek, w piekarni obok chleb, a na przeciwko butelkę beaujolais, w drodze powrotnej zaopatrzyłem się w paczkę gaulois'ów oraz w ostatnie wydanie „Le Monde”, ledwo się jednak znalazłem z powrotem u siebie i rozłożywszy zakupy na chwiejnym stoliku wciśniętym pomiędzy szafę i żółtą, plastikową kotarę osłaniającą umywalkę i bidet — żal na mnie spadł, że nie jestem z przyjaciółmi i jestem sam, tak nieodwracalnie i całkowicie sam, jak tylko w obcym mieście musi się człowiek niekiedy czuć, zatem sam, beznadziejnie sam, podczas gdy oni wszyscy, przybysze i miejscowi, zagrzewają sobie teraz serca w atmosferze przyjaźni, śmieją się, żartują i są przyjemnie podnieceni, wiedziałem, że jest za późno na zmianę decyzji, zresztą nawet gdybym się zdobył na jakieś sensowne usprawiedliwienie spóźnienia — brakło mi sił, aby raz wyjść na dwór, jedzenie przestało mi smakować, choć nadal byłem bardzo głodny, więc, żeby się wymknąć samemu sobie i oderwać od żalu i samotności, piłem chłodne czerwone wino w tempie szybszym, aniżeli je pić należało, butelka nie była jeszcze opróżniona, kiedy poczułem, że jestem prawie pijany, ponieważ chciałem być pijany, na stoliku, w przetłuszczonych papierach leżało niechlujnie rozgrzebane jedzenie, machinalnie jadłem słone, mocno przywędzone oliwki, patrzyłem w okno siekane w poblasku ulicznej latarni ukośnym deszczem, potem wypilem ostatnią szklankę wina i wstałem, żeby przynieść z szafy koniak, zostało go tyle, co na szerokość dłoni, więc piłem ten koniak z metalowego kieliszka należącego do innej butelki, mniejszej, nie myślałem już o niczym, nie czułem ani żalu, ani osamotnienia, jak diabeł święconą wodą zalałem wszystkie choroby, a ponieważ bez nich nie miałem nic do roboty — poszedłem spać.

Nazajutrz rano bolała mnie głowa i bez smaku piłem ciekłą *café au lait*, którą przynoszono mi codziennie o ósmej wraz z bułką, czterema kulkami masła i porcją pomarań-

czowego dżemu. Deszcz nie padał, świeciło słońce, trotuary na wąskiej uliczce Casimire Delavigne były białe, czysto wymyte, poranne powietrze przejrzyste, lecz ostry chłód wtargnął do pokoju, gdy otworzyłem okno. Po pierwszym papierosie, który mi też nie smakował, przejrzałem wczorajszy „Monde”, potem poszedłem pod prysznic w przylegającej do pokoju i wyłożonej kafelkami kabinie, ale wcale mnie ten prysznic nie pokrzepił, ubierałem się powoli i niemrawo i starałem się myśleć o opowiadaniu, które miało się nazywać *Dużo piasku i mało*, chciałem akcję tego opowiadania umieścić współcześnie w Paryżu, lecz prawdziwy dramat bohatera, którego nazwałem Kolendą wydarzył się bardzo dawno, jeszcze w hitlerowskim obozie, gdy ów Kolenda był bardzo młodym chłopcem, chodziłem z tą historią od paru tygodni, od kiedy mi ją któregoś popołudnia, przy cassis w „La Reine Pedauque”, w pobliżu dworca St. Lazare, opowiedział Zygmunt H., to, co teraz chciałem opisać, przydarzyło się w obozie w Dachau znajomemu Zygmuntowi, zecerowi z Polski, od wielu lat zamieszkałemu w Paryżu, więc ubierając się myślałem o tym opowiadaniu, lecz nie potrafiłem myśleć obrazami i dialogami, a kiedy uprzętnąłem ze stolika resztki wczorajszej kolacji i otworzyłem brulion z notatkami, też byłem pusty i to w sposób szczególnie dokuczliwy, kiedy pustka, pozostając pustką, chwieje się i faluje, bardzo chciałem, żeby ktoś do mnie zadzwonił, potem, skoro nie dzwonił nikt, zacząłem się zastanawiać, do kogo z przyjaciół mógłbym się odezwać, aż wreszcie musiałem skapitulować, ponieważ nie mogłem dłużej przed samym sobą ukrywać, że od paru godzin, od momentu przebudzenia, tylko skórą myślałem o zmęczeniu, opowiadaniu, telefonach i innych stu rzeczach, w rzeczywistości myślałem o wczorajszym coctailu, a jeszcze natarczywiej o popołudniu dzisiejszym i inauguracyjnym posiedzeniu konferencji.

Wychodziłem zwykle z hotelu koło południa, akurat, żeby przeczytać w kawiarni prasę i zdążyć na wczesne śniadanie, teraz było zaledwie pół do jedenastej, lecz gdy mi przyszło do głowy, że podwójne campari z wodą sodową, kawałkiem cytryny oraz paroma kostkami lodu uśmierzy moją rozkołysaną pustkę, postanowiłem wyjść natychmiast. Na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że mogę myśleć obrazami oraz dialogami, wsunąłem do marynarki podręczny notes, luty, który się właśnie skończył, był dla mnie dobrym miesiącem, mimo pewnych, dość powikłanych kłopotów finansowych i jeszcze bardziej zagmatwanych spraw filmowych, w które się wplątałem lekkomyślnie, jak w dwuznaczną miłość, chodziłem po Paryżu lekki, odmłodzony i nieomal szczęśliwy, obrazy sytuacyjne oraz dialogi żyły we mnie nawet w okolicznościach mało przychylnych skupieniu, niepotrzebne mi było skupienie, moje oczy były wyostrome, słuch i węch szczególnie wrażliwe, wypełniał mnie zdrowy głód zwierzęcia, które wie, że się zaraz nasyci, moim pokarmem, mięsem dla mnie mogło być wszystko, kształty, ruchy, dźwięki i kolory dostarczały mi obfitych pokarmów, pożerałem je i nadal byłem głodny. Miałby się więc teraz skończyć ów stan czujnej gotowości, teraz, gdy tak wiele nagromadzonych planów i zamysłów nie zdążyłem jeszcze zrealizować, miałyby wyschnąć nagle moje oczy i mój słuch zeszywnieć? Całe moje życie, od kiedy zacząłem istnieć świadomie, było złożone z zamierzeń i odroczeń. Lecz ilekroć umierałem, traciłem wszelką nadzieję, że się przebudzę, natomiast, gdy ocknienie przychodziło, zawsze w jego ożywym oddechu czaił się strach, że ta kondycja będzie krótkotrwała i jeden nieuważny krok, nieopatrznie ślepy gest z powrotem mnie cofną w martwą ciemność.

Przed wyjściem zapaliłem światło nad umywalką i pod zimnym strumieniem myłem ręce, żeby z nich spłukać spocenie, myłem je dość długo, pochyliwszy głowę, aby się nie spotkać w lustrze ze swoją twarzą, w obawie, że gdy ją ujrę — zobaczę nagie świadectwo nadciągającej klęski. Potem, także niezbyt długo i plecami odwrócony do lustra wycierałem dłonie zaczerwienione od chłodnej wody, wreszcie odłożyłem ręcznik, gdzie należało, światło zgasilem i od razu sobie uświadomiłem, że końce palców znów mi wilgotnieją, nie czułem się zresztą źle, czułem się nijako, trochę tak, jakbym wpadł w szybki wir obrotowych drzwi i nagle z nich wyskoczył. Jeszcze się chwilę zastanawiałem, czy mam przy sobie wszystko, co mi jest przy wyjściu na miasto potrzebne, a gdy stwierdziłem, że tak, otworzyłem okno, aby pod moją nieobecność pokój, przesycony dymem papierosów, możliwie długo się wietrzył, włożyłem płaszcz i już miałem wyjść na korytarz, gdy do moich drzwi mocno zastukano, byłem tuż przy nich, więc je od razu otworzyłem: przede mną, nie dalej niż na wyciągnięcie dłoni, stali Janka i Czesław. Wśród radosnych okrzyków powitania i w ramionach ich obojga, wrzuszony i uszczęśli-

wiony, nawet nie zdążyłem przezornie pomyśleć, że jak mucha w pajęczą sieć — wpadłem w ramiona Polski.

Mijając pomnik Mickiewicza, sprawdziłem godzinę, dochodziła piąta, miałem więc dość czasu, żeby zaraz za pomnikiem skręcić na lewo i wstąpić do winiarni Hopfera, tuż przy kościele Bernardynów. Niegdyś, w wieku dziewiętnastym, znajdował się w tym miejscu popularny w dzielnicy handel wina i delikatesów Karola Hopfera, związany z osobą Bolesława Prusa i z *Lalką*, natomiast w latach pięćdziesiątych, po odbudowaniu Krakowskiego Przedmieścia, stary Hopfer, nazywany wówczas „Dziekanką”, był jedną z pierwszych winiarni powojennej Warszawy, chętnie odwiedzaną przez pisarzy i artystów. Z biegiem lat winiarnia poczęła zmieniać charakter i, podobnie jak Fukier na rynku Starego Miasta, stała się lokalem prawie wyłącznie młodzieżowym. Jest to bardzo szczupłe i ubogie pomieszczenie, bez żadnego zaplecza, z trzema, ciasno zestawionymi stołami, z kominkiem spełniającym rolę wyłącznie dekoracyjną i z kontuarem, za którym wzdłuż całej ściany i na części ściany poprzecznej piętrzą się aż pod wysoki strop półki, wypełnione butelkami win importowanych z Jugosławii, Węgier i Bułgarii, czasem przychodzą nieduże transporty win algierskich i greckich. Przez drobne, okratowane okienko dociera do środka światło dzienne, półmrok więc tu zazwyczaj panuje, a ciasno jest okropnie, ponieważ duże tekturowe skrzynie z butelkami jeszcze niewypakowanymi lub pustymi, których w porę nie zabrano, zwalone jedna na drugą, tarasują zazwyczaj dostęp do głębokiego okienka parapetu, zacieśniając używalną powierzchnię lokalu do owych trzech stołów, ławy za nimi, kilku taboretów ustawionych przy kominku i miejsc stojących przy kontuarze. Właśnie przy kontuarze udało mi się znaleźć wolne miejsce, gdy wszedłem do Hopfera. W pierwszej chwili, na widok ciżby wypełniającej lokal siny od dymu i przesycony kwaśnym odorem tanich win, chciałem się cofnąć, lecz nim zdążyłem to uczynić, akurat dwóch długowłosych chłopców odeszło od kontuaru, więc się precisnąłem ku zwolnionemu miejscu w głębi, w pobliżu kominka, i zamówiłem jugosłowiański riesling.

Dopiero gdy zdjąłem futrzaną czapkę i rozpiąłem kożuch, rozejrzałem się po wnętrzu. Przed iluś laty, jeszcze w czasach, kiedy kierownikiem winiarni był stary warszawski kiper, nieżyjący już pan K., często i o różnych porach do Hopfera zachodziłem, był to chyba jeden z najprzyjemniejszych warszawskich lokali, gdzie prawie zawsze można było spotkać znajomych, a jeśli się miało ochotę i towarzystwo: spędzić wiele godzin przy butelce bikavera albo egri burgundi. Później, gdy lokal stawał się coraz bardziej zatłoczony i młodzież akademicka oraz z pobliskich szkół artystycznych, z Akademii Sztuk Pięknych i z sąsiadującej z Hopferem bursy dla słuchaczy Wyższej Szkoły Teatralnej, tzw. Dziekanki, poczęła wypierać powoli, lecz systematycznie „starych” — zachodziłem coraz rzadziej, aż wreszcie wcale. Teraz, gdy tu przyszedłem po raz pierwszy od dobrych kilku lat, nie musiałem się długo rozglądać po otoczeniu, aby stwierdzić, że jestem w lokalu jedynym człowiekiem leciwym. Dokoła, na ławie otaczającej stoły, na podostawianych stolikach, przy kominku, wokół kontuaru i w cieniu spiętrzonych pod oknem skrzyń, a także na ciasnej, wolnej przestrzeni po środku tłoczyli się sami młodzi, chłopcy przeważnie, rozgrzani i hałaśliwi, brzydacy, nijacy i ładni, ubrani niedbale, ubogo i kolorowo, z baczkami i bez, schludni i rozkudłani, niektórzy jeszcze trzeźwi, w większości podpici i pijani, ale wszyscy młodzi, nieprzyzwoicie młodzi, dwudziestolenni i ta młodość, chociaż z pewnością już u niejednego dotkliwie nadszarpnięta, biła jak oślepiający blask z ich zaczerwienionych i spoconych twarzy, i z ich zdrowych, młodych ciał, z młodych ruchów i z młodych głosów, i ja ze swoją sześćdziesiątką w skórze, we włosach, w paznokciach i w sztucznych zębach, musiałem się wstydzić swego wędnącego ciała, byłem tu cieleśnie obcy i niepotrzebny, jakby z innego, piwnicznego świata, gdzie obowiązują całkiem odmienne reguły współżycia i obyczaje, choć równocześnie zdawałem sobie sprawę, że wielu spośród tych chłopców należy do moich czytelników, a — być może — niejeden z nich lubi moje książki i czułby się zaszczycony, a także onieśmielony, gdyby miał okazję osobiście mnie poznać.

Riesling był cienki i kwaśny, ale bardzo zimny, wypilem go szybko, już się więcej nie rozglądałem, zamówiłem drugi kieliszek i stałem, oparty łokciem o kontuar, wpatrzony nienaturalnie usztywnionymi oczami w jego gładką powierzchnię, wilgotną po lewej stronie od rozlanego wina, ciężką kryształową popielniczkę wypełniały po brzegi niedopałki, ruch przy drzwiach zagęszczał się, ciągle ktoś wchodził i wychodził, wiedziałem, że

Młodość, Starość, Ciało

do rozpoczęcia mszy wciąż mam dużo czasu, lecz na wszelki wypadek sprawdziłem, okazało się, że jestem u Hopfera nie dłużej niż dwie, trzy minuty, a mnie się zdawało, że stoję przy kontuarze już od bardzo dawna, przypomniało mi się krótko i mgliście śniadanie z M-ami, zaraz po ich przyjeździe, jedliśmy śniadanie na St. Germain, w restauracji obok Lippa, przyszedł potem Konstanty, a jeszcze potem, przed otwarciem konferencji, piliśmy kawę na rogu ulicy Bonaparte, w bistro, które wieczorami było bistrem francuskim, ale tylko wieczorami, za dnia było to normalne bistro z normalną klientelą z dzielnicy, tyle że w kamienicy prawie historycznej, bo w tym domu, na ostatnim piętrze, może nawet szóstym piętrze mieszkał w latach wojny algierskiej Sartre i tam właśnie, o ile dobrze pamiętam, Oasi podłożyli bombę, która pod nieobecność gospodarza zniszczyła część mieszkania, to było bardzo dawno, lecz gdy mówię: bardzo dawno — niewiele to mówi, nieomal wszystko, co było, wydaje mi się, że było dawno, ogromne przestrzenie czasu tak żmudnie, kiedy trwają tu i teraz, odmierzane minutami i godzinami, wciąż się ode mnie oddalają z narastającą szybkością i w miarę, jak się powiększa dystans między nimi a mną, kształty niegdyś żywe powoli się zamazują, głosy słabną i zanikają, gesty trwają tylko w mglistym zawieszeniu, aż przychodzi moment, nigdy w porę zauważony, gdy mroczne cienie, dokonawszy wśród owych oddalających się obszarów zniszczeń niejako wstępnych, nagle się nasilają i gęstnieją, i wówczas w mrok martwej pamięci stacza się wszystko, co niegdyś było życiem, już od dawna wiem, że nie tylko śmierć grozi człowiekowi zagładą ostateczną, obumieramy również za życia, stale i codziennie, ponieważ stale i codziennie umiera w nas przeszłość, i od tej nieustannej śmierci też nie ma ratunku, tylko drugi człowiek, jeśli w jego pamięci przeszłość jeszcze żyje, może dopomóc, samotnymi siłami nie podobna martwiejącej pamięci ożywić, gdyby, na przykład, stał obok mnie przy kontuarze Czesław, z pewnością przypomniałby mi ze szczegółami, co się działo na otwarciu tamtej sprzed dwóch lat konferencji poetów, był wówczas szczególnie wygłodniały, wszystkiego co polskie spragniony, więc skoro się znalazł na paryskim bruku — rzucił się w polskość z rozpędem i zachłannie, całym sobą, potem przez wszystkie dni następne, dopóki przybysze z kraju nie opuścili Paryża, płał się w tym zagęszczonym, narodowym żywiole, a tak! on by na pewno dużo pamiętał, ale byłem sam, po obu moich stronach i za mną, w grupkach kilkusobowych tłoczyli się, hałasowali i zalewali się winem młodzi chłopcy urodzeni w Polsce powojennej, więc myślałem, ilu spośród tych dwudziestolatek wie, kim są Wierzyński, Lechoń i Watt, i Miłosz, i Gombrowicz, Jerzy Stempowski, Józef Czapski, Herling Grudziński i wielu, wielu innych, od lat nieobecnych w kraju, wymazanych za życia i przemilczanych po śmierci, a gdy się przytrafi, że wymienianych, to tylko w kontekście inwektyw, oskarżeń i pogardy, więc jeśli nawet, myślałem dalej, niektórym coś niecoś mówią te nazwiska, czy zdają sobie sprawę, ile już stracili i jak wiele jeszcze utracą, nie mogąc dotrzeć do ich książek, ile tracą wszyscy, gdy korzyść osiąga ten jedynie, komu zależy, aby nasz kraj był nijaki i mdły, a przede wszystkim posłuszny?

Wtedy, w te przedwiosenne dni marcowe w Paryżu, kiedy czterodniowa sesja została już zamknięta, pamiętam: była niedziela, jedliśmy śniadanie z Witkiem W. w tej samej restauracji „La Porte St. Germain”, w której byłem z M-ami, a ponieważ to była niedziela, tłok był większy aniżeli w dni powszednie, przyszliśmy jednak dość wcześnie, aby znaleźć wolne miejsce na oszklonej werandzie, głodni i ożywieni, bo po raz pierwszy znaleźliśmy się razem poza krajem, trochę pokpiwaliśmy z egzotyki tego śniadania, a nade wszystko ze znakomitych, zamrożonych ostryg popijanych lekkim muscadet. Witek był w bardzo dobrej formie, opowiadał o swoich ostatnich niemieckich sukcesach, prelekcjach, przekładach i rozlicznych kontaktach osobistych, wygrzewał się w tym powodzeniu jak stary kocur w słońcu, miał na sobie nowe, solidne ubranie i olśniewającą białą koszulę, od kiedy go znam, a przyjaźnimy się ponad dwadzieścia lat, po raz pierwszy nie miał kłopotów finansowych, Maryli i dzieciom w kraju też się nie najgorzej wiodło, więc w związku z tą łaskawością losu snuł jak najlepsze perspektywy na przyszłość, gładził z lubością swoją wspaniałą brahmsowską brodę, puszył się z wzruszającą życzliwością dla samego siebie i bliźnich, i gdy lykał ostrzygi przesycone słonym i rześkim zapachem morza, mrużąc lubieżnie oczy i łakomie rozchylając wilgotne wargi — mnie także było dobrze, bo go bardzo lubię i jego zadowolenie działało na mnie jeszcze lepiej od muscadetu. Po śniadaniu wstąpiliśmy na chwilę do mnie, do hotelu i na piątą poszliśmy piechotą

Czas, Przemijanie, Pamięć,
Śmierć, Kondycja ludzka

Polska, Polak

na wyspę św. Ludwika, właściciele wydawnictwa oraz księgarni „Libella”, Romanowiczowie, urządzali w swojej salce wystawowej przy ul. St. Louis popołudniowy coctail, a ponieważ „galeria” jest więcej niż skromnym pomieszczeniem, wielu obecnych, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem, wychodziło na dwór, długa i wąska uliczka, z kamieniczkami pamiętającymi sylwetki polskich emigrantów, zdążających niegdyś do pobliskiego Hotelu Lambert, była w to niedzielne popołudnie wyludniona i wyciszona, Polacy, gdy się w większej grupie znajdują za granicą, stają się bardzo hałaśliwi i pokrzykują do siebie, jakby się pogubili w lesie, więc Polska znów, jak w głębinach ubiegłego stulecia, zagęściła się na tym skrawku wyspy polskością, Mickiewicz, Słowacki i Chopin, a także Norwid i wielu, wielu innych często z pewnością tędy przechodzili, nikt chyba jednak teraz o nich nie myślał, choć ktoś może wiedzieć, czy myślał o nich ktoś czy nie? Później, gdy zmierzch przesycony wilgotną mgiełką począł zapadać i wszystka wódka była wypita i kanapki zjedzone, ci, którzy pozostali do końca i nigdzie się nie śpieszyli, poszli w górę ulicy St. Louis, swobodnie obejmując w swoje posiadanie oba trotuary oraz jezdnię, szukaliśmy restauracji, gdzie moglibyśmy coś zjeść, musiała to być restauracja tania, przybysze z Polski mieli bardzo ograniczone dewizy, wreszcie po przestudiowaniu kilku menu wywieszonych na zewnątrz lokali znaleźliśmy odpowiedni, gdzieś na rogu, chyba na quais d’Orleans, było nas jednak zbyt wielu, żebyśmy się mogli pomieścić razem, wynikło więc dużo zamętu i wiadomej polskiej wrzawy, na koniec w sześcioro: Miłoszowie, Adam Ważyk, Olga Mińska, Janek Lebensztejn i ja umieściliśmy się przy małym stoliku pod oknem, na obiad było jeszcze trochę za wcześnie, więc zamówiliśmy parę karafek czerwonego wina, noc się tymczasem stała, na wybrzeżu zapaliły się gazowe latarnie, jedna zaraz za naszym oknem i wówczas, gdy tak ciasno stłoczeni siedzieliśmy i popijaliśmy wino, zaczęło się dziać coś z teatru i także trochę ze snu: tuż za szybą, w poblasku latarni i z mgły, która nad rzeką i na wybrzeżu zdążyła zgęstnieć, wyłaniały się, wolno przechodziły i jak cienie znów w mgle znikwały pary przed chwilą zagubionych: Wierzyński z Iwaszkiewiczem, Przyboś i Brzękowski, Józef Czapski z Arturem, Herbert i Maciek Morawski, a równocześnie z tym korowodem, jak w szopce albo w staroświeckim polonezie, przesuwał się w świetle i we mgle, więc trochę nierealnie, coraz ktoś nowy, też spośród tych pogubionych w zamęcie, wpadał do restauracji, rozglądał się po sali i wybiegał na ulicę — dokończyłem drugi riesling nieomal czując na wargach smak tamtego wina czerwonego, zapłaciłem i wyszedłem na dwór, i na przełaj przecinając placyk na tyłach skweru wokół pomnika Mickiewicza, aby z powrotem znaleźć się na Krakowskim Przedmieściu, szedłem równocześnie tym samym Krakowskim Przedmieściem, lecz kierunku przeciwnym do obecnego, więc mijając pałac Rady Ministrów z czterema lwami u wjazdu na rozległy dziedziniec i z konnym posągami księcia Poniatowskiego ustylizowanego przez Thorvaldsena na Rzymianina, także szedłem w kierunku odwrotnym, w innej scenerii i innym czasie: noc wrześnie była bardzo ciepła, szliśmy w kilkoro Krakowskim Przedmieściem — Ważyk, Kott, Jastrun, Przyboś, Czeszko, Julek Żuławski, Irena S., już nie pamiętam, kto więcej — wracaliśmy z zebrania w pałacu Staszica, z zebrania, które trwało wiele godzin i przeciągnęło się poza północ, było to zebranie zwołane przez kierownictwo Partii w sprawie *Poematu dla dorosłych* Ważyka, z kierownictwa byli Berman, Ochab i Morawski, oczekiwano od nas potępienia poematu Ważyka, a chyba i samokrytyki samego Ważyka oraz Pawła Hoffmana, który był redaktorem „Nowej Kultury”, gdzie latem *Poemat dla dorosłych* był się ukazał, na zebraniu byli tylko partyjni, wielu pisarzy i trochę ludzi z prasy i z wydawnictw, liczono zapewne na górze, że mechanizm działający sprawnie od pięciu lat nie zawiedzie i tym razem, lecz zawiódł i to tak gwałtownie, jakby za poruszeniem jednej z jego części nagle cały się wstrząsnął i rozleciał, pomiędzy stołem przydialnym i natłoczoną salą od samego początku, od zagajenia Ochaba, zarysowały się szczeliny, które w miarę przemówień z sali coraz wyraźniej się poszerzały i pogłębiały, aż wreszcie przepaść odgrodziła od zebranych tamtych trzech samotnych za przydialnym stołem, opuszczaliśmy pałac Staszica trochę zawstydzeni martwością partyjnych przywódców, a może zawstydzeni przede wszystkim sobą, że w tych „mystyków przebranych”, jak pisał w *Poemacie* Ważyk, tak długo i ślepo wierzyliśmy, zapewne ów dwuznaczny wstyd oraz zmęczenie sprawiły, że idąc Krakowskim Przedmieściem byliśmy raczej przygnębieni niż świadomi zwycięstwa, a to było naprawdę zwycięstwo, jedno z wielu torujących w tych rozluźniających się czasach oddech dla nadziei, to były pięć-

Polak, Obyczaje

Piękno, Klęska

ne lata, mijając Bristol pomyślałem, że — być może — nie musiałyby się one wydawać tak szczególnie pięknymi, gdyby nadzieje ożywiające wówczas tysiące ludzi nie zostały wkrótce bezmyślnie zniszczone, piękno tamtych przedpaździernikowych lat już wstąpiło w sferę mitu uświęcającą zazwyczaj wszystkie wolnościowe zrywy zakończone klęską, ona to właśnie: mityczna sfera sprawia, że gorycz nie kazi źródeł i pierwszych prądów i wirów, nawet pod ciężarem najdotkliwszej klęski, gdy ciemny kształt przyszłości trudno nadzieją rozjaśnić, człowiek potrzebuje jakiego oparcia i umocnienia, lecz biada mu! jeśli tylko w minionym czasie potrafi je znaleźć — — — — —

(opisać manifestacje studentów na Krakowskim Przedmieściu w marcu 1968 roku. Milicja i ormowcy, krzyki z tłumu, gdy bili i masakrowali młodzież: „Gestapo! Gestapo!” przed kościołem św. Krzyża.)

— — — — — siedziałem w jednej z ławek, po prawej stronie Joanna G. i potem Antoni S. Jak na mszę starannie zatajoną, ludzi bardzo dużo, prawie pełen kościół: oślepiająco białe po świeżym remoncie, tylko główny ołtarz kryły jeszcze rusztowania, przysłonięte do połowy przezroczystym tiulem, wyżej, aż po złoto-białą ornamentykę barokową, widniały nagie deski, spoza jednej belki, bardzo wysoko, wylaniały się ramiona anioła błagalnie w przestrzeń wyciągnięte, pod koniec mszy ksiądz T. w złoto-purpurowym ornacie: „A teraz pomódlmy się za duszę Kazimierza Wierzyńskiego z podziękowaniem za poezję”. Gdy opuszczaliśmy kościół była już noc, tu, przed kościołem, tylko odbłask latarni przy Krakowskim Przedmieściu rozświetlał mrok, grupki rozmawiających, wśród nich wielu tych, którzy zostali zepchnięci na margines życia publicznego: pisarze bez książek, naukowcy bez katedr, młodzi fachowcy bez możliwości pracowania w swoim zawodzie, Polacy uznani za wrogich syjonistów, więc niektórzy w przededniu przymusowej emigracji — — — — —

Nagórski: to wszystko jest prawdą, ale także prawdą nie jest; zbyt wiele przemilczałem, ale dlaczego przemilczałem? Te przemilczenia sprawiają, że będąc sobą, nie jestem sobą, przemilczałem dlaczego? Dlaczego opisując, kiedy zaszedłem do Hopfera i stałem w tłoku przy kontuarze przemilczałem, że myślałem wówczas także, a może nawet przede wszystkim o Nike, nie mogłem o niej nie myśleć, znalazłszy się u Hopfera, ponieważ nazajutrz po spotkaniu Nike, późnym wieczorem na Nowym Śmiecie, kiedy zupełnie nie myślałem, że mogę ją jeszcze przed wyjazdem zobaczyć, nazajutrz po tym wieczorze spotkałem ją późnym popołudniem na Krakowskim Przedmieściu, pamiętam, że to nieoczekiwane spotkanie zrobiło na mnie takie wrażenie, iż dłuższą chwilę milczałem, a potem spytałem ją, czy ma czas, odpowiedziała, że tak, więc zaproponowałem, żebyśmy wstąpili do pobliskiego Hopfera, chyba nie było zbyt tłoczno, siedzieliśmy na stołkach przy niskim okiennym parapecie i trochę zachodzącego słońca oświetlało parapet, ale tylko jego skrawek, bo — pamiętam — butelka czerwonego wina oraz kieliszki ustawione na skraju parapetu były w cieniu, okno było otwarte i ciepłe powietrze upału przyjemnie kontrastowało z chłodem panującym w winiarni, nie pamiętam dokładnie, o czym rozmawialiśmy, ale pamiętam, że ona mówiła mało i piła też mało, nie więcej chyba niż dwa kieliszki wypita, ja natomiast piłem dużo i mówiłem też wiele, unikając jakichkolwiek aluzji erotycznych, ponieważ cały czas, na jakikolwiek temat mówiłem, myślałem tylko o jednym: wziąć ją do siebie, czy nie?, w jej czujnie skupionych i uważnie mnie takujących oczach nie było śladu łatwej zachęty, ale właśnie dlatego, że podobnej zachęty nie dała po sobie poznać, miałem nieomal pewność, że gdybym zaproponował, aby do mnie poszła, na pewno by nie odmówiła, zdaje się, że oboje chcieliśmy tego samego i oboje graliśmy komedię, ja, domyślając się, że jest dziwką, nie chciałem tego wiedzieć i dlatego ją traktowałem serio, jakby dziwką nie była, a ona — jak każda dziwka — podejmowała tę narzuconą sobie rolę i grała przyzwoitą, inteligentną i dobrze wychowaną dziewczynę, aby mi się w ten sposób odwdziżyć za to, że nie podchodzę do niej jak do dziwki, nie byłem w niej wtedy zakochany, ale chciałem ją mieć, rozsnuwałem przed nią jakieś bardzo subtelne wywody, lecz gdy ją widziałem przed sobą nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia — widziałem ją nagą i w moich ramionach, lecz im bardziej jej pożądałem, tym silniej utwierdzało się we mnie przekonanie, że nie skorzystam z łatwej

okazji, jeszcze jej wtedy nie kochałem i nawet nie mogłem sobie zdawać sprawy, jaki błąd popełniam, że świadomie grając i ją do gry nakłaniając, od początku przyjęliśmy fałszywe role i jeszcze teraz... więc wszystko to, pisząc *Mszę za poetę*, a właściwie pisząc mszę moją własną, mszę mojego życia, wszystko to przemilczałem, i wiele innych spraw, myśli, przeżyć i zdarzeń przemilczałem, ponieważ... ponieważ? wobec samego siebie chcę się wydać lepszy, aniżeli jestem? brak mi odwagi, aby zejść z urojonego i nieurojonego pomnika? aby odsłonić, odsłonić co? zgorszyć, oburzyć, zawieść kogo? W narodowych lamentach i humanistycznych niepokojach mniej się kryje bezwstydu aniżeli w wyznaniu, że Kocham się beznadziejnie w ładnej kurwie i z kurwy uczyniłem bóstewko, ustawiając je na ołtarzu, abym przybrany w uroczyste szaty miłości mógł do woli korzystać z cielesnych powabów kurwy-bóstewka?

Dochodzi dziesiąta. Więc za dwie godziny ślub Konrada! Nagórski wstaje, przechodzi do swego gabinetu i wyjąwszy z podręcznego baru butelkę koniaku (przygotowaną dla gości) nalewa sobie duży kieliszek.

Myśli: nigdy nie dokończę tej *Mszy*... a może kiedyś później? ale później kiedy? później dlaczego?

CZWARTEK, 18 CZERWCA

Od niedzieli, wyłączając pusty wtorek (nie poszedłem ostatecznie do kościoła Wizytek na mszę w rocznicę śmierci Marka), praca nad III częścią, której tak się obawiałem, czyniąc wiele wybiegów, aby w nią nie wejść. Dwa pierwsze dni były okropne, z wyobraźnią jak gęsta, wystygła kasza. Wiedząc prawie wszystko, nie umiałem tego wypowiedzieć.

W ostatnim, majowym numerze „*Twórczości*”, we fragmencie jeszcze niewydanej książki Marii Kureckiej (tej samej, która towarzyszyła mi w charakterze tłumaczki w mojej podróży po NRF w końcu roku 1967 i którą — jak mnie — okradziono w Stuttgarcie), poświęconym przekładowi *Doktora Faustusa*, odnalazłem cytaty z listu Tomasza do siedemdziesięcioletniego już wówczas Bruno Waltera (więc z roku 1946):

„Schiller twierdził, że gwiazdno-mgławicowy, pierwotny stan dzieła jest stanem muzycznym, rytmicznym przecuciem. Przy pisaniu, zapewniam cię, myśl jest nader często produktem rytmicznej tylko potrzeby; używa się jej z uwagi na kadencję, a nie ze względu na nią samą — mimo iż pozornie ze względu na nią samą. Jestem przeświadczony, że najtajniejsza i najsilniejsza siła przyciągania jakiejś prozy tkwi w jej rytmie — którego prawa ileż są delikatniejsze od wyraźnie metrycznych...”

Trochę pociechy, że właśnie tak myślał Mann. Większość moich lęków i niepewności nie na tym polega, iż nie wiem, co mam napisać, przeważnie wiem, moją klęską bywa zazwyczaj zdanie i jako takie, i w jego łączności ze zdaniem następnym. Jestem bezsilny i pozbawiony wszelkiej inwencji, gdy swoich zdań nie potrafię usłyszeć. Zdaje sobie aż nadto dobrze sprawę, jak wiele refleksji i rozważań, ile moich stroniec najbardziej zaangażowanych powstaje właśnie z mojej wewnętrznej i mnie samego fascynującej melodii. Być może, warto by się nieco dłużej zastanowić nad owymi tajemniczymi związkami pomiędzy myślą i melodią, i w jaki rytm przeobrażają się (lub przeobrażać się muszą) określone stany duchowe.

Zapamiętać, że nie zanotowałem wielu uwag związanych z *Życiorysami*. Ich polskość; nikt, kto w tym kraju się nie urodził i nie wychował — nie jest w stanie zrozumieć i przyjąć różnych szczegółów oraz odcieni językowo-histerycznych, z których, w różnych drobiazgach, te *Życiorysy* zostały zredagowane. Wiem, że moja ojczyzna w stosunku i na tle pierwszoplanowych problemów międzynarodowych odgrywa rolę podrzędną, a im jest bardziej zniewolona — tym w opinii świata znaczy mniej. Nie opuszcza mnie przecież nadzieja (Gombrowicz tę gorzką nadzieję podjął i zrealizował), że z każdej ludzkiej kondycji zarówno jednostkowej, jak zbiorowej — można, co można?

Obawiam się, że można mało. Ludzkość nie lubi klęsk i skarg. Pokonany rzadko bywa interesujący. Interesujący jest sprzeciwi i bunt, choćby nawet przybierał kształty tak tragicznie groteskowe jak ostatnie poczynania Sartre'a. Ludzie korzystający z pewnych przywilejów wolności osobistej i publicznej wolą ciemną bzdurę pozornego buntu aniżeli gorzkie żale spętanych i poniżonych. Kto spośród tamtych, krzyczących o postępie i wolności, zechce zrozumieć i to zrozumienie ocenić, że w pewnym układzie braku wolności

Bunt, Klęska, Niewola, Sen

ludzie już nie o niej myślą, nie do niej dążą, lecz po dniu ciężko przepracowanym, po dniu, w którym sto razy kłamali i przeczyli samym sobie — chcą tylko jednego: zasnąć i spać. To jest bardzo mało efektowne, to żenuje i nudzi. Wydaje mi się jednak czasem, że kiedyś (kiedy?) prawdziwie wielka literatura właśnie z tych grząskich bagien, z tych nieudanych nieszczęść ludzkich wyrośnie i kiedyś (kiedy?) znajdzie się ktoś, kto ponad bunt i protest będzie potrafił ukazać racje ludzi zniewolonych i bez nadziei.

4.

Natychmiast po wyjściu Łukasza Beata Konarska, jeszcze w łóżku, przysuwa aparat telefoniczny na tapczan i wykręca numer Moniki Panek. Telefon odbiera Zofia Panek.

BEATA

Dzień dobry pani, mówi Beata Konarska. Czy mogę poprosić Monikę?

PANKOWA

Chwileczkę, zaraz sprawdzę, czy córka będzie mogła podejść.

BEATA

Dziękuję pani bardzo.

MONIKA

po chwili

Beatka?

BEATA

Przepraszam, kochana, że zabieram ci czas, ale doszłam do przekonania, że koniecznie muszę do ciebie zadzwonić.

MONIKA

Słucham cię.

BEATA

Tylko się ze mnie nie śmiej, błagam cię. Wczoraj wieczorem coś mnie takiego napadło, że zaczęłam robić, tylko się nie śmiej, proszę cię, zaczęłam robić coś w rodzaju rachunku sumienia, to było dla mnie bardzo przykre, musiałam stwierdzić, że mam niedobry, zły charakter, a w stosunku do ciebie nie jestem w porządku.

MONIKA

Beatko? Czy nie przesadzasz?

BEATA

Wcale nie przesadzam! Byłam wobec ciebie bardzo, ale to bardzo nie w porządku. A ponieważ dzisiaj jest twój ślub, pomyślałam sobie, że powinnam się w jakiś sposób przed tobą oczyścić i wyznać ci moje grzeszki.

MONIKA

lekko

Mam nadzieję, że nie będzie to wyznanie, iż romansowałaś z Konradem.

BEATA

Ach, nie! Skąd? Przede wszystkim nie lubię w łóżku starszych panów, a poza tym... nie, nie! Moje winy wobec ciebie nie mają nic wspólnego z tymi rzeczami. Wprost przeciwnie. Ja ci okropnie zazdrościłam, tak okropnie, że chwilami cię nienawidziłam.

MONIKA

Zdumiewasz mnie, Beatko.

BEATA

No, widzisz! Będziesz mną teraz pogardzać.

MONIKA

Ależ, Beatko? Trochę dziwna jesteś.

BEATA

Wcale nie dziwna. Jestem zła.

MONIKA

Czegóż ty mnie mogłaś zazdrościć? Jesteś młodziutka, śliczna, utalentowana, masz wszystko przed sobą...

BEATA

A jednak ci zazdrościłam, widzisz, jaka jestem wstrętna, podła. Cholernie ci zazdrościłam. Zazdrościłam ci, bo chodziły, pewnie słyszałaś, takie plotki, że masz grać Lady Makbet. A ja tak marzyłam o tej roli! Rozumiesz mnie teraz? Jestem szczerą, powinnaś mi wybaczyć moje obrzydliwe myśli.

MONIKA

po chwili

Przyznam się, że nie bardzo cię, Beato, rozumiem. Powiedziałaś: plotki. Jakie plotki? Nic mi o żadnych plotkach nie wiadomo. Plotki? Niesłychanie w takim razie dowcipne plotki! Bardzo mi przykro, Beato, ze względu na ciebie i twój rodzaj uczuć, ale ja gram Lady Makbet, to nie są plotki, w poniedziałek zaczynamy próby.

BEATA

biednie i pokornie

Właśnie, pan dyrektor Otocki też mi to powiedział.

MONIKA

Dał ci rolę? No, widzisz! To bardzo ładnie z jego strony. Nie powinnaś się, Beatko, czuć pokrzywdzona, jesteś jeszcze taka młoda, tyle się jeszcze w życiu nagrasz! Kogo masz grać? Lady Makduf? A może jedną z wiedźm, to by było bardzo w stylu Eryka.

BEATA

tym samym głosem

Nie, Lady Makbet.

MONIKA

po chwili

Przepraszam cię, moja Beatko, wiem, że jesteś dowcipna, ale w tym wypadku, niestety, twoje żarty nie wydają mi się w najlepszym gatunku. Nie rozumiem doprawdy...

BEATA

Ależ ja nie żartuję. Dlaczego na mnie krzyczysz?

MONIKA

Nie żartujesz? Więc co to wszystko znaczy?

BEATA

Nie wiem, kochana Moniko, doprawdy pojęcia, nie mam. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie pan dyrektor Otocki i powiedział, bardzo cię przepraszam, ale mówię, jak było, powiedział, że po rozmowie z panem Wanerterem obaj doszli do wniosku, że mam grać Lady Makbet i w poniedziałek zaczynamy próby.

MONIKA

nieostrożnie

A ja?

BEATA

Dyrektor Otocki powiedział jeszcze, żeby na razie nic ci nie wspominać, ale myślałam, że żartował, może w związku z tymi plotkami, i ty jesteś we wszystkim zorientowana. Okropnie mi przykro, ale jeśli mam być szczerą, czuję pewną ulgę, naprawdę czuję się, jak gdyby lepsza, bo mnie już nie zżera zazdrość, to jest okropne, okropne uczucie.

MONIKA

Wyobrażam sobie, choć muszę wyznać, że moja wyobraźnia nie za wszystkimi namietnościami podąża dość sprawnie. Obawiam się, że z zazdrości dostałabym na egzaminie stopień najgorszy, bardzo źle.

BEATA
Szczęśliwa jesteś!

MONIKA
Możliwe. W każdym razie wyobraźni mi starcza, żeby docenić, Beatko, twoje intencje. Bardzo miło z twojej strony, że zadzwoniłaś. Mam nadzieję, że wieczorem zobacę cię razem z Łukaszem w Jabłonie?

BEATA
Wcześniej, będziemy przecież na ślubie.

MONIKA
To się cieszę, Beatko. A na razie wybac, mam jeszcze strasznie dużo roboty. Pa!

Beata po tej rozmowie trochę markotnieje i przygasa. Czuje się zawiedziona. Była prawie pewna, że Monika jak nakłuty balonik pęknie z wielkim hukiem. I nie pękła. W pewnym momencie była bliska załamania, szybko się przecież pozbierała. „Twarda krowa” — myśli Beata. I gdy to stwierdza, ogarniają ją wątpliwości, czy jednak nie przesadziła, odsłaniając swoje karty tak wcześnie i wbrew umowie z Otockim. Och, Beatko, Beatko! — mówi do siebie rozczesując przed lustrem długie, jasne włosy — musisz się jeszcze bardzo, bardzo wiele nauczyć... głupia dupa jesteś, Beata, nędzna cipa — mówi na głos, wysuwając dolną wargę do przodu i gdy przygląda się swemu odbiciu w lustrze, przychodzi jej na myśl, że w podobny sposób powinna w pewnych momentach dolną wargę wysuwać do przodu Lady Makbet, a równocześnie, wciąż w siebie czujnie wpatrzona, obserwuje z zainteresowaniem, jak jej okrągłe dziewczęco-naiwne oczy tracą nagle ciepły, miodowy blask, zwiężają się i stają się zimne, prawie przezroczyste, jak krucha warstewka lodu — widzisz, co narozrabiałaś? Twarda krowa na pewno się nie podda potulnie, już w tej chwili zmieniła się prawdopodobnie w lwicę i ryczy, i pazury wysuwa, uważaj, Beatko, ona ma plecy, a ty co masz? Kto się o ciebie upomni, kiedy lwica ryknie i dla świętego spokoju ciebie rzuci na pożarcie? Beatko, Beatko, może być z tobą niedobrze...

Więc, żeby zapobiec ewentualnym komplikacjom, Beata dzwoni do Teatru Stołecznego. Otocky dopiero co przyszedł i chyba po wiadomej rannej rozmowie telefonicznej powinien być w znakomitym humorze.

OTOCKI
Jak się masz, Beatko! Co dobrego?

BEATA
Niestety, panie dyrektorze, nic dobrego. Jestem zrozpaczona, stała się rzecz okropna, naprawdę okropna.

OTOCKI
Okropna? Beatko! Pokłóciłaś się z Łukaszem?

BEATA
Och, nie! Łukasz, panie dyrektorze, jest bardzo miły i zabawny, kiedy się gniewa, ale dzisiaj nie miał czasu się kłócić, bo się spieszył do telewizji.

OTOCKI
Więc co się stało?

BEATA
Coś bardzo nieprzyjemnego, panie dyrektorze. Okropnie mi przykro i wstyd, ale niechcący wygadałem się przed Moniką, tak się to jakoś wszystko głupio złożyło. Już po wyjściu Łukasza przypomniałem sobie, że zupełnie wyleciało mi z głowy, o której jest ślub Moniki, nie byłam pewna, czy w południe, czy o pół do pierwszej. Więc zadzwoniłam do Moniki...

OTOCKI
wyrozumiale

I wygadałaś się?

BEATA

Sama nie wiem, panie dyrektorze, jak to się stało, ale ona chyba musiała coś przeczuciwać, bo zaczęła mi zadawać takie pytania...

OTOCKI

Że szczerze, prawdopodobne dziecko nie mogło się oprzeć?

BEATA

Jak na mężczyznę jest pan bardzo dobrym psychologiem, panie dyrektorze. Ja naprawdę kłamię bardzo nieudolnie.

OTOCKI

Nie martw się, z wiekiem się nauczysz.

BEATA

Myśli pan? To okropne, że prawdziwe cnoty lgną do człowieka dopiero na starość.

OTOCKI

Starości, Beatko, też się coś niecoś należy. Nie sądzisz?

BEATA

Zapewne. Ale tymczasem my młodzi, niedorośli do cnót, jesteśmy bezbronni. I co teraz będzie?

OTOCKI

Masz szczęście, Beatko!

BEATA

Pan ze mnie żartuje, panie dyrektorze.

OTOCKI

Posłuchaj mnie, Beatko. Starsi panowie, do których się zaliczam, nie tylko bywają, jak to przyznałaś, niezłymi psychologami, ale również nie lubią, kiedy się ich wrabia w konia. Tak się mówi po waszemu?

BEATA

ostrożnie

To zależy. Można też robić z kogoś balona, jeleni już wyszedł z mody.

OTOCKI

Tak? Za okupacji „jeleni” był w powszechnym użyciu.

BEATA

Bardzo mi przykro, ale ja się wtedy jeszcze nie ujawniłam.

OTOCKI

Duży tupet, Beatko, zawsze się łączy z pewnym ryzykiem. Grasz w pokera?

BEATA

Łukasz lubi. I chwali się, że wygrywa.

OTOCKI

Wyobrażam sobie, że też ma niezły tupet.

BEATA

Coś musimy mieć, panie dyrektorze.

OTOCKI

Proszę bardzo, miejcie! Mój syn też ma tupet i podobno robi karierę.

BEATA

On jest fajny, panie dyrektorze. Bardzo fajny.

OTOCKI

Zapewne, jak wy młodzi lubicie mówić. Chciałbym jednak, żeby ta młoda i interesująca osoba, jaką, Beatko, jesteś, zechciała przyjąć do wiadomości, że jeszcze obok

was, tupetowców, istnieją stare ramole, które świetnie się we wszystkich waszych grach i komediach orientują. Słyszysz mnie, Beatko?

BEATA

Wszystkie palce u rąk i nóg zmieniałam w słuchanie, panie dyrektorze.

OTOCKI

Niepotrzebnie, wystarczy ci jedno ucho. Otóż, przyjm, Beatko, do wiadomości, że gdyby nie pewien układ faktów — dlatego ci powiedziałem, że masz szczęście — mogłabyś się leciutko potknąć. Rozumiesz mnie?

BEATA

Obawiam się, że nie nadążam, panie dyrektorze.

OTOCKI

Przestań się zgrywać, Beatko, przede mną nie musisz. Będziesz lepiej grać, kiedy zrozumiesz, że nie każdy wapniak musi być głupcem. Że w szczeniackim stylu chciałaś się odegrać na Monice, w obecnym układzie nie mam ci za złe. Przeciwnie, wyświadczyłaś mi swego rodzaju przysługę. Takie bywa życie, Beatko. I jeszcze jedno, dobra rada wujaszka: jeśli w tej rozgrywce jesteś na minus... jesteś?

BEATA

Zapewne, panie dyrektorze.

OTOCKI

To się w najbliższej przyszłości nie staraj odgrywać. Ludzie, którzy się jako tako poznali, powinni sobie wzajemnie pomagać. Takie bywa życie.

BEATA

To znaczy, że w poniedziałek...

OTOCKI

Za kwadrans dziesiąta, Beatko. Grałaś u Wanerta, więc wiesz, jak przestrzega punktualności.

Tymczasem, zgodnie z przewidywaniami Beaty, Monika, odłożywszy słuchawkę, rzeczywiście przeżywa moment rozterki, kiedy już, już ma się przemienić w lwicę. Sama w pustym hallu, już uczesana, lecz z niedokończonym makijażem (dzięki czemu tylko jedno oko ma opracowane ostatecznie, a drugie jeszcze naturalne, więc jakby niewyklu-te), nie może w pierwszej chwili uwierzyć, iż to, co przed chwilą usłyszała, jest prawdą. A jednak! Przypomina sobie cokolwiek dziwne zachowanie Otockiego przed wczorajszym koncertem. Tam się ukrywa pies pogrzebany? Więc skupiona i opanowana stara się dokładnie odtworzyć tę scenę od początku, kiedy razem z Konradem podeszli do Otockiego rozmawiającego w hallu z Erykiem Wanerem. Czyżby właśnie wtedy uknuli to świnstwo? Tak nagle! I dlaczego? Kto za tym stoi? Raszewski? Mało prawdopodobne, tego rodzaju zemsta nie byłaby w jego stylu. Lecz jaką sprawę, jeśli nie tę, mógł mieć Otocky? I dlaczego nie powiedział od razu, co miał do powiedzenia? Zachowywał się raczej normalnie, ale Eryk miał twarz trochę niewyraźną. Czy mówił coś? Chyba nie. A może?

W tym momencie Pankowa, nieświadoma sytuacji, zagląda do przedpokoju, chciała o coś ważnego córkę spytać, lecz gdy ta, nieruchoma i blada, a poza tym jednooka, i choć niezmiennie piękna, jest w tej chwili piękna urodą trochę niesamowitą i groźną, więc gdy Monika nieprzyjemnie ku matce warknie: czego chcesz? Pankowa intuicyjnie wyczuwając, że musiało zajść coś poważnego, zapomina, co miała do powiedzenia, duża i tęga, też jeszcze bez makijażu, we frymuisie kolorowym szlafroku stoi osłupiała, a półotwarte usta nie zdobią jej trochę nazbyt obfitej twarzy (tylko ciemno zagęszczone i wciąż ze smolistym poblaskiem oczy mamy Pankowej przypominają prehistoryczne czasy, kiedy przy stoliku w „Nadświdrzańskiej”, w brajstzwancach i ciężarna, przyjmowała oświadczyzny ubogiego i niezgrabnego ćwoka).

MONIKA
Czego chcesz?

PANKOWA
Moniczko...

MONIKA
na stłumionym krzyku

Zostaw mnie! Czy w tym przeklętym domu człowiek nie może być chwilę sam?

Więc wobec nadgorliwie pośpiesznego zniknięcia matki jest sama. Zdecydowanie i bez pośpiechu nakręca numer sekretariatu Teatru Stołecznego. Sekretarka Otockiego informuje ją, że dyrektor właśnie rozmawia. Zatem dzwoni po kilku minutach, a ponieważ w przedpokojach, jak we wszystkich przedpokojach, wisi lustro — oczekując na połączenie widzi siebie, nie jest tym odbiciem usatysfakcjonowana, zatem jej chłodna niechęć zwraca się ku Konradowi, bo on, nie kto inny wczoraj wieczorem w Filharmonii, gdy sytuacja stała się podejrzenie dwuznaczna, powinien był okazać się mężczyzną i natychmiast zażądać od Otockiego wyjaśnień. Zastanawia się również, trochę na stronie, czy nie popełniła w swoim czasie błędu, rezygnując z doprowadzenia Raszewskiego do rozwodu, w tej chwili woli w tej sprawie sobie przypisać winę, aniżeli pamiętać, jak było naprawdę (Raszewski, zdając sobie sprawę, jak złe wrażenie wśród towarzyszy z kierownictwa zrobiłoby jego małżeństwo z dziewczyną o tyle młodszą i do tego córką starego przyjaciela, nigdy by się na podobną historię nie zdecydował, nie był poza tym aż tak bardzo w Monice zakochany, jak to ona sobie wyobrażała).

Rozmowa Moniki z Otockim:

OTOCKI
Jak się masz, Moniczko?

MONIKA
Dziękuję, mam się bardzo dobrze. Natomiast nie jestem pewna, czy możesz o sobie powiedzieć to samo.

OTOCKI
O! A czemuż to?

MONIKA
Wiem wszystko. Ta mała żmija nie omieszkała się pochwalić. Jestem zdumiona, tak zdumiona, że wolę nawet nie określać charakteru tego zdumienia. Powiem tylko tyle: wydawało mi się, że od ludzi, których uważałam za przyjaciół, którzy, jak mogłam sądzić, także i ze swojej strony za moich przyjaciół przynajmniej jak dotąd się uważali, mogę oczekiwać minimum lojalności i szacunku. Może się myłę, lecz do tej pory sądziłam, że jeśli się podejmuje jakieś decyzje, to informuje się przede wszystkim osobę zainteresowaną. Jakim prawem narażacie mnie, ty i Eryk, żebym się dopiero od jakiejś smarkatej musiała dowiadywać, że zdecydowaliście się na podwójną obsadę? Wstyd mi za was!

OTOCKI
Przepraszam cię, Moniko, ale nie bardzo cię rozumiem.

MONIKA
Jeszcze nie rozumiesz?

OTOCKI
Wspomniałaś o podwójnej obsadzie. Czyżby Beatka tak ci tę sprawę zreferowała?

MONIKA
Wybacz, ale teraz ja nie rozumiem.

OTOCKI
Czego?

MONIKA
po chwili

Ach tak? Umówmy się zatem, że już rozumiem. Nie doceniałam cię, mój błąd. Pozwól jednak, że cię o jedno tylko spytam.

OTOCKI
Słucham.

MONIKA
Za kogo ty mnie właściwie bierzesz? Za kreaturę, którą można w *taki* sposób załatwiać odmownie i do tego ośmieszać?

OTOCKI
Nie denerwuj się, kochana Moniko.

MONIKA
Ja się nie denerwuję, *ja pytam*.

OTOCKI
Owszem, denerwujesz się. A tymczasem nikt nie miał zamiaru ani załatwiać cię odmownie, ani tym bardziej ośmieszać. Sprawa jest rzeczywiście pod pewnymi względami trochę przykra i drastyczna...

MONIKA
Trochę?

OTOCKI
Ale jeżeli zechcesz ją rozpatrzyć obiektywnie...

MONIKA
Dość, nie wysilaj się. Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich obłudnych racji obiektywnych. Chcę wiedzieć jedno: poza moimi plecami, bez mojej wiedzy odebraliście mi w ostatniej chwili rolę. Tak czy nie?

OTOCKI
Przyznaję, może zbyt późno, ale trudno, wiele złożyło się przyczyn, doszliśmy z Erykiem do przekonania, zresztą lojalnie stwierdzam: inicjatywa wyszła ode mnie, a jako dyrektor teatru mam chyba do tego prawo, otóż doszliśmy do przekonania, że przy koncepcji Eryka, zwłaszcza przy jego koncepcji postaci Lady Makbet, lepiej się do tej roli nada dziewczyna typu Beaty. Zaufaj, Moniko, mojemu artystycznemu doświadczeniu, ale kiedy dokładnie całą sprawę przeanalizowałem, doszedłem do przekonania, że po kilku próbach, posiadając tak niezawodny instynkt, sama byś z roli zrezygnowała. Tradycyjną Lady Makbet na pewno zagrałabyś wspaniale, ale nie Lady Makbet Eryka, wierz mi, kochana Moniko.

MONIKA
Zatem to twoja decyzja ostateczna?

OTOCKI
Jeszcze mi będziesz kiedyś za nią wdzięczna, zobaczysz.

MONIKA
Mam nadzieję, że Konrad nie został wciągnięty do tego spisku?

OTOCKI
Nie mógł zostać wciągnięty do czegoś, czego nie było.

MONIKA
W takim razie może zechce pan, panie dyrektorze, przyjęć do wiadomości, że w sytuacji, którą pan z tak niebywałym artystycznym taktem zechciał wytworzyć, w pańskich planach repertuarowych, a także personalnych będą musiały zajść pewne zmiany, powiedziałabym: dość radykalne. To jedno. A poza tym, wolałabym zrezygnować z przyjemności ujrzenia pana na moim ślubie. Może pan uważać, że życzenia już mi pan złożył. Żegnam.

Pankowa cały czas podsłuchuje pod drzwiami, ponieważ jednak nie dosłyszy na prawe ucho, nawet mimo nienagannej dykcji córki nie może się połapać w całości sytuacji.

Monika przechodzi do gabinetu ojca i stamtąd dzwoni do telewizyjnego studia. Telefon wciąż zajęty, a gdy wreszcie połączenie uzyskuje — generalna próba *Prometeusza*, już się zaczęła.

PONIEDZIAŁEK, 22 CZERWCA

Od paru dni upały. Agnieszka skończyła dzisiaj swoją pracę magisterską pod bardzo uczonym tytułem: *Analiza elementów modelu społeczno-etycznego skonstruowanego na podstawie dramatów Tennessee Williamsa (1945–1960)*. Janusz zaczął zdawać egzaminy do liceum. Zbliżam się do pięciuset stron maszynopisu. Kłopot z papierem, nigdzie go nie można dostać.

Od kilku dni, wieczorami, lektury nieczytanej od bardzo dawna *Anabasis* Ksenofonta i w związku z tym pomyśl, że jednym z ostatnich filmów Eryka Wanerta (tylko jego życiorys nie został ostatecznie wykończony), oczywiście nakręconym za granicą, mogłaby być właśnie ekranizacja tej pasjonującej i dramatycznej historii.

ŚRODA, 24 CZERWCA

Wczoraj wieczorem Zygmunt M. po paromiesięcznym pobycie na Zachodzie. Czytałem mu trochę fragmentów z *Dziennika*, i z *Życiorysów*. Gdy czytam takie strony — przypominam je sobie, lecz nie śmiałybym powiedzieć, że teraz, gdy dość szybko zbliżam się do końca, ogarniam całość.

Przed południem bardzo sympatyczna para Węgrów z Radia Budapesztańskiego (pani Judith Foti i pan László Rapcsányi). Nagrywanie rozmowy, czego w istocie bardzo nie lubię, ponieważ ten rodzaj wypowiedzi jest sprzeczny z moją, jako pisarza, potrzebą inwencji, we wszelkich wywiadach nie ja pytam, lecz mnie pytania zadają, a ja mogę być wówczas tylko, gdy pytam.

W związku z wieczorną rozmową z Agnieszką o matce Andrzeja S. pomyśl opowiadania *Dziewczyna i synowie*. Drobna, krucha, ruda, z piegami, rozbrajająco dziecięca we wszystkich swoich reakcjach i pragnieniach (ale przekroczyła czterdziestkę), skłonna w równej mierze do krańcowego smutku, jak roześmianej i trzpiotowatej radości, pełna fantastycznych projektów, wciąż coś zaczynająca i szybko zniechęcona — jest matką trzech synów, z których każdy reprezentuje inny rodzaj temperamentu i konfliktów, lecz ten świat trzech dryblasów zmusza ją do ustawicznej konfrontacji siebie samej z różnymi manifestacjami brutalnej rzeczywistości.

5.

Henryk Orlik, rozbudzony wczesnym telefonem sekretarki pułkownika Pasieki, zostaje powiadomiony, iż na pół do jedenastej ma się w ważnej sprawie stawić u pułkownika — Szkic rozmowy:

PASIEKA

Cześć, Orlik. Siadajcie. Nieszczególnie wyglądacie. Popijaliście wczoraj?

ORLIK

Trochę.

PASIEKA

Macie kaca?

ORLIK

Przejdzie, towarzyszu pułkowniku.

PASIEKA

Powinniście się zacząć szanować, Orlik, nie jesteście już młodzikami. Ale to wasza sprawa. Chciałbym natomiast obgadać z wami pewne sprawy nasze, wspólne. Podobno wam się, Orlik, znudziła praca dla nas?

ORLIK

Mnie? Kto wam powiedział?

PASIEKA

Słuchajcie, Orlik, ja już nie pierwszy raz zauważyłem, że macie nieprzyjemny zwyczaj odpowiadania na pytania pytaniem. Jak was do siebie wzywam, to widać mam powód, żeby was wezwać, nie?

ORLIK

Oczywiście, towarzyszu pułkowniku.

PASIEKA

I jak mówię, że podobno chcieliście się z nami rozstać, to widocznie mam podstawy, żeby tak mówić. Chcecie mieć dla siebie więcej czasu, rozumiem, jasne. Chcecie karierę literacką robić?

ORLIK

Jaką tam karierę, towarzyszu pułkowniku? Zamówienia mam po prostu. Prasa, radio, telewizja, wyrobić się nie mogę.

PASIEKA

Nie możecie się wyrobić, powiadacie. No, cóż? W takim razie pójdziemy wam, Orlik, na rękę i się rozstaniemy.

ORLIK

Jeżeli o mnie chodzi, towarzyszu pułkowniku...

PASIEKA

Powtarzam, chcemy wam, Orlik, pójść na rękę. Dla utalentowanych ludzi pióra, zaangażowanych ideowo po słusznej stronie, mamy zawsze szacunek. Przez dłuższy czas nie wykazywaliście co prawda większej aktywności, ale skoro w ciągu ostatniego roku, jak sami powiadacie, nie możecie się wyrobić...

ORLIK

Towarzyszu pułkowniku, słowo daję, że jeśli tylko o to chodzi, to ja jestem gotów w każdej chwili zrezygnować.

PASIEKA

Właśnie wam to proponuję.

ORLIK

Przepraszam, źle mnie zrozumieliście, towarzyszu pułkowniku. Chciałem powiedzieć, że mogę w każdej chwili zrezygnować z działalności publicystycznej. To nie będzie ofiara z mojej strony, zapewniam was, zrozumcie moją sytuację, towarzyszu pułkowniku: gdybym przestał dla was pracować, wszyscy się zaraz dowiedzą, będę ośmieszony i skompromitowany, nikt się ze mną nie będzie liczyć, wy nie znacie tak dobrze, jak ja, specyfiki środowiska — — — — —

6.

Ząb Konrada Kellera: okazało się po prześwietleniu, że pod korzeniem formuje się ropień. Na razie żaden zabieg nie jest możliwy. Celina Raszewska przepisuje silny antybiotyk (oxytetracylina, przez pierwszą dobę po dwie pastylki co trzy godziny, następnie taką samą dawkę co sześć godzin, żadnego w czasie kuracji alkoholu, dużo natomiast zsiadłego mleka albo kefiru). Konrad zdjęty zgrozą: na miłość boską, ileż tych proszków będzie razem? Celina Raszewska zapewnia go, że osiem gram oxytetracyliny powinno zlikwidować stan ropny. Osiem gram? Razem trzydzieści dwie pastylki. Lekki obrzęk, niestety, jest możliwy. Aby temu zapobiec, trzeba robić zimne okłady oraz możliwie często przepłukiwać jamę ustną naparem z szalwii. Obolałość obecną z pewnością uśmierzy Gardan. Celina Raszewska (oczywiście wraz z mężem zaproszona zarówno na ślub, jak i na wieczorne przyjęcie w Jabłonninie) jest zbyt taktowna, aby dać swemu sławnemu pacjentowi do zrozumienia, iż jest zorientowana w jego sprawach osobistych. Lecz z drugiej strony Konrad Keller jest nazbyt wstrząśnięty złowieszczymi wymiarami zaleconej kuracji, aby

w formie dyskretnej, choć nieco chaotycznej, wyrażonej przy pomocy swego słynnego szeptu nie napomkną o komplikacjach wynikających z jego rozlicznych w dniu dzisiejszym obowiązków. Opiekuńczo i z pełnym zrozumieniem w tym względzie pocieszany, nie może się powstrzymać, aby nie wyrazić obawy, iż zażycie tak ogromnej dawki silnego antybiotyku może spowodować jeśli nie trwale, to w każdym razie przewlekłe osłabienie pamięci. Rzeczowych wyjaśnień lekarzki słucha raczej nieuważnie, czując się już w tej chwili bardziej Prometeuszem przykutym do nagiej skały aniżeli sobą samym: „O jasne, boskie niebo! Wiatry szybko skrzydła! — Ożywcze rzeki! Falo mórz w odwiecznym ruchu! — Ziemi, najlepsza matko! Ciebie też przyzywam. — Promienny kręgu słońca, który widzisz wszystko! — Spójrzcie, jakie męczarnie bóg cierpi od bogów”.

W drodze do Telewizji Eryk Wanert wyręcza przyjaciela i sam wstępuje do apteki, aby zakupić lekarstwa, jest także na tyle taktowny, iż na razie zatrzymuje je przy sobie, dopiero po przybyciu do studia doradza dyskretnie Konradowi, aby kurację oxytetracynową rozpoczął natychmiast. Kategoryczny sprzeciw Kellera. Teraz? Wykluczone! Kto może zaręczyć, że nie jest na oxytetracynę uczulony? A jeśli jest, niepodobna przewidzieć, w jaki sposób organizm na zadany gwałt zareaguje. Mowy nie ma, żeby na podobne ryzyko narażał i siebie, i spektakl. Apeluje natomiast do czujności Eryka, prosząc go, aby uprzedził kamerzystów, iż na wypadek, gdyby zauważyli na jego twarzy ślad obrzęku — zdejmowali go od strony zdrowej, wystarczy, że mu dadzą odpowiedni znak, ułatwi im natychmiast pracę, ustawiając odpowiednio głowę.

Okazuje się jednak, że żadne tego rodzaju zabiegi nie są konieczne. Próba generalna *Prometeusza* przebiega bezbłędnie. Wielki sukces Konrada Kellera. Wszyscy zdają sobie sprawę, że tą kreacją osiągnął szczyty swego sztucznego. Ząb bolał go przez cały czas.

Ledwie próba się kończy (godzina jedenasta), Konrad Keller proszony jest do telefonu, w bardzo ważnej sprawie dzwoni Monika Panek. Zatem Konrad nagi i jeszcze z łańcuchami u rąk i nóg, tylko w szlafroku narzuconym na ramiona, przechodzi do kabiny reżyserskiej, aktorzy są jeszcze na planie, m.in. Halicki-Hermes oraz młodzi ludzie z Chóru, teraz rozproszeni, pokryci złotą-miedzianą patyną, z płonącymi czarami na głowach. Eryk Wanert (na krótko przed rozpoczęciem spektaklu otrzymał z Jabłonny wiadomość o śmierci stryja) zostawia Konrada samego. Młodzieńcy z Chóru zdejmują swoje czary i wygaszają płomienie. Dym wypełnia studio.

KONRAD

Jak się masz, kochanie. Bardzo ładnie, że dzwonisz. Akurat skończyliśmy, zdaje się, że wszystko poszło niezłe, nawet chyba bardzo niezłe. Miałem pewne wątpliwości i obawy, ale na planie...

rozstanie, kobieta,
mężczyzna, ambicja, artysta

MONIKA

Wybacz, Konrad, może później mi o tym opowiesz. Dzwonię, żeby ci zakomunikować, że zaszły pewne sprawy bardzo dla nas obojga nieprzyjemne. Krótko mówiąc: przed godziną dowiedziałam się, że nie będę grać w *Makbecie*, słyszysz? W *twoim Makbecie*!

KONRAD

W moim?

MONIKA

Doskonale rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, nie bądź przesadnie skromny. W *twoim Makbecie*! Uknuto przeciw mnie nikczemny spiszek...

KONRAD

Kto?

MONIKA

Oczywiście Otocki, chociaż nie jestem pewna, w jakim stopniu również i Eryk maczał palce w tej brudnej intrydze.

KONRAD

A kto ma grać Lady Makbet?

MONIKA

Zdumiesz się. Konarska!

KONRAD

Ciekawe.

MONIKA

Uważasz?

KONRAD

Bardzo zdolna dziewczyna, może być interesująca.

MONIKA

Konrad!

KONRAD

Tak, słucham cię.

MONIKA

Zdumiewasz mnie. Odnoszę wrażenie, że ciębie to wszystko w ogóle nic nie obeszło, jakby się nic nie stało. Jak ja mam to rozumieć?

KONRAD

Przed wszystkim spokój trzeba zachować, kochanie.

MONIKA

Jestem spokojna, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jestem spokojna. Ale *mnie* obrażono i ośmieszono.

KONRAD

Przesadzasz, kochanie. W teatrze...

MONIKA

Bądź łaskaw nie przerywać. Powtarzam: znieważono mnie i ośmieszono. I jeśli ten fakt zechcesz łaskawie wziąć pod uwagę, może zrozumiesz, co w tej sytuacji powinieneś uczynić.

KONRAD

Ja co mam uczynić? A cóż ja mogę uczynić? Wiesz, że się nigdy, z zasady, nie mieszam do żadnych spraw obsadowych.

MONIKA

Bardzo szanuję twoje zasady, choć moment nie wydaje mi się właściwy, abys mi o nich przypominał. Ja nie mam zamiaru, Konrad, niepokoić twoich zasad. Nie żądam, abys o mnie walczył. Ja z ludźmi pokroju Otockiego nie mam zamiaru walczyć. Wobec złej woli i chamstwa po prostu wycofuję się. Nie muszę należeć do zespołu Teatru Stołecznego. I mam nadzieję, że ty też nie musisz.

KONRAD

Moniko, Moniko, zastanów się! W jakiej sytuacji ty mnie stawiasz? Dlatego, że odebrano rolę mojej żonie...

MONIKA

Jeszcze nie jestem twoją żoną.

KONRAD

Wszystko jedno. Więc dlatego, że moją narzeczoną pozbawiono roli, ja się mam jak głupiec obrażać? Daruj, ale doprawdy nie widzę siebie w podobnej sytuacji.

MONIKA

Przykro mi, że nie widzisz swoich elementarnych obowiązków. Przykro mi również, że nasze odczuwania i oceny pewnych spraw są aż tak bardzo rozbieżne. Zatem nie zadzwonisz do Otockiego i nie zgłosisz swojej rezygnacji?

KONRAD

Nie możesz tego ode mnie wymagać.

MONIKA

Pozwól, że to ja będę decydować, czego od ciebie wymagać mogę, a czego nie mogę. Więc nie zadzwonisz?

KONRAD

Skończmy, Moniko, tę niepotrzebną rozmowę. Jestem jeszcze nierozcharakteryzowany, słyszysz, jak brzęczą, to łańcuchy, których nie zdążyłem zdjąć, muszę wpaść do siebie, żeby się przebrać, u ciebie być przed dwunastą, doprawdy czasu zostało bardzo mało.

MONIKA

Ach tak? Postaram się w takim razie, żebyś go miał pod dostatkiem.

KONRAD

Nie rozumiem.

MONIKA

Możesz się nie przebierać, a po mnie przyjeżdżać w ogóle nie musisz. Uważasz, że nasza rozmowa była niepotrzebna? Ja sądzę wręcz przeciwnie. Przyszła w samą porę, przynajmniej dla mnie. Może zbyt późno, ale na szczęście nie za późno doszłam do przekonania, że nie może mi odpowiadać mąż z zasadami twojego typu. Jesteś wolny, Konrad.

KONRAD

Ciekawe.

MONIKA

Owszem, bardzo ciekawe.

KONRAD

W pewnym sensie jesteś niebywałą, Moniko.

MONIKA

Dziękuję ci, że to doceniasz. Zresztą pewnym antysensie ty też jesteś niebywałą. Umówmy się zatem, że od dzisiaj będziemy się wzajemnie podziwiać, ale na dystans. Wszystkiego najlepszego ci życzę, mój drogi. I na razie nie śpiesz się z rozcharakteryzowaniem. Wiem, że nie lubisz się śpieszyć. Miło mi, że na pożegnanie mogłam ci wyświadczyć tak drobną przysługę.

Odłożywszy słuchawkę, Konrad stoi chwilę przy aparacie i poprzez dużą szybę reżyserskiej kabiny spogląda na studio nieco w dole, większość aktorów już się rozeszła, został tylko Łukasz Halicki zabawiający się na środku hali kaduceuszem, pracownicy techniczni rozbierają dekorację. Nagle Konrad zdaje sobie sprawę, że ząb przestał go boleć. Ciekawe — mówi półgłosem sam do siebie. Zajęcie łańcuchów nie zabiera mu wiele czasu, okazują się jednak zbyt ciężkie i niewygodne do dźwigania, zostawia je zatem na podłodze w kabinie i schodzi do studia. Tam rozgląda się, poszukując sylwetki Łukasza. Ten nieoczekiwanie wyłania się gdzieś z boku: nagi, tylko ze złotą przepaską na biodrach, w uskrzydłonych sandałach i z nieodłącznym kaduceuszem.

HALICKI

Czekałem na pana.

KELLER

To świetnie się składa, mój drogi.

HALICKI

Chciałem panu powiedzieć, że przez pana o mało co nie wysiadłem.

KELLER

Bardzo pięknie grałeś, Łukaszku.

HALICKI

Dziękuję, robiłem, co mogłem i jak mogłem. Ale kiedy pan powiedział tę kwestię: „W mojej nędzy śpi wolność, miałbym ją zamienić — na twój los niewolnika butnego

tyrana?” poczułem w gardle taki, wie pan, podły skurcz, iż myślałem przez moment, że się będę musiał rozbeczeć!

KELLER

Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu?

HALICKI

Chciałbym, żeby kiedyś taki sam szczeniak, jak ja teraz, mógł mi po spektaklu wyznać to samo, co ja wyznałem przed chwilą panu.

KELLER

Wzruszasz mnie, Łukaszku. Dziękuję. Ale do rzeczy! Ja ciebie też szukałem.

HALICKI

Mnie?

KELLER

Chcę cię prosić o pewną przysługę.

HALICKI

Jestem na pańskie rozkazy.

KELLER

Przysługa, o której myślę, ma charakter dość niecodzienny, powiedziałbym, świąteczny, uroczysty, lecz zarazem niepozbawiony pewnych elementów...

HALICKI

Ziemskich?

KELLER

Właśnie!

HALICKI

Aby powierzone mi zadanie jak najzgrabniej wypełnić, postaram się zachować wszystkie przymioty Hermesa.

KELLER

Trochę szkoda, że będziesz musiał zmienić kostium.

HALICKI

A może nie muszę?

KELLER

Niestety! Rola, którą chciałbym ci powierzyć do sympatycznego odegrania, posiada wprawdzie bardzo wiele cech zbliżających ją do postaci Hermesa, biorąc jednak pod uwagę, mój drogi, czas oraz położenie geograficzne...

HALICKI

Rozumiem, że mam wystąpić w ciuchach osobistych?

KELLER

Wiesz z pewnością, że o dwunastej w południe miał się odbyć mój ślub?

HALICKI

Przepraszam, użył pan prawidłowego czasu?

KELLER

Jak najbardziej. Życie bywa tak błazeńskie, iż w jednej chwili, jak przy kuglarskich sztuczkach, potrafi czas przyszły zamienić w przeszły. Wobec tak niecodziennej, jak sam musisz przyznać, dekonfiguracji i biorąc pod uwagę godzinę dość natrętnie późną, trzeba założyć, że znaczna ilość przyjaciół oraz znajomych zaproszonych...

HALICKI

Zgromadzi się o dwunastej w Urzędzie Stanu Cywilnego. Oszalamia mnie pan!

KELLER

Ja też jestem troszeczkę oszołomiony.

HALICKI

Ale, o ile się nie mylę, w wyższym sensie?

KELLER

Zachowując pewien umiar, powiedzmy: w sensie zbliżonym do wyższego. Domyślasz się, przypuszczam, o jaką przysługę chcę cię prosić?

HALICKI

Rzeczywiście szkoda, że nie będę się tam mógł zjawić w kostiumie Hermesa. Jaką deklarację mam złożyć zebrany?

KELLER

Sam się zorientujesz na miejscu, kiedy zobaczysz, jak to będzie wyglądać, dobry instynkt na pewno podszeptnie ci słowa właściwe. Cóż? Nie dokonało się, nie spełniło. Trudno! *Non consummatum*. Przeprosisz, że przykro...

HALICKI

W czym imieniu? Tylko pana?

KELLER

Jesteś nieoceniony, Łukaszku! To subtelne rozróżnienie nie przyszło mi do głowy.

HALICKI

Mogę coś doradzić?

KELLER

Zawsze.

HALICKI

Wydaje mi się, że oświadczenie, jakie złożę zebrany, wypadnie i zgrabniej, i dowcipniej, że odwołam się do ulubionych słów pani Moniki, jeśli będzie wyrazem intymnych uczuć obu stron zainteresowanych. Ale może się mylę?

KELLER

Przeciwnie, masz rację. Wszelka jednostronność mogłaby się w tym wypadku spotkać z komentarzami jak najbardziej fałszywymi. Natomiast gdy poprzez twoje usta będziemy zawiadamiać i przeproszać oboje, nasza zgodna jednomyślność powinna usmierzycć cokolwiek wezbrane żywioły.

HALICKI

Wydaje mi cię, że trochę mniej niż cokolwiek, ale może.

KELLER

To jeszcze nie koniec, mój drogi.

HALICKI

Domyślam się. Jabłonna!

KELLER

Niestety! Wprawdzie większość zaproszonych gości dowie się już do tego czasu, że przyjęcia weselnego nie będzie...

HALICKI

Zawsze się jednak mogą przytrafić jednostki nienadążające za życiem. Rozumiem. Wierny i posłuszny wysłaniec wyższych sfer wbije się wieczorem w czarny garnitur, wsiądzie do swego szybkosilnikowego pojazdu i punkt ósma będzie czynić honory domu. Szeffie, uwielbiam nienadążających za życiem. Tylko jedno moje nieśmiałe marzenie...

KELLER

Zależy ode mnie?

HALICKI

Mogę w zabytkowej sieni pałacu w Jabłonnie witać nienadążających za życiem z moim kaduceuszem?

KELLER

Jeśli ci rekwizytornia wypożyczy...

HALICKI

Szefie, pan mnie nie docenia, ja mam w domu swój własny kaduceusz. Kolega z ASP wystrugał mi go przed paroma miesiącami. Godzinami ćwiczyłem.

KELLER

po chwili, z akcentem szacunku

Przepraszam.

HALICKI

Drobiazg.

KELLER

A zatem?

HALICKI

Już odlatuję. Gdzie pana szukać?

KELLER

nagle uświadomiwszy sobie ogrom oczekujących go zabiegów leczniczych

W domu, oczywiście w domu.

HALICKI

Okey, szefie. Po każdej akcji w terenie będę składał meldunki.

CZWARTEK, 25 CZERWCA

Od dwóch dni zbiera się na burzę, lecz nic się nie może wykluczyć z tego nieruchomego i lepkiego gęstowia upału. Zmęczenie.

Pracowałem dzisiaj od ósmej rano do siódmej wieczorem, przepisywane ze starych notatek i uzupełniane dialogi: Konrad Keller — Monika Panek, Konrad Keller — Łukasz Halicki. Dopiero po przeczytaniu wieczorem tekstu zorientowałem się, że w pewnym momencie przeoczyłem krótkie spotkanie Keller — Eryk Wanert, gdy Keller po rozmowie z Moniką (od wielu lat o tej rozmowie myślałem) wychodzi z kabiny reżyserskiej, poszukując Łukasza Halickiego, któremu chce powierzyć ową szczególną misję posłańca. Eryk Wanert na krótko przed próbą generalną dowiedział się o śmierci stryja. To musiało być dla niego wstrząsem. Lecz jak głębokim? Jest rzeczą oczywistą, że człowiek jego pokroju potrafił zapanować nad odczuciami osobistymi i w czasie trwania próby generalnej skupić się wyłącznie na obowiązkach reżyserskich. Lecz potem? Czy powinien wprost powiedzieć Kellerowi, że w tych okolicznościach nie może być świadkiem jego ślubu? Tak mało wiem o Eryku Wanercie, iż najprostszymi jego reakcjami nie potrafię pokierować, zawodzi mnie kreacyjna swoboda. Martwy jest u mnie ten Eryk i chyba nie dam rady, żeby go ożywić.

Teraz, gdy już tak blisko jestem końca — osaczają mnie coraz natarczywiej stany znużenia i niecierpliwości.

7.

W czasie dramatycznej rozmowy telefonicznej, jaką Leopold Panek przeprowadza w swoim gabinecie z żoną, Andrzej Wąjs z wydziału planowania znajduje się akurat w sekretariacie prezesa, sekretarka Panka, Joanna Tuszewska (po Wyższym Studium Języków Obcych), jest również sekretarką Komitetu Wykonawczego Bractwa Żółwiowego.

(Sprzeczne uczucia Zofii Pankowej, gdy dowiedziała się od córki o zerwaniu małżeństwa: jest trochę przepłoszona skandalicznym posmakiem tego wydarzenia, lecz równocześnie, ponieważ nie lubiła Konrada Kellera w charakterze zięcia, doznaje pewnej satysfakcji, związaną z córki z aktorem, nawet tak wybitnym i sławnym jak Keller, nie odpowiadało jej aspiracjom, od dawna pielęgnowała w sobie nadzieję, że poprzez małżeństwo Monika wejdzie w sfery arystokratyczne, wychodząc za mąż za potomka któregoś z rodzin o wielkim historycznym nazwisku, stając się księżną Radziwiłową, Czartoryską albo Lubomirską, względnie hrabiną Potocką czy Tyszkiewiczową).

Burza, Lato

Matka, Córka, Małżeństwo,
Pozycja społeczna, Ambicja,
Obyczaje

Trochę senną rozmowę Andrzeja Wajsa z Joanną przerywa telefon z gabinetu prezesa. W pewnym momencie ładna, choć trochę standardowa twarzyczka Joanny ożywia się, Andrzej zauważa to natychmiast, lecz chociaż podwójna sekretarka robi w jego stronę wielkie oczy i znacząco gestykuje wolną ręką — przewodniczący Bractwa Żółwiowego nie zdradza żadnego zaciekawienia, jest w humorze wyraźnie złym, ponieważ w dzielnicy, w której mieszka (Bielany), wyłączono dzisiaj dopływ ciepłej wody, musiał zatem zrezygnować z prysznica i poprzestać na powierzchniowym umyciu lodowato zimną wodą.

Po telefonie prezesa Panka:

JOANNA
Bomba!

ANDRZEJ
Duża?

JOANNA
Wodorowa.

ANDRZEJ
Gdzie spadła?

JOANNA
Tutaj.

Andrzej Wajs ma pełne zaufanie do ocen Joanny, więc jeszcze szczególniejszego zainteresowania nie okazując, wypowiada jednak formułę, która oznacza, iż dalszą rozmowę przenosi na płaszczyznę Bractwa Żółwiowego.

ANDRZEJ
Żółwie lądowe bywają trzymane w niewoli.

JOANNA
Niektóre przeżywają w niewoli siedemdziesiąt, sto, a nawet sto pięćdziesiąt lat.

ANDRZEJ
Meldujcie, Tuszewska.

JOANNA
Ślubu nie będzie!

ANDRZEJ
Ślubu?

JOANNA
Nie będzie, odwołany.

ANDRZEJ
Poczekaj, musiałem się dzisiaj myć zimną wodą i mózg mam trochę zziębnięty. Nie chwytam.

JOANNA
Przed chwilą prezes Panek zakomunikował mi, że ślub jego córki, panny Moniki Panek z panem Konradem Kellerem został odwołany.

ANDRZEJ
wszystko sobie w tym momencie przypominając
Oo!

JOANNA
W związku z tym doniosłym wydarzeniem muszę o nim natychmiast powiadomić telefonicznie co najważniejsze osobistości, żeby się nie fatygowały niepotrzebnie. Bomba?

ANDRZEJ
w stanie nagłego olśnienia
Poczekaj, masz listę gości?

JOANNA

Oczywiście, według niej rozsyłałam zaproszenia.

ANDRZEJ

Na przyjęcie w Jabłonnie też?

JOANNA

Oczywiście.

ANDRZEJ

Zostały ci jakieś zaproszenia *in blanco*?

JOANNA

A jeśli tak?

ANDRZEJ

prawie rozmarzony

O rany, co za okazja! Na ruinie szczęścia małżeńskiego Bractwo zabawi się na wyższym szczeblu! Przyznaj, jestem genialny?

JOANNA

Obawiam się...

ANDRZEJ

Na razie rozdzwaniaj radosną wiadomość. Wpadnę za pół godziny, wtedy wszystko obgadamy. I pamiętaj, żółwie bardzo szybko reagują, jeśli zostały zaniepokojone, a niektóre okazują niewiarygodną ostrożność!

Wypisy z *Życia zwierząt* Alfreda Brehma (notatki do statutu Bractwa Żółwiowego):

Budowa żółwi jest tak osobliwa i tak gruntownie odbiega od gadziego gatunku, że nie sposób ich nie rozpoznać. Mózg żółwia jest uderzająco mały, jednak zwierzęta te nie są bynajmniej tak głupie i gnuśne, jak to się ogólnie zwykło przyjmować. Umieją gromadzić doświadczenia i uczą się wkrótce poznawać swego opiekuna.

Uporczywa wytrzymałość życiowa żółwi posuwa się tak daleko, że jeszcze całymi miesiącami po najstraszliwszych okaleczeniach spełniają wszelkie czynności wykonywane normalnie przez sztuki zupełnie zdrowe. Pozbawione głów żółwie poruszają się jeszcze przez wiele tygodni, a za dotknięciem wciągają nogi do skorupy.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że wiele spośród żółwi może zupełnie lub prawie wciągnąć głowę i kończyny.

Od pradawnych czasów żółwie lądowe bywają trzymane w niewoli. Niektóre przeżywały w niewoli 70, 100, a nawet 150 lat.

Żółwie lądowe piją rzadko, ale dużo naraz.

Nie do uwierzenia, jak długi czas żółwie mogą żyć bez jedzenia — ba, nawet nie oddychając.

Żółwie są wysoce wrażliwe na, zdawałoby się, niegroźne wpływy zewnętrzne, tylko że cierpią, nie okazując tego, co sprawia wrażenie, że mogłyby znieść wszystko.

W niewoli żółwie większą część dnia jedzą. W tej czynności pozwalają sobie przeszkodzić tylko wówczas, kiedy się je mierzy lub waży. Wywiera to zresztą na nie tak głębokie wrażenie, że przez wiele dni potem okazują zmniejszony apetyt. Podobnie odwiedziny obcych osób w ich pomieszczeniu wyprowadzają je ze zwykłego spokoju, natomiast wizyty dozorczy nie robią na nich najmniejszego wrażenia, z czego można wnosić, że go znają. Gdy siądzie się im na grzbiecie, gładząc połączenia między tarczami grzbietowymi, można je łatwo skłonić, by podniosły się z ziemi i przewiozły swego jeźdźca. Osiągnąć to łatwo, gdy się je łaskocze w partii karkowej.

W niewoli można żółwie łatwo wyżywić gotowanym ryżem i odpadkami z kuchni.

Wydaje się, że żółwie błotne, żyjąc jedynie w okolicach wilgotnych, są specjalnie wyćwiczone w ukrywaniu się. Niby to beztrudnie wygrzewają się na brzegu w promieniach słońca, skoro jednak podkraść się do nich blisko i próbować sięgnąć po nie ręką, znikają bezgłośnie.

Żółwie błotne bardzo szybko reagują, jeśli zostały zaniepokojone, a niektóre okazują niewiarygodną ostrożność. Umieją wyszukiwać sobie korzystnie położone kryjówki i czynią użytek z uprzednio nabytych doświadczeń.

Najbardziej uderzającymi cechami żółwia morskiego, jadalnego, są: towarzyskość i pokojowe usposobienie.

Szylkret tylko wtedy łatwo się odłącza od kości pancerza grzbietowego, gdy się dość mocno ogrzeje. Wobec tego nieszczęsne żółwie zawieszają się nad ogniem i przypieka tak długo, aż skutek zostanie osiągnięty.

BRACTWO ŻÓŁWIOWE

Komitet Wykonawczy: przewodniczący — Andrzej Wajs; wiceprzewodniczący — Michał Hajewicz, sekretarz jednego z wiceprezesów Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk; sekretarz — Joanna Tuszewska, sekretarka prezesa Państwowego Instytutu Prasowego; członkowie: Jacek Linowski, urzędnik w Biurze Budżetowo-Gospodarczym Generalnej Prokuratury; Leszek Klon, inżynier dźwięku zatrudniony w Polskim Radio; Konrad Henner, referent w Ministerstwie Handlu Zagranicznego.

Niektórzy członkowie: Gerard Bar z Instytutu Maszyn Matematycznych Polskiej Akademii Nauk; Bronisław Boczkowski, inżynier technolog z Fabryk Samochodów na Żeraniu; Wiesław Dworzak, dziennikarz; Agnieszka Grudzińska, lekarka pracująca w Instytucie Reumatologicznym; Maciej Grudziński, chirurg; Zbigniew Jodełka, pracownik naukowy w Instytucie Spraw Międzynarodowych; Paweł Kuczyński, pracownik naukowy Zakładów Farmaceutycznych w Tarchominie; Julia Lidke, pracownica naukowa w Instytucie Badań Literackich; Barbara Osińska, pracownica naukowa w Instytucie Biologii Doświadczalnej; Tomasz Pietruski, programista w Centrum Obliczeniowym Polskiej Akademii Nauk; Maria Paschalska, dziennikarka; Joanna Szubert, tłumaczka w Polskiej Izbie Handlu Zagranicznego; Marta Tatarak, pracownica naukowa w Instytucie Sztuki; Witold Tomczyk, referent w Departamencie Prasowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych; Stefan Witwicki, po studiach socjologicznych, zatrudniony w jednym z dużych wydawnictw; Krzysztof Załuski, operator filmowy.

8.

Edward Kubiak, jeszcze w łóżku, słucha radia i z dziennika południowego dowiaduje się o zgonie profesora Henryka Wanerta. Przejęty tą śmiercią, bo choć osobiście zmarłego nie znał, słyszał o nim od Karola Wanerta, więc w odległych czasach, gdy był młodym i ładnym chłopcem, zatem poruszony usłyszaną wiadomością wstaje z łóżka, aby poszukać żony. Znajduje Danutę w kuchni, zajętą przygotowywaniem obiadu. Niewiele zostało z jej dawnej urody zaraz po wojnie. Zestarzała się chudnąc i dzięki przywiedlej, pomarszczonej twarzy, nazbyt cienkim wargom i zaniedbaniu sprawia wrażenie starszej niż jest.

Mąż, Żona, Małżeństwo,
Kłótnia

DANUTA

z niezadowolaniem

Już wstałeś? Obiad jeszcze w lesie.

EDWARD

Wiesz kto umarł? Profesor Henryk Wanert.

DANUTA

gdy Edward otwiera lodówkę

Czego szukasz?

EDWARD

Napijesz się może jednego?

DANUTA

Coś ty? O tej porze wódkę pić?

EDWARD

Ja o innej nie mogę, a mam ochotę na jednego.

DANUTA

Na jednego! Już ja cię znam. Po jednym przyjdzie drugi, a po drugim następny.

EDWARD

Dajże spokój, mówisz, jakbym był pijakiem, a ja nigdy do picia pociągu nie miałem.

DANUTA

po chwili

On też był taki?

EDWARD

rozumiejąc aż nadto przejrystą aluzję, lecz nie chcąc od razu skapitulować
Kto?

DANUTA

No ten, co umarł, Wanert.

EDWARD

Wielki uczony był.

DANUTA

Ja pytam, czy był taki?

EDWARD

To znaczy jaki?

DANUTA

Zawsze się chwalisz, że jesteś bystry, a tu raptem nic nie możesz zrozumieć.

EDWARD

No, bo nie wiem, o co ci chodzi.

DANUTA

Pytam, czy był taki sam, jak ten twój Wanert?

EDWARD

z pasją

Nie wiem, nie znalazłem go.

DANUTA

Jak go nie znalazłeś, to pewnie był porządnym człowiekiem.

Kubiak wypija drugą wódkę i zamierza opuścić kuchnię, chcąc uniknąć jałowej i męczącej kłótni, a też świadomy, iż wycofując się, pozostawi żonę w stanie niezaspokojonego rozjątrzenia, co przy jej wzrastającej z latami zaczepności i kłótniwości równoznaczne było dla niej z poczuciem klęski. W ostatniej jednak chwili zatrzymuje Kubiaka widok dwóch, zresztą znajomych, milicjantów zbliżających się do ich domu. Danuta też ich dostrzega.

DANUTA

z satysfakcją w głosie

No, nareszcie!

EDWARD

Co nareszcie?

DANUTA

Doigrał się ten zbój! Najwyższy czas.

Obaj milicjanci już weszli do środka i choć Kubiak ma przez moment nadzieję, że z powodu jakiejś błażej sprawy lokalnej, aby zasięgnąć informacji, zajdą do nich (bo Wiesiek Kwiecień, chociaż łobuz, jest bardzo ładnym i sympatycznym chłopakiem) — słysząc ich ciężkie kroki na schodach prowadzących na pierwsze piętro, do mieszkania Jaskólskiej, Edward otwiera lodówkę i z półlitrowki już bliskiej dna nalewa trzeci kieliszek. Długie milczenie. Z radia, które Kubiak wstając zapomniał wyłączyć, dobiegają dziarskie dźwięki ludowej kapeli. Słysząc z góry dobijanie się do drzwi. Kubiak nie wytrzymuje nerwowo i opróżnia półlitrowkę.

EDWARD

Mnie jego żal, słowo daję.

DANUTA

Domyślam się.

EDWARD

Gównu się domyślasz! Tobie tylko jedno w głowie.

DANUTA

Coś powiedział?

EDWARD

Nic.

DANUTA

Nic, powiadasz? Myślisz, że ja jestem ślepa kura i nic nie widzę?

EDWARD

Czego na przykład?

DANUTA

Pośmiewisko i wstyd! Jak ci te opuchnięte oczki latały, ilekroć tego drania widziałeś, jakie krygi, frygi przed nim odstawiałeś. W lustrze się przejrzyj!

EDWARD

Nawzajem.

DANUTA

Żebyś wiedział, że przeklinam siebie i tę godzinę, kiedy jak ostatnia z ostatnich idiotek zgodziłam się wyjść za ciebie za mąż. Ja siebie w lustrze widzę, ale to ty musisz na mnie patrzeć. Och, jak ja żałuję, że nie jestem ładnym chłopakiem, wtedy bym ci pokazała!

EDWARD

Danuta, zastanów się, na co te awantury? Nie jesteśmy już młodzi...

DANUTA

Przez ciebie jestem stara i do niczego, przez ciebie.

EDWARD

Ja bym chciał...

DANUTA

Już ja wiem, czego byś ty chciał. Żebyś zdechła, a ty żebyś miał swobodę i w moim domu urządził sobie męski burdel. Ja ciebie dobrze znam. Wyszkołił cię ten twój Wanert.

EDWARD

Danuta, zastanów się, to było czterdzieści lat temu.

DANUTA

Dla mnie jest teraz! Won z kuchni, nie chcę na ciebie patrzeć.

I znów Edward Kubiak chce się wycofać, lecz wstrzymują go odgłosy, jakie dochodzą z góry: silne zatrzaśnięcie drzwi i kroki schodzących na dół. Po chwili przed oknem kuchni wylaniają się na wietrze rozpraszającym drobne płatki śniegu sylwetki obu milicjantów, prowadzących Wieszka Kwietnia z gołą głową, w kozuchu i ze skutymi rękoma. Niebawem znikają w lepkiej zawiei.

EDWARD

Ciesz się!

DANUTA

Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

EDWARD

Jezus Maria, kobieto! Skąd w tobie tyle złości?

DANUTA
Skąd? Siebie spytaj.

9.

W Jabłonie, przy zwłokach stryja, Eryk Wanert rozmyśla. Zmarły jest już w ciemnym garniturze i jego zwłoki spoczywają na łóżku przykrytym miejscowym, pensjonatowym kocem. Za oknem suche, nagie drzewa, drobna zawieja.

PIĄTEK, 26 CZERWCA

Prawie dwanaście godzin pracy. Po wczorajszym, późnowieczornym deszczu trochę się odświeżyło, chłodniej i wiatr.

Tekst piosenki, który mi przed kilkoma laty (zimą 1967) przesłał z Londynu do Paryża Romek Polański, o ile pamiętam, w tym samym mniej więcej czasie Polański był w Paryżu, i z nim, długowłosym, oraz z Anią J. jedliśmy kolację w restauracji przy quais Michel, prawie na wprost Notre Dame, wtedy Romek po winie, tak jak on to potrafi, wyśpiewał na szepcie tę szkolną, łódzką piosenkę, i już wówczas pomyślałem, że właśnie coś podobnego powinni w finale *Miazgi*, po północy, w mętnym, śnieżnym pejzażu zagubionego kwietnia (wtedy maja) śpiewać przed frontem pałacu w Jabłonie pijani i całkiem rozluźnieni członkowie Bractwa Żółwiowego, dlatego prosiłem Romka, żeby mi ten tekst koniecznie przysłał, zrobił to i — pamiętam dobrze — kiedy rano wychodząc z hotelu odebrałem na dole list z Londynu, wsunąłem go do kieszeni i wprost z placu Odeonu poszedłem ulicą de Médicis ku bulwarowi St. Michel, już było prawie ciepło, bo siedziałem na tarasie zatłoczonej kawiarni przy placu Rostarda i tam rozpieczętowałem list Romka ze znakami jego ostatniego podówczas filmu *Cul de Sac* i wtedy odczytałem ten tekst: wydał mi się bardzo zabawny; niestety, nie mogę go teraz znaleźć.

10.

Wróciwszy do siebie, Konrad Keller stwierdza, że jednak spuchł, obrzęk zniekształcający twarz jest bardzo wyraźny. W okolicznościach zwykłych byłby najprawdopodobniej tą groteskową deformacją ciężko zdeprymowany, teraz jednak, gdy sobie uświadamia, jak koszmarnych i ośmieszających komplikacji uniknął nieomal cudem dzięki nieoczekiwanej decyzji Moniki — odczuwa dla swej niedosłej żony coś w rodzaju tkliwej wdzięczności, a z kolei to wysublimowane doznanie poczyna w nim promieniować na całość wytworzonej sytuacji, niosąc ze sobą zrazu wstydliwie mgliste, lecz dość szybko wykryształizowane uczucie ogromnej ulgi, co sprawia, że prawie w nastroju frywolnego rozbawienia obserwuje w lustrze głupkowaty dzięki obrzękowi wyraz własnej twarzy, potem z niewiarogodną lekkomyślnością polyka dwie ogromne pastylki oxyterracyny i wciąż w nastroju płochego wesela przechodzi do przedpokoj, chcąc zdjąć z pawlaczka podręczną torbę, aby spakować do niej różne drobiazgi Moniki, nim jednak to przedsięwzięcie podejmie, powstrzymuje go refleksja, iż pośpiech w tym wypadku byłby mimo wszystko przejawem nie najlepszego smaku, trochę na zasadzie odruchu warunkowego wyobraża sobie przez moment chłodną i ironiczną reakcję Moniki, gdyby w czapce-niewidce mogła stać się świadkiem tak wulgarnego likwidowania resztek przeszłości, jeszcze jak świeże zwłoki nieostygłej.

Zatem, wycofując się z terenów wątpliwej jakości, lecz wciąż pełen musującej uciechy, postanawia zadzwonić do Adama Nagórskiego, by powiadomić go, że się rozmyślił (telefonował do Adama jeszcze w telewizji) i na obiad przyjdzie, przy czym w nonszalanckim stosunku do własnej osoby posuwa się tak daleko, iż gdy Adam, zresztą bardzo ucieszony decyzją ciotecznego brata, pyta go, jak się czuje — Konrad odpowiada z tryumfem: znakomicie, spuchłem!

Zaraz po pół do pierwszej telefon Łukasza Halickiego. Dzwoni z budki telefonicznej na Nowym Świecie, więc jego meldunek jest zwięzły: wszystko było okey, frekwencja szalowa, młodych dup nadkomplet, hall „maleńkiej” świątyni nie pomieścił zgromadzenia tak wielkiego, lud wprawdzie nie kłęczał, lecz stał na dworze, kamery z Telewizji i z Kroniki Filmowej stawily się, liczni fotoreporterzy również, kwiatów naniesiono w ilości, która na oko obliczając, zdolna by była wypełnić po brzegi największą kwaciarnię, zatem pełny sukces artystyczny.

KELLER
Powiadasz?

HALICKI
Nie wszyscy przybyli autami, więc wilgotne ciuchy parowały i było trochę jak w łaźni.

KELLER
A potem?

HALICKI
Dupy mnie obiegły i musiałem rozdawać autografy. Przepraszam szefie, siła wyższa.

KELLER
Miałem zatem słuszność, abyś się nie pojawił w kostiumie Hermesa?

HALICKI
Szefie, obawiam się, że skończyłbym wówczas jak Orfeusz. Ma pan dla mnie jakieś nowe zlecenia?

KELLER
Wszystko przebiega prawidłowo.

HALICKI
Muszę się więc na razie wyłączyć, bo przed budką czekają rodacy spragnieni kontaktów.

KELLER
Chwileczkę.

HALICKI
Tak jest, szefie.

KELLER
Powiedz Beatce, słyszysz mnie?

HALICKI
Tak jest, szefie.

KELLER
Powiedz Beatce, że bardzo się cieszę, że z nią będę grać.

HALICKI
po chwili
Mogę być szczerzy? Wolałbym, żeby to był *Hamlet*.

KELLER
Rozumiem.

HALICKI
Albo *Don Carlos*.

KELLER
Owszem, chętnie bym zagrał starego Filipa.

HALICKI
Oczywiście powtórzę Beatce, co pan powiedział, na pewno bardzo się ucieszy. Odlatuję, szefie. Zadzwoń wieczorem.

II.

Na obiedzie u Adama Nagórskiego tylko Halina Ferens-Czaplicka (Aimo Immonen jeszcze nie wrócił do hotelu) oraz Konrad Keller. Nastrój z początku raczej niżowy i trochę sztuczny: gospodarz wyraźnie zmęczony, Halina zamyślona i podstarzała, natomiast Konrad odwrotnie: nadmiernie ożywiony, co na obojga pozostałych, zwłaszcza przy fatalnie zniekształconej twarzy znakomitego aktora, sprawia wrażenie (całkiem fałszywe),

iz tym podeksycytowaniem chce zamaskować przygnębienie. Ale Nagórski dużo pije, Halina też pozwala sobie na parę kieliszków wódki i potem na trochę wina, więc rodzinna atmosfera powoli się ożywia, przy czarnej kawie, gdy za oknem z rozległym widokiem na Wisłę wciąż zimowy krajobraz niewydarzonego kwietnia, Nagórski jest dostatecznie podpity, aby odczuć potrzebę zwierzeń, co też czyni, nie zapominając o koniaku.

W związku z owym dawno już zaprojektowanym zwierzeniem Nagórskiego fragment z mego *Dziennika* (marzec 1969):

„Gdy krew poczęła mi odpływać ze skroni i z twarzy, i przenikliwy chłód uczułem pod czaszką, musiałem pewnie wyglądać trochę tak jak śmiertelnie pobladły Hans Castorp, gdy w noc sylwestrową podszedł do pani Chauchat, aby ją spytać, czy ma ołówek. Na tym się jednak podobieństwo kończy, mój stan nie miał nic wspólnego z miłością. Chociaż może? To był wstrząs przerażenia, że bezwiednie i nieświadomie popełniam coś w rodzaju świętokradstwa, bezwstydnie łamiąc uświęcone reguły. Groza i strach.

Pierwszy raz w życiu wówczas zemdląłem. Może nie do końca, chyba nie dość głęboko, aby świadomość utracić całkowicie, dostatecznie przecież, aby na oczach pełnej sali osunąć się na mównicę, z której wygłaszałem uroczyste przemówienie. Pamiętam trochę jak poprzez przymglenie, że prawie natychmiast jacyś ludzie znaleźli się przy mnie, podtrzymali i wyprowadzili (wynieśli?) z sali do sąsiedniego pokoju. Jak się później dowiedziałam, przemówienie przerwane w połowie dokończył za mnie J.I.

Wszystko to się stało 17 listopada 1952 roku, w siedzibie Związku Literatów Polskich, na uroczystym wieczorze dla uczczenia 40-lecia pracy pisarskiej Marii Dąbrowskiej. Był to chyba szczytowy moment mego partyjnego fideizmu, a również i mojej »kariery« politycznej. Miałem już poza sobą dwa tomiki felietonów politycznych oraz trzy wzniosłe i ortodoksyjne choralki (*Aby pokój zwyciężył*, *O człowieku radzieckim* oraz *Partia i twórczość pisarza*), byłem posłem ze Szczecina, jednym z wiceprezesów Zarządu Głównego ZLP, a od sierpnia naczelnym redaktorem »Przeglądu Kulturalnego«. W związku z założeniem tego tygodnika przenieśliśmy się w sierpniu na stałe do Warszawy, po ośmiu prawie latach nieobecności. Ponieważ otrzymanie odpowiedniego mieszkania wymagało czasu, Marysia z dziećmi i z moim żyjącym jeszcze podówczas ojcem pozostali w Szczecinie, ja natomiast zamieszkałem w »Bristolu«, nie przewidując na razie, że ta prowizorka w pokoju na piątym piętrze przeciągnie się aż do marca roku przyszłego.

40-lecie Marii Dąbrowskiej pomyślane było skromnie, dopiero w dziesięć lat później przydzielono jej jubileusz okazały i szczególnie uroczysty. Na razie najwybitniejsza polska pisarka otrzymała tylko Krzyż Oficerski Odrodzenia Polski, zostało również ustalone, że przemówienia na uroczystości Związku nie wygłosi prezes ZLP, Leon Kruczkowski, ja jako wiceprezes miałem go zastąpić. Nie pamiętam szczegółów. Cały ten wieczór zaczyna się dla mnie i kończy na fatalnym omdleniu. Tłumaczono je prawdopodobnie różnie, prawdy z pewnością nie znał nikt. Przez wiele lat starannie tę prawdę ukrywałem, dopiero gdy się ostatecznie wypłatałem ze stanu magicznego zaczarowania — mogłem mówić o tym zdarzeniu bez uczuć palącego wstydu. Każde odejście, choćby zdecydowane i subiektywnie słuszne, bywa zazwyczaj procesem długim i dręczącym. Myślę, że człowiek dopóty nie jest wyzwolony całkowicie, dopóki wstydy się samego siebie. Wstyd oraz wyrzuty sumienia bywają ostatnim oddechem wiary i miłości. Dopiero pełne zrozumienie własnej klęski uwalnia od wstydu, a wyzwolenie staje się pełne i ostateczne, co wcale nie oznacza, że ów stan jest równoznaczny z samousprawiedliwieniem.

Nie jestem dobrym mówcą, więc jak zawsze, gdy mam publicznie zabrać głos, i tym razem przemówienie miałem napisane. Chyba niedługie: cztery, pięć stron. Z początku wszystko szło dobrze. Katastrofa zaczęła się w momencie, gdy nagle, podniósłszy wzrok sponad kartek leżących na mównicy, zauważyłem, że siedzący obok siebie w pierwszym rzędzie: Janina B. oraz Paweł H., ona sekretarz Podstawowej Organizacji, on kierownik Wydziału Kultury w KC, naraz pochyłają się ku sobie i coś szepczą. Wielki Boże, ileż różnych uwag mogli sobie zakomunikować! Mnie się natomiast wydało, nie! to była pewność, absolutna pewność, iż w tekście, który odczytuję, musiały się znaleźć jakieś błędne sformułowania i tylko one, wyłącznie one mogą być komentowane przez czujnych pedagogów i wychowawców. Przysięgam, że nie myślałem wówczas, iż popełniony przeze mnie błąd ideologiczny może mi zaszkodzić w sensie politycznym. Nie myślałem o własnej pozycji publicznej i ewentualnych konsekwencjach. Odwołałem się z początku

Rozstanie

do słowa: świętokradztwo. Tak, to było w moim ówczesnym odczuciu właśnie to. Nie byłem w stanie uświadomić sobie, na czym mój błąd polega, lecz miałem pewność, że błąd popełniłem. To było straszne. Chyba nigdy w życiu nie przeżyłem podobnie stężonej grozy. I to ona sprawiła, że krew poczęła mi odpływać z głowy, czułem, że bledną i zamieram, krople zimnego potu poczęły mi pokrywać czoło, jeszcze słyszałem własny głos, lecz coraz cichszy i dalszy, coraz bardziej obcy, już do mnie nienależący, ponosiłem słuszną karę za znieważenie wzniesłego tabu.

W wiele lat później, gdy Paweł H. już dawno został usunięty z wszelkich partyjnych stanowisk, opowiedziałem mu to zdarzenie, na pewno zrozumiał, co wówczas przeżyłem, ale nie umiał mi powiedzieć, o czym wtedy z Janiną B. był rozmawiał, zapewnił mnie jednak, że żadnych zastrzeżeń wobec mego przemówienia nie mieli. Może powiedzieli sobie, że na sali jest duszno?

Uprościłbym tamte lata, a i własną historię, gdybym dał do zrozumienia, iż to wydarzenie z listopada '52 roku stało się w moim życiu przełomem. Owszem, leżąc później na hotelowym łóżku, i jeszcze potem, gdy wyjechałem na kilka dni do pustego Nieborowa — zapytywałem samego siebie, co ze sobą dobrowolnie uczyniłem? Wierzyłem jednak dalej, jakkolwiek — to wiem na pewno — nie była to już wiara tak jednolita i czysta, jak przedtem. Coś w tej wierze pękło, zarysowała się szczelina. Czekano mnie jeszcze wiele przeżyć trudnych i pogmatwanych, dopiero we wrześniu roku następnego napisałem zastrzymany wówczas przez cenzurę *Lament papierowej głowy* i dopiero w styczniu roku 1954 nie zgodziłem się na wyjazd do Szczecina, gdzie miałem zostać wybranym delegatem na Zjazd Partii. Powoli, prawie po omacku odzyskiwałem wolność. Lecz cokolwiek działo się później, źródła różnych moich decyzji i kroków sięgają do tamtego wieczoru, kiedy omdlałem, owładnięty sakralną grozą i strachem świętokradcy. W sensie pedagogicznym był to dobry wieczór”.

SOBOTA, 27 CZERWCA

Janusz dostał się do Liceum Księgarskiego. W poniedziałek ma jechać nad morze, do Janków A. Charakterystyczne: na dostaniu się do liceum bardzo mu zależało, denerwował się okropnie, lecz teraz, gdy się dowiedział, że wyjazd jego przyjaciela, Waldka, napotyka na pewne trudności — przygnębienie Janusza z powodu tego zawodu wydaje się nieporównanie większe od radości ze zdanych pomyślnie egzaminów.

Gdy na wadze złożone zostaną wiedza i zwątpienie — szala ze zwątpieniem jest cięższa: pragnienie waży więcej niż jego realizacja, lecz gdy szala rozpaczy wznosi się ku górze — szala z nadzieją powinna być bardzo ciężka.

12.

Halina Ferens-Czaplicka u matki, w jej mieszkaniu na Osiedlu Mariensztackim, pierwszym (jeszcze w roku 1949) warszawskim osiedlu mieszkaniowym wybudowanym po wojnie, więc dzisiaj bardzo już staroświeckim, z mieszkaniem ciasnymi i dość mrocznymi, zwłaszcza gdy mieszczą się na parterze, jak dwupokojowe mieszkanie Emilii Czaplickiej.

Emilia pokazuje córce trochę już podniszczony zeszyt złożony z pięciu kartek grubego, czerpanego, kremowego papieru i okładki z kremowego kartonu, związanych zielonym kordonkiem. Na zewnętrznej stronie okładki dedykacja niebieskim atramentem „Milej Joasi Perłowskiej ofiarowuje w dniu imienin Krzysztof Czaplicki”. Na pierwszej, nienumerowanej kartce — imię i nazwisko autora, tytuł tomiku: 3 wiersze, a u dołu stronicy: „1942. Wydano w 1 egzemplarzu na papierze czerpanym. Przepisał autor”.

Ten zeszytek sprzed lat prawie trzydziestu Emilia Czaplicka otrzymała przed paroma dniami wraz z listem od Joanny Golde, w którym dawna Joasia Perłowska pisze, że przez długie lata przechowywała tę pamiątkę po Krzysiu, z którym kolegowała na tajnych kompletach uniwersyteckich, teraz jednak, gdy okoliczności zmuszają ją do wyjazdu na stałe z Polski, uważa, że zeszytek powinien pozostać w kraju, przekazuje go zatem matce poety.

W pewnym momencie Emilia: wiesz, Halinko, ja już nie pamiętam twarzy Krzysia, pamiętam go tylko z fotografii... i głosu jego nie słyszę.

13.

Podwieczorek u Panków, ale podwieczorek tylko z nazwy, ponieważ Pankowa, chcąc upłynnić bodaj część zapasów przygotowanych na przyjęcie, podała tartinki i alkohol. Oboje starzy, Monika oraz brat Zofii Pankowej, prałat Stanisław Motyl, który na życzenie siostry przyjechał z Opoła, aby swojej siostrzenicy udzielić kościelnego ślubu.

Monika ma wszelkie powody, aby czuć się w pełni usatysfakcjonowana: na jej kategoryczne żądanie ojciec jeszcze przed południem skomunikował się osobiście ze Stefanem Raszewskim i uzyskał od niego solenną obietnicę, że paszport Monika będzie mogła odebrać w poniedziałek. Bilet lotniczy do Rzymu został zarezerwowany we wtorek. Sprawę przeniesienia Moniki do Teatru Ludowego też załatwiono od ręki, dzięki paru telefonom Ministra Kultury i Sztuki.

Pod wieczór budzi Nagórskiego z ciężkiej drzemki telefon.

NIKE

To ja, dobry wieczór.

W pierwszej chwili chce bez słowa odłożyć słuchawkę, lecz nie czyni tego.

NAGÓRSKI

Gdzie jesteś?

NIKE

Chcesz, żebym przyjechała?

NAGÓRSKI

A gdzie jesteś?

NIKE

Daleko.

NAGÓRSKI

Gdzie?

NIKE

Jeżeli wezmę taksówkę, mogę być za kwadrans.

NAGÓRSKI

Myślisz, że to ma sens?

NIKE

Mogę przyjechać autobusem. Tylko, czy chcesz mnie widzieć?

NAGÓRSKI

Jest ci źle?

NIKE

Nie, dlaczego miałoby mi być źle?

NAGÓRSKI

Zwykle odzywałaś się po rozstaniach, kiedy było ci źle.

NIKE

Teraz nie. A może? Może trochę. Ale nie dlatego dzwonię.

NAGÓRSKI

I po tygodniu znów się pokłócimy?

NIKE

Nie wiem, może. Ale nie chciałabym.

NAGÓRSKI

Teraz.

NIKE

Mam przyjechać?

NAGÓRSKI

po chwili milczenia

Tak, Kocham cię.

Problemy Adama Nagórskiego:

1) powiedziała, że dzwoni z daleka, skąd? z Mokotowa, z Bielan? może spoza Warszawy? od kogo? to nie był telefon z ulicznej budki telefonicznej, powiedziała prawdę, że może przyjechać taksówką? pewnie ją ktoś odwiezie prywatnym autem, ale nie warto wychodzić przed dom, aby sprawdzić, bo jeżeli ją ktoś odwozi, zatrzyma się na pewno nie przed domem, ale gdzieś w okolicy Rynku, nigdy się nie dowiem, jak było naprawdę.

2) na kolację: anchois z kaparami, zostały jeszcze oliwki faszerowane papryką (dolarowy import), trochę młodej rzodkiewki, indyk na zimno, prawie cały tort orzechowy, szampan, wszystko dzięki temu, że małżeństwo Konrada nie spełniło się, a co tutaj się spełnia czy nie spełnia?

3) jestem spocony i zmęczony, będę musiał wziąć tusz, powinienem zrobić to teraz, ale mogę nie zdążyć, zresztą to niepotrzebne, zdążę, nim pójdzie do łóżka, będzie pół godziny leżeć w gorącej wannie, i kiedy się położy przy mnie naga, jej skóra będzie bardzo ciepła i jeszcze cokolwiek wilgotna, wtedy, gdy po raz pierwszy powiedziała: cieszę się, że mnie masz, też miała taką rozgrzaną skórę i kruchą wilgoć na brzuchu i plecach.

4) list tego chłopca (ze Stefanem Raszewskim chyba nie ma nic wspólnego?) bardzo ładny, prawie wzruszający, ciekawe, co tam napisał?

5) Co za dziwny dzień!

15.

Tak gdzieś trochę po siódmej (wciąż wiatr i wilgotny śnieg, na trotuarach błoto) Zygmunt Raszewski po zebraniu swojej Organizacji Partyjnej, w drodze powrotnej do domu (mieszka na Muranowie), chcąc coś zjeść w barze mlecznym w sąsiedztwie placu Dzierżyńskiego, stoi chwilę przed czerwonymi światłami na placu i czując nagle, jakby mu przez wnętrze głowy przeszła ciemna fala, niepewność własnych ruchów — stoi dalej bezradny, na skraju trotuaru, gdy zapalają się światła zielone, wreszcie z tym mrocznym i coraz natarczywiej głośniejszym zamętem, ostrożnie, jakby szedł wąską ścieżynką wśród przepaści, przechodzi lekko się zataczając na drugą stronę, odległość, jaka go od mlecznego baru dzieli, nie jest duża: sto najwyżej kroków, lecz jemu wydaje się przestrzenią nie do przebycia, zatrzymuje się więc na środku chodnika i wówczas zauważa go Julia Singer, która też wraca do domu, zmęczona i przygnębiona ogromem dużych i małych spraw, które ma do załatwienia w związku ze zgodą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na jej podanie o uzyskanie zezwolenia na emigrację.

Julia Singer i Zygmunt Raszewski nie widzieli się od dawna, lecz znają się jeszcze z lat trzydziestych. Stary Raszewski orientuje się w ostatnich przejściach Julii. Poznaje ją ostatkiem zanikającej przytomności, chce się uśmiechnąć, chce powiedzieć, że się z nią solidaryzuje — — — — —

WTOREK, 30 CZERWCA

Prawie krok od końca. Liczyłem, że jutro, najdalej pojutrze dobrnę do tej ostatniej kropki, to znaczy do tego zapapanego świtu w Jabłonie, gdy przed frontem pałacyku bawią się członkowie Bractwa Żółwiowego i chyba tańczą kozaczoka, właśnie wchodzącego w modę w roku ubiegłym. Ale generalny remont naszej kamienicy, który już trwa od kilku tygodni, jutro wkracza do naszego mieszkania, na razie ograniczony do wymiany całego centralnego ogrzewania, więc kucie ścian, sufitów i podłóg we wszystkich pomieszczeniach, ma to trwać dwa, trzy dni. Udało mi się, na szczęście, dostać od jutra pokój w Bristolu.

ŚRODA, 1 LIPCA

Po kilkudniowych upałach gwałtowne ochłodzenie i od rana ulewny deszcz. Kują już pod naszym mieszkaniem i odgłosy wiertniczych świrdrów kojarzą się z dentystycznym żądłem warczącym w ustach Gargantui. W południe, z torbą i maszyną do pisania przeniosłem się do „Bristolu”.

WTOREK, 7 LIPCA

Wczoraj wróciłem do domu, jednak cały tydzień stracony, w hotelu praca mi nie szła, kilka stron napisanych wyrzuciłem do kosza. Ciężki kłopot ze sceną śmierci starego Raszewskiego. Dialog Stefana Raszewskiego z umierającym ojcem wyszedł sztucznie, chyba należy zrezygnować z dawnego pomysłu, że stary Raszewski przed śmiercią oddaje synowi partyjną legitymację. Także notatki do projektowanego dialogu na ulicy pomiędzy Zygmuntem Raszewskim i Julią Singer chyba niepotrzebne.

Szpital (może Przemienienia Pańskiego na Pradze?). Prawie panika wśród personelu, gdy się okazuje, że starzec w agonii (wylew krwi do mózgu), przywieziony karetką Pogotowia, jest ojcem sekretarza Komitetu Centralnego. Telefony. Zaalarmowany naczelny dyrektor szpitala. Z separatki pośpiesznie zostaje usunięty dogorywający na uremie słynny u schyłku lat czterdziestych przodownik pracy, murarz warszawski, odznaczony najwyższym orderem: Budowniczego Polski Ludowej. Stefan Raszewski jest domu i natychmiast przyjeżdża. Stary Raszewski jest częściowo sparaliżowany, lecz przytomny.

OJCIEC

Stefek...

SYN

Jestem, tato.

OJCIEC

Ciężko mi mówić...

SYN

Nie męcz się, tato.

OJCIEC

Powiedz... pomyliliśmy się?

SYN

po chwili

Tato, myślisz, że mi jest dobrze?

OJCIEC

Pomyliliśmy się.

SYN

Ja się też męczę, tato.

OJCIEC

Ludzie się przez nas męczą, synku. Wszyscy się pomyliliśmy — — — — —

Poprawiałem *Życiorysy* przepisane na czysto. Zmęczenie, niezadowolenie, dużo troski w związku z myśleniem o przyszłości.

16.

Zgodnie z informacją na zaproszeniach na wieczorne przyjęcie w Jabłonie, o godzinie dwudziestej na placu Zamkowym oczekuje gości duży, wycieczkowy autokar „Orbisu”. Sprawność organizacyjna Bractwa Żółtowego zdała świetnie egzamin: około sześćdziesięciorga członków i członkiń „Bractwa” stawilo się punktualnie na miejscu zbiórki.

Przybywa również mała grupka owych „nienadążających za życiem”, jak się w rozmowie z Konradem Kellerem wyraził Łukasz Halicki; są to zasłużeni i leciwi weterani sceny, którzy na skutek nieprzyjaznych warunków atmosferycznych zrezygnowali z udania się na któryś z dwóch zapowiedzianych obrządków zaślubin, nie mogli sobie przecież odmówić, żeby nie skorzystać z zaproszenia na przyjęcie w Jabłonnie. Znalazłszy się w autokarze, są cokolwiek zdziwieni, nie odnajdując wśród zebranych ani jednej twarzy znajomej, a czują się także trochę stropieni, że weselni goście są tak bardzo młodzi, mniej niż trzydziestoletni. Chociaż jak wszyscy przy zajmowaniu miejsc w autokarze pokazywali zaproszenia, jeden z aktorów, amant z lat trzydziestych, chcąc się upewnić, czy się znaleźli we właściwym autobusie, zwraca się z zapytaniem do jednego z młodych ludzi. Ależ tak! — uspokaja go uprzejmie Andrzejek Wąjs — autokar jedzie do Jabłonny, a większość obecnych, w tej liczbie i on sam, zawdzięcza zaproszenie na weselne przyjęcie niezwykle demokratycznym obyczajom ojca panny młodej, prezesa Państwowego Instytutu Prasowego, Leopolda Panka, który do swoich pracowników, szczególnie młodych i na niższych stanowiskach, żywi uczucia prawdziwie ojcowskie, w zamian za co i oni obdarzają go wielkim szacunkiem i przywiązaniem, są też szczerze wzruszeni, że będą mieli okazję wziąć udział w przyjęciu tak uroczystym, wśród tylu znakomitości, jest to jeszcze jeden dowód, jak wiele, a właściwie wszystko zawdzięczają — oni młodzi — Polsce Ludowej, socjalizmowi oraz sojuszowi z bratnim Związkiem Radzieckim, który jest gwarantem naszego wszechstronnego rozwoju oraz przodującą siłą postępowej ludzkości w jej walce z imperializmem... Stary aktor wysłuchuje tego żarliwego przemówienia z kamienną twarzą, wreszcie dziękuje dość chłodno i wyniośle za informacje, po czym nachyliwszy się ku swoim koleżankom i kolegom mówi na donośnym, scenicznym szeptcie: uważajcie, to komuniści.

Natomiast w ostatniej chwili przed odejściem autokaru zjawia się na placu Zamkowym Maciej Zaremba w rozpiętym kożuchu i z gołą głową, wypoczęty i odmłodzony, dokładnie cały dzień przespał u siebie w domu, budząc się co kilka godzin tylko po to, aby włączyć telefon i dowiedzieć się w szpitalu, czy Tomasz już się urodził, pojęcia zatem nie ma, jak nieprzewidziane wydarzenia miały miejsce w ciągu minionych godzin.

17.

O tej samej mniej więcej porze, w hotelowym barze Bristolu, Marek Kuran, zresztą doskonale zorientowany, że do ślubu Konrada z Moniką nie doszło, namawia większe towarzystwo (dwóch zaprzyjaźnionych play-boyów, młody krytyk literacki oraz dwie dziewczyny z Akademii Sztuk Pięknych — jedna z nich to przyrodnia siostra Andrzeja Wąjsa, Krysia Formińska) na jazdę do Jabłonny. Lekko podpici ruszają spod „Bristolu” dwoma autami.

Przy skręceniu z Krakowskiego Przedmieścia w Miodową (wciąż popada w wilgotny śnieg i jest bardzo ślisko) pod auto, którym jedzie Marek Kuran, omal nie wpada pijany mężczyzna w średnim wieku. Kuran natychmiast z auta wyskakuje, podnosi człowieka leżącego na skraju trotuaru (również jego teczkę, typową dla ludzi podróżujących na delegacji) i dostrzegłszy w głębi Miodowej dwóch milicjantów szybko wciąga ofiarę wypadku do wnętrza samochodu. Nie zdążymy zwać — mówi play-boy przy kierownicy, widząc, że milicjanci przyspieszają kroku. Refleks Marka Kurana jest błyskawiczny. Zdążył już stwierdzić, że potrąconemu mężczyźnie nic się nie stało. Więc znów wyskakuje z auta i podbiega do nadchodzących milicjantów, obaj są bardzo młodzi, najwyżej dwudziestoparoletni. Marek, uruchamiając wszystkie zasoby swego wdzięku, bez zdenerwowania opowiada, o co chodzi: właśnie jadą, to znaczy on (dokładnie podając swoje personalia) i para jego przyjaciół (córka prezesa Radia i Telewizji), na przyjęcie do Jabłonny. Do Jabłonny? Tak, do Jabłonny, na przyjęcie weselne córki prezesa Państwowego Instytutu Prasy, Leopolda Panka, może panowie słyszeli? Córka prezesa Panka, znana aktorka, pani Monika Panek, wyszła dzisiaj za mąż za Konrada Kellera, tak, tego sławnego aktora. Surowe twarze młodzieńskich milicjantów lekko łagodnieją. Więc Kuran dalej: tymczasem wydarzyła się bardzo przykra rzecz, panowie byli świadkami, chociaż z daleka, miał z nimi jechać brat prezesa Panka, przyjechał na ślub z prowincji, zawieruszył się im gdzieś przed godziną, szukali go po mieście, musiał pewnie wstąpić do któregoś z barów na Starym Mieście, cud, że nie wpadł pod auto, niemniej on, Marek Kuran, i we własnym imieniu,

i w imieniu przyjaciół bardzo by był wdzięczny, gdyby któryś z panów osobiście zechciał stwierdzić, że brat prezesa Panka nie został w tym przykrym wypadku poszkodowany, wszyscy będą spokojniejsi, jeśli ktoś z zewnątrz wyda kompetentną w tym względzie opinię.

Obaj milicjanci, już zupełnie rozluźnieni i trochę nawet rozbawieni, podchodzą w towarzystwie Kurana do auta. Grzecznie salutują. Pijany mężczyzna, rozwalony na tylnym siedzeniu, mamrocze coś bez związku, łatwo przecież poznać, że poza stanem opilstwa nic mu nie jest. Wszystko w porządku! Obywatel brat prezesa nieźle sobie dogodził? Niestety, pokusy stolicy! Ale jest nadzieja, że po drodze wytrzeźwieje, szybciej się trochę uchyli. Tak, świeże powietrze na pewno dobrze obywatelowi bratu zrobi. Przyjemnej zatem zabawy dla państwa. Wówczas Kuran z cokolwiek nieśmiałym uśmiechem: bardzo panów przepraszamy, ale gdyby panowie nie byli związani służbą... okazuje się, że obaj właśnie służbę zakończyli. Kuran z radosną przyjaźnią: no właśnie! To świetnie się składa, gdyby panowie zechcieli z nami pojechać, prezes Panek będzie na pewno szczęśliwy, jeśli będzie mógł panom osobiście podziękować za okazaną nam pomoc, zmieścimy się wszyscy, będzie nam trochę przyciasno, ale ostatecznie do Jabłonny, to jeden skok... Chłopcy (bo w nowo wytworzonej sytuacji stali się tymi, którymi są autentycznie) spoglądają po sobie niepewnie, czuje się, że mają wielką ochotę skorzystać z tak niebywałego zaproszenia, lecz też się wyczuwa, że każdy z nich łatwiej by powziął decyzję, gdyby był sam.

MILICJANT I

Nie wiem, czy nam wypada...

Marek Kuran miałby ochotę powiedzieć: „nie szkodzi, potem wam same wypadną”.

KURAN

Zabawić się? Po służbie?

MILICJANT II

Widzi pan, zabawa i zabawa...

MILICJANT I

Właśnie, kolega słusznie mówi, my się lubimy zabawić, czemu nie?

KURAN

No więc?

MILICJANT II

Pan jest inteligentny obywatel, to pan na pewno wie, jak u nas różni ludzie na MO patrzą.

KURAN

Jezus Maria, chłopcy! Pewnie, że wiem. Ale co to ma do rzeczy? Gadacie, jakbyście w kapitalistycznych czasach żyli. Kto miałby na was patrzeć źle? Towarzysze z Komitetu Centralnego i z Rządu? Artyści? Kto, jak nie wy, jest podporą naszej ojczyzny?

MILICJANT II

Faktycznie.

KURAN

Kryśka, może ty ładniej niż ja potrafisz panów zaprosić?

KRYSTYNA FORMIŃSKA

Nie wiem, czy ładniej, ale proszę.

KURAN

Słyszycie? Ładna dziewczyna prosi, córeczka prezesa Radia i Telewizji.

MILICJANT II

Prezesa Formińskiego?

KURAN

Słyszysz, Kryśka, jak twój papa jest znany?

PLAY-BOY

Słuchajcie panowie, nie możemy się zanadto spóźnić!

MILICJANT II

No, Krzysiek?

MILICJANT I

Jak uważasz.

MILICJANT II

Co, jak uważasz? Co za mowa? Ciebie pytam.

MILICJANT I

Żeby potem nie było wszystko na mnie.

KURAN

Jakie potem? Chłopaki! Rozkaz: okupować wnętrza gabloty, bratu prezesa zrobić powietrze i w drogę!

MILICJANT II

już całkiem rozluźniony

Tak jest, obywatelu literacie. Ładuj się, Krzysiek, porządek musi być, nie?

ŚRODA, 8 LIPCA

Upał. Zastanawiające: jeszcze przed paroma laty i od dość dawna potrafiłem pracować tylko poza domem, teraz tylko w domu. Potrzeba dobrowolnie przyjętego rygoru, który chroni od niedorzecznych pokus, choć upragnionych? Potrzeba ograniczenia? Nie umiem na te pytania odpowiedzieć. Zresztą nie mam czasu, aby na nie odpowiadać. Nikt w *Miazdze* podobnych problemów nie posiada. Nagórski tonie, ponieważ posiada nazbyt wielką wolność osobistą.

Po całym dniu pracy doprowadziłem do sceny, w której Łukasz Halicki ma powitać w hallu pałacyku w Jabłonie przybywających gości (?). Więc, jak przed tygodniem, parę zaledwie kroków od końca. Wątpliwości? Wciąż je mam, wciąż mnie oplątują i oblegają, czasem w stopniu tak nasilonym, iż w momentach przygnębienia wszystko, co w takim trudzie, rozeznaniu i zabląkaniu napisałem w ostatnich siedmiu latach wydaje mi się suche jak patyk i zaciśnięte jak krtań historyka. Zdaję sobie jednak sprawę, że mimo tych dokuczliwych, komplikacji — z większą ulgą i nadzieją przybliżałbym się do końca, gdybym wiedział, że moja książka będzie się mogła ukazać w kraju. A okolicznościach, które przyjąłem dobrowolnie i równie dobrowolnie podjąłem, ów koniec ma jednak dla mnie ciężar głazu. W wyborach trudnych prawie zawsze się lęgnie świadomość klęski. Zwycięstwo? Może, kiedyś potem? Ale nie żyję — bo jakżeż bym mógł żyć? — „na potem”. Żyję tu i teraz.

Zakresy naszej cenzury. Przed kilkoma dniami opowiadał mi ktoś z Filmu (z produkcji), że ostatnio odbyła się ocena jednego z ukończonych filmów długometrażowych, w kolegium zasiadało paru wysoko postawionych członków aparatu partyjnego i to oni uznali po projekcji, że film będzie mógł zostać oddany do rozpowszechnienia, ale po dokonaniu pewnych skrótów. Niewybredna, choć stara zabawa w salonowca, która polega na tym, że wybrany według losowania podmiot zabawy musi na ślepo odgadywać, kto go bije w tyłek. Scenę salonowca w tym filmie zakwestionowano, uzasadniając decyzję stwierdzeniem, iż oglądając na ekranach podobną sekwencję publiczność mogłaby pomyśleć, iż to ją biją po tyłkach. Druga scena więcej niż wątpliwa: śpiewanie tradycyjnego w Polsce przy rodzinnych i przyjacielskich uroczystościach: „Sto lat, sto lat, niech żyje nam...”. Stwierdzono, że ta familiarna pieśń mogłaby się widzom filmowym skojarzyć z Październikiem, ponieważ właśnie w owym czasie, gdziekolwiek się Władysław Gomułka pojawiał publicznie — ludzie śpiewali mu: „Sto lat...”.

Myślę niekiedy z prawdziwym żalem, że w naszym aparacie partyjno-rządowym działa ogromna ilość ludzi inteligentnych i bystrych, i tylko ogólna sytuacja (do której utrwalenia się przyczyniają) uniemożliwia im wykorzystanie swoich najlepszych kwalifikacji dla dobra społecznego, przeciwnie: właśnie najlepsze uzdolnienia i rozeznanie oddają w służbę najciemniejszej reakcji. Posiadają świadomość, że to jest reakcja? Podejrzewam, że tak.

Władza, Niewola

Lecz równocześnie podejrzewam, że ich konflikty, jakie z podobnych sprzeczności powinny wyniknąć, są o wiele poniżej miary konfliktu. I to, chyba, jest najstraszniejsze; ta lekkość przynależenia i osądzania, ta lekkość rezygnacji z siebie, lekkość wynikająca z potrzeby, żeby zawsze być na górze, u władzy, deprawuje jednostkę ludzką w sposób nieodwracalny. Nieuleczalne, podziurawione, pocięte i zardzewiałe nie do naprawienia wraki. Znajdując się w sytuacji, która mnie nie zmusza do podobnych koncesji — mam prawo osądzać ludzi, którzy tym koncesjom podlegają? Według mojego rozeznania moralnego praw takich nie posiadam i posiadać nie mogę. Nie mogę rzetelnie odpowiedzieć, kim byłbym, gdybym nie posiadał moich rezerw. A one — czy są wyłącznie zasługą moją? Nie jestem tego pewien. — Więc czyją? Nie wiem. Może narodu?

18.

Miało być:

„...więc już owemu momentowi, gdy pomiędzy godziną 20:30 a 21:00 zajeżdżać będą w smugach reflektorów przed pałac w Jabłonie rozliczne auta i limuzyny i z ich wnętrza na gęstą zawieję, wirującą przy podmuchach wichury w nieco nierzeczywistym poblasku latarni wyodrębniających z ciemności fronton pałacyku oraz podjazd na podobieństwo trochę niedbale ustawionej dekoracji, wychodzić będą zaproszeni, aby natychmiast w nieskoordynowanym popłochu dopaść wnętrza, jednak też natychmiast ze wszystkich stron oblepieni mokrym śniegiem, a od skrawka ziemi, który będą musieli pieszo przebyć i od kamiennych stopni zagrożeni zdradziecką gołoledzią, więc w ostatecznym efekcie cokolwiek zadyszani i przepłoszeni, niezupełnie pewni swych koafiur i obuwia, o tak, o tak! niewątpliwie tym chwilom wieloinstrumentalnej uwertury, w warunkach, jakie zgotowała przewrotna natura, odjęta zostanie owa radosna lekkość, której wszystkim przybyszom aż w nadmiarze użyczylby ciepły i wschodzącym księżycem rozjaśniony wieczór majowy; nieco później, gdy rozświetlone kryształowymi żyrandolami sale wchłaniać będą weselników i ogarniać ich przyjaznym ciepłem, jasnością i gwarem, a długie stoły, pełne zimnych mięs, ryb, sałatek, sosów, wiosennych nowalijek i przemyślnych zakąsek, sporządzonych w podziemnym królestwie mistrza Kubickiego, użyczą tłumnie się gromadzącym wokół jadła i napojów wspomagających kalorii — skażony w swym kształcie moment towarzyskiej uwertury szybko zostanie zapomniany, więc zanim się w te pożywne sfery czasu przyszłego niedokonanego ufnie zanurzmy, wypada choćby z kronikarskiego obowiązku wspomnieć, że ze względu na wiadome warunki atmosferyczne nie najlepiej chyba wypadnie również i scena od dawna, choć w tajemnicy opracowana przez prezesową Panek, mianowicie powitanie nowożeńców przez rodziców Panny Młodej, powitanie w pałacowym hallu chlebem i solą złożonymi na srebrnej tacy, specjalnie w tym celu zakupionej w Desie, a sprzedanej przez pewnego arystokratę skoligaconego dość blisko z ostatnimi właścicielami Jabłony, skomplikowane procesy myślowe doprowadziły eks-ambasadorową w Holandii do decyzji, aby dla wyeksponowania owej starej, ludowej tradycji wybrać nie dom własny, gdy państwo młodzi przybyli zaraz po ślubie w kościele św. Marcina, lecz pałac w Jabłonie, należy przypuszczać, że Monika, która nie lubi sytuacji nieprzewidzianych, bowiem w teatrze podobne sceny nie istnieją, a poza tym płatki śniegu będą jej topnieć na czole, rzęsach i policzkach, więc nie będzie szczególnie wzruszona ani zachwycona tą formą powitania, również faktem, że w pustym na razie hallu i ona z mężem, a zwłaszcza jej rodzice znajdą się pod obstrzałem spojrzeń beczynnych na razie szatniarzy, lecz z drugiej strony Pan Młody z pewnością umiejętnie — — — — —

— Moje dzieci... — powie prezesowa, a jeśli nie dosłownie tak, to coś w tym rodzaju.

Na to Monika:

— Och, mamo! Naprawdę jesteś wspaniała i wzruszająca, ale pozwól, że zanim się pożywimy, pójdziemy jednak do szatni.

Wówczas Pan Młody do obojga teściów:

Udziałem Waszej Miłości przyjmować
Naszą powinność. A nasza powinność
Jest wobec tronu i państwa jak dziecko,

Jak sługa, który, czyniąc to, co chroni
Waszą Cześć, Waszą Miłość — czyni tylko
To, co mu każe obowiązek.

Po czym najpewniej sięgnie po kromkę spoczywającą skromnie w cieniu rumianego bochenka, poda ją oblubienicy do przełamania i nie jest wykluczone, że chcąc się utrzymać w podjętej konwencji, powie na swoim słynnym szepcie:

Pozostań niewinna
Poprzez niewiedzę — najdroższe pisklątko,
Póki czynowi temu nie przykłaśniesz”.

CZWARTEK, 9 LIPCA

Wstałem o pół do ósmej, więc straciłem okazję, żeby powietrze wczesnego ranka trochę ochłodziło pokój. Wciąż nasilający się upał. Dopiero przepisując fragment z pierwszych stron *Miazgi*, uświadomiłem sobie, jak ogromna przestrzeń czasu i nie tylko czasu oddziela mnie od początków. Prawie takie uczucie, jakbym przepisywał kogoś obcego.

wieczorem

Mało co zrobiłem przez cały dzień, zbyt gorąco, zbyt duszno, dla zmęczenia taki upał stanowi pożywkę, dla zmęczonego — stan krańcowej bezsilności. Dopiero pod wieczór parogodzinna burza z ulewą odświeżyła trochę powietrze.

Różne lektury. Ale żadna na dłużej.

Z *Pamiętników* Saint-Simona (opis zburzenia Port-Royal): „Przysięgać na Boga i duszę, że wierzy się w pewien stan faktyczny, w który uwierzyć się nie da, wydawało się wszystkim ludziom prawym — zbrodnią”.

Z listu Flauberta do Wawrzyńca Pichat (z XI 1856): „Sztuka nie wymaga ani pobłażliwości, ani grzeczności, jedynie wiary, zawsze wiary i wolności”.

19.

A jest:

„Gdy przed fronton pałacyku w Jabłonnice zajeżdża autokar »Orbisu« — pierwszy z niego wyskakuje (najlepszym swym skokiem z czasów *Natchnienia światła*) Maciej Zarembo. U wejścia do rzęsiście oświetlonej sali z kopułą niebiańską u wysokiego stropu oczekuje gości Łukasz Halicki (z kaduceuszem? chyba nie, może później?). Sprzeczne uczucia Zaremby w stosunku do Halickiego: lubi go i ceni, lecz równocześnie zazdrości autentycznej młodości. Teraz jednak jest w zbyt dobrym humorze, aby dostrzegłszy Łukasza, nie przywitać się z nim natychmiast.

ZAREMBA

Cześć, stary! Cieszę się, że cię widzę, państwo młodzi jeszcze nie przyjechali?

HALICKI

trochę podejrzliwie

To nic nie wiesz?

ZAREMBA

Że co? Słuchaj, stary, masz pojęcie? Mój Tomek rodzi się już od przeszło trzydziestu godzin.

HALICKI

To źle czy dobrze?

ZAREMBA

Cholernie dobrze! Najpierw się martwiłem, bóg wie co sobie myślałem, ale jedna z siostrzycy uspokoiła mnie, wiesz co powiedziała? Że z krótkiego porodu dzieci są przeważnie słabe, rozumiesz? Zobaczysz, mój Tomek będzie ważył przynajmniej z pięć kilo, Herakles! Poczekaj, zrzucę tylko kozuch, strasznie tu gorąco.

Tymczasem członkowie Bractwa Żółwiowego poczynają wypełniać pałacową sień. Dostrzegłszy Andrzeja Wajsa (zna go bardzo dobrze), Halicki od razu orientuje się, że coś jest nie w porządku.

WAJS

Cześć, Łuka! Gdzie są państwo młodzi?

HALICKI

Kto są ci wszyscy?

WAJS

Ci? Towarzysze delegaci, chcieliśmy w imieniu różnych instytucji złożyć życzenia prezesowi PIP-u.

HALICKI

No, no!

WAJS

Wyższe sfery jeszcze nie przybyły?

HALICKI

Owszem, w komplecie. Masz je przed sobą.

WAJS

Łuka, to wszystko jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, zaczynam wierzyć w socjalizm. Moi koledzy, a zwłaszcza koleżanki, będą zachwyceni, że poznają cię osobiście.

HALICKI

Dziękuję w imieniu „*non consummatum*”.

WAJS

No właśnie! Ciekawa historia, wiesz, o co poszło?

HALICKI

Andrzeju, ja jestem tylko Hermesem.

Niebawem tamte dwa auta. Facet, który omal nie wpadł pod samochód, otrzeźwiało na tyle, iż może się utrzymać na nogach (nieco później okazuje się, że jest to bawiący w Warszawie na delegacji kierownik wydziału propagandy Komitetu Powiatowego w jednym z miasteczek na Pomorzu Szczecińskim, miał wracać do siebie nocnym pociągami). Natomiast nieźle podpici są obaj młodzi milicjanci, zanim wyruszą do Jabłonny, roz-tropny Marek Kuran podskoczył do Delikatesów na placu Zamkowym, zaopatrzył się w butelkę „Pejsachówki” (75%) i po drodze zdążył obu chłopców uodpornić na ich skon-taktowanie się z rzeczywistością oczekującą w Jabłonnie.

Grupka podstarzałych aktorów coraz bardziej zdziwiona i przepłoszona, choć trochę ich uspokaja więcej niż grzeczne powitanie ze strony Łukasze Halickiego.

KRYSIA FORMIŃSKA

Serwus, Jędrzek! Popatrzcie, gdzie się rodziny nie spotyka?

ANDRZEJ WAJS

Nie gdzie, a po co?

KRYSIA FORMIŃSKA

Wiesz, co ty jesteś? Świnia, i do tego cholernie staromodna. Papy nikt ci nie każe lubić, ja też za nim nie przepadam, ale do mamy mógłbyś się czasem odezwać.

ANDRZEJ WAJS

Rodzinna scena?

KRYSIA FORMIŃSKA

Głupi jesteś albo głupiego udajesz.

ANDRZEJ WAJS

To nie jest sprawa głupoty czy mądrości, miła siostrzyczko. Ja po prostu serca nie mam.

KRYSIA FORMIŃSKA
Zgrywasz się!

ANDRZEJ WAJS
Konstytucja nie zabrania.

KRYSIA FORMIŃSKA
Ale po co?

ANDRZEJ WAJS
A po co gówno śmierdzi, a róża pachnie? Ty się nigdy nie zgrywasz?

KRYSIA FORMIŃSKA
Stuknij się! Ja siebie zanadto cenię, żeby się zgrywać.

ANDRZEJ WAJS
To kłamiesz.

KRYSIA FORMIŃSKA
Oczywiście. Jeżeli mi jest wygodnie, to kłamię. Ale to jest co innego.

Toast Łukasza Halickiego w okrągłej sali pod niebiańską kopułą, gdy się już wszyscy goście zgromadzili:

— Szanowni państwo! Pewne okoliczności nieprzewidziane sprawiły, iż pani Monika Panek oraz pan Konrad Keller polecili mi, abym w ich imieniu powitał państwa oraz przeprosił, iż są nieobecni, nie mogąc się tym samym podjąć zaszczytnych i miłych obowiązków gospodarzy — (tylko wśród aktorów starych poruszenie) — Niestety, gospodarzami w dniu dzisiejszym być nie mogą, ponieważ, to również polecili mi państwu oznajmić, małżeństwo ich na skutek obopólnego porozumienia zostało odwołane. Nie spełniło się. *Non consummatum*. Ponieważ jednak w czasowniku „spełnić” i w jego formie rzeczownikowej „spełnienie” kryją się tak wieloznaczne treści, wśród nich i smutek wynikający z krańcowego wypełnienia i ostatecznego zakończenia, iż nie wydaje się, aby nie pokrępił nas na duchu i ciele toast wzniesiony za wszelką pomyślność niespełnienia

— — — — —

20.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu większość gości przenosi się niebawem z apartamentów do piwnicy, tej z częściowo zachowanymi dekoracjami malarskimi Antonia Tavellego z drugiej połowy XVIII wieku (w sali okrągłej na filarze wymalowano wśród trzciny i drzew na brzegu wody satyra goniącego dwie kąpiące się nimfy, a po przeciwnej stronie — dwa łabędzie. Arkady przyścienne i ściany pokryte są malowidłami pejzażowymi z bardzo różnymi drzewami liściastymi i szpilkowymi. Wśród tych widoków rozróżnić można: krajobraz widoczny przez otwór w malowanej skale, pola i wioskę w obramowaniu z drzew liściastych, dwie kozy przed chatką krytą strzechą, staw, w którym odbijają się budynki nadbrzeżne, i w głębi zameczek, akwedukt antyczny, kanał z mostkiem i na nim łódź oraz mury kamienne z roślinami w szczelinach).

Za barem, oczywiście, Edward Kubiak. Zespół La Da Co też jest w piwnicy.

KURAN
Napije się pan ze mną, panie Edku, jednego?

KUBIAK
Pan wie, panie Marku, że ja przy pracy nigdy nie piję.

KURAN
Pan nazywa pracą to, co jest tutaj?

KUBIAK
Faktycznie, gdyby nie kilku panów, których mam przyjemność znać, to bym się trochę dziwił.

KURAN

To się pan dziw i wypij. Tu trzeźwym wstęp będzie zaraz wzbroniony.

KUBIAK

Przepraszam, że pytam, pan nie wie, skąd się wzięły te gliny?

KURAN

Ładni Adasie? Moi przyjaciele, poderwałem ich po drodze.

KUBIAK

Pan to jest, panie Marku!

KURAN

Przeważnie nie jestem, ale to na jedno wychodzi. Pijemy?

KUBIAK

Co pan sobie życzy?

KURAN

A pan, panie Edku?

KUBIAK

Mam butelkę Martela, ale na razie schowaną.

KURAN

Ja wolę czystą, pan weź Martela, co mamy sobie żałować. Wesele do dołu. Niech żyje wesele!

KUBIAK

Ja uważam, że pan Keller może sobie powinszować.

KURAN

Myśli pan?

KUBIAK

Pewnie, małżeństwo, to ciężka niewola.

KURAN

Wszystko, panie Edku, jest niewolą.

KUBIAK

Ja rozumiem, ale jest niewola i niewola.

KURAN

To po co się pan żenił?

KUBIAK

Ja wiem? Młody jeszcze byłem, chciałem się ustatkować.

KURAN

Wie pan co, panie Edku? Zamienimy się!

KUBIAK

To znaczy?

KURAN

Pan będzie dzisiaj za gościa, a ja będę barmanował.

KUBIAK

Pan żartuje, praca za barem, to jest ciężka praca.

KURAN

A gościem być, pan myśli, też nie jest ciężka praca?

Jeszcze parę kieliszków i podchmielony Kubiak zgadza się na tę zmianę. Zatem Marek Kuran rzuca marynarkę, podwija rękawy koszuli i uciszywszy zebranych wygłasza

krótkie przemówienie, w którym oznajmia, że na dzisiejszy wieczór regulacją ruchu alkoholowego kierować będzie *Poezja*. Ogólny entuzjazm. Zespół La Da Co wykonuje tusz. Ścisk dokoła baru. Marek Kuran przygotowuje skomplikowane, zdradziecko mocne mieszanki. Niebawem jest mu tak gorąco, iż rozbiera się i zostaje tylko w slipkach. Dla wielu gości staje się to zachętą do mniej lub bardziej posuniętego strip-tease'u. Bardzo chętnie pozbywają się mundurów obaj milicjanci. Nieco później ktoś przynosi z szatni ich czapki, ulegają licznym namowom (m.in. Edka Kubiaka) i całkiem goli wkładają czapki na głowy.

Maciej Zaremba do Łukasza Halickiego:

— Masz pojęcie, stary? Wszystko to sobie zapisałem, mam na karteczce, posłuchaj: co minutę, uważasz? Co minutę rodzi się na świecie 235 dzieci, a umiera tylko 96, to znaczy przyrost naturalny na minutę wynosi 139, a to daje 8 309 na godzinę, 19 945 na dobę, 72 600 000 rocznie, fantastyczne, nie? Ile trzeba, żeby przełknąć jedną wódkę? Dwie sekundy, co? I już się przez ten czas prawie pięcioro dzieci urodziło, cholerna historia...

Potem:

ZAREMBA

Słuchaj, stary, ty wiesz, ja w roku 2000 będę miał siedemdziesiąt jeden lat?

HALICKI

Nie martw się, podciągnę do ciebie.

ZAREMBA

Nie dogonisz.

HALICKI

Podciągnę.

ZAREMBA

Nigdy w jednym zaprzęgu nie pójdziemy.

HALICKI

Ty na przodzie.

ZAREMBA

Wiesz, gdzie mam taki przód? Mój syn w 2000 roku będzie miał trzydzieści jeden.

HALICKI

Nie będę miał dzieci.

ZAREMBA

Nie chcesz?

HALICKI

Wolę auto, auta można zmieniać.

ZAREMBA

Wiesz, co ci powiem?

HALICKI

Czarnego pudła sobie kupię.

ZAREMBA

Słuchaj, stary.

HALICKI

Zabronisz mi?

ZAREMBA

Ech, wy gówniarze!

HALICKI

Ty też nie byłeś w Powstaniu.

ZAREMBA

Ja?

HALICKI

To czego się stawiasz? Tylko grałeś Powstanie!

ZAREMBA

Ale jak?

HALICKI

Ale tylko grałeś, więc znaczy, mogę do ciebie podciągnąć?

ZAREMBA

Podciągaj, ja już jestem wrak. Eryk tylko ciebie widzi.

HALICKI

On jest fajny.

ZAREMBA

Ja dla niego też kiedyś byłem fajny — — — — —

Pijacki monolog partyjnego aktywisty z terenu w obecności Andrzeja Wajsa?

SOBOTA, II LIPCA

Po pracy, pod wieczór, grzebanie się w teczkach ze starymi notatkami. Zamiast tekstu poszukiwanego trafilem m.in. na maszynowy odpis jednego z pierwszych artykułów, jakie napisałem: *Myśli niespokojne*, chyba z roku 1932. Przepisuję pierwszy rozdziałek:

„Sokrates wypił kielich cykuty. Giordano Bruno zginął na stosie. Campanella przepędził dwadzieścia siedem lat w więzieniu. Spinoza, najpierw wyłączony z grona współwyznawców, potem, nie chcąc krępować swojej myślowej niezależności, odrzucił zaszczytną i intratną katedrę na Uniwersytecie w Heidelbergu. Wielu filozofów Oświecenia okupywało swoją działalność więzieniem i wygnaniem. Zola, pisząc *Oskarżam*, daleko był od myśli o Panteonie.

Jaka pasja, jaka siła wewnętrzna kazała tym ludziom różnych epok i różnych charakterów rezygnować dobrowolnie w orbicie swych myśli i idei już nie tylko z dobrobytu, zaszczytów i wolności, lecz w ogóle z życia? Duma? Fanatyzm? Heroizm?”

Z dalszego tekstu, zresztą dość smętnego i na wysokich koturnach, nie wynika, abym potrafił na te pytania odpowiedzieć. Miałem wówczas lat dwadzieścia trzy. I oto dzisiaj, gdy za miesiąc skończę lat sześćdziesiąt jeden — też na podobne pytanie (na wiele innych również) odpowiedzieć nie umiem. Lecz czy muszę umieć? Jestem tylko pisarzem. Pisarz opisuje i stawia pytania. Tylko tyle. Owszem, również wartościuje, lecz jego osąd wynika z rozpoznania, z opisu. Kto na pytania odpowiada — wie lub udaje, że wie. Opisujący *tylko* proponuje swój obraz świata i ludzi, a jeśli wspiera go cokolwiek w tym zuchwałym przedsięwzięciu, to pewna nadzieja, zresztą nie mniej zuchwała, iż w widzeniu subiektywnym nie jest osamotniony, a jeśli samotny jest dzisiaj — może nim przestać być jutro lub pojutrze.

Odnaleziona stara notatka do *Karolinki* Adama Nagórskiego:

„Początek: rok 1946, powódź w województwie szczecińskim, na stacji X w nocy zostaje zatrzymany pociąg osobowy, ponieważ zagrożony jest pobliski most. Do składu pociągu przyczepiona cysterna ze spirytusem metylowym. Kolejarze kradną kilka litrów tej straszliwej trucizny i rozsprzedają ją zziębniętym i zmęczonym podróżnym. Wśród nich dwoje młodych: on akowiec, właśnie wypuszczony na wolność na podstawie amnestii, ona też z AK. Skutki zatrucia szybko się ujawniają. Tymczasem teren zagrożony powodzią odwiedza I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, człowiek w sile wieku, przedwojenny komunista. W szpitalu, gdzie leżą ofiary zbiorowego zatrucia, spotyka ciężko chorą, lecz niezagrażoną śmiercią lub ślepotą dziewczynę. Chłopak umiera. Pierwsze zainteresowanie.

Dziewczyna (Karolinka) zostaje zupełnie sama i po opuszczeniu szpitala nie wie, co ze sobą zrobić, względy, jakie jej okazuje dojrzały i wysoko usytuowany mężczyzna, zrazu z powodów politycznych odstręczają ją. Lecz jednak. I tak zaczyna się ten szczególnie romans, w którym ona jest stroną jakby zaczynającą od zera, on — wszystkim. Rozchodzi się z żoną i chcąc zdobyć dziewczynę całkowicie, czyni wszystko, aby upodobnić ją do siebie, uczynić z niej komunistkę. Niebawem okazuje się, że nie było to pragnienie

szczególnie trudne do zrealizowania. Karolinka, z zakochania, z zagubienia, z potrzeby życia staje się wierzącą komunistką. Przychodzą jednak lata 1953, 1954. Coś się w powietrzu poczyna odmieniać. Trudno powiedzieć, czy on się istotnie zmienia, czy też po wielu trudnych i ciężkich latach powraca do swojej młodości. Może również pozostać dalej »modelem« bez reszty ukształtowanym przez okres stalinowski. Natomiast Karolinka, ujarzmiona i dobrowolnie uformowana, powoli przestaje kochać (bo on wątpi) i wraz z zanikaniem uczucia zanika w niej również przyswojona sztucznie ideologia. On — być może — czuje się jakby odrodzony, również i miłość się w nim odnawia nie mniej zaborczą i egoistyczną. Jest już jednak za późno. Karolinka odchodzi.

Pierwsza scena: pociąg zatrzymany w ciemnościach, ruiny dworca, bliski i groźny szum wiosennej powodzi...”.

21.

Na salonach Łukasz Halicki rozmawia ze starymi aktorami o teatrze i o sztuce.

22.

W jednym z bocznych saloników (dawna sypialnia Księcia Prymasa?) Komitet Wykonawczy Bractwa Żółtowego przyjmuje w poczet członków Łukasza Halickiego.

23.

W piwnicy zbiorowa orgia.

24.

Maciej Zaremba kilkakrotnie wydzwaniał klinikę ginekologiczną. Jest już bardzo zmęczony i pijany. Gdzieś u schyłku nocy, gdy jeszcze raz dzwoni, dowiaduje się, że właśnie przed paroma godzinami poród odbył się szczęśliwie. Grażyna urodziła zdrowego chłopca. Zaremba postanawia natychmiast jechać do Warszawy. Biegnie do toalety i zimną wodą przemywa twarz, potem szuka Halickiego, żeby pożyczyć od niego auto. Ponieważ sprawia wrażenie zupełnie trzeźwego, Halicki zgadza się.

Na dworze już szarawo, popaduje drobny śnieg, szosa jest bardzo śliska. W półmroku chłopskie furmanki z warzywami, wolno ciągnące ku miastu. Zaremba nigdy nie był dobrym kierowcą i nie lubił prowadzić auta. Jedzie dość wolno, uważnie wymijając furmanki, kierownica ciąży mu w kurczono zaciśniętych i spotniałych dłoniach. W pewnym momencie czuje, że dłużej nie da rady. Zjeżdża na bok szosy, zatrzymuje auto i wysiada. Chłodne powietrze trochę go otrzeźwia. Głęboko oddycha, zwilża skronie śniegiem. I wówczas z dość bliska, z półmroku zanikającej nocy, dociera do niego popularna melodia bigbeatowa (może Beatlesów *Ob-la-di-ob-la-da?*), wygrywana na zwykłej fujarce. Słucha. Po chwili słysząc skrzypienie kół, wylania się wiejska furmanka zaprzężona w jednego konia, powozi stary, półsennie drzemiący chłop, obok niego jasnowłosy chłopiec, nie więcej niż dwunastoletni, to on właśnie wygrywa na prostej fujarce tę bigbeatową melodię. Nie widać ich obu wyraźnie, lecz gdy furman mijają stojącego przy aucie Zarembę, wydaje mu się nagle, że tym chłopcem jest on sam z dawnych lat, jakieś mgliste wspomnienie go przenika, nieomal pewność, że kiedyś także jechał o wczesnym świcie na wiejskim wozie i przygrywał na fujarce. Niebawem furmanka ginie w szarości, a melodyjka też powoli zanika.

Zaremba czuje, że wróciły mu siły, chce teraz jednego: jak najszybciej znaleźć się w Warszawie i zobaczyć syna. Gdy wraca do auta i rusza, ma absolutną pewność, iż błędnie panuje nad oporną maszyną. Mijając furmankę opuszcza szybę i macha ku jadącemu ręką. Ma przed sobą pustą szosę. Przyśpiesza. Czuje, jak go wypełnia i rozpiera młodzieńca sprawność fizyczna. Wtedy auto wpada w poślizg i roztrzaskuje się o przydrożne drzewo.

25.

Świt, ale jeszcze szaro, śnieg popaduje ciągle. Autobus i trzy osobowe auta. Goście już opuszczają pałac, wciąż rześsiście oświetlony. Wychodzą pojedynczo i grupami, hałasując, chłodne, wilgotne powietrze oszałamia ich, ale też i trochę otrzeźwia, i przywraca siły po szalonej nocy. Koniec zabawy? Niemożliwe! Marek Kuran coś szeptem do Michała Otockiego, ten kiwa głową i przywołuje swoich kolegów.

MAREK KURAN

Panie i panowie! Na powitanie dnia! Raz, dwa, tri, kozaczok!

Więc przed frontonem historycznego pałacyku i na rozległym trawniku przykrytym cienutką warstewką śniegu wszyscy zaczynają pod zespół La Da Co tańczyć kozaczoka, zrazu ospale i trochę nieporadnie, potem coraz żywiej. Także aktywista partyjny z terenu usiłuje tańczyć. Podryguje, podskakuje, nogi mu się plączą, znalazł się gdzieś w głębi trawnika, sam, jeszcze usiłuje wykonywać ruchy zgodne z daleką melodią, aż wreszcie traci równowagę i upada. Leży z twarzą śniegu dłuższą chwilę, wyschniętym językiem liże śnieg, lecz gdy chce się podnieść — nie może, więc wreszcie rezygnuje z tych wysiłków i w pozycji na czworakach podnosi głowę i nieoczekiwanie dla samego siebie wydaje z siebie ostry i przejmujący dźwięk, ludzako podobny do syreny przeciwlotniczej.

*

NIEDZIELA, 12 LIPCA

Za dwadzieścia dwunasta, więc dokładnie w porze, w której się urodziłem, napisałem ostatnie zdanie *Miazgi*. A z sumowania dnia i miesiący wynika cyfra „19”, zatem data podwójna, bo i moich urodzin i akcji *Miazgi*. „7” wyraża ilość lat poświęconych tej historyjce. Lecz prócz tych drobnych, magicznych uciech żadnego uczucia ulgi i żadnej świadomości, że pewien fragment mego życia został zamknięty (a może raczej otwarty?). Z żadną z moich książek poprzednich nie wiązałem tak wiele nadziei, jak z tą: i żadnej nie byłem tak mało pewien.

Wieczorem, żeby uczcić to wydarzenie zaimprovizowaną na skutek telefonów kolacją: Irena, Markowie, Zygmunt i Krzysztof.

PONIEDZIAŁEK, 13 LIPCA

Otrzymałem z Agencji Autorskiej następujący list:

„Uprzejmie zawiadamiamy, że wg informacji Ministerstwa Kultury i Sztuki sztuka w adaptacji scenicznej Kazimierza Dejmka wg Pana książki *Ciemności kryją ziemię* nie jest obecnie uwzględniana w polskich planach eksportowych.

W związku z powyższym, jak również wobec bezpośrednich Pana kontaktów z agencją Geisenheyner und Crone (bez naszego pośrednictwa), nie widzimy możliwości przekazania Pana zgody na wystawienie sztuki w Telewizji Austriackiej firmie Universal Edition A.C. w Wiedniu”.

Tak więc mój wyjazd do Wiednia we wrześniu wydaje się mało prawdopodobny, skoro stroną zapraszającą jest właśnie Telewizja Austriacka w związku z przygotowaniem do jesiennej premiery *Ciemności kryją ziemię*.

WTOREK, 14 LIPCA

Wydaje się, że ludzie pozornie wolni wówczas tylko bywają skłonni do zainteresowania się tymi, którzy są niewoli prawdziwie, gdy ci walczą lub buntują się. Nie ma nic atrakcyjnego w stanie zgody na niewolę, obojętne: udane jest owo przyzwolenie czy autentyczne. Przeciwnie: dla pozornie wolnych stan biernego poddania się niewoli jest równie odrażający, a także nudny i nieco wstydlivy, jak dla człowieka fizycznie zdrowego widok bezsilnej ludzkiej istoty, zniekształconej powolnym, lecz uporczywym postępowaniem śmiertelnej choroby. Buntownicy, owszem, ci mogą liczyć, iż na moment oczy świata się ku nim zwróci. Lecz tylko na moment, dopóki ich sprzeciw i bunt trwają. Pokonani przestają być ekscytującym widowiskiem. Najbardziej brutalny gwałt tylko w pierwszych chwilach oburza i budzi protesty. Nad pokonanymi zapada ciężka cisza niepamięci. Oburzenie wygasa.

Od najdawniejszych czasów kronikarze, historycy i poeci chronili od zapomnienia wydarzenia świadczące o ludzkich buntowniczych zrywach i walkach przeciw przemocy i tyranii. Natomiast śmiertelna cisza o przegranych i zrezygnowanych, nigdy nie powstało ani jedno dzieło większej miary, którego bohaterami byłiby ludzie pobici i z klęską pogodzeni.

Czas oraz miejsce, które stanowią o egzystencji mojego narodu, utrudniają mi myślową i emocjonalną solidarność z tym stanem rzeczy, niezmiennie się powtarzającym

Bunt, Niewola

na przestrzeni wieków. Staram się jednak zrozumieć mechanizm zjawiska, które ludziom pozornie wolnym wydaje się najprawdopodobniej całkiem naturalne, natomiast niewolnym prawdziwie?, być może wtedy się próg niewoli przekracza, gdy znalazłszy się w klatce człowiek nie wie lub wiedzieć nie chce, że się w zamkniętym pomieszczeniu znalazł? O tej kardynalnej różnicy ludzkich kondycji myślał Chrystus, gdy powiedział: „Ktokolwiek ma — będzie mu dane, i obfitować będzie, a kto nie ma, i co ma — będzie mu odjęte”? (Mt. 13, 12).

SOBOTA, 18 LIPCA

Od paru dni chłody i deszcze. Wciąż się nie mogę przemóc, żeby zabrać się do ostatecznego poprawienia tekstu *Miazgi*. Puste, samotne dni, więc przede wszystkim poczucie dręczącej bezsilności.

NIEDZIELA, 19 LIPCA

Iks przyniósł mi swoje nowe opowiadania, przeczytałem kilkudziesięciostronicowy maszynopis jednym tchem, głęboko wzruszony i poruszony tragiczną wymową tej prozy, mowy, oczywiście, nie ma, aby opowiadanie mogło się u nas doczekać opublikowania, zbyt prawdziwe, zbyt bolesne i oskarżycielskie, a zatem w ocenie oficjalnej: wrogie, oszczercze i paszkwilanckie. A ponieważ przed kilkoma dniami dotarł do mnie wydany w ubiegłym roku tom esejów Czesława Miłosza *Widzenie nad Zatoką San Francisco* — myśli o *nieobecnych* bardziej niż zazwyczaj natrętne i ciężkie, w żywym kształcie współczesnej kultury narodowej nieobecnymi są nie tylko emigranci, nie ma również i wielu tych, którzy wprawdzie żyją tu, na miejscu, lecz zmuszeni do milczenia, odcięci od wszelkich środków masowego przekazu, bez książek, wśród martwej ciszy, z nazwiskami powoli wygasającymi, więc zapomnianymi. Tak wiele po obu stronach, tam i tutaj, świetnych umysłów i talentów, tyle twórczych sił, tyle znakomitych osiągnięć i wszystko na marne, może nie na zawsze, lecz na teraz na pewno, można mieć nadzieję, lecz nie warto się łudzić: i oni, poza krajem, i my, grupka ludzi w kraju żyjących, nie mamy żadnego wpływu na to, co się w Polsce dzieje, nie ma nas, a nasze książki ukazujące się w wydawnictwach zagranicznych i choćby na Zachodzie wysoko cenione i znane, tu znajdują tylko nielicznych czytelników i ich istnienie nie ratuje, bo uratować nie może, postępującego upadku polskiej kultury tu, gdzie Polska jeszcze jest. Zmęczenie sobą, zmęczenie bliskimi ludźmi, zmęczenie zmęczeniem drugich, zmęczenie przyszłością.

Chciałbym coś napisać. Nie wiem co, ale napisać. Coś innego niż *Miazga*. Innego. Nie wiem, pojęcia nie mam, na czym owa inność mogłaby polegać. Tyle tylko, że chciałbym.

PONIEDZIAŁEK, 20 LIPCA

Porządki w biurku i z zaległą korespondencją, więc czynności powtarzane od lat, gdy usiłuję przełamać zatruwającą mnie inercję. Odłożyłem na bok, do szuflady biurka, wszystkie zeszyty z notatkami do *Miazgi*. Już nie chcę do nich zaglądać. Chciałbym się od tej książki jak najprędzej oderwać. Ale muszę raz jeszcze tekst przeczytać i poprawić. Również uważnie przeczytać kilka egzemplarzy maszynopisu przepisane na czysto. Jedyne, co mnie interesuje, to przyszłość *Miazgi*, ona sama nie interesuje mnie zupełnie. Zamknięty rozdział. Jest i będzie, jaka jest. Poprawki, jakie mogę zrobić, ograniczą się do rzeczowych, przed kilkoma dniami zauważyłem np. przeglądając tekst, że w pierwszej części Łukasz Halicki ma na imię Daniel, poprawię, ale tylko tyle, niczego już nie zmienię, nie dodam, w momencie, gdy przed tygodniem napisałem ostatni rozdział części III — oderwałem się od tego wszystkiego, nareszcie po siedmiu latach. Ulga? Żadnej. Odczułbym ulgę wówczas tylko, gdybym wiedział, co chcę i mogę napisać teraz.

Mimo wszystko za kilka dni muszę się zmusić do przeczytania i poprawienia tej sterty papieru. Pragnienia? Poszukiwania po omacku czegoś, co jest nieporównywalnie lepsze od wszystkiego, co się dotychczas zdołało dokonać? Piękniejsze? Właśnie tak, piękniejsze. I w jakimś sensie czystsze. Jakże jednak mogę pisać o sprawach, których nigdy nie potrafiłem i dzisiaj również nie potrafię nazwać? Ale może właśnie na tym sztuka pisarska polega? Przekazywać innym ludziom to, czego się nie wie i nie rozumie? Myślę, że siła

i namiętność niespełnień, skuteczniej ludzi łączy niżeli najwspanialsza realizacja. Jeśli sądząc tak popełniam omyłkę — wydaje mi się, że niekiedy jest to błąd słuszny.

WTOREK, 21 LIPCA

Nic.

PIĄTEK, 24 LIPCA

Ostatnie lektury: *Korespondencja* Rimbauda w doskonałym opracowaniu Artura Międzyrzeckiego i Julii Hartwig, tom opowiadań Iredyńskiego *Związki uczuciowe*, opowiadanie Iwaszkiewicza w czerwcowej „Twórczości”: *Czwarta symfonia*, studium o Maurycym Beniowskim Andrzeja Sieroszewskiego, ostatnia książka Kazimierza Brandysa *Mala księga* (bardzo piękne wspomnienie z dzieciństwa), trochę *Dzienników* Kafki, trochę *Pustelni Parmeńskiej*.

Z listu Rimbauda do rodziny (15 stycznia 1885): „Ostatecznie jednak — i to jest najbardziej prawdopodobne — jeździ się raczej tam, gdzie się jechać nie chce, robi się raczej to, czego by się robić nie chciało, i żyje się, i umiera zupełnie inaczej, niżby się pragnęło, bez nadziei na jakiegokolwiek zadośćuczynienie”.

PONIEDZIAŁEK, 27 LIPCA

Zet, któremu przed kilkoma dniami dałem do przeczytania opowiadanie Iksa, przysłał mi list. W zakończeniu pisze:

„Rosjanie, gdy piszą o świństwach, to z tych świństw robią się duże świństwa, sięgają w głąb istoty ludzkiej (skala), a u nas, gdy się pisze o małych świństwach, pozostają to małe świństwa, sięgają, dotykają tylko powierzchni człowieka, jego małych strachów (skala)”.

Myślę, że ocena Zeta jest trafna. Ale: doceniam stan niewoli, w jakiej naród rosyjski istniał i istnieje, jest to chyba jedyny naród europejski, który wolności (pozornej) nigdy nie zaznał. Cokolwiek się jednak powie o wielowiekowym nieszczęściu narodu rosyjskiego, niepodobna nie pamiętać, iż Rosja była i nadal jest potężnym imperium, więc tylko sprzecznością pozorną będzie, jeśli się powie, iż stan niewoli, pozostając dla Rosjan stanem niewoli, może być dla nich równocześnie stanem niewoli suwerennej. Wydaje mi się, iż z tej przede wszystkim świadomości mogła powstać wielka rosyjska literatura dziewiętnastowieczna. Suwerenność nieszczęścia i zła pozwoli udźwignąć ich ciężar, a nawet udzielić im wymiarów wielkości, nie wydaje się to natomiast możliwe w warunkach niewoli narzuconej z zewnątrz. Grzesznik, świadomy własnego zła, zawsze bywa w sytuacji moralnie lepszej (więc twórczej) niżeli człowiek usprawiedliwiający swoje „drobne świństwa” okolicznościami. Brak poczucia suwerenności degraduje zarówno jednostkę, jak społeczeństwo, bowiem tylko w kondycji świadomej suwerennej może istnieć i działać świadoma ludzka odpowiedzialność, z jej rozpadem i zanikaniem rozpada się i zanika wszelki moralny porządek, występki mogą być zasługą — osiągnięciem — przestępstwem, wśród winowajców nie ma winnych, głupota chodzi w koronie mądrości, cynizm — w masce żarliwości, uczciwość i mądrość doczekają się publicznego napiętnowania. Z tej moralnej miazgi ma powstać wielka sztuka?

WTOREK, 20 LIPCA

Jeszcze o „skali”, o której pisał w swoim liście Zet. Moi dwaj mali Stawroginowie: Marek Kostka z *Idzie skacząc po górach* i Marek Kuran z *Miazgi*. Skala wybrana świadomie. Nasza skala.

Mircea Eliade *Traktat o historii religii*.

ŚRODA, 29 LIPCA

Pierwotny grzech literatury polskiej: nie mieliśmy w średniowieczu narodowej epeji. Język polski dopiero w pierwszej połowie XIV wieku zdołał wystękać kilka zwrotek religijnej pieśni, z których dwie pierwsze pochodzą prawdopodobnie ze stulecia poprzedniego. Nie mogły u nas powstać ani skandynawskie eddy i sagi, ani *Parcival* i *Pieśń o Ni-*

Kondycja ludzka

Rosja, Polska, Niewola,
Prawda, Polak, Rosjanin,
Literat, Sztuka

Polska, Sztuka, Słowo

belungach, ani *Lancelot* i *Pieśń o Rolandzie*. Język, niezdolny do stworzenia narodowego eposu, musiał się beznadziejnie opóźnić w ukształtowaniu języka powieściowego i dramatycznego. Geniusz Kochanowskiego stworzył tylko polską poezję. Jak na jednego człowieka, to bardzo wiele. Ale wszechstronnego rozwoju literatury, więc przede wszystkim prozy powieściowej i dramatu, nawet Kochanowski nie mógł zapewnić.

CZWARTEK, 30 LIPCA

Zawiadomiono mnie dzisiaj telefonicznie, zresztą w sposób jak najbardziej kurtuazyjny, iż na razie, niestety, paszportu zagranicznego otrzymać nie mogę, może trochę później, kiedy się sytuacja wyjaśni. Nie spytałem, jaka sytuacja i na czym jej wyjaśnienie ma polegać?

Natychmiast po telefonie zabrałem się do poprawiania maszynopisu *Miazgi*. Jesienią roku ubiegłego, gdy na zaproszenie PEN Clubu miałem jechać do Oslo i Helsinek — w dniu, w którym przyszło zawiadomienie, że paszportu nie otrzymam, natychmiast po bardzo wielu miesiącach zniechęcenia i bezsilności wróciłem do pracy nad *Miazgą*. Po paru tygodniach byłem szczęśliwy, że nie muszę jechać i nieomal wdzięczny Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, że zostałem załatwiony odmownie.

wieczorem

Przeczytałem, robiąc drobne poprawki, cały *Dziennik*, poprzedzający tekst i tekstu około pięćdziesięciu stron.

Nie wiem, dlaczego mi się to przypomniało. Miałem wówczas dwanaście, może trzynaście lat. Była u nas służąca od niedawna. Nie pamiętam ani jej imienia, ani nazwiska. Ale pamiętam, że była drobna i miała ciemną, cokolwiek tatarską twarz. Była małomówna i chyba się u nas źle czuła, może dlatego, że myśmy nie mogli jej polubić. Pewnego dnia — pewnie byłem chory, jeśli przed południem byłem w domu, nie w szkole — chcąc sobie ułatwić rozpalenie ognia pod kuchnią wzięła bańkę z naftą i wilgotne drzewo ułożone w palenisku poczęła skrapiać. Wybuch nastąpił gwałtownie. Usłyszałem tylko huk. Całe mieszkanie się zakołysało. O ile pamiętam, nie pobiegłem do kuchni. Od matki się dowiedziałem, że dziewczyna objęta nagle ogniem wyskoczyła przez mały lufcik, na podwórze, mieszkaliśmy na drugim piętrze. Przyjechało pogotowie. Umarła w szpitalu po paru godzinach. Wtedy, zaraz potem, kiedy mieszkanie się zakołysało, modliłem się po raz ostatni. Pamiętam to bardzo dobrze. Nie pamiętam, czy za nią; drobną, płonącą dziewczynę, szukającą ratunku w ubogiej częsteczce okna, czy w ogóle. Potem przez wiele lat się nie modliłem. Ale jeszcze później, bardzo później, już jako młody człowiek przeżyłem wiarę namiętnie, lecz krótko. Ogarnęła mnie chyba tylko dlatego, żebym mógł napisać swoją pierwszą młodzieńczą powieść *Ead serca*, poczęła bowiem wygasać, gdy książkę ukończyłem. Teraz jednak, gdy tak wiele lat i różnorodnych doświadczeń dzieli mnie od tamtych czasów — myślę niekiedy, iż wszystko, co robię i czego nie robię, wszystko, co myślę, co odczuwam, czego pragnę i czym się dręcę, wszystko, kim jestem i kim nie jestem — zostało nieodwracalnie i aż po kres mego życia ukształtowane przez wyobrażenia i normy chrześcijańskie (katolickie?).

SOBOTA, 1 SIERPNI

Od kilku dni rejon Starego Miasta został zamknięty dla aut, tylko do jedenastej rano mają prawo wjazdu ciężarówki aprowizacyjne. Umówiony z Markiem właśnie na Staromiejskim Rynku wszedłem ze Świętojańskiej, jakby w świat nie z miasta: cisza i słychać było świergot wróbli.

Mimo wszystko nadzieja: jaki w stosunku do naszego może być świat za lat dwadzieścia sześć? Prawdopodobnie będzie tak inny, jak nasz dzień obecny wobec pierwszego dnia Powstania Warszawskiego. Inny — na pewno. Ale inny jak? Za dwadzieścia sześć lat, jeśli będę żyć, będę miał osiemdziesiąt siedem lat. Chciałbym.

WTOREK, 4 SIERPNI

Dwudziesta szósta rocznica śmierci Krzysztofa. Poznałem go jesienią 1941, chyba we wrześniu, lecz przez kogo, gdzie i w jakich okolicznościach — zupełnie nie pamiętam. Z tego pierwszego spotkania pozostało mi tylko tyle: było jeszcze ciepło, to na pewno, jecha-

liśmy tramwajem P w kierunku Powiśla, ja, żeby odwiedzić rodziców, którzy mieszkali wówczas na Dobrej przy Karowej, on wracał do siebie na ulicę Hołówki. Gdy w dole ulicy Książęcej, przy szpitalu Ubezpieczalni, Krzysztof musiał się przesiąść — wysiadłem również, aby przedłużyć rozmowę. Ale o czym rozmawialiśmy — nie pamiętam. W jego trójkątnej twarzy, szybko się starzejącej w nadchodzących trzech latach, uderzały przede wszystkim oczy z natury bardzo jasne (szare, zielono-niebieskie?), dzięki ciemnej oprawie wydawały się jeszcze jaśniejsze, niekiedy zimne. Na nosie miał zabawne piegi — — —

PIĄTEK, 7 SIERPNI

Oddałem do przepisywania poprawiony maszynopis I części.

WTOREK, 11 SIERPNI

Od kilku dni żadnych w tym *Dzienniku* notatek, ponieważ w związku z pewnymi planami na przyszłość przeniosłem je do osobnego zeszytu.

Wieczorem w Teatrze Narodowym na *Hamlecie*. Wzruszony Danielem Olbrychskim, który wydał mi się najbardziej autentycznym Hamletem spośród kilkunastu widzianych na scenie i w filmach.

CZWARTEK, 13 SIERPNI

Na kolacji w „Bristolu” z dawno niewidzianym i przypadkowo spotkanym doktorem C. Długa rozmowa o zagrożeniu biologicznym: przerażający w ostatnim dziesięcioleciu wzrost chorób wenerycznych, alkoholizmu, prostytucji i usuwania ciąży.

WTOREK, 18 SIERPNI

Dostałem maszynopisy części I i oddałem część II.

Ostatnie lektury: *Hetyci* O.R. Gurney'a, *Spółczesność prehistoryczna* Grahama Clarka i Stuarta Piggotta oraz dwa tomy *Listów* Stanisława Brzozowskiego ze znakomitymi komentarzami Mieczysława Sroki.

ŚRODA, 19 SIERPNI

Sześćdziesiąty drugi rok życia zaczęty w przygnębiającym nastroju: dzisiaj w nocy umarł Paweł Jasienica. Zaledwie w maju lekarze stwierdzili u niego raka węzłów limfatycznych, czyli tzw. ziarnicę złośliwą, był więc skazany na nieuniknioną śmierć, lecz nikt nie przypuszczał, że koniec będzie tak szybki. Jeden po drugim odchodzą najlepsi. Ale śmierć Pawła jest szczególnie bolesna: umarł wyjątkowo wartościowy człowiek, znakomity pisarz, którego przed dwoma przeszło laty skazano na śmierć cywilną.

W związku z wypadkami marcowymi — 19 marca 1968 roku, w Sali Kongresowej w Warszawie na spotkaniu z aktywem partyjnym Władysław Gomułka w sposób skrajnie tendencyjny zrelacjonował genezę oraz przebieg niedawnych zająć. Fragment tego przemówienia poświęcony został Pawłowi Jasienicy. Cytuję według *Dokumentacji Prasowej* rocznik 1968, s. 237:

„Zarówno w przygotowaniu zebrania warszawskich pisarzy i jego przebiegu [mowa o nadzwyczajnym walnym zebraniu oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich w dniu 29 lutego — przyp. mój], jak i w inspirowaniu i organizowaniu młodzieży akademickiej do wystąpień rzekomo w obronie *Dziadów* i twórczości Mickiewicza, jedną z czołowych ról odegrał Paweł Jasienica. Jego prawdziwe nazwisko brzmi inaczej. Nazywa się on Leon Lech Beynar. Co to za osobnik?

W lipcu 1948 roku Paweł Jasienica został aresztowany w Krakowie. W toku śledztwa udowodniono mu przynależność do bandy Łupaszki, do której wstąpił po zdezerterowaniu z Wojska Polskiego i w której pozostawał do sierpnia 1945 roku, pełniąc początkowo funkcje adiutanta, a następnie zastępcy dowódcy bandy. Banda ta grasowała na terenie województwa białostockiego, dokonywała z bronią w rękę napadów na posterunki Milicji Obywatelskiej i na ludność cywilną podejrzaną o sympatyzowanie z Polską Partią Robotniczą.

W szczególności w śledztwie zebrano dowody wskazujące na to, że Jasienica w kwietniu 1945 roku, kierując grupą, dokonał napadu na miejscowość Narewkę, podczas której rozbrojono kilku milicjantów i zrabowano broń z posterunku Milicji Obywatelskiej, zamordowano czterech członków Polskiej Partii Robotniczej i obrabowano spółdzielnię. W tym samym miesiącu kierowana przez Jasienicę banda wykonała wyrok śmierci na mieszkańcu wsi w okolicy Puszczy Białowieskiej oraz dokonała napadu na 20-osobową grupę Związku Walki Młodych, których rozebrano do naga i dotkliwie pobito. Również w kwietniu 1945 roku Jasienica i jego grupa dokonała napadu na posterunek Milicji Obywatelskiej w Bońkach, powiat Bielsk Podlaski, podczas którego zamordowano kilku funkcjonariuszy. Ponadto w rejonie Puszczy Białowieskiej Jasienica uczestniczył w spalaniu wioski, zamieszkałej przez ludność białoruską, a nieco później w napadzie na spółdzielnię w Siemiatyczach oraz w dwóch napadach na oddziały Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej, w wyniku tych napadów zabito kilkunastu żołnierzy.

W toku śledztwa Jasienica przyznał się, że działał w bandzie Łupaszki i że dopuścił się zarzuconych mu zbrodni. W dniu 3 maja 1949 roku śledztwo przeciwko Jasienicy zostało umorzone, z powodów, które są mu znane. Został on zwolniony z więzienia. Należy dodać, że Łupaszko i wielu członków jego bandy zostało aresztowanych i skazanych przez sąd na kary śmierci”.

Na wspomnianym nadzwyczajnym zebraniu warszawskiego oddziału ZLP Paweł Jasienica na samym początku zgłosił wniosek, aby głosowanie nad rezolucjami odbyło się w sposób tajny. Gomułka w swoim przemówieniu powiedział, iż „Jasienicy i pozostałym organizatorom tego zebrania nie chodziło bowiem o Mickiewicza, za którym nie trzeba chyba tajnie głosować, zwłaszcza pisarzom. Chodziło im o zorganizowanie walki z naszą partią i dla tej przyczyny wybrali tajne głosowanie”. Oczywiście nieporozumienie! Wniosek o tajności głosowania zgłoszony został dlatego, aby w warunkach partyjnego przymusu i w atmosferze dyskryminacji i donosu pisarze należący do Partii, a również i wielu bezpartyjnych, niechających się narażać, mogli głosować zgodnie z tym, co myślą rzeczywiście. Zgłoszone zostały dwie rezolucje: jedna przez Andrzeja Kijowskiego i druga przez Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego w imieniu organizacji partyjnej.

Pierwsza rezolucja stwierdzała m.in.:

„Pisarze polscy zgromadzeni dnia 29 lutego 1968 roku na walnym nadzwyczajnym zebraniu warszawskiego oddziału ZLP, poruszeni zakazem dalszych przedstawień *Dziadów* Mickiewicza na scenie Teatru Narodowego stwierdzają:

— od dłuższego czasu mnożą się i nasilają ingerencje władz sprawujących zwierzchnictwo nad działalnością kulturalną i twórczością artystyczną; ingerencje dotyczą nie tylko treści utworów artystycznych, lecz także ich rozpowszechniania i odbioru przez opinię;

— ten stan rzeczy zagraża kulturze narodowej, hamuje jej rozwój, odbiera jej autentyczny charakter i skazuje na postępujące wyjałowienie; zakaz, który dotknął *Dziady* jest szczególnie jaskrawym tego przykładem”.

Pośród 431 osób, które przybyły na zebranie, w głosowaniu brało udział 356 osób. Za rezolucją, zgłoszoną przez Kijowskiego, głosowało 231 osób, zaś za rezolucją organizacji partyjnej 124 osoby.

W czasie dyskusji zabrał również głos Paweł Jasienica. Mówił o nasilających się przejawach antysemityzmu, bronił młodzieży akademickiej dotkniętej surowymi represjami. Paweł Jasienica był autorem listu skierowanego w dniu 6 marca do rektora Uniwersytetu Warszawskiego. Treść tego listu była następująca:

„W. Pan profesor doktor Stanisław Turski
Rektor Uniwersytetu Warszawskiego
Magnificencjo!

Fakt zakazu dalszych przedstawień *Dziadów* Mickiewiczowskich w inscenizacji Kazimierza Dejmka głęboko dotknął i rozgoryczył tę część społeczeństwa, której losy kultury narodowej nie są obojętne. Deklaracja, uchwalona przez nadzwyczajne zebranie oddziału warszawskiego ZLP w dniu 29 lutego br., określiła to rozgoryczenie jako słuszne.

Młodzież akademicka pierwsza zaprotestowała przeciwko zakazowi, składając przez to dowód postawy obywatelskiej. Jesteśmy przekonani, że ten jej postępek w piękny sposób wzbogaci historię wyższych szkół warszawskich.

Władza, Sztuka, Przemoc,
Bunt

Dowiadujemy się obecnie, że kilku spośród tych studentów wytoczono sprawy dyscyplinarne.

Apelujemy do jego Magnificencji, by mocą swej władzy rektorskiej zechciał umorzyć postępowanie dyscyplinarne przeciw młodym ludziom, którzy — naruszyli, być może, przepisy porządkowe — okazali się wierni kulturze narodowej i ogólnoludzkiej.

Prosimy o przyjęcie wyrazów naszego szacunku”.

Wspólnie z Pawłem Jasienicą list ten podpisali: Antoni Słonimski, Mieczysław Jastrun, Melchior Wańkowicz, Tadeusz Konwicki, Jerzy Andrzejewski, Adam Ważyk i Jacek Bocheński.

CZWARTEK, 20 SIERPANIA

Po przemówieniu Władysława Gomułki Paweł Jasienica, szkalowany przez wszystkie środki masowego przekazu: prasę, radio i telewizję, nie miał żadnych możliwości obrony. Jedyne, co mógł uczynić, to spisać prawdziwą wersję wydarzeń tak tendencyjnie przedstawionych przez Władysława Gomułkę i rozesłać ten dokument do wiadomości szeregu ludzi. W drugiej połowie kwietnia otrzymałem od Pawła Jasienicy tę jego relację, z datą 18 kwietnia 1960 roku.

Oto ona, zatytułowana *Fragment życiorysu*.

„W chwili wkroczenia wojsk radzieckich na Wileńszczyznę, tzn. w lipcu 1944 r., służyłem w sztabie Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej. W bitwie o Wilno uczestniczyłem na ochotnika, jako szeregowiec w stopniu oficerskim.

15 lipca 1944 r. nasze dowództwo zawarło, jak wiadomo, umowę o dalszej wspólnej walce z Niemcami. Pod względem wojskowym mieliśmy podlegać dowództwu radzieckiemu i rozwinąć się w dwie dywizje piechoty oraz brygadę zmotoryzowaną.

Tego samego dnia (15 lipca) mój przełożony, szef sztabu AK, posiedział mi służbowo: »Pan zostanie mianowany oficerem łącznikowym przy sztabie wojsk radzieckich«.

17 lipca 1944 r. przebieg wypadków był następujący: rano przeglądy naszych brygad przez generałów radzieckich, pod wieczór aresztowanie wyższego dowództwa podczas z góry zaplanowanej oficjalnej odprawy i początek rozbijania oddziałów.

Tak oto ominęła mnie godność oficera łącznikowego przy Sztabie Armii Czerwonej, rozpoczęła się natomiast moja działalność leśna, dosyć obecnie głośna. Należałem do tych, którzy pozostali w lesie, unikając w ten sposób uwięzienia i wywiezienia na wschód. Z Puszczy Rudnickiej przemknęliśmy nocami do Ruskiej (Grodzieńsko-Bersztańskiej). 19 sierpnia zostaliśmy zaatakowani o świcie przez wojska radzieckie, w której to akcji poległo wielu ludzi, wśród nich sławny pułkownik Kotwicz, bohater walki z Niemcami, od niedawna inwalida. Należałem do drobnego oddziału (17 ludzi z VI Brygady AK, w tym 4 oficerów), który wyrwał się z oblawy »pod włos«. Posłuszni znanemu już nam rozkazowi gen. Bora pomaszzerowaliśmy na pomoc walczącej Warszawie, nie podejmując absolutnie żadnych działań przeciwko Armii Czerwonej.

Przejść nie można było, u schyłku sierpnia zostaliśmy zatrzymani przez Rosjan na zachód od Grodna. Przesłuchiwany w Białymstoku przez płk. NKWD (podałem się za dowódcę) prosiłem o jedno tylko: odstawcie nas na sam front, byle z naszą bronią, i zostawcie własnemu losowi, chcemy się bić z Niemcami jako żołnierze AK.

Zostaliśmy odstawieni pod zbrojnym konwojem do jednostki W.P. stacjonującej w Dojlidach. Broni nam nie wydano.

Pamiętam dokładnie ówczesne nastroje: nie uważałem się w Dojlidach za żołnierza. Uważałem się za uczestnika walki z Niemcami, podstępnie wywiezionego w pole przez tych, z którymi wileńska AK postanowiła współdziałać. Za więźnia po prostu. Jedyne przysięgi wojskowe, jakie w życiu składałem, to były: przysięga żołnierza służby czynnej w r. 1932, przysięga w sierpniu 1939 r. przed wymarszem na front, i przysięga w późniejszej AK w roku 1940. Tym przysięgom chciałem być wierny, wymykając się w początku września 1944 r. z Dojlid, by niezwłocznie powrócić w szeregi Armii Krajowej. Powstanie Warszawskie jeszcze trwało.

W rejonie Puszczy Białowieskiej natrafiłem na resztki V Brygady Wileńskiej AK. Dowodził nią oficer zawodowy mjr Zygmunt Szendzielarz (»Łupaszka«), którego poprzednio w ogóle nie znałem osobiście. Dołączyłem do jego oddziału AK.

Nie będę się wdawał w opisywanie tragicznych losów wojny domowej. Muszę jednak podkreślić, że fakt aresztowania »szesnastu« w Pruszkowie (marzec 1945) utwierdził nas w przekonaniu, iż nie ma dla nas innego miejsca na ziemi niż w lesie.

Prasa dość dowolnie traktuje obecnie moją osobistą rolę: nie dowodziłem akcją w Narwce, w Boćkach i Siemiatyczach nie byłem nigdy w życiu, nie spaliłem żadnej wioski białoruskiej, ani innej. Szkolenia ideologicznego oddział wcale nie potrzebował. Zastępowały je... wspomnienia. Każda wojna domowa ma to do siebie, że z biegiem czasu staje się coraz bardziej okrutna. Historia nie zna wyjątku od tej reguły.

Nie wierzyłem ani przez chwilę w wybuch wojny amerykańsko-rosyjskiej. Do wiary w absurdy nie jestem skłonny. Sądziłem, że stanowimy atut polityczny w ręku »polskiego Londynu«, który za cenę rozwiązania naszych oddziałów wytarguje lepsze warunki w nieuchronnym kompromisie. W lipcu 1945 r. dowiedzieliśmy się, że mocarstwa przestały uznawać »polski Londyn«. Coś w rodzaju kompromisu osiągnięto zatem, a my pozostawaliśmy w lesie... bez żadnych wskazówek.

W dniu otrzymania tej wiadomości »Łupaszka« mianował mnie swoim zastępcą. Poprzednio pełnił tę funkcję por. »Zygmunt«, wybitnie zdolny dowódca liniowy.

W nocy z 8 na 9 sierpnia 1945 r. zostałem ranny, oddałem kolegom broń i tak skończyła się moja służba u »Łupaszki«, który na przełomie sierpnia i września tegoż roku rozwiązał oddział. Odwiedził mnie w wiosce, gdzie się leczyłem, dał mi dokument repatriacyjny i nieco pieniędzy na pierwsze potrzeby (ubranie i przeżycie). Sumy, jakimi rozporządzał, otrzymał jeszcze w r. 1944 z Okręgu Białostockiego AK.

Odprawę tę dostałem w złotych, nie w dolarach.

Z działalnością »Łupaszki«, wznowioną w roku 1946, nie miałem absolutnie nic wspólnego.

W roku 1946 zacząłem pisać. Po pewnym czasie zostałem członkiem redakcji krakowskiego »Tygodnika Powszechnego«, występując oczywiście pod własnym nazwiskiem. Pseudonim literacki musiałem jednak przybrać ze szczególnego powodu. Wiedziałem, że moja żona pozostaje w Wilnie, zarejestrowana jako wdowa. Moi bliscy w tym mieście byli przekonani, że zginąłem tam, gdzie płk. Kotwicz. Obawiałem się, że moje nagłe »zmartwychwstanie« w Krakowie może łatwo skierować żonę w ślady moich rodziców i siostry, wywiezionych w początkach roku 1940 do Kazachstanu.

Moje późniejsze spotkanie z Z. Szendzielarzem, który w końcu 1947 roku osiedlił się w Zakopanem, potem gdzieś w Gorcach, nosiły charakter wyłącznie towarzyski. O żadnych sprawach konspiracyjnych nie było mowy, nie powracaliśmy też do wspomnień.

U schyłku czerwca 1948 r. Z. Szendzielarz został aresztowany w miejscu swego zamieszkania. Urząd Bezpieczeństwa wykrył je i szedł »na upatrzonego«, o czym dowiedziałem się później. Nastąpiła wtedy generalna dekonspiracja organizacji »wileńskiej«, do której nie należałem, o której niczego nie wiedziałem. 30 czerwca czy też 1 lipca 1948 r. został uwięziony w Krakowie podkomendny Z. Szendzielarza pseudonimem »Wiktor«. Usiłowano go złapać we Wrocławiu. Zdołał wyjechać do Krakowa i tu został aresztowany.

2 lipca 1948 r. wieczorem poszedłem do mieszkania siostry »Wiktora«, mojej koleżanki uniwersyteckiej, osoby najdalszej od wszelkiej w ogóle konspiracji. Tu wpadłem w tzw. »kocioł«, zostałem aresztowany.

Sama chronologia wypadków świadczy niezbicie, że moje uwięzienie nie mogło wywrzeć żadnego wpływu na losy »Łupaszki« i »Wiktora«, których zatrzymano.

27 sierpnia 1948 r. zostałem uwolniony przez Dyrektora Dep. Politycznego Min. Bezp. Publicznego. Nie spodziewałem się tego wcale. Powiedziano mi: »Wyjdzie pan na wolność, zobaczymy, czy się to Ojczyźnie opłaci«. Nie podpisywałem żadnych zobowiązań. Nawet zobowiązania co do milczenia. Usłyszałem tylko: »Jest pan człowiekiem inteligentnym i sam wie, że nie wolno zdradzać tajemnic śledztwa«.

Nigdzie nie musiałem się meldować, nie ograniczono mej swobody ruchów, zastrzegając jedno tylko: »Mała prośba do pana: żeby pan był łaskaw za granicę nie wyjeżdżać«.

O moje uwolnienie starał się ze wszystkich sił Bolesław Piasecki. Dowiedziałem się o tym zaraz po wyjściu z więzienia od mojej ś.p. żony, z którą Bolesław Piasecki rozmawiał i którą poinformował o swoich zabiegach. Zaręczył on władzom, że nie należę do żadnej konspiracji.

Do Krakowa powróciłem niezwłocznie i zaraz poprosiłem o audiencję u Księdza Kardynała Adama Sapiehy. Odnosił się do mnie bardzo życzliwie, nic nie miał przeciwko mojemu powrotowi do »Tygodnika Powszechnego«. Kardynał Sapieha nie należał do ludzi skłonnych do tolerowania sytuacji moralnie dwuznacznych. O staraniach Bolesława Piaseckiego poinformowałem Go, jak również — nieco później — Księdza Kardynała Hlonda.

U schyłku 1945 r. spisałem swoje wspomnienia partyzanckie. Były szczegółowe, zajęły coś 10 grubych brulionów. Po uwolnieniu z więzienia spaliłem je i starannie wymieszałem popioł. Miałbym więc czym wkupić się w łaski UB... gdybym chciał. Żyje człowiek, który zna szczegóły: wie, kiedy ten pamiętnik powstał, i jak długo istniał.

W grudniu 1949 r. stawałem przed Oficerską Komisją Weryfikacyjną, potwierdzając w pełni swoją przeszłość. Znały więc ją dokładnie zarówno władze cywilne, jak wojskowe.

22 lipca 1956 roku zostałem odznaczony Kawalerskim Krzyżem Orderu Polski Odrodzonej. W roku 1967 Ministerstwo Obrony Narodowej, bez żadnych zabiegów z mojej strony, zatwierdziło mój Krzyż Walecznych otrzymany w roku 1944 od Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej.

Jak już wspomniałem, w Ministerstwie Bezpieczeństwa powiedziano mi na pożegnanie: »Wyjdź pan na wolność, zobaczymy, czy to się Ojczyźnie opłaci«. Na ten temat głos powinni zabrać czytelnicy moich książek, zgłaszający zapotrzebowania na stutysięczne ich nakłady».

PIĄTEK, 21 SIERPNI

B. powiedział mi w rozmowie telefonicznej, iż redakcja „Życia Warszawy” odmówiła zamieszczenia nekrologu Pawła Jasienicy od przyjaciół i towarzyszy broni, odrzucono również nekrolog PEN Klubu, tłumacząc, że był już nekrolog od warszawskiego oddziału Związku Literatów.

Ten pierwszy nekrolog, napisany tuszem na dużej karcie papieru, znalazł się dzisiaj wiewzorem na murze kościoła św. Krzyża, wyróżniając się białością wśród wielu innych klepsydr żałobnych normalnie drukowanych.

Tekst tego nekrologu:

„Dnia 19 sierpnia 1970 roku zmarł w Warszawie
ś.p.

Paweł Jasienica

pisarz, publicysta, historyk

Żołnierz kampanii wrzesniowej, ZWZ, Armii Krajowej odznaczony 5-krotnie Krzyżem Walecznych. Był wiceprezes Związku Literatów Polskich, ostatni prezes Klubu »Krzywego Koła«, wiceprezes polskiego PEN Klubu, Człowiek wielkiego serca i prawości.

Cześć Jego pamięci!

Przyjaciele i towarzysze broni».

SOBOTA, 22 SIERPNI

Pogrzeb Pawła Jasienicy. Piękna pogoda, słonecznie i ciepło. Już na pół godziny przed rozpoczęciem nabożeństwa kościół św. Karola Boromeusza na Powązkach był pełen. Mnóstwo twarzy nieznajomych, dużo młodzieży.

Wyszedłem z Marysią z kościoła zaraz po nabożeństwie i przed egzekwiami, żeby móc się później docisnąć do grobu. Na cmentarnym zapleczu kościoła nieprzebrane tłumy. Pierwszy wieniec od PEN Klubu mieli nieś Parandowski, Słonimski i Bartoszewski, ale ponieważ Parandowski nie mógł się na czas wydostać z kościoła — ja go zastąpiłem. Kondukt długi i bardzo wolno się posuwający, ponieważ trumnę nieśli przyjaciele i towarzysze broni. Ogromne tłumy wzdłuż całej trasy konduktu. Dokoła przygotowanego grobu nieprawdopodobna ciżba. Parandowski zdołał na szczęście przedostać się w ostatniej prawie chwili. Przemawiał drugi, po Halinie Auderskiej, która powiedziała kilka mało znaczących słów w imieniu warszawskiego oddziału ZLP. Po Parandowskim mówił Stanisław Stomma, potem ja, dalej: pułkownik Rzepecki, adwokat Siła-Nowicki oraz dowódca Pawła z kampanii wrzesniowej.

Tłum odśpiewał jedną zwrotkę hymnu narodowego.

Tekst mojego przemówienia:

„Na tym starym cmentarzu powązkowskim, a także na cmentarzach innych, nieraz bardzo odległych, coraz więcej grobów ludzi, którzy dopiero co żyli wśród nas i byli chlubą literatury polskiej. W minionych kilkunastu miesiącach odeszli od nas Anna Kowalska, Jerzy Zawieyski, Tadeusz Breza, a poza krajem zmarli Kazimierz Wierzyński, Witold Gombrowicz, Marek Hłasko. Dzisiaj piśmiennictwo polskie, tu w ojczyźnie Kochanowskiego, Mickiewicza i Żeromskiego, żyjące na półoddechu i stygnące wśród obszarów milczenia, znów ma dzień żałoby: w pełni twórczych sił zmarł znakomity pisarz, mążny i prawy człowiek śp. Paweł Jasienica.

Nie od dzisiaj znamy gorzką prawdę, iż polskie groby bywają nadmiernie ciężkie, bowiem ciężar śmierci, który się na nie kładzie, pomnożony jest ciężarem życia. Grób, przy którym stoimy, jest dla nas szczególnie dręczący, spocznie w nim człowiek, którego życie ułożyło się według miary własnej, lecz również według kondycji narodu, jego walki, twórczej chwały i niestety również według jego krzywdy i poniżenia.

Kiedy w najtrudniejszych czasach ostatniej wojny trzeba było walczyć z bronią w ręku — Paweł Jasienica był żołnierzem, tu w kraju, w sławnej Armii Krajowej. Gdy należało tworzyć nowy kształt życia — współtworzył go pisarstwem oraz czujnym rozeznaniem obywatelskim. Należał do najwybitniejszych i najpoczytniejszych pisarzy ostatniego dwudziestolecia. Wskrzeszając czasy minione, zawsze żył tu i teraz. Swoim nazwiskiem, swoim moralnym autorytetem wspierał wszelkie poczynania, które miały na względzie dobro Rzeczypospolitej. Autor znakomitych książek historycznych wiedział, iż wolność myśli i tolerancja należą do najlepszych tradycji narodu polskiego, i obumiera kultura, degeneruje się życie publiczne i marnują się bezcenne ludzkie wartości, gdy swoboda słowa podlega brutalnym ograniczeniom, światła dyskusja staje się niemożliwa i mroczne strzygi fałszów i przemilczeń pretendują do wyrażenia i ocenienia wielowarstwowej rzeczywistości.

Lecz gdzież, jeśli nie tu, nad tym grobem, powiedzieć należy, iż za swoje przekonania, za odwagę ich wypowiedzania Paweł Jasienica zapłacił wysoką cenę. Oskarżony o czyny, których nie popełnił i przewinienia, których nie dokonał, znieważany i poniżany — nie miał żadnej możliwości obrony, odjęte mu zostało prawo druku, jego stare książki wycofano z księgarni, nowe nie mogły się ukazać, rzecz zdawałoby się nie do pojęcia po wszystkich tragicznych doświadczeniach rządów totalnych, a jednak, niestety, prawdziwa; wybitny polski pisarz, twórca cennych wartości kulturalnych, cieszący się ogromnym zaufaniem i uznaniem wielu tysięcy czytelników, w pełni twórczych sił został z początkiem roku 1968 z dnia na dzień zepchnięty na margines życia publicznego, skazany na śmierć cywilną.

Z bólem żegnam cię, Pawle, żegnam cię w imieniu tych polskich pisarzy w kraju i poza krajem, którzy mogą i chcą powiedzieć, iż byłeś »jednym z nas«. Jednym z najlepszych, szczególnie godnym miłości, przyjaźni i najwyższego szacunku. Wiemy, że twoje dzieło pozostanie trwałe i żywe. Ale pozostanie również twoja krzywda, ponieważ nie była i nie jest tylko twoją krzywdą, przerosła ciebie samego, stając się krzywdą najcenniejszych wartości narodowych. Reszta niech pozostanie milczeniem”.

PONIEDZIAŁEK, 24 SIERPNI

Prowokacja zawsze była i do obecnych czasów pozostała taktyką szczególnie faworyzowaną przez reakcje rządzące społeczeństwami przy pomocy scentralizowanego aparatu przemocy. Udana prowokacja demaskuje „wrogów”, usprawiedliwia podjęcie środków nadzwyczajnych, likwiduje zatem masowo przeciwników dyktatury, paraliżuje słabych i lękliwych, uaktywnia oportunistów i karierowiczów, umacnia aparat władzy. Umiejętnie zorganizowana i przeprowadzona prowokacja, likwidując fizycznie lub cywilnie najwartościowsze jednostki, a pogłębiając deprawację ludzi już zdeprawowanych lub do deprawacji dojrzałych — powoduje zazwyczaj tragiczne wyczerpanie społeczeństwa, ten zaś stan rządzonych najbardziej odpowiada rządzącym. Nie bez głębszych racji każdy aparat władzy totalnej tak natarczywie i przy każdej okazji wmawia społeczeństwu, iż jest silne, zwarte, wszechstronnie się rozwijające i w ogromnej większości solidarne z polityką rzą-

Władza, Przemoc, Fałsz,
Choroba

dów. Wielu ludzi chorych z uczuciem ulgi i wdzięczności przyjmuje zapewnienia bliskich i znajomych, iż wyglądają kwitnąco.

NIEDZIELA, 30 SIERPNI

Dom z powrotem w komplecie: w ubiegłą niedzielę Agnieszka wróciła z Mazur, wczoraj Janusz znad morza, oboje pełni słońca i przestrzeni, więc koniec lata, którego i w tym roku (trzecim z kolei) nawet półoddechem nie doświadczyłem. Zamówiłem na październik w ZAIKS-ie pokój w Sopocie.

ŚRODA, 2 WRZEŚNIA

Wczoraj wczesnym rankiem, mając lat prawie osiemdziesiąt pięć, umarł w Paryżu Francois Mauriac, tak bardzo, gdy byłem młody, przeze mnie adorowany. Czy później, skoro miłość młodzieńcza wygasła, podziwiany? Raczej przypadkowo i bez większych emocji powracałem do jego książek, nieczęsto przydarzyła się okazja, żebym o nim myślał.

Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy i u kogo przeczytałem, iż w parę dni po pogrzebie André Gide'a Mauriac otrzymał od niego następującą depezę: „Piekle nie ma. Możesz sobie pohulać. Daj znać Claudelowi. André Gide”. Jeśli to ktoś tylko wymyślił — chyba wymyślił prawdę, a w każdym razie coś do prawdy zbliżonego. Oczywiście, katolicy w nieporównywalnie głębszym i szerszym zakresie aniżeli komuniści mogą być sobą, lecz też mogą być sobą tylko do pewnych granic. Od najdawniejszych lat mam o pisarstwie mniemanie podwójne: w różnorodny sposób bywa ono misją i wyższym powołaniem, lecz równocześnie przepływa przez niego element kpiącego kurwiarstwa, które pod maską szczerości tak łatwo może przekroczyć granicę, poza którą istnieje sfera grzechów przeciw Duchowi Świętemu, więc przeciw samemu sobie. Zdaję sobie sprawę, że w owym zakresie szczerości też posiadam pewne hamulce, bardzo trudne do przekroczenia. Myślę wszakże, że Mauriac, właśnie dlatego, że wierzył lub wierzyć chciał — hamulce wobec owej „hulanki” posiadał miary większej aniżeli moje: prywatne. Wciąż nie wiem, czy szczerość musi doprowadzić do obnażenia się. Może w przemilczeniach kryje się właśnie ludzka kondycja? Może skrajna, więc do końca doprowadzona szczerość jest tylko wynikiem słabości i rozpacz?

Literat, Piekło, Zaświaty,
Żart

Literat, Grzech

ŚRODA, 9 WRZEŚNIA

Wieczorem na bardzo pięknym filmie Franco Zeffirellego *Romeo i Julia*. Ponad dwie godziny całkowicie urzeczony Szekspirem, scenografią i wyjątkową inteligencją reżysera, kolorem, ruchem, szekspirowską prawdziwością, a nade wszystko doskonałością pary dzieciaków: czułych, gwałtownych i niecierpliwych, zastanawiałem się przez cały czas, co z tych cudownych debiutantów wyrośnie, kim będą za trzy, pięć, dziesięć lat?

CZWARTEK, 10 WRZEŚNIA

Po wielu dniach chłodnych i deszczowych od wczoraj najpiękniejsza jesień, prawie upał.

Rano poszedłem na spacer do parku, który zaczyna się tuż za naszymi oknami po drugiej stronie alei i na dość dużym obszarze ciągnie się aż po Wisłę. Upał, jak w lipcu. Siedziałem trochę na ławce przy nadwiślańskim bulwarze, lecz było zbyt gorąco, więc przeszedłem do letniej kawiarenki koło ZOO, tam spokojny cień, mało ludzi, dokoła ogromne drzewa i poprzez ich niski i gęsty nawis prześwitywała Wisła leciutko przy-mgłona. Wypiłem jedno piwo i prawie w oszołomieniu, jak rekonwalescent po długiej chorobie, patrzyłem na najpiękniejsze u nas światło: uspokojone światło września, gdy nie istnieje w naturze nic cudowniejszego nad tą czystość światła i jednocześnie jego przymglenie, gdy gęsty ciężar już ciemnej zieleni przyjmuje poblask słońca. Patrzyłem, patrzyłem i nagle poczułem się chory. Co jeszcze mogę zrobić? Gdzie być? Starczy mi w najcięższych chwilach ironii i nadziei? Nadziei na co?

W pewnym momencie wszedł pod namiot kawiarni młody chłopak, chyba nie więcej niż dziewiętnastoletni, zwykły tutejszy chłopak w podniszczonych dżinsach, w jaskrawo żółtych skarpetkach i w koszulce polo koloru bordo, półdorosły szczeniak, który jedną

Ojciec

ręką popychał wózek z malutkim dzieckiem niemającym więcej niż rok, chyba dziewczynka, nie był pijany, ale trochę podpity, zamówił piwo, wypił je tak, jak się u nas piwo pije: wprost z butelki, a potem od razu odszedł i widziałem, jak szedł bulwarem pełnym słońca, lecz wózka nie prowadził, trochę się w nogach nonszalancko kołysał i stać mu było gestu ojcowskiego na tyle, żeby od czasu do czasu wózek popychać, zawsze tylko jedną cwaniacką ręką, żeby się toczył sam, a on za nim szedł i gdy do niego dochodził — znów wózek popychał do przodu na pięć, sześć kroków i machał ku dziecku ręką. Był ciemny, długowłosa, smagły i poprzez jego opaloną, trochę wulgarną twarz prześwitywały uśmiechy czułości.

Jak kiedyś bardzo dawno, na przedwiośniu, gdy zaczynałem ten *Dziennik* i jeszcze nie wiedziałem, co będzie z *Miazgą* dalej — zapragnąłem nagle wyjechać, po prostu gdzieś wyjechać, być gdzie indziej, odetchnąć, ujrzeć krajobraz inny od tego, który widzę codziennie, wyjechać, odetchnąć, odnowić oczy i słuch, zostawić zmęczenie i bezsilną samotność, zostawić siebie, i wyjechać, i odetchnąć, i patrzeć, i słuchać, a przede wszystkim odetchnąć.

Podróż

SOBOTA, 12 WRZEŚNIA

Z Ewangelii św. Jana:

„Arcykapłan zapytał tedy Jezusa o jego uczniów i jego naukę. Jezus mu odpowiedział: »Ja przemawiałem jawnie przed światem. Uczylem zawsze w synagodze i w świątyni, gdzie się gromadzą wszyscy Żydzi. Potajemnie nie uczylem niczego. Dlaczegoż mnie pytasz? Zapytaj tych, którzy słyszeli, co im mówiłem. Oto oni wiedzą, co mówiłem«.

Gdy to powiedział, jeden ze sług obok stojących wymierzył Jezusowi policzek, mówiąc: »Tak odpowiadasz arcykapłanowi?«.

Odpowiedział mu Jezus: »Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, czemu mnie bijesz?« (18, 19–23).

PONIEDZIAŁEK, 14 WRZEŚNIA

W radiowej audycji „Popołudnie z młodością” wywiad z trzema młodymi dziewczynami, uczennicami ostatniej klasy jednego z najlepszych liceów warszawskich. Kilka fragmentów na gorąco zanotowanych:

- Moje myśli sięgają na rok.
- Chciałabym być nauczycielką albo przewodnikiem w „Orbisie”, albo tłumaczem.
- Miłość też planuję, raczej, można powiedzieć, marzę. Powiedziałabym, że chciałabym wyjść za mąż.
- Świat tak zmienił się w ostatnich pięciu latach, że co my możemy jeszcze zmienić?
- Co my możemy zrobić, to ja nie widzę.
- Wydaje mi się, że wykształcenie i praca wyznacza pozycję w społeczeństwie.
- Jak to ulepszyć, co jest, to ja nie wiem, bo żeby występować, to trzeba wiedzieć.

Pozycja społeczna

Nie mam żadnych koncepcji, więc jak mam protestować?

- Czy ja wiem, czy jest jakiś postęp? Jest tak samo, jak było, tylko ludzi jest więcej.
- Chciałabym wiedzieć wszystko, ale też myślę, że gdybym wiedziała wszystko, to by mnie to podenerwowało.

ŚRODA, 16 WRZEŚNIA

Nie wiem, czy jestem odważny. Wielu ludzi tak sądzi, ale ja dobrze wiem, że niektóre moje decyzje, te uznane za odważne, nie z odwagi wynikają, lecz z dumy. Być może w pewnych okolicznościach zmanifestowanie dumy bywa odwagą.

Odwaga, Duma

SOBOTA, 19 WRZEŚNIA

Noce i ranki już bardzo chłodne, ale pogoda wciąż się utrzymuje słoneczna.

Od kilku dni sprawdzanie nowo założonego w całym domu ogrzewania centralnego. Zaraz pierwszego dnia załalo sklep na parterze i parę większych potopów na klatce schodowej. U nas, na szczęście, tylko jeden drobny i natychmiast naprawiony przeciek,

ale już nad nami awaria była większa, a ponieważ nikogo tam w mieszkaniu nie było — woda zaczęła przeciekać do nas, zalewając łazienkę, mały przy niej przedpokój oraz ubikację. Paskudnie śmierdzi teraz w tej części mieszkania stęchlizną. Wolę nie myśleć, co się będzie dziać, gdy się zacznie niebawem wymiana instalacji wodnej, aby nasz dom został podłączony do elektrociepłowni.

Gdy położyłem się po obiedzie na swój relaksowy kwadrans, przypomniał mi się bardzo wyraźnie obraz Jana Breughla z monachijskiej Pinakoteki *Jonasz wychodzący z paszczy wieloryba*. Maleńki Jonasz w czerwonym płaszczku, z gestem podziękui wychodzi na groźny, ciemny świat — — — — —

Koniec

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0. PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/andrzejewski-miazga>

Tekst opracowany na podstawie: Jerzy Andrzejewski, *Miazga*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1979.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-5552-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).